





40-90/8



P. II - 21

# WID NO KRĄG

№ 1-2 (R. II) Warszawa, 20 Lipca 1916  
KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 7. — TELEF. 158-90.

TREŚĆ: W. RZYMOWSKI: Nasze zwycięstwo. — ARTUR ŚLIWIŃSKI: Potrzeba autorytetu. — Do radców m. stoł. Warszawy. — JAN GRABOWSKI: Niespłacony dług. — MICHAŁ RÖMER: Oderwanie Litwy od Rosji. — OBSERWATOR: Rozmowy niedyskretne. — R. S.: Listy z frontu. — BENEDYKT HERTZ: Za plecami walczących armji. — MIECZYŚLAW BAUMGART: Na nowej drodze. — Warunki przedpłaty.

W. RZYMOWSKI.

## Nasze zwycięstwo.

Wracając na dawny posterunek, po rocznej niemal przerwie, przymusową spowodowanej rozłąką z krajem, widzimy, że nie był to posterunek stracony. Więcej w jego chwilowym opuszczeniu tańło się wymowy, niż w niemilkącym gwarze niejednego z „naszych najszanowniejszych“ organów opinji. Więcej w jego chwilowym rozbiciu tkwiło zadatków siły, niż w niewzruszonej równowadze niejednego z „filarów“ społeczeństwa.

To też, wróciwszy do kraju, nie potrzebowaliśmy szukać poomacku tej ścieżki, którą przed rokiem torowała redakcja „Widnokregu“ wśród zwartej gęstwiny bądź niewinnego zaślepienia, bądź zbrodniczego kłamstwa. Wązka i stroma ścieżka zamieniła się dziś w szeroki i jasny gościniec, w tryumfalną drogę, na której Warszawa, już nie w osobie idącego przebojem odłamu, ale *in corpore*, jako milionowa stolica wielomiljonowego narodu, w uroczystym wystąpiła pochodzie, aby poprzez rocznicę majową, czcząc narodowe święto, w istocie uczcić odrodzenie własnej niepodległej duszy.

Gdybyśmy zgubili ideowy adres redakcji, wskazałyby go nam nanowo wszystkie wysiłki myśli zbiorowej, organizującej się wokół hasła samodzielności politycznej narodu, wskazałyby go nam nanowo tęsknota serc młodzieży, zwracająca się w jednym ciągle kierunku, instykt obudzonego ludu, który sam w sobie chce mieć ośrodek swej ciężkości, wskazałyby nam go nadewszystko krew Legjonów Polskich, najwierniejsza rękojmia prawdy, słuszności i rzetelności naszej sprawy.

Wszelako w tym szczęśliwym będąc położeniu, że oglądać możemy dzisiaj zwycięstwo naszych zasad na całej prawie linii społecznego frontu, większe bodaj znaczenie przypisujemy tej konsekwencji, z jaką zasad swych broniliśmy od początku, tej stałości, z jaką pozostawaliśmy im wierni. Nie ugięliśmy się ani przed demagogją opinji, ani przed demagogją faktów, które zdawały się rzekomymi argumentami usprawiedliwiać opinję. Wiążąc wypłynięcie sprawy polskiej na forum międzynarodowe ze zwycięstwem mocarstw środkowych, nie spekulowaliśmy przecie na powodzeniach ich oręża, jak na przypadkowym obrocie fortuny, z którym liczyć się należy, aby móc po obu stronach szukać „asekuracji“. Gdyby nawet mocarstwa środkowe miały być ulec w walce, to i wówczas byliśmy zdecydowanymi zwolennikami zdania, że Polska w tej wojnie wystąpić winna przeciwko Rosji, od początku do końca przeciw Rosji.

Ta konsekwencja sprawia, że nasze zwycięstwo polityczne jest zarazem naszym zwycięstwem moralnym.

Ileż dzisiaj naliczymy w Warszawie pism, które bez wstydu mogą odczytywać swe zeszoletnie roczniki? Ileż naliczymy takich, które nie będą zmuszone się wstydzić swej paucizny w niepodległej Polsce?

„Widnokąg“ nie wzywał onego czasu rodaków „do łopaty“ jak inne organy, nie chwiał się w swych przeświadczeniach od ewakuacji do ewakuacji, nie zwiął wreszcie swych taborów politycznych wespół z taborami Ks. Mikołaja, ani też potrzebował po ich ujściu przemalowywać swe godła, ani „poddawać rewizji“ swego bojowego frontu po każdej walnej bitwie.

Aczkolwiek nie przeceniamy tych drobiazgów, sądzimy przecież, że i ono „coś“ znaczą. I gdy „łopata“, do której wzywano ogół polski w zeszłym roku, stała się łopatą, którą owocnesne prądy grób sobie wykopały, my w „Widnokregu“ nie dla próżnej chełpliwości, ale w imię konsekwencji, podejmujemy nasz dawny okrzyk, który był hasłem odosobnionym, a który dziś wraca ku nam jak potężne echo, od piersi wielu milionów odbite: niech żyje Polska niepodległa!

Tym echem miljonkrotnym oznajmia się naszej idei tryumf i nieśmiertelność.

ARTUR SLIWIŃSKI.

## Potrzeba autorytetu.

Wybuch wojny, którą przeżywamy obecnie, usunął spory i na pewien czas przerwał walki, prowadzone przez różne warstwy społeczne. Narody, bądź zagrożone w swojej egzystencji, bądź widzące niebezpieczeństwo dla najżywotniejszych swoich interesów, zjednoczyły się w jednym potężnym dążeniu, w jednej wielkiej myśli, która wybuchnęła żywiołowo i niby huk piorunu stłumiła aktualne szmery życia codziennego. Ponad gwar i szum tysiącznych sprzeczności, ponad ważne sprawy zwalczających się zaciekle stronnictw i obozów, wzniosła się silniejsza nad życie samo świadomość, że wybiła godzina sądu dziejowego, że groza niewypowiedziana zawisła nad ojczyzną. I pod wpływem tej grozy ustąpiły na plan drugi zadania poszczególnych warstw społeczeństwa. Wytworzyła się jedność. Ktokolwiek przecież okiem krytycznym patrzy na to wspaniałe zjawisko, ten zdaje sobie sprawę, że ta jedność nie zasypała przepaści, dzielących poszczególne warstwy społeczne, nie wyrównała porachunków, nie wytworzyła idylli wewnętrznej, lecz stała się jeno niepisanyim przymierzem na sam okres wojny, stała się jeno paktem, co obowiązuje w stosunku do sił zewnętrznych i przeciw tym siłom prowadzi zjednoczone kadry na pola krwawej rozprawy!...

Świadomość obowiązków względem własnej ojczyzny dojrzała we wszystkich warstwach społecznych Europy Zachodniej. Wojna obecna daje rzadko spotykany w dziejach przykład solidarności wewnętrznej poszczególnych narodów. Niebezpieczeństwo zewnętrzne wykreśliło łożysko i cel tej solidarności, wytworzyło harmonię, pod której skrzydłami idą ramię przy ramieniu nieprzyjaciele wczorajsi i przeciwnicy jutrzejsi.

Naród polski nie mógł w okresie tej wojny wystąpić na widowieństwo świata, jako świadoma swych zadań siła solidarna. I nie umiał znaleźć w sobie owej mocy moralnej, któraby mimo wszystko zaświadczyła o jednakowem pojmowaniu obowiązków i jeden czyn wspólny wszystkimi siłami postanowiła wykonać. Przeciwnie. W błyskawicach dziejowych stanęliśmy wobec opinii świata, jak gdyby trzy narody odrębne o trzech różnych strukturach umysłowych, o trzech obliczach, obserwujących się wzajem z podejrzliwością i niepokojem. Cała niedola stuletniej przeszłości wystąpiła na jaw z jasnością wręcz przerażającą. Mogłoby się zdawać, że naród zgubił drogę swoich dziejów i nawet przy krwawym blasku wojny europejskiej nie może tej drogi odnaleźć. Na szczęście rok czasu, rok światowej wojny pogłębił wszędzie świadomość polską, a chociaż nie usunął sprzeczności, to jednak dokonał niewątpliwych zmian w nastroju i usposobieniach całego narodu i wielki wpływ wywarł szczególnie na społeczeństwo zaboru rosyjskiego.

Los bitew, który wysunął na widowieństwo świata sprawę polską w jej międzynarodowym znaczeniu, wywołał ową przemianę: dziś niema już takiego odłamu politycznego w społeczeństwie naszym, któryby nie mówił o dążeniu do samodzielności państwowej, któryby nie uważał, że powrót władztwa rosyjskiego na ziemię naszą byłby klęską największą.

Chodzi teraz o wysnucie konsekwencji z istniejącego stanu rzeczy.

Punkt ciężkości sprawy polskiej w ciągu całego stulecia tkwił, jak tkwi dotąd, w dawnym zaborze rosyjskim. Rozumiał to cały naród. Nie było też w ciągu stulecia owych nieporozumień dzielnicowych, które dopiero obecna zawierucha wydobyła na światło dzienne. I społeczeństwo w zaborze rosyjskim dobrze rozumiało swą rolę. Lecz po powstaniu styczniowem znaczenie zaboru rosyjskiego w życiu Polski zmniejszyło się ogromnie. Nie dlatego, by zmieniło się coś w sytuacji międzynarodowej, ale dlatego, że zmieniło się społeczeństwo nasze, że popadło w martwość i bezwład, że pod krwawym obuchem rządów rosyjskich skuliła się wola narodu i zamarła jego myśl polityczna. Wreszcie polityka ostatniego dziesięciolecia, przeniesiona z gruntu narodowego do Petersburga i tam szukająca dla siebie oparcia, była szeregiem zamachów samobójczych, czyniła bowiem sprawę polską wewnętrzną sprawą Rosji, i stawała się manifestacyjnym aktem rezygnacji z niezaprzeczonych praw naszych do niepodległego bytu.

Przebieg wojny, tak szczęśliwy dotąd dla sprawy polskiej, znowu wykazał w całej pełni, jak wielką wagę i doniosłość ma nasza dzielnica.

A jednak dotąd nie wystąpiliśmy na widowieństwo, nie stworzyliśmy autorytetu, któryby wyrażał dążenia i wolę narodu, a miał ambicję zaważenia na szali naszych własnych losów. Tymczasem wszystkie warunki składają się dla nas tak pomyślnie, jak nie składały się w ciągu całego stulecia. W roku 1831, a następnie w r. 1863 byliśmy w swoim stosunku do Rosji najzupełniej odosobnieni. Liczyliśmy na pomoc rządów i na pomoc ludów. Liczyliśmy na szczęśliwy zbieg okoliczności. Zawiodło nas jedno i drugie. Dziś do boju z Rosją wystąpiły i rządy i ludy, a okoliczności zewnętrzne bez naszego udziału stawiają sprawę polską w szeregu najważniejszych zagadnień europejskich. W epoce powstań naszych agenci dyplomatyczni, wysyłani przez rządy narodowe, nadaremnie kołatałi do gabinetów, nadaremnie szukali mężów stanu, z którymi mogliby podjąć rokowania. Dziś droga dyplomatyczna stoi otworem. Dziś, jak nigdy, powołuje nas chwila dziejowa do odegrania wielkiej roli historycznej.

Aby jednakże tę rolę odegrać, musimy wyjść ze stanu bierności, ujawnić zdolność do ofiar i poświęceń, musimy wykazać spójność i zwartość wewnętrzną. Musimy ustosunkować się do wojny i do potęg, które ją toczą, musimy przejawiać zdolność do życia narodowego we wszystkich jego dziedzinach, a więc i w dziedzinie czynów politycznych. Przeciwwstawianie tym czynom mrówczej, codziennej pracy najboleśniejsem jest nieporozumieniem. I polityka jest pracą, może nawet w obecnych warunkach, pracą najcięższą. Trzeba przecież zrozumieć, że naród żywy musi żyć pełnią życia. Więc gdy świat stoi w płomieniach wojny, gdy nic polityki dziejowej wciąga w swe olbrzymie koło wszystkie w Europie narody, my jedni nie możemy stać poza tą polityką i ulegać hypnozie, że pozostawienie odłogiem najważniejszej dziś dziedziny pracy narodowej, zastąpić nam mogą chwalebne i niezbędne zresztą wysiłki organizacyjne na innych polach naszego życia.

Ile razy dawniej ojczyzna nasza była w niebezpieczeństwie, tyle razy odzywały się głosy, nawołujące naród do jedności i zgody. I dzisiaj słyszymy to samo. Ale jedność narodowa jest pojęciem względnyim. Jeżeli tworzy dzieła piękne i twórcze, jest dziełem pięknym. Jeżeli prowadzi do zbrodni, jest zbrodnią. Niecha

nas żadne nie hypnotyzują słowa! I Targowica szła pod hasłem jedności, a przed tą jednością dzielni patryjoci musieli uchodzić z kraju, bo miejsca dla nich nie było w ojczyźnie. Jedność jest potęgą, jeśli tkwi w istocie rzeczy, jest klęską, jeżeli wyrasta na podłożu bezwładu i bierności.

Dziś przecież wspólny, a wszystkich jednoczący wysiłek nieodzowną jest koniecznością. Ale ta łączność nie może mieć nic wspólnego ze staroszlacheckimi hasłami jedności i zgody, lecz musi być oparta o istotę zbiorowego czynu, musi wynikać ze zrozumienia różnic i zadań, jakie przypadają w udziale różnym warstwom społecznym. Ta łączność musi być nowoczesna, kształtować się tak, jak ukształtowała się podczas wojny jedność innych narodów.

Czy u nas możliwa jest taka łączność?

Ktokolwiek śledził różne fazy akcji, mającej na celu powołanie do życia organu, któryby reprezentował w tej dziejowej chwili zjednoczoną wolę naszego społeczeństwa, ten przyzna niewątpliwie, że akcję tę rozpoczynały elementy czynu, a zawsze skłonne były do ogromnych ustępstw, byle tylko cel pożądanym osiągnąć. Elementy te na jedną chwilę nie zaprzestawały swej pracy. Robotnik polski, za którym ciągnie się krwawa smuga poświęceń, a którego dola dzisiejsza jest istotnie straszna, wykazał wielki patryjotyzm i wszelką do czynu gotowość. Nasza młodzież czeka tylko hasła, aby stanąć na rozkazy tych, co jako autorytet polityczny przemówią do społeczeństwa.

Niestety, autorytetu takiego dotychczas nie mamy.

Wytwarza to w życiu narodowym próżnię, daje broń w ręce naszych przeciwników, pozwala na nieskoordynowaną a często niwelującą się wzajemnie działalność poszczególnych jednostek, w końcu zaś musi doprowadzić do tego, że zamiast ciężenia dośrodkowego, rozpierchną się wszelkie nasze usiłowania, powiększy się przestrzeń, dzieląca poszczególne obozy, wystąpią do walki przeciwieństwa, i zamiast wspólnego działania wtargnie na widownię naszego życia fatalna konkurencja i rozpocznie się wyścig do owej mety, ku której zmierzać powinna spojona żelazem wspólnego wysiłku celowa i rozumna wola narodu.

Ostatnia konsolidacja stronnictw politycznych na tle wyborów do Rady Miejskiej w Warszawie, wywołała tu i owdzie zupełnie zrozumiałą niechęć i najzupełniej zrozumiałą pesymizm. Po tylu nieudanych próbach, po tylu tylekroć razy stwierdzonych różnicach, trudno jest dzisiaj nie wątpić. Ale ogół nasz widzi w tej nowej próbie całkowicie usprawiedliwioną powagą chwili wysiłek i oczekuje wypełnienia luki w naszym życiu narodowym, oczekuje czynów, świadczących, że i politycznie chcemy być narodem żywym, świadomie zmierzającym do podjęcia cięższych na nas zadań i obowiązków.

W społeczeństwie naszym dojrzewa powoli zrozumienie, że bije dla nas godzina decyzji, kto wie, może w tej historycznej dobie godzina już ostatnia! Patrzą na nas niecierpliwie rodacy z innych dzielnic, nadstawiają uszu ku Warszawie ci, co w dymach bojowych i huku armat reprezentują czyn polski, a rozgrywające się wypadki niemal gwałtem popychają nas na arenę szerszego działania.

Zrzekniemy się tej wartości, jaką jest wartość własnego wysiłku, czy spróbujemy rzucić go na szalę naszej przyszłości? Staniemy wobec czekających nas zadań chwiljani, trwożni i do czynu niezdolni, czy też rozproszą

się nareszcie otaczające społeczeństwo mgły bierności i piękną okowy wewnętrznej niemocy?

To pewna, że chwile stracone nie wracają nigdy, a bez organu swej woli, bez autorytetu politycznego nie może żyć społeczeństwo życiem politycznym, nie może na swoją korzyść wyzyskać politycznie mijających bezpowrotnie wydarzeń.

Czas wytworzyć ów autorytet, najwyższy czas!

## *Do Radeóm m. st. Warszawy.*

*Otrzymaliście wielki mandat. Wśród krwawej zawieruchy, która zmieni porządek polityczny świata, a narodowi naszemu niesie Wyzwolenie, powołani zostaliście do roli historycznej, jako pierwsza Warszawy reprezentacja.*

*Na nowej karcie dziejów stolicy sądzono wam wypisać pierwsze słowa. Wasze prace i wasze czyny stanowią widomy znak przebudzonej woli narodu, — odtąd wyraźnej i pełnym przemawiającej głosem, tak wobec wszystkich sprzymierzeńców, jako i wobec wszystkich nieprzyjaciół.*

*Gdy wkroczycie do sal historycznych Ratusza, spojrzą na was duchy Dekiertów, Kollątajów, Łukaszewiczów, — spojrzą i przemówią do sumień waszych, byście spełnili ich narodowi przekazany testament, któremu moskiewski najeźdźca tyle lat uragał. Wy to pierwsi nawiązać macie poszarpaną nić tradycji stolicy, współpracując we wzniesieniu mostu, łączącego przeszłość niepodległego narodu z dobą jego obecną, — kresem pohańbienia i upadku.*

*Od was teraz zależy, od tężyzny i hartu ducha waszego, od postawy waszej w rzeczach dla narodu najświętszych, od was teraz zależy, czy na sądzie pokoleń polskich — błogosławieństwo czy klątwa będzie wam wyrokiem.*

*W gmachu, w którym rządził wróg, tam pracując nad dziełem naszej zagłady, radzić macie nad naszym odrodzeniem, tam, gdzie sporządzano środki ku zatruciu społecznego organizmu Polski, sprawiacie macie tego organizmu uzdrawienie i zdolność do nowego życia. Stoicie na przelomie, kiedy wiedzieć trzeba, nad czym należy wieczysty stawić krzyż, zaś czemu — otwierać jasne drogi odnowicielskiego czynu.*

*Patrzą na was stolica. Czy przywrócicie jej honor, sławę i wspaniałość? Czy zetrzecie z jej powierzchni i wypłenicie z jej wnętrza wszystkie hańbiące ślady niewoli?*

*Patrzą na was naród. Czy będziecie mu światłem, we wszystkie strony kraju promieniejącym? Czy będziecie mu przykładem, wzorem, drogowskazem?*

*Patrzą na was sprzymierzeńcy i wrogowie. Chcą wiedzieć, jak przystępują synowie Polski do jednej z najważniejszych prac wstępnych nad wskrzeszeniem polskiego państwa? Co powiedzą i co uczynią? Na co ich stać?*

*Stolicy, narodowi, sprzymierzeńcom i wrogom dajcie odpowiedź, godną naszej przeszłości i — naszej nadziei.*

JAN GRAJOWSKI.

## Niespłacony dług.

Istnieją dwa jednakowo możliwe rozwiązania stosunku centralnej władzy oświatowej w kraju do szkolnictwa prywatnego. Albo naczelna władza oświatowa włącza szkoły prywatne w stan swego posiadania, albo zostawia im zupełną swobodę rozwoju, zwalczania się drogą naturalnego doboru i walki o byt.

Istota tego stosunku zależna jest ściśle od naczelnej zasady organizacyjnej, jaką kierować się zechce instytucja centralna. Jeżeli w zasadzie organizacji tkwi centralizacja bezwzględna, poddanie bezwzględne całego istniejącego szkolnictwa instytucji naczelnej, wtedy szkolnictwo prywatne nie może korzystać ze swobody rozwoju, musi być włączone do ogólnej sieci szkolnej, poddane ścisłej kontroli władz oświatowych i ich dyrektywie.

Szkolnictwo prywatne w takich warunkach jest usiłowaniem wyzyskania kapitałów prywatnych i prywatnej inicjatywy do celów gospodarki społecznej, właściciel zaś szkoły prywatnej staje się koncesjonariuszem gminy, miasta, czy kraju, koncesjonariuszem, który, w zamian za pewne zyski z przedsiębiorstwa i poparcie, obowiązany jest poddać się ścisłej kontroli władz, udzielających koncesji.

Władze ze swej strony zapewniają przedsiębiorstwom pewne prerogatywy i nawet, w razach wyjątkowych, poparcie materialne.

Na tym centralistycznym stanowisku stał rząd rosyjski. Całe szkolnictwo niższe, ludowe i średnie żeńskie w Rosji było przedsiębiorstwem prywatnym, koncesjonowanym i popieranym przez rząd. Znakomita większość szkół handlowych i zawodowych wogóle była utrzymywana z funduszy nie rządowych. Rząd rosyjski, którego „oszczędność“ na cele oświatowe zbyt jest znana, by o niej trzeba było mówić, wyręczał się w ten sposób kapitałami prywatnymi.

Naczelna władza oświatowa rosyjska, ministerjum oświaty, stała na stanowisku ścisłej centralizacji. Przestrzegano jak najpilniej, aby program szkół prywatnych nie odchyłał się od programu szkół rządowych, nie pozwalano pod tym względem na żadne wyjątki. Uniemożliwiano rozwój szkolnictwa prywatnego choćby dlatego, aby nie dopuścić do reformy szkół rządowych, która byłaby niezbędną w razie, gdyby postęp szkolnictwa prywatnego wykazał bezwartościowość wychowawczo-naukowego systemu rządowego.

Ustawa szkolna z dnia 1 lipca 1914 r. była wylomem w dotychczasowych poglądach rządu rosyjskiego na stanowisko względem szkolnictwa prywatnego. System koncesyjny zastąpiono przez meldunkowy, inicjatywie kierowników i założycieli pozostawiono dobór przedmiotów, a nawet pozostawiono im wybór języka wykładowego. Rząd, który przed wydaniem ustawy lipcowej upaństwowiał ipso facto każdą powstającą szkołę prywatną (rozumie się mam tu na myśli stosunki w państwie Rosyjskim, nie zaś u nas w Królestwie), zgodził się na istnienie szkół naprawdę prywatnych, to znaczy od rządu niezależnych i z żadnych przywilejów i prerogatyw nie korzystających.

Zdając sobie sprawę z konieczności dokonania wo-

bec zmienionych warunków istnienia szkolnictwa prywatnego reformy szkół rządowych, rząd zajął się tą sprawą, i kwietniowy projekt reformy szkół żeńskich ministerjum oświaty był jedną z prób tego rodzaju.

B. Wydział Oświecenia K. O., składający się przeważnie z jednostek wychowanych przez rząd rosyjski i jego politykę szkolną, cofnął się wstecz nawet w porównaniu z polityką rządu rosyjskiego i wobec szkół prywatnych zajął stanowisko podobne do tego, na jakim stało rosyjskie ministerjum oświaty przed dniem 1 lipca 1914 r.

Wszystkie szkoły prywatne uznane zostały za stan posiadania Wydziału Oświecenia, poddane jego kontroli, kontroli drobiazgowej, dokonywanej przez specjalnych urzędników. Wydział wydawał od siebie rozporządzenia, obowiązujące szkoły zarówno miejskie, jak prywatne (rozporządzenie w sprawie pisowni, języka rosyjskiego i t. p.). Wydział Oświecenia stanął na stanowisku centralizacji, ujednostajnienia, kontroli. Inna sprawa czy dokonywał tej kontroli, czy zdołał zcentralizować szkolnictwo.

Nie mam zamiaru poddawać krytyce działanie W. O., chcę poddać rewizji samą zasadę. Sprawa pomimo nieistnienia W. O. nie straciła nic ze swej aktualności. Każda inna władza oświatowa centralna może stanąć na centralistycznym stanowisku W. O., stanowisku przezwyższonym, wstecznym, pociągającym za sobą nader dziwne, a niedoceniane w tej chwili następstwa, na które wskażę niżej.

Że W. O. zajął to stanowisko, a nie inne, jest zrozumiałe i do pewnego stopnia psychologicznie umotywowane. Każda, że tak powiem, *młoda* władza cierpi na hipertroficzne poczucie potęgi i jest w początkach swego istnienia zaborcza. Nic więc dziwnego, że to, co Niemcy nazywają „Ueberfluss des Kompetenzgeföhls“ popchnęła władze W. O. do zaanektowania wszystkich szkół warszawskich. Oprócz tych powodów istniały inne. Szkoły prywatne polskie uważaliśmy zawsze za szkoły społeczne, polskie, nasze, bez względu na to, czy szkoła była własnością jednostki, czy też zrzeszenia. Prowadziło walkę o ich istnienie z rządem całe społeczeństwo polskie i słusznie mogło się ono uważać i uważało za prawomocnych właścicieli szkół prywatnych polskich. W. O., naczelna walka oświatowa polska, przejął szkolnictwo polskie niejako od społeczeństwa i wszedł w jego prawa.

Pozornie transakcja taka była uzasadniona, ale tylko pozornie. Szkoły prywatne były własnością społeczeństwa dotąd, dopóki społeczeństwo walczyło o ich byt z rządem, dopóki nie miało własnej władzy, z którą wszelka walka była zbyt bezcelna, a od której natomiast miało prawo oczekiwać urzeczywistnienia tego, czego rząd rosyjski nie czynił, to znaczy stworzenia własnego szkolnictwa rodzimego.

W. O. nie rozumiał, że nadmierny rozrost szkolnictwa prywatnego jest wynikiem anomalji naszych warunków politycznych i z pobudek, o których wyżej wspominałem, stojąc na stanowisku centralistycznym, zamiast dążyć do uzdrowienia stosunków szkolnych, rozpaczliwie starał się nic nie czynić dla zniweczenia status quo.

Nie mam tu na myśli, muszę się zastrzec, szkolnictwa ludowego, niższego, tam stosunki, wobec istnienia szkolnictwa miejskiego, przedstawiały się inaczej; to co mówię najjaskrawiej jest widoczne w odniesieniu do szkolnictwa średniego.

A przecież gdyby W. O. był stanął na innym stano-



wisku, odmiennym od ministerjum oświecenia rosyjskiego, gdyby był pozostawił istniejące szkoły prywatne ich własnemu losowi, a natomiast całe siły wyteżył na tworzenie własnych, przez siebie utrzymywanych i przez siebie wzorowo prowadzonych szkół, byłby naprawdę spełnił obowiązek naczelnej władzy oświecenia publicznego.

Rozporządzał funduszem, pokaźną resztką sum, zebranych w maju 1914 r., na wpisy dla młodzieży szkolnej. Czyż można było lepiej użyć tych pieniędzy, jak wydając je na stworzenie kilku wzorowych szkół średnich, w których wpis nie kosztowałby bajoriskich sum, wpłacanych do kas szkół prywatnych. W. O. dokonałby wówczas dwu rzeczy: umożliwiłby naukę niezamożnym, oraz stokroć skuteczniej, niż drogą przepisów, okólników i wizytacji oddziałałby na podniesienie poziomu szkół średnich.

Obowiązkiem W. O. było stworzenie choćby tylu własnych szkół średnich z tanim wpisem, ile ich było za czasów rosyjskich!

Uznając szkoły prywatne za swoją własność i nie czyniąc z tego względu wysiłków w celu stworzenia szkolnictwa publicznego, W. O. usankcjonował publiczność szkół prywatnych wogóle i konsekwentnie postępując przekonał społeczeństwo, że w dalszym ciągu, jak za czasów rosyjskich, szkoły prywatne są tegoż społeczeństwa własnością, wobec której ma zobowiązania.

Tegoroczna Kwesta Majowa była publicznym wyrazem tego przekonania W. O. i społeczeństwa.

I tu właśnie tkwi niebezpieczeństwo tego stanowiska. Od chwili, kiedy społeczeństwo, a więc miasto, czy gmina ma możliwość posiadania własnej szkoły, ta tylko szkoła jest jego własnością. Każdy zakład naukowy, utrzymywany przez jednostki, jest prywatnym przedsiębiorstwem i niczym więcej, jest przedsiębiorstwem, posiadającym cechy użyteczności publicznej (o ile szkoła jest dobra) w tym samym stopniu, co np. tramwaje. Sądzę, że nikomu nie wyda się rozsądnym zarządzenie publicznej składki na tramwaje, podupadłe w czasie wojny.

W. O. włożył na barki społeczeństwa dług, *nigdy nie spłacony*, uczynił je dłużnikiem przedsiębiorców prywatnych, którym społeczeństwo opłaca się za to, że dotąd własnych szkół nie posiada.

Być może, że W. O. powodował się jakimiś nieznanymi pobudkami, może nie mógł postąpić inaczej. Bądź co bądź hołdując centralizacji, jako zasadzie organizacji szkolnej, obejmując w posiadanie szkoły prywatne, rezygnując z tworzenia własnych, społecznych średnich zakładów naukowych, popełnił błąd, za który płaci społeczeństwo podwójnie: zamiast nowych wzorowych tanich szkół—ma dawne, drogie, i musi opłacać dodatkowo haracz na wpisy dla uczniów tych szkół.

Gdyby zaś naczelna władza oświatowa zajęła wobec szkół prywatnych stanowisko takie, jak wszędzie na Zachodzie, to najniezawodniej wiele, może nawet znaczna ich część przestałaby istnieć. Ostałyby się tylko szkoły dobre, takie, które skutecznie mogłyby konkurować z publicznymi zakładami naukowymi istotną wartością wychowawczo-naukową.

Szkoła prywatna na Zachodzie jest albo poważnym instytutem doświadczalnym pedagogicznym, polem do nieskrępowanej pracy jednostek obdarzonych inicjatywą pedagogiczną, albo uczelnią dla dzieci sfer zamożnych, poszukujących czegoś więcej nad to, co im dać mogą szkoły publiczne, często... nawet humbugiem. Państwo

troszczy się o nią o tyle, o ile wytwarza nowe metody i wtedy subwencjonuje szkołę, lub o ile szkoła ubiega się o zrównanie w prawach ze szkołami publicznymi i wtedy poddaje ją ścisłej kontroli.

Centralizacja w organizacji szkolnictwa jest zgubną i nawet Francja, której minister za Napoleona III chwalił się, iż o oznaczonej godzinie i minucie wszystkie dzieci francuskie recytują tę samą strofę tego samego wiersza, dawno zesła z dawnej drogi. Co prawda zepchną ją z utartego szlaku... Sedan.

Każda nowa władza szkolna powinna zdać sobie dokładnie sprawę z anomalji dotychczasowego stanu rzeczy i miast tę anomalję konserwować, powinna wejść na drogę rozumnej gospodarki szkolnej, opartej na szkołach publicznych, nie zaś na prywatnych przedsiębiorstwach szkolnych. Inaczej społeczeństwo wobec tych przedsiębiorców zaciągnie nigdy niespłacony dług, a nauka będzie oparta na filantropji, nie na słusznym prawie obywatelskim.

---

MICHAŁ RÖMER.

## Oderwanie Litwy od Rosji.

Jak Królestwo Polskie, tak znaczna część Litwy, już niemal od roku jest faktycznie oderwana, wraz z Kurlandją, — od państwa Rosyjskiego.

Wprawdzie wojna nie jest zakończona i problemat przyszłej organizacji oderwanych od Rosji ziem Litewskich nie jest przesądzony i, będąc znacznie trudniejszym od problemu Polski, z konieczności musi pozostawać jeszcze kwestją otwartą, nie mniej jednak warto się przyrzyć tym czynnikom społeczno-kulturalnym i w pierwszym rzędzie narodowym, które w dużym stopniu określać muszą naturalne tendencje problemu Litwy.

Z obszaru historycznej Litwy faktycznie oderwana jest od Rosji Litwa etnograficzna, tworząca zachodnią część b. W. Xięstwa (gubernja Kowieńska i część Wileńskiej oraz Suwalska, po rozbiorach Rzeczypospolitej od całości W. Xięstwa oderwana i później do Królestwa Polskiego wcielona), i Białoruś zachodnia, w przeważnej swojej części katolicka i wpływowi polskim podległa, a przez masowe uchodźstwo wojenne ludności prawosławnej w tej chwili jeszcze bardziej naleciałościom rosyjskim obca (gubernja Grodzieńska, środkowa i południowo-wschodnia część Wileńskiej oraz parę powiatów zachodnich Mińskiej). W ręku Rosji pozostała prawie cała Białoruś prawosławna, tak wschodnia, w bardzo znacznym stopniu zrusyfikowana (gubernja Mohyłowska i południowo-wschodnia część Witebskiej), jak środkowa, tworząca właściwe etnograficzne jądro Białej Rusi (Mińszczyzna oraz takie powiaty Witebskiej, jak Połocki, Drysieński i Lepelski, oraz Wileńskiej, jak Dziśnieński i Wilejski) i Inflanty Polskie (zachodnie powiaty gub. Witebskiej), zaludnione przez katolicki odłam Łotyszów, zwany Letgołami.

Jak widzimy, obszar faktycznie oderwanej od Rosji części Litwy odpowiada poniekąd pewnym jej naturalnym podziałom i nie jest zupełnie przygodny. W każdym razie wykroił on z W. Xięstwa tę jego część, w której wpływy kultury zachodniej, reprezentowane bądź przez

katolicyzm (Litwa etnograficzna), bądź przez katolicyzm i polskość (Białoruś zachodnia), były i są najsilniejsze. Oczywiście, że podział ten sam przez się nie jest doskonały ani zupełnie ścisły: taki powiat Piński z Mińszczyzny lub południowo-wschodnie powiaty guberni Grodzieńskiej nie mogą być w żadnym razie zaliczone do katolickich i należących do Białej Rusi zachodniej. Jeżeli też na tym podziale ma stanąć przyszła linja graniczna państwa Rosyjskiego, to wielce żałowaćby należało nie tylko ze stanowiska narodowo-białoruskiego, ale i kultury zachodniej,—pozostawienia na rzecz Rosji Białej Rusi środkowej, któraby została jeszcze poważniej, niż dotąd, zagrożona zachłannością moskiewskiego wschodu, a która przecie w lepszych okolicznościach mogłaby się stać rzetelną placówką kultury zachodniej i właściwym ośrodkiem narodowego odrodzenia najmłodszego z ludów słowiańskich — Białoruskiego. Z obszarem Litwy, faktycznie oderwanym od Rosji, łączy się ściśle także oderwana Kurlandja, stanowiąca część etnograficznej Łotwy, należąca również niewątpliwie do świata kultury europejskiej przez protestantyzm i dawne wpływy germańskie, które tu nie tylko się przechowały w postaci bezpośredniej, w Niemczech nadbałtyckich (t. zw. Bałtach), ale też wsiąkły w ciało i krew i stopiły się z kulturą psychiczną odrodzonego już obecnie i głęboko unarodowionego — dzielnego ludu Łotewskiego.

Nie wiele jeszcze możemy dotąd wnioskować o przyszłości państwowej tego obszaru Litwy z Kurlandją — po wojnie. Z tego, co dotąd możemy sądzić o woli czynników, które w chwili likwidacji wojny będą miały w pierwszym rzędzie głos rozstrzygający, wiemy tylko tyle, co z jednej strony oświadczył kanclerz Rzeszy Niemieckiej w swojej wielkiej mowie politycznej w Parlamencie w kwietniu r. b., a co z drugiej strony jest znanym powszechnie nieodwołalnym (o ile odwołanie nie będzie fizycznie wymuszone, co daj Boże!) postulatem państwowym i narodowym Rosji. W słowach kanclerza Rzeszy stwierdzone jest tylko jedno: że obszar ten — od Bałtyku do bagien Polesia — dobrowolnie zwrócony Rosji nie będzie i że przeto, ze stanowiska mocarstw centralnych, faktyczne oderwanie jego od Rosji nie jest tylko przygodnym epizodem wielkiej wojny, jak np. okupacja części terytorjum francuskiego, ale oderwaniem zupełnym. I wola ta państw centralnych, podana przez usta kanclerza Rzeszy, nie jest tylko wyrazem chciwości zaborczej i fantazji zwycięzców: obszar ten dlatego z ich stanowiska nie może wrócić do Rosji, że byłby on dla niej tak, jak to obecna wojna wykazała, punktem wyjścia do inwazji na właściwe ziemie niemieckie i podstawą ekspansji na zachód; unieszkodliwienie Rosji w tym kierunku może być dokonane li tylko przez odebranie jej tych ziem, które zresztą, dodajmy, ani historycznie, ani kulturalnie i narodowo, nie są rosyjskie i są własnością ludów odrębnych, zamieszkujących je i ich kulturę tworzących, jak Polacy, Liwini, Białorusini, Łotysze i Baltowie. Nie znajdujemy natomiast w mowie kanclerza nic, coby konkretnie ich los przyszedł po oderwaniu od Rosji określało; ale to jedno zostało ustalone, że los ten musi być również nie jakimś tworem fantazji, lecz logicznym wykonaniem tej funkcji, która obszarowi temu została dziejowo między Europą środkową a Rosją wyznaczona: funkcją tą jest straż Europy na wschodzie i obrona przed ekspansją potęgi rosyjskiej.

Jak samo oderwanie tego obszaru od Rosji jest aktem asekuracji Europy środkowej ze wschodu, tak oczy-

wiście i przyszła organizacja tego obszaru musi być taka, aby asekurację tę spełniła. Aczkolwiek więc konkretne formy tej organizacji nie są jeszcze wiadome, to jednak zasadnicze założenie dziejowe, a więc i jej kierunek przyszły, zostały już z tej strony ustalone. Tym większego więc znaczenia nabiera poznanie budowy kulturalnej i narodowej tego mieszanego obszaru, oraz tych tendencji żywych, które z niej wypływają. Wszelka bowiem przyszła organizacja, aby być żywotną i trwałą i aby móc pełnić przekazane jej funkcje, musi być oparta na żywych procesach wewnętrznych organizowanego materiału, szczególnie gdy materiał ten jest tak wrażliwy i ciągły, jak społeczność ludzka w jej układach narodowych, kulturalnych, gospodarczych i t. p.

I w tym wypadku, — należy to z całą stanowczością podkreślić, — wewnętrzna budowa społeczno-kulturalna tego obszaru oraz wypływające z niej tendencje i procesy dziejowe uzdatniają go w zupełności do spełnienia funkcji w myśl założeń Europy środkowej i odpowiadają znakomicie temu, co kanclerz w założeniu swojej mowy ustalił, pod warunkiem wszakże, że przyszła organizacja tego obszaru będzie zbudowana logicznie, w ścisłym czuciu z tą jego naturą i tendencją dziejową.

Co do Rosji — to jakie są jej intencje w stosunku do oderwanego od niej obszaru Litwy, wiemy aż nadto dobrze. Na oderwanie Rosja nie zgodzi się dobrowolnie nigdy, a jeżeli będzie zmuszona i ustąpi, to nie zrobi tego szczerze i nie omieszka skorzystać ze wszelkiej okazji, aby te ziemie stracone odzyskać. Działać będzie wszelkimi dostępnymi środkami, a więc bądź wojną w dogodnych warunkach, bądź dyplomacją i intrygą wewnętrzną, szerząc korupcję i utrzymując pokątnie ferment na ziemiach utraconych, aby sobie powrót do nich zgotować. Rosja przeboleje stokroć łatwiej stratę etnograficznych ziem polskich od straty Litwy. Pod tym względem żadnego zestawienia być nie może. Państwo Rosyjskie wyrosło na idei t. zw. zjednoczenia ziem ruskich, która była jego dźwignią elementarną, jego najgłębszą zasadą moralną, usprawiedliwiającą jego rozrost, imperjalizm i ekspansję wielkomocarstwową na zachód. Litwa w państwowej i narodowej koncepcji rosyjskiej nie jest krajem o odrębnej i skomplikowanej indywidualności narodowej i kulturalnej, lecz Rosją zachodnią, najistotniejszą i najrdzenniejszą częścią wszechrosyjskiego dziedzictwa. Żadna oczywistość faktów i liczb, żadna prawda dziejowa, która z historii Litwy i z jej męczeństwa bije, — nie jest w stanie zachwiać tej fikcji wszechrosyjskiej, którą Rosja w swojej zachłanności Litwie narzuciła. Ani wieś etnograficzna litewska, w której żadnym narzeczem słowiańskim rozmówić się z ludnością niepodobna, ani oczywista polskość Wilna, ani wszystkie jaskrawe i wspaniałe swą siłą moralną i wolą pomniki czynów dziejowych, stwierdzające udział synów Litwy w kulturze i państwowych dążeniach Polski, ani głębokie unarodowienie spólczesne demokracji litewskiej z jej aspiracjami politycznymi, wyraźnie w kierunku własnych zapoczątkowań państwowych zmierzającymi, ani żywiołowy i ciągły odruch Białorusinów-katolików przeciwko wszystkiemu, co im barwę rosyjską czy to w języku czy w wierze i zwyczajach narzuca, ani męczeńskie dzieje opornych unitów na Białej Rusi, zakończzone masowym ich przechodzeniem na katolicyzm po ukazie tolerancyjnym w r. 1905, ani samorzutne budzenie się narodowego ruchu białoruskiego w warunkach gwałtu i ucisku bezwzględego, bez niczyjego przecie poparcia,

bez widoków niemal powodzenia, i przenikanie tego ruchu do najgłębszej prawosławnej wsi białoruskiej, — nie jest w stanie przełamać państwowej doktryny rosyjskiej o jedności Litwy z Rosją. Na wszystko, co tej doktrynie przeczy, ma Rosja jedną odpowiedź: to jest intryga polsko-jezuicka.

Obłuda i przewrotność rosyjskiej koncepcji państwowej w stosunku do Litwy przechodzi wszelką miarę ludzką. Stuletni ciągły czyn nieszczęsnej Litwy, przeciwstawiany przez nią gwałtowi obłudnej doktryny, nie podważył jej jednak w opinii Rosji. Rosja wprawdzie dzieła swego na Litwie nie spełniła, doktryny swej w praktykę litewskiego życia nie wcieliła, przeciwnie — życie to wydało ze siebie tysiączne nowe przejawy swej odrębności indywidualnej i to nawet z tych środowisk ludowych, które na początku panowania rosyjskiego były zupełnie bierne i mogły się zdawać podatne na wszelką narzuconą im z zewnątrz formę i kierunek rozwoju, oraz w takich procesach, które przed stu laty nie były zgoła do przewidzenia a które dziś z dnia na dzień krzepną i wyrazistości nabierają, jak np. ruch narodowy litewski, już nie tylko kulturalny, ale i wybitnie polityczny, — niemniej przeto Rosja ani na chwilę i ani na jotę od swojej doktryny nie odstąpiła i żadnej rewizji jej nie poddała. Jest w tym uporze jakaś szatańska woła panowania, zachłanność straszliwa narodowego despotyzmu, azjatycka nienawiść indywidualizmu i swobody, zgoła nie uznawanych i nieszanowanych w ludzkiej twórczości, bizantyński kult formy państwowej, ponad żywą treścią procesów ludowych, ale jest także głęboka i chytra przewrotność barbarzyńcy, który, nie umiejąc dokonać twórczego dzieła kultury i nie będąc w stanie tą drogą kraju dla siebie pozyskać, wiąże swą siłę z siłą pozorów i na ich bezwzględności spekulację swoją zasadza. I niewątpliwie, że, radząc sobie w ten sposób, barbarzyńca poniekąd cel swój osiąga. Jak fakty dokonane w ich formie zewnętrznej, przytłaczającej żywe związki procesów wewnętrznych, tak i pozory wszelkie, gdy są konsekwentnie zachowywane, mają moc magiczną, działającą na umysły ludzkie i utrzymują fikcję, której rzeczywistość przeczy. Pozór jest dla wszelkiego obserwatora widoczny, podczas gdy prawdę rzeczywistości trzeba dopiero poznawać. A trudniej jest badać i poznawać, niż zmysłowo widzieć. I z fikcji, na pozorach utrzymanej, korzysta sprytny, choć głupi i życiowo niedołężny barbarzyńca, jak wampir ssąc z niej dla siebie pożytek.

To też, pomimo że Litwa nie tylko że nie uległa Rosji, ale jeszcze znakomicie swoją indywidualność w procesach i tendencjach wewnętrznych uwydatniła, wobec świata na zewnątrz, jest ona prawie za taką uznana, za jaką ją Rosja mieć chciała — za istotną część składową Rosji, za jej krew z krwi i kość z kości. Co o niej wiedziała Europa? Niemal nic, a w najlepszym razie to, że „mieszka” w niej, oprócz właściwych Rosjan, jeszcze garstka Polaków, co się naturalnie tłumaczy tym, że dawniej „należała” ona do Polski. I, o ile chodzi o przeciętną opinię Europy, — nic więcej. Co zaś jeszcze gorsze, że nie tylko w dalszej Europie, ale w najbliższej sąsiedzko i dziejowo Polsce ignorancja w rzeczach Litwy była przerażająca nieraz, i zbyt często skłaniała się w kierunku przyjęcia głoszonych przez Rosję „pewników”. Mówiono, że Litwa jest zrusyfikowana, że jest „stracona”, i z rezygnacją przechodzono do rzeczy aktualnych, jako że badanie trupa nie należy do zajęć przyjemnych.

I dopiero ta wojna obnażyła w znacznym stopniu zy-

wą rzeczywistość Litwy. Obnażyła ją przedewszystkim w świadomości Niemców, którzy dostrzegli w niej zgoła co innego, niż to, co o niej Rosjanie głosili. Polska, choć dzieląca z Litwą spólną czasową okupację niemiecką, nie przedstawia wskutek warunków wojennych, utrudniających komunikację oraz wszelką pracę poznawczą, tej swobody obserwacji, jaką mają w stosunku do Litwy Niemcy. Ale już sam ten fakt, że od początku wojny na Litwie moskalofilstwo nie tylko że nie było popularne i nie miało takich faz dziwacznych, jakie miewało przejściowo w samej nawet Polsce, a właściwie, jako takie, prawie że nie istniało wcale i, że w masie ludowej, zarówno polskiej, jak nawet poniekąd białoruskiej, a już nadewszystko litewskiej, były od początku ciężenia w różnych przeciwnych kierunkach, wykluczających moskalofilstwo, wskazuje, jak dalece nierealne i nieprawdziwe było traktowanie Litwy, jako istotnej organicznej części Rosji.

Innym razem nakreślę w *Widnokragu* szczegółowiej różne prądy „orientacyjne”, jakie się w popularnych nastrojach na Litwie od początku wojny uwydatniły i na czym się zasadzał ujemny stosunek Litwy do moskalofilstwa, który tam nawet narodowych demokratów z pod sztandaru p. Dmowskiego nie był w stanie zapalić taką miłością i tęsknotą słowiańską do Rosji, jaka w tym czasie panowała u ich spółwyznawców politycznych w Królestwie.

Dla Rosji oderwanie zachodniego obszaru Litwy jest ciosem bolesnym, bo godzącym w jej najgłębszą doktrynę państwową. A że doktryna ta opiera się na pozorach i fikcji, i tylko przemocą fizyczną utrzymywana być może, więc z oderwaniem tego obszaru od państwa traci ona odnośnie do niego grunt pod nogami, co znowuż podważa ją moralnie w całej jej zasadzie. To też dla Rosji utrata tego obszaru nie równa się utracie wszelkiej jakiegś innej prowincji a nawet utracie Królestwa Polskiego, które, zdawałoby się, z innych względów jest od Litwy cenniejsze.

---

„WIDNOKRĄG” będzie nadal niezależnym organem myśli polskiej, będzie służył sprawie wskrzeszenia państwa polskiego, torując ku temu drogi we wszystkich dziedzinach życia narodowego.

„WIDNOKRĄG” w szeregu pierwszych numerów ogłosi artykuły znanych publicystów, dotyczące najdonioślejszych zagadnień doby obecnej. Między innymi prace p. p.:

*Mieczysława Baumgarta, Gustawa Daniłowskiego, Marji Dąbrowskiej, Jana Grabowskiego, Gromicza, Tadeusza Gruźewskiego, Benedykta Hertza, Tadeusza Hołówni, Alfreda Lauterbacha, Jana Lemańskiego, Edwarda Lipińskiego, Cezarego Łagiewskiego, Wacława Makowskiego, Mieczysława Niedziałkowskiego, Obserwatora, Michała Römpera, Wincentego Rzymowskiego, R. S., Wacława Sieroszewskiego, Edwarda Słoińskiego, Tadeusza Szpotkańskiego, Artura Śliwińskiego, Henryka Tennenbauma, Józefa Wasercuga, Kazimierza Wroczyńskiego.*

---

OBSERWATOR.

## Rozmowy niedyskretne.

## I. Wybory.

*Wyborca.* Jakże się cieszę, że pana spotykam. Już tak dawno nie rozmawialiśmy ze sobą...

*Członek Komitetu.* Witam kochanego pana. I ja żałuję, że nie mieliśmy sposobności ze sobą pogawędzić. Rozdzielili nas okres wyborów... Byłem, jak pan wie, niestychnie zapracowany. U nas, jeżeli się coś robi, to już za dziesięć.

*W.* O tak. Niema podziału pracy i podziału ról. W pewnych sprawach kilku czy kilkudziesięciu ludzi spełnia tyle pracy, że reszta już nie ma do roboty, choćby miała najlepsze ku temu chęci...

*C. K.* Sądziłbym, że przeciwnie. Jest tak mało chętnych do pracy, że wszystko spoczywać musi na barkach niewielkiej liczby ludzi istotnie pracowitych.

*W.* Może i tak. W każdym razie wolałbym, żeby praca była u nas bardziej popularna i nie spoczywała w rękach wyłącznie jej Tytanów. Bo tak czy owak innym zostają już tylko beczki Danaid. Ja, na przykład, naprózno usiłowałem zdać sobie sprawę ze swojej roli. Zapisalem się do kurji V-ej. Chciałem do pana przyjść, poradzić się, ale, jak pan dobrze wie, nie jestem natarczywy...

*C. K.* Ależ, drogi panie...

*W.* Tak, tak. Nie chciałem panu zabierać tak drogiego czasu. Słyszałem, jak pan się zamęcza. Imponowała mi energja pańska i kilku pańskich kolegów z Komitetu. Podobno p. T. nie kładł się do łóżka pięć nocy.

*C. K.* A tak. Był wszędzie i robił wszystko. To niestychnie energiczny człowiek. Był wprost nieumęczony.

*W.* Ale w końcu zmęczył się. Chociaż nie za późno i nie za wcześnie: w chwili, kiedy ustalono łączną, kompromisową listę kandydatów, a więc w chwili, kiedy został radnym.

*C. K.* Tak. Położył się natychmiast do łóżka.

*W.* Wiem. Podobno jeszcze śpi. Sądzę, że miasto powinno zachować jaknajwiększy spokój, żeby go zbyt wcześnie nie obudzić. To zasłużony, prawdziwie obywatelski sen.

*C. K.* O, pan zdaje się nie doceniać jego zasług?

*W.* Względem kogo?

*C. K.* Względem sprawy. Gdybyśmy nie zmobilizowali wszystkich naszych sił—a on przyczynił się do tego w znacznym stopniu—kompromis nie przyniósłby nam tak wielkiego zwycięstwa.

*W.* Członkowie konkurencyjnego Komitetu twierdzą zupełnie to samo.

*C. K.* Mylą się. Zapewniam pana, że się mylą.

*W.* Zaś oni sądzą, że wy się mylicie. Zresztą—mniejsza o to. Wzajemne poczucie zwycięstwa podnosi atmosferę powszechnego zadowolenia. A życie nasze jest przecież tak ciężkie... Obydwa obozy miały duże wątpliwości co do swoich sił i tu zrodził się doskonały grunt do porozumienia. Dano pouczający przykład wszystkim państwom, prowadzącym wojnę wszechświatową, że można zawrzeć pokój, po którym wszyscy będą się uważali za zwycięzców.

*C. K.* Czyżby pan sądził, że to porozumienie nie jest w naszych, obecnych warunkach rzeczą dodatnią?

*W.* Owszem. Nawet bardzo dodatnią. Raz nareszcie haśle zgody nie oznaczało śpiączki i reakcyi, lecz miało cechy czegoś realnego... Dobrze się stało. Szczególnie, a może przede wszystkim—jeśli chodzi o efekt zewnętrzny.

*C. K.* Widzi pan... To jest efekt pierwszorzędnej doniosłości. Świadczy to o naszym wyrobieniu politycznym. A w chwili takiej, jak dzisiejsza, musimy składać tego realne dowody...

*W.* Najzupełniej się z panem zgadzam. Nie powstrzymuje mnie jednak uznanie rzeczy dodatniej od zamykania oczu na odwrotną stronę medalu.

*C. K.* Widzę, że pan ma skłonność do skrajnego sceptycyzmu...

*W.* O nie. Wystrzegam się tego nastroju. Nie lubię jednak zbyt wielu ludzi, choćby w stosunku do rzeczy świetnie wykonanej. Zna pan pewno historję o winogronach, tak doskonale namalowanych przez jakiegoś genialnego artystę, że ptaki zlatywały się do płótna, by je dziobać. Wystrzegam się zawodu, jakiego doznały te ptaki. Daliście mi dużo czasu do rozmyślań. Tylko w pierwszym okresie akcji wyborczej byłem bardzo zajęty. Dopełniałem formalności. Sympatyzuję z waszym programem, a ponieważ pisaliście, że ani jeden głos polski nie powinien przepaść, więc przewyciężyłem wszystkie trudności. Poczem dowiedziałem się, że w mojej kurji i w trzech innych ani jeden głos nie jest potrzebny. Przyznam otwarcie, że w pierwszej chwili było mi jakoś dziwnie... Potem zacząłem rzecz całą bezstronnie rozważać. Miałem już dużo czasu...

*C. K.* Ależ właśnie to, że tylu obywateli zapisało się na listy wyborców, to nadało aktowi porozumienia większej mocy i powagi. Gdyby zapisała się tylko ilość nieznaczna, wtedy jej—choć milcząca, ale niewątpliwa zgoda na porozumienie, byłaby rzeczą zbyt błahą. A tak—z górą 80 000 wyborców...

*W.* Przepraszam. Unosi pana zapał. W dwóch kurjach głosowano, z tego w jednej kurji szóstej—głosowało z górą 40 000 obywateli. Jest to—powiedzmy—szczegół nie bez znaczenia... Nie mogę przed panem zataić, że trochę zazdrościłem wyborcom głosującym. Tak czy owak jest to rola czynna. Tam wyborcy decydują o wyniku i namyślają się nad kandydaturami. Nam zaś o wyniku tylko zakomunikowano...

*C. K.* Czy uważa pan ten wynik za niepomyślny?

*W.* Żaden wynik nie jest tak pomyślny, żeby nie można było sobie wyobrazić lepszego.

*C. K.* Szczególnie, jeśli się ma bujną wyobraźnię...

*W.* W tym wypadku zbyt bujnej wyobraźni nie potrzeba. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że apetyty mandatowe odegrały tu pierwszorzędą rolę. I to w samym akcie porozumienia. Ułożenie listy wspólnej i przekreślenie aktu głosowania dawało już odpowiedniej liczbie kandydatów absolutną pewność, że zostaną radnymi. Zaś głosowanie—to rzecz często zawodna i nieobliczalna... Zwłaszcza w stosunku do nazwisk ogółowi nieznanym...

*C. K.* U nas, drogi panie, rozgłos nie świadczy o wartości człowieka. Jak to już powiedział Fontenelle, gdy chce się tylko rozgłos uzyskać, najmniej do tego zdolne są charaktery rozsądne.

*W.* Tak. Dobrze, że mi pan przypomniał Fontenella. On również powiedział, że prawda musi pożyczyc sobie trochę fałszu, aby ją rozum ludzki chętnie przyjął...

*C. K.* Czy pan nam zarzuca fałsz?

*W.* Zastąpmy to innym wyrazem. Naprzykład: małe ambicje i ambicyjki. Temu pan chyba nie zaprzeczy?

*C. K.* A gdzież na świecie odbywają się wybory bez tych małych ambicji? Czy możemy być lepsi, niż cały świat?

*W.* To prawda.

*C. K.* U nas jednak górowała strona ideowa. Po ogłoszeniu łącznej listy złożyliśmy dowód, że nie chodziło nam tylko o mandaty.

*W.* Mianowicie?

C. K. Urządzaliśmy nadal szereg wieców.

W. Na te wiece—przyznam się panu—to już nie chodziłem. Mówców mieliście nieszczęśliwych. Niektórzy poprostu znęcali się nad nieszczęśliwym słuchaczem. Wyjątek stanowiło kilku socjalistów. Ci mają temperament. Na waszych wiecach było bardzo nudno. Urządzaliście te wiece nadal—po zawartym kompromisie. Rozumiem: nie mogliście od razu zlikwidować całej akcji. Jakoś nie wypadło. Chociaż wielu z was „natychmiast położyło się do łóżka“...

C. K. Stanowczo za daleko posuwa się pan w swoim sceptycyzmie. Staje się pan zjadliwy i niesprawiedliwy.

W. Bodajbym się mylił. Ale nie żałuję, że na te ostatnie wiece już nie chodziłem. Tembardziej, że była tak piękna pogoda. Lecz żarty na bok. Mówiąc serjo, poco miałem chodzić na te wiece?

C. K. Rozwijaliśmy nadal nasz program, uświadamialiśmy szerokie warstwy stolicy...

W. No tak. Ale to „uświadamianie“ miało szczególny charakter, nieznanany nigdzie na świecie. Przez cały czas—nie ma ani jednego słowa o samych kandydatach! Może za długo przebywałem w różnych miastach Europy, gdzie te sprawy bierze się bardziej realnie. Tu o poszczególnych kandydatach nie było mowy. Ten fakt dziwnie zbiegał się z okolicznością, że znaczna liczba radnych—to członkowie Komitetów wykonawczych. Rozumiem: jeżeli się przez akt porozumienia wybrało samych siebie, to zasada publicznej krytyki osób—nie tylko programów—była już zbędna. Słusznie pan zauważył, że nie możemy być lepsi, niż cały świat. Ale trzeba się wystrzegać rzeczy niedobrych, już nigdzie na świecie niepraktykowanych.

C. K. Więc brak było panu tych wszystkich obrzydliwości, jakie się dzieją podczas wyborów w większych miastach Europy i Ameryki? Jest pan niezadowolony, żeśmy sobie oszczędzili tej okropnej atmosfery oszczerstw, insynuacji, kłamstw, wdzierania się w życie prywatne kandydata, tych plakatów o niesłychanej, plugawej treści, wszystkich tych sensacji i podniet, budzących najgorsze instynkty tłumu?

W. Stawia pan kwestję w sposób krańcowy, więc niesłuszny. Walka o osoby, jawna, ostra, całkowita, jest rzeczą zasadniczo zdrową. Można by naturalnie pohamować zbyt wielką tej walki wulgarność. Chociaż... skoro tłum jest zawsze tłumem, to już wolę walkę ze wszystkimi jej akcesorjami, niż kompletny tej walki brak... Przebiegiem akcji wyborczej u nas byłem poprostu zaniepokojony. Tak była w tych czterech kurjach—spokojna... Przypomniało mi się miasto Sybaris, które kazało wypędzić wszystkie koguty, żeby śpiących mieszkańców zbyt wcześnie nie budziły.

C. K. Brak było panu kogutów wyborczych. Stanowczo stęsknił się pan za tymi awanturami, jakie się podczas wyborów dzieją gdzieindziej. Obstają przy swoim: lepiej, że u nas tego nie było. Szczególnie w chwili obecnej i na to kładę specjalny nacisk...

W. Gdybym się nawet z tem zgodził, to jednak sędzę, że ta nasza poczciwość nie wypływała z pobudek wytworności czy estetycznego i moralnego smaku. O pobudkach, które wydają mi się istotnymi, już panu wspominałem. Rozmawiamy przecież zupełnie szczerze... Nie na wiecu.

C. K. Wie pan, po części pogodzić nas może aforyzm Renana: zaden człowiek nie ma tyle racji, żeby jego przeciwnik nie miał tej racji choć trochę.

W. Doskonale. Już i tak za dużo czasu panu zabrałem.

C. K. Ależ, panie, z prawdziwą przyjemnością..

W. Jeszcze słówko na pożegnanie: w przyszłych wyborach nie bądźcie tak szalenie zapracowani...

R. S.

## Listy z frontu.

Na pozycji 5 p. p. 13/V, 1916.

Brygada nasza, zajmwszy odcinek po II-ej, zastała warunki typowej walki pozycyjnej. Oddziały stojące w rezerwie żyją sobie spokojnym życiem garnizonowym, stojące w linii poza służbą okopową, mają również święte życie. Na prawo łączymy się z dywizją honwedów, na lewo z III brygadą legjonów; więc mamy boki pewne, możemy spokojnie oczekiwać ataków, których jednak nie spodziewamy się, ze względu na to, że główna linja obronna rosyjska ciągnie się za Styrem, naprzeciw nas są jedynie odrutowane reduty, czyli jak mówią Niemcy—Stützpunkty, które strzegą przeprawy przez rzekę i niepokoją nas od czasu do czasu. W jednym miejscu placówka rosyjska oddalona jest od naszej zaledwie o 50 kroków. Tam wieczne piekło. Ktokolwiek z naszych wysunie głowę—pada ugodzony kulą. Ale Moskale też się pokazywać nie mogą. Raz zwiedzał ich placówkę tak zwaną „orlinoje gniezdo“ jakiś wyższy oficer rosyjski, nasi go zoczyli i—padł natychmiast. Nasza placówka jest połączona rowami z „redutą“ Pilsudskiego, która Moskałom jest „kością w gardle“, a nam „oczkiem w głowie“. II brygada tradycyjnie przekazała nam usiłowania rosyjskie zniszczenia nam naszej reduty; opowiadano o kozakach uralskich t. zw. płastunach, którzy z nożami w zębach w nocy podpełzali pod nasze wedety, by dostać się na redutę. Opowiadano również o podkopie, który Moskale pono rozpoczęli, by wysadzić redutę w powietrze.

Różne oznaki wskazywały na to, że Moskale podkopują się pod nas, jednoznacznie zeznawali to ci, co w nocy mieli służbę na placówce, słysząc wyraźnie jakies podziemne roboty. Postanowiono założyć kontrminę. Kilkanaście dni pracowali nasi saperzy kopiąc w ziemi na głęb. 8 m. aż mina była gotowa. W nocy zaalarmowano całą brygadę, spodziewano się bowiem równoczesnego wybuchu naszej i rosyjskiej miny. Żołnierzom rozdano watę na uszy i t. p. zarządzenia wydano przeciw ogłuszeniu. Czekaliśmy tej chwili z nadzwyczajnym zainteresowaniem. Wreszcie o g. 3 m. 30 nastąpił wybuch, ale tylko naszej miny. Rosyjskiej nie było. Albo podkop był złudzeniem, albo też uprzedziliśmy ich i udaremniłi dalszą pracę, bo od tej chwili szmery podziemne ustały, a podkop stał się jedynie przedmiotem licznych i nieskończonych sporów, gdyż każdy miał inny pogląd na tę sprawę.

1 p. p. zrobił nocną wycieczkę. Pod komendą kapitała Dęba-Biernackiego poszła w nocy na wywiady kompanja, obeszła z tyłu jedną z placówek rosyjskich, zaatakowała ją, wykluliła bagnetem, biorąc kilkunastu jeńców. Nasze straty wynosiły 2 czy 3 ludzi. Wśród jeńców wzięto jednego podoficera, Polaka, od którego wydostano cenne wiadomości. Moskale też robią nocne wycieczki, szczególnie upodobali sobie zgłiszczca wsi K., leżącej przed naszymi pozycjami. Zwykle naprzeciw nich występują nasze oddziały wywiadowcze i natychmiast ich z przed naszych pozycji wypędzają. W czasie tych nocnych wycieczek odniósł ranę jeden z oficerów 5 p. p. podpor. Robak-Raczyński. Naogół jednak panuje spokój na naszym froncie, od czasu do czasu wywiązuje się tylko krótka strzelanina karabinowa między naszymi placówkami,

czasem odezwie się huk granatu ręcznego czy miny rzuconej z naszego miotacza, lub terkot karabinu maszynowego. Stale też artylerja przekomarza się między sobą; ale na jeden strzał rosyjski, artylerja nasza, niemiecka i austriacka odpowiada dziesięcioma. Czasem ukaże się aeroplan rosyjski, wtedy odzywają się nasze baterje, terkotczą liczne karabiny maszynowe i niefortunny latawiec musi wracać na swoje pozycje.

Wobec tego, że walka pozycyjna zaniósła się, jak się zdaje, na długo, ulepszamy swoje pozycje, budując nowe linje obronne, ze wspianiałymi, na każdą sytuację przygotowanymi rowami poprzecznymi, granatnikami t. j. chroniącymi nawet od granatów dział polowych ziemiankami i t. p., budujemy nowe drogi do pozycji, stawiamy nowe zabudowania, kasyna, przeróżne huśtawki, wyrównujemy place do gier w futbol, krokiet i t. p.

2.

*Na pozycji I brygady 24/V, 1916.*

Za pozycją 5 pułku piechoty, niedaleko od kwatery komendy pułku, leży ogrodzony drutem kolczastym kawał gruntu „tych, co odeszli“. Pośrodku wznosi się drewniana kapliczka z napisem: „Poległym za Polskę“. Z piasku usypane, darnią obłożone stoją cicho mogiły. Nieraz można zauważyć żołnierzy, którzy spędzają tam chwile wolne od zajęć. Spokój tam panuje i kojąco działa na nadszarpane nerwy. Nie dochodzi tam już huk dział, czy miotaczy min, nie słychać trzasku karabinów...

To cmentarz 3 p. p. Leg. Pol. Nie znaczy to, aby tam tylko żołnierze tego pułku leżeli; są tam groby katolickie obok prawosławnych i żydowskich, są krzyże obok nagrobków żydowskich. Leżą legjoniści obok żołnierzy rosyjskich i austriackich. Każdy ma według swego wyznania postawiony pomnik, każdy ma napis w swoim rodzinnym języku.

Obok siebie leżą żołnierze-legjoniści 3 p. p. s. p. Marjan Jandecki (1 komp.) zm. 14/II, kapral Kazimierz Jarcinicki (1 komp.) zm. 14/II, kapral Franciszek Segala (10 komp.) zm. 23/II, Władysław Proniuk (9 komp.) zm. 27/I, sierżant Franc. Błasiak (12 komp.) zm. 20/I, Książkiewicz, Alfred Cweczek (9 komp.), Stanisław Kotwica (O. K. M.) zm. 22/I, Adolf Baron (Oddz. pion.) zm. 15/IV, Stefan Sikorski z Warszawy (4 komp. 2 p. p.) zm. 25/II, b. p. ogniomistrz Stanisław Reich (1 p. art.) zm. 14/II i wielu innych.

A obok nich szeregowiec Franz Pangos 15/97 Arb. Kompagnie oraz żołnierze rosyjscy 194 pułku: Władimir Karałasz i Tymofej Awtokin.

Jest jeszcze sporo miejsca i zapewne spocznie tutaj nie jeden żołnierz I Brygady, obok swych karpackich towarzyszy.

**Uwaga Administracji.** W tygodniu bieżącym, wskutek opóźnienia wydawnictwa, wychodzi numer podwójny. Takież numer podwójny ukaże się też w tygodniu przyszłym. W następstwie, regularnie co tydzień ukazywać się będzie „Widnokrag“ w objętości 8 kolumn druku.

BENEDYKT HERTZ.

## Za plecami walczących armji.

Działa 42-u centymetrowe... Gazy trujące... Maski przeciw owym gazom... Łodzie podwodne... Aerostaty i aeroplany... Francuskie mosty tratwowe... Angielskie armaty dalekonośne... „Deutschland“...

Wyścig pomysłowości.

Socjalizacja niezbędnej produkcji... Ujarzmienie wolnej konkurencji handlowej... Ograniczenie prawa własności... Podział chleba, ziemniaków, cukru etc. Nowe środki odżywcze...

Wyścig zaradności i organizacji.

Powstanie w Irlandji... Protesty Egiptu... „Prikarpat-skaja Rus“... Odezwy do polaków... Zatarg meksykański... Sprawa perska... Małe narody...

Wyścig intrygi...

Wszystkie te gonitwy odbywają się daleko poza frontem wojennym, poza linją bezpośredniego współzawodnictwa dzielności, odwagi, poświęcenia.

Na tej linji wojna daje momenty wzniosłe i barbarzyńskie. Na tej linji widzimy doraźne, zmienne sukcesy siły fizycznej i podstępny, brawury junackiej i zawziętego oporu. Ale powodzenie frontowych wysiłków ciągle jest warunkowane gonitwą o pierwszeństwo zdolności wynalazczych, odbywającą się nieprzerwanie daleko za plecami walczących armji.

Tu dopiero okazuje się, że wojna jest nie tylko czynnikiem barbarzyństwa i reakcji, ale również kultury i postępu. Wojna to treściwy, gwałtowny wybuch tej samej walki o byt, w której bezustannie zmagają się nie tylko państwa, narody i grupy społeczne, ale którą też prowadzi cała ludzkość z siłami natury.

\*

Niech nas nie absorbuje zbyt front, krwią zboczony. Tu pozornie tylko egzamin sił się odbywa. Toć wojna obecna przekonywała nas już niejednokrotnie, że jeden chemik, gdzieś w laboratorium ukryty, może więcej zaważyć na szali wypadków wojennych, niż dziesiątki najtęższych generałów. Rozmaitość i liczba takich właśnie pracowników zapewnia, jeśli nie większą, to w każdym razie nie mniejszą szansę zwycięstwa, niż masy dobrze wyćwiczonych żołnierzy. I tylko ten naród potrafi z dzisiejszych zapasów obronną wyjść ręką, który przedewszystkiem poza linją frontu złoży dowody twórczości umysłowej w najszerszym znaczeniu tego słowa — twórczości we wszystkich dziedzinach działalności.

A wyjdzie on obronną ręką nie tylko dlatego, że na polu walki więcej wymorduje wrogów, ale że owi mordowani — pobici ostatecznie, czy zwycięzcy — wrogowie będą musieli w nim uznać wartościowy element ludzkości.

Będą *musieli!* — niezależnie od tego, czy im się będzie podobało, czy nie.

Gdy nadeszły wiadomości o stosowaniu gazów trujących, ci, co na ten pomysł nie wpadli, krzyk straszny podnieśli, zarzucając przeciwnikom barbarzyństwo. Gromko urągano twórcom „szatańskiego“ wynalazku, rzekomo niegodnego uczonych, którym świat zdążył już wybaczyć proch, dynamit, szrapnele i wszelkie, coraz wymyślniejsze narzędzia mordy. W kilka miesięcy potem, gdy zaskoczeni gazową niespodzianką wyszukali już sposób ubezpieczenia się przed nią, sami zaczęli tenże środek walki stosować.—To samo było z bombami lotników.

W wojnie wróg wroga uczy.

Zatem nowa gonitwa: wyścig pojętności.

Aż do wybuchu wojny, aeroplany były dumą Francji

i Francuzi przodowali na tem polu inwencją. Nagle pokazało się, że niemieccy ich uczniowie nie tylko dorównali mistrzom, ale zdołali nawet pod niejednym względem ich prześcignąć.

Dziś lamentuje Anglja, że „Deutschland“ jej psuje blokadę. Nie może jednak zaprzeczyć, iż pomysł jest genialny i postara się niewątpliwie wkrótce przyswoić go sobie.

\*

Wojna rozbudziła ducha wynalazczości, otworzyła oczy na wady istniejącego ustroju społecznego, uwidoczniła grzechy i błędy stosunków międzynarodowych, przyspiesza odkładane reformy...

We wszystkich krajach ożywia się ruch spółdzielczy, wszędzie widzimy wzrost solidarności narodowej, a równocześnie zbliżają się do siebie i zaznajamiają się narody, które dotychczas fantastyczne tylko miały o sobie pojęcie. I fakt ten niepostrzeżenie staje się czynnikiem przyszłej solidarności ogólnoeuropejskiej—kto wie, czy nie podłożem przyszłych Stanów Zjednoczonych wolnych ludów Europy?

\*

Za plecami walczących armji wre życie.

Za plecami walczących armji narody składają egzamin żywotności.

Do egzaminu tego i Polska stanąć musi.

Czy jednak należycie zdajemy sobie z tego sprawę? Czy nie za wiele poświęcamy uwagi cudzym frontom, miasto czynami dokumentować zdolność i prawo do samodzielnego, wartościowego dla ludzkości, życia?

Wprawdzie pozostajemy wciąż w warunkach wyjątkowo trudnych: huk armat dolatywać nas nie przestaje, swobodę ruchu mamy bardzo ograniczoną, a wpływu nie posiadamy żadnego na wypadki, decydować mające o naszym losie... Mimo wszystko jednak, w wielu kierunkach zyskałiśmy znacznie szerszy teren działalności społecznej, niż to było za czasów „normalnych“; możemy wychowywać się, oświecać, a przedewszystkim organizować.

Dotychczas możności tej nie wyczyskiwano należycie. Skandaliczna gospodarka komitetów obywatelskich jawnie wykazała, że społeczeństwo zarażone jest jadem wpływów bizantyjskich i że złodziejstwo, prywata, nepotyzm, gonitwa za synekurami, brak poczucia odpowiedzialności—wszystko to wżarło się głęboko w duszę ogółu; w każdej dziedzinie pracy góruje tandeta; czyn wyłgiwa się pozorem i gestem. Opinia publiczna, sama, znieczulona, bezkrytyczna jest i odruchowa. Prasa—imituje tylko organy owej opinji.

Z tego smutnego stanu rzeczy ogół sprawy sobie nie zdaje. Umie tylko przeklinać „sekeyę żywnościową“, bo uprawiane przez nią nadużycia dokuczliwymi się stały dla poszczególnych jednostek. Ale tenże złorzeczący ogół nie rozumie nawet, że ma prawo kontroli nad gospodarzami owej niefortunnej sekeyi.

Wogóle masy—wzrosłe w stosunkach samodzierżawnej biurokracji—nie posiadają ani ambicyi obywatelskich, ani obywatelskiej postawy. Zdolne są jedynie do impulsów zbuntowanego niewolnika.

\*

Czy na tę chorobę społeczną szuka się jakiego ratunku? Nie.

W każdym razie nie widzimy żadnych szczególnych w tym kierunku wysiłków. Chęć otrząśnięcia się z destrukcyjnych wpływów Wschodu jest minimalna. Ci zaś, co ją odczuwają, niewiele więcej wykazują energii i zdolności do czynu, niż ich przeciwnicy, czujący się doskonale w pozostawionym przez dawnych władców bagnie.

Jedni na drugich się gniewają i to wyczerpuje niemal doszczętnie zasób ich energii.

Dlaczego pan X. wymyśla na pana Y.?

Bo Y. chce, żeby zwyciężyli ci, a X. chce, żeby zwyciężyli tamci. Jeden chce, drugi chce—i zdaje im się, że te chcenia mogą mieć jakikolwiek wpływ na bieg wypadków. Zatem biorą się za czuby. I oto gotowa—,walka partyjna“.

Gdy przypatrywać się z ubocza tym naszym typowym walkom partyjnym, rozbitym na partyzanckie zwady grup, grupki i stolików kawiarnianych, ma się widok, doprawdy, pożałowania godny.

Kogutki, bijące się w kocy o ziarno, gdzieś na drodze leżące... A tymczasem...

Za plecami walczących armji wre życie, odbywa się wielka gonitwa inwencji, zaradności, organizacyi, nawet intryg, na których plewy tak łatwo brać się dajemy.

---

MIECZYŚLAW BAUMGART.

## Na nowej drodze.

Całe życie polskie przesłania dziś jeszcze widmo wiekowej niewoli.

Rosja odeszła z naszej ziemi. Pozostały jednak i trwają wśród nas ślady dokonanego przez nią zniszczenia. Krwią na murach moskiewskiego więzienia znaczyły się najszczytniejsze wysiłki polskie. Niestety, prócz tej krwi, co ocaliła sławę i godność naszą, niewiele zostawić nam mogły w spuściznie ostatnie pokolenia.

Najdobitniejsze świadectwo daje temu nasz ruch robotniczy.

Pod rządami Moskwy miał on w pewnych chwilach cechy świetności i potęgi.

Od niego społeczeństwo polskie otrzymało nową trwałą ideologję: socjalizm polski, wysoko, jak piękny kwiat, wystrzelający ponad szarżyznę naszego życia w niewoli. Zasady tego socjalizmu weszły w obieg powszechny. Stwierdziły one nastąpienie nowego okresu w dziejach porozbiorowych. Lud pracujący wystąpił o swoje prawa, o zniesienie wszelkiej niedoli i wyczerpania, oświadczył, że on jest narodem.

Dażenie do odzyskania własnego bytu państwowego za jego to sprawą pociągać ku sobie zaczęło najlepsze umysły i serca polskie. Idea Niepodległości, dźwignięta z pyłu dostojnych pamiątek, nigdy już usunąć się nie dała z naszych politycznych zamierzeń.

Ale nie tylko tę świetną kartę ma ruch robotniczy u nas. Dał on coś więcej, niż jedyny zwarty program polityczny i społeczny, jaki się w Polsce w ostatnim ćwierćwieczu ukazał.

Dał bohaterów i męczenników Sprawy, którzy imię socjalisty polskiego otoczyli czcią i chwałą.

A wreszcie, wśród tych tryumfów myśli i czynu, ruch robotniczy doszedł niespodziewanie do potęgi, z którą tylko znaczenie proletariatu za paryskiej komuny porównane być może. W latach 1905 i 6 rewolucyjny odłam proletariatu wyrósł ponad wszystkie klasy i stronnictwa, sięgnął po władzę w społeczeństwie. Wszystko, co żywe i silne, co żadne znaczenia w narodzie, a nie ogarnięte przez wpływy kościoła i szlacheckich — zjednoczyło się pod hasłem rewolucji, uwierzyło w zwycięską moc proletariatu.

Przeszło lat niewiele. Ustąpienie Rosjan pozwoliło ujawnić się wielu naszym usiłowaniom. Odsloniło ono i ruch robotniczy w tym stanie, w jakim pozostawiły go ostatnie godziny panowania rosyjskiego.

I cóż pozostało z dawnej potęgi? Kilka nielicznych grup, bez poważniejszych wpływów wśród mas robotniczych, bez żadnego znaczenia w społeczeństwie. Wielotysięczny, silnie zorganizowany obóz proletariatu, rozniesiony został na strzępy przez nawałę wojskową i biurokratyczną, przeprowadzającą *uspokojenie* całego imperjum.

Inteligencja i część włoścjaństwa, idąca poprzednio w socjalistycznych szeregach, utraciła z nimi wszelką styczność. Pod wrażeniem ich zdziesiątkowania i długotrwałej słabości, utworzyła ona odrębne organizacje polityczne, własne ośrodki pracy społecznej we wszystkich dziedzinach.

Masy robotnicze, przeredowane emigracją zarobkową w najróżnorodniejszych kierunkach, przyciśnięte bezrobociem i drożyzną, okazały w pierwszych chwilach po ustąpieniu Rosjan daleko idącą obojętność wobec resztek organizacji robotniczej, wznawiających po wielokroć w tak ciężkich chwilach dawne waśni i porachunki.

Na gruzach rosyjskiego panowania, ruch robotniczy dawał jeden wielki obraz zniszczenia.

Podziwiać należy, ile tu zdziałał ożywczy powiew z Zachodu. Gdy tylko odwalony został ten głąz mogilny, pod którym w dusznych podziemiach kryły się wyzwolenicze wysiłki proletariatu, na świeżych ruinach moskiewskiej przemocy zakwitło nowe życie.

Pomimo głodu i nędzy, pomimo zniszczenia kraju i emigracji, wyłoniły się dawne organizacje robotnicze, zebrały i sformowały zdziesiątkowane szeregi, stanęły do nowej pracy, płodnej i szeroko zakreślonej.

W dzisiejszej chwili, poza palącymi potrzebami — chleba i pracy, masy robotnicze głęboko i szczerze pragną dwu rzeczy — organizacji i jedności.

Potężna organizacja — zarówno polityczna, jak zawodowa — należy dziś do przeszłości, choć tak bardzo niedalekiej. Ubiegłe porewolucyjne lata pozbawiły ją nie tylko licznych szeregów, ale również zdolnych i doświadczonych przywódców.

A druga potrzeba ogólna — to potrzeba jedności robotniczej. Na tle słabości poszczególnych grup ukazała się ona po ustąpieniu Rosjan w całej swej doniosłości.

Jedno jest położenie wszystkich proletariatuszy, jedna ich walka o lepsze jutro, o należne znaczenie w narodzie.

Potrzebę organizacji własnej i potrzebę jedności odczuwa dziś żywo i bezpośrednio każdy robotnik polski, choć niewielu tylko jasno widzi drogę do ich urzeczywistnienia. Dużo tu znaczą nowe warunki działania, stworzone przez rządy okupacyjne, choć mamy do czynienia ze stanem wojennym na ziemi, wydartej nieprzyjacielowi. Warunki te wskazują na każdym kroku, że jednolitość i siła organizacji robotniczej, osiągnięte już wszędzie na Zachodzie, są nieodzowne dla ruchu robotniczego w Polsce.

Doktryny, przesady i wzajemne uprzedzenia do siebie kierowniczych jednostek ustąpić muszą na drugi plan wobec konieczności zwartej, solidarnej i jednolitej akcji.

Nasz ruch robotniczy wchodzi na tę nową drogę. Już w ciągu ubiegłego roku, wolnego od moskiewskiej prze-

mocy, kilka większych akcji wykazało naocznie masom robotniczym zgodność ich potrzeb i dążeń. Działalność przedstawicieli robotniczych w Komitecie Obywatelskim i w Komisji organizacyjnej Inspekcji fabrycznej może tu być jasnym przykładem.

Wybory miejskie — to nowy krok naprzód w tym samym kierunku. Wśród robotników działały co prawda aż cztery komitety wyborcze, zwalczające się wzajemnie. Nie świadczy to jednak o powiększeniu dotychczasowego rozbitcia, ani nawet o jego zachowaniu i utrwaleniu.

Niektóre z istniejących różnic są bowiem koniecznością, inne natomiast podlegają zwolna usunięciu.

Zachował się tedy nieunikniony podział na żywioły socjalistyczne, opierające ruch robotniczy na własnych jego siłach w myśl zasady *Wyzwolenie proletariatuszy musi być dziełem samych proletariatuszy* i na żywioły umiarkowane i wsteczne, nawykłe do realizowania doraźnych korzyści drogą stosunków z „możnymi świata tego“.

Te ostatnie żywioły zjednoczyły się na czas wyborów w jeden Narodowy Komitet Robotniczy i to doraźne ich zjednoczenie uważać należy za zapowiedź bardziej ścisłego współdziałania w przyszłości.

Zachował się również drugi podział, który na lata jeszcze wydaje się trwałym. Jest to podział na robotników polskich i żydowskich.

Masy pracujące żydowskie, zatrudnione przeważnie w rzemiosłach i chałupnictwie, a więc różne już samą strukturą swą społeczno-gospodarczą, hołdujące praktykom religijnym, a nadewszystko odgródzone od życia polskiego nieprzeniknionym murem żargonu, który usilnie wzmacniają we własnym interesie separatystyczne organizacje żydowskie, prowadzą dziś swe życie społeczne odrębnie. Pomimo wspólnych potrzeb z robotnikiem polskim, nadają one życiu temu odmienny rytm i charakter.

Ale wszystkie pozostałe organizacje robotnicze musiały wysunąć te same hasła — pracy i chleba, praw dla ludu. Jeżeli zasada wolnego bytu narodowego nie znalazła się we wszystkich platformach wyborczych, to jednak w agitacji wiecowej nikt nie potrafił się jej oprzeć, ani przeciwstawić jej cokolwiek, coby posłuch mas szerokich zyskało.

Hasło niepodległości narodowej należy więc do tego wspólnego dorobku, dokoła którego jaknajrychlej zgrupować się muszą wszystkie świadome żywioły proletariatu polskiego.

---

*Przedpłata WIDNOKRĘGU wynosi w Warszawie, wraz z odnośzeniem do domu, miesięcznie kop. 85; kwartalnie rb. 2 kop. 50; rocznie rb. 10. Z przesyłką pocztową kwartalnie rb. 3; rocznie rb. 12.*

*Za zmianę adresu dopłaca się kop. 20.*

*Administracja, prócz niedziel i świąt, otwarta codziennie od godz. 10 rano do 2 pp. i od 5 do 7 wiecz.*

*Redakcja, prócz niedziel i świąt, otwarta codziennie od godz. 6 do 7 pp.*

*Rękopisy nie przyjęte, są do odebrania w redakcji w ciągu 3 miesięcy. Potym ulegają zniszczeniu.*

*Cena numeru jednego w Warszawie kop. 22; na prowincji kop. 25. Dla studentów i nauczycieli ludowych 25% ustępstwa.*

---



# WID NO KRAG

№ 3—4 (R. II) Warszawa, 2 Sierpnia 1916

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 7. — TELEF. 158-90.

**TREŚĆ:** W. RZYMOWSKI: „Dzień historyczny“. — TADEUSZ SZPOTAŃSKI: Konsolidacja. — S. R.: Z bojów na stokach „Polskiej Góry“. — OBSERWATOR: Rozmowy niedyskretne. — Falszywe dokumenty. — Klub Państwowców Polskich. — Zagadka. — EDWARD LIPIŃSKI: O reformie społecznej w Polsce. — Tadeusz Rechniewski. — Lokalne, chwilowe sukcesy. — POLONJUSZ: Życie w atomach. — K. WROCZYŃSKI: Teatr stolicy. — B. WINAWER: Z dnia na dzień. — E. KOZIKOWSKI: Przy kweście. — Przegląd prasy. — Książki nadesłane do redakcji.

W. RZYMOWSKI.

## „Dzień historyczny”.

Warszawa otrzymała samorząd. Dnia 24 b. m. w sali kolumnowej Ratusza zebrała się na pierwsze uroczyste posiedzenie nowopowołana do życia Rada naszej stolicy. Na tymże posiedzeniu pierwsza po wielu latach reprezentacja prawowita Warszawy, z wolnych wyłoniona wyborów, oznajmiła się Polsce, a z nią i całemu światu, następującą deklaracją zbiorową, w imieniu połączonych stronnictw polskich złożoną:

W chwili olbrzymiego napięcia wojny obecnej, która zwała na naród polski brzemień klęsk materialnych, ale jednocześnie otworzyła przed nim widoki odbudowania własnego państwa, powołany został do życia samorząd st. m. Warszawy. Odczuwając powagę chwili historycznej, tak wielkie w narodzie budzącej nadzieje, my, pierwsza Rada Miejska stolicy polskiej, utworzona w przeważnej większości swojej w drodze dobrowolnego pa-

trjotycznego porozumienia się różnych warstw i odłamów społecznych oraz różnych kierunków politycznych polskich, składamy na pierwszym uroczystym zebraniu naszym oświadczenie: Do gospodarczej i kulturalnej działalności powołani, siły i umiejętności nasze ku temu wyteżymy, aby gospodarstwo i kulturę Warszawy w duchu narodowym i na podstawie równouprawnienia obywatelskiego podźwignąć, aby klęski i ciężary, jakie wojna miastu przyniosła i jeszcze przynieść może — złagodzić; przede wszystkim zaś, aby ludność pracującą, tak ciężko przez wojnę dotkniętą, materialnie i moralnie ratować. Te prace nasze pełnić będziemy w rozumieniu, że samorząd Warszawy jest pierwszym krokiem do odbudowy państwa Polskiego. Niepodległe państwo Polskie, wyposażone w organy i środki, niezależność jego zabezpieczające i wyrażające — oto cel najwyższy dawnych i obecnych wysiłków narodu polskiego. Oto i nasz święty cel, do którego dążymy. W przekonaniu, że wojna obecna cel ten ziści, składamy hołd wiernym synom Ojczyzny, którzy od półtora wieku przelewali i przelewają krew za wolność i Niepodległość Polski.

Z deklaracji powyższej jasno nareszcie bije głębokie przeświadczenie, zrazu usilnie tłumione i w pewnych środowiskach nie dopuszczane do głosu, przeświadczenie, które jest zrozumieniem przez Radę swej genezy, genezy wybitnie politycznej i wojennej. Rada w swej deklaracji stwierdziła, że uważa się za dziecię wojny, że wyrosła na krwawym polu wojny, że jest purpurowym kwiatem krwi, która pogrom władztwa moskiewskiego okupiła.

Dwanaście fortec rosyjskich paść musiało w grzy na to, ażeby ks. Lubomirski, obecny prezydent Warszawy, mógł polskim słowem uczcić w sali ratuszowej duchy wielkich swoich poprzedników, ażeby w tejże sali rektor Józef Brudziński, obrady zagaić mógł polskim słowem, i w polskim wyrazie zamknąć treść polskiego serca i sumienia.

Tego związku, jaki zachodzi między wojną europejską a szeregiem powstających w kraju naszym i w jego stolicy instytucji, nie podobna było dłużej tajić: wypadło jasno i szczerze stwierdzić jego istnienie i jego polityczny charakter, jego charakter polityczny i międzynarodowy, przekreślając raz nazawsze ów niedorzeczny przesąd jakoby Rada Miejska była tylko ogniwem w łańcuchu reform lokalnych, jakoby była instytucją wyłącznie w swym pochodzeniu i w swych zadaniach gospodarczą i kulturalną, przesąd, który, jak wiadomo żywiły związane w Narodowy Komitet Wyborczy szerzyły były jeszcze niemal w przeddzień otwarcia Rady. Bah! Rano tego samego dnia, w którym odczytana zosta-

ła publiczna deklaracja Rady Miejskiej w odświętnie przybranej sali Ratusza, jedno z pism warszawskich, wbrew całej prawdzie oczywistości, wbrew zwartej większości pojednanego narodu, cisnęło swój zdawna wyuczony protest: „Jeżeli jednostki czy grupki radnych zechcą na gruncie Rady miejskiej czynić jakieś wynurzenia polityczne, składać daleko idące deklaracje,—wystąpienia ich będą samozwańcze“ \*).

W przeciągu lat prawie dziesięciu Narodowa Demokracja szukała drogi do samorządu miejskiego w Królestwie, błędząc poprzez kuluary Dumy i Rady Państwa w Petersburgu. Napróżno: drogi owej nie znalazła.

Rozumiemy też, jak trudno jej było wyznać przez położenie podpisu pod wspólną deklaracją błędy swe i swe gorzkie zawody. Nie poprzez kuluary łaski moskiewskiej, ale poprzez gruzy moskiewskich fortec i miliony moskiewskich trupów wiodła droga realna do tej drobnostki, jaką jest polski samorząd w Warszawie. To trzeba było nareszcie wyznać i dobrze się stało, że Narodowa Demokracja wraz ze swymi satelitami: stronnictwem Polityki Realnej, stronnictwem Narodowym i Polskim Zjednoczeniem Postępowym tak jasno i dobitnie to wypowiedziała.

Dzięki temu wyznaniu, dzień, który jest epoką w dziejach odradzającej się Warszawy, stanie się również dniem w ewolucji polskich stronnictw zachowawczych, dniem zasadniczego ich przełomu.

Wszelako znamionując krok historyczny w rozwoju stronnictw prawicowych, nie stał się dzień 24 b. m. dniem historycznym dla całego narodu, a nie stał się takim, mianowicie, z winy żywiołów lewicowych, z winy niedomówienia przez nie swego programu; co dla prawicy znamionowało etap rozwojowy, to dla lewicy stało się utknięciem w zastoju.

Deklaracja, przez Radę Miejską złożona, wystarcza jako *minimum* wspólnoty politycznej, jako powszechny wszystkich stronnictw dorobek z dwuletniego okresu wojny. Ale, jako *credo* grup niepodległościowych, reprezentowanych w Radzie Miejskiej przez poważną liczbę mandatów, bezwarunkowo nie wystarcza.

Grupy niepodległościowe, na platformie owego *minimum* oparte, wyglądają tak, jakby, wyciągnąwszy i rozwarłszy ramiona na spotkanie żywiołów prawicowych, w tym ramion rozwarciu zastygły nieruchomo, jakby cały polityczny wysiłek Komitetu Demokratycznego wyczerpał się był w podźwignięciu o kilka cali w górę ku swemu poziomowi członków Komitetu Narodowego.

Rzeczą podniosłą jest manifestacja wspólności i zgody. Sądzymy wszakże, że i te różnice prądów, którymi obozy czynnej polityki niepodległościowej wybiegają naprzód w stosunku do obozów umiarkowanych, nie przynoszą ujmy narodowi i nie powinny być wstydliwie przemilczane. Wszelkie przemilczanie w takich warunkach staje się fałszowaniem.

Wojna jest naszą współniczką, ale jest współniczką wymagającą. Wymagającą przede wszystkim rzetelności. Wojna nie znosi fałszów. Gdy świat gore powszechnym pożarem, nie można się wykrecać tak łatwo palnym materiałem, jak siano.

I coś bardziej ważkiego trzeba na jej szalę rzuścić, niż przekonanie o świętości celu, który ma „wojna ziścić“, tudzież coś bardziej osobistego, niż marzenia naszych dziadów, niż chwałę naszych ojców, niż krew Puławskich i Głowackich. Te należą nie do jednego pokolenia, ale do całego narodu. Cel marzeń naszych był zawsze święty, niestety jednak w ciągu stulecia zmuszeni bywaliśmy patrzeć na to, jak tę świętość naszą moskiewski zaborca żołdacką ostrogą bódł, żandarmskim butem deptał. Co zaś do krwi naszych praojców, to nie wypada od jej świętego kapitału odcinać kuponów dla łatania współczesnego niedoboru. Dla każdego pokolenia własnego pola chwały stanie. Historia nie jest kasą pożyczkowo - oszczędnościową, w której jedni umieszczają mogliby laury na procenty składane dla innych. Dość już tego pasorzytowania na honory Poniatowskich i Kościuszków, tego „składania hołdów wiernym synom Ojczyzny, którzy od półtora wieku przelewali i przelewają krew“. To składanie hołdów zostawmy arcykapłanom polityki, dla jej rycerzy to za mało... Tamci, którzy swą krew przelali, dopełnili swego obowiązku. Teraz jest nasza kolej. Tamci byli. Teraz my bądźmy. Niepodległość niedość jest kanonizować. Trzeba ją zdobyć. Tę gotowość zdobywania jej naszymi własnymi siłami powinni byli wyrazić w deklaracji przedstawiciele polskiej myśli niepodległościowej, fundujący politykę polską na przeświadczeniu o konieczności samodzielnej polskiej siły zbrojnej, powołanej do wzięcia udziału w wojnie obecnej przeciw Rosji, wspólnie z mocarstwami centralnymi, o odbój państwa polskiego.

Skoro Polska Niepodległa zostanie przez żywioły polityki czynnej zdobyta i utrwalona,—bądźmy spokojni—nie zbraknie żywiołów umiarkowanych, zachowawczych i zgoła biernych, które ją ukononizują.

Tymczasem jeszcze kanonizacja nie może wszystkich naszych wyczerpywać zadań.

\*) Patrz w tymże numerze: „Życie w atomach: W czym interesie“?.

TADEUSZ SZPOTAŃSKI.

## Konsolidacja.

Łańcuchy, cięższe niż los wysiedleńców tułających się po Rosji całej, straszniejsze, aniżeli widok płonących wsi i miast naszych, zostały zerwane i spojone na nowo nie będą. Z chaosu wojny światowej, z tumanu bitew i ścierających się idei, coraz mocniej, coraz wyraźniej wysuwa się sprawa wyzwolenia Polski.

Przez stulecie z górą rzeźbiliśmy jej przyszłość, która terazniejszością się staje. Krwawym wysiłkiem i bezmierną ofiarą broniliśmy sprawy naszej od zapomnienia i od zamarcia i, jeśli dziś Polska się zjawia na forum Europy, jeśli o uznanie swoich praw się dopomina, to nie tylko wskutek biegu zewnętrznych wydarzeń, nie tylko wskutek przypadku, ale przede wszystkim dlatego, że wciąż była, że mogła wystąpić od razu jako fakt, że istniała, jak istnieje powietrze, jak światło dzienne, że wojna ją zastała. Nie potrzebuje ona uznania, nie jest sztucznym zjawiskiem dla gry chwilowej wywołanym, ale przychodzi z żywiołową mocą jako wartość realna, z którą, tworząc przyszłe życie, realnie liczyć się trzeba.

I staje przed pokoleniem obecnym zadanie utrzymania jej w tym splocie dziejowych wypadków, jaki przed sobą mamy, uczynienia z niej siły trwałej i twórczej. Zadanie to narzuca się coraz mocniej naszemu społeczeństwu, coraz pilniejszym się staje. W tym tkwi geneza występującej stopniowo konsolidacji.

Rozbicie żywiołów politycznych było jedną z cech charakterystycznych życia narodowego w byłym zaborze rosyjskim. Wiązało się ono w gruncie rzeczy z bezsilnością naszą. Gdy każdy wysiłek bezowocnym być się zdawał, gdy każda metoda pracy zawodną się okazywała, gdy każda walka kończyła się przegraną i nowe klęski ścierała, musiało powstać rozproszenie i krytycyzm względem tych wszystkich wysiłków, tych metod pracy, względem tych walk, a więc i względem obozów politycznych. Wszystkie programy stopniowo nierealnymi jednako się stawały, wyrastały z serca i z mózgu jednostek—nie z życia, spór ich był sporem akademickim, zjawiały się jako hasła pocieszające i wychowawcze, jako protest w najlepszym razie,—ogółu nigdy objąć nie mogły.

Przez ziemię polską nie szedł szeroki pęd pracy politycznej i narodu sobą nie ogarniał, nie porywał go i nie prowadził po jednej drodze, bo nikt drogi do celu wiodącej jasno przed sobą nie widział.

Nie było więc koordynacji i nie była ona właściwie potrzebna. Koordynacja może powstawać i powstawać powinna tam, gdzie jest wspólna sprawa, jako zagadnienie żywe i uchwytnie, gdzie jest możliwość pracy i czynu. Czyn, nie agitacja i nie propaganda, zrodzić może spójność i łączność w życiu politycznym. I wtedy tylko są one zjawiskiem istotnie pomyślnym.

W konsolidacji mieści się uznanie czynu i zapowiedź czynów nowych. Nie można tworzyć konsolidacji o słowo, o życzenie opartej, nie można o nią prosić i w imię jedności jej się domagać; konsolidacja jest objawem rozumu pracujących szeregów, jest prostą dla nich koniecznością, warunkiem pierwszym dla pomyślnej pracy.

Gdy dąży się do konsolidacji w imię konsolidacji,—nigdy jej się nie osiągnie. Nie jest ona bowiem chwilo-

wem rendez-vous zmęczonych czy przeżytych organizacji partyjnych, ale spotkaniem najwięcej żywotnych, najsilniejszych elementów przy pracy nad wspólnym dziełem, i jednocześnie—odrzucając tych wszystkich, którzy do pracy tej są niezdatni. Jest ona kompromisem i ustępstwem, ale nie jest odstępstwem, wyrzeczeniem się celu, jest tylko nieodzownym porozumieniem się dla harmonii i celowości działania dokonanym. Więc gdy stronnictwo do konsolidacji przystępuje, nie wolno mu od pracy swej odbiegać. Bo tak, jak konsolidacja, nie koło sprawy, nie koło czynu i nie dla czynu dokonana, byłaby głupstwem, tak konsolidacja okupiona porzuceniem sztandaru, zgodą na bezczynność i bierność—byłaby zdradą,—i, jak tamta, szybko musiałaby się rozlecieć.

Stoi przed nami sprawa polska i sposób określony rozwiązania jej wszystkim się narzuca, jedna tylko droga dla wszystkich się otwiera. Musi więc, siłą rzeczy, na drodze tej nastąpić zetknięcie tych, którzy na nią wstąpili. Sprawa nie jest już sprawą jednego obozu, ale coraz ogólniejszą, coraz powszechniejszą się staje. Rozumieć więc trzeba, że dokonywająca się konsolidacja nie jest dziełem jednostek i dobrej doli wyrazem, ale jest sformułowaniem istniejącego stanu rzeczy, w treści swej—tworem historii. To może warunkować jedynie jej trwałość i siłę, to zobowiązuje wszystkie stronnictwa do jej stwierdzenia. Gdyż, skoro współdziałanie jest możliwe i konieczne, nieprzystąpienie do konsolidacji jest jeno warcholstwem.

S. R.

## Z bojów na stokach „Polskiej Góry“.\*)

Walki, które stoczył w pierwszych dniach Czerwca r. b. 5 p. p. są nowym chwalebny epizodem w kronikach jego bojów. Przezornie pozycję, zajęta jeszcze 29/IV b. r. starannie wzmocniono i szeregiem robót ziemnych doprowadzono do wysokiego stopnia doskonałości. Okopy nasze, wysunięte przed front brygady, zaginają się na lewym skrzydle prawie pod kątem prostym. Wbicie się klinem w wierzchołek kąta umożliwiłoby wrogowi rozlanie się szeroką falą na naszych tyłach. Panowała więc na naszym odcinku wzmoczona działalność; w ciągłych wywiadach starały się nasze patrole przejrzeć zamiary nieprzyjacielskie. Niejednokrotnie komendant pułku i komendanci bataljonów w wywiadach tych brali udział.

Do dnia 7/VI oprócz codziennej strzelaniny, ścierania się patroli i dosyć gęstego ognia artylerji, żywszej akcji nie było. Istniały jednak oznaki, że rozpocznie się ona niebawem.

Dnia 7/VI o godz. 4-ej rano doniosły nasze patrole o wysuwaniu się linii tyraljerskiej Moskala. Sunęła się zdradliwie, grupowała się w zaroślach przed naszym frontem, aby rzucić się w chwili odpowiedniej do szturm. Celny jednak, natychmiastowy ogień naszych baterji i karabinów maszynowych unieruchomił linię wroga i zmusił go do okopania się na odległości 600 m. od naszych po-

\*) Oficjalna nazwa na mapach nowego wydania—zdobyta krowią Legionów.

zycji. W ataku tym, jak później zeznali jeńcy, Moskale stracili 10% w rannych i zabitych.

Obserwatorzy jednak rosyjskich baterji zdobyli możliwość kierowania ogniem i wzmożła się celność wrogich pocisków.

Cały dzień bez przerwy huczały działa, zanosiły się rechotliwie karabiny maszynowe i palba broni ręcznej trzaskała, jakgdyby pierwsze płomienie ogromnego pożaru.

Zmierzch zapadał coraz to bardziej, i donosiły wciąż czujne wedety o zbliżaniu się tyraljerów wroga. Pod osłoną nocy długa ława, całe zwarte dwa bataljony (2-gi i 1-szy) doborowego żołnierza 305-go (Łaiszewskiego) pułku szły na nasze lewe skrzydło. Nie zatrzymała ich nasza artylerja, która, jak taran niszczycielski, biła w nich rytmicznymi salwami. Wróg posuwał się naprzód. W okopach naszych, stał strzelec z karabinem w garści, czujny, zimny, nieustępliwy. Naraz — intermezzo owego groźnego oczekiwania — gramofon, ustawiony na rozkaz komendanta II-go bataljonu majora Wyrwy na przedpiersiu okopu rozebrzmiał radośnie hucznym marszem. Dźwięki te, jak gdyby drwiące, wywarły szalone wrażenie na Moskali (zeznania jeńców). Jednocześnie zerwała się burza ognia. Zakotłowało się przed okopami. Wtłaczały formalnie w ziemię nieprzyjaciela nasze salwy, pękały szrapnele, kierowane w rezerwy wroga, wznecając przerażenie rudym blaskiem wybuchu.

Wszystkie rodzaje broni sprzęgły się w jedną wierność, w jedno ukochanie obowiązku. Artylerja legjonowa stała się idealnym pomocnikiem piechoty. We wskazane przez pułk cele biła 2-ga baterja pod dowództwem por. Łapickiego i Künstlera, biła z niezawodną ścisłością, odrzucając wszelką fachową ambicję, nie uchylając się nawet od postępowania w myśl wskazówek adjutanta bataljonu i komendantów kompanji. A w sojuszu tym odgrywały nie małą rolę telefony, działające świetnie dzięki wzorowej organizacji i znakomitej obsłudze naszych odważnych telefonistów.

Z brzaskiem dnia cofnął się nieprzyjaciel, pozostawiając kilkudziesięciu zabitych i unosząc rannych.

Jakgdyby mszcząc się za krwawą nocną porażkę, prażyć począł wróg ogniem huraganowym w nasze okopy. Niekiedy trajkotały karabiny maszynowe. Artylerja nasza odpowiadała w równych odstępach, niechybnie, pełna skupienia i równowagi. Były to zapasy bezużytecznego zdenerwowania ze stalowym spokojem strzelców. Bliskość jednak obserwatorów i tyraljerek rosyjskich była niepożądana, ze względu, że wskutek tego zaczęliśmy ponosić straty, które mogłyby się zwiększać coraz bardziej.

Skryztałizował się wtedy pomysł akcji przeprowadzający zasadę pułku: „nie dać sobie zachwasić frontu“. Na odprawie pułkowej o godz. 7-ej wiecz. wydaje komendant pułku rozkaz, aby natychmiast po odbiciu oczekiwanego szturmie uderzyć na wracającego od drutów wroga i odrzucić jego linje czołowe zbyt bliskie.

Płynęły godziny w niecierpliwym oczekiwaniu. Nakoniec o godz. 1-ej w nocy dwie kompanje II-go bataljonu 5-ta i 7-ta por. Mirskiego i Tunguza pod dowództwem majora Wyrwy wyruszyły za druty i poczęły się cicho sunąć naprzód. Szły po uginającej się wilgotnej ziemi w zbożu szelestnym. W chwili, kiedy nasi byli już w odległości 100 m. od czołowych rosyjskich okopów, rozdarł ciemności krwawy blask rakiety. Rozpoczął się straszli-

wy ogień karabinów i kulomiotów. Wróg dostrzegł strzelców. Dalszy pochód naprzód naraziłby na znaczne straty i niepewność zwycięstwa nad czujnym już nieprzyjacielem. Nie zawahał się jednak ani na chwilę komendant 1-go prawoskrzydłowego plutonu 7-ej kompanji podpor. Czarny-Krzyżanowski, który sądząc, że ogień nieprzyjacielskich karabinów maszynowych sieje zniszczenie w szeregach lewoskrzydłowej kompanji, postanowił unieszkodliwić ich działanie, runął biegiem ze swoim plutonem i wpał jak huragan w okop. Obsługa karabinów maszynowych częściowo wybita bagnietami, częściowo wzięta do niewoli.

Walka odbyła się w błyskawicznych rzutach. Były chwile bohaterskiego namysłu, co robić! Czy brać do niewoli oficera rosyjskiego, czy zdobyć karabiny maszynowe. Pluton zmalaty zmagął się straszliwie. Padł oficer rosyjski podpor. Iwanow, przeszyty kulą. Rzucił się na karabin maszynowy ranny sierżant Jastrzębski, pokrywając go własnym ciałem, jak gdyby znaczył, że jest to własność niepodzielna strzelców. Nie będąc w stanie wszystkiego zabrać, złamał podpor. Czarny uderzeniem buta celownik drugiego karabinu maszynowego, wrył całą siłą ramienia lufę śmiertcionośną w piach.

Tymczasem na lewym skrzydle podpor. Adam Koc ze swoim lewoskrzydłowym plutonem, wiedzony tą samą brawurą bohaterską, obawiając się, aby nie otoczono kompanji, mającej atakować w prawo, rzucił się biegiem na okop rosyjski, skoczył z rewolwerem w rękę na przedpiersie i wraz z nielicznym plutonem, otoczył się zawieruchą zgrozy i zniszczenia, między przeważającym wielokrotnie wrogiem. I brawurą swą uniemożliwił A. Koc otoczenie plutonu podpor. Czarnego. Kiedy ukazało się pobojowisko w szarawej jaśni świtu, Moskale zdali sobie sprawę z wielkości strat poniesionych w stosunku do szturmujących strzelców. Raz jeszcze rzucili się Moskale wściekle naprzód. Wysilek ten rozbił się o stalowy opór strzelców jak fala bezsilna. W panice cofnęli się za pasmo moczarów Garbachu, pozostawiając skrwawione okopy, wielką ilość broni, zapasów i liczne świeże mogiły.

Kiedy przyprowadzono potym jeńców do komendy pułku, rosłe chłopcy ze zdziwieniem przypatrywali się bladym, znużonym tylogodzinną walką strzelcom „Nu młódczyki (zuchy) — dziwili się — my na nich ze sztykami, a oni na nas z gramofonem“. Opowiadali o otrzymanym rozkazie przełamania w danym miejscu okopów za wszelką cenę. Opowiadali o stratach już w ciągu pierwszych 2-ch dni powyżej 30 w zabitych i rannych na każdą rotę. W czołowej linji był komendant bataljonu podpułk. Sun-cow; komendant pułku generał Tietierukow uciekł za Garbach, gdy szturm dwóch plutonów strzeleckich na dwa jego bataljony wzniecił panikę w Łaiszewskim pułku.

Jak twardy, połyskliwy liść wawrzynu wplata się trzydniowy, krwawy bój pod Kostiuchnówką w wianek sławy II-go bataljonu 5 p. p. w wieniec bojów pod Chyżówkami, Konarami i Koszyszciami. Jako nagrodę najwyższą przyjęli znużeni walką strzelcy słowa Komendanta Głównego, że 5 p. p. zdobył dawniej, a czynem II-go bataljonu na stokach „Polskiej Góry“ utrwalił swą nazwę „Zuchowatego“.

W uznaniu zasług podpor. Czarny-Krzyżanowski i sierżant Jastrzębski zostali udekorowani żelaznymi krzyżami.

„Zuchowaty“.

Na pozycjach w „Polskim Lasku“.

OBSERWATOR.

## Rozmowy niedyskretne.

### II. Fałszywe dokumenty.

*Krytyk.* Cóż pan powie dobrego? Rozmowa z panem jest dla mnie prawdziwym balsamem, choć — przyznam — nie na długo. Raczej odrywa mnie od rzeczywistości...

*Obrońca.* Która wydaje się panu tak smutną... Wygląda pan nieszczególnie. Czy spotkało pana coś przykrego?

*K.* Tak, mam znowu na cały dzień zmarnowany humor.

*O.* Cóż się stało?

*K.* Proszę pana, można i trzeba mieć dużo cierpliwości. Ale wszystko ma swoje granice. Przeczytałem dziś wstępny artykuł *Kurjera Warszawskiego*... Nawołuje do oświaty i tłumaczy, że jest to sprawa... bardzo ważna. Czy takie rzeczy można spokojnie czytać? To bełkotanie mnie denerwuje. My się bezustannie kompromitujemy. Czy pan sobie wyobraża najpożytniejsze pismo w jakiejś stolicy europejskiej, któreby jeszcze dowodziło, że oświata jest narodowi potrzebna?

*O.* Nie koniecznie trzeba czytać „*Kurjera Warszawskiego*”. Nikt nie każe.

*K.* To też rzadko go czytuję. Ale to jest wyrocznia dla tysięcy ludzi. Dla naszej inteligencji, proszę pana — *inteligencji*... To pismo odzwierciedla poziom jej mózgow. Stolica, stolica Polski!

*O.* Są i inne pisma.

*K.* Proszę, niech mi pan pokaże pismo warszawskie, któreby z zainteresowaniem mogli czytać np. politycy europejscy, mężowie stanu, dyplomaci. Sprawa polska to sprawa międzynarodowa. Więc prasa stolicy Polski może być dla nich ciekawym dokumentem naszych narodowych dążeń, ideałów. Niechże pan wyobrazi sobie, że którykolwiek z dzienników warszawskich bierze do ręki Grey, Briand, Bethman-Holweg, Tisza... Jakie będzie miał wrażenie?

*O.* Godzę się z panem, że prasę mamy naogół mizerną.

*K.* Taką, na jaką nas stać. To jest widomy dla całego świata znak naszego kulturalnego i umysłowego poziomu.

*O.* Tu właśnie popełnia pan gruby błąd. Czy sądzi pan, że w Warszawie niema ludzi, którzyby potrafili rozmawiać z europejskimi mężami stanu?

*K.* Kto?

*O.* Pan — na przykład... I jeszcze spora garstka. Zresztą — rozmawiają. I robią swoje. Prasa nasza stoi poniżej inteligencji wielu czytelników. Bynajmniej nie świadczy o ich umysłowym poziomie. To byłoby straszne. Wtedy już nie mógłbym pana nigdy pocieszać, nie mógłbym osłabić pańskiego pesymizmu. Inteligentny czytelnik polski lekceważy prasę warszawską, jest od niej poważniejszy i mędrzy. Prasa — to fałszywy dokument.

*K.* Więc jesteśmy wyjątkiem z pośród wszystkich narodów cywilizowanych? Wszędzie prasa jest wiernym zwierciadłem kultury, umysłowości, całego życia narodu.

*O.* Tak, jesteśmy wyjątkiem. Ten fałszywy dokument jest jednym z wielu, zrodzonych przez długie lata niewoli... Nasze dzieje są wyjątkiem w historii świata, — mimo wszystkie możliwe analogie.

*K.* W takim razie stwierdzić mogę, że wciąż zyjemy inercją niewoli. Dużo się zmieniło — prasa jest taka sama, albo jeszcze gorsza. Wojna, czyniąca świat mędrszym, wniosła do redakcji pism warszawskich bezmiar niesłychanych głupstw. Cóż tu dużo gadać? Dość przypomnieć tezę — neutralności.

Dziennikarz chciał narzucić narodowi rolę neutralnego barana którego szarpią wilki. Ta teza zwalniała od myślenia, od odpowiedzialności, od niepokoju, od troski o przyszłość narodu. Ale to nic. Ten dziennikarz cieszy się szacunkiem i posłuchem! Jest wśród radców miejskich...

*O.* W każdym narodzie, nie wyłączając najpotężniejszych, większość jest zupełnie głupia.

*K.* Ale jest i mądra mniejszość, rządząca narodem.

*O.* My jeszcze sobą nie rządzymy.

*K.* Do pewnego stopnia rządzymy — w rzeczach społecznych i kulturalnych. Niech pan sobie uprzytomni dzieje komitetów obywatelskich. Tam rządili nasi najwybitniejsi. Pozal się, Boże!... I coż pan powie na ich obronę?

*O.* To znowu — fałszywe dokumenty. Ci „najwybitniejsi” to pozostałość minionych czasów, jeszcze nie całkowicie usunięta. Wielu z pośród nich zajmowało odpowiedzialne stanowiska za zgodą i pozwoleniem moskiewskiego rządu, który na tych stanowiskach dobierał ludzi zgodnie ze swymi widokami. Ludzie „niebezpieczni”, czyli istotnie najlepsi, nie mogli, jak się to mówi, stać „na świeczniku”. Jeśli tak było gdzieś, to tylko skutkiem niedostatecznej ostrożności i roztropności rosyjskiego rządu, skutkiem jego pomyłki. Te zresztą pomyłki były źródłem wszelkiego dobra dla Polski. Taki był stosunek dwóch narodów.

*K.* Ale Rosjan już u nas niema. A ci jeszcze się panoszą. To znaczy, że choć niema u nas Rosjan, jest jeszcze Rosja... W pozostałościach swych rządów. I swej — roztropności...

*O.* Nie odrazu Kraków zbudowano. Powoli usuwa się te pozostałości. Zarówno w rzeczach, jak i w ludziach.

*K.* Niezmiernie powoli, zatrważająco powoli.

*O.* I ja wolałbym, żeby nieco prędzej...

*K.* Tymczasem jednak ci obywatele wielu sprawom nadają ton górujący. Mają posłuch. Stanowią widomy dowód naszej myśli zbiorowej, naszych uczuć.

*O.* Popełnia pan błąd, taki sam, jak i w ocenie roli naszej prasy. W opinii o narodzie nie można się kierować rzeczami tylko najbardziej widomymi, trzeba głębiej wnikać...

*K.* Przepraszam! Niech pan nie używa tych argumentów. Przypomina mi się ta z przed kilku miesięcy apoteoza „milenia Warszawy” na szpaltach dzienników warszawskich, które głosiły, że stolica nie potrzebuje się „wypowiadać”, bo dość się wsłuchać, wczuć, wgłębić, wnikać i t. d., i t. d. Rozumie pan, żądano od swoich i od obcych, żeby się ciągle wsłuchiwali w nasze szeptki, wczuwali w nasze serdeczne drgnienia, wnikali w nieujawnione myśli i dążenia, żeby potym te szeptki, drgnienia i drgawki mogli zawieść na kongres pokojowy, jako materiał do rozwiązania sprawy polskiej! Dobrze, że ta przynajmniej błazenada już się skończyła!

*O.* Daleki jestem od apoteozy milenia. Stworzyły ją niemy polityczne. Twierdzą jedynie, że głębsza ocena uczuć i myśli narodu wymaga wnikięcia we wszystkie przyuczyny jego chwilowego stanu. Naczelne postulaty narodowe muszą być, rzecz prosta, całkiem wyraźne i wobec całego świata ujawnione. Dziś hasło niepodległości stało się powszechnym.

*K.* Ta powszechność budzi we mnie wielkie refleksje. Wielu jest u nas ludzi, mówiących i piszących o niepodległości, ludzi, którychbym przepędził z kraju na cztery wiatry.

*O.* Jeżeli niektórzy ludzie piszą i mówią o niepodległości nieszczerze, to dowód, że już muszą się poddać opinii, przystawać się do niej. Dowód siły tego hasła. Dawniej oni terroryzowali opinię narodu w rzeczach najgorszych, dziś, naodwrot, muszą się jej poddać w rzeczy najświętszej. To wielka zmiana.

*K.* Miałem słusność. Rozmowa z panem jest jak balsam.

## Klub Państwowców Polskich.

Zebranie inauguracyjne pierwszej jawnej organizacji politycznej, której celem — praca nad wskrzeszeniem państwa polskiego, przypadło w czasie znamiennych i niezapomnianych wydarzeń.

Dni kilka przed otwarciem Klubu Państwowców Polskich (dn. 21 b. m.) nadeszły wiadomości z frontu bojowego Legjonów o nowych cudach bohaterstwa żołnierzy polskich. Zaś w kilka dni po otwarciu odbyło się pierwsze posiedzenie Rady miejskiej m. st. Warszawy.

Splot faktów tygodnia ubiegłego przyniósł społeczeństwu żywą naukę o dwóch podstawach pracy politycznej, jakimi są: czyn zbrojny i dzieło kulturalne. Na tych podwalinach stawion będzie gmach państwa polskiego. Nie będzie tylko ofiarowany, lecz wzniesiony własnymi wysiłkami narodu. Wojna niesie tylko *możliwość* tej odbudowy, stwarza niezbędne ku temu warunki. Wykorzystać je, utrwalić, wypełnić treścią realną i twórczą — rzecz to świadomej woli i świadomej myśli politycznej narodu.

Tę wolę budzić i tę myśl pogłębiać jest zadaniem Klubu.

„Jest to instytucja bezpartyjna i ogólnonarodowa“ — oświadczył jeden z inicjatorów, p. Zygmunt Makowiecki.

„Musimy wytworzyć siłę motorową rządów państwowych, które obejmie aktywna mniejszość“ — rzekł p. Wł. Studnicki. Każdy naród w chwili wyzwania się był duchowo nadpsuty latami poprzedniej niewoli, — ratowała go mniejszość siłą zdecydowanego czynu. Polityka — mówił dalej p. Studnicki — to zwiększanie prawdopodobieństwa rzeczy najbardziej pożądaných. Musimy to prawdopodobieństwo sami zwiększać. Musimy w sobie odnaleźć siłę twórczą i potężną, by zaważyć na szali wielkich faktów wojny.

Na najgłębszą treść dziejów ojczystych powołał się adw. p. F. Szymański, wskazując przepaść, dzielącą Polskę od Rosji.

Chwila otwarcia Klubu stała się głębsza i uroczystsza przez zmanifestowanie łączności duchowej z polskim czynem zbrojnym. P. Józef Wasercug w przemówieniu swym wezwał zgromadzonych do uczczenia — przez powstanie — pamięci poległych Legjonistów, których czyny rehabilitują naród polski czasu wszechświatowej wojny. Ich wiarą — Polska niepodległa, ich przykazaniem — głos nieprzedawnionej tradycji, ich wrogiem — Moskwa, ich widzem — cały uczciwy świat, zdolny do sprawiedliwej oceny bohaterstwa żołnierza polskiego, kiedy walczy o wolność Ojczyzny.

Klub Państwowców Polskich złączyć może i powinien różne obozy. Nie wyjaskrawiając różnic, winien pod hasłem państwowości polskiej prowadzić swą poważną pracę i usposabiać zbiorową myśl najszerzych warstw narodu do przyjęcia najpierwszego postulatu i warunku narodowego odrodzenia.

### Zagadka

Dla czego w ręku byłych stałych prenumeratorów „Gazety Warszawskiej“ widzimy obecnie stale „Kurjer Poznański“?

EDWARD LIPIŃSKI.

## O reformie społecznej w Polsce.

I.

Rozmach naszego życia ekonomicznego przed wojną był stosunkowo słaby. Wobec szalonego tętna zdobywczego kapitalizmu Niemiec i Ameryki stosunki polskie posiadały znamię *sui generis* feodalizmu. Przedsiębiorca polski niemal nic nie miał ze zdobywcą, organizatorem, wynalazcą — tych *captains of industrie*, jak ich nazywał *Carlyle*, którzy stworzyli potęgę przemysłową Ameryki i Niemiec. Źródła faktu były liczne i różnorodne: ochrona celna od konkurencji Zachodu, łatwość ekspansji na Wschód, ogólna ospałość życia publicznego. Po wojnie skończą się słodkie chwile ekonomicznego pokoju. Kapitalizm polski będzie miał do zwalczania olbrzymie trudności, czekają go, zapewne, niejednokrotne porażki. Dobrze jest tedy zastanowić się, co jest, obok śmiałej i bogatej w kapitały klasy przedsiębiorców, zasadniczym czynnikiem gospodarczej tężyzny nowoczesnych społeczeństw.

Rynek, kapitał, technika, przedsiębiorczość, robotnik — oto podstawy życia ekonomicznego. O każdym z tych czynników należałoby powiedzieć oddzielnie i szeroko, chcę jednak pomówić przedewszystkim o czynniku ostatnim, gdyż ekonomika polska najmniej go uwzględnia.

Zdawałoby się, iż rozwój techniki, racjonalizujący proces wytwórczy, degradowuje coraz bardziej znaczenie pracy człowieka, zastępując ją subtelnym mechanizmem, doskonałym automatem. Tak jednak nie jest. Praca ludzka wraz z rozwojem techniki i maszyn, staje się czynnikiem ważniejszym, niż kiedykolwiek w historii kapitalizmu. Wprawdzie pracę, precyzyjną nieraz, wykonywa za robotnika maszyna, lecz wysoko ukształcony technicznie, moralnie i zawodowo pracownik, staje się niezastąpionym jej dozorcą i kierownikiem. A jak ważnym, o tem świadczy system *Taylora*, zwiększający wydajność pracy czterokrotnie, bez wprowadzania jakichkolwiek ulepszeń mechaniczno-technicznych. Rewolucja *Taylorowska* organizuje jedynie czynności i ruchy robotnika, stwarza *optimum* warunków ich wykonywania. Słusznie tedy stwierdza *B. Harnis*, że Anglja np. swoje stanowisko na rynku świata zawdzięcza w dużej mierze inteligencji ludności robotniczej<sup>1)</sup>. Naogół wyższość jednej techniki nad inną nie opiera się tylko na doskonałości maszyn, lecz w równej mierze zależy od kadrów odpowiednio przygotowanego materiału ludzkiego. „Zwycięstwo w walce konkurencyjnej, mówi *von Halle*, pozostanie przy tym kraju, który technicznie najdoskonalsze środki produkcji odda w ręce najsprawniejszych robotników“<sup>2)</sup>. Pod Sadową zwyciężył niemiecki nauczyciel; w bitwach przemysłowych zwycięży naród, który posiada nie tylko znakomitych oficerów i podoficerów techniki, lecz przedewszystkim wyrobionego i umysłowo wysoko stojącego robotnika, tego żołnierza armji przemysłowej“<sup>3)</sup>. Nie wymaga bliższego wyjaśnienia powiedzenie, że w wojnie dzisiejszej zwycięża robotnik fabryczny.

<sup>1)</sup> Art. Arbeit w Conrada „*Handwörterbuch'u*“, Tom I, str. 579.

<sup>2)</sup> *Weltpolitik und Sozialreform*. II, s. 227.

<sup>3)</sup> *Ergang: Untersuchungen zum Maschinenproblem*. s. 146.

Znany uczony niemiecki *Kammerer*, badając istotę nowoczesnej techniki, stwierdza, iż jedną z jej podstawowych zasad jest korzystanie z pracy człowieka, nie jako maszyny mięśniowej — lecz istoty myślącej<sup>1)</sup>. Maszyna wytworzyła nowy typ robotnika: mniej tu chodzi o zręczność techniczną i siłę mięśniową, więcej o wykształcenie ogólne, inteligencję, silną wolę, ogólną znajomość techniki. *Bellet* opowiada, że kiedy we Francji chciano wprowadzić pewne nowe maszyny w przemyśle białoskórnym, nie udało się to z powodu braku odpowiednich robotników do ich obsługi<sup>2)</sup>. „Dlaczego, mówi *Barrows*, dyrektor fabryk przędzy w Connecticut, dlaczego nasza przędza jest bardziej miękka i cięższa niż każda inna? Przecież każdy fabrykant może nabyć takie same maszyny i wełnę. Skądże pochodzi wyższość naszych fabrykatów? Stąd tylko, że nasi ludzie posiadają więcej wiadomości... they put more brains into their work than others do“<sup>3)</sup>.

Ekonomiczna przyszłość Polski leży w pracy precyzyjnej, o wysokiej kwalifikacji. Nie będziemy wywozili płodów rolnictwa i górnictwa: jesteśmy ubodzy w bogactwa naturalne. Pozbawieni dostępu do morza i rynków kolonialnych, nie będziemy wywozili w olbrzymich ilościach tanich wyrobów masowego spożycia (był łódzkiego przemysłu włóknistego nie jest pewny). Koniecznością ekonomiczną polskiej gospodarki stanie się produkcja cennych, zawierających wiele pracy, wyrobów precyzyjnych. A produkcja w tym kierunku rozwinie się tylko w wypadku, jeśli gospodarstwo narodowe rozporządzać będzie dostateczną armią wykwalifikowanych, na wysokim poziomie pod względem technicznym stojących robotników.

Materiał ludzki posiadamy pierwszorzędny. Robotnik polski jest inteligentny i potencjalnie zdolny do pracy intensywnej. Jeśli nie stoi na poziomie robotnika angielskiego, to wina tego leży w słabej jeszcze kulturze pracy i w warunkach bytu klas pracujących w Polsce. Znany ekonomista niemiecki *Schultze-Gawernitz* stwierdza, że robotnik polski zbliża się do robotnika niemieckiego i pod niektórymi względami dorównywa mu zupełnie. — Przewyższa zaś znacznie robotnika rosyjskiego. Jeślibyśmy wydajność pracy robotnika rosyjskiego oznaczyli na 100, wydajność polskiego wyniesie 121—260, przeciętnie 190<sup>4)</sup>. Znane są fakty, że wykwalifikowani robotnicy z Królestwa, emigrując do Niemiec, zarabiają przy płacy na akord znacznie więcej, niż ich niemieccy koledzy.

Rozpatrujemy zagadnienie reformy społecznej tylko z punktu widzenia techniki i ekonomii. Dowiedliśmy, iż wysoko stojący umysłowo i zawodowo robotnik — to postulat nowoczesnej techniki i nowoczesnej organizacji przemysłowej. Rzecz jasna, tylko człowiek o rozwiniętych potrzebach materialnych i umysłowych, człowiek społecznie zabezpieczony od degradacji zawodowej i degeneracji fizycznej z powodu nędzy, może być właściwie przygotowany do zadań, jakie wyznacza mu proces produkcji. Rozwój zdolności do pracy jest atrybutem ogólnego rozwoju kultury, jest zjawiskiem uwarunkowanym stanem różnorodnych czynników historycznych, tworzących

złożony kompleks biologiczno-społeczny: człowieka na danym poziomie cywilizacji. W wieku XVIII Anglja zazdrościła robotnika Holandji, bowiem angielski był próżniakiem, nie umiał pracować 6 dni w tygodniu, oddawał się pijactwu. Niemcy w pierwszej połowie XIX stul. mówiły to samo o swoim robotniku, wynosząc pod niebiosa angielskiego. Polska w w. XX zazdrości robotnika Anglii i Niemcom, powszechnie narzekając na małą wydajność pracy w naszych fabrykach. Dziś jednak wiemy już, że wydajność pracy zależy od tysiąca wpływów: organizacji politycznej i odżywiania; wysokości płacy i jakości odzieży; światła w hali fabrycznej i czytanych książek.

## Tadeusz Rechniewski.

Odprowadziły Go na miejsce wiecznego spoczynku tłumy wielotysięczne. Nad mogiłą drogiego towarzysza złożyły podziękę za wielki trud pięknego, bojującego życia, za nieustraszoną w rzeczach swojej wiary.

Nie było duchowieństwa. Ta wiara sama sobie starczy. Własne ma świętości, własne przykazania, własną Sprawę.

Droga Jego znaczone była sztandarami, które się zwały: „Wiedza“, „Światło“, „Nowe Życie“. W tych pismach niósł robotnikowi polskiemu wyzwolenie słowo, którego wagę uświęcił był własnym na Sybirze męczeństwem.

W ogrom męki, pracy i walki, jakie się na dzieje polskiego socjalizmu złożyły, życie Tadeusza Rechniewskiego wniosło jeden z najjaśniejszych promieni myśli i serca.

Była to postać wielkiego marzyciela, który widzi „swoje za grobem zwycięstwo“ i wbrew wszystkim przeciwnościom ustawia ludziom drogowskazy na szlakach ciemnych proletarjackiej niedoli.

Zmogła go ta praca. Odszedł, śląc z zaświatów błogosławieństwo swoim następcom.

Cześć pamięci bojownika wolności i nowego życia!

Lokalne, chwilowe sukcesy armji Brusilowa, napełniły otuchą naszych szerokotorowców. Z rozkosznym drżeniem wsłuchiwali się w wymaginowany zbliżający się huk armat. Z żywym zadowoleniem, z perfidną złośliwością, poczęli rozpuszczać wieści o rozbiciu Legjonów.

„Nieszczęście! Szaleńcy porwali się z motyką na słońce, i co z tego? Jedną smutną rocznicę więcej“ — biadał domorosły kawiarniany patryjota i ocierał łzy wonną batystową chusteczką.

Rzeczywistość rozwiała jednak piękne, różowe sny Dmowszczyków. Jak rękawiczka w twarz oszczercy rzucona, rozległ się protest nasz: Żyjemy, trwamy i wytrwamy!

Te mogiły, te krzyże którymi szlak swój znaczymy — to nie grób wszelkich nadziei.

To szaniec, reduta nowej odradzającej się jak Feniks z popiołów, mocy polskiego żołnierza.

Bo przecież nie na igrzyska, na parady ze znakami swoimi pociągnęliśmy — jeno na wojnę i nie po smutną, bohaterką śmierć — lecz po zwycięstwo.

„Zuchowaty“.

<sup>1)</sup> *Die Ursachen des technischen Fortschritts*. 1910. s. 33.

<sup>2)</sup> *Bellet: La machine et la main d'oeuvre humaine*. 1912. s. 253.

<sup>3)</sup> Cyt. u John Rae: *Eight hours for work*. 1894, s. 137.

<sup>4)</sup> *Ekonomista*. 1914, s. 65.

POLONJUSZ.

## Życie w atomach.

„Powietrze czuć swobodą“.

Niebawem kresu dobiegnie rok, odkąd za ostatnim Moskałem zawałyły się mosty. Ten rok, w dziejach Warszawy, jest rokiem odwracania wszystkich niemal wartości w samowiedzy politycznej narodu, jest rokiem wielkiej przebudowy wewnętrznej. Dlatego to oku powierzchownemu wydać się może, iż Warszawa stoi od 12-stu miesięcy na miejscu. Tak nie jest. W ciągu owych miesięcy Warszawa odbyła niezmierną podróż: podróż dokoła swej duchowej osi. Odnalazła swą przewodnią gwiazdę: gwiazdę polskiej korony. Dziś, stojąc rzekomo na tym samym miejscu, co przed rokiem, oddaliła się w istocie od swej poprzedniej pozycji na ogromną odległość kontrastu między nocą a dniem. Dzień następuje po nocy bezpośrednio, ale to następstwo w danym punkcie powierzchni jest wykładnikiem olbrzymiej przestrzeni, przebytej przezeń w obrocie wirującej ziemi. Podobnież dzień, którego zapowiedź świta nad Warszawą, zbyt wyłącznie przypisywany zewnętrznym konjunkturam, jest wykładnikiem tej długiej i niełatwej drogi, którą warszawska myśl polityczna ubiegła w ciągu ostatniego roku. I jak prawdą jest bezwzględna, że noc niewoli zwyciężona została wówczas, gdyśmy się do niej odwrócili plecami, tak również prawdą jest, że słońce dla nas wszędzie w owej chwili, w której wyjdziemy na jego spotkanie.

### Więści a wieści.

(Wyjątki z 4-ch listów pisanych 10 czerwca 1916 r.)

*Z pierwszej linii:*

W naszych okopach bardzo wesoło. Dzień schodzi na umocnianiu okopów, grze w karty, pisaniu listów. Atrakcją naszą jest pranie moskaluszków skradających się nocami pod nasze druty. Dziwny respekt mają mochy przed naszym gramofonem.

Piszcie często, a dużo. Cześć.

*Stach Strzelec.*

*10 klm. za linią:*

Nie macie pojęcia jaka tu straszna wojna. Wokoło ogień i ogień, palą się lasy, — ziemia, woda, powietrze, wszystko. Granaty i szrapnele padają tak gęsto, że słońca nie widać. Widać całe gromady ciał wylatujących w powietrze, które nie mają gdzie spaść, bo wskutek strzałów armatnich, ziemia tak gdzieś znikła, że okopy nasze wiszą w powietrzu i Styr płynie w powietrzu. Moskale chcą koniecznie przełamać naszą linię, ale my tu, panie, tak, my przedewszystkim, nie damy się, od wczoraj zabraliśmy ich 7,000 do niewoli. Czołem!

*Kasper Karjerowicz.*

*100 klm. za linią:*

Legjony zostały otoczone i wybite do nogi. — Wzięto do niewoli 60,000 legionistów, z których połowę rozstrzelano, połowę powieszono, a połowę zesłano na Sybir. Czuwaj!

*Pafnucy Alarmista.*

*400 klm. na tyłach:*

Legjony, które wogóle nigdy nie istniały — zniesiono do szczętu. Mogiły ich pochłonęły łaskawie błota wołyńskie bez śladu. Nasi już pod Warszawą. Do swidanja!

*Kalasanty Wścieklicz-Endecki.*

„Zuchowaty“.

### Przed kurtyną.

— Do czynu! do czynu! Wciąż rozlegają się żądania, postulaty, hasła i pobudki. Lecz jakże tu coś czynić, jakże

coś przedsiębrać, skoro my nic nie wiemy. Absolutnie nic. Na cał nie mamy możności przeniknąć w przyszłość. Właściwie od roku siedzimy, jak przed zapuszczoną kurtyną. Czekamy, by się podniosła, czekamy, by się zaczęło przedstawienie; nie opuszczamy krzeseł ani na chwilę, a tu na scenie glucho i pusto.

— Czy być może? Od roku pan hrabia siedzi w krzesłach, czekając na widowisko?

— Czekam wraz z całym swoim stronnictwem. Czekamy wspólnie, czekamy zbiorowymi siłami, czekamy, gotując ręce do potężnego oklasku.

— Od roku? I napróżno?

— Tak, od roku siedzimy w komplecie, i od roku napróżno.

— No, to podziwiam w takim razie waszą, panie hrabio, cierpliwość!

— Paradny podziw! A cóż innego moglibyśmy byli czynić?

— Przez 12-cie miesięcy? Ano, chyba dość czasu, aby samemu aktorów zebrać, wyćwiczyć i — nie czekając — grać... jakiś porządny dramat historyczny.

— Dziękuję uprzejmie. Może jeszcze pana zaprosić na suflera? Dziękuję. My możemy czekać. Wszak z nami czeka cały naród.

— Ale historia, panie hrabio, historia nie czeka!...

### Przysłowia wojenne.

Świadczył się cygan swoim manifestem.  
Spragniony jak — Endek powrotu Moskali.  
Tłucze się jak... Dmowski po zagranicy.  
Kto nie ryzykuje, ten „walczy“ na tyłach.  
Koń ma cztery nogi — a ułan się wywraca.  
Fortuna bączkiem się toczy.  
Gość w dom, chowaj papierosy.

„Zuchowaty“.

### W ogonku.

Przed biurem na trotuarze wielki ogonek. Stoją ludzie parami, wolno posuwając się ku przodowi. Całość robi wrażenie fragmentu nieskończoności, o ile, że gdy ubywa kilka dzwonów ode łba, ogonek narasta od tyłu. Inna cecha kosmosu — niesłychana różnorodność rozmówek również często bez początku i zakończenia. Ot — fragment społecznego lewiatana.

— Powiadam panu, aż mnie zamroczyło, jak mi to powiedział. Spekulant! To panie spekulant nie może być dobrym polakiem i katolikiem?

— Abo i pewnie! Czy to inteligient albo socjalista?!...

— To też mu, panie, wygarnołem jak się patrzy. Polak jestem lepszy od waści, bo o dobrobyt kraju dbam: pieniądze gromadzę. Niech tylko każdy Polak gromadzi pieniądze (spekulacjom nie spekulacjom — wszystko jedno!) a będziem jak ta Anglja, panie dobrodzieju.

— Zapewne, podobieństwo uderzające, zwłaszcza pod względem kanału.

\*

— Proszę pani, jak pani myśli, czy to taka młoda panienka powinna chodzić z chłopakami za miasto. To ma być odrodzenie młodzieży?

— Iii... moja pani, dawniej się to robiło na wieczorach i tańczących herbatkach, a jak która była mądra, to też męża znalazła.

— W jakiej sekcji? W jakiej?!...

— Gdzieżby jak nie w spożywczej. Tylko trzeba list rekomendowany mieć. Ale jak brzydka, to nie przyjmą...

— Panie milicjant! Tylko się pan tu do porządku nie wtrącaj. My — nie konie!

— Iiisz go! Miluś!...

I wije się ogonek: na atomy rozbita dola, — niedola Warszawy.



### Prima charitas ab ego.

P. Ciszewski, który faktycznie wszedł do Rady miejskiej jako przedstawiciel żydowskiej partji „Bund“, wyłączenie bowiem członkowie tej tylko organizacji głosowali na niego, rzetelnie bronił na pierwszym zaraz posiedzeniu programu swych wyborców, żądając równouprawnienia żargonu w szkole, sądzie i urzędzie, zwłaszcza zaś we wszystkich instytucjach miejskich. Tu jednak trzeba wyjaśnić pewną rzecz. Obecnie, aby uprawnić żargon w magistracie, trzebaby wszystkich urzędników magistratu mianować z łona żydów-nacjonalistów, gdyż niema Polaków znających żargon. Lecz to byłoby także niesprawiedliwością. Trzeba więc zaczynać z innego końca. P. Ciszewski powinien zażądać, aby we wszystkich szkołach polskich a zarówno w uniwersytecie i politechnice stał się żargon przedmiotem obowiązującym dla wszystkich Polaków. Nim to będzie uskutecznione, p. Ciszewski powinienby sam gwałtownie zacząć uczyć się żargonu: gdy wystąpi w Radzie z przemówieniem w żargonie, wówczas jego wystąpienie nie będzie już może robiło takiego komicznego wrażenia jak obecnie.

### W czym interesie?

W dniu otwarcia Rady Miejskiej odczytana została na sali Ratuszowej deklaracja polityczna połączonych stronnictw polskich, będąca dokumentem doniosłej wagi. Świadczy ona, że wszystkie odłamy społeczeństwa, od socjalistów polskich poczynając a kończąc na realistach polskich, zjednoczyły się na wspólnej platformie politycznej pod znakiem niepodległego państwa, pod znakiem armji polskiej, a więc pośrednio pod znakiem pogotowia zbrojnego do wojny z Rosją. Poza tą platformą wszechnarodową stanęli tylko: przedstawiciel żydowskiego Bundu, przedstawiciel kosmopolitycznej S. D. oraz przedstawiciel nowej partji Ludowców żydowskich. Wszystkie te trzy głosy odrębności padły z poza obrębu przedstawicielstwa polskiego.

Wszelako do tych trzech głosów protestu dołączył się poza Ratuszem także protest jednego pisma polskiego: *Gazety Porannej*. Ta deklarację stronnictw polskich nazwała dosłownie wystąpieniem „samozwańczym“ (N-r 203 *Do naszych Radnych*) przedsięwziętym „wbrew życzeniu olbrzymiej większości ogółu mieszkańców stolicy“.

O jakiejż to „większości“ mowa, skoro cała Polska imieniem połączonych stronnictw z deklaracją się solidaryzuje? Wszak nawet były s. p. poseł warszawski pan Aleksiejew był na tyle delikatny, że mienił się posłem od „mniejszości“. W czymż tedy interesie tę „mniejszość“ dzisiaj awansowano na „olbrzymią większość“?

### Obietnica.

W jednym z następnych numerów *Widnokregu* ukaże się monografia o panu Bolesławie Koskowskim, p. n. „Wielki mistrz Kołtunerji“.

### Cnota dla cnoty.

Są ludzie tak pochłonięci walką z moskalofilstwem, iż zapominają o walce z Moskwą.

Celem zyskania możności unormowania nakładu pisma, Administracja „Widnokregu“ prosi Szanownych Abonentów o wczesne nadsyłanie prenumeraty.

## KAZIMIERZ WROCYŃSKI.

### Teatr stolicy.

Z zawrotną szybkością toczy się wóz dziejów. Etapy narodowe do niedawna w dalach ledwie że widne, dziś już się przesunęły. w przeszłość zapadły, a z poza pożogi wojennej wyłaniają się nowe i idą naprzeciw. Rzecz jednak w tym, że i życie nasze wszystkimi przejawami i samo ku nim zmierzać powinno, zmierzać musi. Jak? w jakiej mierze? jakimi drogami?

Chcę w danym wypadku dotknąć jednego z licznych przejawów życia naszego. Chcę mówić o sztuce. Sztuce teatralnej. Grała ona w społeczeństwie rolę bardzo poważną, a forma jej uzewnętrznienia, teatr, musiała — był czas — zastępować nam dziedzinę instytucji brakujących. Teatr był dla Polaka akademją „nieśmiertelnych“, teatr był wszechnicą nauk społecznych i politycznych, teatr był surogatem parlamentu i sal meetingowych, teatr był jedynym uniwersytetem dla wszystkich.

Zastępczo wypełniał on funkcje, dorywczo pracował za nie, jak mógł, ale też otaczano go za to wyjątkowym kultem, wysuwano go na przedniejsze miejsce, niżby formalnie należało. Aż zaczęły padać zarzuty, żeśmy zanadto „rozteatrowani“. I z jednej strony występowała reakcja niezbyt słuszna, z drugiej powoli z natury rzeczy, a nawet wbrew rządów rosyjskich naturze, kiełkowały surogaty wspomnianych instytucji społecznych. Równocześnie scena traciła swój nimb „do wszystkiego“ i przedstawiała być najwybitniejszą placówką kulturalną. Teatr wkroczył w dziedzinę czystego (i brudnego) artyzmu. W takim mniej więcej stanie zastała go dzisiejsza wojna w Warszawie.

W jakim natomiast ma go zastać pokój — w stolicy Polski? Jaką będzie, jaką musi być scena narodowa, czy też konglomerat całego szeregu scen stolicy? Boć przecie jak całość problemów życia naszego tak i kwestja teatru powinna przyoblec się w kształty godne przyszłości. I dziś — najwyższa pora zastanowić się nad tym. Zastanowić bez zastrzeżeń, bez motywów, bo te chyba są jasne dla każdego mniej więcej cywilizowanego człowieka.

Wprzód jednak nim się da rozjaśnić powyższe zagadnienie, uświadomić sobie należy chociażby na zasadzie analogji z innymi samoistnymi społeczeństwami, że teatr jako instytucja rozpada się na dwie rozbieżne nawet dziedziny. Na *teatr — przybytek kultury* i *teatr — miejsce rozrywki*. I tu leży klucz kwestji. I tu analogja posłuży do rozwiązania.

A więc te wszystkie *teatry, które służą rozrywkom* stanowią w każdej stolicy olbrzymią, przytłaczającą większość. Tworzą kategorię niezmiernie szeroką o rozciągłej skali poziomu od scen dramatycznych począwszy — do przytulisk najlżejszej muzy, do lokalów z teatrem tylko wspólne miano mających. Wszystko to są przedsiębiorstwa handlowe, obliczone na dochód. Antreprzyzy prywatne, uzależniające się zupełnie od gustu, a właściwie — bezgustu publiczności, schlebające jej smaczkom, zaskarbiające sobie jej względy za pomocą wszelkich możliwych i niemożliwych środków. Istnieją wprawdzie i pod tym względem wyjątki. Są teatry prywatne, stojące na wysokim poziomie artystycznym, ba! zmierzające nawet ku wyższym stopniom rozwoju scenicznego aż do eksperymentów włącznie, — lecz liczba tych przybytków sztuki dra-

matycznej jest tak nieliczna, że jednym tchem by je wszystkie wymienić można. Wyjątki to — stwierdzające jedynie regułę. Olbrzymi zaś legion prywatnych scen stanowią przedsiębiorstwa, dla których alfa i omega — kasa.

Im się przeciwstawiają teatry—przybytki kultury, teatry — azyle twórczości dramatycznej danego kraju, *teatry—narodowe*. W tym tkwi ich główny cel, w tym — źródło ich bytu. Stoją one zwykle pod protektoratem państwowości w różnorodnych jej organach.

Jako przedsiębiorstwa, służące celom kulturalnym, nie mogą one być zależne od zmiennych wpływów kasowych, kryją się więc przed nimi pod egidę bądźto miasta, bądź narodu, bądźto dworu. Tu leży siła ich i słabość. Siła—w niezależności materialnej więc w swobodzie artystycznych dążeń i zamierzeń, słabość — w skostniałości pewnej, w biurokracymie nieodłącznie związanym z wszelką władzą, w akademickiej urzędowości, obracającej się w sferze piękna ustalonego, bez prób nieodłącznych od żywego twórczego postępu. W zasadzie teatry narodowe stanowią skarbiec swej sztuki dramatycznej, kultywują rodzaj swych arcydzieł z jednej strony, z drugiej — wysoko dzierżą sztandar swoistej twórczości aktorskiej, jej stylu i tradycji.

Powracając do teatrów Warszawy, od jednego na nie rzutu oka skonstatować możemy, że stolica Polski od razu bez trudu będzie posiadała pierwszą kategorię scen,—teatry rozrywkowe. Mamy tego dobrego, niczym najpocześniejsza zachodnia metropolja. W ostatnich nawet czasach króliczo wprost się mnożą scenki i podscenki najniższego poziomu widowiskowego, których mógłby nam pozazdrościć sam Londyn, jak wiadomo opływający w nadmiar tandety teatralnej. Pod tym względem więc zawód nas nie spotka.

Rzecz inna—jak się rozwiąże sprawa teatru narodowego, a taki teatr w stolicy powstać *musi*. Powiadam „powstać“, gdyż na dobrą sprawę dopiero go właściwie stworzyć należy. Na razie nawet kategorycznie przewidzieć nie można, która ze scen dostąpi zaszczytu zostania Teatrem Narodowym: „Rozmaitości“ czy — „Polski“. Każda bo może mieć po temu pewne szanse, nie mniej przeto każdej stoi na zawadzie pewne „ale“. „Rozmaitości“ nadaje się ze względów formalnych, od chwili, gdy z Zrzeszenia stanie się teatrem miejskim. Posiada on poza tym wspominki dawnych dobrych czasów i etykietę *illo tempore* „pierwszej sceny polskiej“. „Polski“ — wprawdzie jest antreprzyą prywatną, ale mimo nie długi żywot wniósł już wiele, wiele twórczego w nasz świat ramp i kulis, w skład jego wchodzi szereg wybitnych sił, ma wreszcie budynek odpowiadający dzisiejszym warunkom techniki teatralnej.

W chwili obecnej trudno, rzecz oczywista, przewidzieć w jakiej formie, treści i szacie skryształuje się teatr narodowy stolicy. Być może, że wytworzy się on drogą skupienia w jedno ognisko twórcze wszystkiego, co mamy w Polsce najlepszego w tym zakresie; być może, że powstanie przez proces, który narazie niepodobna ująć w ścisłe ramy. W każdym bądź razie już dziś powiedzieć można, że powstać może i powstać musi, jako Akropolis godny naszej wielkiej dramatycznej sztuki narodowej i jako wyraz najwyższej polskiej twórczości aktorskiej i teatralnej.

BRUNO WINAWER.

## Z dnia na dzień.

12 lipca 1916 r.

**Wstęp.** Nie wypada wprost, tak jest nie wypada, żeby chwila obecna minąć miała, nie pozostawiając po sobie nawet — pamiętnikarza. Każdy szanujący się moment dziejowy posiadał go przecie—dlaczegożby ten właśnie miał być gorszy? Przypominam wam, *messieurs et dames*, że żyjemy bądź co bądź, w czasach historycznych. To obowiązuje. Musi się wreszcie wśród nas znaleźć ktoś, kto z prosta a szczerze, bez tych przekłetych kłamstw literackich, napisze, co widział i przeżył. Toć muszą być przecie gdzieś ludzie, niezatruci atramentem i wolni od pypcia deklamatorskiego. Niech chwycą za pióra. Każda prawie poważniejsza doba historyczna odbiła się w czyichś skromnych, niepozornych, a właśnie przez to ciekawych i cennych djarjuszach czy zapiskach. Wystarczy sięgnąć pamięcią do encyklopedji, żeby się o tym przekonać.

A cóż my przekazemy historykom przyszłym? My, którzy uzbrojeni tylko w parasol, na największą nawałnicę dziejową patrzemy?

Pozostanie po nas kilkaset pudów naszych pism codziennych, przepełnionych telegramami, mowami, wzmiankami i głównie tudzież przedewszystkim sprawozdaniami z paryskich sztuk bulwarowych.

Co też pomyśli sobie o nas poważny dziejopis przyszły, czytając, iż strasznego roku wojny margrabina Jemenfiche zdradziła męża z wicehrabią Quelimbicile i żeśmy, o współcześni moi, „śledzili bieg tej akcji z zapartym oddechem, gorąco oklaskując wykonawców“?

Docieram do jądra kwestji. W czasach zwykłych, normalnych publicysta, dziennikarz, literat i wszystko to, co od wiersza żyje—kompromituje się, jak może, pisząc swe bzdury powszednie. Się—to znaczy *siebie*. Obecnie—kompromituje *nas*, blamuje całą epokę. Jego słowa stają się dokumentem historycznym, przechodzą do potomności, która je przechowywać będzie w bibliotekach jako cenne i jedyne „źródła do dziejów“.

Za lat sto albo sto pięćdziesiąt jakiś przyszły Macaulay czy Kalinka, na podstawie badań źródłowych dociekań historycznych stwierdzi, żeśmy (*my* a więc i ja!)—w roku 1916-ym „śledzili bieg akcji, gorąco oklaskując wykonawców“. Protestuję! Nie oklaskiwałem! Brednie kurjerkowego sprawozdawcy mnie nie dotyczy. Proszę mnie również nie czynić odpowiedzialnym za rymy męskie i żeńskie naszych pism tygodniowych, za mowy wybitnych mężów stanu. Zwłaszcza z tymi ostatnimi nie chcę mieć nic wspólnego. Krótko mówiąc—wiem, że zaplątano mnie, jak również i was, o współcześni moi, w aferę historyczną,—będę musiał stanąć przed trybunałem dziejów i usiąść na ławie oskarżonych. Los umieścił mnie w tych czasach, wydarzeniami brzemiennych... przełomowych i jestem czy chcę, czy nie chcę postacią historyczną. Jakiś przyszły dziejopis nakreśli mój profil, jakiś statystyk miotać mną będzie po kolumnach swych tablic, jakiś daleki Rydel pchnie mnie na scenę, jakiś kabotyn ubierze się w mój kostjum i będzie wypowiadał najskrytsze myśli moje wierszem trzynastozgłoskowym. Ale skoro się już mam blamować na wieki, historycznie—wolę to uczynić sam, własnoręcznie—postanowiłem pisać pamiętnik! Sądzę, że każdy kogo przypadek cisnął w te czasy, które żywem przejdą do podręczników szkolnych, ma do tego prawo. Świat drży w posadach, mapy zmieniają kolory, globus wygląda, jakby miał tyfus plamisty, każda kartka ściennego

kalendarza ma wyraźną ambicję, aby stać się w przyszłości „ściągaczką“ na egzaminie z historii... Piszmy pamiętnik.

Może mi się uda tu i owdzie ustalić przed sądem przyszości swoje *alibi*?

13 lipca.

Sprawozdania z placu boju, pisane „pod gradem kul“ przez wybitnych poetów i specjalnych korespondentów, tworzą bardzo brzydki gatunek makulatury.

Fakty historyczne są widać wtedy tylko dla nas ciekawe, gdy je oglądamy w zwiercadełku pomniejszającym duszy prostej i maluczkiej.

Wolę, gdy mi o bitwie, której był świadkiem, opowiada głupi Franek, niż d'Annunzio. Wszystkie wierszyki, pisane przez zawodowców „pod wrażeniem chwili“, nie mają sensu, wszystkie wojenne szkice i obrazki „umyślnie na front wysłanych“ pisarzy i poetów oddałbym za funt kłaków. Literatura nigdy nie miała taktu i wciąż widać jeszcze wykwita tam, gdzie jej nie posiano. Jeden z artykułów przyszej konwencji laskiej powinien pod karą śmierci zabronić *zawodowym stylistom* opisywania walk, ataków, natarć i szarż.

14 lipca.

Dobrze, ale skoro nie o potyczkach i wycieczkach, więc o czym ma pisać literat. współczesny? Gdzież znajdzie temat beletrysta, co ma ubierać w rymy poeta? Jak konowały nad ochwaconą szkapą radzą krytycy nad Pegazem współczesnym. Ludzie są naogół zdania, iż prawdziwy artysta winien zamknąć oczy na rzeczywistość, sięść wysoko na grzędzie i w cieniach swego kurnika znosić i teraz, jak dawniej, doskonałe pod względem formy owoidy. Pisarczyki pomniejsze chwyciły się tej myśli, jak pijani płotu. Udają, że nic nie zaszło. Niech się Europa wali w gruzy, oni z ostatnich cegieł zbudują teatr i pokazywać w nim będą swą głupkowatą szopkę: on, ona, ten trzeci...

Potomni darują nam może kiedyś wszystkie nasze winy, ale nie wybaczą nam naszej literatury „nadobnej“... Biedna ta współczesność doprawdy! Nie może się zdobyć na człowieka, któryby potężnym głosem huk armat przekrzyczał. Ludzie mają wątle piersi i cienkie dyszkanty. Z rodu olbrzymów jest ich tylko dwóch obecnie: Anatol France i Bernard Shaw.

Milczą obaj—wymownie. A ci—inni—piszą i piszą i kompromitują sztukę pisarską na wieki.

15 lipca.

Juz to wogóle „chwila epokowa“ trafiła na dziwnie... niewielkich ludzi. Nie wiem, ilu walecznych uczestniczyło w wojnie Trojańskiej. Sądzę, że jeden drobny współczesny podjazd rozpędziłby na cztery wiatry obie strony walczące podówczas srogo i w pocie czoła. Ale wojna Trojańska miała zato swych Achillesów, Hektorów, Ulissów, Homerów—wojna współczesna, w której czternaście milionów ludzi zмага się z sobą na skrwa-wionych obszarach, ma tylko Cadornę i d'Annunzia...

Istnieje doprawdy jakaś odwrotna, fatalnie *odwrotna* proporcjonalność: Sazonow ma się do Ulissesa jak załoga trojańska do czternastu milionów ludzi, uzbrojonych w kartaczownicę, mitrajelezy i bomby z gazami trującymi. Cadorna ma się do Cezara jak krótki mieczyk rzymski do działa 42-centymetrowego. I ten wzór można odpowiednio rozszerzyć!... we wszystkich kierunkach.

Mister Asquith jest wobec Palmerstona tym, czym naiwna Fultonowska fregata, pchana trochę wiatrem a trochę parą, wobec naddreadnoughta. I tak jest wszędzie—kto wie, czy nie dlatego właśnie Europa wciąż jeszcze gore na czterech rogach.

EDWARD KOZIKOWSKI.

## Przy kweście.

*Pani, co lato spędza nad Adryjatykiem,  
a uśmiechów słonecznych uczy się w Paryżu,  
co zachwycać się umie zarówno bucikiem,  
jak Chrystusem Dürera rozpiętym na krzyżu,*

*Pani co z kardynalskim w Rzymie kapeluszem  
zamieniała ukłony na rannej przechadzce, —  
Gabryjela d'Annunzio sutym pióropuszem  
musnęła w zeszłym roku przy nadbrzeżnej chatce,*

*Pani blado-zielona, jako Simonetta, —  
niewód zawrotnych oczu zarzuciła we mnie  
i szczebiocząc, jak ptaszę, rzekła: „Pan poeta!  
Pan przebywa mistyczne niezgłębione ciemnie,*

*Pan kocha tajne runy, kryjące się w chmurach  
i magów, co nad Polską załamali dłonie,  
dziwną mądrość Zachodu, ukrytą w Ahurach,  
co ogniem symbolicznych przesłanek w nas płonie...*

*Polska—biedna, —pożarem i ogniem zorana!  
często dumalam o niej w rozkosznej Lorzonie,  
tam nad morzem tak—dobrze, brakło tylko pana,  
pan umie bajki splatać, jako w Romayanie,*

*Polska! szlochalam często nad szafirem morza,  
niekiedy radość wrzała — niech „przejdzie przez  
[rózgi“ —*

*Słowacki rzekł — spełniła się Opatrzność Boża...  
Prawda? — „Sęp ci wyjada nie serce, lecz mózgi“.*

*Widziałam kiedyś hordy biednych robotników,  
wygrażali się hardo przed pałacem ojca...  
w nas krew błękitna płynie, oni—niewolników  
śladem, i szczęście znajdują u pełnego kojca“.*

*— „O, pani! dziś ci brudni, nędzni robotnicy  
walczą o wolność Polski ze stuletnim wrogiem  
i ku twemu zdziwieniu zwa się pilsudczycy“!...  
„Tak? doprawdy, to—dziwne! a czy pan z van Goghem*

*śladem jego plam barwnych szedł w zagęstwia jaźni,  
czy pan z Kaintzem odbywał wloty i upadki?!  
a d'Annunzio, gdy mówi to—jaśniej i raźniej, —  
poznałam go przed rokiem, garnitur miał w kratki“.*

*Pani, co kocha słońce nad Adryjatykiem,  
a nad Polską boleje na weneckiej plaży,  
dziś kwestuje na nędzę, drzemiąc nad stolikiem, —  
trza dzień spędzać owocnie—cokolwiek się zdarzy...*

## PRZEGLĄD PRASY.

**Aigle Blanc** (tom I). Maj MCMXVI. Lozanna.

Wydawnictwo p. Jana Kucharzewskiego, informując opinię europejską o warunkach, w jakich się obecnie Polska znajduje, o naszych aspiracjach narodowych, o współżyciu z bratanymi narodami, które w skład Rzeczypospolitej niegdyś wchodziły, ma służyć przedewszystkiem idei niepodległej Polski. Taką zapowiedź daje redakcja.

Więc i Komitet „La Pologne et la Guerre“ śmieiej narzeszcie i w sposób więcej określony przemawiać zaczyna; do tej pory bowiem tym się wśród polskich agencji prasowych, jakie w Szwajcaryi istnieją, wyróżniał, że najstaranniej otaczał się tajemniczością, narzucając na siebie zasłonę z ogólników i frazeologii utkaną. Różnie można było jego stanowisko polityczne tłumaczyć. To też z radością powitać należy oświadczenie w „Aigle Blanc“, uczynione i z niecierpliwością oczekiwać ukazania się tomu trzeciego, który może postanowienie redakcji realizować zacznie.

Bo tom pierwszy („La Pologne, son passé et son present“ . Wilno), który mamy przed sobą, w sposób poważny i obiektywny informując o Polsce, mógłby być zarazem świadectwem, że o tem, co się teraz w niej dzieje, nad Lemanem nie wiedzą wcale. Wniosek o prawie Polski do niepodległego bytu z przeszłości jej wysnuty, bez uwzględnienia, bez przedstawienia obecnych państwowo-twórczych wysiłków naszych, nikomu do przekonania trafić nie może. Postulaty polityczne — politycznie uzasadniać trzeba. Nikt dziś nie przyzna niepodległości Egipcyanom w imię pamięci faraonów. I nasuwa się pytanie, dlaczego wśród portretów polskich bojowników, podanych w *Aigle Blanc*, napróżno szukamy sylwetki żołnierza dziś walczącego, choć przecież przemawia on dobitniej i wyraźniej, aniżeli pamięć Pułaskiego, Dąbrowskiego i innych.

Tkwi w tym błąd przedewszystkiem metody myślenia i działania politycznego. Poza tym wyraża się przyzwyczajenie nabyte w przeszłości, gdy nie przedstawiając żadnej siły, szukaliśmy ratunku w sentymencie cudzym i w hasłach ogólnikowych. Wreszcie w takim ujmowaniu sprawy polskiej odczuwa się brak decyzji i śmiałości, zbyt silne uzależnienie się od opinii obcych, czy czasem nie wstydlivość osobliwego rodzaju wobec Francuzów czy Anglików; czy czasem nie racluby na życzliwość koalicji?

Zapowiedziana treść tomu drugiego o realnym postawieniu sprawy niepodległości — nic też nie mówi. Bo przecież takiego znaczenia nie mają wyjątki z „Pamiętników Nauczyciela Poznańskiego“. Ciekawym będzie artykuł prof. Ludwika Janowskiego o oświacie w Polsce po podziałach, szczególnie chyba przedstawienie tych zmian, jakie w Królestwie w dziedzinie szkolnictwa teraz się odbyły.

Książka wydana bardzo starannie, obydwa artykuły opracowane sumiennie. Pierwszy z nich, napisany przez Drogosławę, zawiera w sobie zwięzłą historję Polski, przedstawienia jej stanu pod względem terytoryalnym, politycznym, ekonomicznym i kulturalnym. Drugi stanowi wyczerpującą monografię p. L. Janowskiego o Wilnie. Szkoda tylko, że prace te nie są przepojone chwilą obecną, szkoda, że książka nosi charakter pracy encyklopedycznej raczej niż politycznej.

Może to leżało w jej założeniu — ale w takim razie nie trzeba było wywoływać wrażenia, że zawiera ona argumenty na rzecz niepodległości. Bo tego właśnie brak jej zupełnie.

ts.

## KSIAŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

*Kazimierz Chłędowski*: „Rokoko we Włoszech“. Ludzie, literatura, sztuka. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa-Lublin-Łódź. Str. 550.

*Józef Weyssenhoff*: „Puszcza“. Powieść. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa-Lublin-Łódź. Str. 396.

*Wł. St. Reymont*: „Rok 1794: Nil desperandum“. Powieść historyczna. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 480.

*Antoni Chołoniewski*: „Istota walki polsko-rosyjskiej“. Kraków. Nakład księgarni G. Gebethnera i Sp. 1916. Str. 48.

*Adam Kazimierz Czartoryski*: „Katechizm Rycerski“. Wydał i przedmową poprzedził Henryk Mościcki. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa-Lublin-Łódź. Str. 62.

*H. M.*: „Trzeci Maj“ z dodatkiem „Katechizmu Narodowego“. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa, w 125 rocznicę w Maju 1916. Str. 144.

*A. O.*: „Sybir“. Obrazy i wspomnienia. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1916. Str. 154.

*A. O.*: „Etapami na Syberję“. Obrazy i wspomnienia. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1916. Str. 148.

*A. O.*: „Cytadela Warszawska“. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 1916. Str. 154.

„WIDNOKRĄG“ będzie nadal niezależnym organem myśli polskiej, będzie służył sprawie wskrzeszenia państwa polskiego, torując ku temu drogi we wszystkich dziedzinach życia narodowego.

„WIDNOKRĄG“ w szeregu pierwszych numerów ogłosi artykuły znanych publicystów, dotyczące najdonioślejszych zagadnień doby obecnej. Między innymi prace p. p.:

*Mieczysława Baumgarta, Gustawa Daniłowskiego, Marji Dąbrowskiej, Jana Grabowskiego, Gromicza, Tadeusza Gruzewskiego, Benedykta Hertza, Tadeusza Hołówki, Alfreda Lauterbacha, Jana Lemańskiego, Edwarda Lipińskiego, Cezarego Łagiewskiego, Wacława Makowskiego, J. Moczulskiego, M. Niedziałkowskiego, Obserwatora, M. Rómera, Wincentego Rzymowskiego, R. S., Wacława Sieroszewskiego, Edwarda Stońskiego, Tadeusza Szpotkańskiego, Artura Sliwińskiego, Henryka Tennenbauma, Józefa Wasercuga, Kazimierza Wroczyńskiego.*

Przedpłata WIDNOKRĘGU wynosi w Warszawie, wraz z odnoszeniem do domu, miesięcznie kop. 85; kwartalnie rb. 2 kop. 50; rocznie rb. 10. Z przesyłką pocztową kwartalnie rb. 3; rocznie rb. 12.

Za zmianę adresu dopłaca się kop. 20.

Administracja, prócz niedziel i świąt, otwarta codziennie od godz. 10 rano do 2 pp. i od 5 do 7 wiecz.

Redakcja, prócz niedziel i świąt, otwarta codziennie od godz. 6 do 7 pp.

Rękopisy nie przyjęte, są do odebrania w redakcji w ciągu 3 miesięcy. Potym ulegają zniszczeniu.

Dla studentów i nauczycieli ludowych 25% ustępstwa. Cena numeru oddzielnego w Warszawie kop. 22; na prowincji kop. 25.

# WID NO KRAG

№ 5 (R. II) Warszawa, 12 Sierpnia 1916

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 7. — TELEF. 158-90.

**TREŚĆ:** WINCENTY RZYMOWSKI: Z tamtego świata. — JÓZEF WASERCUG: Wsadzone mosty. — TADEUSZ SZPOTAŃSKI: Romuald Traugutt. — BRUNO WINAWER: Z dnia na dzień. — Książki nadesłane do redakcji. — Warunki przedpłaty.

W. RZYMOWSKI.

## Z tamtego świata.

1.

W ciągu ostatniego roku Warszawa, a poprzez Warszawę i Polska, wyrosła z wielu złudzeń, wyzbyła się wielu przywar. Wszelako dotąd trwa w uporze zachowania wszystkich swoich cnót. Powiem dokładniej: ozdrowiawszy z wielu wad, Warszawa wciąż jest chora jeszcze na niektóre cnoty.

2.

Jedną z cnót takich, których Warszawa do tej pory wyzbyć się nie może, jest cnota oszczędności. Wyniosła ją ona i przechowała, jako najcenniejszy z okresu niewoli klejnot. Od roku żyje i działa, a raczej krząta się i zabiega, pod jej znakiem, jak pod trójkątem opatrności. Od roku, to znaczy: o rok zadługo. Gdyby u kresu tego lata stawiono nam ryczałtowe pytanie: „Coście przez cały rok czynili?” — równie ryczałtowa odpowiedź wypaśoby musiała: „Oszczędzaliśmy“.

3.

Oszczędność, która dziś stała się naszą niemocą, była w latach niewoli moskiewskiej istotnie siłą naszą i obroną: obroną przeciw zaborczemu państwu.

Kogo nie stać na zdobywcość, ten bywa skazany na oszczędność. Kto nie może pomnażać swoich zysków, ten zmuszony bywa redukować wydatki; albowiem życie nie zna martwych punktów, i równowaga powstaje zawsze tylko ze skrzyżowania się dwu przeciwnych prądów siły. Na domiar nasza cnota oszczędności coraz bardziej stawała się cnotą indywidualną. Ponieważ Polska była tylko sumą jednostek poszczególnych, nie związanych żadną organizacją powszechno-narodową, tedy wszystko, co zostało ocalone dla jednostki, uchodziło za ocalone dla Polski. Każdy grosz, zarówno jak każdy żywot ludzki. In skuteczniej z ramienia zaborcy stosowany był program sproszkowania naszego społeczeństwa, tym wydatniej brała górę zasada obwarowywania się jednostki na gruncie jej osobniczego interesu. I jakżeż mogło być inaczej, skoro ponad interesem osobniczym stał nie interes zbiorowy, ale zbiorowy rozbój Azjaty?

4.

Pomijam pytanie, czy metoda powyższa, metoda krańcowej w obrębie społeczeństwa indywidualizacji jednostek oraz interesów, stosowana przez dłuższy przeciąg czasu, usprawiedliwiłaby samą siebie. Państwowość rosyjska pozostawiała w pokoju jednostkę zapewne dopóty, póki zajęta była przegryzaniem wiązań w budowie narodowego organizmu; wypruwszy z organizmu tego żyły i tętnice, niechybnie sięgnęłaby z kolei swym rozkładowym jadem do wewnętrznej treści komórek, podporządkowując sobie zarówno ich gospodarkę osobniczą, jak osobniczą ich psychologję. W ślad za ustępującym z areny narodowej typem męża publicznego w Polsce, ustąpić musiałby niechybnie Polak, jako człowiek prywatny.

Lecz zostawiając na boku pytanie, czy metoda taka usprawiedliwiłaby siebie wobec własnych skutków, na dalszą zamierzonych metę, nacisk położyć muszę na to, że w obliczu historii polskiej znajdowała ona usprawiedliwienie w jednym tylko rozkazniku: w bezwzględnym rozkazniku gromadzenia i przechowywania w jednostkach materiału wojennego na przyszłą, nieuniknioną, walną rozprawę z Rosją.

Ten jeden tylko rozkaznik mógł być historyczną legitymacją naszej oszczędności.

Póki są Polacy, póki trwają na swych zagrodach, póty powiedzieć można, że istnieją cegły dla odbudowy gmachu polskiego państwa, póty prawo mamy wołać: *Jeszcze nie zginęła!*

## 5.

W myśl tych historycznych założeń, moment wybuchu wojny powinien być stać się hasłem do zrewidowania zawartości wszystkich tych śpichlerzy siły polskiej, w których składano od półwiecza oszczędności indywidualne: zrewidowania ich pod kątem przydatności na walkę z Rosją. Co było złota w szkatułach, co było kruszcu w piersiach, co było umiłowania swobód we krwi, wszystko to należało przekuć na oręż przeciwko Rosji.

Moment ów minął niewyzyskany. Pałący się nad głową dach zastał nas przy liczeniu *drobnych*. Niebo zaczerwieniło się od łun, rzeki zaczerwieniły się od krwi, a Warszawa, w swej znacznej większości, w obliczu obu tych szkarłatów zgrozy, stała blada i bezmowna z rejestrem swych bieżących oszczędności w ręce, jak gdyby nic nie mając do zdobycia, wszystko — do ratowania: więc Narodowa Demokracja ratowała swe fotele w Dumie; więc Polskie Zjednoczenie Postępowe ratowało swą legalną koncesję na... wymarcie; więc stronnictwo Polityki Realnej ratowało swe dobre u rządu zaborczego imię, uwożąc je na północ pośpiesznym pociągami, jak szybko psujący się towar; więc... Dość! Nie mnożmy tych imponujących pozycji. Historia o nich zapomni.

Moment wybuchu wojny minął bezowocnie, ale, na szczęście, nie przeminął bezpowrotnie. Po roku ciężkiego zmagania się dwóch światów Europy, pod cyklopowym razem Dwuprzymierza pękła moskiewska wokół naszej szyi obroza niewoli. Rosja ustąpiła z granic Polski, w następstwie jęła cofać się z granic Litwy i Rusi, oczyszczając tym samym coraz szersze pole dla politycznej organizacji obszarów, wyzwolonych dla nowej ery życia.

Wówczas to wybiła dla nas ponownie godzina dziejowego wezwania: *do broni!* Do broni—na walkę z Rosją!

## 6.

Od roku stoją otworem przed nami drzwi historii. Te drzwi, które z łoskotem śmiertelnego wyroku zawarły się przed nami w dniach Kongresu Wiedeńskiego, które w roku 1831, na chwilę wyważone zbrojnym porywem narodu, zatrzasnęły się na nowo. i jeszcze srożej, na długą noc paszkiewiczowskich rządów; te drzwi, na których dłonie ojców naszych, już nie w otwartym boju, ale w rozpacznej okrwawiły się męce, szarpiając je tak, jak wieko trumny szarpie człowiek żywo pogrzebany: te drzwi rok temu stanęły przed nami otworem. Wyrwani od półtora wieku ze swego dziejowego łożyska, od lat stu wytrąceni ze swej twórczej politycznej roli, w jednym dniu odzyskaliśmy nanowo możliwość przerąbania drogi do swej histo-

rycznej puścizny, do korony Chrobrych i Batorych, do miecza Raclawic i Ostrołęki: w dniu wyparcia Rosjan z Warszawy. W tym jednym dniu nawiązała nam legenda Grochowskiego gaju, a stoki Cytadeli po raz pierwszy wschodzącemu słońcu odjęły chórem, w którym brzmiał smutek mógł, ale nie było rozpaczny szubienic. I w tym jednym dniu ożyły nowym życiem symbole najszczytniejszych naszych poczynań narodowych, symbole, które przez czas zbyt długi były już tylko relikwiami w arce polskiego męczeństwa, a teraz stały się na nowo drogowskazami dążenia i pracy: Kuźnica Kołłątajowska i wykwitłe z niej dzieło 3-go Maja; biała sukmana Kościuszki, od kul moskiewskich podarta, żywot i zgon Traugutta, ukoronowana na Wawelu trumna Mickiewicza: wszystko to, co, od Konfederatów Barskich aż do Okrzei i Mireckiego, skonfederowane było w Polsce pod hasłem niepodległości, stało się w Polsce hasłem do wojny z Rosją.

## 7.

To też, idąc śladem tych wszystkich drogowskazów historii, żywiły czynnej polityki w Polsce, rok temu, nazajutrz po odwaleniu głazu martwoty, która nas gniotła od trzech pokoleń, połączyły ideę odbudowy państwa polskiego z nieodwołalną potrzebą organizowania polskiego oręża na wojnę z Rosją.

Skoro nie dano nam było wyprzeć Moskali ze swej ziemi, tedy obowiązkiem i zadaniem naszym staje się zamknąć im do niej drogę powrotu. Jakimż ruchem dłoń z kajdan rozkuta, godniej poświadczyc może swe do wolności prawo, jeśli nie chwyceniem za miecz, mający tę wolność zabezpieczyć. Kto chce berło królewskie piastować, ten musi zarazem, obok tego godła władzy, wykuć dla się broń, godło siły. Niema na bożym świecie takiego rynku, na którymby można ojczyznę nabyć. Niema takiego targu, w którymby ją można wytargować. Ojczyznę można tylko zdobyć, zdobyć krwią własną na polu walki o jej byt i wielkość. Przyszłe państwo nasze tylko tak szeroko może się rozpostrzeć, jak szeroko sięgnie zamach polskiego ramienia w zbrojnym starciu z Rosją; i tyle tylko żywotności krążyć w nim będzie, ile krwi przelać jesteśmy gotowi dla jego odkupienia.

## 8.

Poza nakazem, wysnutym z całokształtu polskiej ideologii historycznej, za wzięciem przez nas czynnego udziału w wojnie z Rosją przemawia szereg argumentów natury bezpośrednio życiowej i praktycznej. Nie tylko błogosławią nas

na tę wojnę groby ojców naszych, ale nagłym głosem żywotnej konieczności wołają o nią kolebki polskich dzieci, które kajdan dziedziczyć nie zechcą. W wojnie tej streszcza się problemat całej naszej epoki obecnej. Nie będziemy w niej mieli nic do zrobienia, wyjdziemy z niej, jak leniwy robotnik z pustymi rękami, jeśli na barkach swych nie dźwigniemy tego jedyne go dzieła: dzieła wojny.

Owe argumenty, dorzucające swą wagę praktycznej wymowy do przesłanek historycznych, wyrazić się dadzą w czterech punktach:

I. Niepodległe państwo polskie, w wyniku wojny obecnej powstać mające do bytu, powstać może jedynie z wojennego łupu po Rosji. Na tę genezę naszej odbudowy politycznej obecnie zgodziliśmy się już wszyscy. Poświadczyły ją podpisem swym połączone stronnictwa polityczne w Radzie stoł m. Warszawy, opierając hasło niepodległości na gruzach władztwa rosyjskiego, na realnej podstawie klęski rosyjskiej. Deklaracja, przez Radę miejską w Warszawie złożona, a stawiająca państwo polskie, jako cel najwyższy polskich wysiłków, przez to jedno zdanie już stała się zasadniczym wypowiedzeniem wojny cesarstwu Rosyjskiemu, niezależnie od dalszych kroków, jakie uczyni, i niezależnie od hołdu, złożonego tym synom ojczyzny, którzy walczyli za wolność Polski pod Kościuszką, jak walczą za nią dziś pod Piłsudskim.

Lecz pomijając uroczyste akty i deklaracje, w których wypowiada się dusza narodu, spytajmy, czy każdym krokiem, w obrębie powszedniego życia, nie ciskamy rękawicy bojowej państwu Rosyjskiemu? Czy w beztroskim nastroju idąc do teatru na *Kordjana*, lub z orszakiem skautów jadąc na wycieczkę zamiejską, wstępując na profesorską katedrę we Wszechnicy, obchodząc święta rocznic narodowych lub wreszcie wchodząc do wielu już dzisiaj instytucji w Warszawie: czyż próg ich przekraczając, nie jesteśmy zmuszeni przekroczyć tej czarnej lawiny zastępów, którymi Rosja usłała podnóża Karpat, a które miały nas w żelaznej obręczy zjednoczenia zgnieść?

Oto, co się okazuje. Polak, pozostający sobą, samym już faktem tożsamości wyzywa Rosję. Każdym ruchem i każdym krokiem obejmuje w posiadanie obszar rosyjskich porażek i na nich byt swój zakłada. W ten sposób w przebiegu historycznym sprzęgły się ze sobą losy dwóch narodów, że Polak, żyjąc, żyje insurekcją przeciw Rosji, oddychając, oddycha buntem, a kupując bilet na *Kordjana* widmem bagnetu godzi w widmo cara rosyjskiego. Tak skrzyżowały się w historii losy dwóch narodów.

Gdy więc każdy ubytek Rosji, każda jej przegrana staje się dla nas przyrostem sił, każdy w jej potędze uczyniony wyłom otwiera przed nami nowe widoki rozwoju i wyzwala w nas utajone energie; gdy przyszłe państwo polskie oprze się na podstawie terytorjum, oderwanego od Rosji; gdy państwowość polska rodzi się z pogromu Rosji i tylko w granicach tego pogromu się zawrze: tedy jest rzeczą jasną, że wojna przeciw Rosji staje się w szeregu polskich czynników państwowotwórczych siłą naczelną, siłą budującą, podwaliną i kolebką, źródłem życia i ogniem oczyszczenia. Miecz przeciw Rosji wzniesiony, staje się po raz wtóry wielkim naszego państwa budowniczym. Tyle dla pracy pokojowej ogarniemy pola, ile on go nam z ucisku niewoli wyrąbie.

II. Jeżeli państwo polskie narodzić się może tylko z impetu wojny, to istnieć będzie jedynie jako pogotowie bojowe przeciw Rosji. Każdy dzień jego historycznego trwania będzie dla Rosji wspomnieniem jej straconych ofiar, jej olbrzymiej klęski, jej upokorzenia, krwawszego od wszystkich pobojuwisk. Nasz powrót do bytu politycznego stanie się dla Rosji wyrzuceniem jej poza drzwi Europy, i to wyrzuceniem w chwili, gdy właśnie zmierzała w tej Europie ku przenaajwyższemu miejscu. Dlatego też Polska, o ile powstać ma do trwałego bytu, już z samej chwili poczęcia wynieść musi ten zaczyn odporności i hartu, który w przyszłości będzie dla niej niezbędną i jedyną rękojmnią ocalenia. O ile żyć chcemy nie żywotem jednodziowym motyla, ale wrócić do wiekowych zadań, jakie nam przekazała historia, musimy tchu do życia zaczerpnąć nie z poza kulis dyplomacji, ale z wielkiego dziejowego wichru, i ognia z wielkiego pożaru: bo, prawdziwie, nie na siełankę wzywa nas byt niepodległy, i nie do udziału w uczcie świata nas zaprasza, ale na twarde zmaganie się w znoju i walce, na uporczywe zapasy z wrogimi siłami. To też Polska trwała i żywotna, Polska, godna swoich zadań, nie powstanie do bytu na stole porozumień kompromisowych: Polska, zdolna do ostania się wobec Rosji, może być tylko wykuta na kowadło wojny, wykuta młotem własnego oręża. Powołaniem naszym, jako państwa, było trzymanie straży cywilizacyjnej u wschodnich granic Europy; ta sama rola przypadnie nam w udziale teraz, gdy odzyskamy samodzielność państwową. Lecz jeśli czujność zbrojna będzie naszą misją, tedy już w punkcie jej wyjścia, w jej założeniu zawarty musi być ów pierwiastek zbrojności i czynu wojennego, który stać się ma składnikiem jej w dalszym rozwinięciu.

III. Wojna z Rosją, będąc naszą powinnością historyczną, jest zarazem naszym ludzkim

i obywatelskim prawem. Kto przemyślał jej konieczność do głębi, do samego jej dna, ten znalazł na jej dnie nie ciężki przymus losu, ale przychylność szczęśliwej okazji. O wojnę z Rosją modlił się Adam Mickiewicz najkorniejszymi modłami świętego człowieka. Romuald Traugutt stanął do niej, jak do bożej służby apostołstwa: w jego zgonie tkwi nie tylko majestat rycerza, ale i anielskość męczennika. Dziś, gdy spełnia się zgroza i marzenie wieków, gdy kilkadziesiąt ludów walczy o nowy ustrój świata, gdy na olbrzymich polach tej walki i nasz ustrój przyszły także się rozstrzyga: kogóż z nas nie trawi niepokój, czy ten ustrój nasz nie rozstrzyga się poza nami, czy nie postanawia się bez nas. Następstwa tej naszej nieobecności w dramacie walki, a co za tym idzie w układzie postanowień, byłyby zgubne zarówno dla całego narodu, jak i dla każdego z nas z osobna. Wyszlibyśmy bowiem z obecnej chwili dziejowej stokroć ubożsi, niżliśmy byli wówczas, gdyśmy w nią wstępowali, ubożsi od najuboższego nędzarza Serbji lub Czarnogóry. Ubożsi moralnie w każdej duszy, skurczeni duchowo w każdym ścięgnię, nadłamani duchowo w każdym karku, na całej olbrzymiej przestrzeni 20-stu milionów głów. Wyszlibyśmy nie jako naród z tej wojny narodów, ale jako czeladź, która została w domu, zdala od bitew, zdala od niebezpieczeństw, zdala od wysiłków, wówczas gdy nasz los, nasza dola przyszła w tych bitwach się ważyła i przesilała. To mówiąc, nie chcę, aby mię źle zrozumiano, zarzucając mi ślepotę na ogrom tych spustoszeń, którym uległ kraj nasz od Karpat po bagna Pińskie. Widzę je i oceniam. Lecz spustoszenia te należą do ofiar niedobrowolnych; należą do rodzaju strat spowodowanych przez żywiołowe wypadki, jak nawałnice i pioruny, powodzie i gradobicia. Z wykazem zaś takiego rodzaju ofiar iść można do towarzystw ubezpieczeniowych z żądaniem odszkodowania, ale nie można z nimi stawać przed trybunałem polityki i historii, bo tam tylko świadomie złożona ofiara, z dobrowolnego, świadomego zrodzona wysiłku, ma wagę i doniosłość. Jako bierne ofiary wojny będziemy mogli tylko odwoływać się zawsze do filantropji Europy; jako czynni uczestnicy wojny zyskamy prawo do udziału w jej decyzjach. W wiekach średnich ten tylko bywał obywatelem kraju, kto go bronił krwią własną przed nieprzyjacielem: ten należał do stanu rycerstwa i nosił złote ostrogi; reszta społeczeństwa pozostawała na poziomie upośledzenia moralnego i politycznego; stanowiła podścielisko społeczne dla klasy panującej. Wobec powszechnej militaryzacji świata, niepodobna oprzeć się pytaniu, czy podobny stosunek, jaki ongi zachodził we wzajemnym układzie klas społecznych, nie odżyje na ogromniejszą

skalę po wojnie we wzajemnym układzie narodów: kto nie przelewał krwi za sprawę, w której był wszystkimi włóknami swej istoty zainteresowany, ten zepchnięty zostanie w cudzym i własnym mniemaniu na podrzędne stanowisko półhelotów—półczeladzi. Złowieszczą przestrogą przemawiają ku nam z głębi dziejów przykłady wszystkich narodów bezoreźnych: od Greków z ery Aleksandryjskiej aż do Włochów z ery Oświecenia. Naród niezdatny do utrzymania żelaza w dłoni, musi żelazo nosić na karku w postaci jarzma. W naszej własnej historii dość jest przykładów na to, jak naród poprzez długotrwały pokój się rujnował, jak potem poprzez wojnę z ruiny się podnosił. Nie krwawe boje Batorego, ale półwiekowy pod rządami saskimi pokój wytoczył z państwa naszego krew i ostatecznie do grobu je powalił. Nic bowiem niema kosztowniejszego dla narodu i państwa, nic bardziej rujnującego, niż wojna o swojej porze niestoczona. Wojna odepchnięta mści się tak, jak owa belka z bajki, odpychana łapą niedźwiedzia: spada powtórnie na głowę dziesięciokrotnym ciężarem. I ktokolwiek w najskrytszy sens naszej historii nieustraszonym okiem wejrzał, ten wie, że państwo polskie umarło nie na tę wojnę, którą przegrało, ale na tę, od której się uchyliło.

Przed stu laty wojna napoleońska stała się piorunem, który mogiłę naszą rozorał i tlejące w narodzie iskry w olbrzymi zebrał płomień. Dziś, gdy z oczu ogółu polskiego nie zesła jeszcze doszczętnie stuletnia pleśń ucisku, pierwsze światło, jakie się przez tę pleśń przedziera, niesie już w sobie zrozumienie, że naród uczestniczy w zadaniach historii jedynie tą szczupłą cząstką, jaka stanęła w Legjonach, i że ta cząstka jest miejscem, od którego rany niewoli goić się w narodzie zaczynają. To też dzisiaj każdy żołnierz polski, który wraca z frontu Legjonów, wnosi wespół nas nie tylko nową miarę człowieka, która jest zapowiedzią naszej wielkości, ale i nową miarę higieny, która jest zapowiedzią naszego zdrowia. Z ucisku rządów rosyjskich wyzwolił nas oręż niemiecki i austrowęgierski; ale szczytność zamiarów i potęgę uczuć w naszej piersi wyzwolił tylko oręż polski w ręku polskiego żołnierza.

IV. Państwowość polska, organizując i na wyższy poziom podnosząc nasze siły moralne, jednocześnie najpewniejszą stworzy ochronę dla naszych zasobów materialnych. Zabezpieczając nas politycznie, stanie się również najlepszym dla narodu zabezpieczeniem ekonomicznym. Nie neutralność więc, ale wojna, wojna dla swoich zadań organizująca państwo, będzie tą jedyną postacią, w jakiej nasz stan posiadania w przemyśle, w handlu, i w rolnictwie—stan posiadania zarówno w lu-



dziach, jak w kapitale — może być ocalony dla przyszłości narodu. Jeżeli swych środków i zasobów ekonomicznych naród polski nie złoży na budowę własnej państwowości, tedy oddać je będzie musiał na użytek państw innych, którym przypadnie w udziale spełnienie zadań historycznych przez nas zaniedbanych. Zali możemy się ludzi, że, uchylając się w chwili obecnej od wojny, potrafiemy na zawsze odzegnać się od poborów krwi na polach przyszłych wojen? Straszne byłoby to złudzenie, i — nielitośnie kłam zadałaby mu przyszłość, jak zadaje mu kłam cała nasza historia porozbiorowa. Wszak od chwili, w której nam zbrakło państwa, od półtora niemal wieku, nie było na obu półkulach wojny, w którejby polska krew nie lała się obfitym strumieniem, w którejby polski nie szedł w perzynę dorobek! Brały z nas haracz krwi barykady Paryża i puszcze San Domingo, równiny węgierskie i pola Mandżurji, świadcząc o tym krańcu ostatecznej poniewierki, na którym staje człowiek wyzuty z ojczyzny: nędzarz, nie rozporządzający ceną własnej śmierci. Tylko państwo własne, państwo uzbrojone w armję, może nas z tej poniewierki wydobyć. Tylko ono zabezpieczyć nam może prawo do szafowania własnym dobytkiem i własną krwią dla własnych celów. Jeśli po wojnie tej pozostaniemy nadal, jak byliśmy, narodem bezpaństwowym i bezoreźnym, nie znaczy to, iż krew zachowamy dla siebie: nie! To znaczy tylko, iż krwi naszej szafarzami nadal pozostaną inni.

A i to dodać trzeba: jeżeli państwo polskie, na armji polskiej oparte, nie przedzieli swą samodzielną budową Rosji od mocarstw środkowych, jeśli nie stanie między nimi ścianą rozjemczą, tedy we wszystkich przyszłych starciach Zachodu ze Wschodem, Polacy, na ich pograniczu rozpostarci, zmuszeni będą nadal swe ręce broczyć krwią rodaków. Baczmyż więc na odpowiedzialność, jaka na nas ciąży. Każdy wysiłek, którego zaniedbamy na ołtarzu tej wojny w ofierze złożyć państwu polskiemu, każda z naszej strony, wobec mającego powstać państwa polskiego, oszczędność i powściągliwość obarczyć nas może kiedyś w obliczu wnuków winą podobnej tragedji, jaką przeżywamy sami: winą bratobójczej walki.

Albowiem kto w takiej, jak obecna, chwili, stara się oszczędzać dla dnia dzisiejszego, ten jest marnotrawcą w obliczu stuleci. Kto dziś w Polsce gromadzi zapasy indywidualnie, nie myśląc o zabezpieczeniu ogółu całości, ten w istocie ciuła jedynie kęsy łakome na żer dla obcej całości. Stojąc na takim, jak Polska, rozdrożu geograficznym i dziejowym, stratowani wojną i osaczeni zewsząd możliwością nowych niebezpie-

czeństw, możemy ostać się i materialnie i duchowo jedynie w stanowczym i mocnym oparciu o jedną ze stron walczących. Dlaczego, mianowicie, oparcie to może być dla nas tylko oparciem się o Zachód przeciw Wschodowi, wyjaśniałem już wyżej. Tu wszakże nacisk położyć wypada na to, że sojusznikiem Zachodu, — wogóle sojusznikiem czyimkolwiek — stać się możemy naprawdę tylko pod warunkiem przedstawienia dowodów cenności swego sojuszu. Te zaś dowody złożyć będziemy zdolni jedynie wychodząc z neutralności i wstępując na drogę państwowotwórczą, podejmując państwowotwórczą wojnę: tylko na polu wojny i poprzez nią możemy zadeklarować, ile jesteśmy warci na rynku przyszłych w Europie związków i antagonizmów. Poza wojną i bez niej, zachowamy nadal tę tylko wartość, jaką posiada mięso ludzkie: wartość żywej wagi. Nie umiejąc stać się sprzymierzeńcem dla jednej ze stron walczących, stać się możemy łupem dla wszystkich.

W okresie powszechnego nateżenia energji, w okresie powszechnej mobilizacji narodów, ten tylko naród ostoi się dla przyszłości, kto wszystek kapitał posiadania przetworzy na narzędzia czynu i na broń do walki. Śród wojny ten jest najbogatszy, kto się umie bić i ma karabin, nie zaś ten, kto ciuła i ma oszczędności; podobnież jak śród rozhukanej powodzi nie ten jest bogaty, kto ma bagaż ze sobą, ale ten, kto pływać umie.

## 9.

Oto są te przesłanki, natury historycznej, politycznej, moralnej i społecznej, które nam już rok temu — nam, przedniej straży polskiego czynu — kazały się oświadczyć za wojną natychmiastową przeciw Rosji, które nam już wówczas kazały w Legjonach, przeciw Rosji walczących, poczuć się punktem wyjścia dla armji polskiej. Wierzyliśmy tak głęboko w nieuskromioną dumę Warszawy, w podziemną lawę jej buntu, iż armja, samodzielnie powstająca z jej wnętrza, zdawała się nam pierwszą, najprostszą, instynktowną postacią, w jakiej z głębin jej krzywdy wybuchnie na powierzchnię rozpetany gniew. Ale Warszawa podówczas zbyt jeszcze ufała w swoich cnotach, śród niewoli wypróbowanych, aby miała się sprzeniewierzyć ich naczelnemu przykazaniu: przykazaniu oszczędności. Nawykłszy, poza dziedziną życia prywatnego, widzieć tylko dziedzinę rozboju i wyzysku, Warszawa nie porwała się do budownictwa własnej państwowości z taką skwapliwością, jakiej spodziewał się po niej duch niecierpliwych jednostek. Dziś widzimy, że nie mogło być inaczej. Że rok czasu był potrzebny na to, ażeby Warszawa przewyciężyć mogła samą sie-

bie; ażeby zrozumieć mogła, że najpewniejszą lokatą oszczędności dla każdego narodu jest — państwo własne. Rok czasu potrzebny był na to, ażeby do najszerszego ogółu dotarło zrozumienie, iż naszą największą w niewoli klęską nie były ofiary i cierpienia, ale niemożność rozwinięcia czynu; gdy się tedy otwarła swoboda, naszą największą zdobyczą staje się już suma rozwiniętej energii, gra natężonych mięśni, obudzenie śpiących uzdolnień, przywrócenie do życia dawno obumarłych możliwości. Rok czasu był potrzebny na to, rzekłem. Ale pono rzechy trafniej należało: rok czasu na to wystarczył. Wystarczył na to, aby po najszerszych masach rozszedł się *smak* swobody.

## 10.

Nie był to więc rok stracony. Niemniej wszakże był on niezmiernie kosztowny. Ta oszczędność, pod której znakiem schroniła się Warszawa, okupiona została przeraźliwymi cenami ofiar, poniesionych na wszystkich polach gospodarki narodowej, wykraczających poza rogatki „Komitetów Obywatelskich“. Gdy w Warszawie drobna, na milion skrętnych zabiegów rozpylona duszyczka, oszczędzała, kurczyła się i oszczędzała, Król-Duch narodu z otwartej rany krwią serdeczną po wszystkich polach broczył. Albowiem urągowiskiem z naszego własnego losu jest mniemanie, jakoby bezczynność nasza — bezczynność w znaczeniu dziejowym — usprawiedliwiała się rachunkiem, jakoby sama siebie opłacała! Niestety. Nie znam zgubniejszego przesądu ponad złudzenie, jakoby poczet naszych ofiar był mniejszy przeto, że nie posiadamy rozległego *własnego* frontu walki, jakobyśmy zaoszczędzili coś w dorobku narodowym na ograniczeniu bojowego stanowiska do tej skromnej reduty, na której walczą dziś, u wschodniej naszej rubieży, Legjony Polskie.

Nasz front walki czynnej jest krótki; rozpościera się zaledwie na trzy Brygady, to prawda; sięga zaledwie na 20 kilometrów, to prawda. Ale front naszych ofiar i strat wojennych niemniej przeto jest olbrzymio długi; jest tak długi, jak front całego narodu: rozpościera się na 20 milionów. Ten front ofiar i strat, który, w przeciwieństwie do frontu czynnego, nazwać trzeba frontem biernym, gdyż jest frontem poborów, jakie z nas wojna ściąga, działa ustawicznie, dzień za dniem, miesiąc po miesiącu, zaprzepaszczając sumy energii, zdolne do uruchomienia niezwyciężonej armji, zdolne do spiętrzenia niezdobytych warowni.

Te dwa fronty przeciwległe są dwoma światami współczesnej Polski. Najgłębsze ojczyzny naszej rozdarcie tedy właśnie przechodzi: wzdłuż prze-

paści, jaka te dwa światy dzieli, jaka dzieli *ten* świat... oszczędności od *tamtego* świata... poborów nędzy i zatury.

## 11.

Nie znam całej *tamtego* świata otchłani: nie zliczyłem wszystkich mogił polskich; nie ogarnąłem wszystkiej pogorzeli miast i wsi; nie obszedłem wszystkich stratowanych pól. Śród kręgów *tamtego* świata, na jeden krąg tylko miałem uchylony rąbek zasłony: przez jeden krąg przeszedłem: przez środowisko jeńców.

Widziałem jeńców Polaków, dzielących w Niemczech niewolę rosyjskich poddanych. Patrzyłem na nich w długie zimowe wieczory, gdy śród chóru dzikiej carosławnej pieśni, trzymając się zdała od śpiewających swoich towarzyszy, od dawnych swoich towarzyszy broni, żuli w milczeniu przekleństwa na swoją dolę bezpaństwowego narodu. Aczkolwiek przez władze niemieckie traktowani na równi z innymi, czuli się oni ostatnimi z ostatnich parjasów świata. W niewoli bowiem znika w człowieku to wszystko, co pochodzi z jego indywidualności, z klasy, z kultury: pozostaje on tylko jako wyobraziciel państwa, którego imię niósł na ostrzu swego bagnetu, pozostaje tylko jako forma ustosunkowania się państwa względem państwa. Dla Polaka więc pozostaje tylko zniewaga oblekającej go moskiewszczyzny. Już nauczył się jej nienawidzić; już nauczył się nią pogardzać, — a jeszcze musi ją na sobie nosić! Kto chce poznać zbrodnię tej sędziwej lekkomyślności, która przed dwoma laty pchała chłopca polskiego w obrożę rosyjskiego munduru, niechaj obaczy tego chłopca w obozie jeńców, gdy z Moskałem sprzęgnięty wspólnością niedoli i rozłąki z krajem, w tej podwójnej niedoli odczuł swoją wobec Rosji obcość i wrogość, odczuł wzajem od Rosji dla się obcość i wrogość.

Państwowość jest szóstym zmysłem człowieka: to się widzi śród obozu jeńców, gdzie wszystkie rekomendacje prywatne z człowieka odpadają, pozostają zaś tylko rekomendacje publiczno-państwowe. Włoch, Belg, nawet Serb jest w porównaniu z Polakiem możnowładcą, ponieważ posiada państwo, nie wykreślone z mapy. Belg i Czarnogórczyk liczą się tam jako tacy. Polak swą osobą pomnaża tam jedynie wielorakość Rosji.

Gdy Warszawa ustami nie swych polityków, ale swych pożyczkowo-oszczędnościowych buchalterów, oświadczyła rok temu, że niepodległość jest „nad stan“ dla Polski, że państwo własne i własna armja są dla na za kosztowne, nie wszyscy śnać mieli wiści z *tamtego* świata. Nie wszyscy wiedzieli, iż mołochowi, który nas pożera, na imię — bezpaństwowość, i że ten „stan“ ponad który nie kazano nam

się wznosić, jest pustynią przepojoną od łez i spaloną od przekleństw.

12

Wracając z *tamtego* świata Polski, rzekłbym — z frontu jej niedoli, poprzez gorycz niedoli tej niosłem jednak w sercu pewną pociechę i nadzieję, która — sama jedna — w możliwości jest okupić wszystkie moje doświadczenia: oto, że świat ów, nie jako widz i obserwator zwiedzałem, ale żem przeżył go, jako uczestnik, żem zważył go wagą własnego odczucia. To właśnie budziło we mnie nadzieję, że będę miał prawo do rodaków mówić o nim, nie jako artysta cudzego cierpienia, ale jak człowiek, który dla własnego bólu szuka ujścia w spowiedzi publicznej, i dla słów swoich, jak dla spowiedzi, żąda zaufania.

JÓZEF WASERCUG.

## Wysadzone mosty.

W dniu 5 tym sierpnia 1915 roku, mieszkańcy stolicy Polski zaczęli rozumieć wojnę.

Wszystko, co się przedtym na szerokim świecie, jako i na ziemi polskiej działo, — niosło Warszawie odgłos kataklizmu i tylko, jako odgłos, wnikało w jej świadomość.

Obrazy wojny: ranni, uchodźcy, przemarsze wojsk, nawet zaróżowiony nocą horyzont, nawet huk armat, dolatujący do miasta — dawały Warszawie jakby ułamkowe pojęcie wojny. Widziana i rozumiana od strony jej echa, to słabszego, to znów słyszanego wyraźniej, odczuwana niecałkowicie, w przejawach niektórych, drugo i trzeciorzędnych, w akcesorjach raz groźnych, kiedyndziej anegdotycznych, wojna wszechświatowa w ciągu pierwszego roku nie dała Warszawie pełnego poczucia odbywającego się przełomu, w istotnej, najgłębszej jego treści i w całej jego potędze.

Zakłopotanie, wątpliwości, lęk, przypuszczenia i przepowiednie, zabiegi w rzeczach małych i najmniejszych, *niezadowolnienie* z naruszonych norm i przyzwyczajzeń dotychczasowego bytowania — oto cechy zasadnicze tego poziomu, na jakim pozostawało miasto, nie wzniesione duchem i myślą na wyżyny chwili dziejowej, nie zbliżone uczuciem i rozumem do nowej rzeczywistości.

Warszawa trwała w pokojowym nawiasie wojny i miała nadzieję, że na zawsze w tym nawiasie pozostanie. Jako widz, conajwyżej, pewnych emocji nie pozbawiony. Dlatego wątpliwość i zakłopotanie zastępowały najwyższą trwogę i najwyższe nadzieje w stolicy narodu, którego losy rozstrzygają się w tej wojnie. Z tej prawdy Warszawa nie zdawała sobie zrazu należytej sprawy. O tym mówiono i pisano, lecz ten pewnik nie przeniknął w duszę miasta, w każdy jego nerw.

Fakt wojny był w świadomości Warszawy pomniejszony.

Jej myśl, zawarta w ramach orjentacyjnej tragedii, nie szamotała się w sieci sprzeczności, by rozerwać jej

oka i znaleźć wyjście na drogach zdecydowanego czynu, lecz trwała czas dłuższy w lenistwie, lub, co najlepsza, w stanie niespokojnego snu. Była to myśl we wszystkich swoich kierunkach *niedokończona*, czyli nieobowiązująca do realnych wniosków. Myśl, zatrzymująca się na każdej przeszkodzie, nie żeby ją przewyciężyć i usunąć, lecz żeby tam znaleźć miejsce spoczynku, kres swego biegu i swego świadomego życia. Zmierzała tam, gdzie jest grób czynu i woli, grób szczerych pragnień i żywiołowego samopoczucia: pod sztandar neutralności. Tam stawała się splotem wyrazów bez treści i znaczenia, bełkotem, niedorzecznością, poprostu — niczym. Ów sztandar skupiał wokół siebie wszelkiego gatunku niemoralnych fatalistów. Ta niemoralność, z biernym wyczekiwaniem jednoznaczna, bowiem zwalniająca od wszelkiej odpowiedzialności wobec najpierwszych spraw narodu, święciła znacznie większe tryumfy, niż wszystkie wpływy i wysiłki orjentacji rosyjskiej.

Miała orjentacja rosyjska cechy aktywizmu. Wychodząc z nieprzytomnego założenia, że zwycięstwo Rosji jest zwycięstwem sprawy polskiej, dawała wyraźną wskazówkę: trzeba pomóc Rosji. Ta jednak wskazówka wymagała takiego już zбочenia myśli narodowej, mieściła w sobie takie pierwiastki zaprzaństwa i historycznej niepamięci, że zawisnąć musiała jedynie w sferze agitacji — nieobowiązującej, fikcyjnej, nie prowadzącej do realnego czynu. Możemy bowiem z płaszczyzny takich czynów usunąć rzeczy natury sentymentalnej, jak np. pomoc niesiona w leczeniu rannych żołnierzy rosyjskich przez kilkakaset panien warszawskich. W rachubę czynów, odpowiadających liczebnej sile narodu i wytrzymujących zestawienie z jego siłą moralną, nie możemy brać utworzenia drużyn kainowych. Był to właśnie najbardziej widomy znak moralnej niemocy tej orjentacji, jej najwyższa przegrana.

W świadomości szerszych warstw ogółu odbiła się, jak we wklęsłym zwierciadle, i ujrzała własną karykaturę. Niosła wyłącznie agitacyjny frazes i tę całą truciznę, jaką frazes taki może w sobie zawierać. Nie zdołała wytrącić miasta ze stanu bierności. Raczej tę bierność pogłębiała: budząc conajwyżej nastrój powierzchowny, sprzyjający faktom pożądanym, lecz nie mogąc zrodzić współdziałania. Była to więc w wynikach „realnych“ również neutralność, choć nieco inna, bo ożywiona platonicznym pragnieniem i tego pragnienia najtańszymi wyrazami — w depeszach, deklaracjach, odezwach.

Wtedy to jednostki o pragnieniach *obowiązujących*, czyli ludzie czynu, przedzierali się poprzez fronty wojenne lub odbywali podróż okólną, żeby się dostać do Legionów.

O godzinie 6-ej rano, dnia 5 sierpnia rozległ się ogłuszający huk wysadzanych mostów. Rosjanie odchodziłi. Ta chwila nieśmiertelna oznaczała punkt zwrotny w nastroju Warszawy.

Kiedy wojska niemieckie stały o wiorst parę od rogatki warszawskich, a łuny pożarów zwiastowały wkroczenie Niemców lada godzina, miasto nie miało jeszcze tego uczucia, jakie budzić się zaczęło przy wejściu pierwszych niemieckich podjazdów. Więc Moskale *naprawdę* odeszli. Owo „naprawdę“ było wysiłkiem myśli, pragnącej objąć sens i znaczenie wiekopomnego faktu, który wydawał się zrazu czymś fantastycznym. Był to trud

tak wielki po roku omamień, błędów i hypnozy, że mieszkańcy Warszawy ułatwiali sobie zrozumienie nowej rzeczywistości, uważając ją za chwilową,—na tygodnie lub conajwyżej na miesiące obliczoną.

Ani dnia pierwszego, ani dni następnych nie zdawano sobie sprawy z dokonanej zmiany. Położenie zdawało się wciąż dziwnym, nawpół realnym. Kto odszedł? To pytanie nie stanęło w całej swej treści. Nie odpowiadało nań zrazu ani sumienie, ani serce, ani myśl stolicy. Że odszedł straszny wróg, kat i ciemiecza, że rozpoczyna się przez to nowa w dziejach Polski epoka. Strzały dochodzące z Pragi, utrudniały zrozumienie przełomu. Dopiero padające z niesłuchaną szybkością twierdze rosyjskie, budząc coraz większe zdumienie, wzmacniały „najśmielszą“ wówczas myśl: że kolos rosyjski *może* przegrać wojnę, że Moskale *mogą* do Warszawy nie powrócić. Myśl ta była zwiastunem wewnętrznej przemiany ducha stolicy. Pękło jedno ogniwo kajdan, nałożonych na duszę polską: gasła wiara w niezmożoną potęgę Rosji, wojującej w przymierzu z Francją i Anglią.

\*

Minał rok. W ramach tego krótkiego czasu odbył się wielki historyczny proces odmiany nie tylko zewnętrznej. Warszawa szukała własnej wobec nowych warunków postawy.

Jeszcze działała tu silnie inercja niewoli, kiedy rozdził się już czyn samodzielny. Dlatego możliwa była uchwała Komitetu Obywatelskiego w sprawie wykładu języka rosyjskiego w szkołach polskich, kiedy już zorganizowano polskie sądy. Tak — w tych krzyżujących się odruchach niewolniczego lęku i czynach budzącej się woli stolicy, upłynął szereg miesięcy.

Wskreszenie Uniwersytetu polskiego napełniło serca polskie radością, chociaż w niejednym z tych serc taίło się jeszcze tradycyjne załękniecie, podejrzliwość i nieufność, z którą nieodłącznie sądzono żyć narodowi polskiemu w ciągu stuletniej niewoli. I tu więc odbywała się przemiana poprzez sprzeczność między pozostałościami minionych czasów a wkraczaniem w nowe warunki narodowego bytu.

Jeszcze miasto było dalekie od otrząśnienia się z omamień poprzedniego roku, jeszcze nie przetarło dobrze oczu, jeszcze się duch stolicy nie był wyprostował, a już zdolna była do oddania hołdu poległym w bojach bohaterskich żołnierzom polskim. Na pierwszych pogrzebach przez ulice Warszawy, w najwyższym skupieniu i w ogromnym orszaku żałobnym sunących, odbyło się wielkie jej zbliżenie do idei Legjonów. Było to pierwsze wysadzenie mostu niewoli, jaki łączył Warszawę z Rosją. Hołd oddany poległym legionistom był przecież hołdem dla czynu, przeciw Rosji wymierzonego.

Nadszedł dzień 3-ci Maja, dzień w historii narodu po wieczne czasy niezapomniany, dzień najgłębszego westchnienia do niepodległego bytu.

Po takim dniu, słowa zawarte w deklaracji Rady miejskiej były już raczej formalnym uzupełnieniem odbytej żywiółowo manifestacji. Uzupełnienie to formalne, lecz konieczne, jako akt pierwszej reprezentacji stolicy, w tym właśnie charakterze — najbardziej doniosły.

W duchu i sumieniu Warszawy, w ciągu tego roku, wszystkie mosty, łączące ją z Rosją zostały zerwane. Ku gruzom tych mostów schodzą się jeszcze nie-

wolnicy, na ich szczątkach i złomach usiłując wyczytać wskazówki, rady i rozkazy, idące od Wschodu, lecz czynią to już cichaczem i w jakowymś zawstyżeniu.

A jest ich coraz mniej.

Warszawa coraz lepiej rozumie wojnę. Po bierności roku pierwszego, po wyzwolenicznych słowach i gestach roku drugiego, sposobi się do czynów w trzecim roku wojny wszechświatowej.

Wielkie opóźnienie tylko wielkim czynem jest w stanie okupić.

---

TADEUSZ SZPOTAŃSKI.

## Romuald Traugutt.

Dla dzisiejszej Polski insurekcyjnej, która przez ubiegłe lata rzeźbiła duszę narodu, i kuć usiłowała szlak do niepodległości wiodący, rok 63-ci nie jest i być nie może jeno wspomnieniem, jeno kartą odbiegłej historii. Odwagą swą i energją krzepił on jej wolę; w blasku, którym jak wielka pochodnia oświecił krwawą drogę męczącego się w kajdanach pokolenia naszego, rozkwitało i tężało uczucie polskiej nienawiści do Rosji, historją jego wzbogacała się myśl, szukająca drogi do pogromu wroga. Rok 63-ci stać się musiał i stał się naszym osobistym przeżyciem.

Byli i są jeszcze tacy, którzy powstanie styczniowe krytykować próbują, poddać treść jego, jego istnienie drobiazgowej analizie, stwierdzić, że było tylko szaleństwem. Wyrwijmy ten rozdział z naszej historii, usuńmy z niej to szaleństwo, a zrozumiemy, jakim wielkim jest ono dla nas dorobkiem. Rok 63-ci bronił nas od rozpacz, beznadziejności i apatji. Swym męstwem i ofiarą, swym trwaniem i walką cudowną sankcjonował on wszelką myśl o boju nowym, wszelki wysiłek do czynu zmierzający, uświęcał wszelkie ofiary dla niepodległości ponoszone.

Rok 63-ci właściwie usuwa się z pod krytyki, ponad wszelkie ataki wyrasta, jak wyrasta ponad nie to wszystko, co jest koniecznością moralną. Można wskazywać na poszczególne błędy w organizacji jego, czy w taktyce tkwiące, można badać przyczyny niepowodzeń jego i upadku, nie sposób uderzać w jego istnienie, nie sposób go do kategorii błędów lub omyłek zaliczać.

...„Powiem, mówił Padlewski dn. 16 stycznia r. 1863, że danie rekruta jest najzupełniejszą zdradą narodu, jest obaleniem tej chorągwi narodowej, którą duch tak wysoko podniósł i tak wytrwale utrzymał; jest to potwierdzenie, że powstać nie jesteśmy zdolni, jest to nikczemność ducha uczynić chlebem powszednim... Największa przegrana osłodzi z czasem narodowi jego rany bolesne, lecz zdrada odkłada jego tryumf na najdłuższe czasy klęsk najsmutniejszych.

Tak rozumiem i za to umrę“.

Na czele powstania od połowy października r. 1863 do 9 kwietnia r. 1864 stał Romuald Traugutt.

Dnia 17 października zebrał się na posiedzenie Rząd Narodowy. Wkrótce po rozpoczęciu obrad przyszedł Traugutt, który przed tygodniem przyjechał z Krakowa. W energicznych, zwięzłych słowach wskazał na błędy, popełniane przez dotychczasowe kierownictwo ru-

chu i oświadczył, że członkowie Rządu Narodowego mogą nadal rozporządzać swymi osobami zupełnie swobodnie, gdyż on sam ster władzy obejmuje, a oni Rządem Narodowym od tej chwili być przestają.

Podobno nikt na te słowa nie odpowiedział. Milcząc rozeszli się wszyscy, może pod wpływem stanowczości i prawdy tkwiącej w przemówieniu Traugutta, może z wewnętrznym w głębi duszy zadowoleniem, że przyszedł ktoś, co dobrowolnie wziął na siebie ciężar cały.

I od tej pory datuje się t. zw. tajna dyktatura Traugutta.

W zasadzie dyktatura może się zjawiać tylko wśród narodu wolnego, a przynajmniej wśród narodu, który, jak jedna armja, walką jest objęty, który więc po żołniersku wolnym się czuje, i w tej wolności od siebie karności, dla siebie jednej woli kierowniczej żąda.

Podczas powstania wolności takiej nie było.

Na Litwie bezbronne znikają wsie całe w perzynę przez żołdactwo rosyjskie niszczone, a mieszkańców ich aż po podnóża gór Ałtajskich pędzono. Żmudź gorzała luną pożarów, pastwiono się nad Białorusią, ludność Królestwa Polskiego była znękana i rozbita. Na placach Warszawy wbijano pale i u tych pali publicznie ludzi tracono, zapełnione były więzienia, wszelkie więzy organizacyjne i społeczne co chwila były targane.

W takim położeniu nad narodem nie można dyktatury sprawować.

O dyktaturę nikt się nie umawia, nie jest ona kontraktem między społeczeństwem a jednostką zawartym, dyktatury się nie dyskutuje i nie ustanawia. Przychodzi ona jak żywioł, wykwita z skonsolidowanej woli narodu, jego harmonji i zgody. Dyktatura w splocie wypadków się rodzi, zwykle dzieje jej żądają i jedna i ta sama siła nie w każdym momencie dyktaturę w ręce ująć jest zdolna. Potęgą jej bowiem jest raczej społeczną niż indywidualną.

Można sięgnąć po dyktaturę i brać ją siłą, ale taka dyktatura jest tylko terorem.

W roku 63-im społeczeństwo polskie, rozbite przez przebiegające wszczep i wzdłuż odziały wojska rosyjskiego, przeciwstawić się jawnie najazdowi w całości swej nie mogło, nie mogło nazewnątrz zaznaczyć zbiorowo swej woli, swych uczuć, scharmonizować czynu ze swym pragnieniem, jak to czynili ci, co na pole bitwy się udawali. Nie mogła więc z niego wyrosnąć dyktatura, nie przedstawiało ono ponadto siły, mogącej dyktaturze poparcia udzielić, siły dla każdej dyktatury nieodzownej. Ale im cięższe były warunki działania, im trudniejsze okoliczności zewnętrzne, tym mocniej duchowo skupiano się koło samej idei, tem szczerzej przyjmowano autorytet siły moralnej, szukając w niej zbawienia i ratunku. Toteż rok 63-ci w dużej mierze posiada cechy ruchu religijnego, których objaśnienia w tym właśnie zjawisku szukać należy. Zbrojne jednak szeregi, dla czynu swego musiały szukać konkretnego oparcia, musiały mieć wyraz swej walki na forum życia politycznego, musiały otrzymywać pomoc i pracę, której społeczeństwo spełnić nie było w stanie, kierownictwo, którego każda armja walcząca od narodu swego wymaga. Zadania tego podjął się Traugutt. Sam winien był starczyć za naród. Jego tradycje, jego marzenia, jego uczucia, egzaltację jego, przetopić miał w codziennej, szarej pracy konspiracyjnej na formę materialną, organizacyjną; miał objąć myślą potrzeby walczących szeregów i ogólne wskazówki im dawać, wczuć

się w ówczesną duszę narodu, by stać się jego istotnym odpowiednikiem, wnikać w sytuację polityczną i strzec w niej stanowiska sprawy polskiej.—Traugutt do chwili swego uwięzienia zadanie to spełniał. Nie było przedstawicielstwa narodowego, które łączyłoby go z narodem i za ten naród mówiło, nie było Rządu Narodowego, i, poza szczupłą garstką pomocników,—nikt przy jego boku nie stał. Traugutt stał się więc rozumem, uczuciem i wolą powstania, jego władzą prawodawczą i egzekutywą, stał się więc rozumem, uczuciem i wolą narodu. W tym tkwi jego wielkość i jego wyłączność. Nie naród jego, ale on naród do działania pobudzał, on wskazówki mu dawał, był nie tylko wodzem jego, ale prawodawcą, jednocześnie mocodawcą zbrojnie walczących oddziałów. Imię jego było prawie nieznane, na ziemi, o której wolność walczył, nie panował, ukrywać się z największą ostrożnością musiał, a jednak postać jego nad ruchem góruje, pozostał w historii jako jego chorąży i przodownik. I choć nie udało mu się przeprowadzić dwóch zasadniczych reform — zamienienia partyzantki w wojnę regularną i przeobrażenia oddziałów w jednolitą armję, do której popolite ruszenie powołać zamysłał, jednak ta praca, której dokonał, czyni siłą rzeczy nie tylko naczelnika, ale i dyktatora.

Naródczci go, jak bohatera. Bohaterem Traugutt nie był, przynajmniej w polskim rozumieniu bohaterstwa. Bohaterów czci się w Polsce dość łatwo. Chyba w żadnym narodzie kult ich nie nosi tych cech, które w Polsce posiada i w żadnym innym narodzie nie są otoczeni oni taką frazeologją, jak u nas. Odbija się w tym cała przepaść, jaka istnieje pomiędzy zadaniami, które przed narodem naszym leżą, a zdolnością jego do ich spełnienia konieczną, pomiędzy ogółem społeczeństwa, a jednostką do czynu potrzebnego stojącą. To też giną zwykle w ofierze ci, co ponad naród się wznoszą; palą się jak kadzidła, imienia nie zostawiają po ciele spalonym. Naród ma dla nich wdzięczność, cześć i uznanie, szczególnie dla tych, co do przeszłości należą. Ale przecież bohaterstwo ogółu nie obowiązuje. Łukasińskiego może i śmie książkę Konstancy z pośród nas wywlec do więzień rosyjskich, śmierć Konarskiego jest upadkiem olbrzymich przygotowań powstańczych, ruiną wszystkich jego wysiłków, bo wraz z nią społeczeństwo czuje się zwolnione od kontynuowania jego dążeń, ze śmiercią Traugutta nikt go zastąpić nie może i nie próbuje, i generał Bosak, wierny jego towarzysz, z pola bitew ustąpić musi. Wszyscy oni na bohaterów kreowani zostali, choć można powiedzieć, że w tych wszystkich wypadkach kreowanie na bohaterstwo było degradacją. Nie ofiarność dla narodu była tu głównym czynem. Traugutt, który przystąpił do powstania dopiero w parę miesięcy po jego wybuchu, który w czasie walk z ramienia rządu zagranicę objeżdża, jest spokojnym, zimnym, rozważnym człowiekiem, a nie bohaterem polskim. Cechuje go zaciekłość w stosunku do przeciwników, nie waha się nazywać ich gorszymi wrogami od Moskali, cechuje go stanowczość, czasem wzgarda; gdy np. jeden z członków organizacji wystąpił z projektem, by w czasie Bożego Narodzenia do żołnierzy rosyjskich z opłatkiem podchodzić, Traugutt go od wszelkiej pracy natychmiast odrzucił; cechuje go siła i wola, oraz umiejętność i ciągłość działania.

Nie przez zgon swój, ale przez życie swoje Traugutt dla narodu żyć powinien, bo zgon jego był tylko

prostą jego pracy konsekwencją. Inaczej być nie mogło. Konała sprawa, umrzeć więc musiał człowiek, który tej sprawy stał się uosobieniem; zginął człowiek, który potrafił z siebie sprawę uczynić — zginęła sama sprawa.

Rząd moskiewski pętlącą rzuconą na szyję Traugutta zacieśniał i dusił walkę o wolność Polski, grzebał jej przyszłość. W całym swym państwie mógł ogłosić radośnie, że polski rząd narodowy nie istnieje.

Warszawa żegnała Traugutta z bólem i z rozpaczą.

To już w logice historii leży, że każdy dzień wesela Polski jest dniem klęski moskiewskiej, że każda radość Moskwy i każdy jej tryumf jest nowym dla nas pogromem, nowym nieszczęściem.

BRUNO WINAWER.

## Z dnia na dzień.

17 lipca 1916 r.

Czytałem wzmianki dziennikarskie o zgonie Miecznikowa. O, jakże są wdzięczne. Takie naiwnie proste i takie dosłownie skądciś przepisane. Cóż—Miecznikow nie pisał „Carycy“, był chlubą *Institut de France*, ale nie współpracował przy „Institut de beauté“—jest przeto obojętny dla idyociejących w pierwszych rzędach krzesel redaktorów pism warszawskich. Czyż warto mówić o autorze, któremu nie zawdzięczamy ani jednego *miłego wieczoru*, ani jednej premjery z Kabotyńskim w roli tytułowej?

Prace zmarłego bakterjologa i tytana wiedzy biologicznej znam z referatów. Wiem, że był pod koniec życia filozofem-optimistą, wierzył, iż nauka zapewni ludziom kiedyś życie długie a radosne i zwalczy starość, która jest—poprostu chorobą. Trzeba tylko znaleźć środek na pewne bakcyle, gdnieżdzące się—w—pardon—ślepej kiszce, a będziemy wiecznie młodzi. Właśnie—bakcyle! Przed wojną byliśmy wszyscy zdania, że to one są największymi wrogami ludzkości. Dziś—umiemy się dzielnie tępić sami i nie zazdrościmy laurów lasecznikom, mikrobom, przecinkom. Niech się który bakcyl porówna z tą czy ową ofensywą!

Ze wszystkich stworów wszechświata tylko *homo sapiens* potrafi przez dziesiątki lat dbać o higienę i nie pluć na podłogę w tramwaju po to, aby następnie zainscenizować bitwę, w której setki tysięcy ludzi giną...

18 lipca.

Mikrobom wogóle należy się rehabilitacja. Zanadto je obgadywano, mieszano z błotem. Wszystkie zarazki razem nie czynią wśród ludzkości takich spustoszeń, jakie — powiedzmy — jedna jakaś drobna kwestja stylistyczna czyniła ongi w średniowieczu. Proste zagadnienie ortograficzne, jak właściwie należy pisać przymiotnik grecki, odnoszący się do pewnej nader wysoko postawionej osoby, wyludniło swego czasu ziemię bardziej, niż zaraza. Proste sylogizmy bywały szkodliwsze dla zdrowia i życia, niż najszorstsza epidemia. Dla uciesznych nieporozumień djalektycznych płonęły wsie, pustoszały miasta, ginęły pokolenia. Można dni całe na myśleniu strawić i nie wymyśleć sprawy głupszej i blahszej od

tych, dla których ludzie umierali ongi, jak muchy, w przeświadczeniu, że tak być powinno. Przeszłość wogóle obfituje w „kulturcuriosa“ — jak to pięknie powiedział młody uczoney niemiecki, pan Kemmerich.

19 lipca.

Bo jak, jeżeli nie *curiosum*, nazwać np. taką historjykę, w średniowieczu powszednią? Naród A różni się cokolwiek z narodem B w poglądach na życie pozagrobowe. Więc wypowiada mu wojnę, wycina go w pień, o ile przedtym sam nie zostanie wycięty. Albo to: większa gromada mężów dorosłych, t. zw. wiernych, tworzy nagle zrzeszenie czy kooperatywę w celu wytępienia co do nogi innych mężów t. zw. niewiernych czyli pogan. Wojuję z nimi długo—rąbie, tnie, pali bez miłosierdzia i właściwie — bez celu. Bez celu! Bo nie było jeszcze wtedy fabrykantów armat na świecie, nikt nie potrafił prochu wynaleźć, przemysł był w powijakach, nikt więc z wojny nie miał profitu. Na szczęście historia posuwa się naprzód. Gutenberg—niechaj mu ziemia lekką będzie!—wymyślił ruchome czcionki, którym zawdzięczamy nasze dziennikarstwo, a Kolumb odkrył Amerykę z jej trustami, syndykatami, Rooseveltem i Wilsonem, i zaczęły się wogóle czasy nowsze, bez *curiosów*. Dziś każdy wie, o co walczy. Naród A broni swej ojczyzny, naród B czyni to samo, z tego powodu naród C zaciera ręce i robi miliony. Naród D wychodzi zawsze „jak Zabłocki na mydle“.

A propos! Do historyków naszych: za mało wiemy o Zabłockim i mydle. Czy nie udałoby się ustalić daty urodzin Don Kiszota polskiego i czy dzień, w którym zawarł słynną swą transakcję, nie powinien być obchodzony uroczystie przez polityków naszych i mężów stanu?

## KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

- Biblioteczka Uniwersytetów Ludowych i Młodzieży Szkolnej:  
 1) „Ustawa Rządowa z dn. 3 Maja 1791 r.“ 2) „Katechizm Narodowy z r. 1791“. Nakład Gebethnera i Wolf-  
 fa. Warszawa-Lublin-Łódź.  
*Stanisław Przybyszewski*: „De profundis“. Powieść. Str. 180.  
 Warszawa, 1916. Nakład F. Hoesicka.  
*Szymon Rundstein*: „Szkoły wojenne“. Teorja nadzwyczajnych  
 indemnizacji w prawie publicznym. Warszawa, 1916.  
 Nakład F. Hoesicka. Str. 304.  
*Szymon Rundstein*: „Wykładnia prawa i orzecznictwo“. Przy-  
 czynki metodologiczne. Warszawa, 1916. Nakład F. Hoesicka. Str. 200.

*Przedpłata WIDNOKRĘGU wynosi w Warszawie, wraz z odnoszeniem do domu, miesięcznie kop. 85; kwartalnie rb. 2 kop. 50; rocznie rb. 10. Z przesyłką pocztową kwartalnie rb. 3; rocznie rb. 12.*

*Za zmianę adresu dopłaca się kop. 20.*

*Administracja, prócz niedziel i świąt, otwarta codziennie od godz. 10 rano do 2 pp. i od 5 do 7 wiecz.*

*Redakcja, prócz niedziel i świąt, otwarta codziennie od godz. 6 do 7 pp.*

*Rękopisy nie przyjęte są do odebrania w redakcji w ciągu 3 miesięcy. Potym ulegają zniszczeniu.*

*Dla studentów i nauczycieli ludowych 25% ustępstwa. Cena numeru oddzielnego w Warszawie kop. 22; na prowincji kop. 25.*

# WID NO KRAG

№ 6 (R. II) Warszawa, 19 Sierpnia 1916  
KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 7. — TELEF. 158-90.

**TREŚĆ:** T. GRUŻEWSKI: Droga dziejowa a manowiec. — T. HOŁÓWKO: B. K. — J. KADEN: † Kapitan Sław-Zwierzyński. — B. HERTZ: Ludzie i korki. — Z Rady miejskiej. — Dwie rezolucje. — B. WINAWER: Z dnia na dzień. — Z. PIECHACZKÓWNA: Mogiły. — Z publicystyki szwedzkiej. — Listy do Redakcji.

TADEUSZ GRUŻEWSKI.

## Droga dziejowa a manowiec.

Po katastrofie 1863-go roku przed narodem naszym stanęła groza ostatecznego upadku: poza bezpośrednimi skutkami klęski i aktami tryumfującej przemocy nad duchem narodowym, które prowadziło do abdykacji, do zbiorowego wyzucia się ze znamion i aspiracji narodu historycznego. Chorobliwej zmianie uległa cała perspektywa: już nie niewola z jej naturalnymi skutkami, z nieuniknionym upadkiem w przyszłości, lecz katastrofa przegranej walki stała w oczach niedobitków i następnego pokolenia *summum malum*, którego przedewszystkim strzedz się należy, któremu za wszelką cenę trzeba zapobiec. Wspólnym gruntem dla programu pracy organicznej w Królestwie i dla ideologii szkoły krakowskiej w Galicji była reakcja popowstaniowa. Twórcom i propagatorom obu tych kierunków o to przedewszystkim chodziło, ażeby

raz na zawsze wyrwać z narodu wszelką myśl buntowniczą, myśl o walce zbrojnej z Rosją. Radykalna kuracja w tym kierunku wymagała okaleczenia i zubożenia naszej świadomości narodowej; podjęto się tego niszczycielskiego dzieła z całą gorliwością i z czystym sumieniem. Smutno pomyśleć, ile pracy, a nawet talentu poszło u nas na wykolejenie świadomości zbiorowej, na to, iżby naród pogodził się szczerze ze stanem niewoli, iżby porzucił swoją właściwą drogę dziejową, zeszedł na manowce jakiejś wegetacji nawpółplemiennej i tam zbłąkał się ostatecznie.

Naród ujarzmiony, który nie chce rezygnować ze swej przyszłości, musi pragnąć i wyczekiwać burz i przewrotów. Tylko w takich chwilach ma on szanse odzyskania tego, co niebacznie utracił. Lecz jest rzeczą najwyższej wagi, iżby „chwila osobliwa“ dziejów zastała naród należycie na jej spotkanie przygotowanym. Dotyczy to różnych środków organizacyjnych i technicznych, lecz chodzi przede wszystkim o przygotowanie moralne, które jest koniecznym warunkiem wszelkich innych przygotowań. Centralnym tedy punktem właściwych usiłowań jest utrzymywanie, rozwijanie i pochrzestowanie ducha narodowego, gdyż ten w chwilach stanowczych staje się wśród szeregu przyjaznych okoliczności głównym czynnikiem. Pod duchem nie należy rozumieć pustych frazesów lub jałowego marzycielstwa, lecz ścisłe połączenie określonej myśli ze zdecydowanym postanowieniem działania w imię jej i dla niej. Ten duch stanowi o politycznej wartości narodu i o jego losie, gdyż najprzyjaźniejsze okoliczności nie mogą na dłuższą metę braku jego zastąpić. Dla narodu ujarzmionego jest on jedyną rękojmią przyszłego wyzwolenia i odrodzenia.

Skoro naczelną przesłanką dla jednych było przykazanie: „ducha nie gaście“, dla innych, dla ich przeciwników całe zadanie na tym polegało, iżby go można gruntownie zagasić. Tylko za tę cenę odchodziło niebezpieczeństwo „nierozważnych porywów“, a marne wegetowanie w ramach obcego ucisku stawało się normalną egzystencją narodową. Z gorliwością, godną lepszej sprawy, zabrano się do zagaszenia ducha narodowego, a ważną częścią tego niszczycielskiego zadania było spalenie, zaciemnienie i zatarcie elementarnych pojęć o istocie stosunków międzynarodowych i najpowszechniejszych faktów politycznych.

Wspomnieliśmy już, jak wielką wagę dla narodu ujarzmionego mają wstrząśnienia i przewroty. Otóż dla uleczenia nas z wszelkiej skłonności do zgubnej gorączki, ustalono dogmat, że żadnych przewrotów pomyślnych dla sprawy polskiej już nie będzie. Zawyrokowano, że sprawa „nieodwołalnie“ zesła z widowni międzynarodowej. Ten absurd, któremu obecna rzeczywistość kłam zada-

je, powtarzał się niezliczoną ilość razy w artykułach dzienników, w broszurach i książkach, stworzył całą literaturę, szerzącą wśród ogółu bezmyślność i bierność.

Utrzymywać, że okoliczności zewnętrzne nie wysuną nigdy sprawy polskiej, jest to stwierdzać niezmienną istniejącego *status quo* — wierutny absurd, który oczywiście nie mógł wpływać ani z rozważań historycznych, ani wogóle z przesłanek umysłowych. Wpływał on wyłącznie z założenia praktycznego: trzeba było odebrać społeczeństwu polskiemu wszelką nadzieję na sprzyjający obrót okoliczności zewnętrznych, ażeby skłonić je do rezygnacji, do porzucenia wszelkich twórczych nadziei, do pogodzenia z losem, zamykającym przed nami wszystkie drogi, oprócz jednej, po której mieliśmy się staczać do niechybnego upadku. Powyższy dogmatyczny absurd o „nieodwołalnej“ degradacji sprawy polskiej nie zawierał żadnej treści politycznej lub historycznej, lecz miał, niestety: całkiem określoną treść psychologiczną. Wyrażał pragnienie i zamiar zupełnej bierności wobec wszelkich możliwych zmian i przewrotów, jakie zająć mogą na lądzie europejskim, choćby nawet w jego części środkowej. Idąc za wskazaniem realizmu i trzeźwości, mieliśmy się wyrzec tego rodzaju rachub i oczekiwań, a gdyby nawet wbrew oczekiwaniom wstrząśnienia i gwałtowne zamiary przyszły, to *dla nas* miały one nie istnieć zgoła. *Dla nas* miały one stanowić tylko ciężkie zakłócenie normalnego bytowania, które trzeba przetrwać, a nie życiódajne źródło, z którego trzeba czerpać.

Znana jest anegdota o pewnym osobniku, który mniemał, że jego własna impotencja jest skutkiem zasadniczej biologicznej zmiany w całym rodzaju ludzkim, że ten zerwał ze starymi koniecznościami... Podobnie ci, co skazywali naród na impotencję polityczną, wmawiali w siebie i w innych, że cały świat poszedł w tym samym kierunku, że już przestał dbać o zadania polityczne i potęgę państwową i zamknął się raz na zawsze w ramach pracy pokojowej.

Wbrew tamtej fałszywej, niedorzecznej i samobójczej ideologii, utrzymywało się w mniej licznych kołach naszego ogółu mocne przekonanie, że konjunktury międzynarodowe są rzeczą zmienną, że w bliższej lub nieco dalszej przyszłości mogą przyjść najprzyjaźniejsze okoliczności zewnętrzne, że chodzi tylko o to, iżby sam naród w takiej chwili okazał dostateczną siłę moralną oraz jasną świadomość swych zadań, ażeby sam nie zaprzeczył swemu prawu do przyszłości. Nie przechodzi bezkarnie dla świadomości narodowej opuszczenie

drogi dziejowej i błąkanie się po manowcach, gdzie rozpraszają się jej najcenniejsze pierwiastki, gdzie świadomości tej zagraża rozkład, a z nią i samejmu narodowi.

Że obawa ta była aż nadto uzasadniona, to okazało się dowodnie podczas kryzysu rosyjskiego, to okazuje się również na tle obecnych wypadków.

Ś. p. Zygmunt Miłkowski napisał przed laty kilkunastu, że rok 1863-ci zostawił wielką moralną puściznę, która uchroniła naród od zaprzaństwa i zgnilizny. W tych trafnych i głębokich słowach było jednak zbyt wiele optymizmu. Puścizna 1863 roku była niewątpliwie wielkim skarbem, lecz wobec późniejszych objawów nie okazała się dostatecznym środkiem ochronnym. Już za życia współczesnego pokolenia usuwały się wspomnienia pamiętnego roku w jakąś dal zamierzchłą.

Dzisiaj z pod grubej warstwy śmiecia odkopywać musimy pełną świadomość historycznego narodu; na szczęście i potężny wichur wypadków rozrzucą wstrętą pokrywę.

---

TADEUSZ HOŁÓWKO.

## B. K.

I.

Często dają się słyszeć głosy, gdy mowa o charakterze Warszawy, iż jej niedorożnięcie do zadań obecnej doby historycznej ma swe źródło w długoletnich na jej gruncie rządach Narodowej Demokracji: że mikroby jej niezawodnego, w pewnych kołach zwyrodnienia, mają na imię: Dmowski, Lutosławski, Sadzewicz...

Ja tego rozpowszechnionego zdania nie podzielam. Tamta trójca—bądź co bądź—reprezentowała pewien pogląd polityczny; miała pewien cel realny (samorząd), do którego wytrwale dążyła. Te ich dążenia były potworne, lecz nikt im nie odmówi, że tkwiła w nich wyraźna *myśl*.

I myślą się ci, którzy sądzą, że strach był przyczyną ucieczki p. Dmowskiego i jego towarzyszków. Nie; ucieczka nie była dla nich szukaniem schroniska, ale poszukiwaniem nowego pola działalności.

Ten człowiek, znając siebie, doskonale wiedział, że tego pokroju indywidua co on, potrafią się do wszelkich warunków przystosować, że nie dla nich są przewidziane więzienia i obozy dla jeńców. Uciekli oni po to, by do końca móc swobodnie bronić swego programu, pracować dla zwycięstwa swej karkołomnej idei. To ludzie myśli—i dla tego można być pewnym, że potrafią oni sami sobie powiedzieć, iż grę przegrali, potrafią głośno do tego się przyznać, w porę zamilknąć, uznając swoje bankructwo.

Bankrutować zaś może tylko ten, kto przedtem coś



posiadał. Bankructwo bywa tym większe, im energiczniejsza była uprzednia działalność.

Dziś w Warszawie panoszy się na powierzchni życia—nie na jego szczytach i w jego głębinach, bo tam nurtują odrodzeńczą falą już wielkie siły twórczości—spisek *Bezmyślności i Koltunerji*, wzorem wszystkich innych spisków i zespołów, znaczący imię swe inicjałami B. K. Krąży wieść, że poza tymi literami stoi żywy człowiek. Nie wiem. Być może. Jeśli tak jest, dowodziłoby to, że człowiekiem stała się pieczęć pospolitości i jałowizny, odcisnięta na bruku warszawskim przez ostatnie lat kilkadziesiąt niwelujących Warszawę prądów „usmirenja“.

W ciągu swych ostatnich lat kilkadziesiąt życia Warszawy było w gruncie rzeczy potworne, straszne i ponure. Podówczas to „Kurjer Warszawski“ podjął się wdzięcznej roli przesłonięcia tej grozy życia naszego kolorami swych „tęczowych baniek“, podjął się przemalowania tego surowego obrazu prawdy w oczach warszawianina na roześmiany, różowy obraz farsy i operetki.

To pismo prowadziło zastępy warszawian na pokłon nowowchodzącej gwiazdzie baletu, ono to uczyło młodzież podziwiać nóżki Mesalówny, biło na alarm o potrzebie ciepłych ustroni na placach miejskich, piorunowało na drożyznę olejku rycynowego, tworzyło poematy z procesu Ronikiera i Bispinga, pisało serdeczne nekrologi na skon „rycerskiego“ Skalfona, skrapiało słuzem swego zachwytu dąb zasadzony własnoręcznie przez „samego“ p. Engałyczewa—słowem, istotnie robiło życie warszawianina szumnym, barwnym, pełnym wielkich trosk o małe rzeczy, zato wyzutym z troski o rzeczy wielkie, robiło zeń człowieka najzupełniej z siebie, z otoczenia i warunków zadowolonego.

Cóż więc dziwnego, że wszyscy zmęczeni, nieufni w skuteczność wysiłków poprzednich pokoleń, spieszyli na łono „Kurjera Warszawskiego“, skwapliwie tym samym wpisując się w szeregi bractwa, które zapewniało im spokój duszy i dobroć tuszy!

I oto wyrosło pokolenie, dla którego „Kurjer Warszawski“ stał się Ewangelją, niosącą ludziom wieść o błogim zaniku wszelkiej za swój byt odpowiedzialności.

Z tego to zaniku odpowiedzialności za swe myśli i ruchy narodził się symbol *Bezmyślności i Koltunerji* pan B. K. (skoro mamy już to *coś szarego* za człowieka uważać).

B. K.—to klucz do zrozumienia psychologii wszystkich w Warszawie miernoty, szarzyzny i przeciętności.

\*

Pewne koła inteligencji jednostronnie oceniają p. B. K., traktując go jako postać komiczną i godną lekceważenia. W niektórych np. redakcjach sportem stało się wykrywanie sprzeczności w artykułach p. B. K.

Istotnie, ktoby chciał w ciągu kilku godzin uśmieć się wesoło, ten niechaj przejrzy sobie roczniki „Kurjera Warszawskiego“ z dwóch lat wojny. Nie przeczę, że byłby to śmiech zasłużony. Nie zapominajmy jednak, że poza p. B. K. jako jednostką, istnieje p. B. K. jako zja-

wisko społeczne. Jednostka może być komiczna. Zjawisko, przez nią uosobiane, niemniej przeto nie przestaje być smutne.

\*

P. B. K. występuje na arenę wojny dopiero 7 lutego 1915 r.—i występuje odrazu jako płomienny zwolennik odezwy Księcia Moskiewskiego. Jednym skokiem w patriotyzmie rosyjskim prześciga samych Rosjan, dowodząc, że Rosjaninowi nie wolno wątpić o niewolniczości Polaków, gdyż to maćci dobre stosunki obu narodów. Oto głębokim bólem napelniają go podejrzenia p. Milukowa co do szczerości Polaków wobec Rosji i Odezwy Jej Naczelnego Wodza. P. B. K. z oburzeniem odpiera te „krzywdzące“ naród polski podejrzenia i mówi: „Naród polski wypowiedział się jasno o świetnym celu zjednoczenia ziem polskich. Sądzimy, że nigdy wola narodu nie znalazła lepszego wyrazu. Z chwili, kiedy cel ten stanął nam przed oczyma, zamglily się<sup>1)</sup> bolesne wspomnienia przeszłości, zatarły się z długiego doświadczenia płynące powątpiewania“.

„Naród polski znalazł się znowu duchowo jeden z zapalem, wpatrzony w promienne zapowiedzi“ — pisze p. B. K. i upewnia, że naród polski i nadal będzie kroczył „drogą właściwą“ i na niej wytrwa, gdyż „wierzymy, że ziszczą się zapowiedzi odezwy Wodza Naczelnego“.

Trudno pozornie o większą szczerłość i „wiarę“ w swoje ideały. Zobaczmy, jak długo przy niej pan B. K. wytrwa. Póki jednak przy niej trwać będzie, bądźmy pewni, że nie omieszka jej przeprowadzić poprzez wszystkie etapy absurdów.

W Nr. 120 „Kurjera Warszawskiego“ z d. 2 maja 1915 r., a więc wówczas, gdy rozpoczęła się wielka bitwa pod Gorlicami, od której datować się będzie nowa era w dziejach Europy—p. B. K. zamieszcza artykuł p. t. „Mącenie prawdy“ skierowany wyraźnie pod adresem ówczesnego obozu niepodległościowego.

W tym artykule p. B. K. uwydatnia, iż jedynie Rosja, Francja i Anglja są naszymi przyjaciółmi. Zgadza się jednocześnie w tym artykule z napaścią Świętochowskiego na Legjony Polskie; w dalszym ciągu stwierdza, że optymizm co do realności postulatu zjednoczenia ziem polskich pod berłem moskiewskim „płynie ze źródeł historycznych i logicznych“ gdyż wszystkie narody dążą przedewszystkim do zjednoczenia i powołuje się (dosłownie!) na Włochy, które pragną Tryentu, na Serbję, która chce Bośni i Hercegowiny, Bułgarję, która chce Macedonji i t. d.

Według teorii p. B. K., Serbja jest dzisiaj u szczytu swych marzeń—gdyż jest cała zjednoczoną pod władzą Austro-Węgier...

Minęło dwa dni. Dnia 4 maja 1915 r., opierał pan B. K. swój optymizm co do realności programu zjednoczenia ziem polskich na tym, że „leży ono w interesie państwowym rosyjskim“, gdyż Rosja siłą przyczyn logiki dziejowej według logiki p. B. K., będzie musiała całą swoją uwagę skupić na Dalekim Wschodzie i Konstantynopolu (rzeczą niewątpliwą było dla p. B. K. że Rosja zasiądzie nad Bosforem). Wobec tego musi ona mieć spokój na Zachodniej granicy i ten spokój, tą

<sup>1)</sup> Wszędzie podkreślenia moje. T. H.

tamą przeciw Zachodowi mogła być według p. B. K. jedynie silna, zjednoczona Polska.

Przychodzą klęski rosyjskie w Galicji, a jednocześnie z nimi gwałtowne zainteresowanie się w Petersburgu kwestją polską. Powstaje sławetna, tragicomiczna komisja polsko-rosyjska. Pan B. K. mało się niepokoi klęskami w Galicji, lecz jest rozczulony i przejęty tą łaską monarszą. „Komisja rosyjsko-polska — pisze — jest wybitnym i znamienym zdarzeniem w naszym życiu politycznym i narodowym. Odezwa z dziedziny wysokiej wartości moralnej, pozyskuje aprobatę kół miarodajnych, ale staje się zarazem punktem wyjścia do działań *praktycznych*“. Lecz oto klęski rosyjskie w Galicji przybierają katastrofalne rozmiary, upada Lwów, huk armat zbliża się pod mury Warszawy, wycofywanie się Rosji z Królestwa, jest już rzeczą postanowioną, a więc w Petersburgu na kilka dni przed ewakuacją Warszawy Goremykin oznajmia uroczystie o zamierzeniu monarchy nadania Królestwu autonomji. Europa ironizuje i drwi z tej spóźnionej łaski monarszej dla wymykającej się „prowincji“. Warszawa w obliczu przełomu również nie zwraca na tą łaskę najmniejszej uwagi.

Jedynym człowiekiem w całej Europie i Polsce, który tą szopkę potraktował na serjo, był mistrz kołtunerji—p. B. K.

2 sierpnia 1915 r., a więc *dwa dni* przed ewakuacją Warszawy, która już od dwóch tygodni stała w wieńcu podpalanych na pożegnanie przez kozaków wsi i miasteczek, pisze p. B. K. artykuł p. t. „Autonomja Polski“—który naprawdę możnaby u innego publicysty o większych ambicjach uważać za łabędzi śpiew nad własną naiwnością, za piekący sarkazm i za drwiny z samego siebie.

„Tak więc wytrwałe dążenia społeczeństwa naszego—czytamy w „Kurjerze“, doczekały się chwili, kiedy uznano je za konieczną podstawę stosunków polsko-rosyjskich i za wybitną część programu państwowego. Od lat osiemdziesięciu kilku nie było w dziejach Królestwa tak znamienego momentu jak obecny. Deklaracja prezesa rady ministrów mówi o nadaniu Polsce autonomji dopiero po ukończeniu wojny, co jest oczywiste i zrozumiałe wobec tego, że działania wojenne rozwijają się na terytorjach polskich. Nie uzależnia ona wszakże zapowiedzi autonomicznych od tego lub innego wyniku wojny. W ten sposób pozyskujemy zapewnienia ogromnej wagi, że jeśliby nawet nie dane nam było jeszcze osiągnięcia zasadniczego celu polskiego: Zjednoczenia, to w każdym razie stosunek Polski do Rosji ulegnie bezwarunkowej zmianie w myśl oświadczenia wczorajszego (Goremykina)“.

Ostatni frazes jest nader znamieny. Gdy na początku wojny próchniejące pióro Świętochowskiego orzekło: bądźmy pod knutem, byle razem, — po roku, gdy program „zjednoczenia“ się rozchwiał, kołtunerja warszawska ustami p. B. K. wyznała: niechaj nawet zjednoczenia nie będzie, byle knut został, knut dla przyzwoitości zwany—autonomją. Oto, dokąd nas wiodła ewolucja polityczna pod gwiazdą Mikołaja.

Jeżeli uprzytomnimy sobie, że słowa te pisane były dwa dni przed ewakuacją Warszawy przez Rosjan, to niepokój ogarnąć nas musi na myśl, że publicysta i polityk, któremu wypadki tak okropny zadały

klęm, nie zamilkł na zawsze, że pozbawiony zdolności, tak jednocześnie wyzuty jest z krytycyzmu.

\*

Pan B. K. nie zamilkł.

Przychodzi dzień 5 sierpnia 1915 r., a wraz z nią przychodzi transformacja p. B. K.

Dopóki rządził Królestwem Mikołaj Mikołajewicz, p. B. K. widział w nim wcielenie opatrności polskiej. Wierzył w niego, jak arab w proroka. Zespółł się tak ściśle z jego manifestem, jak grudka wilgotnej ziemi z podeszwą żołnierskiego buta. Gdy Mikołaj sromotnie pobity, odszedł za Niemen i Dźwinę, w Polsce natomiast zapanował nowy rzeczy porządek, p. B. K. nie bolał nad zmianą, ale bez wahania pogodnie orzekł: „Dobrze jest“.

Dnia 6 stycznia 1916 r., ogłasza on artykuł p. t. „Tezy p. Napieralskiego“. Tezy p. Napieralskiego polegały na twierdzeniu, iż w interesie Niemiec i Austy leży stworzenie silnej Polski. Panu B. K. nadzwyczajnie się ten pogląd podobał. „Bardzo pragnęlibyśmy, aby ten pogląd rozpowszechnił się w państwach centralnych, ponieważ jesteśmy przekonani (słuchajcie!) że mając tak potężnych sojuszników Ojczyzna nasza tym łatwiej pozyskałaby mogła całkiem normalne warunki istnienia“.

Już zamiast wrogów zaciętych w państwach centralnych, p. B. K. gotów widzieć potężnych sojuszników.

Na tym nie koniec. Pana B. K. oburza pytanie Napieralskiego, jak pragnęliby Polacy urządzić się politycznie.

„Wśród narodów sąsiednich, peroruje p. B. K., jest ono zupełnie zbędne, bo one znają nas oddawna, znają nasze siły narodowe, nasze dążenia polityczne, nasze tradycje historyczne“. Zdawałoby się, przypominając sobie chociażby artykuły p. B. K. w odpowiedzi p. Milukowowi, — iż obecnie konsekwentnie odpowie, że naród Polski wierny „swemu optymizmowi, płynącemu ze źródeł historycznych i nadal „wypowiada się jasno o świetnym celu zjednoczenia ziem polskich“ — „zapatrzony w promienne zapowiedzi“ Naczelnego Wodza rosyjskiego kroczy „drogą właściwą“.

Ale gdzież tam! Pan B. K. z największym oburzeniem upewnia „że tylko panu Napieralskiemu się wydaje, iż trzeba jeszcze pytać nas, czy chcemy wolnej Ojczyzny“.

Innymi słowy, p. B. K. upewnia, iż on zawsze stał na stanowisku niepodległości Polski. Lecz jak wobec tego stoi sprawa z autonomją?

Pan B. K. przesłał obecne swoje zdanie w tej materji na ręce posła Harusewicza, nawiązując do jego przemówienia podczas kwietniowej sesji Dumy Rosyjskiej, gdzie poseł ten rozwijał postulaty ongiś wyłuszczone w artykule p. B. K. p. t. „Autonomja Polski“. Pan B. K. jest wyraźnie niezadowolony z tego wystąpienia p. Harusewicza, czemu daje wyraz w artykule p. t. „Błąd posła Harusewicza“.

„Należało — poucza swego byłego ideowego współtowarzysza p. B. K., a więc i samego siebie, z przed kilku miesięcy — powiedzieć Rosjanom otwarcie i bez ogródek: program autonomiczny nigdy nie był wyrazem najszczęśliwszych i najistotniejszych dążeń narodu polskiego. Koleje losów zmuszają narody do kompromisów, do poszukiwania *modus vivendi*, ale tak wielka sprawa naro-

dowa, jak nasza, nigdy nie może być rozwiązywana paljatywami. O tym wszyscy byliśmy zawsze najgłębiej przekonani“ (!). Niech czytelnik nie sądzi, że drwię z niego—zaręczam, że artykuły „Autonomja Polski“ i „Błąd Harusewicza“ pisał ten sam publicysta: p. Bolesław Koskowski.

Aby wszystkie wątpliwości pod tym względem usunąć, można przytoczyć jeszcze odpowiedź pana B. K. Sazonowowi i Milukowowi na ich solenne przyrzeczenia, że Polska otrzyma autonomję. „Wszelkie pomysły autonomiczne dla Polski—pisze p. B. K. 26 lipca r. b.—są w naszej opinji stanowczo pogrzebane, nie mówiąc o tym, że nigdy nie były istotnym wyrazem aspiracji narodu, który posiada silną świadomość swych praw historycznych i twardo stoi przy postulatcie niepodległości“.

W taki to sposób pan B. K. stojąc zrazu „twardo“ przy postulatcie autonomji, stanął teraz „twardo“ przy postulatcie niepodległości, a w razie zmiany warunków, rzecz jasna, znowu stanąłby „twardo“ przy postulatcie autonomji.

JULJUSZ KADEN.

## † Kapitan Sław-Zwierzynski.

Stanisław Zwierzynski urodził się 13-go maja 1892 r. w Brześciu Litewskim. Ukończywszy tam szkołę średnią, uczęszczał na politechnikę we Lwowie, pracując równocześnie we Lwowskim Związku Strzeleckim. Przeszedł przez wszystkie stopnie, kończąc chlubnie szkołę rekrucką, podoficerską, oficerską niższą i wyższą. Był komendantem plutonu w szkole rekruckiej, instruktorem technicznym w szkole oficerskiej niższej. Porucznikiem mianowany został podczas wojny 9 października w Jakubowicach 1914 r., kapitanem 1 stycznia 1915 r. w Lipnicy Murowanej. Dowodził kolejno bataljonem V i VI-ym, zaś od stycznia 1915 roku aż do 4-go lipca 1916 r., t. j. do dnia śmierci, I bataljonem 5 pułku piechoty Legionów (2 strzelców I Brygady).

Brał udział, prócz czasu, w którym się leczył z rany zadanej pod Limanową — we wszystkich walkach I Brygady. Jego karta wojskowa zawiera wszystkie nazwy głośne w dziejach Brygady, wszystkie te miejscowości, gdzie się łamało nieprzyjaciela, lub wstrzymywało napór jego przewagi liczebnej.

Dowodził swoim bataljonem w dwudziestu kilku bitwach i wślwił się w nich. Zdobycie Swojkowa, szturm na Włostów, atak na Kamieniec (pod Konarami), szturm pod Urzędowem (Lubelskie), szturm na majdan Krasinieński, walki nad Stochodem, słynny szturm pod Sławygorozem, szturm pod Kostiuchnówką, gdzie przebijając się z swym bataljonem, padł trafiony w serce,—oto kilka tylko największych czynów wojennych kapitana Sława-Zwierzynskiego.

Ujmując rzecz treściwie, godząc parę słów wspomnienia z [faktyczną prawdą tej postaci, należałoby tu przerwać...

Kapitan Sław-Zwierzynski, okryty chwałą swych czynów, walcząc po bohatersku, padł w boju.

Życia Jego nikt tak streścić nie może, zgonu Jego

nic tak ściśle odtworzyć nie zdoła, jak rozkaz dzienny, odczytany przed frontem.

Jest rzeczą zdumiewającą, że właśnie poza wojskowym ujęciem, osoba, dusza młodego kapitana wymyka się z wszelkiego określenia.

Choć się Go znało i żyło z nim, nie wie się nic o tym wszystkim, co stanowi zarys historyczny upodobań, tętno pożądań, tęsknotę i sprawę młodego życia. Tak, jakgdyby to wszystko wyraziło się już w czynie wojennym bez reszty.

Wszystko inne otoczone jest pobłażliwym przemilczeniem.

W potocznym życiu nie było ani śladu, w równoważnej mierze dni Kapitana nie było wyraźnego odbicia tego rozmachu i piorunującej werwy, z jaką walczył.

Lecz z drugiej strony, łatwo można było poznać, że to nie rezerwa czy ekonomja środków i zasobów codziennych, zbieranych skrętnie, gwoli wydania w trudne święto wojennej potrzeby... Tryb tej postaci sprężystej nie ulegał żadnym zmianom, w czasie wielkich zadań, ciężkiej bitwy i surowej odpowiedzialności.

Był w tym jakiś głęboki, chłodny czar... Pozorna szarość owa mieściła w sobie wiele tych najprawdziwszych cnót, jakich potrzeba do stwarzania wielkości i prostoty w działaniu...

Trudno sobie wyobrazić Kapitana Sława w gloriach choćby najszczerzego patosu... Trudno Go sobie wyobrazić w rytmie choćby najwznioślejszych pochwał, chociaż to, co sprawiał i działał na wojnie, tak często graniczyło z wzniosłością.

Przemieszkowała w nim gorzka zagadka pokolenia, które się wyrzec musiało wszelkiego patosu, któremu rzeczywistość nie oszczędziła najgrubszych prawd?

Lecz określenie to niesie w sobie cały szereg ograniczeń, ujarznień i jest niesłuszne, bo w charakterze kap. Sława nie było ich.

Rzeczywistość? Lecz przecie to jest właśnie tak dziwne i piękne, że w duszy tego oficera obowiązek najsurowszy utożsamiał się z najgłębszą wolą wolną.

Przebijając się z bataljonem, padł w czasie szturmury rażony w serce...

Zaś teraz najsmutniejsza żalu przekora, — rzeczywistości przeczy...

Oto nagle, — szuka się w zapadającym mroku tej twarzy szarej, ściągłej o ziemistej cerze, bladych, cichych ustach i obojętnym spojrzeniu szarych, zimnych oczu...

Tak chętnie o świcie spotkać by się chciało kapitana Sława, jak idzie lekko wzdłuż okopu...

Tak chętnie pod ciężką, czarną chmurą burzy, w łomocie karabinów i gwałcie armatnich salw, chciałoby się znów zobaczyć tę półdzieciną, półprzejrzalą twarz i jej pobłażliwy, skąpy uśmiech...

Mówię o zmroku, o świcie, w czasie nadciągającej burzy—bo tacy ludzie są szczęściem i pewnością przełomu, bo się ich nie ima wahanie nowości, zaś w działaniu i w walce są ciosem pewnym i straszliwym.

Celem zyskania możności unormowania nakładu pisma, Administracja „Widnokregu“ prosi Szanownych Abonentów o wczesne nadsyłanie prenumeraty.

BENEDYKT HERTZ.

## Ludzie i korki.

Upłynął już rok drugi od wybuchu wojny europejskiej; blisko od dwu lat miliony ludzi, odzianych w mundury żołnierskie, strzelają do milionów ludzi, noszących inny fason żołnierskich mundurów; dżgają się bagnietami, rozrywają bombami...

„Vae victis!“

I hasło to ogarnia coraz liczniejsze zastępy, dziesiątki i setki milionów, zainteresowanych w wojnie, lub opłacających ją daniną nędzy.

Lecz spytajcie, jaki jest sens tej bijatyki, poco się ona toczy, kto jej chce i czego się po niej spodziewa?—nie wiadomo, czy znajdzie się kilka setek ludzi, umiejących dorzecznie na to odpowiedzieć.

Ogół dawno już puścił w niepamięć angielskie deklamacje o wolności „małych narodów“... Umilkły też fanfary rosyjskie o wyzwaniu słowiańszczyzny. Z za obu tych płacht sztandarowych zdążyło wyjrzeć prawdziwe oblicze chłodnych dyplomatów, niedostępnych dla sentymentów, a cynicznie rzucających w tłum frazesy humanitarne.

Wszak nie można powiedzieć przeciętnemu Bullowi prosto: „Idź, morduj“... Trzeba mu to jakoś pięknie, a zrozumiale dla tępej głowy przedstawić, podniecić go, rozniecić ambicję bohaterstwa. Więc nie mówi się: „Idź, morduj, ale: „idź, broń!“...

A czego?

Mniejsza o to. Niezłębione chamstwo społecznego tłumu nie wymaga wielkiego wysiłku myśli, gdy chodzi o popełnienie go w kierunku, obranym przez pastuchów. Jeden brat pójdzie bronić Belgji, a drugi... „ładu“ w Irlandji.

Popi, walący hurmem do Lwowa, też jechali bronić czegoś, co do ich biednej, wytresowanej wyobraźni nastrożyła agitacja.

\*

Niemniej jednak, wojna obecna sens jakiś mieć musi. Nie było bowiem dotąd ani jednej wielkiej wojny, któraby nie miała sensu, leżącego najczęściej daleko poza polem widzenia społeczeństwa.

Gdy w r. 1605, w miasteczku Donauwörth pobili się katolicy z protestantami, nikt nie przypuszczał, iż wynikną stąd przewlekłe walki religijne, które po latach kilkunastu doprowadzą do wybuchu wojny trzydziestoletniej. Bezpośrednią jej przyczyną był, jak wiadomo, zbyt radykalny protest protestantów czeskich, którzy delegatów arcykatolickiego monarchy wyrzucili przez okno.

Nie im się złego nie stało, bo wpadli w kupę śmieci, ale zakotłowało się w całej Europie. Pod sztandarami religijnymi ruszyły w pole armje olbrzymie, które niezadługo wszakże pogubiły owe sztandary; pogubiły tak dalece, tak radykalnie poszły w niepamięć pierwotne, podniecające hasła, że wkrótce kardynał Richelieu mógł z czystym sumieniem popierać obóz protestancki.

A jakież był ostatecznie sens tej, zdawałoby się, bezsensownej wojny?

Oto—wyzwolenie ludów europejskich z jarzma św. cesarstwa rzymskiego, które od setek lat było już tylko fikcją, roztańczającą wszakże tradycyjny *prestige* w zahyponotyzowanej wyobraźni tłumu.

Każda wojna właśnie taką jakąś fikcją obala, jakąś herezję legalizuje, jakąś instytucję szczątkową druzgoce i wznosi na jej miejsce nową, żywotną, potrzebną.

Wojny Napoleońskie zwały feudalizm. Dopiero za sprawą małego kaprala, a wielkiego parwenjusza świat przekonał się, że bił dotąd pokłony zawieszonym na manekinach pancierzom, pod którymi lwich serc oddawna już nie było.

A czyż Napoleon w tym celu szedł na podbój Europy?

Bynajmniej!

Parły go ambicje osobiste, nieokiełznana żądza władzy, niespokojny duch boga wojny. Chciał być nowoczesnym Charlemagne'm, nowoczesnym suzerenem, wasalom swym rozdającym trony; pragnął odrodzić feudalizm—po to, by ostatecznie pogrzebali go obrońcy feudalizmu tradycyjnego.

Zatym przysłowie: „chłop strzela, Pan Bóg kule nosi“ — daje się w wojnie stosować nie tylko do strzelającego chłopca. Bo i ci, co sami nie strzelają, lecz innym strzelać każą, najczęściej w kombinacjach swych pudłują.

Wola ludzka jest tu jeno odrobina siły kosmicznej, działającej w kierunku, który dopiero potomni zrozumieć będą mogli.

\*

Błądzimy więc, mówiąc, że ludzie prowadzą wojny. W rzeczywistości bywa zgoła inaczej:

Wojna ludzi prowadzi.

Czy wiedział żołnierz angielski, idący bronić „małych narodów“, że wojna poprowadzi go do Salonik dla gwałcenia neutralności Grecji? Czy przypuszczał muzyk z tambowskiej gubernji, o bożym świecie nie wiedzący, że wojna zaprowadzi go do Marsylji i każe, pospołu z czarnymi niewolnikami, gdzieś nad Somną „wyzwalać słowian“? Czy wie dziś Rumunja, dokąd powiedzie ją wojna może za dni, czy tygodni kilka?...

A rozejrzyjmy się po naszym polskim partykularzu...

Czy mógł przewidzieć Sienkiewicz, że wskrzeszeni przezeń Wołodyjowsey i Kmicice zbuntują się przeciw Dmowszczyźnie i pójdą za Piłsudskim?

Pozostały w kraju duch Sienkiewicza najwidoczniej wzięł rozbrat z jego wędrującym zagranicą ciałem i dał się wojnie poprowadzić tam, dokąd wcale zająć nie myślał.

Takich prowadzonych przez wojnę mamy dziś w Polsce miliony.

\*

Czy zesłoroczny spółorganizator drużyn Gorczyńskiego wyobrażał sobie, że go wojna wpędzi do szeregu gwałcicieli paragrafu 129 rosyjskiego kodeksu karnego?

Czy przenikliwy polityk „Kurjera Warszawskiego“, agitujący trzy tygodnie temu za ściśle gospodarczym charakterem Rady Miejskiej, przewidywał, iż raptem nietylko zapomni, co pisał, ale głośno cieszyć się będzie, iż mądrych jego rad nikt nie myślał słuchać?

...Lecz nie martwcie się, panowie.

Jak wskazałem wyżej, trafiało się to większym od was. W pierwszym roku wojny byliście prowadzeni na wschód, w drugim na zachód.

Niby garść korków, porwanych przez falę rzeki, niesie wojna jednostki i gromady ludzkie ku przeznaczeniom nieznanym.

Śmieszne są jednak korki, którym się zdaje, że one bieg rzeki wskazują.

\*

Gdym przeczytał deklarację Rady Miejskiej, składającą hołd „wiernym synom Ojczyzny, którzy od półtora wieku przelewali i przelewają krew za wolność i niepodległość Polski“ — pomyślałem sobie:

— Oto, dokąd zaprowadziły nas wyniki drugiego roku wojny.

I zamysliłem się.

— Nie masz pan papierosa?—spytał mój sąsiad.  
 — Owszem, służę.  
 — Co to, niemieckie?  
 — Aha...  
 — Wiesz pan, z początku nie mogłem palić, ale, zdaje mi się, one są teraz trochę lepsze, niż przedtem.

Złagodzona tęsknota za tytuniem rosyjskim, to także motyw orientacji, obracanej falą wypadków.

\*

Okazuje się, żeśmy niezbyt potrzebnie tyle sobie krwi napuli, walcząc o tę lub inną „orientację“.

Jednostki tylko, nieliczni wybrańcy szukają busoli politycznej w spekulacji umysłowej. Masy natomiast unikają wysiłków myśli. Tłum nie lubi zmian i tym się wyłącznie kieruje.

Zasadnicze jego hasło: „Niech będzie, jak było“.

— Źle było...

— Ale się już to zna, już się przyzwyczaiło i wiadomo, jak sobie radzić. A jak będzie—kto zgadnie?

Czy pamiętacie, ile to nasi korkowi wodzireje namęczyli się, komentując orientację „zdrowego chłopskiego rozumu“? Jakie fantastyczne, a przemyślnie imponowano mu motywy?

\*

Choć wojna obecna sens jakiś mieć musi, my go nie znamy i znać nie możemy. Wypadki, które dziś wielkim nam się zdają, mogą w przyszłości okazać się drobnymi, przemijającymi epizodami.

Niemniej jednak odwieczne doświadczenie nas przekonywa, że każda taka zawierucha obala te tylko siły, które siłami już nie są, a zachowują jeno pozory minionej mocy.

Czy polskie zbiorowe: „chcę być“ — złudzeniem jest, czy siłą realną?... Na to odpowiedzieć, oto co do nas należy.

Kilku zdeprawowanych szaleńców na posiedzeniu Rady miejskiej w dniu 11-tym b. m. głosowało przeciwko zmianie nazwy „ulicy hr. Berga“ na ulicę Traugutta.

Nazwiska ich: **Bolesław Koskowski**, naczelny publicysta *Kurjera Warszawskiego*, **Czesław Brzeziński**, **dr. Rząd, Piechowski** i **Arcichowski**. Pan Ignacy Baliński, podczas głosowania, które się odbyło przez powstanie z miejsc, wykonał swoją figurą ruch nieokreślony; ani stał, ani siedział, dając w tej epilepsji politycznej wyraz swych ugruntowanych uczuć patryjotycznych.

Było to ze strony tych ludzi wypowiedzenie się zasadnicze przeciw obrazie pamięci hr. Berga i przeciw uczczeniu pamięci Traugutta, bowiem nagłość wniosku była już uprzednio przez większość radnych uchwalona.

Orientacja rosyjska *wymaga* aktów narodowego zaprzaństwa. Nie może czcic ofiar Moskwy ten, kto jest jej politycznym sługą. Nie „sojusznikiem“,—bowiem ta rola jest w stosunkach Polski i Rosji moralnie niemożliwa. On *nie ma prawa* czcic Traugutta, nie ma prawa uczciwie myśleć i uczciwie postępować. Musi być w swej świadomej akcji pół czy ćwierć Polakiem, by pod tym warunkiem uczynić możliwą harmonję polsko-rosyjską.

Trzeba się na to umieć zdecydować. Że można—dowodem postępek tej grupki.

Są to zresztą ludzie krańcowo bezmyślni. Bardziej zozydzić swej politycznej orientacji nie sposób.

„**WIDNOKRĄG**“ będzie nadal niezależnym organem myśli polskiej, będzie służył sprawie wskrzeszenia państwa polskiego, torując ku temu drogi we wszystkich dziedzinach życia narodowego.

„**WIDNOKRĄG**“ w szeregu numerów ogłosi artykuły znanych publicystów, dotyczące najdonioślejszych zagadnień doby obecnej. Między innymi prace p. p.:

*Mieczysława Baumgarta, Gustawa Daniłowskiego, Marji Dąbrowskiej, Zygmunta Dreszera, Wilhelma Feldmana, Jana Grabowskiego, Gromicza, Tad. Grużewskiego, Benedykta Hertza, Tadeusza Holówki, Witolda Jodki, Juliusza Kadena, A. Lauterbacha, Jana Lemańskiego, E. Lipińskiego, Franciszka Loefflera, Cezarego Łagiewskiego, W. Makowskiego, Jadwigi Marcinowskiej, J. Moczulskiego, J. Muszkowskiego, M. Niedziałkowskiego, Obserwatora, M. Römera, Wincentego Rzymowskiego, R. S., Wacława Sieroszewskiego, Edwarda Stońskiego, Tadeusza Szpotańskiego, Artura Słowińskiego, Henryka Tennenbauma, Józefa Wasercuga, Kazimierza Wroczyńskiego.*

*Przedpłatu WIDNOKRĘGU wynosi w Warszawie, wraz z odnoszeniem do domu, miesięcznie kop. 85; kwartalnie rb. 3 kop. 50; rocznie rb. 10. Z przesyłką pocztową kwartalnie rb. 3; rocznie rb. 12.*

*Za zmianę adresu dopłaca się kop. 20.*

*Administracja, prócz niedziel i świąt, otwarta codziennie od godz. 10 rano do 2 pp. i od 5 do 7 wiecz.*

*Redakcja, prócz niedziel i świąt, otwarta coddziennie od godz. 6 do 7 pp.*

*Rękopisy nie przyjęte są do odebrania w redakcji w ciągu 3 miesięcy. Potym ulegają zniszczeniu.*

*Dla studentów i nauczycieli ludowych 25% ustępstwa. Cena numeru oddzielnego w Warszawie kop. 22; na prowincji kop. 25.*



## Dwie rezolucje.

Na zgromadzeniu Klubu Państwowców Polskich w dniu 5 sierpnia r. b. powzięto dwie następujące rezolucje:

### I.

„W d. 5 sierpnia 1916 r., w radosną rocznicę uwolnienia królewskiego grodu Warszawy, a następnie znacznego obszaru ziem polskich — z pod jarzma rosyjskiego, zgromadzeni na zebraniu, zwołanem przez Klub Państwowców Polskich, — zwracają się do komisji organizacyjnej tegoż Klubu, by podjęła starania u władz austriackich i wyjednała również poparcie władz niemieckich—co do zniesienia linii demarkacyjnej, dzielącej Królestwo Polskie na dwie okupacje, tak szkodliwej dla naszej akcji państwowo-twórczej.

„Zanim zaś nastąpi zgoda państw centralnych na całkowite zniesienie tej linii, poleca się komisji organizacyjnej Klubu Państwowców Polskich wyjednanie pozwolenia na tworzenie filji Klubu również i w okupacji austriackiej, a to celem ułatwienia nam akcji państwowo-twórczej, zmierzającej ku odbudowie państwa polskiego, w przymierzu politycznym z mocarstwami centralnemi“.

### II.

„Obecni na zgromadzeniu, zwołanem w Warszawie, w dniu 52-jej rocznicy stracenia męczenników sprawy narodowej i w dniu pierwszej rocznicy opuszczenia stolicy przez Moskali, słą Legionom Polskim wyrazy hołdu dla ich czynów bohaterskich, w ciągu dwóch lat wojny wszechświatowej dokonanych.

„Żołnierze polscy! Wskrzესiliście świetlaną tradycję narodu. Chwyciliście za broń do walki z moskiewskim ciemnięcą, by dowieść światu całemu, że w Polsce nie zamarł duch wolności i duch bohaterstwa. Na czyny wasze patrzą i błogosławią was duchy poległych bojowników niepodległości. Spełniacie ich testament, dzisiejszej Polsce przekazany. I błogosławić Was będzie przyszłość, pomna, żeście stanowili pierwsze i najświetniejsze kadry armji polskiej.

„Cześć Wam i chwała!“

BRUNO WINAWER.

## Z dnia na dzień.

20 lipca.

Trzeba wiedzieć, że w czasie kampanji werbunkowej lorda Derby pierwszy zapisał się w Londynie na liście ochotników—Ryszard Lwie Serce. Przyszedł do biura w koleczudze, w szyszaku, z tarczą, mieczem, pióropuszem. Jak na uczestnika wypraw krzyżowych i rycerza przystało.

— Nazwisko, imię?—spytano go.

— Ryszard Lwie Serce Plantagenet.

— W wojsku pan służył?

— Owszem.

— Brał pan udział w wojnie z Boerami?

— Nie, z Saracenami.

— Aha. To—pod Kitschenerem. *Very well.* Otrzyma pan dwa funty na tydzień i rangę wicefeldfebla. Następny! Zdjęto z niego błyszczącą zbroję, odebrano mu tarczę, koleczugię, pióropusz. Ubrano go w kostjum *khaki*. Musiał się przez rok ćwiczyć na podwórku koszarowym. Mniej był sprytny od innych i instruktorzy pluli srogo przez zęby, patrząc jak ma

szeruje. Zagryzł wargi i milczał. „Ja im tam we Flandrji pokażę, co to znaczy rycerz sans peur et reproche“.

We Flandrji leżał w rowie przez długi rok. Nabawił się reumatyzmu i chronicznego bólu zębów. Wreszcie—nadeszła chwila. Przez trzy dni armaty wyły, granaty pękały, rozrywając ziemię i bębunki w uszach. Na czwarty dzień po zrytym, rozkopanym, zdartym na wądoły i wyrwy ugorze czołgała się gromada ludzi. Z nią on—rycerz krzyżowy.

Wieczorem—jenerał sir Douglas Haig depešował: zdo-byliśmy fabrykę cukru. Armja posunęła się o 1000 jardów wgłąb. Jard = 91 cm.

Ryszard Lwie Serce miał dziesięć ran od kul mitralje-zowych. „It is no business for me“—rzekł. Po polsku: to nie jest dla mnie interes. Podrapał się w głowę i umarł. Ma zamiar zmartwychwstać w innej epoce.

21 lipca.

Dawno mi się to już przytrafiło, przed laty, i kto wie, czy nie w Sztokholmie. Wichur, śnieżycy, zadymka—wbrew woli i bez Baedeckera wpadłem do muzeum miejskiego. Trafilem na salę—istny gabinet tortur; gdzie spojrzeć—stoją, wiszą, leżą instrumenty muzyczne. Od piszczałki, na której bożek Pan wygrywał ku utrapieniu nimf i najad, do Steinvay'a — wszystko ustawione i ułożone porządnie, chronologicznie.

Pod ścianą szczyrzyło zęby niezbyt wielkie żółte pudło. Klawikord! Począłem odcyfrowywać napis misterny, złocony: Perrin, może Pellat, w każdym razie: Paris, 1789! 1789!! Sapristi! Bastylia, 14 lipca, *Revolution, qui marche, Carmagnola!*

Nie wytrzymałem. Uderzyłem w żółte klawisze i—brzękiem chrapliwym wypełniając przestwór, bryznęła raptem—*la Matchiche*. Nic innego nie umiem.

Uciekłem. Mimo zamieć, wichur, zadymkę, błąkałem się po mieście. Niech djabli porwą niewczesny sentymentalizm! Czegóżem się właśnie spodziewał po tym pudle? Któż mi jest winien, że nie umiem grać? I zresztą—wogóle—co ma wspólnego stary klawicymbał z duchem epoki?!

Daleki wnuku mój, potomku i spadkobierco. Jeżeli ci tam kiedyś wpadnie w ręce nasz „Kurjer wieczoro“ lub nasz „z porinnego doda“ — nie rozpaczaj! Gdybyś natrafił nawet na miłą, z kołtuńska—paryską pogadanę pana A. Br. o tea-trze—nie martw się!

Bo — ostatecznie — co ma wspólnego stary cymbał z duchem epoki?

## Z. PIECHACZKÓWNA.

### Mogiły.

Pójdę — na miedzy polnej się położę  
Wśród złota kłosów i purpury maków  
I będę słuchać, o czem szumi zboże  
I o czem śpiewa w błękiecie chór ptaków.  
Tęsknota moja wikła się wśród sieci  
Kłosów, splełanych w koronki misterne...  
Rozstap się falo zbóż—niech z wichrem leci,  
Skarzyć się jękiem, nad pola bezmierne...

Pójdę na łąki—stopy moje bosc  
 Smugą traw drżących drogę swą oznaczają,  
 I będę zgarniać w dłonie srebrną rosę  
 I będę pytać kwiatów—czemu płaczą...  
 Może tam, gdzie się kończy droga polna,  
 Gdzie dogasają blaski słońca złote,  
 U dróg rozstajnych zostawię tęsknotę,  
 A sama pójdę—w daleki świat—wolna!...

Hej!... choćby nawet tam sercu lżej było,  
 W obcej, dalekiej ziemi—iść nie mogę...  
 Bo każda ścieżka kończy się mogiłą  
 I ramionami krzyż zagrażdza drogę.  
 A jakże mi się tych grobów zapierać?  
 Jak odejść z gorzką w sercu tajemnicą,  
 Że się wzgardziło mogił obietnicą,  
 Zamiast żyć dla niej—walczyć—i umierać!...

Na grób przypadną, wyteżę słuch w ciszę —  
 Serce, jak młotem bije — wieści czeka!...  
 Może mi echo przyniesie zdaleka  
 Odgłosy krwawych bitw?... Może usłyszę  
 Jak w walkach, we krwi los Polski się waży?  
 Może ktoś hasło zna i w mrok je rzuci,  
 Gdzie cały naród czuwa—trwa na straży...  
 I hasło echem tysięcznym powróci?...

Milczenie ciężkie, jak głaz serce gniecie...  
 Cisza pierś dławi, jak płyta grobowa...  
 Kto mówił o tem, że krew purpurowa  
 Żołnierzy polskich znów płynie na świecie?...  
 Skądże to przyszła wieść, że w dziejach świata  
 Ostrza szpad krwawo imię Polski piszą?...

Nasz loch zamknięty... zardzewiała krata...  
 I zwykle troski do snu nas kołyszą...

Lecz jakże mogił świadectwu nie wierzyć?  
 Ach, gdyby tyle ich w Polsce nie było,  
 To mogłaby się po świecie wieść szerzyć,  
 Że Polski niema—albo—jest mogiłą...  
 Lecz są... więc piasku garść dłońmi drżącymi  
 Wezmę z mogiły, aby nieść ją wszędzie,  
 Jak odrodzenia krwawy znak mej ziemi,  
 Przez który—Polska—jeszcze wolną będzie...

## Z publicystyki szwedzkiej.

Z pod pióra Gustawa Siästaen'a, berlińskiego korespondenta szwedzkich dzienników, „Göteborgs Handelstidning“ i „Sydsvenska Dagbladet“, wyszła obszerna książka p. t. „Za kulisami wojny niemieckiej“ (Sztokholm, 1916). Autor, nie wierząc w druzgocące zwycięstwo jednej ze stron walczących, ufa jednak w przewagę militarną Niemiec, których zwycięstwo nad Rosją, według niego, zapewni Europie swobodny rozwój, Szwecji zaś, obronę samodzielnego bytu. Książka przeniknięta jest naogół uznaniem dla organizacyjnego gen-

jusza Niemiec. Zawiera ona także obszerny opis stosunków panujących w Polsce obecnie pod okupacją niemiecką, które przedstawia w sposób dodatni.

Natomiast wyraża się bardzo nieprzychylnie o towarzyskich zaletach Polaków. Powiada, że mają „wrodzoną, gburowatą niechęć do cudzoziemców“ i ze zdziwieniem konstataje, że Warszawa posiada wygląd europejski, wieś zaś polską przedstawia jako obraz średniowiecznego zacofania. W niepocholeby sposób charakteryzuje nasze usposobienie polityczne, które wyraża się w braku decyzji i nieświadomości sobie ważności wypadków. „Polacy nie mają poprostu odwagi wierzyć w lepszą przyszłość“ konkluduje Siästaen. W tygodniku sztokholmskim „Forum“ (17/VI r. b.) Alfred Jensen, znany tłumacz poetów polskich, zamieścił artykuł p. t. „Wrażenia z Galicji“. Jensen zwiedził Kraków, Przemyśl i Lwów, w którym zwrócił przede wszystkim uwagę na szczególny jego charakter etniczny i „na haniebnie niesmaczny pomnik Mickiewicza“. Po skreśleniu dziejów rosyjskich rządów w Galicji Wschodniej, którym nie szczędzi surowej krytyki, zajmuje się prądem ukraińskim i stosunkami polsko-ruskimi, przy czem stwierdza istnienie silnych nieporozumień.

Co się tyczy Polaków, to mimo, że i między nimi są jednostki rusofilskie, zgrupowane koło „Słowa Polskiego“ i „Zjednoczenia“, to jednak naogół, panuje entuzjazm i zapał do wojny. Z Krakowa wyszedł wspaniały ruch narodowy, który znalazł swój wyraz „w bohaterskich ułanach legionowych dzielnego generała Piłsudskiego“. Krótko wspomina autor o nastroju Polaków w innych częściach Polski, przy czem zaznacza, że jesteśmy narodem ekskluzywnym, który pod wpływem nieszczęść stał się egoistycznym. Według Jensena, powrót do narodowej wolności uważamy nie za łaskawe dobrodziejstwo, lecz za swoje święte prawo. *ts.*

## Listy do Redakcji.

*Przypis. Redakcji.* Zamieszczamy list poniższy, nie wchodząc w *meritum* sprawy.

*Szanowny Panie Redaktorze!*

Po przeczytaniu korespondencji pod tytułem: „Po wyborach Warszawskich“ w Nr. 165 piotrkowskiego „Dziennika Narodowego“, ośmielam się prosić Sz. Pana Redaktora o umieszczenie w „Widnokregu“ listu niniejszego. Czynię to, gdyż nie po raz pierwszy już spotykam się z powyboreczymi atakami w słowie, a teraz i w piśmie skierowanymi przez zwolenników Ligi Państwowości Polskiej przeciwko Centralnemu Komitetowi Narodowemu.

Korespondencja „Dziennika Narodowego“, nacechowana sceptycyzmem i ironją w stosunku do kompromisu wyborczego i konsolidacji politycznej, staje się pogodną tylko w tym miejscu, w którym autor stwierdza liczbę mandatów, zdobytych przez L. P. P. Zaznaczyć trzeba nawiasem, iż autor nie gwoli chyba reklamy, lecz ku swej większej być może uciechu, istotny stan posiadania Ligi zwiększa o dwa miejsca. Pogody tej nie mać świadomość, do której z rozbijającą naiwnością przyznaje się anonimowy korespondent, że nie w konsekwencji siły L. P. P., lecz tylko wskutek „obustronnej ustępliwości dwóch grup krańcowych“, Liga zdobyła nieproporcjonalnie dużą liczbę mandatów.

W oświetleniu oceny wyników wyborczych, uwydatnia się przejrzyste stosunek autora do akcji wyborczej Centralnego Komitetu Narodowego.

Ordynacja wyborcza nie posiadając charakteru demokratycznego, usuwała możliwość jakichkolwiek złudzeń, aby C. K. N. mógł zdobyć dominujące w Radzie Miejskiej stanowisko. Wprowadzenie C. K. N. głosu do Rady stolicy było dlań celem wystarczającym, ze względu na ogólną sytuację, która jest niezwykłą.

W momencie, gdy myśl naszą koncentrujemy w przewidywaniu, że zbliża się moment likwidacji wiekowej niewoli, staje przed nami konieczność nie tylko podporządkowania interesów grupowych akcji ratunkowej przeciwko nędzy, lecz, co ważniejsze, staje przed nami nakaz dziejowy podporządkowania wszystkich naszych poczynań budownictwu Polski niepodległej. Kompromis wyborczy, jako taki, wartości realnej dla C. K. N-go nie posiadał; stwarzał jedynie fakt, podkreślony i przez korespondenta, że nie pozwolił na roztopienie sprawy polskiej w hecy antysemitkiej. Kompromis ten jednak pociągał za sobą realizację konsolidacji politycznej, która, zdaniem C. K. N-go, w chwili ważenia się losów sprawy polskiej, może być czynnikiem pierwszorzędnej wagi. Brak syntetycznej i ogólnonarodowej myśli politycznej i w związku z nią stojącej siły narodowej — jest zdaniem C. K. N-go główną bolączką w życiu Królestwa. Zsyntezowanie tej myśli i wytrącenie Królestwa z bierności politycznej — oto nieustające zamierzenie C. K. N-go, które mu służy za myśl przewodnią przy wszelkich akcjach zbiorowych.

Autor korespondencji, zwolennik L. P. P., ironizuje „przez cały rok daremnie klejoną konsolidację polityczną“. Istotnie, przez rok cały elementy C. K. N-go kleić ją pragnęły i skleić nie mogły. Szanowny zwolennik Ligi chyba zdaje sobie jednak sprawę, że C. K. N., w swych pragnieniach był odosobniony. Po całym szeregu doświadczeń i po strwiedzeniu, że Liga zdradza tendencję niedopuszczenia do konsolidacji, nieopartej na jej własnej platformie politycznej, C. K. N-wy wszczął nowe próby z pominięciem Ligi we wstępnym okresie pertraktacji. I rzecz się udała. Była ona rezultatem dojrzałości sprawy i dobrej woli jak lewicy, tak i prawicy. Że Lidze wypadło w udziale odegranie mniejszej roli i że głosy jej zwolenników wyrażają niezadowolnienie z konsolidacji, — bynajmniej się nie dziwię. Liga, będąc jedynie grupą warszawskiej i łódzkiej inteligencji, z natury swej nie jest zdolną do wyczuwania tego wszystkiego, co nurtuje w społeczeństwie, natomiast jest bardzo podatnym gruntem dla kultywowania teoretycznie poczętych koncepcji programowych. Prawica zaś i lewica, oparte istotnie o pewne warstwy społeczeństwa, stają się poprzez grę interesów społecznych i politycznych głęboko sięgających w jądro życia narodowego, czynnikami ściślej związanymi z życiem realnym i bardziej w odczuwaniu realnych postulatów życiowych wrażliwymi. Naturalnym więc mogło być zrzeczenie się kilku nawet krzeseł radzieckich przez C. K. N. za cenę zysków natury zasadniczej. Naturalną też była nadzieja C. K. N-go, że realizm życiowy będzie musiał wcześniej czy później pchnąć prawicę na drogę konsolidacji. Brak zaś życiowego czynnika, który mógłby wstrząsnąć gabinetowym, a więc niezdolnym do kompromisu stanowiskiem Ligi i złamać jej odgradzający się a pragnący podporządkowania sobie upór, nakazał C. K. N-emu postawienie Ligi poza nawiasem pierwszych kroków w próbach konsolidacyjnych.

Próby te jednak nie miały nic wspólnego z wyborami wbrew fałszowaniu prawdy przez korespondenta „Dziennika

Narodowego“, który zarzuca C. K. N-emu niełojalność i twierdzi, że „w momencie normalnego rozpoczęcia układów między obu komitetami wyborczymi sprawa między lewicą a prawicą już była przesądzona“.

Ścisłość wogóle nie należy do specjalności autora korespondencji. Pisze on: „za cenę tych nowych prób konsolidacji, zrzekła się (lewica) swego pierwotnego postulatu nadania Radzie Miejskiej jako takiej, wyraźnej barwy politycznej“. Szczerze pragnąłbym dowiedzieć się, skąd autor czerpał tego rodzaju wiadomości. W każdym razie poleciłbym mu przeczytanie artykułu p. t. „Warszawa przemówiła“ w Nr. 168 piotrkowskiego „Dziennika Narodowego“, omawiającego pierwsze posiedzenie Rady Miejskiej. Jest tam ustęp, który brzmi: „Stało się na tym posiedzeniu coś... co przemianowało je w datę pełną znaczenia w politycznej historii narodu“. A następnie Sz. Korespondent łatwo się dowiódł w Warszawie, że C. K. N. był inicjatorem deklaracji politycznej w Radzie Miejskiej, i że końcowy ustęp tej deklaracji, któremu „Dziennik Narodowy“ poświęcił najtłustsze czcionki, możeby i nie istniał, gdyby nie miała miejsca stanowcza wola C. K. N-go.

Dalej autor korespondencji raduje się walce wyborczej, jaka się rozegrała między P. P. S. a N. Z. R-ym. W fakcie tym widzi autor perspektywę rozpadania się C. K. N-go, obejmującego zwolenników obu tych stronnictw. Muszę przyznać Lidze większą jednolitość organizacyjną. Nie widzę jednak nic w tym dziwnego. Według oświadczeń przedstawicieli Ligi składa się ona z trzech grup, a mianowicie: z Ligi warszawskiej, Ligi łódzkiej i bezpartyjnych. Otóż śmiem zwrócić uwagę Sz. autora, że C. K. N. posiada w swym łonie nie tylko zwolenników P. P. S. warszawskiej, łódzkiej, radomskiej, lubelskiej i t. d., ale i zwolenników Stronnictwa Ludowego różnych okręgów, różnomiejski N. Z. R. i t. d. Harmonja więc bezwzględna w C. K. N-ym, jest dużo trudniejsza. Pozatym zdaje mi się, że jak kompromis wyborczy w Warszawie nie świadczy o jednolitości np. Narodowej Demokracji i Ligi Państwowości Polskiej, tak również brak kompromisu wyborczego między P. P. S. a N. Z. R-ym nie wyklucza jednolitości linii politycznej tych dwu organizacji na okres wyjątkowego momentu dziejowego. I śmiem twierdzić, że fakty nieraz jeszcze ku rozczarowaniu Sz. korespondenta, pokażą mu trwałą solidarność polityczną (może nie zawsze społeczną) całego C. K. N-go. Końcowy ustęp tej korespondencji brzmi jak następuje: „Przewagę (w Radzie Miejskiej) będą miały żywioty środka, ku którym też zapewne będą i z prawicy i z lewicy przymykać ludzie spragnieni konkretnej pracy obywatelskiej“. A ponieważ autor z L. P. P. widzi grupę środka, więc w tym ustępie widzę apel autorki. W odpowiedzi na ten apel pozwolę sobie dać jedno zapewnienie zwolennikowi Ligi.

Mianowicie. Korespondent „Dziennika Narodowego“ pisze: „Demokraci conajmniej mogli swój akces do kompromisu bardzo drogo sprzedać“. Otóż takie pojęcie akcesów do kompromisu C. K. N. zawsze radośnie przywita. I jeśli linja polityczna Ligi będzie się zawsze trzymała zasady drogiej sprzedaży, to wprawdzie nie przymkniecie C. K. N-ego do Ligi, ale zgodna współpraca C. K. N-ego z Ligą stanie się możliwą. Dla uniknięcia jednak nieporozumień, zgóry zaznaczyć muszę, że często jeszcze przy podziale mandatów lub posad C. K. N. okaże się „naiwnym“; w targu jednak o drogą cenę spraw ogólnonarodowych Liga zawsze w C. K. N-ym potrafi znaleźć wiernego sprzymierzeńca.

Racz Szanowny Panie Redaktorze przyjąć wyrazy głębokiego poważania.

Medard Downarowicz.



# WID NO KRAG

№ 7 (R. II) Warszawa, 25 Sierpnia 1916  
KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 7. — TELEF. 158-90

**TREŚĆ:** Pozdrowienie. — M. NIEDZIAŁKOWSKI: W poszukiwaniu wyjścia.—Błazeński atak.—L. CHOROMANŃSKI: Wojna. — TADEUSZ HOŁÓWKO: „B. K.“ (c. d.). — K. WROCZYŃSKI: Ku upadkowi. — M. RÖMER: Ludy Litwy.—Sprawozdawcy Warszawscy.—OBSERWATOR: Rozmowy niedyskretne (III). — J. KADEN: † Major Wyrwa-Furgalski.

## *Pozdrowienie.*

*W dniu 22-im b. m. minął rok od chwili wyruszenia strzelców warszawskich nad Styr.*

*W kościele Ś-go Krzyża odbyło się nabożeństwo, pierwsze od lat dziesiątków w stolicy Polski modły publiczne o powodzenie oręża polskiego i o szczęście w boju z Moskwą.*

*W świątyni zebrały się tłumy. A wśród nich powstańcy 63-go roku, wspominający czasy, kiedy w tym samym kościele składali sobie przysięgę na nieustraszoną walkę z najeźdźcą.*

*Po nabożeństwie, kilkaset młodzieży w marszu wojskowym udało się — z kwiatami w rękach — do chwilowej siedziby przy ul. Żórawiej, skąd o g. 4-ej rano dn. 23-go sierpnia 1915 r. opuścili miasto. Od tego czasu przebyli już ogrom doświadczeń wo-*

*iennych, chwil dobrych i złych, ale zawsze pełnych bohaterstwa. Zginęło ich wielu. Zginął ich wódz — niezapomniany Tadeusz Żuliński (Roman Barski), jedna z najpiękniejszych postaci w szeregach Legionów Polskich. Którzy żyją, nie ustają w walce, roznosząc po szerokim świecie sławę imienia polskiego żołnierza.*

*Kiedy opuszczali stolicę — byli dla wielu dziwowiskiem; dziś, po roku, są przedmiotem czci głębokiej i rozumnej.*

*Dalekim a blizkim ślemy pozdrowienia serdeczne.*

M. NIEDZIAŁKOWSKI.

## **W poszukiwaniu wyjścia.**

Przez długie miesiące zimowe, demokracja polska usiłowała dokonać trudnego dzieła konsolidacji narodowej; wiele prób rozbiło się o niechęć grup zachowawczych, aż wreszcie dzisiaj to, o czym już myśleli, jak o nieziszczalnym marzeniu, staje się podobno rzeczywistością.

Pozornie więc lewica osiągnęła cel swoich pragnień, pozornie wybiła oczekiwana godzina, gdy można będzie realizować oddawna już, zapewne, przygotowane plany.

A jednak coraz szybszymi krokami zbliża się głęboki kryzys wewnętrzny tego właśnie politycznego kierunku, który tak dumnie głosił, że zjednoczył we wspólnej instytucji reprezentacyjnej całkowicie rozbieżne pod względem społecznym odłamy.

Ludzie, którzy stykali się stale i bezpośrednio z masami robotniczymi, zauważyli ze zdziwieniem, że nowiny „ze świata politycznego“ nie budzą już tutaj równego, jak dawniej, zainteresowania, że nawet autorytet zbiorowych wystąpień i enuncjacji wciąż podupada. Tam, na górze, podpisywano deklaracje i oświadczenia, zawierano sojusze i kompromisy, a u dołu rosła obojętność, wzmagало się, niepojęte zrazu, rozgoryczenie.

I nie chodziło tu o niepopularność idei niepodległościowych. Przeciwnie, jak wykazały wybory do rady miejskiej, hasło samodzielnego polskiego państwa stało się prawdziwą wiarą tłumów; pomimo to, wszakże, skupionym żywiołom lewicowym grozi dzisiaj rozbitcie, grozi zupełne oderwanie od tych, którzy po miastach stanowią największą liczebną siłę, od zorganizowanych robotników.

Skąd wyrosło to niebezpieczeństwo? Dlaczego dotychczas nie było o nim nic słyhać? By dokładnie i szczerze zdać sobie sprawę ze stanu rzeczy, cofnijmy się nieco wstecz.

W r. 1905 inteligencja postępową stanęła przeważnie pod sztandarem partji socjalistycznych; tam składała w ofierze swoją gorączkę czynu, oddawała ludowi i jego sprawie siłę i energję. Później nadeszły ciężkie lata rozbitcia; chwilowi sojusznicy zaczęli opuszczać rewolucyjne szeregi, jedni — zniechęceni, rozczarowani — zry-

wali na zawsze z walką, inni — składali do mogiły dawne wiary i dawne ukochania.

I oto, gdy wybuchła wojna, powstały liczne a drobne radykalno-inteligenckie skupienia; każde działa na własną rękę, ma we wspólnej instytucji własnych przedstawicieli, i wszystkie naraz żyją życiem obcym, niezrozumiałym dla klasy robotniczej.

Inteligencja postępową spaliła mosty, które ją ongi łączyły z ludem, przestała pojmować to, co się dzieje w duszy robotnika i chłopca, a lud znowu kamienieje w swym osamotnieniu, nieufnie, podejrzliwie spogląda na misterne, zagmatwane posunięcia polityczne.

Dlaczego tak się stało?

Działacze postępowi, szczególnie ci, których przemoc rosyjska wygnała poza granice kraju, tracili z wolna wiarę w wysnioną potęgę ludu pracującego, a w pierwszym rzędzie klasy robotniczej.

Ponad mogiłami umarłych, tuż obok kazamat więziennych święciła trymfy ugoda, grała wszędzie, zrodzona przez klęskę, melodia: „dosyć krwi! dosyć ofiar!”

Przyszła wojna... Królestwo milczało, tłumy proletariuszy zaciągały się spokojnie, bez żadnych zaburzeń, do rosyjskich szeregów, więc ludzie, co jeszcze niedawno przysięgali, że jeno polska praca może budować wolną ojczyznę, — oczekiwali teraz ratunku od Legjonów, od Naczelnego Komitetu Narodowego, ale nie od ludowego samodzielnego, twórczego wysiłku.

Inteligencja postępową zbierała się i naradzała; utworzyła zbiorową reprezentację, ułożyła pięknie napisaną „platformę” polityki narodowej. Nie spróbowała jednak odwołać się do mas pracujących, nie wystąpiła z żadnym programem społecznym, chociaż po wsiach krążyły głuche, kainowe wieści o pańszczyźnianych „polskich rządach”. Przeciwnie, nasza radykalna lewica ujmuje w sposób zasadniczo odmienny dzisiejszą sytuację.

Do najdroższych jej marzeń należy zorganizowanie całego społeczeństwa na podstawach wyłącznie politycznych, z pozostawieniem na uboczu zagadnień społecznych, różnic klasowych, i t. p. Nie jest to, co prawda, myśl nowa.

Przed laty natchnęła ona twórców Ligi narodowej, w pierwszym roku wojny odrodziła się w statucie organizacji t. zw. narodowo-niepodległościowej. Lecz nie ślepy traf sprawił, że z Ligi wyrosło stronnictwo demokratyczno-narodowe, a jesienna próba z r. 1914 również zawiodła. Sprzeczności klasowe, różnice prądów społecznych wystąpiły i w jednym i w drugim wypadku na widownię, chociaż wyteżano wszystkie siły, by im zamknąć dostęp.

Dzisiaj świadomość odrębnych interesów i potrzeb przenika różne warstwy coraz głębiej; większa własność ziemską uczciwie i wyraźnie mówi w swych licznych uchwałach o roli, jaką pragnie nadać ziemianom; ideologowie mieszczaństwa nie ukrywają bynajmniej klasowego zabarwienia prowadzonej przez nich akcji; proletariąt miejski nie zwinął ani na chwilę czerwonego sztandaru.

Skąd więc przywódcy radykalnej inteligencji będą czerpali materiał dla swych planów organizacyjnych?

A jednak nie zważają oni na tylokrotne doświadczenia i, dążąc do utrzymania siebie na poziomie skupienia li tylko politycznego, nie powiedzieli dotychczas ani słowa w sprawie przyszłego ustroju Polski, do któ-

rej dążą, w sprawie swego stosunku do niezapomnianego testamentu powstańczej demokracji.

Klasa robotnicza czekała i milczała. Jej niedawni przyjaciele śnili w spokoju sen o „pokoju społecznym”, a jednocześnie odważnie zabierała głos demagogiczna propaganda anarchizującego skrzydła socjalistów. Na górze zawierano sojusze i kompromisy, u dołu zaś już się kołysze fala tak, jak to bywa przed burzą.

Inteligencja postępową nie przetrwała ciężkich lat porewolucyjnych. Jedna klęska zachwiała jej wiarę i odebrała nadzieję; jedno zwycięstwo wroga nakazało jej zwątpić o podstawie narodowego bytu, o twórczej, samodzielnym o własnych losach stanowiącej, polskiej pracy.

Przeto pomiędzy wysiłkami ofiarnej garści przywódców licznych, inteligenckich organizacji, a wolą ludu, wyrasta z wolna przepaść.

Powiecie, że nikt nie wie, co myśli i jak czuje lud? Jednakże nikt inny, jeno zorganizowane robotnicze i włościańskie grupy potrafią rozwiać tę trującą mgłę, która się rodzi z chłopskiej ciemnoty i niedoli miejskich sutezyn. Masy mają prawo wiedzieć, jaki los niesie im wolna Polska, i dlatego dalsze milczenie grozi im rozbiciem.

Jeśli zjednoczone skupienia postępowej inteligencji pragną, by świadomi robotnicy szli z nimi ręką w rękę, — niech się zdobędą na wyraźny, demokratyczny program społecznych reform, niech odsłonią oblicze.

W przeciwnym razie wybije godzina rozstania...

Hic Rhodus, hic salta.

Błażeński atak „*Naszej Trybuny*” na Klub Państwowców Polskich znalazł poparcie na łamach *Gazety 2 Grosze*. W porządku. Kiedy chodzi o przeciwstawienie się zaczątkom państwowo-twórczej pracy polskiej, „*Dwugroszówka*” nie pogardzi pomocą żydowsko-kosmopolitycznego obozu.

W dniu 3 maja 1916 r. „*Dwugroszówka*” przytoczyła z lubością wiersz Targowiczana.

W artykule p. t. „*Rocznica 5 sierpnia*” pisze „*Nasza Trybuna*”: „Wszelkie obchody narodowe są dniami przerabiania historii gwoili interesom dzisiejszych klas uprzywilejowanych. Dniem takim była rocznica konstytucji 3 maja, powstania listopadowego i styczniowego, była nim i rocznica 5 sierpnia, śmierci Traugutta i czterech innych powstańców na stokach Cytadeli”.

W dniu 24 lipca 1916 roku, „*Dwugroszówka*” zamieściła artykuł, w którym oświadcza, że olbrzymia większość mieszkańców Warszawy przeciwna jest wszelkim deklaracjom politycznym Rady miejskiej.

„*Nasza Trybuna*” z dn. 12 sierpnia r. b. pisze o socjalistach polskich: „I jeżeli głosowanie (?) dnia 24 lipca wspólnej deklaracji z narodowcami i „demokratami” było już zdradą interesów klasy robotniczej...” i t. d.

Możnaby przytoczyć więcej takich przykładów. Z jednej strony — bezsilna wściekłość politycznego i moralnego bankruta, z drugiej — wszelkie znamiona zбочzenia umysłowego, które się nazywa w psychiatrii — monomanją.

Doskonałe towarzystwo.

LEON CHOROMAŃSKI.

## W O J N A.

Olbrzymi czas! Wśród tych nocy nowych —  
 Nocy, w których armaty wyją —  
 Tysiące ogni płonie obozowych —  
 Szrapnele chyżą lecą w niebo zmiją —  
 Nad ziemią, która jest jakby niczyją,  
 Bo się o nią toczą boje —  
 Wśród tych opętanych nocy,  
 W których ludzie umierają,  
 W których nieraz całą zgrają,  
 Rozdartą wściekłym granatem,  
 Wałą się w śmierci otchłanie —  
 Wierzę w głębszego ducha powstawanie  
 I panowanie nad światem!

Dlaczego taka wściekłość ogarnęła ludy?  
 Dlaczego krew strumieniem się toczy?  
 Dlaczego te piekielne trudy?  
 I bielmem zasnuwane oczy?  
 Dlaczego serce szczęścia się wyrzekło,  
 Sielanki, uśmiechów ziemi?  
 Czemu siarczyste wre i kipi piekło?  
 Bohaterowie idą w otchłań niemi?

Dlaczego człowiek, który był nadzieją  
 Słoneczną — w grób się układa z pokorą  
 I czarne noce przed świtem już dniają,  
 Gdy miasta gorą?

Wszystko to nie jest próżne ni szalone:  
 Duch łamie sobie nową drogę.  
 Duch mówi: Wczoraj musi być zburzone  
 Przez śmierć tysięcy i pożogę...

Dokądże idzie ludzkość? Któż odgadnie?  
 Któż dorwie się tej tajemnicy?  
 Może ją czuje konający na dnie  
 Swego sumienia — wśród gruzów ulicy?

Straszliwa prężność ducha, co rozwala  
 Stężale formy, nim utworzy nowe,  
 Pałace burzy i izdebkę drwala  
 I jak zabawkę tłucze mędrca głowę!

Ach, jak makówka sucha,  
 Co się od wiatru tu i owdzie rucha  
 I która smętnie szeleści,  
 Jakoweś skargi bez treści —  
 Jest dzisiaj głowa człowieka,  
 Co w huraganie gnie się i narzeka!  
 Genjusz ludzkości ognistym pożarem,  
 Drogę toruje sobie w otchłań ciemną...  
 Ktoś kona w ubraniu szarem,  
 Ktoś szepce: „Zmiłuj się nade mną“!...

Lecz czyż miłości większej nam potrzeba,  
 Czy genjusz kiedy może być mniej srogi,  
 Niż, gdy otwiera nowe piekła, nieba  
 I nowe w przepaść niezgłębioną drogi?

TADEUSZ HOŁÓWKO.

## B. K.

II.

Na szczytach myśli polskiej i w głębinach duszy  
 ludu zachodzą wielkie twórcze przemiany, lecz zarazem  
 daje się odczuć jakaś siła, stojąca na przeszkodzie te-  
 mu, aby nowe odrodzeńcze prądy rozszerzyły się i porwa-  
 ły za sobą naród.

Kto głębiej wnika w życie chociażby samej War-  
 szawy, ten zgodzi się, że tą kłoda, zagrządzającą jej  
 wyjście z dzisiejszej beczynności i rozdziwienia ducho-  
 wego, jest potężnie rozgałęzione bractwo Bezmyślności  
 i Kołtunerji, ten spiszek B. K.

Bractwo B. K. rządzi dziś Warszawą, jest wszech-  
 potężne, tajemnicze, niby mafja, wszędzie obecne, wszyst-  
 ko wiedzące, wszędzie węszące. Samo zarazem sieje  
 brudy, korupcję, protekcję i ocenia najdonioślejsze wy-  
 padki i najpoważniejsze zagadnienia życia polskiego je-  
 dynie i zawsze przez szkiełko własnego egoizmu, włas-  
 nych interesów i interesików.

Trudna jest walka z B. K., bo trudno walczyć z bez-  
 myślnym kołtunem, który jest przesiąknięty i rozanielo-  
 ny swym zdrowym optymizmem, zawsze ma rację, ni-  
 gdy się nie myli, nie chce być w opozycji i zawsze jak  
 ten korek, uważa za punkt swego honoru unosić się na  
 powierzchni życia, płynąć z każdą nową falą... aby ją  
 sobą zaśmiecać. A jednak trzeba nareszcie wypowie-  
 dzieć walkę temu potężnemu spiskowi B. K., gdyż ina-  
 czej nigdy Myśl i Czyn nie będą udziałem Warszawy:  
 B. K. rzuca się na każdą próbę śmiałego czynu i pod-  
 cina mu skrzydła, rzuca się na każdą nową myśl i jako  
 boa obmazuje ją swoją śliną, polyka i trawi... trawi  
 długo i powoli, aż nie przetrawi, rodząc absurd.

My, obóz niepodległościowy, jesteśmy nową  
 z dnia na dzień przybierającą falą, zapowiedzią zbliża-  
 jącego się Czynu. Miejmyż się na baczności, aby to po-  
 tworne boa B. K. nie zadusiło i nas w mocnych uściskach...  
 swej przyjaźni. Nie lekceważmy B. K. Mylą się bo-  
 wiem ci, którzy sądzą, że duszę tej apatycznej, bezwol-  
 nej Warszawy urabiała *Gazeta Warszawska* i *2 grosze*.  
 Nie: bowiem te pisma szerzyły antysemityzm, moskalo-  
 filstwo, zohydzały ruch niepodległościowy, ale miały  
 w tym swój program, wołały Warszawę do czynu — boj-  
 kotu żydów, formowania drużyn kainowych, czynów  
 głupich i karygodnych, lecz bądź co bądź posiadających  
 znamię *czynu*.

Lecz bezmyślny kołtun, panoszący się dzisiaj w War-  
 szawie, wogóle organicznie żadnego czynu nie znosi.

Wstręt do czynu kultywuje w Warszawie przede-  
 wszystkim *Kurjer Warszawski*. To pismo jest twórcą  
 duszy przeciętnego warszawianina, jego redakcja to *sa-  
 era sacrum* potężnej łoży warszawskiej, Bezmyślności  
 i Kołtunerji. Redakcja *Kurjera Warszawskiego* to wiel-  
 ka kuchnia, gdzie się gotuje „strawa duchowa“ dla tysię-  
 cy członków bractwa B. K. A naprawdę, na tysiące  
 trzeba liczyć tych, którzy w swoim życiu żadnej książki,  
 żadnego innego pisma poza swym ukochanym „Kurjer-  
 kiem“ nie czytali; a w tym gronie znajdziemy polityków,  
 którym snią się portfele ministerjalne, dyrektorów ban-

ków, właścicieli kamienic, akcjonariuszów milionowych przedsiębiorstw, emerytów i czcigodne wdowy po emerytach, przełożone pensji warszawskich i płóche panny z półświatka—słowem: wszystkich, których stać zamiast sześciu groszy na 2 grosze—na osiem groszy za *Kurjer Warszawski*.

Kto uświadomi sobie należycie związek duchowy między wielotysięcznym spiskiem Bezmyślności i Kołtunerji, a *Kurjerem Warszawskim*, ten zrozumie, dlaczego w tym piśmie najbardziej absurdałne, chaotyczne artykuły są podpisywane inicjałami B. K.

Pan Bolesław Koskowski, który podobno kryjesię pod tymi inicjałami, jak to próbowałem wykazać w pierwszej części artykułu, jako indywidualność jest niczym. Co innego, jeśli spojrzymy nań, jako na *najlepszy*, najbardziej charakterystyczny przejaw pewnego społecznego zjawiska.

\*

Spójrzmy na p. B. K., jako na surogat tego wszystkiego, czym żyją masy czytelników *Kurjera Warszawskiego*, a ujrzymy natychmiast, jak postać p. B. K. gwałtownie urośnie, zolbrzymieje, jak rzuca ponury długi cień na całą Warszawę. Pan B. K., pisząc do tysięcy, jednocześnie przemawia w imieniu tych tysięcy. Stąd zrozumiałe są wszystkie „talenty“ p. B. K. Pod tym jedynie kątem widzenia staje się rozumiałą ta istotnie zatrważająca, niepojęta na pierwszy rzut oka wszechstronność p. B. K. Lecz czyż może on pisać inaczej, pisząc dla tysięcy B. K-wców; czyż narodził się już ten bezmyślny kołtun, któryby nie sądził, iż zna wszystkie dziedziny wiedzy, któryby nie mówił z jednakowym aplombem o wszystkim — o kanałach na Marsie i skuteczności *sagrada barber?*

Pan B. K. wie również, że każdy prawowierny B. K-wiec czyta *Kurjer Warszawski* w czasie poobiedniej drzemki, dlatego też dba bardzo o to, aby artykuły jego poruszały wszystkie tematy zlekka, powierzchownie, aby nie wymagały od czytelnika żadnego umysłowego wysiłku, by były przesiąknięte zdrowym optymizmem, nie zawierały w sobie nic groźnego, denerwującego, coby mogło spłoszyć spokój trawienia, tej zbożnej modlitwy, najważniejszej funkcji życiowej prawowiernego B. K-wca. Za to, że p. B. K. o tym wszystkim pamięta i dba, bractwo B. K. wybrało go na swego Wielkiego Mistrza.

B. K-wiec lubi zagrać w karty, broń Boże w hazard, ryzyka i hazardu organicznie nie znosi. On lubi „preferansika po małej“ w stałym gronie, lubi tytułować swych partnerów „panie radco“, „panie mecenasie“. Lecz niech „radca“ spróbuje hazardu przy innym stoliku, nieco sobie w tym „dopomoże“, dostanie lichtarzem w łeb, wtedy B. K-wiec krzyczy już pierwszy i najgłośniej: „ja zawsze mówiłem, że to szuler i oszust“—i pełen świętego oburzenia, jaknajprędzej wycofując się z awantury, aby broń Panie Boże, nie trafić na świadka, spieszy do domu, by się pochwalić swą przezornością przed małżonką.

Takiej też maksymy trzyma się B. K-wiec i w swej „działalności“ politycznej. Przykładem — dzieje Dmowszczyzny. Ile razy p. Dmowski był u szczytu wpływów, tyle razy *Kurjer Warszawski* kornie płaszczył się przed

nim, ile razy p. Dmowskiemu powinęła się noga, tyle razy to pismo odwracało się odeń z pogardą. Wreszcie—okres wojny. Narodowa Demokracja uchwyciła się odezwy Wodza Naczelnego jak tonący brzytwy... no i pokaleczyła się nareszcie śmiertelnie. Tymczasem bractwo B. K., które również z zachwytem rechotało nad tą odezwą, kwitnie nadal, p. B. K. żyw, zdrów, wesół, pełen i nadal zdrowego optymizmu. Dlaczego?

Bractwo B. K. nie mogło zostać się w tyle N. D.; dlatego, jak widzieliśmy, p. B. K. wziął natychmiast nutę pierwszego tenora w chórze śpiewającym *Veni creator* nowożeńcom: Polsce i Rosji. B. K-wcy zaś, powkładali czapki „dworianskie“ z gwiazdeczką i z opaską czerwonego krzyża paradowali po Warszawie, kłócili się o przyszłe posady w przyszłej zjednoczonej Polsce, piorunowali na Galicję „przez złośliwy żart“—jak mawiali—„nazwaną polskim Piemontem“. „Jesteśmy przekonani, że odezwę o Legjonach redagowano w ministerjum w Wiedniu“ pisał wówczas organ p. Olchowicza.

Zgoda więc między *Gazetą Warszawską*, *Dwugroszówką* i *Kurjerem Warszawskim*, jak widzimy, panowała wówczas na całej linii. W jednym tylko bractwo B. K. zasadniczo różniło się od N. Demokracji: ta ostatnia chciała koniecznie chociażby czymkolwiek dopomódz zjednoczeniu Polski, bractwo B. K. zaś przez swój organiczny wstręt do czynu stanowczo opierało się wszelkim próbom w tym kierunku, uważając, że jeśli zjednoczenie Polski ma nastąpić, to nastąpi i bez pomocy Polaków, że to rzecz koalicji, a w pierwszym rzędzie Naczelnego Wodza Rosyjskiego, który sam się z tą propozycją wyrwał. „Czekajmy na koniec nawałnicy, na jej robotę burząca i zarazem budującą“ perswaduje p. B. K., a kilka wierszy dalej mówi: „Trzeba z wytrwałością, spokojem i równowagą patrzeć w przyszłość, na którą cały świat wespół z nami pracuje“.

Świat cały niech pracuje przelewem swej krwi, my pracujmy oczekiwaniem i spokojnym, zrównoważonym patrzeniem w przyszłość: taką dyrektywę dał odrazu p. B. K. swoim B. K-wcom. N. Demokracja, w postaci swego Komitetu Narodowego rwie się do czynu i ogłasza werbunek do drużyn kainowych. B. K. nie lubi się przeciwstawiać, więc nie tylko daje zgodę, lecz jeszcze poucza, że o ile uchwała zapadła, to „trzeba przyłożyć starania, aby rzecz cała była zrobiona dobrze“. Nie zna B. K. ten, kto by sądził, że *Kurjer Warszawski* w ślad za tymi słowy wystąpił z płomiennym wezwaniem do swych prenumeratorów, aby chwytali za broń, oddawali swe mienie na drużyny. Po co? B. K. nie lubi takich rzeczy—inni go zastąpią.

Możność przechodzenia ochotników z armji do drużyn, udział młodzieży mającej stawać do wojska, ochotnicy z Ameryki uspakaja—*Kurjer Warszawski*—zapewni to wszystko powodzenie drużynom.

Ochotnicy Polacy z Ameryki będą się bić, a B. K-wcy będą pracować u Loursa „patrzeniem“ w przyszłość. Przepraszam — nie chcę być jednostronnym — bractwo B. K. podjęło się prowadzenia polityki międzynarodowej. Przyjeżdża do Warszawy „angielska“ delegacja składająca się z artystki Bariatyńskiej, zrusyfikowanego bułgara Marmarcewa i kilku żydów korespondentów „Rieczy“. *Kurjer Warszawski* występuje z płomiennym artykułem na ich cześć:

„Czuliśmy zawsze jej (Anglii)—pisze *Kurjer*—polityczne współczucie, jej humanitarny protest przeciw losom tragicznym Polski i Polaków“. „Anglja przyjaźni tej składa dziś nową ofiarę, a my z niej dumni jesteśmy, bo dumnym ma prawo być ten, kogo klasyczna kraina wolności opieką swoją otacza. I w chwili, gdy ziemia polska drży, zegar dziejów ma jej wydzwonić wielką godzinę odrodzenia, my błogosławimy słonecznemu duchowi Anglii wołając *England for ever!*“

Gdzież jeszcze na świecie zebracy dziękują w takim patetycznym, wzniosłym tonie?

*Sempre avanti Savoya!* wołali wkrótce znowu B. K-wcy, zachwyceni artystycznym pchnięciem w plecy swego sojusznika przez nowego „słonecznego ducha“. I jeszcze z większą gorliwością zaczęli posyłać swe matrony z kwiatami na dworce na spotkanie wszystkich kurjerów francuskich, serbskich, albańskich, jadących do Petersburga.

Czasami bractwo B. K. podejmowało akcję dyplomatyczną i w Petersburgu. Tak było między innymi i wtedy, gdy cofająca się armja rosyjska zaczęła palić, rujnować wsi i miasteczka polskie. „Niech nasze oddziały straży tylnych, broniąc cofania się sił głównych, pozostawiają po sobie jedynie gołą ziemię pozbawioną falującego morza zieloności“ — zachęcało *Nowoje Wremja* „kozuni“ do traktowania ziemi polskiej.

Drgnęły z przerażenia serca B. K-wców i tysiące oczu błagalnie zawisły na Wielkim Mistrzu. Wielki Mistrz przemówił z godnością istotnego B. K-wca: „Artykuł niniejszy — zaskomlił p. B. K.—podyktowany był oczywiście pobudkami patryjotycznymi wysokiej miary, które każdy człowiek umiejący myśleć po obywatelsku ocenić potrafi“ i błaga dalej, aby „słuszne i niezbędne odezwy“ były ujmowane nieco wyraźniej, nakładały nieco hamulca na patryjotyczne pobudki rozbestwionych kozaków. Artykuł ten pisany był przez p. Bolesława Koskowskiego. Po tym artykule poczułem doń bezgraniczną pogardę i wstręt. Lecz nie wywołał ten artykuł ze strony czytelników *Kurjera Warszawskiego* żadnego protestu, bo oni wszyscy również mogliby tylko takim językiem przemawiać do swego władcy.

Przyszedł dzień 5 sierpnia r. 1915...

(Dok. nast.).

*Przedpłata WIDNOKREĞU wynosi w Warszawie, wraz z odnoszeniem do domu, miesięcznie kop. 85; kwartalnie rb. 2 kop. 50; rocznie rb. 10. Z przesyłką pocztową kwartalnie rb. 3; rocznie rb. 12.*

*Za zmianę adresu dopłaca się kop. 20.*

*Administracja, prócz niedziel i świąt, otwarta codziennie od godz. 10 rano do 2 pp. i od 5 do 7 wiecz.*

*Redakcja, prócz niedziel i świąt, otwarta codziennie od godz. 6 do 7 pp.*

*Rękopisy nie przyjęte są do odebrania w redakcji w ciągu 3 miesięcy. Potym ulegają zniszczeniu.*

*Dla studentów i nauczycieli ludowych 25% ustępstwa. Cena numeru oddzielnego w Warszawie kop. 22; na prowincji kop. 25.*

KAZIMIERZ WROCZYŃSKI.

## Ku upadkowi.

Jeden z najbardziej ważkich zarzutów, jakiego nam nie szczędzą publicyści europejscy, rozstrzygając t. zw. „kwestję polską“ — jest zarzut nieumiejetności administracyjnej. *Polnische Wirtschaft*, — polska gospodarka stała się ulubionym ich krytycznym komunalem, któremu ponoć w ostatnich czasach dopiero poznańscy dali należyłą odprawę i przeciwwagę.

Trudno mi orzec, o ile powyższy zarzut posiada słusność i pod kątem różnych sfer naszego życia gospodarczego, w dziedzinie atoli teatralnej, ze smutkiem przyznać muszę, że jest słuszny, zanedo słuszny.

Podobno kiedyś, za pamięci ojców naszych, w siedemdziesiątych latach zeszłego stulecia, istniał taki wyjątkowy złoty wiek teatralny, za którego „pierwsza scena polska“ — Rozmaitości — kwitły zarówno pod względem artystycznym, jak finansowym. W teatrze bo obie te strony zazwyczaj w parze chadzają. Podobno wtedy w Europie całej — mawiają sędziwi teatromani — uważano marywilską scenę za pierwszorzędną teatr europejski; podobno najznakomitsi artyści świata, jacy mieli sposobność spędzenia wieczoru w „Rozmaitościach“ wynosili stamtąd jaknajszczytniejsze wrażenia, którym dawali upust w entuzjastycznych pochwałach; podobno publiczność stale od góry do dołu codziennie wypełniała widownię na ul. Wierzbowej, rozkoszując się najwyższymi walorami gry aktorskiej i wykwiłtnego smaku teatralnego, — podobno...

Wprawdzie, jako resztką tej mitycznej doby, podobno jawił się początek długów teatralnych, który w epoce naszej wzrósł do sumy kilkukroć, lecz tu jeszcze jest kwestja sporna, czy nie powstał on na tle zachłannych apetytów administracji rosyjskiej. Sprawdzić rzecz trudno. Rachunki — wywieziono. Pozostał natomiast historyczny dokument ówczesnego repertuaru, który w statystycznym zestawieniu, mówi bardzo wiele. Przerzucając go nawet najpobieżniej, widzimy przede wszystkim, że ilość grywanych wówczas corocznie sztuk, była w stosunku do dzisiejszej niepomniernie wielka: przekraczając zwykle setkę, dochodziła do 145, włącznie z niewielkim % jednoaktówek (np. rok 1882), wobec zaledwie 45 w roku 1913-ym.

Następnie, szczegół pierwszorzędnej wagi: *liczba sztuk oryginalnych zawsze przewyższała tłómaczone.*

Drugi niemniej ważny rys: *lwią część wieczorów wypełniały utwory repertuaru stałego, klasycznego, lub doborowego co do jakości w zastosowaniu do ówczesnego smaku.* Ryczałtowy ten pogląd najkategoryczniej stwierdza zdrowe, artystyczne podstawy ówczesnej gospodarki teatralnej: 1) staranną kulturę twórczości swojskiej i 2) granitową podstawę, bez której obyć się nie może żaden teatr, pragnący trwać na wysokim poziomie, stwierdza żelazny kapitał scenicznej instytucji — repertuar.

Zaiste, że do baśni odnieść by należało ówczesny okres wobec stanu, w jakim znajdują się dzisiejsze teatry Warszawy. Wówczas i — dziś. Dwie skrajności, dwie — antytezy: ówczesnej świadomości swych celów i środków, i dzisiejszego dążenia do jedynego celu — kasy, do dochodowości nie przebiegając w środkach, ow-

szem, świadomie wybierając nawet niegodne, byleby przedstawiały jakiegokolwiek szanse dobrnięcia do celu zyskowego. Doszło do tego, że w kompleksie t. zw. teatrów rządowych, powstała scena z najspokojniejszym sumieniem, produkująca wyłącznie bulwarową farsę paryską, scena z zupełną świadomością przez całe szeregi lat odtrącająca bezwzględnie twórczość oryginalną. Doszło do tego, że „pierwsza scena polska“, która, niestety, ze smutkiem wyznaczyć należy, pierwszą już być przestała, w ostatnich latach wykazać może do połowy w stosunku do przeszłości zmniejszoną ilość sztuk rocznie wystawianych przy zupełnym zaniku repertuaru stałego. Doszło do tego, że wszechpanującą modłą stało się t. zw. „wygrywanie“ sztuki dzień po dniu, dopóki pozwoili kasa, bez jakiegokolwiek rozsądnej ekonomii sił, bez oglądania się na przyszłość. Argument, że do podobnego postępowania zmusza konkurencja coraz to nowych scen, nie wytrzymuje krytyki, o ile którakolwiek scena wysuwa postulaty artystyczne,—a zdaje się żadna nie śmiałaby powiedzieć, że je przekreśla. Aksjomat, że repertuar jest podstawą gospodarki teatralnej, nie wymaga dowodów, gdyż uznaje go każdy człowiek jako tako obyty ze sceną.

Wszelki inny sposób prowadzenia teatru, pretendującego do nazwy instytucji kulturalnej, wszelki inny typ „artystycznego“ administrowania sceną, wszelki, jednym słowem, rodzaj dziś praktykowany jest bezwzględnie gospodarką szkodliwą, w skutkach fatalną,—rabunkową.

Tu leży cały rdzeń dzisiejszej u nas kwestji teatralnej. Stąd wypływają skargi publiczności na dzisiejszy poziom scen z jednej strony, zaś dyrektorów teatralnych na publiczność z drugiej.

A, niestety, przyznać muszę, rację ma publiczność. Weźmy chociażby tak bijący w oczy przykład, jak ostatni rok od chwili ewakuacji Rosjan.

Ustaje policyjno-polityczna cenzura. Dla teatru Warszawy otwiera się olbrzymia skarbnica sztuk dotąd zakazanego zakresu. Nie brak w niej i sensacji, nie brak i sztuczydeł, ale jądro składa się z najszczytniejszych arcydzieł naszego romantycznego „wielkiego repertuaru“. Teatry znalazły się w wyjątkowo świetnej konjunkturze. Mogą ukształtować sobie wreszcie repertuar przynajmniej na lat kilka.

I co się dzieje? Nie upłynął jeszcze rok od tej doby tak brzemiennej w pomysłne, zdawało się horoskopy, a już na całej linii panuje pustynna posucha, już kierownicy szukają gorączkowo utworów zagranicznych jakiegokolwiek stempla, byle było. Bo... grać niema co? W jakież więc zachłanny, dewastacyjny sposób zmarnowano tak wielki kapitał artystyczny? W bardzo prosty, utarty, warszawski. Sceny na łeb i szyję „wygrywały“ na chybi trafi jedną po drugiej „zakazane“ sztuki. Bez tchu, bez przerwy, bez zastanowienia. Wyrwały sobie jeden i ten sam utwór, jakby nie było wyboru. A co najgorsze, wystawiały go sobotnim sztychem na niedzielny targ, byle jak, byle było, byle handel szedł. W rezultacie dzieło, które przy należytej obsadzie i porządnej wystawie oraz reżyserce szłoby (nawet bez przerwy) czterdzieści razy, w tandetnym wykonaniu zaledwie wytrzymało—piętnaście! Więc znów co rychlej łapano nową rzecz, wystawiano jeszcze gorzej i grano jeszcze krócej. Publiczność zaś, z zapalem uczęszczającą na pierwsze sztuki, spotykał zawód po zawodzie. Miast pietyzmu i pełni—tandeta po tandecie. Zapał gasł, chłódł,

sztuki pędziły w jeszcze szybszym tempie, aż i zapalu nie stało i—sztuk.

Teatry nagle stanęły przed pustą kasą, niczym charty przed burzanami, w które umknął zając. Stanęły strapione, „speszone“, i oto teraz ozierają się naokół, gdzieby wytropić innego scenicznego szaraka.

Takie są skutki gospodarki rabunkowej, gdyż inaczej trudno nazwać ów sposób prowadzenia. I nic nie pomogą wykrętne tłumaczenia na temat wojny, konkurencji i t. p., gdyż na scenie pod każdym względem popłaca przedewszystkiem jakość, a jakość to — repertuar. Reszta jest rabunkowością teatralną.

MICHAŁ RÖMER.

## Ludy Litwy.

### I. Polacy litewscy.

Zbyteczne chyba określać, jakie znaczenie ma dla Polski kwestja Polaków litewskich. Są oni najwybitniejszym wyrazem przeszłości i tradycji dziejowej oraz tego związku kultury i polityki, który pełnił i pełni na Wschodzie funkcje cywilizacji zachodniej, opartej na wolności i na czynnym pierwiastku uspołecznienia i uobywatelnienia masy ludzkiej (w przeciwieństwie do bierności i niewolnictwa, na których się funduje rozwój społeczny Wschodu). Poza tym Polacy litewscy, przez skojarzenie w nich pierwiastków kultury polskiej z głębokim podłożem litewsko-ruskim, okazali się czynnikiem niezmiernie twórczym i zdolnym, którego znaczenie i wpływy w ogólnym polskim dorobku narodowym były i pozostały bardzo wybitne. Na polu sztuki, literatury i polityki polskiej widzimy wciąż dopływ pracy polskich synów Litwy, których czyn nacechowany jest zawsze głębokim i oryginalnym indywidualizmem oraz siłą woli i wyrazu.

Wszakże właściwym terenem działania i twórczości Polaków litewskich była i pozostanie Litwa, ta ich ojczyzna, w której tkwią zarówno swoim najgłębszym podłożem etnicznym, jak społecznym bytowaniem gospodarczym i społecznym, związani z nią zarówno prawami, jak obowiązkami obywateli.

Nie jest całkowicie pozbawiony wagi ten fakt historyczny, że element polski na Litwie w większości swojej nie jest napływowym, z kolonizacji ani tym mniej z najazdu powstałym, jeno elementem rodzimym w kraju, elementem, który wyrósł z tegoż podłoża etnicznego, co lud, i stał się polskim również nie w drodze jakiegoś przymusu zewnętrznego, jeno jako produkt wewnętrznej ewolucji krajowej, reagującej w ten sposób na wpływy politycznego i kulturalnego spółyżycia z Polską. To dodaje siły elementowi polskiemu na Litwie, robi go bliskim krajowi temu, ułatwia mu porozumienie z innymi ludami krajowymi i pełnienie funkcji nie tylko ściśle narodowych, ale i obywatelskich w myśl potrzeb całości.

Gdy rozwój demokracji w wieku XIX-ym wyłonił z masy ludowej nowe odradzające się formacje narodowe, jak litewska i białoruska, i powołał je do współpracownictwa obywatelskiego z Polakami litewskimi; Polacy litewscy nie tylko z tytułu swojej tradycji obywatelskiej nie mogli się temu przeciwstawić, ale zyskują jeszcze sami

w tym procesie demokratycznym głębsze dla siebie oparcie narodowe w kraju.

Nie są oni już dzisiaj w tym kraju, a tym mniej będą w przyszłości, jednym tylko stanem szlacheckim lub jedną klasą—ziemiańską w ogólnej społecznej strukturze kraju. Nieścislým jest ich utożsamianie ze stanem lub klasą. Wprawdzie większa własność ziemska jest w całej prawie Litwie przeważnie polska i wprawdzie siła gospodarcza tej klasy, jej wyrobienie polityczne, ze źródeł dawnego stanowego,—szlacheckiego—społeczeństwa płynące, nie utraciły dotąd swej wagi i zapewniają jej wybitne wpływy i rolę w rozwoju krajowym, jednak polskość w Litwie sięga też znacznie dalej w głąb. Obok klasy ziemiańskiej, spokrewniona z nią blisko przez swoje zwłaszcza stanowe cechy,—polską jest w przeważnym stopniu warstwa drobnoszlachecka, która w poszczególnych miejscowościach tworzy dość znaczne skupienia. Warstwa ta w jeszcze większym stopniu, niż ziemiaństwo polskie, łączy i godzi w sobie narodowe tradycje polskie, z głębokim etnicznym podłożem lokalnym, tworząc most między polskością, a prastarą krajową kulturą ludową. Jest to charakterystyczne zwłaszcza dla drobnej szlachty na Białej Rusi wschodniej. Dzięki swemu konserwatyzmowi, znajdującemu znakomitą ostoję w przywiązaniu do stanowych przeżyć, środowisko drobnoszlacheckie, nie przestając być w pojęciach polityczno-narodowych polskim, o wiele czyściej przechowało stare zwyczaje, nawet mowę i wogóle elementy kultury białoruskiej,—niż właściwy białoruski lud słowiański, ulegający tam bardzo mocno wpływom rusyfikacyjnym. To też pod wielu względami, ta polska drobna szlachta jest tam lepszą od ludu konserwatką tradycji białoruskiej, tej tradycji, do której nawiązują swoje wysiłki rzecznicy demokracji, łącząc z rozwojem społecznym ludu jego narodową formację.

Oprócz ziemian i drobnej szlachty, element polski ma dość znaczne oparcie w miastach, które, jak wszędzie, coraz większą rolę grają w rozwoju krajowym, oraz poniekąd w ludzie. Właśnie rozwój demokracji, który wyłonił z biernej dotąd ludowej masy etnicznej odrodzony naród litewski i który stwarza w tym samym kierunku tendencje na Białej Rusi, powołując do życia narodowy ruch białoruski,—w pewnych częściach kraju, tam, gdzie wpływy polskie już poprzednio zdołały głębiej do ludu przeniknąć i utwalić się, dokonywa zarazem świadomej polonizacji w warstwie ludowej. Dotyczy to zwłaszcza Białej Rusi zachodniej w jej katolickich częściach, gdzie w poszczególnych miejscowościach tworzą się większe terytorjalne skupienia o narodowym, i to ludowym obliczu polskim, jak szczególnie w promieniu Wilna i mniej więcej w pasie, biegnącym z północy na południe wzdłuż linii zetknięcia etnicznego żywiołu litewskiego z białoruskim. Pas ten biegnie mniej więcej przez skrajną wschodnią część powiatu Jezioroskiego gub Kowieńskiej, przez środek powiatu Święciańskiego, wpadając w powiat Wileński, skąd się nieco szerzej rozlewa w powiat Lidzki i poniekąd Oszmiański, gubiąc się w powiatach Grodzieńskim i Słonimskim, a odnajdując znowu w Sokólskim i Bielskim, gdzie już przechodzi stopniowo we właściwą Polskę etnograficzną, stapiając się z jej jądrem. Proces ten, wytworzony przez demokrację, tak samo jak się wytworzyło odrodzenie narodowe Litwinów i wytwarza ruch białoruski, daje elementowi polskiemu na Litwie

konkretniejsze oparcie ludowe oraz pewną jego kondensację terytorjalną w zogniskowanym narodowym ośrodku, streszczającym się dokoła Wilna, czego ziemiański charakter polskość był dotąd pozbawiony. W dalszym rozwoju demokracji, gdy lud coraz bardziej czynnie ciążyć będzie swemi zarówno potrzebami gospodarczo-społecznymi, jak elementami kulturalnymi,—na rozwoju krajowym, to podłoże ludowe, które Polacy litewscy w rozwoju demokracji zyskują, będzie niewątpliwie cennym dla ich stanowiska w kraju atutem.

Wszakże wymogi spółżycia w kraju mieszanym oraz prawa, zarówno jak obowiązki obywatelskie, które stanowisko i rolę Polaków litewskich określały zawsze i określają nadal, nakazują im dzielić się wpływami z innymi ludami miejscowymi na zasadach współpracownictwa w imię ogólnego rozwoju krajowego. Rola szlachty, jako jedynego gospodarza i rzecznika kraju, odpowiedzialnego wobec dziejów jego, staje się coraz bardziej ograniczona przez lud, który spółodpowiedzialność bierze na siebie, a w tym wzroście czynnika ludowego Polacy znajdują przecież i własny także narodowy zasiłek. Wielce błędnym jest mniemanie, jakoby z wyczerpywaniem się roli szlachty, kończyła się też obywatelska rola Polaków litewskich w dziejach Litwy.

Sprawozdania dzienników warszawskich z posiedzeń Rady miejskiej są potworne. Niewiadomo co tu bardziej podziwiać: krańcowe nieposzanowanie drukowanego słowa czy tradycyjne już lekceważenie czytelnika.

W Europie zachodniej takie czynności pełnią ludzie poważni, wykształceni, znający się na rzeczy, o której piszą. Tacy ludzie—dzisiaj są sprawozdawcami, jutro mogą być posłami. U nas ten sam reporter, który rano układa rubrykę wypadków, wieczorem zasiada w „łóży prasowej“ i pisze sprawozdanie z poważnych bądź co bądź obrad.

Zadanie przerasta jego siły. Mógłby może dać ściśle sprawozdanie, spisując wszystko co słyszy, lecz to jest technicznie niemożliwe, bowiem musiałby napisać kilka tysięcy wierszy. Ma więc zrobić *resumé*, lecz ono właśnie wymaga zorientowania się w wielu poruszanych sprawach oraz poczucia rzeczy najważniejszych. Tego poczucia pozbawiony, daje jakieś skrawki, fragmenty obrad, poszczególne zdania radnych, wyjęte bez sensu i związku. Gdyby np. jakiś radny spadł z krzesła,—byłby to dla takiego reportera najważniejszy moment posiedzenia. Niewymowną radość sprawia mu, kiedy na mównicę wchodzi p. Priłucki, bo to jest jeszcze osoba „sensacyjna“.

Nasi radni są w tej sprawie zupełnie... bezradni. Po każdym posiedzeniu musieliby do pism warszawskich posyłać po kilkanaście sprostowań. Więc machnęli ręką i tylko spojierają w stronę „łóży prasowej“ bez zbyteńczego szacunku.

Zebrały się w tej „łóży“ wysoce nieinteligentne żywioły.

Gdyby inteligentny czytelnik miał do pp. „sprawozdawców“ zaufanie, opinia o radnych byłaby okropna. Na szczęście, tego zaufania kulturalna część Warszawy nie ma.

## OBSERWATOR.

## Rozmowy niedyskretne.

## III. Na dwóch biegunach.

*Pasywista.* Wojna jeszcze nie skończona...

*Aktywista.* Do właściwości pańskiego myślenia należy stwierdzanie oczywistych faktów, z których nie wyprowadza pan żadnego praktycznego wniosku, jeśli taki wniosek wskazuje drogę czynu...

*P.* Widzę ów czyn w dalszej przyszłości...

*A.* Idealizm bierności jest największą w tych czasach niemoralnością. Pan zawsze odsuwał czasy czynu w dalszą przyszłość. Tak było przed wojną, podczas niej i tak też będzie po wojnie. Pan będzie wierzył i głosił, że kiedyś tam nadejdzie chwila czynu, uspakajając w ten sposób swoje sumienie. Ten, powtarzam, niemoralny idealizm zatruwa psychikę narodu już od paru pokoleń.

*P.* Czyn nieodpowiedzialny i szalony niesie też największą truciznę...

*A.* Niema czynów tak szalonych, któreby były gorsze w swych wynikach od bierności. Lecz dla pana każdy czyn jest niebezpieczny.

*P.* Każdy, który może się okazać wielkim błędem; każdy, któremu dalsze okoliczności mogą zaprzeczyć na całej linii.

*A.* Otóż to. Dochodzimy tu do krańców niedorzeczności. Pan chce mieć absolutną gwarancję, że zewnętrzne okoliczności ułożą się zgodnie z naszą obecną, czynną polityką. Stąd wynika, że żaden czyn nasz nie jest potrzebny...

*P.* Musimy być ostrożni, obecnie bardziej, niż kiedykolwiek.

*A.* Najostrożniejszym jest ten milczący stół, przy którym siedzimy w tej chwili. Nie zabezpiecza go to od bomby z aeroplanu rzuconej.

*P.* Mówię o ostrożności, która trafnie wybiera drogę i chwilę czynu.

*A.* Należałoby w takim razie zawrzeć umowę z Panem Bogiem, byśmy w każdej chwili wiedzieli, co i jak się stanie — i dzięki temu jasnowidzeniu mogli grać komedję czynu.

*P.* Czemu komedję?

*A.* Skorobyśmy wiedzieli, że coś stać się musi... Lecz wkraczamy tu w dziedzinę metafizyki, mocno zresztą pod względem logicznym szwankującej. Zaś błąd największy kryje się w braku przesłanki, która jest obcą pańskiemu sposobowi myślenia...

*P.* Mianowicie?

*A.* Nie zastanawia się pan wcale nad znaczeniem naszego czynu w ogólnym układzie sił i okoliczności.

*P.* Jesteśmy słabi...

*A.* Przez bierność. Przez wieczne odkładanie czynu na później. Ten fałsz nas usypia. Myśl o naszej słabości stanowi całą treść i wyłączną siłę pańskiej postawy.

*P.* Którą pan nazywa niemoralnością... W takim razie nasz naród w dziewięciu dziesiątych jest w tej chwili niemoralny...

*A.* Nie waham się stwierdzić tej prawdy. Lecz my go zbudzimy. Tymczasem mniejszość działa i walczy, rehabilitując Polskę. Mniejszość też zdobędzie siłę rządów...

*P.* I rządzić będzie wbrew woli większości!...

*A.* Gdybyż to była jakaś wola!... Najtrudniejsze rzą-

dy, jeśli mają być zgodne z interesami narodu,—to opanowanie społeczeństwa biernego. Wtedy rządząca mniejszość dokonywać musi cudów pracy, wytwałości, inicjatywy... I tak właśnie będzie.

*P.* Powtarzam: wojna jeszcze nie skończona...

*A.* Na tym stwierdzeniu kończy się wysiłek pańskiego umysłu. Dla mnie się—zaczyna. Chcę, żeby wojna skończyła się po naszej myśli i to mnie obowiązuje w moim czynie. Jest wojna z Moskwą. To znaczy, że Polska może powstać. Polacy niech pomagają w osłabianiu Moskwy. Oto w ostatecznym skrócie—wszystko. Na dziś. Wszystko—jako warunek. Pragnienia, tęsknoty, rachuby polityczne, nieoparte czynami, stanowią źródło strasznej demoralizacji. Sprawiają, że naród staje się żebrakiem, wyciągającym ramiona o wspaniałomyślność i o łaskę—to w tę, to w inną stronę, zależnie od okoliczności; że pochyła kark—to w tę, to w inną stronę, zależnie od czasów i warunków... Tak,—on czegoś pragnie, on kocha Ojczyznę, on jest narodem patriotów... Tylko nic sam uczynić nie potrafi, do biegu wydarzeń wszechświatowej wagi i wieczystej doniosłości ręki nie przykładają. *Prosi...* Kto prosi, tego hasłem: co łaska... A to jest dla narodu—śmierć. Wy mu już mszę żałobną odprawiacie, sami o tym nie wiedząc.

*P.* Wierzę w powstanie Polski niepodległej...

*A.* Przez bój, przez ofiarę i przez przymierze z wrogami Moskwy,—godne, twórcze, poważne, zasługujące na szacunek i na zaufanie. Z tym potężnym przymierzem nie licuje postawa żebraka. On zaufania nie wzbudzi, bo żebrak zawsze, *wszystkich* prosi, byle coś otrzymać...

*P.* Jesteśmy w tragicznym położeniu.

*A.* Nie czas na tragiczne westchnienia. Położenie nasze staje się czymś nowym, co ukształtować i utrwalić w duchu naszych interesów jest naszym prawem i obowiązkiem. Inaczej—przyszłość nas przeklnie, jako pokolenie, które przepało wszechświatową wojnę. Sen narodu, choćby to był sen marzycielski, jest na sądzie historii zawsze nikczemnością.

*P.* Nie mniej surową jest historia dla błędów przeszłości. Jeżeli, mimo wszystko—mylicie się?...

*A.* Prawda nieomylna tkwi w faktach dokonanych i zgodnych z najgłębszą tęsknotą dwudziestomilionowego narodu. Symbolem tej prawdy jest Krzyż, stawiony na stokach cytadeli. Znak męczeńskiej i bohaterskiej przeszłości, na którą naród powołać się może wobec Boga i świata w swym pragnieniu niepodległego bytu. Odgaduję powody pańskiej trwogi... Nie wierzę w powrót Moskali. Gdybym jednak uważał to za możliwe, z tym większą siłą nawoływałbym społeczeństwo do czynów odrodzeniowych, które pan uważa za szalone ryzyko, ja zaś—jeśli trwamy w tym przypuszczeniu—za najbardziej realne zabezpieczenie narodu przed ostatecznym upadkiem i niezdolnością przeciwstawienia się nowym zakusom moskiewskiego ciemństwa. Niechby świętokradzkie ręce Moskali zwały ten Krzyż. Jeśliby nie zdrząło sumienie Europy, zaś przedewszystkiem jej części, z Moskwą sprzymierzonej, to w każdym razie takie świętokradztwa—a pole zbrodni jest już tu szerokie—trzymałyby uczucie naszego narodu w napięciu buntu, który w końcu rozsadziłby gmach niewoli. Tyle w odpowiedzi na pańskie obawy, których nie podzielam. Nie chcąc powrotu Moskali, musimy ten powrót uniemożliwić czynem własnym, czyn sprzymierzeńców wzmacniającym.

*P.* Qui vivra—verra...

*A.* Rzeczą pańską jest czekać, moją—czasu nie tracić.



JULJUSZ KADEN.

## † Major Wyrwa-Furgalski.

Tadeusz Wyrwa-Furgalski urodził się w Rzeszowie 3 grudnia 1890 roku, z tego twardego pokolenia mazurów, które oddawna sławi się na polach bitew tak dobrze znaną w Polsce powszednią cnotą żołnierską.

Cnotą powszednią, bo jest ona z świetnego pęku tych mazurskich zalet, które się znajdują w chwili potrzeby szczodrze, łatwo i obficie, a nad którymi nikt się nie rozwodzi, tak są chętne i częste. Owe mazury, — to naród wesoły, nieustępliwy, w rękach się im wszystko składa i wiąże w związek obrotny i mocny. Sztuka roboty, pracy i kierownictwa jest im wrodzona.

Major Wyrwa przygotowywał się do wojny sumiennie i z zapalem, zaś połączenie tych dwóch wartości jest w Polsce rzeczą rzadką.

Należał do Związku Walki Czynnej od 1912 roku; pracował w Krakowskim Strzelcu. Ukończył tu szkołę oficerską wyższą, która, jak to później okazał przebieg wojny i rozwój formacji wojskowych polskich, była doskonałą akademią młodego oficerstwa polskiego.

Wyrwa doszedł wówczas do wysokiej szarży podporucznika i służył kolejno jako komendant szkoły żołnierskiej i podoficerskiej, jako przewodniczący komisji egzaminacyjnej.

Wyruszył z Krakowa dnia 8/VIII na czele IV bataljonu, zdobywając sobie od razu sympatię i miłość żołnierzy. Dzięki czemu? Może dzięki swej niespożytej wesołości? Lub może dzięki opiece, jaką otaczał żołnierzy?

Trudno określić elementy tej najtwardszej i najtrudniejszej miłości, mianowicie żołnierzy do dowódcy. Można być pracowitym, sumiennym, wesołym, można umieć oszczędzać życie żołnierza i nie być przez niego kochanym. Będzie zawsze trwać między szeregiem a komendantem jakiś przedział nieokreślony i tego nie zmieni ani śmierć, ani zwycięstwo.

Zaś można, tak jak Wyrwa, wyjechać przed front, machnąć cholewami wedle boków konia, popatrzeć na bataljon, ogarnąć go wzrokiem tak, że od razu każdy żołnierz czuje się przenikniętym i zrozumianym.

Ten dar miał major Wyrwa. Miał wielki talent wzbudzania miłości żołnierzy. To stwarzało, że między rozkaz a posłuszeństwo wplatała się ta rzecz najpiersza i najżywsza, — miłość.

Wyrwa był wcieleniem młodego komendanta bataljonu, młodego wojska. Trzeba go było widzieć, jak na czele bataljonu inteligentów, powstańców, patriotów, mówców, studentów, ochotników, — którzy w ręku jego przemieniali się w wojsko — maszerował na Kielce. Jak na małych rynkach biednych i nieszczęsnych miasteczek Królestwa, prowadził to wojsko w sznurowanych półbutkach, głodne, wyniosłe i mężne... Jak przecinał wybuchy śpiewu i uroczystości machnięciem szabli, lub krzykiem komendy. Jak drżącymi z radości i z trudu rękoma na wycieczkowych mapach kreślił drogę.

Zdaje mi się, że nie przesadzę, gdy powiem, że w tych kwitnących i rozkosznych wzgórzach kieleckiej ziemi, w tej godzinie słońca i entuzjazmu, jakie świeciło początkom straszliwej wojny, w tej chwili drogiej i uroczystej, gdy szła z Galicji do Królestwa młodzież oręż-

na, był młody. Wyrwa był uosobieniem siły, rzeźwości i piękna.

Podczas kampanji kieleckiej i pierwszego odwrotu brał udział major Wyrwa, dowodząc IV bataljonem we wszystkich bitwach. Więc 14/VIII 1914 r. pod Brzegami, 19/IX i 23/IX pod Opałowcem i Brzegami, 23/X i 27/X pod Budami Michałowskimi, Niedabylem i Brzechowem. Wreszcie podczas odwrotu w pierwszej wielkiej bitwie pozycyjnej, jaką stoczyła I Brygada, t. j. pod Krzywopłotami.

Kapitanem mianowany został 25/X 1914 r. w Jakubowicach.

Historja działań wojennych I Brygady szczegółowo oceni te zasługi, którymi się odznaczył, — współcześnie ocenili go zawczasu.

Na wiosnę 1915 roku, w czasie marszu z nad Nidy na Konary z szeregu żołnierskiego wróciło do Wyrwy, jakoby echo tej pracy i zasługi, jakiej był dokonał zeszłego roku. Oto dawny IV bataljon, gdy przechodził koło kwatery głównej, upominając się o swego dawnego komendanta (Wyrwa był wówczas przy 3-im pułku I Brygady), skandował chóralnie „My chcemy Wyrwę!

My chcemy Wyrwę, — niesło się szeroko i daleko przez białą wieś, złoty kurz i drżącą zielenią wiosny świeżej... Ten krzyk mieszał się z tempem marszu, z chrzęstem broni, tętniąc niby świetny wyraz żywej i burzliwej sławy oficera.

Po bitwie pod Konarami odwołany został major Wyrwa do prac organizacyjnych, zaś po powrocie do Brygady, objął II bataljon 5 pułku.

Dużo się od tego czasu zmieniło, pozmieniali się ludzie, wykruszyła się „wiara“ w bataljonie, który tyle walczył, tak krwawił się i tyle zwyciężał. Wielu z tych żołnierzy co stali z odkrytymi głowami na jędrzejowskim rynku i śpiewali „Z dymem pożarów“ legło w ziemi, z wielu krzyże jeno pozostały rozsypane po wsiach, polach i lasach.

Tym nie mniej przetrwała głęboko w szeregu zakorzeniona miłość do majora Wyrwy.

Objąwszy komendę, odznaczył się od razu pod Słowogorozem, potem zaś pod Koszyszciami, gdzie brawurowym atakiem rozbił nieprzyjaciela, zabierając dwie kompanie do niewoli.

Pod Koszyszciami też 25/X 1915 r. został mianowany majorem.

Żołnierze przewalali go po tym ataku Rinaldem dlatego, że z fajeczką w zębach, z rozwianą peleryną, leciał do szturm.

Trzeba zrozumieć, ile uznania, ile podziwu i serdeczności jest w tym przydomku. Wszak nadawał go majorowi młody żołnierz, dla którego Rinaldo dużo znaczy i wyraża.

Major Wyrwa miał też wszystkie zewnętrzne dane, by się podobać żołnierzowi. Był wysokiego wzrostu, zgrabny, żywy. Jasne włosy, piękne, niebieskie oczy, twarz ściągła, biała, złoty wąs, ruchy lekkie składały się raczej na wygląd młodzieńca, niż znacznego oficera.

Wysoka szarża, jaką piastował, nie narzuciła mu żadnej pozy. Miłe, nieomal dziecinne przyzwyczajenie, tęgie żołnierskie libacje, obcesowość we wszystkim do czego się brał, nie opuściły Wyrwy, gdy został majorem.

Stworzył on osobliwego gatunku dowcip wojskowy, pełen zabawnej przekory.



# WID NO KRAG

N<sup>o</sup> 8 (R. II) Warszawa, 8 Września 1916  
KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE N<sup>o</sup> 7. — TELEF. 158-90.

**TREŚĆ:** J. WASERCUG: Logika historii. — TADEUSZ HOŁÓWKO: „B. K.” (dokończenie). — KONRAD CHMIELEWSKI: Przyroda w powieściach Weysenhoffa. — Interpelacja. — T—t: Od Styru do Stochodu. — Władysław Weryho. — Gabrijel Kempner. — BRUNO WINAWER: Z dnia na dzień.

JÓZEF WASERCUG.

## Logika historii.

Prawdy najprostsze mają to do siebie, że najtrudniej przenikają do umysłów. Myśl zbiorowa jest raczej skłonna do wkraczania na logiczne bezdroża, w chaos sprzeczności, znaków zapytania i skomplikowanych rachub, niż do przyjęcia sądów, które się niejako same narzucają, które są ujęciem rzeczywistości najbardziej bezpośrednim.

Czemu się tak dzieje?

Ażeby wysnuwać z rzeczywistości wnioski bezpośrednie, realne, logiczne, czyli owe prawdy najprostsze, trzeba ją *widzieć*.

Tragedją polskiej myśli politycznej było, iż najczęściej myśl ta opierała się na historycznej niepamięci, albo czerpała swoje niedobre natchnienia z trwogi przed rzeczywistością, którą raz malowała w barwach zbyt ponurych, kiedyindziej idealizowała, albo też, odrywając się od wszelkiego gruntu realnego, całkiem go nie widziała. We

wszystkich zaś wypadkach błąkała się w abstrakcji, tam w nieskrępowaniu i dowolności tworząc jakby inną rzeczywistość, z niej już wysnuwając wnioski, przewidywania, nawet programy polityczne, nawet zasadnicze wskazania. Ten trud myślowy, tworzony w mgłę abstrakcji, pochłaniał dużo energii i, jeśli wpływał na istotną zmianę realnego obrazu życia, to jedynie czyniąc to życie słabszym, psychicznie uboższym, pozbawionym tej busoli logicznej, której działanie przeniesione zostało w świat teorii, rozmijającej się ze światem historycznych doświadczeń lub w swych konstrukcjach politycznych od prawdy życia narodowego niezależnej.

Tam budowano całe systematy przemądrej dyplomacji, naukę przezorności i rozważli, tam, w sposób bardziej lub mniej inisterny układano programy na przyszłość, ćwiczone się w stawianiu horoskopów, w wygłaszaniu kojących przewidywań i prorocत्व. Czyniono te wysiłki, jeśli się tak można wyrazić, na nizinach abstrakcji, dla których najpierwszy, podstawowy, najbardziej realny postulat polityczny polski był czymś niebosiężnym: utopią.

W stosunku do postulatu niepodległości zaczęliśmy się upodabniać do ludów, których świadomość narodowa dopiero się budzi i które w swej polityce słuszną wykreślają programy ewolucyjne, słuszenie ustalają *etapy* swych dążeń. Tu kompromis, zgoda, ostrożność taktyczna—odpowiada rzeczywistości. Ludy te, gruntując i bogacąc swą świadomość narodową, mogą jedynie miarowo, ewolucyjnie, poprzez szereg szczebli rozwojowych zmierzać do swej samodzielności, mogą prowadzić politykę, odpowiadającą w każdym okresie stopniom ich uświadomienia i wynikających stąd żądań. Żądań tym śmielszych, im lud taki mocniejszy staje w swej świadomej odrębności kulturalnej. I dlatego racjonalną jest tu myśl polityczna, która niepodległość uważa za cel daleki, z konieczności poprzedzony szeregiem form przejściowych.

Czym jednak jest myśl taka wśród narodu, który ma już *za sobą* tysiąc lat samoistnej kultury i samodzielnego bytu? Czym są wszystkie z tą myślą związane programy, taktyki, kompromisy i półśrodki? Czym są tu hasła samorządu czy autonomji w ramach obcej państwowości?

Jedno z dwojga: albo naród stoczył się na poziom owych ludów, budzących się dopiero do narodowego życia i w takim razie są to hasła racjonalne, albo też są największym fałszem i niedorzecznością, jeśli naród jest tym, czym był — w swej kulturze i w swym życiu duchowym — choćby go stuletnia niewola najbardziej zmęczyła. Ugodowcy wszelkiego autoramentu, wiążący swe nadzieje z Rosją, zarówno najbardziej ostrożni

i skromni, jak i możliwie w swych kompromisowych rachubach radykalni, zalecali t. zw. „formy przejściowe“, które mogły być dla nas tylko ulepszeniem więzieniem, lżejszą niewolą. Przytym o tych „formach przejściowych“, o tymczasowości wybląganych reform mówili tak cicho i ostrożnie, żeby takiej interpretacji nie usłyszał najeźdźca, wobec którego „reformę“ przyjmować należało z radością, jako cel wszystkich dążeń narodowych. Mówili tak cicho i ostrożnie, że tego „wyjaśnienia“ nie mógł usłyszeć... sam naród polski. Oszukując swoją radością wroga, narzucali ją jednocześnie narodowi—w rzeczach całej jego historycznej przeszłości niegodnych. Tłómacząc wrogowi, że naród o niczym innym nie myśli, musieli też tłumić wszelkie przejawy szczerości i najprostszej prawdy, musieli sączyć w zbiorową świadomość wszystkim fałsz, jaki uważali za niezbędną dla stworzenia harmonji w stosunkach Polski i Rosji. Im więc dłuższą była droga „form przejściowych“, im dłuższy okres ewolucyjnych form i „etapów“, tym więcej nagromadzano fałszu i obłudy, — z której zresztą najeźdźca często zdawał sobie sprawę — tym więcej zużywano energii na nieustanne tłumienie żywiołowych aspiracji narodu. Tak było z górą sto lat! W ten sposób zwolennicy „form przejściowych“ bytu politycznego Polski, związanej z Rosją, chcąc rozstrzygać sprawę polską w tym związku drogą metod ewolucyjnych i tak posuwać ją naprzód, cofali całe życie narodu o dziesiątki lat wstecz.

Potwierdza to stuletni rachunek strat i korzyści, jakie nam niosła ta właśnie polityka. Tu tkwi cała jej tragiczna paradoksalność. Uważając niepodległość za cel ostateczny, lecz daleki, czynili go coraz dalszym, czynili zeń już tylko przedmiot marzeń narodowych, wreszcie—utopję, która w polityce realnej nie obowiązuje.

Nie zobowiązała ich ta „utopja“ w chwili, kiedy nastąpiły całkiem nowe okoliczności, przekreślające znaczenie wszystkich dawnych metod i zabiegów, przewrót w stosunkach politycznych świata: wojna. Mierząc ją i oceniając miarą tak małą, jak małe są ich dusze i umysły, dali hasło nawrotu do „wielkiej myśli“ 1905-go roku: autonomji polskiej w Państwie Rosyjskim. Znowu jako... formy przejściowej!

Od wielu lat zwolennicy polsko-rosyjskiego sojuszu dawali zlekka do zrozumienia, pocichu i jakby na migi, że musimy czekać na radykalną zmianę stosunków politycznych w Europie, kiedy program niepodległości stanie się rzeczą realną, że „właściwie“ w stosunku do Rosji grają rolę Wallenroda, któremu należy zaufać. Cóż zaś po wybuchu wojny ów „Wallenrod“ pokazał? Oblicze

karła, dla którego wojna wszechświatowa, kataklizm dziejowy, przewrót w historii ludzkości bezprzykładowy, ma takie same znaczenie, jak awantura rewolucyjna z r. 1905-go! Uznał tę chwilę za „nieodpowiednią“ do wysunięcia hasła niepodległości, jakgdyby kiedykolwiek i w jakichkolwiek okolicznościach mogła istnieć chwila bardziej „odpowiednia“. Dziesiątki lat polityki ugodowej przyzwyczaiły tego „Wallenroda“ do programów kompromisowych i uczyniły go psychicznie i moralnie niezdolnym do wzniesienia się na wyżyny nowego przełomu. Tak się nań pomściło redukowanie narodowych aspiracji, tamowanie oddechu narodowego i tradycyjny fałsz w robocie politycznej. Zgubił się w sieci ostrożnych obliczeń, w sztucznych konstrukcjach politycznych i w tej mądrości, która za utopię uważała to, co jest i jedynie być może najbardziej realnym postulatem polityki polskiej. Nie dojrzał najprostszej prawdy, kryjącej się pod warstwami śmiecia, jakie w życiu polskim gromadziła ugodowość nawpół wiernych poddanych Państwa Rosyjskiego i nawpół wiernych idei narodowej polskiej.

Ludzie tego typu, którzy tamowali myśl i uczucie narodu, zostali sami, przez Nemezis dziejową, przez bieg wydarzeń wielkiej wojny, cofnięci o całą epokę wstecz i tkwią dzisiaj w psychologii dawnych haseł, czyli poza dzisiejszą rzeczywistością, podczas gdy naród, wszystkie jego żywioły najzdrowsze, zbliżają się do tej rzeczywistości wielkimi krokami.

Wojna obecna, o której nadejście modlił się Mickiewicz, ma dla narodu polskiego jedyne i wyłączne znaczenie: jako przewrót, który niesie mu restytucję praw narodowych, czyli wskrzeszenie niepodległego państwa polskiego.

Wszystkie inne nadzieje i programy są *przekreśleniem* znaczenia tej wojny dla sprawy polskiej. Tylko takie przekreślenie wznowić może hasła, na jakich wysunięcie „pozwoił“ epizod rewolucyjny, który w zestawieniu z obecną wojną był czymś mikroskopijnie małym, niemal niczym. Jedyna różnica, uzupełniająca wznowione hasła dawnych czasów, a mianowicie: nowe nadzieje terytorjalne, zresztą złudne, nie zmienia istoty rzeczy. Większy obszar „zjednoczonej“ niewoli jest również tylko obszarem niewoli.

Lecz znaczenie wojny daje się przekreślić jedynie w świadomości umysłów, które nie dorosły do jej zrozumienia. Historia nie pyta się ich o rady i wskazówki. Swoją rozkazodawczą logiką przekreśla ich dorobek, który osiągnął już krańców niedorzeczności.

TADEUSZ HOŁÓWKO.

**B. K.**

## III.

Przyszedł dzień 5 sierpnia r. 1915, dzień ponury w dziejach bractwa B. K., gdyż wytracił go z tak cennej dlań duchowej równowagi. Biedni B. K-owcy! Cóż oni wtedy przeżyli: jak dygotali w tę noc pamiętną w swych sypialniach pod pierzynami, jakie przerażenie malowało się w ich oczach, gdy rankiem ujrzeli na ulicach Warszawy pickielhauby, o których tyle, tyle poprzednio czytali w swoim „Kurjerku“.

Rozpoczęła się istotna powódź trosk i niepokoików dla przerażonych B. K-ców. Nakazano meldować się tym, którzy w wojnie obecnej służyli w szeregach rosyjskich; B. K-wcy tłumnie pospieszili na Plac Saski zameldować się na „wszelki wypadek“, bo u jednego dziad brał czynny udział w wojnie krymskiej, drugiemu brat zginął na wojnie japońskiej. Wydano rozkaz składania broni i B. K-wcy stali godzinami na podwórzu Ratusza „na wszelki wypadek“ składając rodzinną pamiątkę: archaiczny pistolet z XVII wieku lub zarzewiałą szpadę dworzanina epoki stanisławowskiej. Wciąż tak musiał B. K-wiec gdzieś, coś, kogoś meldować. Wypełniając to wszystko nad wyraz sumiennie i gorliwie, nie przestawali, rzecz jasna, B. K-wcy nastawiać ucha na Wschód i nie zaniedbywali „na wszelki wypadek“ składania sutych darów na ołtarzach obalonych bogów. Dziełem bractwa B. K. była uchwała utrzymania języka rosyjskiego w szkołach polskich, ono też dało sygnał do konserwowania szyldów moskiewskich, a gdy nastąpił w tej sprawie kategoryczny rozkaz, dało radę przewracania szyldów na odwrotną stronę, lub zamazywania ich tak cieniutką warstwą farby, aby już pierwszy wiosenny deszcz mógł uwidocznic miłe ich oczom litery.

Tymczasem zbliżała się wiosna, a wiatr ze Wschodu nic nie przynosił: ani zbliżającego się buku armat, ani echa pieśni kozackich. Bractwo B. K. zaczęło się niepokoic i zastanawiać: a nuż ci wygrają?

Wielki Mistrz B. K., gwoli uspokojeniu i asekuracji członków bractwa również z tej strony, rozpoczyna robić dygi i uśmiechy w stronę państw centralnych, zachęcając ich do powzięcia przychylnych postanowień w sprawie polskiej, ale jednocześnie prosząc o jedno: aby od Polaków nie wymagano wzamian jakichkolwiek decyzji.

„Bo jeśli — przekonywuje p. B. K. — interes państw centralnych nakazuje im coś zrobić, to będą one do tego dążyły wbrew wszelkim trudnościom materialnym i psychologicznym. Jeżeli zaś jakaś nasza „decyzja“ ma na nie wpływać, to by znaczyło, że żadnego wyraźnego interesu dotychczas nie było“.

Trudno o bardziej jasne sformułowanie zagadnienia. Mogą Polacy od niepodległości uciekać, jak wilk

do lasu—pod opiekę Rosji, zaś państwa centralne, jeśli tak im nakaze interes, przyprowadzą uciekinierów z powrotem do ojczyzostego domu i „zmuszą“ do samodzielności. B. K-ec rozumie, że tym interesem, może być Polska jedynie jako mocna reduta przeciwko Rosji, ale ta właśnie strona medalu najbardziej go nęka. B. K-wcy aż się wzdrygają na myśl o takiej Polsce-reducie, gdzie mieliby oni, B. K-wcy, stanąć pod karabinem, być czujnymi. Brr...—On, B. K-wiec, z karabinem w rękę! Istotnie, trudno sobie wyobrazić coś bardziej niedorzecznego. Polska będąca na stopie wojennej z Rosją przeraża bractwo B. K. On chce takiej niepodległej Polski z której istnienia *wszystkie* państwa byłyby zadowolone, nawet Rosja. I Wielki Mistrz znajduje genialne wyjście: na Polskę silną, uzbrojoną, myślącą o zdobyczach, o rozszerzeniu się, Rosja, rzecz prosta, nigdy się dobrowolnie nie zgodzi, lecz zgodzi się według zdania p. B. K. — na istnienie „*stosunkowo słabego państwa, oddanego z najwyższą energją pracy kulturalno-narodowej wewnętrznej*“<sup>1)</sup>. Bractwu B. K. taka Polska—pieszczony, ukochany przez wszystkich benjaminek w rodzinie państw Europy nad wyraz trafia do przekonania. Polska oddana „jedynie wewnętrznej pracy“, nie będzie potrzebowała mieć armji, bo wszyscy z niej będą zadowoleni, cała Europa wzajemnie poręczy po wieki wieczne jej nietykalność. Jak więc widzimy, w gruncie rzeczy żadnych zmian w poglądach bractwa B. K. nie zaszło: dawniej dawało ono aprobatę na zjednoczenie ziem polskich pod berłem rosyjskim w imię interesów Rosji, żądając tylko, aby go do prac przy tym jednoczeniu nie pociągano; dziś pozwala państwowi centralnym stworzyć niepodległą Polskę w imię ich interesów i znowu odmawia im prawa żądania za to od Polaków decyzji i akcesu. I tam i tu chodziło o to, aby bractwo B. K. mogło zachować w niepokalanej czystości swój sakrament: Miłość Bezczytności.

\*

Dziś w gruncie rzeczy dwie siły tylko walczą o duszę narodu—bractwo B. K. i zniechęcona przez niego antyteza—Legjony oraz ci wszyscy, którzy skupiają się przy sztandarze przez nich tak wysoko wzniesionym. Aktywne moskalofilstwo dziś już ostatecznie zbankrutowało i ustąpiło z placu boju.

Narasta fala woli, dojrzewa psychologiczna potrzeba czynu; bractwo B. K. uświadamia to sobie i robi rozpaczliwe wysiłki, aby do czynu nie dopuścić.

Nie mając dziś już siły przeciwstawienia się tej fali, bractwo B. K. zaczyna płynąć z nią razem—po to, aby sprowadzić ją z jej dotychczasowego głębokiego łożyska do swego cuchnącego, *stojącego* błota.

B. K-cy ze wstrętem myślą o wszystkich obchodach patriotycznych w dobie dzisiejszej — lecz przeklinając „te podłe czasy“, biorą w nich udział—bo muszą. Lecz, czytelniku, jeśli przeglądając zdjęcia z tych obchodów, zobaczysz tam twarz przekrzywioną małym grymasem, kapelusz naciśnięty głęboko na czoło, a czasem wręcz tylko plecy,... wiedz, że to z pewnością B. K-wiec, który „na wszelki wypadek“ woli nie zostawiać dokumentu swego patriotyzmu.

B. K-wcy, jako „najlepsi“, chcieli mieć w swoim

<sup>1)</sup> Kurjer Warszawski. Nr. 94 z dn. 3 kwietnia 1916 r.

monopolu taki łakomy kęsek, jak Rada Miejska, walczyli o to do upadłego. Nie udało się... podpisali wspólną polityczną deklarację, jednocześnie puszczając w ruch wszystko, aby z tej manifestacji, broń Boże, nie było jakiego praktycznego wyniku.

\*

Bractwo B. K.—to tysiące pajaków, które tysiącami swych nici oplatają duszę Warszawy. Te pajęczyny—to półsłówka, szept, plotki, znaki mimiczne... Szepoty B. K-wców usypiają Warszawę. Szepoty o dawnych, dobrych czasach...

I naraz wszystko runęło. Nastąpiła zgoła inna czaś, odwrócił się ustalony porządek rzeczy, usuwać się zaczął z pod nóg bractwa B. K. miękki grunt zdrowego optymizmu. *Kurjer Warszawski*, widząc to, wciąż uspakaja B. K-wców, karci za pesymizm, za narzekania, upewnia, że niema powodu do rozpacz. Nadrabia miłą B. K-wiec, lecz wciąż mu się ona wykrzywia w złośliwy grymas podrażnionego, skrzywdzonego w swoim egoizmie kołtuna: kamienicznika, któremu lokatorzy nie płacą komornego, fabrykanta i kupca, którym znieśli moratorium, szynkarza i jubilera, u których już oficerowie nie zostawiają tysięcy rządowych pieniędzy z damami półświatka, antreprenera, który nie może już wystawiać „Warszawiaka i Krakusika“, pana radcy, którego dręczą i witają różne te kartki i przepustki, drożyna, awantury z wannami i rondlami, a obecnie—z klamkami. Istotnie za wiele tego wszystkiego naraz dla tak miłującego spokój, dobrobyt i beczynność B. K-wca. B. K-wcy mają już dosyć tej wojny, dosyć tych zapowiedzi, nadziei, lepszej przyszłości — oni pragną jedno—za każdą cenę pokoju, ciszy... chociażby lochu więziennego, byle już wróciły nareszcie te „normalne czasy“ z przed wojny. To pragnienie B. K-wców jest źródłem wszystkich brudów i plotek, które zatruwają życie Warszawy. To oni szepcą tajemniczo i z rozpromienioną miną, że słycać już strzały od strony Grodziska, to oni zaręczają słowem honoru, iż od Ciechocinka zbędem się skrada ogromna armja „naszych“, oni to są posiadaczami tajemniczych numerów „Ruskago Inwalida“, oni to wciąż oddają do niewoli Legjony do ostatniego żołnierza, oni to wypuszczają broszurki w rodzaju „od Jasnej Góry“, oni rozpuszczają obelżywe, wstrętne insynuacje i oszczerstwa o niemłych im ludziach.

\*

Tak szepcą w swoim gronie B. K-wcy—głośno zaś świadczą, że są zwolennikami hasła niepodległości. By nie być zgniecionymi, jak się to stało z N. Demokracją, muszą iść z falą.

Bractwo B. K. ma dziś na ustach słowo „Niepodległość“, w ręku zaś powróż, którym chce ruch niepodległościowy spętać, aby ten wraz z bractwem pięknie o niepodległości deklamował i dyskutował, lecz dla jej realizacji uczynić nic nie mógł.

Można mu mówić o niepodległości, ale biada temu! ktoby zaproponował B. K-owi w imię tej niepodległości wziąć karabin do ręki i pójść w pole zamiast do Loursa!

Biada mu! Oszczerstwa i insynuacje oplotą szyję śmiałka.

B. K. stoi na straży, aby nie stało się „szaleństwo“, aby Warszawa nie chwyciła za miecz, nie pociągnęła za sobą całego narodu w bój przeciwko Rosji, by zdobywać swój byt niepodległy, odrodzić się duchowo, wskrzesić dawne wielkie tradycje, położyć zrab pod świetną, bujną przyszłość.

Życie ludzkości zaczyna pędzić z zawrotną szybkością, świat trzęsie się u podstaw, tworzy się w męce milionów nowe, nieznanne, lecz napewno lepsze jutro ludzkości, lecz w tej ciężkiej pracy narodów brak narodu polskiego, brak przedewszystkim Warszawy... bo tego nie chce bractwo z pod znaku B. K.

Straszną byłaby Warszawa, gdyby cała stanowiła to bractwo! Bagnem, gdzie rechocą żaby, dziś wściekle na zamącony spokój.

Biada tym, którzy chcą to bagno wprowadzić w bieg rzeki życia, — bo stanie się odwrotnie: bagno wessie w siebie tę rzekę. Taką ofiarą B. K. jest N. Demokracja, która, ubiegając się o jego względy, staczała się tym samym coraz niżej, coraz bardziej, aż w tym bagnie utonęła. Pan Bolesław Koskowski jest politycznym mordercą Dmowskiego, Harusewicza i S-ki, on to ich strawił—i wypluł jako nieużytek daleko na Wschód, sam zaś został, by na ołtarzu molocha Bezmyślności i Kołtunerji złożyć ofiarę z nowych, młodych kierunków myśli polskiej. I do tego dzieła już się zabiera. Idzie bowiem nieprawdopodobna fama, że najwybitniejsi przedstawiciele ruchu niepodległościowego, schodzą się na wspólne narady z bractwem B. K., co więcej, że wysłuchują „politycznych“ referatów Wielkiego Mistrza p. Bolesława Koskowskiego.

Jeżeli tak — strzeżmy się, bowiem dziś fala niepodległościowa jest kryształowo czysta, nic w niej poza krwią Legjonów, męką i cierpieniem bojowników, nikt nie znajdzie.

\*

Pan Bolesław Koskowski, ze zręcznością linoskoka balansujący po linii złotego środka, zasyłający całusy raz na Wschód, raz na Zachód, — jako wróg jest śmieszny i komiczny—lecz jako sojusznik niebezpieczny, bo kompromitujący. Istotnie, trzeba mieć już dobrze spętane nogi, trzeba bardzo już obniżyć swój lot, aby godzić się na „programowe“ dyskusje, siedzieć tam obok człowieka, który rozgrzeszał *Nowoje Wremia* za podjudzanie do niszczenia naszej ziemi, który głosował przeciwko zmianie ul. hr. Berga na ul. Traugutta. Nie trzeba bać się oszczerstw i insynuacji tego bractwa B. K., niech nam rzuca pod nogi kamienie, niech ciska w nas błotem Panowania jego zbliża się kres. Naszym obowiązkiem jest ten kres przyspieszyć. Nie obawiam się ani tych oszczerstw, ani świętego oburzenia na zuchwalstwo. Wierzę w naszą moralną siłę, wierzę, że stać nas na wypowiedzenie walki temu bagnu, stać na oczyszczenie dziś dusznej atmosfery Warszawy od idących od niego miazmatów. Bądźmy pewni, że walka, którą tocymy z bractwem B. K. w oczach przyszłych pokoleń przemieni się w krzyż *virtuti militari* za odwagę cywilną w niszczeniu polipa na sercu Polski — w Warszawie — polipa Bezmyślności i Kołtunerji.

KONRAD CHMIELEWSKI.

## Przyroda w powieściach Weysenhoffa.

## I.

Jest jakaś całkiem inną, niż u innych pisarzy polskich ostatniego pokolenia i — pomimo że J. Weysenhoff opisuje często drogie wspomnieniom moim miejscowości Litwy i Żmudzi, pomimo, że pisze nie tylko atramentem, ale często i substancją mózgową, w obrazach moich miejsc rodzinnych, odczytywanych przeze mnie z zachwytem, są pewne jakieś niteczki, które czystość obrazu i jasność jego psują.

W „Sobolu i Pannie“, „Litwie“ i „Puszczy“ obrazów przyrody litewskiej, opracowanych klasycznie pod względem języka i rysunku jest mnogość. Układają się one ze sobą w pewną jednolitą artystycznie filmę w postaci rzutu krajoznawczego, o ciepłym, często serdecznym tonie różu polskiego uczucia, które chce wszystkim piękność ziemi naszej przed oczu dokumentnie roznieść i w pamięci wyryć.

Weysenhoff nie ma do zbytku zmysłu analizy, pisze kroniki życiowe i romantyczne o nieskomplikowanej strukturze fabuły, lecz bardzo głęboko czuje stosunek człowieka do przyrody i jego na tle tej przyrody momenty kształtowania się psychicznego.

Oczywiście, zna przedewszystkim dobrze szlachtę i arystokrację, boli go od czasów Podfilipskiego ich obojętność i szkodliwa bierność dla kraju. Chce Weysenhoff z nią walczyć — początkowo przy pomocy satyry z raketami sardonicznych uśmiechów, później przy pomocy powieści o tendencji dydaktyczno-moralnej. Bohaterowie, szlifujący bruki Paryża i Riwiery, przywiązują się nagle do ziemi polskiej przez miłość do „immortellement blanche“ dziewczicy czy rozwódki kresowej, to znów przez... cud poznania ziemi i jej warunków bytu, z którymi od urodzenia nie mieli nic wspólnego. Jak starożytny deus ex machina — dla ratowania skomplikowanej sytuacji wysubtelnionych w cynizmie używania życia i dogadzania tylko samym sobie panów Podfilipskich — występuje nagle w powieściach uczucie rodzinne i czyste, jako jakaś niewytłumaczona zupełnie ani psychologicznie ani pedagogicznie dziworośl poetycka.

Stąd operuje często Weysenhoff figurami z blachy, dętymi, o ruchach baletowych a intelektach demonicznie próżnych, u których poznajemy kolor skarpetek i markę krawca wiedeńskiego czy paryskiego, a nigdy nie możemy zbadać przyczyny braku jakiegokolwiek pozycji czy decyzji socjalnej, co często męczy i nuży przy czytaniu. Tak, że koniec końcem mimowoli człowiek zaczyna się mocniej wgłębiać w malarskie tło powieści i tu doznaje ulgi.

Wystrojony w cudzoziemski rynsztunek strzelecki myśliwy — wyperfumowany, wykapany z wesołym „glou-glou“ zdrowia w buziulce — z angielską strzelbą w ręku idzie na podbój przyrody. Tryumfem zwycięstwa zdrowia, doskonałego trawienia i pogodnego, nie zbyt filozoficznego zapatrywania na świat Boży, grzmi jego róg myśliwski czy trąba moralna. Gwarzy do niego poszeptem wesoły las, do którego on wszedł „wesoły jak dziecko, jak zbójca krwi chciwy“, by „wesoło zdradziecko“

bój zacząć przy pomocy dalekonośnego sztucera w międzyaktach jeszcze pogodniejszego flirciku z „doskonale obutymi“ amazonkami leśno-dworskimi. Gwarzy do niego pszeny łan, gwarzy łąka, gwarzy zamykające senne oczy w oczeretach i szuwarach jezioro witeziowe — gwarzy mu ciągle o tym, że *on* jest zdobywca, władca, on jest pan tych włości, pogodniejszy, nowożytny feodał z romantyczną piosenką Webera czy Schumana na ustach; — przed nim ściele się w proch romantyczna pieśń wiosny czy to z płuc głuszca, czy z chropawej gardzieli łosia wyrwana, przed nim — przed tradycją jego urodzenia i obszarnictw korzy się wszelakie mizerne życie, skomlące do niego boleściwie i kaprawymi ślepiami żebrzące łaski i zmiłowania.

I on ci myśliwy łaskawie objął ziemię i wszystko — co żywe — dobrotliwymi, bystrymi oczyma, odetchnął przyjemnie po dobrym śniadaniu balsamicznym wiewem lasów i łaskawie wytrąbił „kocham Cię ziemio, bo mi dostarczasz tylu przyjemności — mnie silnemu, zdrowemu, bogatemu“.

Jest to ogromnie szczere, aż do dziwnej rozkoszy szczere. Pan — nie znający walki o byt swego życia — przyszedł zatrzeć groźne jej hasło do puszczy litewskiej, do cichego jeziora.

I one zrozumiały — przycichły — zgodziły się, bo usłyszały słodkie przyrzeczenia, że nie zostaną ostatecznie sprzedane ani moskalowi, ani żydowi, ale zato akcjonariusze francuscy założą w puszczy tartaki.

I wszystkie kosy, dziecięcy, kraski, i jensza dziatwa skrzydlata ze zdwojoną siłą zaczęły śpiewać „veni creator“ młodej parze, która pod dębem wieńczy dzieło narodowe — skromnym pocałunkiem. Wzruszające. Można wołać — „z polską szlachtą „puszczy“ lud — jeden obraz, jeden cud“ — gdyby nie pewne refleksje, po co to właściwie było robione — dla usprawiedliwienia kogoś, czegoś od nieistniejących zarzutów?

Panny oświadczają się kawalerom całkiem prosto — jak zięby, z całą wyniosłością dobrze urodzonej prostoty, panowie pożądają panien całkiem bez porubstwa, jak szczygły w gaju, subtelnie rozumiejąc ich, panien, przynależność do uroczego gaju, matrony w sukniach bordo i starsi panowie w bekieszach, czy też frakach błogosławia dłońmi, opatrzonymi w sygnety rodowe, a stary hejnał z wieży zamkowej gra „Polskę“ — i dobra. Jest w tym coś ze średniowiecza trubadurów i rycerzy błędnych, zwłaszcza że każdy z bohaterów Weysenhoffa zaczyna swoje pieśni nutką prowansalską z Riwiery, Monaco, — że w każdym z nich tyle jest Polaka, ile potrzeba — dla powieści, bez uszczerbku dla literatury powszechnej, że są oni rzeczywiście prości, niezawikłani w strukturze, jak rycerze (ordynarni nawet czasem jak knechci), że repertuar ich romantyki nie jest rozległy.

---

**Zapytujemy prześwietny Magistrat m. st. Warszawy i księcia prezydenta Zdzisława Lubomirskiego, dlaczego z posiedzenia Magistratu już po raz trzeci spadła sprawa zmiany nazwy „ul. hr. Berga“ na ulicę Romualda Traugutta?**

---

„WIDNOKRĄG” będzie nadal niezależnym organem myśli polskiej, będzie służył sprawie wskrzeszenia państwa polskiego, torując ku temu drogi we wszystkich dziedzinach życia narodowego.

„WIDNOKRĄG” w szeregu numerów ogłosi artykuły znanych publicystów, dotyczące najdoiniejszych zagadnień doby obecnej. Między innymi prace p. p.:

*Mieczysława Baumgarta, Gustawa Daniłowskiego, Marji Dąbrowskiej, Zygmunta Dreszera, Wilhelma Feldmana, Jana Grabowskiego, Gromicza, Tad. Grużewskiego, Benedykta Hertza, Tadeusza Hołówki, Witolda Jodki, Juliusza Kadena, A. Lauterbacha, Jana Lemańskiego, E. Lipińskiego, Franciszka Loefflera, Cezarego Łagiewskiego, W. Makowskiego, Jadwigi Marcinowskiej, J. Moczulskiego, J. Muszkowskiego, M. Niedziałkowskiego, Obserwatora, M. Römera, Wincentego Rzymowskiego, R. S., Wacława Sieroszewskiego, Edwarda Stońskiego, Tadeusza Szpotańskiego, Artura Sliwińskiego, H. Tennenbauma, St. Thugutta, Józefa Wasercuga, Kazimierza Wroczyńskiego.*

T — t.

## Od Styru do Stochodu.

Z dziejów siódmego pułku.

(Dnia 4 — 7 lipca).

I.

Groźny pomruk zbliżającego się natarcia rosyjskiego dawał się już słyszeć od dawna. Współcześnie niemal z pierwszym, nads spodziewanie gwałtownym uderzeniem pod Ołyką rzucili się Moskale kilkakrotnie do cząstkowych, zniemacka wykonanych ataków na odcinek legjonowy. Ataki te, zresztą, wykonane niedostatecznie wielkimi siłami, niedość zaciekle i mocno, bez poprzedzającego je przygotowania ogniem działowym, nie tylko odparte zostały z łatwością, ale spowodowały natychmiastową, ciętą i stanowczą ripostę, po której w rękę naszych zostało trochę jeńców i karabin maszynowy rosyjski, nieprzyjacielowi nieco trupa i sporo bezładnego zamieszania. Wyrwany z kilka już miesięcy trwającego spoczynku żołnierz poczuł znowu moc swoją, bacznie ale spokojnie patrząc w zbliżającą się nakształt ciemnej chmury przyszłość.

Nie ulegało bowiem wątpliwości, że to były tylko przygrywki. Meldowały o tym codzienne raporty patroli i podsłuchów naszych, donoszących o gorączkowej, wytężonej pracy w okopach nieprzyjacielskich, o coraz częściej słyszonym rzeniu koni licznych oddziałów kawaleryjskich, gromadzonych tuż zaraz za linią bojową.

W końcu czerwca można już było ustalić, że naprzeciwko nas stoi poważna siła czterech dywizji rosyjskich z liczną kawalerją i nie mniej liczną artylerją; pułki te formowane były przeważnie ze starych żołnierzy, wróconych ponownie na front po wyleczeniu ran, i ze świeżego, młodego rekruta. Rozpoczęcie ogólnego ataku naznaczali oficerowie rosyjscy na dni najbliższe. Dochodziły też dziwaczne dość wieści o jakichś osobli-

wych polityczno-wojskowych rozkazach: pewne oddziały miano przyjmować z otwartymi rękoma, inne ciąć w pień. Komendant 400-go pułku rosyjskiego odgrażał się, że most z własnych żołnierzy przez bagna uściele, ale tych „dobrowolców“ wykurzy z okopów. Śmiano się z tego powszechnie. Żołnierz, pewien, że karabina z ręki nie puści, pewien też był swego honoru, los bitwy zdając na komendę i szczęście. Wybuchami też śmiechu witało nadchodzące z dalekich tyłów wiadomości o wyróżnieniu prawie całych Legjonów, o stratach, klęskach i upadku ducha. Przy niezbyt ciężkiej służbie dni płynęły niefrasobliwie, wypełniane grą w piłkę i kręgle, wygrzewaniem się na słońcu, długą w ciemności przy ognisku rozmową.

Aż nadszedł dzień 4-ty lipca. Ledwie weszło pogodne, znojne słońce lipcowe, poderwało wszystkich na nogi natarczywe stukanie moskiewskie: gość był u proga. Kilkadziesiąt, przeważnie ciężkich, dział rosyjskich biło już zaciekle w nasze okopy. Nie ulegało wątpliwości—był to szturm generalny.

Z przed komendy 7 p. p. można się było dokładnie zorjentować co do zamiarów nieprzyjaciela. Ostrzeliwano cały nasz legjonowy odcinek, oraz sąsiadujące z nami pozycje honwedów węgierskich na prawo, 11-ej K. T. D. (dywizji kawaleryjskiej) na lewo. Ogień jednak szedł stopniowo, a znacznie wzmagając się, od lewego ku prawemu naszemu skrzydłu, dochodząc do największego napięcia na odcinkach 5-go i 7-go pułków (Berbeckiego i Fleszara). Na naszym specjalnie odcinku — na odcinku 7-go p. p. bito szczególnie zaciekle w dwa punkty: w prawy kraniec prawego skrzydła, zajętego przez VI bataljon kap. Kukiela i obsadzoną przez V bataljon (kap. Olszyny) t. zw. redutę Piłsudskiego, a zwłaszcza w wysuniętą przed nią tuż pod same pozycje moskiewskie placówkę, którą od przeciwległej placówki rosyjskiej dzieliło tylko 60 kroków.

Z położonego na prawo wskos od nas lasku, w którym się mieściły cała komenda i rezerwy 5 p. p., widać było raz po raz, zależnie od rodzaju pocisku, materji wybuchowej i samego gruntu, to wykwitające olbrzymie szaro-żółte bukiety, to wązkie, szczupłym słupem wzwyczajające czarne wytryski, to znow białe lub biało-różowe kłaczki dymków szrapnelowych. Wybuchów na własnym naszym odcinku nie było widać, bo go od nas dzielił lasek dość gęsty, słysząc je jednak aż nadto dobrze, można było ocenić siłę i zaciekłość ataku. Meldunki telefoniczne spostrzeżenia te potwierdzały.

Ogień był nie tylko silny, lecz i zadziwiająco celny. Bito w same okopy, w zagrody druciane przed nimi, w osłaniające przejścia i dróżki barjery. Straty w ludziach były względnie niewielkie, okopy natomiast, na całych już dość znacznych przestrzeniach były doszczętnie zmiażdżone, druty powyszarpowane, zasypane lawami piasku. Na placówce, już o g. 8-ej r., granaty nieprzyjacielskie przerwały połączenie pomiędzy jej lewą a prawą stroną, tak, że każdą z nich trzeba było obsadzać oddzielnie. O g. 9 m. 30 trzeba było zmienić obsadę, w dwie godziny zaś później wobec nieustającego ani na chwilę gradu pocisków, wobec zwłaszcza bezużyteczności trzymania się na tak wysuniętym naprzód cyplu, opuszczono placówkę zupełnie. Stosownie do otrzymanego rozkazu, wycofał się z prawego jej skrzydła podpor. Lubicz z 10 ludźmi, z lewego, na którym jedna celna salwa granatów tylko co zabiła 3 ludzi i ra-



niła 5, podpor. Poręba z jednym kapralem. Nie kwapił się zresztą z jej objęciem i wróg, wobec czego zajął ją niebawem, spędzając wałęsających się po niej Moskali, podpor. Stefan-Chilewski z jednym plutonem 3-ej komp. V bataljonu, dalsze jednak narażanie ludzi było bezwzględnie zbyt. Placówkę opróżniono ostatecznie, z czego nieprzyjaciel skorzystało tyle, że na najdalej wysuniętym jej szczycie ustawił swoje miotacze min, rażąc z nich pospołu z granatami naszą redutę.

Koło południa nastąpiła chwila względnego złączenia ataku. Trwało to zresztą niedługo, bo już koło g. 1-ej rozpętał się znowu ogień działowy z większą jeszcze furją, nie słabnąc już odtąd ani na chwilę. Do szczególnego rozpasania się dochodził koło g. 5-ej po poł., bijąc raz po raz powtarzanymi salwami ciężkich pocisków. Teraz jednak sięgał nieprzyjaciel już dalej, odgradzając straszliwą ścianą zaporowego ognia linię okopów od stanowiska komendy pułku, prócz tego zaś sięgając pojedynczymi strzałami poza komendę do stanowisk kompanji rezerwowej i obok niej kilkaset kroków za komendą pułku stojącej 8-działowej baterji niemieckiej. Baterja ta odezwała się dopiero po południu, ale zaczęła odrazu z bardzo mocnego tonu, mieszając się bardzo energicznie do tego dyskursu ogniowego, jakby zawiązał się między dwiema artylerjami. Coraz częściej i bliżej drżała i stękała ziemia, jakby szarpnięta za trzewia, pod uderzeniami olbrzymich pocisków rosyjskich, ale coraz też częściej i natarczywiej odpowiadała jej pozostawiona do wyłącznej dyspozycji 7 p. p. I baterja naszych legjonowych połówek i wyżej wspomniane 8 armat niemieckich. Głuche, piorunowe wybuchy padających nieopodal pocisków rosyjskich, złowieszcze wycie rozbryzgujących się dokoła odłamków i przeraźliwe akordy świstów, którymi ponad naszymi głowami smagały powietrze lecące od tyłu stadka szrapneli i granatów, zlewały się tak dalece w jeden złowieszczy harmider, że nie było w nich już ani chwili wytchnienia; rzadkie, kilkusekundowe momenty ciszy wyprężały nerwy jeszcze bardziej nieomal, bo wiedziało się, że tuż za nimi idzie jeszcze gorsza, jeszcze bardziej zdyszana nawała zniszczenia i grozy. Zdaleka, od reduty i prawego naszego skrzydła dochodziły bez przerwy potężne detonacje walących się na nie salw; zdawało się, że ktoś straszliwą, żelazną pięścią tłucze w zawartą bramę, chcąc ją rozwalić. I możnaby przypuszczać, że lada chwila brama ta pęknie, że lunie przez nią niepowstrzymanym pędem potok, który wszystko zaleje i zmiecie, gdyby się nie wiedziało, że za bramą-okopem stoi dotychczas niewzruszony, choć już mocno krwią ubroczone nasz żołnierz, że na nim można polegać bezwzględnie.

Zgon Władysława Weryho—wielka to dla nas strata kulturalna.

Życie jego było wymownym dowodem tego trudu, w jakim polska praca naukowa pełniła u nas swe zadania. Tomy *Przeglądu Filozoficznego*, od lat blisko dwudziestu redagowanego przez Wł. Weryhę, stanowią przebogaty dla nauki polskiej skarb. Jest to wynik wielkiej pracy, przez szereg lat niepopularnej, nieuznawanej, w świadomości sfer „inteligentnych“ niemal dziwacznej; wynik głębokiego umiłowania nauki i zapału, który nie zna przeszkód i przeciwności.

Wł. Weryho położył niezatarte zasługi, jako twórca ośrodków i warsztatów pracy naukowej w Warszawie. Jego to dziełem jest Tow. Psychologiczne i Instytut filozoficzny, jego dziełem — ożywienie ruchu filozoficznego w Polsce.

Zeszła do grobu piękna, szlachetna postać.

Gabrjel Kempner w życiu kulturalnym Warszawy, w jej ruchu literackim, artystycznym i teatralnym odgrywał w ciągu szeregu lat poważną rolę.

Przyswoił literaturze polskiej szereg arcydzieł. Przekłady jego z Byrona, Shelleya, Ibsena, Heinego, Musseta, Richepina—stanowią poważny dorobek kulturalnego i utalentowanego tłumacza. Jako długoletni współpracownik *Przeglądu Tygodniowego*, a następnie *Nowej Gazety*, spełniał w sposób twórczy i pedagogiczny swoją rolę zapalonego miłośnika literatury i sztuki, pisywał nadto artykuły treści politycznej. Brał też gorący udział w pracy społecznej.

Ożywiała go zawsze myśl obywatelska i gorący patriotyzm. Pozostawił po sobie jaknajlepszą pamięć.

## BRUNO WINAWER.

### Z dnia na dzień.

25 lipca.

Istnieje jakiś tajny paragraf w warszawskim kodeksie towarzyskim, który opiewa, iż człowiek „dobrze ułożony“ nie powinien wszczynać rozmowy o wojnie. Niech raczej nosi przyczepiane mankiety, niżby miał rozprawiać o frontach, ofensywach, flukstach i tym podobnych Strypach. Ktoś, kto wszedłszy do salonu i otrzymawszy sakramentalną filiżankę czarnej kawy, poczyna nagle mówić o tym, że Rumunja się przyłączy, albo nie przyłączy, czuje już po kilku słowach, że popełnił grubą nietakt. Co mówił — ma wrażenie mniej więcej takie, jakgdyby mu się raptem odpiął któryś z najkardynalniejszych guzików. Wszystkie oczy są nań zwrócone i wszystkie żrenice rozszerza—zdziwienie. Trwa to dopóty, dopóki jakiś zręczniejszy *causeur* nie chrząknie i nie skieruje rozmowy na właściwe tory: „Widzieli państwo Kabotyńskiego w ostatniej sztuce Capusa?”

Przez pewien czas wolno było jeszcze zlekka a dowcipnie wspomnieć o drożyznie. Panny na wydaniu szczebiotały o szynce, kapuście, grochu, kaszy perłowej. Każdy prawdziwie interesujący młodzian był nawet obowiązany codzień coś w niesłychany sposób przepłacić, aby mieć temat do rozmowy.

Minęło i to. Mieszkaniec Marsa, któryby spadł nagle między dobrze ułożonych warszawiaków, nigdyby się nie domyślił, że w Europie coś zaszło. Powiedzianoby mu natomiast, że Kabotyński jest niezrównany jako margrabia Vieuspoupole, a ostatni Capus jest gorszy od przedostatniego Caillaveta i Flersa. Tu—à propos—przytoczonoby mu kilka dowcipniejszych powiedzeń obu tych panów, kilka celniejszych aforyzmów o kobiecie i o zdradzie małżeńskiej. Literatura dworców kolejowych i poczekalni dentystrycznych ma u nas zapalonych wielbicieli.

Inteligentny mieszkaniec Marsa miałby może wrażenie,

że jest daleko—w Paryżu—na przedmieściu—pod fortyfikacjami—wśród pocziwych episjerów z dawnych, dawnych czasów...

Tak. Na zniwelowanym „przedmurzu chrześcijaństwa“ usiłują sobie niektórzy urządzić kiepską parodję bulwaru Clichy czy St. Martin.

26 lipca.

„Czynię, co do mnie należy.—Biorę udział czynny we wszystkich obchodach, świętach, wspominkach, rocznicach, uroczystościach. W Grochowie byłem poprostu per pedes... Ale rozumiem doskonale, że dziś o *Przyszłości* należy myśleć, nie o przeszłości. To też postanowiłem sobie święcie, że w dniu, w którym ktoś w jednej z pracowni naszych naukowych dokona wielkiego odkrycia—obejdę Warszawę dwukrotnie naokoło“.

To rzekłszy, obstałowałem pół czarnej.

28 lipca.

Tak zwaną fantazję poetycką posiada dwunastu ludzi na tuzin. Każdy sobie potrafi wyobrazić Cezara w todze, gadającego mocno, rozumnie, z patosem, białym wierszem,—podobnego do Węgrzyna. I tylko jakiś umysł niezwykle oryginalny, zdobywa się na—brak poetyckiej fantazji: Bernard Shaw widzi w Cezarze pocziwego, podtatusiałego safandulę, który niekiedy—zrzadka—imponuje przeblyskiem silnej woli albo genialnej inteligencji.

Przed wojną każdy tuzinkowy polityk kawiarniany wyobrażał sobie wcale trafnie jej grozę: huk armat, Dantejskie piekło, ogień huraganowy, aeroplany, bomby... Na tyle fantazji stać nas było wszystkich. Ale kogoś, ktoby nam ongi—dwa lata temu—powiedział, że tę drugą rocznicę katastrofy dziejowej obchodzić będziemy u Loursa, w kinematografie, w teatrze na „Eskapadzie“ czy „Hiszpańskiej musze“, kogoś, ktoby nam w żywe oczy śmiał twierdzić, że będziemy tego dnia w kabarecie podśpiewywali Nelsona, w cukierni grali w szachy, w domu zastanawiali się głęboko nad kwestją, czy Krowientyńska powinna jeszcze grywać rolę podlotków—owego kogoś zamknęlibyśmy napewno w szpitalu warjatów.

1 sierpnia.

To już napewno data historyczna... Mija dwa lata od chwili, gdyśmy rozpoczęli ten oto rozdział Historji Nowożytnej. I zdawało się, że go już umiemy na pamięć, że się niczego więcej nie nauczymy—tymczasem zostawiają nas na trzeci rok w tej samej klasie. Albo to jest krzycząca niesprawiedliwość, albo... Możemy doprawdy nie podchwycili sensu wydarzeń? Zastanówmy się, powtórzmy jeszcze raz to wszystko... Jeszcze dwa lata temu łączyły nas, dobrych Europejczyków, nici mocniejsze od metalowych lin okrętowych. Na wieść o katastrofie we Włoszech, jęły płynąć fale złota ze wszystkich kątów naszej—w gruncie rzeczy niewielkiej—planety; zasypanym w Courrieres górnikom nieśli pomoc ofiarną towarzysze z za Renu. A „Tytanik“! Była przecież chwila, gdy serca poruszał jeden rytm, a gardła ściszał jeden skurcz.

Mówicie, że to już minęło. „Tylko idjoci, albo pacyfisci myślą o tych sielankach i łyzyronią. Braterstwo ludów! Każdy naród powinien się otoczyć—o ile może—tęgim murem, szczerzyć zęby na sąsiada i hodować własną kulturę“. Dziwne! jeszcze dwa lata temu mieliśmy *wspólną* kulturę.

O wielkim uczonym angielskim Maxwellu mówiono, że miał jednego tylko czytelnika, a był nim—Heinrich Hertz. O Shakespearze powiadano, że jest najpopularniejszym klasykiem niemieckim. Bernard Shaw, gdyby doprawdy dbał o to, aby się ujrzeć „w świetle kinkietów“, musiałby jeździć na premjery do Berlina, Reinhardt przez rok z górą grał co wieczór „Na dnie“ Gorkija, Czajkowski miał jedynego odtwórcę w Nikischu, Włoch Moissi mówił najdźwięczniejszą niemiecką, Bayreuth i Wagner ścigały kompanje pielgrzymów z Paryża i Londynu—panowie Caillavet i Flers różnili się tym tylko od „naszych znanych“, że nie bywali u Semadeniego—dosyć! Nie mam pod ręką wołowej skóry. Mówicie, że dziś—spalono mosty, potargano węzły, zamknięto granice. Narody wymieniają tylko kule, granaty, bomby i szrapnele. Nieprawda. Uczeni niemieccy studjują pilnie „Philosophical Magazine“, uczeni angielscy—„Medizinische Wochenschrift“. Ponad miedze i linje graniczne, a nawet ponad rowy i zasieki z drutu kolczastego—*spiritus flat*.

Chciałbym widzieć męża nauki, prawdziwego artystę i prawdziwego poetę, którzyby zamknęli oczy na wielkie dzieło dlatego, iż ten, co je stworzył, ma obcy paszport. Rad odkryli małżonkowie Curie—wyobraźmy sobie, że z tego powodu panowie Mayer, Hahn, Hönigschmidt negują promieniotwórczość! Węzły i nici są, istnieją nawet teraz, nikt ich nie potargał, bo ich już żadna siła ludzka potargać nie może. Są silniejsze od nas.

Jeżeli zaś tak jest, to sens wydarzeń, morał nowego rozdziału Historji Nowożytnej, zawrzeć można w krótkim zdaniu: wielkie głupstwo, gdy je palnie jeden człowiek, nazywamy wielkim głupstwem; gdy je popełnią narody—koniecznością dziejową.

Za drogo nam każą płacić za ten komunał. Historja jest mistrzynią życia, ale jej lekcje są bardziej kosztowne i mniej warte, niż się wydaje.

## KSIAŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

- H. M. „Modły za Ojczyznę“. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa-Lublin-Łódź. Str. 125.  
W. Gluchowska. O szkole Krzemienieckiej. Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa, 1916.  
Edmund Jezierski. Walerjan Łukasiński. Nakład W. Jakowickiego. Warszawa, 1916.

*Przedpłata WIDNÓKREGU wynosi w Warszawie, wraz z odnośzeniem do domu, miesięcznie kop. 85; kwartalnie rb. 2 kop. 50; rocznie rb. 10. Z przesyłką pocztową kwartalnie rb. 3; rocznie rb. 12.*

*Za zmianę adresu dopłaca się kop. 20.*

*Administracja, prócz niedziel i świąt, otwarta codziennie od godz. 10 rano do 2 pp. i od 5 do 7 wiecz.*

*Redakcja, prócz niedziel i świąt, otwarta codziennie od godz. 6 do 7 pp.*

*Rękopisy nie przyjęte są do odebrania w redakcji w ciągu 3 miesięcy. Potym ulegają zniszczeniu.*

*Dla studentów i nauczycieli ludowych 25% ustępstwa. Cena numeru oddzielnego w Warszawie kop. 22; na prowincji kop. 25.*

# WID NO KRAG

№ 9-10 (R. II) Warszawa, 15/IX 1916  
KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 7. — TELEF. 158-90.

**TREŚĆ:** W. RZYMOWSKI: Upiory. — Patrijotyzm. — EDWARD LIPIŃSKI: O reformie społecznej w Polsce. — T.-T.: Od Styru do Stocho-  
du. — EDWARD SŁOŃSKI: Pod czymże przewodem?... — BENEDYKT  
HERTZ: Siły ukryte. — POLONJUSZ: Życie w atomach. — TADEUSZ  
SZPOTAŃSKI: Przemówili... — KONRAD CHMIELEWSKI: Przyroda w po-  
wieściach Weyssenhoffa. — Książki nadesłane do Redakcji.

W. RZYMOWSKI.

## UPIORY.

1.

Wiecznie-krwawym wyrzutem, który histo-  
rycznego sumienia Warszawy ścigać nie przestanie,  
jest straszliwy — w okrucieństwie swoim — los  
człowieka, najgłębszą ofiarą związanego z Powsta-  
niem Listostopadowym: na imię mu — Wale-  
rjan Łukasiński.

Gdy naród, w noc pamiętną, zerwał się do  
boju, aby z Polski wypędzić Moskali, nikt nie po-  
myślał o nim, pierwszym siewcy świętego żarze-  
wia, nikt nie przypomniał więźnia Belwederu,  
nikt nie przyszedł rozkuć tej dłoni, która rzuci-  
ła — pierwsza — wyzwanie najeźdźcy.

Nikt nie pamiętał o nim wśród rodaków. Pa-  
miewał o Łukasińskim tylko wróg.

Gdy po nocy burzliwej nastąpił spokojniejszy  
ranek, Konstanty, ochłonawszy z przerażenia,  
przeliczył swe szeregi, a widząc w nich także

garść Polaków, którzy zdradzili tej nocy ojczyznę,  
osądził snadź, że dość posiada siły nie tylko na  
obronę, ale i — na urągowisko: postanowił upro-  
wadzić z sobą Łukasińskiego, złożyć go u stóp  
carskiej stolicy, jako pierwsze trofeum tej wojny.  
Więzień, który śnił, że zawory lochu otworzą mu  
rodacy, przez strażę moskiewskie wyprowadzony  
z podziemia, w obliczu orężnej, rozognionej War-  
szawy, przykuty został do działa, które go powlec  
miało w otchłań dozgonnej męczarni.

A przecież człowiek ten, wśród najgłębszej nie-  
doli, miał swą chwilę zadośćuczynienia i tryumfu!  
Oto, gdy jego w śmiertelne jarzmo zaprzęgano,  
teżże samej chwili naród rwał więzy swej niewoli  
i jarzmo ucisku deptał na ulicach Warszawy:  
z brzękiem łańcuchów, w które zakuwano mu rę-  
ce, pomieszał się na chwilę w jego uszach odgłos  
dzwonów, w które po wszystkich kościołach War-  
szawy bracia jego bili na Wolność! W sercach  
tych dzwonów rozkołysanych własne rozpoznał  
serce. W ogniu, którym gorzała stolica, własną  
rozpoznał buntem kipiącą krew. Wtenczas, pod  
czarem tej godziny, która, jak wstrzymana w pę-  
dzie błyskawica, płonęła nad miastem, odwróciły  
się role: Konstanty stał się sam łupem urągowi-  
ska, ów zaś jeniec, na powolne skazany konanie,  
mógł z krzyża swej męki z politowaniem spojrzeć  
w twarze ciemieców. Pojął, że duch jego uszedł  
z kaźni, że uszedł cały i wolny, że cały przelał  
się w naród, że w narodzie już wielkim się sze-  
rzy pożarem, — nieuskromiony, orli duch powsta-  
nia! Niechajże teraz wszyscy słudzy carscy oku-  
wają mu dłonie, niechaj go wloką w kajdanach  
za sobą, — będą za sobą wlekli już tylko zewłok  
ludzki, już tylko martwe ciało, którego dusza jest  
gdzieindziej, którego serce i dusza rozdzwoniła się  
we wszystkich dzwonach Warszawy!

Więc, chociaż Warszawa sama nigdy wyba-  
czyć sobie nie zdoła losu tego człowieka, syna  
swego, któremu sęp moskiewski przez lat czter-  
dzieści szarpał wnętrzności, on wszystko matce  
swej, w owej jednej godzinie, wybaczył. I, cho-  
ciaż kości jego pochłonęła twierdza rosyjska, duch  
na wieki spoczął w ojczyźnie.

2.

Ani jednej godziny takiej, godziny tryumfu  
i zadośćuczynienia, nie miał — przed skonaniem —  
Romuald Traugutt. Ów poranek sierpniowy, któ-  
ry po raz ostatni w jego żrenicach się odbił, nie  
był jutrenką, ale krwawym zmierzchem swobo-  
dy. Nie żegnały go zmartwychwstańcze dzwony.  
Gdy szedł ku miejscu kaźni, towarzyszyła mu nie  
zwycięska ochota walki, ale cisza przegranej, szloch  
uwięzły w skamieniałych piersiach ludu. Ku śmier-  
ci własnej szedł poprzez rozwartą grób nadziei

całego pokolenia. A gdy skonał na moskiewskim powrozie—on, ostatni wódz narodu—siadł na ramieniu trupa nie biały orzeł zemsty, kującej nową broń do walki, ale czarny ptak żałoby i smutku, złowieszczo kraczący żywym zagładę, umarłym—zapomnienie.

„Rozdziobią nas kruki, wrony...” — poniosło się od stoków Cytadeli na kraj cały westchnienie, w którym załamał się krzyk rozpacz, gdy bezwładnie zwiśla głowa Traugutta.

Ale czyż to ma świadczyć, że Moskale, mordując ciało, zamordowali także duszę Traugutta? Że na wieki zabili w nas jego myśl, że zaprzepaścili w naszej pamięci jego duszę tak, jak został bez śladu zaprzepaszczony proch jego w naszej ziemi?

Bo dziś nie umiemy już odnaleźć drogi do jego mogiły. Nie umiemy dokładnie wskazać tego skrawka ziemi, która dla jego męczeńskiej skroni ostatnim stała się wezglowiem. Moskale ciało jego wdeptali w niepamięć. Czyżby w niepamięci wdeptali także jego duszę?

## 3.

Odpowiedź na to pytanie dał dzień 5-ty sierpnia. Dał odpowiedź, że porażka jednego pokolenia nie jest klęską narodu; że tam, gdzie jedno pokolenie traci, tam naród cały może wygrywać. Rok 1863-ci stał się upustem krwi dla jednego pokolenia, ale dla wszystkich pokoleń potomnych stał się przyrostem ducha, bo, ryjąc przepaść krwawą między Polską a Rosją, wzmógł siłę naszej odporności. Tak pojął testament ojców swoich lud warszawski, gdy przed miesiącem, na pierwszy odgłos imienia Trauguttowego, odpowiedział odgłosem stu tysięcy serc, stojących pod tym imieniem, jak pod kolumną swojej nieugiętej woli. Zniknął przedział lat pięćdziesięciu. Warszawa zespoliła się ze swoim wodzem tak, jak pierś zespolona jest z sercem, które w niej bije. Okazała, że przemoc może ją na czas krótki powalić, ale z piersi jej serca wyłupić nie zdoła. Moskiewska przemoc zasypała drogę do mogiły Traugutta. Zatarła wspomnienie miejsca, które przyjęło święte zwłoki. Lecz cóż przeto osiągnęła? Oto, my, nie wiedząc dzisiaj, w której grudce ziemi spoczywa proch Traugutta, w każdej z nich gotowi będziemy uczcić część jego ofiary, dla wszystkiej ziemi naszej głębszą poczujemy miłość, tkliwszą i serdeczniejszą cześć. Iż grób jego nie ma widomej postaci, przeto działa Warszawa, błądząc wśród rozłogów Cytadeli, odtąd w każdym drzewie szumiącym, w każdym szumiącym kłosie słyseć będzie imię nieśmiertelne, imię,

wokół którego oplotą się jej pierwsze sny młodociane i pierwsze tajemne przysięgi, składane ojczyźnie.

## 4.

Wszelako myliłby się ten, ktoby sądził, że wróg, pracując nad zagładą pamięci Traugutta w narodzie polskim, sam o nim zapomniał. Niepamięć ze strony wroga byłaby lekceważeniem, a Moskale, odpychający wzgardą poselstwa dziesięciu polskich magnatów, którzy im w hołdzie szable złote składają, nie lekceważyli nigdy w Polsce jednego ducha, gdy tym jednym był Traugutt lub Łukasiński. Na dziesięciu ugiętych w pokłonie hrabiów ciskali z łaski jeden do przedieni tytuł szambelana, ale dla jednego Kościuszki lub Łukasińskiego gotowi bywali dźwigać z kamienia twierdze i w granicie lochy podziemne drążyć. Więc nie zapomnieli też Moskale i o Traugucie. Uczcili go na miarę swoich moskiewskich uczuć. Pamiętali o nim tak, jak w oną noc Listopadową nie zapomnieli o Łukasińskim. Pamiętali o nim, i swą pamięć o nim wyryli na murach Warszawy, i utrwalić ją postanowili w zgrozie wiecznej i w strachu wszystkiego co polskie przed sobą, przed zbójceją swego ramienia przemocą. Pamięć o skonie Traugutta wmurowali w nazwę ulicy, ochrzczonej imieniem jego mordercy i kata, imieniem hr. Berga. Tak jest. Na cześć Traugutta nazwali Moskale jedną ulicę w Warszawie nazwiskiem Berga, podobnie jak wystawili statwę Paskiewicza na cześć powstania Listopadowego: tylko, że jest to cześć i pamięć odmierzana miarą okrutnego odwetu, zemsty i nienawiści; cześć i pamięć fundowana przez wroga z łez polskich, polskiej krwi i polskiego męczeństwa. Oto w jakiej postaci iść miały w tradycję Warszawy, w jej legendę, w jej uliczny pogwar najszczytniejsze naszego narodu wysiłki: w postaci pogromu, zwycięską stopą miażdżącego pierś naszych bohaterów! O czynach Traugutta miała świadczyć pokoleniom Warszawy tablica, będąca odbiciem jego szubienicy. Tablicę tę wkuto w mury ulicy warszawskiej, ponieważ nie było siły, któraby ją wkuć potrafiła w serca Polaków. Ale nad tą małą tablicą — uprzytomnijmy sobie — czuwała wszystka potęga wojenna Rosji. Tablica była drobiazgiem, ale na punkcie tego drobiazgu Rosja żadnych ze sobą nie dopuszczała rozpraw, albowiem widziała w nim jedną z posad swego panowania w Polsce, pomnik tryumfującego gwałtu. Tablica z imieniem hr. Berga, wbita w ścianę ulicy, była drobiazgiem, ale drobiazgiem takim, jakim bywa gwóźdź wbijany w trumnę umarłego człowieka, iżby się stał wieczystym stróżem jego

zgonu. Ta straż wieczysta, przez Moskali stawiona u grobu naszego zbrojnego wysiłku, była symbolem ich niewygasłej pamięci o duchach Trauguttów i Łukasińskich.

## 5.

Oto dlaczego dzień, w którym imię Traugutta wzbiło się sztandarem ponad głowy stutysięcznej rzeszy, musiał być dniem strącenia w przepaść imienia carskiego namiestnika. Niema na polskim niebie konstelacji, w której te oba nazwiska pomieściłyby się mogły. Czyż samo ich zestawienie nie brzmi już w uchu Polaka, jak bluźnierstwo?

Więc robotnik warszawski, i warszawski rzemieślnik, od wieku dźwigający na barkach główny ciężar zmagania się z Moskwą, nieomylnym wiedzeni byli instynktem, gdy wracając w dn. 5-ym sierpnia z pod krzyża, poświęconego pamięci Traugutta, czuli że w Warszawie, że w murach i w sercach Warszawy, niema odtąd miejsca na bluźnierstwo przeciwko świętemu imieniu Polski, zakłętemu w imiona bojowników o jej wolność i niepodległość.

A gdy w ślad za odczuciem instynktu przyszła uchwała Rady Miejskiej w dn. 11 sierpnia, domagająca się, w drodze wniosku nagłego, zdarcia maski moskiewskiej z ulicy, która w ustach i w duszach ludu warszawskiego już była ulicą Traugutta, wtenczas wyrok uczucia narodowego znalazł uzupełnienie w wyrazie narodowego rozumu. Cała Warszawa tedy skupiła uczucia swe i swoją myśl w tym postanowieniu, mającym wielką wagę przełamujących się symbolów, w tym postanowieniu, domagającym się natychmiastowego wykonania.

Lecz cóż się w dalszym ciągu stało? Minęło trzy tygodnie od uchwały Rady Miejskiej, upłynął miesiąc od aktu czci, złożonej pamięci Traugutta, a wyrok ludu i postanowienie jego przedstawicielstwa, napróżno czekając na swe urzeczywistnienie na drodze urzędowej, niespodziane znalazły wykonanie w odruchu żywiołowej woli: czyjaś niewiadoma ręka wprowadziła w czyn uchwałę miasta. W ten sposób uczucie i myśl Warszawy, nie pozostawiające żadnych wątpliwości co do swej treści i kierunku, spotkały się z równie stanowczym, na drodze samorzutnej, aktem woli, który je w sobie wcielił.

Stało się to, co stać się było powinno. Myśl, uczucie i wola Warszawy żywiołowo spłynęły w jedno łożysko: trzy ogniwa w jeden stopiły się łańcuch.

## 6.

I wówczas to, znalazł się ktoś, kto na duszę i godność zjednoczonej, ze swą przeszłością pojed-

nanej Warszawy, targnął się świętokradczym zamachem: imię Traugutta znikło z oblicza ulicy, która od pół wieku nosiła jego pamięć we wspomnieniu dokonanego nad nim samym gwałtu. Powiadam „ktoś“, aczkolwiek nie mam pewności, że sprawcą zamachu był człowiek, i że był nim człowiek żywy, krwią i włóknami swej istoty zrosły ze środowiskiem Warszawy, że był to człowiek żywy nie zaś upiór, może upiór obłaskawiony, który krwi cudzej nie wysysa, ale też i własnej z pewnością nie posiada. Wprawdzie utrzymuje się wieść, że widziano czyjś tam autentyczny podpis pod autentycznym rozkazem, ale mnie trudno jest weń uwierzyć, bo człowiek żywy, który stał imię Traugutta, musiałby na tym samym miejscu przywrócić natychmiast tablicę hr. Berga, bo między ofiarą mordu a mordercą niema miejsca na stanowisko neutralne. Piłat, który ręce umył przed krzyżem Jezusa, nie jest dla nas wcieleniem ludzkiej równowagi, ale właśnie stał się w dziejach upiorem, klątwą i upiorem ludzkiego sumienia. Więc kto dzisiaj ręce umywa pod krzyżem Traugutta, wahając się między jego męczeńskim grobem a moskiewską u jego prochów strażą, nie należy do świata żywej Polski, ale do świata jej upiorów, jak do upiorów i widm straszących należy ów nieszczęsny poseł z Upity, jak należą do upiorów owi hetmani Targowicy, o których dawno zapomnieliśmy, że żyli jako ludzie, ponieważ żyją wciąż jako przekleństwa.

## 7.

Człowiek żywy na rozdrożu walki między Polską a Moskwą, może być albo Polakiem, który Trauguttów czci i naśladuje, albo Moskalem, który Trauguttów wiesza i grzebie w niepamięci. Potworami połowiczności, którzy pod krzyżem Traugutta podają dłoń Moskalom, a pod tablicą Berga gotowi uczcić Traugutta, mogą być tylko upiory, wyległe z długotrwałej niewoli. Tylko upiory, z pleśni ementarnianej zrodzone mogą w jednej ręce piastując pobożny lęk swój przed Rosją, a w drugiej wstyd wobec rodaków, ważyć oba te uczucia jako składniki narodowej syntezy. Tylko upiory wspierać się mogą na szubienicach moskiewskich, aby lzy ronić nad niedolą Polski, tylko upiory, które same są niczym innym, jak grzybem w cieniu owych szubienic wyrosłym, grzybem, który zginie od pierwszego zamachu pługa, zrywającego z ziemi polskiej nawarstwienia niewoli.

## PATRJOTYZM.

Kocham swój naród. Dlatego pragnę dlań zadań uciążliwych. Pragnę, by sięgał po zadania najwyższe.

EDWARD LIPIŃSKI.

## O reformie społecznej w Polsce.

II.

Ruch rewolucyjny 1905 — 1906 r. był na drodze do polepszenia bytu klasy robotniczej w Polsce potężnym krokiem naprzód. Dzień roboczy uległ znacznej redukcji: zamiast 11½ godzinnego, wprowadzono niemal wszędzie 9 i 10-cio godzinny. Zarobki się zwiększyły; tu i owdzie absolutnie przedsiębiorcy w fabryce został złamany na rzecz przemysłowego konstytucjonalizmu.

Atoli po upadku rewolucji, ruch robotniczy i robotnicze organizacje zostały ręką reakcji zniszczone, siła oporu klasy pracującej—złamana. Już od 1908 roku wszędzie fabrykanci wracają do poprzednich warunków pracy: rozpoczyna się orgja przedłużania dnia roboczego, obcinania zarobków. Proces ten tak opisuje *Rola*, organ, którego zupełnie nie można podejrzewać o radykalizm: „Oto, gdy represje policyjno-administracyjne wzięły górę nad tak zwanymi ruchami wolnościowymi, fabrykanci bez miłosierdzia zaczęli wyzyskiwać przychylną dla siebie sytuację i czy byli, czy nie byli zmuszeni rzeczywistą potrzebą kalkulacji handlowej, obniżali zarobki robotników nieraz nawet do normy niższej od przyjętej w okresie przed wielkimi strajkami. Jedni z nich robili to brutalnie, inni z zachowaniem pewnych pozorów, jakby się wstydząc swych czynów, ale robili wszyscy“. (Przedrukowane w jednym z numerów wrześniowych *Kurjera Warszawskiego* z 1911 r.). Stwierdzone tu na przykładzie prawo ekonomii politycznej, głoszące iż wysokość płacy robotników zależy przede wszystkim od siły społecznej proletariatu.

Rytm ruchu robotniczego w Polsce ilustrują doskonale liczby dotyczące strajków. Niestety, statystyka pracy nie była wcale u nas uprawiana, badań stosunków robotniczych bodaj wcale niema. Niżej podpisanemu udało się przypadkowo przejrzeć akta rosyjskiej inspekcji fabrycznej, skąd pochodzą poniżej przytoczone dane o liczbie i wynikach ekonomicznych strajków w gub. warszawskiej.

	Ogółem było strajków	W czym przegranych	%
1905	231	14	6,0
1906	257	46	17,9
1907	67	37	55,2
1908	29	16	55,2
1909	22	18	81,7
1910	52	22	42,3
1911	132	41	31,1
1912	97	48	49,4
1913	80	42	52,5
1914	64	39	60,9

Widzimy lata zwycięstw w r. 1905 — 1906, a potem już porażki są coraz częstsze. Zwraca przytym uwagę olbrzymi procent walk całkowicie przegranych. W 1913 r. procent przegranych strajków wynosił u nas 52,5, w Niemczech 19,3<sup>1)</sup>, a we Francji 48,48<sup>2)</sup> (1912 r.). Robotnicy

<sup>1)</sup> Umbreit: *25 Jahre deutscher Gewerkschaftsbewegung*. Berlin, 1915, s. 173.

<sup>2)</sup> *Reichsarbeitsblatt*: rocznik 1914, s. 153.

w Królestwie przegrywają stosunkowo najwięcej strajków. Bardzo często strajkami kończą się zatargi, które na Zachodzie zostają załatwiane najczęściej przez sądy przemysłowe, lub instytucje rozjemcze. O charakterze stosunków świadczy fakt, iż na 68 walk przemysłowych w 1913 r. 13 wybuchło z powodu żądania przyjęcia z powrotem wydalonych przez fabrykanta współtowarzyszy pracy, a w dziesięciu wypadkach żądano wydalenia majstra. Niemal zawsze spotyka się żądanie grzecznego traktowania. Jest to niedwuznaczny dowód samowoli „władzy“, panującej w polskim warsztacie.

Nie ulega wątpliwości, iż ten olbrzymi procent przegranych walk, wynika z braku organizacji zawodowych i strategicznego niewyrobienia przywódców. Nie poparci przez potężne finansowo związki zawodowe robotnicy muszą strajk zakończyć zanim osiągną jakiegokolwiek zwycięstwa. Ciągłe porażki wywierają oczywiście jaknajgorszy wpływ na moralne nastawienie proletariatu: wytwarza się nastrój rozpacz i niechęci do pracy; znajdują posłuch bojkotystyczne, ultra radykalne frazesy demagogiczne.

Organizacja warsztatów pod względem higienicznym urąga najminimalniejszym wymaganiom nauki. Dozór sanitarny niemal nie istniał; robotnicy ustawicznie domagają się najprostszej wentylacji, wody do picia, klozetów, kąpieli. Skutkiem braku właściwej ochrony, szerzyły się w zátważających rozmiarach choroby zawodowe, pozbawiające robotnika zdolności do zarobkowania.

A ubezpieczeń na wypadek niezdolności do pracy z przyczyny choroby zawodowej—nie było. Na kompletny brak urządzeń, zabezpieczających od przypadku, zwracają uwagę polscy inspektorzy fabryczni. Częstość przypadków nieszczęśliwych była olbrzymia. Zważyć przytym należy minimalne odszkodowanie, jakie otrzymywał robotnik za wypadek przy pracy, na zasadzie zupełnie niedostatecznego prawa o odszkodowaniach z 1903 r. Dozór nad wykonywaniem tych przepisów ochronnych jakie istniały, był więcej niż niedostateczny, a inspektorzy fabryczni w większej mierze spełniali funkcje agentów „ochrony“ niż ochrony. Wogóle prawodawstwo fabryczne posiadało charakter policyjny i wybitnie klasowy. Fabrykanci walczyli zaciekle z wszelkim, zresztą, prawodawstwem ochronnym. Sprawozdanie z działalności polskiej Inspekcji Fabrycznej za rok 1915 zawiera następujący obrazek: dyrektor jednej z największych fabryk tak odpowiada inspektorowi na jego interpelację w sprawie poszkodowanego robotnika: „Pretensja jest zupełnie słuszna, ale chyba jasnym jest, iż zaspokoić jej obecnie nie można, skoro robotnik wystąpił do fabrycznego inspektora“.

W Królestwie nie było żadnych ubezpieczeń społecznych. Niedostateczne, w porównaniu ze zdobycami Zachodu, prawa o kasach chorych i ubezpieczeniach od przypadku przy pracy z r. 1912, obejmowały tylko robotników przemysłu większego, które zresztą nie weszły wcale w życie.

Nie znaleźmy wcale racjonalnego pośrednictwa pracy. Na robotnika czyhała bezdena nędza, jeśli chwilowo stracił pracę; nędza—jeśli zachorował; nędza—jeśli maszyna ucięła mu rękę, lub stracił zdolność do zarobkowania z przyczyny choroby zawodowej.

Jakże mieszkał robotnik u siebie w domu, w jakim

zył *miejscu*: Wola, Mokotów, Czyste, Ochota, Koło, Nowe Brudno, Pelcowizna toną w topieli błota. Są to siedliska chorób epidemicznych. „Epidemie wszelkie, choroby zaraźliwe dziesiątkują ludność robotniczą: tyfus, ospa, gruźlica wyrządzają okropne spustoszenia wśród silnej, zdrowej ludności pracującej<sup>1)</sup>. „Łódź pod względem śmiertelności chorych na gruźlicę, zajmuje pierwsze miejsce w świecie“. Weźmy Dąbrowę, Sosnowiec: wydaje się, jakby przez całe ćwierćwiecze nie wywieziono stąd ani jednego wozu śmiecia. Latem tumany pyłu tworzą całe obłoki na ulicach miasta. „W takich to warunkach, mówi prof. Wójcicki, rodzi się, wzrasta, pracuje i żyje nasz proletarijat przemysłowy. Musi on więc marnieć, niknąć, wyradzać się fizycznie i moralnie“<sup>2)</sup>. Robotnik polski wygląda, jakby całe życie nie dojadł: cerę ma bladą, skóra na ciele kruszy się. Antropologicznie jest to typ zdegenerowany<sup>3)</sup>. O mieszkańcach naszej ludności robotniczej, ich drożyznie, straszliwym stanie sanitarnym i przeludnieniu — prosimy zajrzeć do pism naszych lekarzy.

Dzień roboczy w większym przemyśle warszawskim jest stosunkowo krótki i wynosi przeważnie 9 godzin. Autor zbadał około 300 „regulaminów wewnętrznych“ różnych fabryk i stwierdził, że zarówno długość dnia roboczego, jak i jego rozkład w Warszawie, są dość dogodne, natomiast na prowincji panują w tej dziedzinie stosunki ohydne. Praca efektywna trwa najczęściej 11—11½ godzin, razem zaś z przerwami robotnik ma zajęte na pracę zarobkową 15—16 godzin. Przerwa jest 3: rano, w południe i wieczorem. Rzecz jasna, o kształceniu się zawodowym, należytym odpoczynku, życiu rodzinnym i społecznym nie może być już mowy. Zaś z punktu widzenia nowoczesnej wiedzy o warunkach intensywnej pracy przemysłowej, podobny dzień roboczy jest nonsensem<sup>4)</sup>. W przemyśle drobnym 16—17 godzinne dni robocze nie są rzadkością, przyczem uprawia się tutaj wprost niebываły wyzysk pracy dzieci i nieletnich, oddanych do „terminu“. Wogóle kwestja kształcenia zawodowego naszych rzemieślników i robotników, to otwarta rana. Tkwi tu pierwszej wagi zagadnienie ekonomiczne. Rzemiosło nasze upadało, robotnik prawdziwie wykwalifikowany i zdolny do intensywnej pracy w fabryce, stojący na najwyższym poziomie techniki i organizacji pracy, był rzadkością.

Tak się chował, żył i pracował polski robotnik. Dziedzictwo pozostawione przez Rosję w dziedzinie kwestji społecznej w naszym kraju, jest jednym z najsmutniejszych spadków po straszliwych latach niewoli. Przed społeczeństwem stoi olbrzymie zadanie sanacji stosunków, od których zależy nie tylko rozkwit narodowego bogactwa, lecz i całej polskiej kultury. Treścią nowoczesnej kultury jest praca.

<sup>1)</sup> Ekonomista. Tom IV. 1914, s. 35.

<sup>2)</sup> Ekonomista. Tom IV. 1914, s. 36.

<sup>3)</sup> Miklaszewski: O rozwoju fizycznym ludności robotniczej w Warszawie.

<sup>4)</sup> Ob. Ernst Bernhard: *Höhere Arbeitsintensität bei kürzerer Arbeitszeit, ihre personalen und technischsachlichen Voraussetzungen*. Lipsk, 1909. Doskonała praca, którą należałoby przetłumaczyć na język polski.

T — t.

## Od Styru do Stochodu.

Z dziejów siódmego pułku.

(Dnia 4 — 7 lipca).

II.

Wiedziało się o nim co prawda, niestety, coraz mniej. Ogień zaporowy rosyjski zasypywał dzielący nas od linii lasek tak gęsto, że komunikacje telefoniczne ulegały co chwila przerwaniu. Nieustająca, wytężona praca wszystkich patroli telefonicznych zaradzała szkodzie zaledwie na chwilę i ciągle zdarzało się, że patrol, który zaledwie powrócił od znojnej — było ponad zwykłą miarę gorąco — i niebezpiecznej pracy, nie miał nawet czasu usiąść, bo linja była ponownie zerwana. Coraz częściej trzeba było używać pieszych posyłek, coraz trudniej zdawać sobie dokładnie sprawę, jak w istocie rzeczy stoją *w tej chwili* na samych pozycjach. Dwa ogromne balony na uwięzi, które były wypełzły po stronie rosyjskiej na niebo już od samego rana, oddawały im istotnie rzetelne usługi, bo skuteczność ognia nie pozostawiała nic do życzenia. Amunicji też mieli, jak się zdaje, aż nadto. Nawet ukryta wśród drzew kładka, wiodąca przez błota od komendy pułku na redutę, porzbijana była w drzazgi w niejednym już miejscu.

W tej właśnie chwili, w momencie największego napięcia ognia, nadjechał do komendy 7 p. p. komendant główny Piłsudski, w towarzystwie szefa Sosnkowskiego i por. Wieniawy. Stąd w towarzystwie tylko porucznika Wieniawy i ordynansa-przewodnika udał się niebawem pieszo na samą linję; wkrótce za nim podążył i szef. Nastąpiła długa, nieznośna chwila męczącego oczekiwania na powrót, chwila nieodparcie tłoczącej się wątpliwości, czy nie nazbyt wysoka to cena, którą się pokrzepienie walczącego żołnierza w ten sposób nabywa.

Przez cały czas pobytu komendanta aż do chwili jego odjazdu, do g. 6-ej w., położenie mogło i musiało być uważane za bardzo poważne, ale bynajmniej nie groźne. Nie licząc placówki, dla której utrzymania nie warto było ponosić krwawych a zbytecznych ofiar, nie ustąpiliśmy nigdzie ani piędzi ziemi, pomimo, że nieprzyjacieli nie poprzestawał już na miażdżeniu nas ogniem działowym, ale cisnął coraz mocniej wielkimi masami piechoty.

Na lewoskrzydłowej barjerze odcinka pułku masy te trzeba było trzymać w należytej odległości ogniem naszej artylerji i kompanji rezerwowej por. Małego, przesuniętej na stanowisko zaporowe w pobliżu reduty. Gorzej, pozornie gorzej przynajmniej, wyglądały rzeczy na prawym skrzydle naszego odcinka. Nie licząc już zupełnego zniszczenia okopów i zagród drucianych, widocznym było, że ogień rosyjski, bijący gwałtownie i uporczywie nie tylko w same okopy nasze, ale i w podmokły lasek, dzielący je od pozycji 5 p. p., przygotowuje drogę do stanowczego natarcia piechoty. Jakoż istotnie około g. 3-ej pp. runął tędy pułk piechoty rosyjskiej do gwałtownego ataku na „Polską Górę“, na broniące jej pozycje 5 p. p. i częściowo na nasze okopy. Atak odparto, a na wracającego zwartą, skłębioną masą nieprzyjaciela lunął z niewielkiej odległości grad kul nie

tylko z krańca naszego prawego skrzydła, ale i z dalszej a wysuniętej naprzód, flankowym ogniem bijącej reduty. Szczerby, jakie wybito w tym tłumie, były niewątpliwie dotkliwie, ucieczka była krwawa. Ale niebawem uderzyła fala powtórna, nie tylko już na Górę i park Kostiuchnowki, ale wprost na nasze prawe skrzydło bijąca. Można się było obawiać, że zdemoralizowany, rozbity fizycznie i nerwowo 12-godzinnym ogniem huraganowym żołnierz nie wytrzyma uderzenia, prącego naprzód gęstą, zwartą kolumną wroga. Wytrzymał jednak. Świetny, brawurowy kontratak 3 kompanji VI bataljonu pod wodzą urodzonego z bożej łaski żołnierza por. Lisa, nie tylko osadził Moskala na miejscu, ale go odrzucił wstecz, rozbił, spławił w krwi własnej. A przecie w kompanji tej już z południa nie było, nie licząc zabitych, ani jednego żołnierza, któryby nie był rannym, a przynajmniej kontuzjowanym. Pierwotne nasze pozycje, ściślej mówiąc miejsce, gdzie pozycje te rano leżały, były znów w naszych rękach. Ze spokojem ale i z niezachwianą pewnością wolno było twierdzić, że ani huraganem szalejącego ognia, ani wstępnym natarciem kilkakrotnie liczbą przeważającej masy stanowisk tych wróg nam nie wydrze. Wydarły nam je okoliczności—uboczne.

Bo oto już po obu krańcach legjonowego odcinka pękły wały ochronne. Przez powstałe stąd luki lunęła niepowstrzymanym potokiem moskiewska czerniawa, otaczając nasze tyły, odcinając odwrót, grożąc zamknięciem w najeżonym bagnietami kolisku. Działa rosyjskie były coraz dalej, były na wszystkie drogi odwrotowe. Na komendę 7 p. p. runął grad najcięższych pocisków działowych. Próżne i bezcelowe stały się świetne kontrataki 5 p. p, którymi usiłował odzyskać straconą nie ze swej winy pozycję. Próżną się stała ofiara, w której legł kwiat rycerskiej młodzieży. Po raz czwarty już od listopada roku zeszłego krwią naszą oblaną „Polską Górę“ trzeba było opuścić ponownie. Odwrót przebijającego się bagnietem 5 p. p. pociągnął nieuchronnie za sobą i odwrót 7 p. p. Na skutek otrzymanego rozkazu wycofano pułk na drugą linię, na t. zw. pozycje ryglowe. Pod osłoną kompanji rezerwowej por. Wilka odwrót ten, wykonany plutonami od prawego skrzydła ku lewemu, odbył się w zupełnym spokoju o godz. 8<sup>1/2</sup> wieczorem.

Teren, jaki dnia tego zdobyli na 7 p. p. Moskale, nie był zbyt wielki, nie odpowiadał w żadnym wypadku ani ich olbrzymiemu wysiłkowi, ani naszym poważnym bądź co bądź stratom w zabitych i rannych. Na szerokości 1<sup>1/2</sup>—2 kilometrów odsunęliśmy się o niecały kilometr wstecz. Nie zaraz zresztą Moskale zdecydowali się teren ten zająć. Wysyłane przez całą noc patrole nasze stwierdzały, że placówka, reduta i pozycje zaporowe poza nią, t. j. środek V bataljonu, zostały wprowadzić przez nich obsadzone, prawoskrzydłowe natomiast nasze pozycje, t. j. okopy VI bataljonu i stanowiska komendy pułku zostały nieobsadzone do samego rana. O g. 6<sup>1/2</sup> rano wysłano nowe silne patrole, z których patrol podpor. Dojana-Surówki, okolony niebawem przez przeważające siły rosyjskie, trzymał się do g. 9-ej, do chwili otrzymania rozkazu powrotu, po czym musiał się już przebić przez chmary naciskającego go nieprzyjaciela.

.Dalszy ciąg dnia rozwijał się już względnie spokojnie, o ile oczywiście nie liczyć silnego ognia arty-

ryjskiego, bijącego w dalszym ciągu na nowe pozycje 5 p. p., częściowo na nasze prawe skrzydło, t. j. na VI bataljon. Dopiero, koło g. 6-ej w. rzucił się nieprzyjaciół do ataku na zajęty przez 5 p. p. Polski Lasek (nieopodal Polskiej Góry), nacierając równocześnie na nasze prawe skrzydło. Atak wzmógł się tak szybko i nacisk był tak mocny, że niebawem 5 p. p. musiał się cofnąć, odsłaniając nasz VI bataljon. Rozpylony wybuchami granatów kurz zasłaniał tak doszczętnie widok, że udało się Moskalom podejść od czoła pod same nasze druty, po których, rzucając na nie płaszcze, a na płaszcze jednego ze swoich, który pełnił funkcję mostka, zaczęli się już przedostawać do wnętrza pozycji. Szli bezładną ale olbrzymią kupą, bez wielkiego zapalu i furji bojowej, ale jakby pchani grożącym z tyłu nakiem. Równocześnie, obszedłszy obnażone już prawie skrzydło nasze, rzucili się takąż masą na ziemianki w środku pozycji pułku. Odbyło się to wszystko tak szybko, że gdy na wszczęty alarm oficerowie i żołnierze nasi zaczęli wybiegać z ziemianek, Moskale prażyli ich już ogniem z dachów tychże ziemianek; na jednej stanął nawet wnet przyniesiony przez nich karabin maszynowy. Dostęp do tyłów odciął już znowu ognisty mur padających gradem szrapneli i granatów. Moment był groźny.

Odwrót był nieuchronny. Rozwinawszy dla ochrony prawego skrzydła kompanję rezerwową, poczęto się wycofywać ku leżącemu o kilometr na zachód „laskowi saperskiemu“, w którym do dn. 4/VII stały treny bojowe 7 p. p. i kompanja saperów, a od wczoraj mieścił się tymczasowo sztab I Brygady. Na pracujących od tyłu i z prawego skrzydła Moskale rzucił się z kilkoma od ręki sformowanymi plutonami por. Lis; wkrótce potym wsparł go z całą swoją 3 komp. V bataljonu por. Młot, który stojąc na lewym skrzydle mógł spokojnie swój oddział sformować. Zaczął się odwrót dość osobliwy.

EDWARD SŁOŃSKI.

## Pod czymże przewodem?...

Pod czymże przewodem  
Ojczyźnie pójdziem służyć,  
łączące nas ze Wschodem  
haniebne mosty burzyć?

Te mosty — kraty turem  
i szubieniczne słupy,  
gdzie car konopnym sznurem  
swe przywiązywał łupy.

I kiedyż czynem śmiałym  
i jednym mocni celem  
pomiędzy Kremlem białym  
staniemy a Wawelem,

na kopcach, skąd batami  
pędzeni ku Wschodowi,  
przekleństwo kajdanami  
dzwoniliśmy carowi?

6 września 1916 r.



BENEDYKT HERTZ.

## Siły ukryte.

Umarł Władysław Weryho.

W milionowej Warszawie śmierć ta poruszyła kilkaset osób.

Nie dziw. Weryho był tylko... pionierem i dźwignią polskiego ruchu filozoficznego. A co kogo może obchodzić polski ruch filozoficzny? Nawet nasz tłum inteligentny nie bardzo wie, czy to na co przydać się może.

Filozofja!... Także coś...

Jeszcze, rozumiem, medycyna, prawo...

Można nieźle zarabiać!

Albo, ot, inżynierja!... Choć djabli wiedzą, czy inżynierom nie będzie teraz gorzej. Bo jeśli rynki wschodnie... tentego... to, panie, może być kłapa z przemysłem.

Jednak w każdym razie—to jest coś.

Ale filozofja? Toć to gorzej, niż nawet matematyka.

Od czasu powstania szkół polskich, rodzice z mniejszą już, niż dawniej troską, spoglądają na młodzież, chcącą studjować matematykę lub przyrodę. Jeszcze kilkanaście lat temu na amatorów tych nauk spoglądała praktyczność ojcowska z niepokojem, z obawą niemal o synowskie klepki.

— Warjat, na matematykę mu się zachciało — biedny papa wzruszał ramionami, kłopotliwie pocierał łysinę i z zażenowaniem czytał w oczach przyjaciela wyraz spófcucia.

Warunki społeczno-polityczne wdrażały nas do tego, by każdy myślał tylko o własnej karierze. Myślenie o czymś więcej, niż o zapewnieniu sobie i swej rodzinie pełnego koryta, często bywało niebezpieczne, a z reguły groziło ubóstwem.

Ci, co rozumieli, że poza prywatnymi interesikami jednostek istnieją także sprawy ogólne, pocieszali się zasadą: „czyni każdy w swym kółku, co każe duch Boży, a całość sama się złoży“.

Tak formułowała się ideologia starego „jakoś to będzie“. I mało kto spostrzegł, że... całość owa wcale się jakoś nie składała. Przeciwnie, na każdym polu czynił spustoszenie coraz większy rozkład. Dezorganizacja życia społecznego upodabiała je do chlewni, w której rozlega się ustawiczny kwik bezładnie cisnących się do żarcia wieprzów.

To była rzeczywistość polska, z zadowoleniem odbiegająca coraz dalej od „wszelkich romantyzmów“, rzekomo niezgodnych z nowoczesnym *savoir-vivre'm*.

Romantykiem, idealistą, marzycielem—stawał się w tych warunkach każdy, co okiem wybiegał za opłotki swego gospodarstwa. Romantykami byli nawet notoryczni materjaliści ideowi i pozytywiści, starający się jakoś uskrzydlić Połanieckich i Wokulskich; bo choć zalecali innym praktyczne sobkostwo, sami oprzeć się nie mogli pokusie myślenia o sprawach ogólnych.

Straszny ten okres pozostawił na życiu naszym piętno, które nie rychło zetrzeć potrafimy. Urobił on społeczeństwo, złożone z ludzi, żyjących jeno własnym, ciasnym życiem. Pierwszy lepszy szewc szwajcarski, należący do kilku *vereinów*, ma więcej ducha obywatelskiego, niż normalny typ warszawskiego działacza publicznego, który ugania się przedewszystkim za synekurą i wpływem osobistym.

Spowodowane wypadkami wojennymi zmiany w położeniu naszym, odrobina swobód politycznych, składająca częściowo na nas samych troskę o byt ogółu—typ ten wywabiła z rodzinnych barłogów po to, by obrzydzić masom „polskie rządy“ wysoce nieobywatelskich komitetów. Do opieki nad dobrem pospolitym dorwały się figury z pod ciemnej gwiazdy, indywidua, wśród których okazy niekryminalne powyrastały z łatwością na mężów opatrnościowych, a na tle niezliczonych nadużyć i powszechnej korupcji, poszczególne wypadki służby uczciwej, choć niedołożnej, stały się jedyną pociechą i nadzieją, jedyną podstawą wiary w możliwość lepszej przyszłości bez ekonomicznego knuta.

Wiara ta jest wszakże naogół słaba.

Kto wyrazu opinii publicznej nie szuka w „Kurjerku Warszawskim“, lecz wsłuchuje się w żywe jej odgłosy, spotyka na każdym kroku płaski sceptycyzm, powątpiewający, by społeczeństwo polskie mogło samo się rządzić. Gospodarka samowolnych komitetów niewiarę tę mocno wśród mas rozpowszechniła. W niej też czerpie nowe siły tęsknota za dawną obrozą.

Czy jednakże na inny typ działaczy kraj i jego stolica zdobyć się nie może?

\*

Zadziwiająca jest rzeczą, iż wśród nazwisk ludzi, co się w dzisiejszych ułatwionych warunkach na czoło społeczeństwa wyłokciowali, prawie nie spotykamy tych, którzy w czasach najcięższych ratowali je przed ostateczną dezorganizacją i zejściem do form „indywidualizmu“, graniczącego z bytowaniem zwierzęcym. Wciąż słyszy się np. pytania, dlaczego żaden z profesorów dawnych kursów potajemnych nie zdobył katedry w polskim uniwersytecie, choć są między nimi ludzie o kwalifikacjach niewątpliwych i jakkolwiek dzięki nim tylko zachowała się w Warszawie atmosfera pracy naukowej?..

Dlaczego—dalej—w odradzających się instytucjach publicznych porozdawano stanowiska naczelne osobistościom, które żadnych zasług nie mają, które w dawnych czasach uganiały się tylko jedynie za karierą prywatną, a wypływają dziś jedynie dzięki stosunkom i protekcji?... Dlaczego wreszcie tacy Weryhowie dalej pracować muszą w tych samych, co ongi, warunkach: bez poparcia, pomocy i uznania?..

Dużo złego sprawiło nam życie pod knutem. Ale i ono miało swe dodatnie strony.

Kulturalna praca narodowa i społeczna nie dawała nic, prócz zadowolenia wewnętrznego. To też do służby przy jej ołtarzu nie kwapili się karierowicze i zręczne miernoty.

Dziś dopiero ich kolej.

Są!

Jak z pod ziemi wyrosli. Znaleźli się w każdym biurze, w każdej komisji, w każdej sekcji. Wszędzie ich pełno.

Gospodarują.

Weryhowie gdzieś tam po kątach dalej robią swoje. A oni — rozumiejąc, że nie tylko chlebem człowiek żyje — spieszą zakładać—operetkę w Szwajcarskiej Dolinie.

Jednak—mimo wszystko—naród polski dał dowód siły duchowej, której sam on w sobie ani nie dostrzega jeszcze, ani ocenić nie umie.

Nie gniewajmy się na tych karierowiczów, wychowanków „samodzierzawia“, co rwą się dzisiaj do władzy. Spłyną. To resztki pomyj, którymi zalewał kraj najeżdźca.

Niech nas raczej dumą napełnia fakt, iż na każdym polu znajdują oni grunt, wcale nieźle przygotowany do go-

spodarowania kulturalnego. Począwszy od proletariatu miejskiego, który mógł łatwo stać się bezładną kupą azjatyckiej dziczy, a okazuje się elementem, podatnym do karność w duchu zachodnio-europejskim, kończąc zaś na przedstawicielach sztuki, literatury, nauki — mamy wszędzie kontakt z nowoczesnością świata cywilizowanego.

A przecież odciągał nas odeń z taką mocą satrapa bizantyjski; a przecież tak zawzięcie postęp wszelki hamował; a przecież tak doskonale do celów swych przystosował polski motłoch inteligentny, który już tylko w pępek własny patrzeć potrafił...

Dziś pierwszy lepszy chłystek, co niedawno rewierowemu czapkował, śpiewa na całe gardło: „Jeszcze nie zginęła!“...

Ale czy rozumie, dzięki komu nie zginęła?...

Nie, on wcale nie wie, że stało się to dzięki cichym, zapomnianym Weryhom! Dzięki żyjącym dotąd i pomarłym pracownikom typu Mahrburga.

A ludzi takich wydała Polska nadspodziewanie wielu. Odbył się jakby jakiś proces fizjologiczny, ratujący zagrożony trucizną organizm.

Tyłu ludzi ofiarnych, cichych, pracujących bez widoków żadnej—ani tu, ani tam—nagrody; tyłu Weryhów, co Polska, nie wydał zaden naród na świecie. Rozplenili się w każdej sferze działalności, w każdej dziedzinie nauki i sztuki.

Jeśli literatura polska kwitła pod knutem w zmaterializowanym i ogłupiałym społeczeństwie — to ofiarnością jednostek. Taż samą ofiarnością rozwijała się nauka; tą samą ofiarnością żyło malarstwo, muzyka, nawet teatr (zwłaszcza prowincjonalny). To wszystko rosło suchotami i głodem polskich kochanków muz.

Nigdzie na świecie nie było tyłu nędzarzy-warjatów, zapatrzonych poza siebie w miraż, przez ogół niedostrzegane.

Ogół ten zdobywał się na warszawskie kurjerki, na mydłków publicystycznych, na „redaktorów“, opiewających wdzięki Kaweckich i Messalek. Ci tylko wydobywali się na powierzchnię jego świadomości. Wszystko natomiast, co było coś warte, co walczyło o zachowanie ducha, o kulturę, o postęp—kryło się w płytszych lub głębszych podziemiach.

Prace, które gdziekolwiek spełniają zasobne instytucje społeczne, a nawet państwowe, tu brali na swe barki pojedynczy ludzie. Obok sześciopiętrowych Wolffów i Gebethnerów, żyjących „firmy“-pewniaki, mieliśmy nędzarzy, wydających ostatni grosz na druk książki nieuznawanego talentu.

I dzięki nim, dzięki nim tylko...

Jeszcze nie zginęła.

Nie zginęła, choć ginęły setki najpiękniejszych dusz, w służbę Jej dobrowolnie biegnących.

Jeśli zaden naród nie zdobył się na tyłu, co Polska, Weryhów, to również zaden tyłu ich nie zmarnował, zaden im tyłu kamieni pod nogi nie ciskał, zaden ich nie otaczał takim nierozumieniem i nie wyrzucał tak bezwzględnie poza nawias wszelkiego powodzenia życiowego.

Lecz oto zbliża się kres tych tytanicznych wysiłków jednostek. Poczną one wracać do normalnego życia, wsiać znów do społeczeństwa i—odradzać je.

Bo naród nie może być prowadzony wyłącznie przez miernoty karjerowiczowskie, wyhodowane pod knutem. Naród będzie musiał obejrzeć się za swymi prawymi synami i dać poczesne miejsce—Weryhom.

## POLONJUSZ.

### Życie w atomach.

#### WOJNA WRACA NA BAŁKANY.

Wojna, która dwa lata temu wyszła z Bałkanów, wraca dziś swoim ośrodkiem ciężkości znów na Bałkany, wzmacniając zarazem wagę frontu wschodniego. Tu, istotnie, na froncie wschodnim i na jego przedłużeniu skupiają się interesy obu reżyserów koalicji: Rosji i Anglii. Stąd wypadła pierwsza iskra, stąd paść może ostatni grom. Bałkany są punktem, od którego poczynając, polityka każdego z mocarstw walczących z europejskiej przedzierzga się we wszechświatową. Każda kwestja bałkańska bywa kwestją *par excellence* międzynarodową: opiera się o trzy lądy świata. Każde z państw bałkańskich, dzięki temu, tai w sobie olbrzymią potęgę wybuchową, potęgę stokroć większą od tej, jaka spoczywa w istocie sprawy polskiej. Sprawa polska miała w sobie raczej coś, co zwaśnione mocarstwa godzi i sprzymierza ze sobą; Bałkany, przeciwnie, mają w sobie żywioł, który przymierza rozsada i państwa ciska przeciw sobie w śmiertelne zapasy.

Stąd wniosek: nie ufajmy zbyt wiele międzynarodowemu charakterowi sprawy polskiej, jako czynnikowi, który ma—sam jeden—do bytu niepodległego nas wynieść. Ufanie takie czerpie siłę z przekonania, że Polska jest potrzebna Europie, więc powstać musi, więc istnieć będzie. Niestety, wiarą tą żyła Rzeczpospolita, i—żyć przestała. Jeśli chodzi o rękojmię międzynarodowe, nierównie lepiej uposażone są w tym względzie państwa i narody bałkańskie, niż my. A jednak i one rzucają miecz na szalę, więcej licząc na swą siłę, niż na obce względem siebie rachuby. Sprawa polska może stać się zagadnieniem międzynarodowym nie do stłumienia jedynie przez skupioną wolę narodu i czyn. Międzynarodowość jej bowiem leży nie w terytorjum Polski, lecz w jej energii politycznej.

#### WIEC KLUBU PAŃSTWOWCÓW POLSKICH.

Zgromadzenie, zwołane przez Klub Państwowców Polskich w dniu 3-im b. m. było w życiu Warszawy wydarzeniem wielce wymownym: wielka sala Filharmonii była przepełniona, a tysiące ludzi odeszły od jej progów z powodu braku miejsca. Temat: sytuacja wytworzona po wystąpieniu Rumunii w związku ze sprawą polską — wzbudził olbrzymie zainteresowanie. Miasto jest spragnione publicznego roztrząsania spraw politycznych. Wiec ten dowiódł, że szersze warstwy stolicy nie zasklepiły się w sferze trosk codziennego życia, lecz stanowią w rzeczach ideowych żywioł nad wyraz wrażliwy. Nastrój podczas przemówień świadczył wyraźnie, że w tym parotysięcznym audytorjum uczucia patriotyczne są nieklamana, żywiołową siłą.

Podczas przemówień gorętszych, zwłaszcza przemówień pp. Studnickiego, Szpotańskiego, Wasercuga i Sieroszewskiego były chwile podniosłej atmosfery: dawała się odczuć wśród zgromadzonych zdolność do ofiar i do poświęceń dla sprawy narodowej.

Rezolucja wiecu brzmi:

„Bezwzględny przeciwnikiem państwowości polskiej i wrogiem odbudowy państwa polskiego w obecnej chwili jest Rosja. Zwycięstwo Rosji groziłoby zagładą naszego bytu narodowego; porażka Rosji stanowi pierwszy warunek lepszej dla Polski przyszłości. Wszelkie konjunktury polityczne i wojenne, zwiększające siły Rosji w dzisiejszej wojnie narodów, stają się czynnikami wrogimi dla sprawy polskiej. Sytuacja obecna wymaga od nas energicznej walki o naszą narodową przyszłość. Zwracamy się więc do państw centralnych o niezwłoczne proklamowanie państwa polskiego i umożliwienie nam stworzenia armii polskiej, któraby jeszcze w wojnie obecnej walczyła przeciwko Rosji o niezależny byt państwa polskiego“.

#### BEZIMIENNA ULICA.

Rada miejska na posiedzeniu dn. 11 sierpnia r. b., uchwaliła w formie wniosku nagłego zwrócić się do magistratu o zmianę nazwy ulicy *hr. Berga* na ulicę *Traugutta*. Propozycja p. Lustańskiego, aby przekazać tę sprawę magistratowi wraz z całą sprawą zmiany nazw innych ulic nie znalazła uznania w Radzie, która w swej większości wyczuła, że przez takie postawienie rzeczy znaczenie proponowanej zmiany zostałoby zmniejszone i przeto wprowadzenie nazwy ulicy Traugutta oderwane od uroczystości, jaką Warszawa w dniu 5-ym sierpnia święciła.

Znamienną jest rzeczą, że *oczekiwano*, co uczyni magistrat. Opinia publiczna nie była pewna, że w sposób naturalny magistrat spełni swój naturalny obowiązek, choćby nie ze względu na opinię Rady, ale ze względu na to, że jego opinia jest w tej sprawie taka sama. Ale przeczucia nie były mylne. Uchwała wykonana nie została, mimo, że w magistracie zasiada burmistrz p. Zygmunt Chmielewski, zasiadają pp. Kmita, Toeplitz i inni ławnicy, którzy z ramienia obozu niepodległościowego tam się znaleźli.

Oczywiście nie byli oni w stanie na decyzję magistratu wpłynąć, a co w tej mierze uczynili—niezawodnie się dowiemy.

Aliści niecierpliwa ręka zrzuciła tabliczki z nazwiskiem Berga i założyła nowe z napisem ulica Traugutta. Wówczas wskutek czyjegós rozkazu, komisarz I-go okręgu polecił je usunąć.

Nie wiemy, jak na ten rozkaz reagował magistrat, jak ostatecznie zareagowali poszczególni jego członkowie. Uczynili to z pewnością, bo przecież z ramienia obozu niepodległościowego zasiadają tam wśród nich pp. Zygmunt Chmielewski, Simon, Toeplitz i Kmita, którzy w milczeniu takiego kroku nie akceptowaliby. O tym, co uczynili, niezawodnie się dowiemy.

Tymczasem jednak sprawa wygląda w ten sposób, że ulica jest nie nazwana. Czemu? Dlaczego nie przywrócono tabliczek dawnych? Przecież magistrat nadal nazwę *Berga* uznaje. Czy nie dlatego czasami, że tak, jak dla wykonania uchwały Rady trzeba trochę odwagi żołnierskiej, tak dla przywrócenia tabliczek dawnych, trzeba dużo odwagi cywilnej?

Dziś jednak to pytanie nie jest aktualne. Magistrat został uratowany przez Radę miejską. Rada bowiem na posiedzeniu swym 4 września przyjęła zgłoszony w imieniu magistratu przez ks. prezydenta, wniosek nagły, który jest właściwie powtórzeniem propo-

zycji postawionej 11 sierpnia przez radcę Lustańskiego, wtedy odrzuconej. Nie tylko więc Rada ze swego stanowiska ustąpiła i kompromis zawarła, ale wprost wniosek swój w sprawie ulicy Berga przekreśliła, bo i tę sprawę wraz z innymi komisji przekazała.

Ciekawi jesteśmy, w jaki sposób opierali się wnioskowi magistratu ci jego członkowie, którzy w nim z ramienia obozu niepodległościowego zasiadają. Ciekawi jesteśmy, jak motywują postępowanie swe radcy. Z pewnością mieli słuszne ku temu powody i niewątpliwie *publicznie* nas o tym poinformują. Bo jest rzeczą konieczną, by nie pozwolili ugruntować się opinii, że nie usiłowali obronić swej sprawy.

#### SZKOŁA DRAMATYCZNA.

Nie trudno zauważyć, że panowanie klik w życiu Warszawy bynajmniej się nie skończyło. Protekcja sędzi na pokrewieństwie i korupcją pogania.

Zajęcie stanowiska odpowiedzialnego w instytucji miejskiej przez kogoś do klikii nienależącego, przez człowieka niezależnych przekonań, mocnego charakteru i czystych rąk, a przytym w danej dziedzinie kompetentnego, jest jeszcze zjawiskiem bardzo rzadkim.

Z tym większym uznaniem powitać musimy wybór p. Jana Lorentowicza na dyrektora warszawskiej szkoły dramatycznej, jako rękojmię uzdrowienia i podniesienia tej instytucji na właściwy poziom.

Nasza „brać aktorska“ nie należała do najlepszych żywiołów miasta. Dawna szkoła dramatyczna nie podnosiła kulturalnego poziomu polskiego aktora. Po scenie kręciło się dużo nieużytków, wykolejeńców i analfabetów.

Esteta i znawca teatru tej miary, co Jan Lorentowicz, zaprowadzi w tej dziedzinie porządek, choć ma przed sobą ciężkie zadanie.

Jednemu z rzadkich u nas ludzi, zawsze stroniących od klikii, życzymy powodzenia w pracy.

#### ODDAJMY KSIĘCIU, CO JEST KSIĄŻĘCEGO...

W jednym z najbliższych n-rów *Widnokregu* ukaze się studjum polityczne na tle zasług arystokracji współczesnej w Polsce, p. t. „Splowiały Karmazyn“.

#### CZKAWKA TARGOWICY.

Narodowa Demokracja tak objadła się obietnicami moskiewskiej dyplomacji, że wciąż odbija się jej Targowica.

#### TADEUSZ SZPOTAŃSKI.

### Przemówili...

Wiec z d. 3 b. m. wywołał wielkie wrażenie w całym kraju i poza krajem. Uchwałami jego, nastrojem, jaki na nim panował zaniepokoiły się te żywioły, te obozy polityczne, które nadal państwową przynależność Polski do Rosji uznają, które nadal w mieszkańcach Królestwa Polskiego poddanych Rosji widzą. Ogłoszony więc został protest, podpisany przez stronnictwo demokratycz-

no-narodowe, stronnictwo polityki realnej, stronnictwo narodowe, polską partję postępową i zjednoczenie narodowe i prowincjonalne. Protest stwierdza, że uchwały wiecu są daleko idące, że są przez samozwańców uchwalone i że społeczeństwo odpowiedzialności za nie nie przyjmuje. Dnia 10 września w Palais de Glace odbył się wiec drugi, również przez Klub Państwowców zwołany. Wiec ten za rezolucją z dn. 3 b. m. przyjętą jednomyślnie znowu się wypowiedział.

Od dłuższego czasu milczeli ci ludzie, którzy teraz protest ogłosili i nic ich do mówienia nie mogło nakłonić. Czekali w cichości i ukryciu na przebieg wypadków. Nareszcie po wystąpieniu Rumunji przemówili. Przemówili po raz pierwszy od dn. 6 sierpnia r. 1915, nie po raz pierwszy podczas toczącej się wojny. Jednak odrazu potrafili do pieśni przerwanej nutę nawiązać.

...„Ale chociaż rozdzieleni kordonami, my, Polacy, pod względem uczuć i życzliwości ku słowianom, powinniśmy tworzyć jedność. Radzi nam tak postąpić nie tylko słuszność sprawy, za którą ujęła się Rosja, ale i rozum polityczny. Epokowe znaczenie czasów, w których żyjemy, powinno zepchnąć na plan drugi wszystkie porachunki wewnętrzne“.

Tak głosił w deklaracji złożonej w dn. 8 sierpnia r. 1914 w imieniu Koła Polskiego w Dumie p. Wiktor Jaroński, poseł ziemi kieleckiej.

„Mamy przeświadczenie, że zwycięstwo trójporozumienia przyczyni się do rozwoju konstytucjonalizmu w Rosji, co ze swej strony zapewnić jeno może trwałość przyszłego wolnego ustroju naszej ojczyzny oraz godnego polskich tradycji rozwiązania sprawy narodowościowej w dzielnicach o mieszanej ludności, w myśl hasła tolerancji i równouprawnienia, tak drogich polskiej idei demokratycznej“.

Tak oświadczała Polska Partja Postępowa w komunikacie swym z dn. 3 września r. 1914.

„Rodacy! Gdy wybuchła obecna wojna, naród nasz w jednej chwili odczuł, że w dziejach jego odwraca się wielka karta, że waży się cała jego przyszłość...“

...„Rozumieliśmy zawsze, po której stronie nasze miejsce. Wskazała je bez wahań myśl wszystkich warstw narodu, zdrowy instynkt piastowego ludu...“

...„Armja rosyjska wstąpiła już na rdzenną ziemię polską, należącą do Austrii.“

„W takiej chwili przed rodakami naszymi w tych ziemiach staje wielki obowiązek stwierdzenia, że ich myśli i uczucia są ściśle zespolone z resztą Polski. Wszystkich sił winni oni dołożyć, ażeby wróg nie narzucił im nawet pozorów czynu, przeciwnego dążeniom naszego narodu. Takim czynem byłoby jakiegokolwiek wystąpienie ludności przeciw armji rosyjskiej...“

Oto wyjątki z odezwy Komitetu Narodowego Polskiego wydanej w Warszawie dn. 25 listopada r. 1914.

A przedtym jeszcze dn. 23 września r. 1914 został ogłoszony w gazecie urzędowej *Prawicielstwiennyj Wiestnik* i rozlepiony w formie plakatów na rogach ulic Warszawy i po innych miastach Królestwa Polskiego, Cesarstwa i Syberji telegram wiernopoddańczy, przesłany na ręce Mikołaja Mikołajowicza. Telegram

mówi o wzruszeniu głębokim wywołanym przez odezwę Wielkiego Księcia i o życzeniu zwycięstwa armji rosyjskiej, jakie tkwi w sercach podpisanych.

Tak naogół przemawiali przedstawiciele partji *narodowych*, a więc partji demokratyczno-narodowej, partji polityki realnej, stronnictwa narodowego, polskiej partji postępowej. Tak też przemówili raz jeszcze, po ostatnim wiecu w Filharmonji. Do polskiej księgi „tęczowej“ przybył jeszcze jeden dokument.

Kiedy pan poseł ziemi kieleckiej składał deklarację w imieniu narodu w Petersburgu i na plan drugi porachunki *wewnętrzne* odkładał, Sławków, Miechów, Jędrzejów, Kielce witały strzelców polskich, radośnie święciły odejście Moskali. Gdy policjanci rosyjscy wiernopoddańczy telegram Polaków na ulicach rozlepiali, gdy polska partja postępową w oświadczeniu swym o mającym się zrodzić ze zwycięstwa koalicji konstytucjonalizmie w Rosji, głądziła o związanej z nim tolerancji i równouprawnieniu, mieszkańcy Lwowa dowiedzieli się, że w Galicji wschodniej i Lemkowszczyźnie ludność rdzenna była zawsze rosyjska, że zatym układ na tych ziemiach powinien zasadać się na pierwiastkach *moskiewskich*, że pan hrabia Bobrinskij będzie tam „wprowadzał rosyjski język, prawo i urzędnia państwowe“. Gdy Komitet Narodowy Polski niejako z dumą wewnętrzną zaznaczał zwycięski pochód armji rosyjskich i ufny w dalsze ich powodzenie, po reprezentację ogólnonarodową sięgał, chłopci-ludowcy oświadczyli, że osoby podpisane na odezwie swą dotychczasową działalnością nie dają im najmniejszej gwarancji, by sprawy narodowe poprowadzić mogły w duchu przez lud pożądanym. Kiedy po uchwałach wiecu z dn. 3-go września r. b. cztery partje wystosowały protest, przez przedstawicieli partji ludowych, przez tysiące zgromadzonych na nowym zebraniu w Palais de Glace uchwały z 3-go września r. b. potwierdzone zostały.

W świetle faktów, w świetle historii występuje wyraźnie istotne ustosunkowanie sił w naszym społeczeństwie, istotna wartość poszczególnych kierunków politycznych. Garść rozbitków moskalofilskich, demokracją narodową się zwących, paru ludzi, partją postępową się mianujących, a będących tylko drobną secesją od polskiego postępu, klika obszarników i rentjerów, których szkołą polityczną był przedpokój Skałona, metodą pracy politycznej nizki ukłon i łapówka, ideałem—kieszon pełna, musi się ośmieszyć, gdy po reprezentację narodu sięga, gdy w imieniu tego narodu przemawia. Dziś wszystkie partje u nas są nieliczne, siłę swą jednak czerpią i czerpać muszą nie z liczby zorganizowanych jednostek, ale z treści, związanej z treścią życia narodowego. I dlatego stosunek pomiędzy nami a nimi jest tak nierówny, i dlatego uchwała wiecu takiego, jaki był w Filharmonji ma realniejsze dziś znaczenie, niż wszystkie komunikaty obozów rusofilskich. Tymczasem do zakusów przeciwko obchodowi 3-go maja, do intryg przeciwko ulicy Traugutta przybywa jeszcze jedno dzieło. Zapamiętajmy to dobrze i nadal rachunek sumiennie prowadźmy.

KONRAD CHMIELEWSKI.

## Przyroda w powieściach Weysenhoffa.

## II.

Weysenhoff—według reguły Wyspiańskiego—nie chce Polski przefilozofowywać. Usprawiedliwia prawa moralne do ziemi obszarników i potomków dawnych możnowładców, pogodnie i dobrotliwie tłumacząc ich od ziemi przez francuzowanie północne oddalenie, nie chce rozwiązywać rzeczy trudniejszych: — konsekwencji tych praw i konieczności przystosowania do ziemi nie tylko z uczucia, ale i z intelektu.

Gdy się tylko nawinie z rozwoju fabuły tego potrzeba, Weysenhoff chwytą za pędzel i—zamiast mędrkowania—maluje obraz, na którym zamiast ludzi, zaczynają mówić pardwy, głuszce, łosie, — i w echach życia lasu ginie wszelka zawilość, zaczyna mówić życie. Szkoda tylko, że autor zna je tylko tak jednostronnie, tylko jako myśliwy i niepotrzebnie do artystycznych „zapiszków“ myśliwego dodaje romans ludzki. To też świat ten wygląda trochę — jak widziany przez lufę sztucera albo jak zagrany na sygnałównce łowieckiej.

Weysenhoff tak dalece nie ma nic wspólnego z Kiplingiem, ani nawet z Dygasińskim, że zestawienie takie może być traktowane jedynie *risus causa*.

W dżungli Kiplingów są prawa puszczy, w „Puszczy“ Weysenhoffa są nakazy pana i władcy ziemi, właściciela dóbr leśnych, który rozumie jedno — prawo podboju siekiery i broni odylicowej, prawo człowieka do zużytkowania dostatków ziemskich na swój ludzki profit. I robi to sumiennie. Obławy — przypominające jatki i rzeźnie, szlachtuż bażanci.

Osaczanie jednego dzika przez kilkudziesięciu ludzi, podchodzenia chytre na ciągach, wszelkie „wielkie łowy“ w kilkanaście angielskich odylicówek z liczną, kierowaną przez zawodowca Niemca naganką, łowy wielkopańskie, magnackie, mają w Weysenhoffie gorącego piewę.

Pachnie od nich twardym, tęnym mordem polskim, który przeszedł już nawet do podręczników naukowych geografji roślin i zwierząt jako „echt polnisches curiosum“, pachnie rozkosz pławienia się w mnogości ofiar, pachnie narzucone puszczy feodalne „ius ventris“. Z rozkoszą panowania nad życiem maluczkich, nieprzystosowanych do kul sztucerowych!

Jakże daleko ci panowie odbiegli od swoich antenatów, którzy z oszczepem czy sulicą szli na tura, z widłami na niedźwiedzia, którzy stawiali dzikiej bestji przed oczy swoje własne życie wzamian za jej mocne i groźne dla człowieka. Wtedy polowanie miało urok tężyny, urok rycerski prawdziwie — dziś to jakaś igraszka rzeźnicka.

Car rosyjski w Spale kropnął do jelenia, tak obławskawionego przez leśnika, że przyszedł do niego z wyciągniętą mordką prosić o łakomy znany datek — chleb z solą. Postrzelił go słabo i dorzynał potem osobiście kordelem.

Mnie kiedyś taki zwolennik caratu zaszlachtował

sarenkę, która wybiegała do wszystkich dzieci, lasiła się do psów domowych i jadła z ręki.

Od tej chwili nie wzrusza mnie fotografia nawet Sienkiewicza w grupie panów na tle szeregów porzniętych kulami z wysokich altan dzików i jeleni, ale za to wzruszył mnie na jednych Weysenhoffowskich łowach na Litwie piewien cudzoziemiec, który, wzruszony pięknnością wschodzącego słońca nad leśną świteznią, cisnął strzelbę i siadł na kłodzie, pisać sonet. Wzruszyła mnie precudownym opisem puszczy na wiosnę pani Jehanne hr. Wielopolska w „Kryjakach“. Jej puszcza żyje, gra i tętni — niepodległe, nie ma tego, czego jest wbród w Weysenhoffie — jakiegoś zdobywczego, przez pańskie binokle poglądu na przyrodę.

Zresztą zna ją Weysenhoff bardzo mało, przeważa terminologja łowiecka, a nie leśna, widzi tylko niektóre gatunki, głównie te „na rzeź“, szatę roślinną zna tylko powierzchownie, jest w nim łowieckie przyrodnikowanie, a nie Mickiewiczowskie pełne przyrodnictwo.

Mistyczne, pełne ducha obrazy przyrody polskiej w „Chłopach“ Reymonta mają głębokie światło wierzących, mocnych oczu naszego chłopca, — w obrazach Weysenhoffa są przymrużone do muszki na lufie, sytne, dumne, pełne wiary tylko w samego siebie oczy pańskie.

Warto te obrazy ze sobą zestawić po to chociażby, ażeby się przekonać, do kogo Polska należy.

Weysenhoff może nas negatywnie wielu rzeczy nauczyć — i nauczył. Bóg zapłać.

Zdefiniował nam przedewszystkim, na czym polega patriotyzm panów i arystokratów: — na poetycznym natchnieniu chwili, na rozmarzeniu z posiadania ziemi plennej, pięknej, bogatej, z którego płynie czyn — dziecinnych odruchów i takichże kombinacji. Praca realna u podstaw życia narodu jest im obca, ani jeden z bohaterów Weysenhoffa nie zakłada szkół, jeden za to buduje drogi, które niewiadomo jakie ośrodki życia mają łączyć i do jakich przejawów życia służyć. O! tak drogi wogóle — jak most pana Maniłowa u Gogola. Spłata długów zato zajmuje tyle miejsca, że, doprawdy — ma się wrażenie, jak gdyby życie naszej arystokracji z samych długów się składało.

Kwestje społeczne w jej rozumieniu rozwiązuje Weysenhoff tak, jak to mówił Szczedryn, że „pisateli popisywajet, czytatiel poczytywajet“.

Morału przyrody jak u Kiplingów np. niema nigdy, przyroda Weysenhoffa ekscytuje bohaterów jego powieści tylko w kierunku eksploatacji darów nieba, podnieca tężynę, sprawność łydek i ramion, na mózg nie działa zupełnie. To też i rozbudzany przez nią sentymentalizm jest trochę ekliwy, szeroko rozgarnięty w bardzo pierwotnych uczuciach dla ziemi, mało wytłomaczony w uczuciach dla rodaków.

Zdaje się, że pod tym względem zresztą ma autor „Puszczy“ pewną oględność, demos uznaje w postaci Morozów lub innych gracjalistów, dla których szlacheckie folbluty mają kult greckiego niewolnictwa. Morozy są to żywi ludzie, oddani duszą i ciałem swoim panom, zaprzędani autokracji rodowej i ich posesjom ziemskim, mają coś z postaci Erckamanna-Chatrjana, czasami nawet dystynkcję francuską.

Sylwetka jednak Morozów jako człowieka puszczy jest arcymistrzowska, można nawet zrozumieć — jak taki leśny, wolny człowiek może być niewolnikiem pałacu

i pana przez najszlachetniejszy instynkt przywiązania do ziemi. Przyrodoznawstwo starego sługi Mroza jest teologiczne i teokratyczne. Celebryje on stale nabożeństwo do ziemi, które skały nawet jest w stanie poruścić, nie tylko lekkomyślnych posesorów puszczy—prostotą i powagą.

Typy to na Litwie częste, snują się w cieniach mogił jak sylwetki apostołów w katakumbach rzymskich, szepcą odwieczny pacierz ziemi zwiotczalymi wargami i przez nich często z francuskich kołyszek budzą się polskie dzieci. Ale dobry, stary sługa wcale nie jest zasługą starego dworu. Właściwością natury ludzkiej jest, że dzieje się najczęściej wprost przeciwnie. Dziwne kwiaty ducha wykwitają na rozłogach i popieliskach jego—na dowód, że niema w naturze skończonej celowości.

To też przyroda Żmudzi, Litwy i Rusi ma przeznaczenie nie tylko uzdrawiające dla młodych arystokratycznych żórawi z za morza, jest bogatą krynicą środków przyszłego nowego życia, kierowanego przez leśne, wolne dusze polskie ideami puścizny jagiellońskiej, jako jedyne niezawodnego środka do torowania dróg w puszczech.

Tych zarodków życia pan Weyszenhoff nie zna, chciał je w „Unji“ ująć w pewien kształt, ale spudłował z obu łuf i ogromnie zabawnie połączył znowu Barbarę z Zygmuntem na tle pożyczek finansowych Litwy i Korony. Kto je zna bliżej, tego nie straszy ani litwo-manja, ani moskalofilstwo pewnych sfer, ani literackie traktowanie spraw kresowych przez rycerskich idealistów. Puszcze litewskie żyją, żyć będą dzwonami i hejnałami Wilna, targanymi rękami młodych konfederatów młodej Polski ze znaku jagiellońskiego, którzy jednak powieści p. Weyszenhoffa czytać będą z wielką przyjemnością.

#### KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

- Dr. A. Mogilnicki.* Ogólne zasady prawa. Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa, 1916.
- St. Leszczyńska.* Nauczanie arytmetyki dorosłych analfabetów. Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa, 1915.
- Jan Wojnicz-Sianożęcki.* Fizyka w zakresie szkoły średniej. Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa, 1916.
- Dr. Alfred Lauterbach.* Potrzeby estetyczne Warszawy. Drukarnia Naukowa. Warszawa, 1915.
- Dr. Natalja Gąsiorowska.* Historia Polski w nauczaniu analfabetów dorosłych. Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa, 1916.
- Roman Jakimowicz.* Warszawa i jej okolice w czasach przedhistorycznych. Polskie Tow. Krajoznawcze. Warszawa, 1916.
- Stanisław Koszutski.* Nasze miasta a samorząd. E. Wende i S-ka. Warszawa-Lwów.
- Ignacy Peszke.* Ostatni naczelnik narodu, Romuald Traugutt. Biblioteka „Czytaj“. Warszawa, 1916.
- Tadeusz Jaroszyński.* Konspiratorka. Biblioteka Nowości „Czytaj“ Warszawa, 1916.

„WIDNOKRĄG” będzie nadal niezależnym organem myśli polskiej, będzie służył sprawie wskrzeszenia państwa polskiego, torując ku temu drogi we wszystkich dziedzinach życia narodowego.

„WIDNOKRĄG” w szeregu numerów ogłosi artykuły znanych publicystów, dotyczące najdoinoślejszych zagadnień doby obecnej. Między innymi prace p. p.:

*M. Baumgarta, K. Chmielewskiego, G. Daniłowskiego, Marji Dąbrowskiej, Zygmunta Dreszera, Wilhelma Feldmana, Jana Grabowskiego, Gromicza, Tad. Grużewskiego, Benedykta Hertza, T. Hołówki, W. Jodki, Juljusza Kadena, Z. Kleszczyńskiego, A. Lauterbacha, J. Lemańskiego, E. Lipińskiego, Franciszka Loefflera, Cezarego Łagiewskiego, W. Makowskiego, Jadwigi Marcinowskiej, J. Moczulskiego, J. Muszkowskiego, M. Niedziałkowskiego, Obserwatora, M. Rómera, Wincentego Rzymowskiego, R. S., Wacława Sieroszewskiego, Edwarda Słońskiego, Tadeusza Szpotańskiego, Artura Słowińskiego, H. Tennenbauma, St. Thugutta, Józefa Wascercuga, Kazimierza Wroczyńskiego.*

Wyszła z druku broszura

WINCENTEGO RZYMOWSKIEGO

p. t.

## „Z Tamtego Świata”

Odbitka z „Widnokregu”. Skład główny w księgarni F. Hoesicka w Warszawie.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Cena 15 kop.

*Przedpłata WIDNOKREGU wynosi w Warszawie, wraz z odnoszeniem do domu, miesięcznie kop. 85; kwartalnie rb. 2 kop. 50; rocznie rb. 10. Z przesyłką pocztową kwartalnie rb. 3; rocznie rb. 12.*

*Za zmianę adresu dopłaca się kop. 20.*

*Administracja, prócz niedziel i świąt, otwarta codziennie od godz. 10 rano do 2 pp. i od 5 do 7 wiecz.*

*Redakcja, prócz niedziel i świąt, otwarta codziennie od godz. 6 do 7 pp.*

*Rękopisy nie przyjęte są do odebrania w redakcji w ciągu 3 miesięcy. Potym ulegają zniszczeniu.*

*Dla studentów i nauczycieli ludowych 25% ustępstwa. Cena numeru oddzielnego w Warszawie kop. 22; na prowincji kop. 25.*

# WID NO KRAG

N<sup>o</sup> 11 (R. II) Warszawa, 25/IX 1916  
KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE N<sup>o</sup> 7. — TELEF. 158-90.

**TREŚĆ:** TADEUSZ SZPOTAŃSKI: Polityka realna.—Kto mieczem walczy.—MICHAŁ RÖMER: Dzień 6 sierpnia 1914 r.—T—T: Od Styru do Stochodu (III).—GROMICZ: Najlepsi (Ks. Marcin Szkopowski).—ALFRED LAUTERBACH: Restauracja pałaców Warszawskich.—POLONJUSZ: Życie w atomach. Oręż słabości.

TADEUSZ SZPOTAŃSKI.

## Polityka realna.

Polityka każdego narodu posiada pewne, sobie tylko właściwe cechy, pewne charakterystyczne i wyróżniające ją rysy, pewne metody, które składają się na jej własną odrębną kulturę. Tworzą się w historii narodu wartości stałe, ujemne lub dodatnie, które jednak stają się obowiązującymi, które naród może fałszować, przerabiać i powoli gubić, których jednak wyrzec się odrazu nie jest w stanie bez wywołania wzburzenia i zamętu w swoich uczuciach zbiorowych.

Kultura polityki jest organicznie złączona z historią narodu, wyrasta z jego legendy, rzeźbiona jest przez jego czyny. W życiu politycznym Francji np. odczuwa się żywo dorobek Wielkiej Rewolucji, którym Francja wciąż jest krępowana, względem którego choć pozornie zachować musi lojalność. I polityka angielska, jak polityka rosyjska, jak również polityka każdego innego pań-

stwa, ma swoją tradycję, która stale działa, ma swój ogólny kierunek i charakter, często niezależnie od formy, w jakiej chwilowo się zamyka, od środków, jakich w danym momencie używa.

Nie zastanawiamy się tutaj nad przyczyną tego zjawiska, nie chcemy go analizować i oświetlać, lecz chodzi nam o zaznaczenie jego istnienia i o zwrócenie na nie uwagi. Bo jest ono jednocześnie jednym z czynników aktywnej polityki, bywa siłą regulującą działalność narodu, narzucającą mu linię wytyczną, bywa też tym wskazaniem moralnym, którego naród nieraz, w braku innego się chwyta.

\* \* \*

Polska polityka agresywna, a więc twórcza załamała się ze śmiercią Batorego. Po Batorym Rzeczpospolita ze stanu rozwoju przechodzi w stan trwania, który zawsze z czasem zamienia się w stan rozkładu. Naród polski nie kultywuje polityki państwowej, nie rozwija jej, zamrzeć więc ona musi mimo wysiłków Władysława IV i Jana Sobieskiego, mimo pracy Sejmu Wielkiego i ostatecznie zanika wraz ze zniknięciem podłoża, na którym mogła wzrastać, wraz ze zniknięciem naszych form państwowych. Zamiast polityki państwa polskiego pojawia się polityka obrony narodowej i z tego względu, porozbiorowe dzieje Polski stanowią w jej historii rozdział zupełnie odrębny, może tylko przez Kościuszkę i Dąbrowskiego z poprzednią epoką związany.

„W pogardzie śmierci jedyna jest nadzieja polepszenia losu naszego i przyszłych pokoleń. Pierwszy krok do zrzucenia niewoli jest odważyć się być wolnym; pierwszy krok do zwycięstwa — poznać się na własnej sile“.

W słowach tych zawarł Kościuszko treść wszystkich naszych wysiłków, opartych o czyn zbrojny, przez walkę orężną do wyzwolenia krajów zdążających, rzucił w nich rozkaz dla wszystkich insurekcji w Polsce, ufundował ich prawo. Przez cały okres stuletniej niewoli pojawiają się próby zastosowania tej prawdy, występują usiłowania powstańcze, które z niej się rodzą. Kniaźwicz w swych wskazaniach, Mochnacki, powstańcy r. 1863, są przejawem tego właśnie poczucia, tego właśnie przekonania w narodzie, które determinuje jego wystąpienia, które do nich zobowiązuje nawet bez pewności powodzenia, które mówi, że każdy wysiłek, nawet zgnieciony, sprawę wyzwolenia posuwa... „Powstawajmy, pisał Miłkowski, a upadłszy, powstawajmy znów, nie uwodząc się czczą obawą zużycia sił. Siły narodu, jak siły każdego żywego, a obdarzonego ruchem organizmu, marnieją od bezczynności“...

I jak nie czerwona biegnie przez szlak naszego życia narodowego w okresie porozbiorowym

myśl polityczna nieodłączna od czynu zbrojnego, zarysowuje się praca, która wiąże jedno pokolenie z drugim i tworzy naszą politykę czynną, do niepodległości zmierzającą.

Kierunków ugodowych względem Rosji nie można traktować jako kierunków czynnej i planowej polityki narodowej. Nie dały nam one żadnej korzyści, nie osiągnęły żadnej zdobyczy, nie wniosły w skarbnicę naszego życia nic, co byłoby zyskiem naszym, nie Moskwy. Konsekwentnie, logicznie wiodły do coraz większego upadku naszego, coraz głębiej pograżały naszą sprawę. Były w życiu naszym wartością ujemną, groziły nam stałe zagubą, a jeśli zechce je kto zaliczyć do przejawów polityki, jeśli zechce im przyznać, że sprawę polską miały na celu, to musi przyznać zarazem, że ta polityka była utopją, że zowiąc się realną, najmniej realną była. Dziś, w przełomie chwili, znika ona jak plama zewnętrzna, ulatnia się bez śladu, nie pozostawiając nic w głębi, nie wsiąknąwszy w podłoże, na którym się zjawiała. A politycy *realni* stoją wobec historii z próżnymi rękoma, bez realnej pracy, bez dorobku politycznego, bez przeszłości twórczej. Stoją wobec narodu nie jak politycy, nie jak kraju wodzowie lub bojownicy jego, ale jak zgrani gracze polityczni, których całą potęgę stanowi tylko pozycja socjalna i którym Ojczyzna nic do zawdzięczenia nie ma, prócz hańby. Cały nasz istotny dorobek polityczny, skarb, z którego zdolność do czynu czerpać możemy, źródło, które nas obecnie zasila, wytworzyły siły, które zawsze w wojnie z Moskwą były, które do orężnej z nią rozprawy się gotowały i które, o ratowanie życia narodowego walcząc, jedynie realną pracę czyniły. One wytworzyły właściwą naszą politykę w okresie porozbiorowym, nadały jej barwę i charakter, pogłębiły jej kulturę. Dojrzeła ona szybko w chwili obecnej, konsoliduje się i tężeje, coraz wyraźniej zarysowuje fizjognomję naszego narodu. Ogień wojny spala to wszystko, co spalić może, oczyszcza nas z tego, co było u nas powierzchowne, co z głębi nie wyrosło; do nowego życia idziemy tylko z tym, co wartością trwała w nas było.

Nie wolała się Moskwa w naród polski, nie owdadnęła żadną struną naszego życia, choć wszystkie potargała i do upadku nas doprowadziła. Wypchnięta dzisiaj—jest nam obcą i daleką, i z dumą możemy stwierdzić, że przez wiek współżycia między nią, a nami ani jeden węzeł wspólnoty zadziergnięty nie został. I polska polityka przez ten czas wzbogaciła się i stężała nie pod jarzmem niewoli, ale na polu walki, nie w uległości i posłuszeństwie, ale w zmaganiu się ciągłym z przemocą, ale w atmosferze czynu i gotowości bojowej.

I tak zdobytej kultury politycznej naród polski nigdy już wyrzec się nie może.

\* \* \*

Ale musimy dziś przyznać, że i w polskim obozie insurekcyjnym, biorąc ogólniej, w całym obozie czynnej polityki, obok przykładów cytowanych powyżej, obok tężyzny ducha i hartu, obok samodzielności i odwagi wierzenia w samych siebie, występował stale pierwiastek bezwładności i bezwładu. Zatrutował on naszą energję, wżarł się głęboko w naszą myśl polityczną i uświęcony przez tradycję, z wielkim tylko trudem może być wyrwany.

„Za waszą i naszą wolność“ — krzykliwe i z patosem wysuwaliśmy to hasło, umieszczaliśmy je na swoich sztandarach, uczyniliśmy z niego postulat polskiej demokracji, polskiej rewolucji. Nie zastanowiliśmy się nigdy, ile w tym hasle mieści się nieszczeroci i ile demoralizacji. Bo zrodziło się ono nie z poczucia naszej siły i nie było nigdy wyrazem naszego interesu, ale było tylko hasłem agitacyjnym, na obcą siłę źle obliczonym. Podkreślało łączność ze społeczeństwem rosyjskim, z którym nigdy żadnej łączności być nie mogło, rozpraszało naszą energję i o cudzej pomocy myśleć kazało, czyniło zewnętrznie z naszej sprawy sprawę powszechną, czym ona nigdy w istocie rzeczy nie była.

Objasnić ten objaw myśli politycznej, znaleźć początek tego prądu nie jest zadaniem trudnym. Uderzającą jednak jest rzeczą, że występuje on i zarysowuje się szczególnie mocno wtedy, kiedy naród możliwości działania, możliwości czynu jest pozbawiony.

Po roku 1831-ym na tułactwie wszyscy szukali przyczyny domowej klęski i nowej drogi, prowadzącej do celu. I znowu wśród wielu rodzących się tam teorii i prądów, występuje ten pierwiastek powszechności, występuje myśl o ludzkości, dla której Polska ma być zbawiona, myśl, która z Polski narzędzie czyni i wierzyć każe, że Polska wolna, niepodległa, równa, stanie się przybytkiem równości, braterstwa i szczęścia powszechnego. Poczęta ona została nie z przejęcia się dołą ludzkości, ale w poczuciu własnej bezsilności, w szukaniu nazewnątrz uzasadnienia naszej sprawy, jak gdyby ona tego w istocie potrzebowała, jak gdyby to jej jakakolwiek korzyść niosło.

Wiara w ogólne hasła, łączenie z nimi naszej sprawy, nieraz nawet dedukowanie jej stamtąd, deprawowało duszę naszą, zachwaszczało kulturę naszej polityki, odrywało ją od realnego podłoża. Wprowadzało to do polityki polskiej sztuczny sentyment, osłabiało naszą myśl twórczą i realną,



bałamuciło myśl polityczną, zamącało jasność sądu, ścisłość rachunku, odzwyczajało od metody działania politycznego.

Wybitnie to występowało w polskim obozie socjalistycznym, znajdowało swoje odbicie w działalności dyplomatycznej, zwłaszcza w apelowaniu do trybunałów wszechludzkiej sprawiedliwości, kultury, etyki międzynarodowej, trybunałów albo nieistniejących, albo maskujących czyjeś interesy pozytywne frazeologią idealizmu. Nie możemy tutaj szczegółowo tych objawów omawiać, nie możemy ich wyliczać, możemy tylko je podkreślić, bo istnieją one do tej pory w naszym myśleniu politycznym, nieraz nie przedstawiając innej wartości od tej, którą prądy ugodowe posiadały.

Wojna musi ten czynnik zupełnie usunąć. Odpaść na zawsze muszą od nas wszelkie złudzenia, ustać winno rozproszenie ideowe i myślowe. Musimy zostać skoncentrowani wyłącznie koło sprawy naszego narodu, tylko koło jego zagadnień i spraw, tylko jemu oddani. Przez pryzmat naszych nowoczesnych interesów i dążeń możemy tylko traktować sprawy ogólne i powszechne; nie sentymentem dla nich pałać i w ofierze dla nich się utleniać, lecz zimno rachować je należy i zależnie od własnych potrzeb je ujmować.

Tę prawdę powinna przyjąć polityka polska, o ten dorobek winna się wzbogacać jej kultura i tylko wtedy posiędziemy wartość powszechną. Ta prawda powinna przepoić naszą politykę, do niepodległości zmierzającą, bo ona postawi nas mocno na drodze, która wiedzie do normalnego i zdrowego rozwoju życia narodowego. Na drodze tej wchodzić możemy i musimy w sojusze, przez nasz interes wskazane, dla ludzkości całej ręka w rękę z innymi narodami pracować, stanąć z nimi w jednym szeregu. Jednak w tym celu musimy znać wartość własną, umieć ją cenić i starać się ją powiększyć. I tylko wówczas, wartość i siłę w nas widząc, znajdując u nas normę porozumienia się i współdziałania, którą stale wyłącznie nasz interes państwowy i narodowy ustanawiać będzie, inni przymierza z nami szukać będą i w przymierzu tym z nami się rachować.

---

*„Kto mieczem walczy, ten ginie od miecza!” —  
Głosi przysłowie. Więc by ujść zagłady,  
Ten i ów miecz odrzuca, w myśl zbawczej zasady,  
Że bezbronność najlepiej słabych zabezpiecza.  
Głupi. Nie wie, co przez to chce rzec myśl człowiecza?  
Ha, ha! — „Pod kijmi zginie, kto nie zdzierży szpady!”*

---

MICHAŁ RÖMER.

## Dzień 6 sierpnia 1914 r.

W chwilach dziejowych przesileń, gdy wielki czyn w twardym, samotnym wysiłku się rodzi, rzecznicy bezwładu usiłują go bądź stłumić frazesem lub milczeniem, gdy się to daje, bądź zagłuszyć najgłośniejszym biciem we wszelkiego rodzaju brzękadła, nie wyłączając teatralnych obchodów i widowiskowej czci dla czynów przeszłości.

Ale są chwile, kiedy szopkowe fałszowanie obchodów staje się niemożliwe i kiedy prawda ciągłości dziejowej, łącząca wiekopomne czyny, tak jaskrawo się manifestuje, że obchód staje się sam żywym aktem woli i czynu, tracąc zgoła swoje widowiskowe cechy narkotyku.

Do takich należał warszawski obchód 3 maja, jako potężny wyraz woli, jako akt, cementujący politykę narodową Polski w wojnie obecnej. Są też rocznice tak świeże i żywe, tak tętniące potęgą, że się użyć do żadnych celów innych, prócz jedyne prostego celu, któremu służą, nie dadzą. Ich treść jest hasłem i kierunkiem. Ich boją się tknąć elementy bezwładu, bo palą one żywym ogniem zawartej w nich prawdy.

Do takich chwil należy dzień 6 sierpnia roku 1914, dzień wkroczenia Józefa Piłsudskiego na czele strzelców do Królestwa Polskiego. Czyn, który w tym dniu się dokonał, żyje wprawdzie i trwa w niespełnionym dotąd, a coraz potężniejszym postulacie armji narodowej i niepodległości, i ma swoją formę konkretną, aczkolwiek tylko częściową, w Legjonach Polskich, które są jednak tej armji zawiazkiem i w których żyje niewygasłym żarem idea czynu z dn. 6 sierpnia, ale sam on należy już do kategorii rocznic, bo, zapłodniwszy swoją ideą wolę narodu oraz dzieło Legjonów, sam, jako fenomen, przestał istnieć.

Czyn z dn. 6 sierpnia 1914 r.—wkroczenie strzelców do Królestwa — nie był tym, czym się formalnie potym stały Legjony. Był to czyn narodowej wojny polskiej z Rosją, samodzielny, z założeń niepodległościowych płynący i do zdobycia niepodległości skierowany. Nie było w nim nic, prócz czystej, prostej woli niepodległości, przetopionej w prosty, bezpośredni czyn. Wybrany był dla niego moment wybuchu wojny Europejskiej, ale obcą mu była jakakolwiek forma zależności zewnętrznej, obcpanstwowej zależności sprawy polskiej, którą wyrażał i iścił. Był w naturze swej tym, czym były wojna w r. 1831 i powstanie w r. 1863.

Czyn ten nie był w żadnym stopniu w zależności ani od Austro-Węgier, ani od Niemiec. Uzależniał się i oddawał tylko narodowi; od woli narodu zależało wziąć go i być jego panem. W wojnie, w której Rosja z jednej, a Niemcy i Austro-Węgry z drugiej strony stanęły przeciwko sobie, czyn zbrojny polski o niepodległość, wymierzony na terenie Królestwa przeciwko Rosji, był z konieczności sprzymierzeńcem mocarstw centralnych, ale tylko sprzymierzeńcem, w stosunku podobnym do sojuszu wojennego, łączącego wszystkie państwa współwzajemne czy to z obozu koalicji czy Europy środkowej. Tego rodzaju naturalne przymierze wojenne nie stwarza zależności formalnej; każdy z uczestników przymierza jest samodzielną stroną. Polska w czynie Piłsud-

skiego stawała po raz pierwszy od lat wielu w charakterze jednostki wolnej, posiadającej własny czyn, równoległej do państw niepodległych. W tym się streszczała istota tego czynu.

Wszakże siły nawet największej jednostki nie były w stanie same zadaniu temu podolać. Piłsudski z kilku tysięcy strzelców nie mógł sam na barkach swoich całego ciężaru wojny polskiej dźwigać. Czynem swoim dał on narodowi tę możliwość. Od narodu i jego woli zależało dalsze wykonanie dzieła. Piłsudski dał tę możliwość w okolicznościach, które zdawały się wymarzone dla dźwignięcia przez nieszczęśliwy, niewolny naród — wolnego własnego czynu

Między trzema rozbiorczymi państwami, które pochłonięły Polskę, po raz pierwszy wybuchła wojna. Grób zaboru rosyjskiego zdawał się automatycznie otwierać. Z Królestwa Polskiego uciekały w przerażeniu rzesze czynowników, oczekujące „powstania“ i „rzezi“. W Rosji mobilizacja była dopiero rozpoczęta: chwilowo większych mas wojsk w Królestwie nie było; materiał ludzki, wojskowo wyćwiczony, nie był jeszcze z Królestwa do szeregów rosyjskich zabrany. Gdyby naród w tych pierwszych dniach wielkiej wojny odpowiedział na czyn Piłsudskiego wielkim odruchem rzeczywistego powstania w Królestwie przeciwko Rosji, to mógł zostać panem u siebie i zmobilizować armję narodową. Chodziło już nie o to, jak w r. 1863, aby iść „do lasu“ i stamtąd prowadzić samotną partyzantkę przeciwko zorganizowanej sile zbrojnej, ale o to, aby w sojuszu z potężnymi i niemniej, a nawet mocniej zorganizowanymi siłami zbrojnymi przeciwników Rosji, siłę własną natychmiast na zasadach regularnych zorganizować, ujmując je w kształty państwowe. W tej pierwszej chwili wojny było to istotnie możliwe i zależało od dojrzałości i sprężystości woli narodu. Wówczas nie mocarstwa centralne z zachodu na wschód musiałyby krwią swoją przez rok przeszło Rosję z ziemi polskiej wypierać i Warszawę zdobywać, znosząc jednocześnie jej inwazję do Prus Wschodnich i Galicji, ale Rosja ze wschodu musiałaby na zachód, na Królestwo, bronić już nie tylko przez armję niemieckie i austriackie, ale i przez polską armję, nacierać. Zgodnie z tym, co kanclerz niemiecki kreślił w swej mowie z d. 5 kwietnia r. b., o roli dziejowej ziem b. Rzeczypospolitej b. zaboru rosyjskiego po wojnie, mogliśmy być stać się strażą Europy środkowej, nie zaś krajem przez nich zdobytym, ich krwią własną od Rosji faktycznie oderwanym, przez nich rządzonym i bądźco bądź od nich zależnym.

Taką możliwość otworzył Polsce czyn Piłsudskiego, czyn wojny polskiej z Rosją, czyn niepodległości. Niestety — tu się ujawniła cała głębia niewoli, która nadewszystko straszną jest w swych skutkach w sferze psychicznej, w sferze woli. Naród wołania Piłsudskiego i mądrości dziejowej jego czynu nie usłyszał i nie zrozumiał. Odpowiednie zmysły i organy psychiczne uległy w długiej niewoli zanikowi. Niepodległość nie była w narodzie tym pragnieniem żywym, które poza pamiętką przeszłości i marzeniem, tkwi w woli konkretnej, gotowej zawsze do przejścia w stan czynny. Była ona raczej w archiwum wspomnień i wzruszeń, w świętej skarbnicy najdroższych narodowych szat świątecznych, niż w rzeczywistości jego konkretnych elementów psychicznych. Brak tej żywej woli w narodzie zwichnął dzieło Piłsudskiego w jego bezpośrednich efektach. Naród w swojej większości w Królestwie Polskim nie tylko że nie odpowiedział czynem na

czyn Piłsudskiego, ale okazał się tak bierny w swej państwowo-twórczej niepodległościowej tendencji, że dał się uwieść politycznej agitacji bezwładu i dobrowolnej niewoli, spekulującej na frazesie odezwy wielkiego księcia Mikołaja, i nawet narazie samego sztandaru niepodległości się zaparł.

Czyn Piłsudskiego, poczęty w wielkiej samodzielnej idei państwowej polskiej, osamotniony przez brak żywego poparcia w Królestwie, znalazł się na rozdrożu: mógł albo wytrwać w dumnej samotności i w krótkim czasie tragicznie zginać, zmieciony wichurą wielkiej wojny potęg i wyczerpany pustką i bezwładem własnego narodu, albo zniżyć lot i wejść na tory kompromisu i połowiczności, salwując przynajmniej ideę samą i pewien kształt konkretny dla niej, aczkolwiek bez żadnego już porównania słabszy i uboższy. Skorzystanie bowiem z nadającej się okazji utworzenia Legjonu i przyjęcie dla ruchu tego formy nowej, będącej bądźco bądź nie armją narodową w pełnym znaczeniu słowa i nie samodzielną wojną polską, ale już tylko udziałem Polaków w wojnie mocarstw rozbiorczych i manifestacją woli niepodległościowej, zwróconej frontem przeciwko Rosji, z przyjęciem pewnej organizacyjnej zależności od Austrii, — było przecież bądźco bądź skarleniem pierwotnego czynu strzelców. Akt bowiem manifestacji woli nie jest już tym, czym jest sam czyn bezpośredni, samodzielny i wolny zupełnie.

Ale niemniej czyn Piłsudskiego, streszczony w dniu 6 sierpnia 1914 r., aczkolwiek został później w kształtach swych uszczuplony, nie tylko nie stracił swego historycznego znaczenia, ale dał początek ruchowi żywemu, który się konsekwentnie rozwija i który nieustannie mierza do tego prostego celu i tej drogi, jaką właśnie Piłsudski w nim wskazał. Przedewszystkim w kreowane w dniu 6 sierpnia Legjony Polskie przelał on tę ideę niepodległości i armji narodowej, której on był bezpośrednim fenomenem.

I chociaż Legjony dotychczas po 2 latach wojny nie są jeszcze armją narodową, jak byli nią strzelcy Piłsudskiego, to jednak ich dążenie żywe w tym kierunku nie wyczerpało się i nie wyczerpie i, pomimo wszelkie przeszkody, staje się ono coraz kategorięczniejsze, coraz konkretniejsze, coraz bardziej konieczne w swej ewolucji, tak jak w ich własnym łonie, jak w dojrzewającej woli narodu i już nawet w okolicznościach i wypadkach politycznych. I właśnie dzięki czynowi strzelców Piłsudskiego z dnia 6 sierpnia 1914 roku, Legjony Polskie nie mogły się stać i nie stały się tym, czym są wszelkie inne, pod tą nazwą powstające formacje narodowościowe w armjach państw wojujących: te różne „legjony“ ukraińskie, rumuńskie w armji austriackiej, łotewskie lub polskie „drużyny kainowe“ w armji rosyjskiej, pozbawione idei niepodległości i ducha armji narodowej, tworzące manifestację wdzięczności lub oddania się państwu opiekuńczemu.

Legjony Polskie są manifestacją woli i uczuć innych, — własnego państwa i własnego czynu.

I dopiero stopniowo, przez dwa lata wojny, śród strasznych klęsk i zawodów, przez które Polska przeszła i przechodzi, narasta w narodzie i dojrzewa ta wola niepodległości, już nie jako pamiętka i piękne marzenie tylko, ale jako konkretny i aktualny postulat polityczny, wola, którą Piłsudski w czynie wyraził i siłę faktu jej nadał. Nie mylił się więc komendant strzelców polskich, gdy czyn swój tworzył. Stawał na drodze dziejowej, którą

dzisiaj coraz bardziej naród za swoją uznaje. Ten czyn Piłsudskiego i ten fakt, którego on dokonał, były najpotężniejszym bodźcem, kierującym odtąd konsekwentnie wolę narodu poprzez tysiączne elementy politycznych i psychicznych okoliczności i wyrazów ku postulatowi coraz popularniejszemu i coraz powszechniejszemu: Niepodległości.

Dojrzewała wola i dojrzewają równolegle wypadki do jej realizacji. A gdy wola jest żywa, nie można już rozpaczać o czynie. Ona jest jego podwaliną i sprawdzianem.

Dzień 6 sierpnia r. 1914 jest dniem wielkim w dziejach państwowego odrodzenia Polski. Dwa lata nas tylko odeń dzieli, a już nam on wyrasta do pomnikowych w dziejach narodu wypadków. Jak bezwładną i daleką była Polska od swego państwa przed dwu laty, gdy Piłsudski czyn swój tworzył, a jak dzisiaj jest w woli swej bliska. Bezwładna jest w większości dotychczas, ale tam, gdzie już wola żywa się tworzy, można się spodziewać ocknienia z bezwładności.

T — T.

## Od Styru do Stochodu.

Z dziejów siódmego pułku.

(Dnia 4 — 7 lipca).

### III.

Za cofającą się w coraz ściślejszym szyku linią naszych żołnierzy szli gęstym ale bezładnym tłumem Moskale w odległości kilkunastu kroków. Co pewien czas żołnierze nasi zwracali się ku nim czołem, paląc im prosto w twarz niemal ze stojącej pozycji: odległość zwiększała się natychmiast i znacznie. W pewnym momencie kompanja Młota powstrzymała ich tak długo, że można było na skraju lasu saperskiego doprowadzić tymczasem wszystkie inne kompanje pułku do ostatecznego i zupełnego porządku. Część ludzi wprawdzie odbiła się w pierwotnym zamieszaniu nieco bardziej na północ, aż poza wieś Wołczek, ale i tam, pod komendą por. Małego, uporządkowano ich niebawem i po spędzonej koło wsi nocy połączyli się oni nazajutrz rano z pułkiem na nowych pozycjach.

Z narady, jaką tymczasem major Fleszar odbył w lasu saperskim z podpułk. Berbeckim, wynikło, że upieranie się przy obronie tej niczym nieobronnej pozycji, okolonej już z trzech stron przez wroga, byłoby absurdem. Podjęto więc znowu odwrót ku płynącemu dalej jeszcze na zachód o niecały kilometr potokowi Garbach, nad którym od kilku dni przygotowywano trzecią linię obronną. Odwrót, mimo stały nacisk Moskali, wykonano z całą precyzją i spokojem; ostatnie strzały padły już na mostku, wiodącym przez Garbach, poczym Moskale cofnęły się, obsadzivszy tylko placówkami i wędzami lasek saperski.

Na nowych pozycjach otrzymano pewne wzmocnienie. Zgłosił się 2-gi pułk kawalerji, który obsadził odcinek na lewo od naszego V bataljonu, łączącego w zasadzie do 1 p. p. W zasadzie, bo w rzeczywistości luka nawet po nadejściu ułanów była zbyt wielką, i trzeba

było jej pilnować wysyłanymi patrolami, którym kazano utrzymywać łączność z nieprzyjacielem. Prócz tego stał tam jakiś oddział austriackich czy węgierskich huzarów (również w kierunku 1 p. p.), a na tyłach w Nowym Jastkowie dwie kompanje 1 p. p. kap. Dęba. Prawy, południowy odcinek ku wsi Wołczekowi, objął VI bataljon. Po obsadzeniu jego pozycji kilkoma flankującymi, reductowo wysuniętymi placówkami, udało się zwolnić 1½ kompanji, z których można było uformować rezerwę.

Dzieje trzeciego dnia bitwy (6 lipca) nie przedstawiają już naogół, co się tyczy 7 p. p., takiego bojowego napięcia, jak oba dni poprzednie. Był w nich jednak moment, który niewątpliwie utkwi na zawsze w pamięci tych, co go widzieli, i który przez wagę usługi, jaką 7 p. p. oddał ogólnemu taktycznemu poruszeniu oddziałów legjonowych, zaznaczył się wybitnie i chwalebnie. Już od południa rozpoczął nieprzyjaciół równoczesne natarcie na nasze lewe skrzydło (V bataljon) i na wieś Wołczek, leżącą przed prawym skrzydłem (VI b.). Powstrzymywane ogniem VI bataljonu tyraljerki rosyjskie przechodziły poza wieś, poza leżący za nią cmentarz i ginęły w lesie, dzielącym ją od stacji tej samej nazwy. I oto nagle poza przepływającymi tyraljerkami piechoty rosyjskiej runęło od strony lasu saperskiego 11 szwadronów doborowej kawalerji rosyjskiej w tym samym kierunku. Cel ich był jawny, a grożący katastrofą wręcz nieobliczalną w skutkach. Przedarłszy się przez wieś i cmentarz, poprzez leżące za nimi podmokłe, ale w tej chwili możliwe do przejścia łąki ku Legjonowu, mogła kawalerja wpaść na nasze tyły, odciąć i zagarnąć tabory bojowe, bagaże, kancelarje, i co najgorsza, same nawet wyższe komendy, znajdujące się w niewielkiej odległości. Przez zuchwalstwo czy nieświadomość kawalerja ta rozwinęła się bokiem do naszych pozycji i lada chwila mogła przebiec miejsce krytyczne, siejąc zniszczenie, przecinając nam jedyną drogę odwrotu. Zaterkotały karabiny maszynowe, gruchnęła salwami ręcznej broni piechota. Skłębiło się wnet wszystko od tych salw w jakimś straszliwym splocie; z tumanów kurzu wylatywały tylko ośleple z przerażenia konie bez jeźdźców. Po trzykroć, w trzech potężnych oddziałach rzucali Rosjanie swoje 11 szwadronów naprzód, chcąc potężnymi susami przesadzić śmiertelną kresę; po trzykroć ze świetnych szwadronów zostawała bezkształtna masa. Po kilkunastu minutach kawalerja ta nie istniała.

Reszta zdarzeń dnia tego była już — biorąc względnie — błahostką. Ustąpienie huzarów na lewym skrzydle, czołowe ataki piechoty rosyjskiej były faktami bez znaczenia, skoro ani ataki te zachwiać frontem naszym nie mogły, ani okrażenia nas przez kawalerję nie trzeba się było obawiać. Jeśli nie mniej trzeba się było cofać, wynikało to z ogólnego defenzywnego charakteru walk naszych, z sytuacji, której nie stworzyły, ani której przekształcić nie mogły swoim oderwanym czynem Legjony. To też w myśl otrzymanego rozkazu oddano pozycję przyprowadzonemu przez kap. Stachewicza bataljonowi piechoty niemieckiej, poczym w najzupełniejszym porządku pod ogólnym dowództwem cofającego się również pułk. Śmigłego pułk 7-y rozpoczął odwrót. Na Końskoję, Trojanówkę i Czersk podążano za Stochód, długo jeszcze do późnego wieczora dnia następnego czekając nad samą rzeką na nieprzyjaciela, pilnując

spokoju usuwających się taborów austriackich. Nieprzyjaciela już jednak nie było.

Być może, dla szerszego zwłaszcza ogółu, wydałby się ów czyn legjonowy świetniejszym, gdyby go wieńczyło jakieś świetne zwycięstwo, jakieś przemożne wydarzenie wrogowi terenu. Dla żołnierza była to tylko różnica zadania, które miał do spełnienia, była sprawa odpowiedzialności, jaką niósł na swych barkach dni kilka, niósł zaiste nie bez trudu i niebezpieczeństwa. Trudno przewidzieć, a zwłaszcza obliczyć, co nastąpiłoby, gdyby na miejscu, gdzie stały Legjony, powstała tak nagle i tak nieoczekiwanie luka, jak to stało się obok. To jedno można stwierdzić, że przebieg zdarzeń następnego dnia odbyłby się zasadniczo odmiennie, że poza tym straty ilościowo nawet mogłyby się stać nieobliczalne. Że nie zachwiał się żołnierz polski, że nie przyspieszył kroku nawet wówczas, gdy go parła do tego całym naciskiem nawała wroga, dowód to niewątpliwego panowania nie tylko nad sobą, ale nad położeniem i nieprzyjacielem. Tylko stary, hartowany w straszliwym ogniu niezliczonych bitew żołnierz mógł się zdobyć na podobny spokój, na moc, którą nie zdołały wstrząsnąć ani piekło ognia, ani kilkakrotna przewaga nieprzyjaciela, ani świadomość, że polegać może na sobie samym tylko.

Jakakolwiek go za to spotkać mogła pochwała, nie przewyższy ona świadomości, jaką z tych dni krytycznych mógł wynieść każdy z oddziałów polskich, że w spełnieniu obowiązku pójdzie w razie potrzeby aż po ostatni kres.

## GROMICZ.

### „Najlepsi”.

...mi par strano che per far rider la gente si adoprino dei defarmatori concavi o convessi, quando basterebbe semplicemente: uno specchio!

Prezzolini.

„Najlepsi” — oto godło, pod którym członkowie Rady miejskiej polecieli swe usługi miastu i krajowi. Wprawdzie zrazu nie wszyscy byli „najlepsi”. Tytuł ten przysługiwał z początku tym tylko, którzy zgłosili swe kandydatury do Rady miejskiej z ramienia Wyborczego Komitetu Narodowego. Ci jedynie byli „najlepsi”. Inni — proponowani przez Wyborczy Komitet Demokratyczny — mogli być mniej lub więcej dobrzy, mniej lub więcej uzdolnieni do pewnych zadań, ale nie uchodzili za szczyt doskonałości, ani w oczach własnych, ani w oczach wyborców. Dopiero, gdy stanęło porozumienie obu Komitetów wyborczych na gruncie zniesienia wyborów i zastąpienia ich przez autonominację, parasol apoteozy, rozpięty w pierwszej chwili nad Komitetem Narodowym, osłonił równą aureolą wybraństwa także głowy Komitetu Demokratycznego. Poza parasolem zgody została już tylko skrajna lewica. Ta zdobywała swe mandaty w pocie czoła, walcząc o nie wśród zmagania się kilku prądów, dzielących między siebie warszawski świat robotniczy. Komitet Demokratyczny mandatów nie zdobywał; powiedzieć

należałoby raczej, że je przyjął; że przyjął je, jako komunję pojednania z przeciwnikiem. Wszelako i w opłatku komunji podać można penitentowi truciznę, jak wskazuje kronika Borgiów. Niebawem okazać się miało, że mandaty, uzyskane bez walki, nie wyszły na korzyść żywiolom demokratycznym. Na razie jednak zapewniły one żywiolom tym ów pobłask namaszczenia i cnoty obywatelskiej, jaki zawsze w Polsce zwykł opromieniać akty kompromisu w godzinach wzajemnego wybaczenia sobie — wspólnych grzechów.

— Wybierajcie nas! — głosiły żywioly konserwatywne: my jesteśmy najlepsi.

— Nie zwalczajcie nas, odpowiedziały żywioly demokratyczne: — i my też chcemy być najlepsi.

W wyniku zaś stało się to, czego nie śmie żądać nawet ideał ewangeliczny: wszyscy powołani zostali wybrani. Kto z pośród członków Komitetu jednego lub Komitetu drugiego (bo w końcu już zapomniano który jest „narodowy”, który zaś „demokratyczny”) nie otrzymał mandatu do Rady (liczba mandatów jest ograniczona ustawą) ten otrzymał urząd w Magistracie. W ten sposób i w Magistracie i w Radzie miejskiej dobór sił obywatelskich ukształtował się wedle reguły niestychnie jasnej. Na pytanie kto zasiada w Radzie miejskiej oraz w Magistracie, każdy ojciec rodziny, każdy przewodnik młodzieży, odpowie nam: ludzie najlepsi. A na pytanie, gdzie znajdują się ludzie najlepsi, każdy z nich ma również tylko jedną odpowiedź: w Radzie miejskiej oraz w Magistracie<sup>1)</sup>.

Cudzoziemiec, obie odpowiedzi posłyszawszy, pomyśli sobie zapewne: szczęśliwe miasto, potrzykroć szczęśliwe. Rządy jego spoczywają w rękach tych, którzy dali miano wszelkim arystokracjom świata: w rękach najlepszych.

Rodak jednakże nie może poprzestać na ryczałtowym uznaniu: tam, gdzie kończy się podziw cudzoziemca, tam dopiero zaczyna się pole budującej czei dla rodaka. Choć wszyscy są „najlepsi”, to jednak niewątpliwie każdy jest dobry w swoim rodzaju. Każdemu należy się uwaga od współczesnych, pamięć wdzięczna — od potomnych.

### Ksiądz Marcin Szkopowski.

Ks. Marcin jest najlepszy bodaj już z tego względu, że najlepiej umiał się przystosować do tych warunków bytu, w jakich żyliśmy przed wojną. Wojna dopiero stała się dlań nieszczęściem.

„W czasach wojny, — zali się on narodowi swemu z trybuny Rady miejskiej<sup>2)</sup> — sprawiedliwość, stanowiąca *fundamentum regnorum*, zamienia się na inną sprawiedliwość, której — miano jest: *ius belli*. To prawo jest tak dalece rozciągliwe, jak rozciągliwy jest miecz wojny”...

Słowa powyższe nie nastęrczają wątpliwości. Ksiądz dobrodziej przeciwstawia królestwo sprawiedliwości, jaka rządziła nami przed wojną, tym krzywdom, jakie niesie nam wojna. W jego świątobliwej głowie nie postanie ani na chwilę myśl, że rządy moskiewskie, pod którymi kraj został przed wojną, były organizacją wiekowego rozboju, że nie

<sup>1)</sup> Wprawdzie, jeśli chodzi o ten ostatni, to dwóch najlepszych już w nim niema: dwaj najlepsi — obaj naczelnicy wydziałów w Magistracie — otrzymali uprzejmą wskazówkę, że do chwili oczyszczenia się na drodze sądowej z zarzutów, stawianych im przez opinię moralną Warszawy, nie mogą pełnić swych zaszczytnych obowiązków w Zarządzie Miejskim. Wszelako myliłby się ten, ktoby sądził, że ustąpienie tych dwu najlepszych może gronu pozostałych przynieść cośkolwiek innego, prócz zgęszczonego splendoru.

<sup>2)</sup> Cytata według stenogramów urzędowych Rady miejskiej.

sprawiedliwość stanowiła ich *fundamentum*, ale gwałt, ale okrucieństwo. Że wojna, burząc porządek rzeczy, panujący w Królestwie Polskim, nie mogła zburzyć nic innego, prócz jarzma, ciężącego nam u szyi.

Ks. Szkopowski atoli nie ma zmysłu dla cierpienia narodu. On boleje tylko bólami jednostek. Krzyżowa męka Polski, od lat stu dwudziestu gnębionej niewolą, nie wydarła mu z piersi ani jednej skargi; całą litość jego serca kapłańskiego pochłania drożyzna jajek, niedostatek kartofli, tragedia pustego żołądka.

„Cała wojna skoncentrowała się (?) na naszym nieszczęśliwym kraju, i my najlepiej rozumiemy, co to jest *ius belli*, naprawdę możemy codzień teraz wołać według pisma św., że ręka pańska zaciężyła nad nami“<sup>1)</sup>.

O, nie, ojczy duchowny! Ręka pańska nie w postaci tej wojny krwawej zaciężyła nad nami, ale w postaci tego krwawego ucisku, który na ziemi naszej ją poprzedzał, od upadku naszej niepodległości. Wojna nie przekleństwem jest dla nas, ale błogosławieństwem, albowiem pokój, który ją poprzedzał więcej wysłał krwi z naszego narodu, niżli wszystkie wojny, jakie naród toczył, niżli nawet ta wojna, w której naród nasz dzisiaj — dotychczas biernie niestety — uczestniczy.

W poszukiwaniu drobnych spiżarnianych trosk w łonie ludności warszawskiej idzie ks. Szkopowski tak daleko, że kusi się na tym polu o współzawodnictwo z socjal - demokracją:

„Radni socjaliści—woła nasz radny kapłan<sup>2)</sup>—w wielu razach tutaj mówili, że oni jedni znają nędzę ludu robotczego; otóż pozwolę sobie powiedzieć, że od nich wszystkich ja ją znam najlepiej. Nie wolno mi tej sprawy szeroko dotykać, ale mogę panów zapewnić, że konfesjonał nasz spływa zami krwawymi biednego ludu“.

Te łyzy ludu krwawym różańcem spływające w ucho spowiednika są najświętszym skarbem kapłana. a zarazem najwyższym znamieniem jego powagi i wzniosłości. One dają mu pomazanie na szczytną drogę bojowania o ideały ludzkości oraz ideały narodu: na szczytną drogę chrześcijanina i Polaka. Wszelako ani wiara chrześcijaństwa ani wiara patriotyzmu polskiego nie zamyka człowieka w granicach własnej jego skóry. Owszem, święty Bartłomiej, jeden z pierwszych apostołów chrześcijaństwa, ze skóry odrzeć dał swe ciało, gdy zażądała odeń tego sprawa, której służył. A iluż ludzi poniosło w Polsce życie swe w ofierze bądź na polu chwały, którą daje bój otwarty z wrogiem, bądź na polu samotnego męczeństwa, którego jęk ostatni kona w mrokach podziemnego lochu?

Więc cierpienie jednostki nie jest jeszcze krańcem niedoli na tym padole płaczu, jakim jest ziemia, jakim jest w szczególności polska ziemia. I kto z płaczu tej ziemi dosłyszał tylko skargę ust, łaknących chleba i kartofli, a nie dosłyszał wielkiego głosu krzywdy dziejowej, krzywdy zbiorowej całego narodu, ten—być może—jest gramofonem powszedniego dnia polskiej nędzy, ale nie jest sercem jej serca i krzykiem krzyku jej w narodowej nocy.

Ks. Szkopowski nie lęka się niewoli, ale bardzo lęka się głodu. W niewoli—bądź co bądź—żyć można. Nie straszne mu jest życie w niewoli. Straszna jest dla niego śmierć głodowa.

„Jeżeli kolega radny Sieroszewski nam pokazywał nie-

podległość, jaką... mamy otrzymać, to — rzeczywiście — pierwszej zdechniemy z głodu, a potem dopiero otrzymamy niepodległość. Za taką zdechniętą niepodległość uprzejmie dziękuję“<sup>1)</sup>.

Te słowa, szczere w swej bojaźni, nie przyniosłyby zaszczytu żadnemu ze złotoustych kaznodziejów Kościoła; ale sądzę, że znieważają one przedewszystkim imię Polaka.

Kęs chleba, pożywany w hańbie, został w słowach powyższych wzniesiony do godności sakramentu narodowego. Wbrew testamentowi Kościuszki, wbrew tradycjom Kordeckiego, kłamstwo życia zostało wzniesione w słowach tych wyżej ponad prawdę, osiąganą przez mękę i zgon.

Gdyby ongi na murach Jasnej Góry w habitcie ks. Kordeckiego stał ks. Marcin Szkopowski, upadłoby jego serce zatrwożone głodem oblężonej twierdzy, a w ślad za sercem wodza upadłaby i — twierdza.

Królowa polskiej korony miałaby u stóp swoich o jedną gwiazdę mniej, ale ksiądz Szkop... przepraszam! — ks. Kordecki oszczędziłby sobie i swej załodze niejedną dzień krwi, mozołu i głodu, złożonego w ofierze tej idei, która nigdy ze śmiercią swych obrońców nie umiera, i — wbrew wszystkim alarmom ks. Szkopowskiego — nie może umrzeć z najkrańcowszego choćby z braku wiktuałów, gdyż odżywia się nie dosytem żołądków, ale tęsknotą wierzącego serca.

ALFRED LAUTERBACH.

## Restauracja pałaców Warszawskich.

Warszawa była miastem pałaców. W XVIII-ym wieku każdy szanujący się magnat musiał w stolicy utrzymywać pałac, bynajmniej nie tylko ze względów ambicji, lecz z przyczyn praktycznych. Magnateria przyzwyczajona do podróżowania z całym dworem, stajnią, kuchnią i piwnicą nie mogła mieścić się podczas sejmów w nędznych zajazdach i ciasnych mieszczkańskich domach. Nadto rywalizacja z królem wymagała odpowiedniej reprezentacji, którą zapewniał własny pałac w stolicy.

Jeden z najlepszych obserwatorów życia Warszawy z końca XVIII-go wieku, Schultz, w książce swojej p. t. „Reise eines Liefländres von Riga nach Warschau“, wydanej w r. 1795, pisze: „W miejscach, gdzie powstają pałace, budują się też i inne domy, których mieszkańcy pracują dla zbytku magnatów. Obok najwyszukańszego dobrobytu, gnieździ się największa nędza“. Architektoniczną treścią Warszawy, poza małym i ciasnym obszarem Starego Miasta, były pałace.

W sposobie zabudowania stolicy odzwierciedlał się niemal cały społeczny ustrój Polski. Jurydyki, które z punktu widzenia rozwoju ekonomicznego i społecznego były nieszczęściem, z punktu architektonicznego były czynnikiem niezmiernie dodatnim. Szlachcic nie krępowany żadnymi przepisami miejskimi, mógł na swoich przedmiejskich gruntach budować jak chciał. Tym tłumaczy się po części wspaniałość i obszar pałaców war-

<sup>1)</sup> Idem.

<sup>2)</sup> Idem.

<sup>1)</sup> Idem.

szawskich, których urzeczywistnienie w ciasnych granicach miasta i w ramach ówczesnych przepisów budowlanych byłoby zupełnie niemożliwe. W nagrodę za „bezprawie“ jurydyki pozostawiły w puściźnie najlepszą architekturę, a przytym architekturę z założenia planów polską, albowiem wywodzącą rodowód swój z wiejskich dworów i zameczków obronnych. Historia pałacu polskiego, a w szczególności warszawskiego, stanowi nie tylko ważny dział w historii sztuki, lecz jest zarazem przyczynkiem do dziejów kultury narodu. Zachowanie pałaców warszawskich winno przeto obchodzić nawet tych, którzy dla sztuki jako takiej, należytego zrozumienia i sentymentu nie mają.

Można śmiało powiedzieć, że dziś jeszcze, pomimo tytułu wrogich czynników, pomimo fatalnego i bezmyślnego zabudowywania miasta, fizjognomję stolicy w najlepszych jej częściach ratują jedynie pałace, których obszerne podwórca i ogrody zamienione na place i parki publiczne wprowadzają światło i powietrze, podtrzymują tradycję i kulturę. Tam, gdzie nie było jurydyk i pałaców, Warszawa jest nudnym, jarmarcznym miastem bez charakteru, bez fizjognomji stolicy, miastem spekulacji i anarchji budowlanej. Wspomniany już autor opisu Warszawy z końca XVIII-go wieku, liczy w Warszawie 80 pałaców oraz 20 większych domów, które według niego, zasługiwałyby na miano pałaców, gdyby należały do magnatów. O Krakowskim Przedmieściu wyraża się, iż jest to najwspanialsza ulica, zabudowana na niewielkiej przestrzeni jedenastoma pałacami, z których nie jeden mógłby być rezydencją potężnego panującego. Również ulica Senatorska „miła jest dla oka“, gdyż posiada trzynaście gmachów pałacowych. Gmachy, które do dziś przetrwały, a liczba ich jest znikomą, należy nie tylko prawnie zabezpieczyć przed zachłannością spekulacji, lecz zakonserwować, a częściowo do dawnego stanu przywrócić. Wysiłek taki opłaci się estetycznie, moralnie i finansowo. Przy racjonalnym postawieniu kwestji nie jeden gmach zniszczony, lecz jeszcze zasadniczo krzepki, odrodzi się jako pomieszczenie dla instytucji państwowej czy miejskiej, bądź może jako ambasada jakiegoś mocarstwa. Jest w Warszawie cały szereg gmachów na ulicach: Długiej, Miodowej, Podwału, Senatorskiej, o pięknych fasadach, i wnętrzach, niestety przeważnie zrujnowanych przez gnieźdzący się tam handel kramarski, przemysł chałupniczy i tępą chciwość właścicieli.

*(Dokończenie nastąpi).*

POLONJUSZ.

## Życie w atomach.

### ORĘŻ SŁABOŚCI.

Kto bywa zmuszony kłamać? — Kłamię zawsze ten, kto jest słaby. Kłamię ten, kto nie posiada siły i odwagi spojrzenia w oczy swemu przeciwnikowi. Siła bywa zawsze szczerą, czasem szczerą aż do bezwzględności.

Kłamstwo oraz wszystkie jego odmiany — obłuda, pochlebstwo, obmowa, fałszowanie dokumentów, insynuacje i oszczerstwa — są orężem niewolnika, orężem przyrodzonej słabości.

Tego oręża chwycili się przeciwko nam — awangardzie czynu polskiego — ci wszyscy, którzy w Rosji spodziewają się znaleźć podłoże dla swej bierności i pasożytnictwa.

Od tygodnia krążą po Warszawie świstki nikczemne, usiłujące podkopać w opinii powszechnej powagę Klubu Państwowców Polskich oraz powagę rezolucji, przyjętej na szereg przez tenże Klub zapoczątkowanych wieców. W świstkach tych przypisuje się Klubowi uchwały, jakich nie powziął i jakich powziąć nie mógł. Ciemnota ludu polskiego, tak zazdrośnie przez Carat strzeżona i hodowana, staje się ostatnim oparciem dla zwolenników Moskwy. Otwiera się tu przed oczami każdego Polaka straszna perspektywa na sojusz sił śmiertelnych w Polsce. Kto sprzyja Rosji, ten musi pielęgnować w ludzie polskim ciemnotę. Kto chce spekulować na ciemnocie ludu, ten sięgać musi po bat opieki rosyjskiej.

I teraz dopiero zrozumiała Warszawa, Warszawa czująca i myśląca krytycznie, jak wielkim nie tylko błędem politycznym, ale jak wielkim zarazem występkiem narodowym, był ów niedawny komunikat słynnych pięciu stronnictw t. zw. „narodowych“, zawierający protest przeciwko „daleko idącym uchwałom“ wiecu z d. 3 września. Komunikat ten nie uczynił żadnego wrażenia ani wewnątrz kraju, ani poza jego granicami. Jedynym skutkiem jego stał się uroczysty w opinii polskiej pogrzeb „Kurjera Warszawskiego“, który niechlubny protest na swych łamach ogłosił. Ale ten bezżębny protest rozwiązał ręce ciemnym siłom w Polsce, bandom „dwugłowego orła carskiego“, które korzystając z dwuznaczności protestu, pod jego niedomówienia podstawiły całkiem już wymowne aparaty piekielnej mafji polakożerczej.

W świstkach plugawych, jakie krążą wśród mas, rozpowszechniane ręką niepochwytłych złoczyńców, depce się najświętsze ideały Polaka, zniesławia się jego dążności, znajdujące naczelną wyraz swój w postulatach: państwa, rządu i armji. Nadużywa się imion najznakomitszych obywateli kraju, nie wyłączając Henryka Sienkiewicza, któremu insynuacja przypisuje propagandę przymierza z... Moskwą.

Jakimż dotkliwym rumieńcem wstydu płonąć muszą twarze tych ludzi, którzy z protestu swego przeciw uchwałom wiecu Państwowców Polskich uczynili kładkę dla wydzwignięcia z czeluści bagien tej całej sfory jurgieltników moskiewskich, cynicznie się dziś powołujących na to, że nie są w Polsce sforą odosobnioną.

Oto przekleństwo tych, którzy w Polsce nie gotują się otwarcie do boju z Rosją. Wcześniej lub później, stają się pastwą zarazy, przymuszeni dzielić koleżeństwo i współpracę z żywiołami gangreny moralnej.

Jeśli więc autorzy protestu mają odrobinę — już nie powiem szlachetności i dobrej woli, — ale siły, niechże wystąpią przeciw kłamstwu, temu orężowi niesławy i niemocy, którym — w ich imieniu — szermują męty i wyrzutki narodowe, niech się wyprą tego kłamstwa publicznie.

# WID NO KRAG

№ 12 (R. II) Warszawa, 30/IX 1916  
KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 7. — TELEF. 158-90.

**TREŚĆ:** JÓZEF WASERCUG: Wola narodu. — GUSTAW DANIŁOWSKI: Ze wspomnień szkolnych. — E. ŚMIAROWSKI: Aleksander Chrystowski. — MICHAŁ RÖMER: Ludy Litwy. — A. LAUTERBACH: Restauracja pałaców warszawskich. — POLONJUSZ: Życie w atomach. — BRUNO WINAWER: Z dnia na dzień.

JÓZEF WASERCUG.

## Wola narodu.

Kto czasu niewoli przeciwstawiał się dążeniom do niepodległości i walkom o wskrzeszenie państwa polskiego, ten miał swe oparcie w bagnecie moskiewskim.

Nie byli nigdy i być nie mogli reprezentantami nieskrępowanej woli narodu polskiego ci, którzy wobec ugodowych z Rosją konszachtów i kompromisów, musieli tłumić pragnienia polskie, żyjące w bezgłośnych podziemiach, w mrokach konspiracji, w celach więziennych, na Sybirze i—w sumieniach polskich.

Warunkiem ich siły w kraju była uległość wobec najeźdźcy. Racją ich istnienia było krwawe przez rząd moskiewski prześladowanie ich przeciwników. Mandatem ich było tylko świadectwo prawomyślności, wydane przez Rosję i poparte *bezwolą* tych warstw narodu, które popadły w letarg i odrętwienie. Spokój w bezprawnym reprezentowaniu na zewnątrz woli narodowej dawał im żandarm rosyjski i rosyjski szpieg, tropiący każdy przejaw prawdy polskiej. Im bardziej przepelnione były więzienia moskiewskie w Polsce, tym swobodniejsza i szersza była działalność sojuszników Rosji.

Skamieniałe i niewolą zatrute sumienia nie przeszkadzały im w piastowaniu fałszywych mandatów, nie tworzyło ich pytanie, czemu są tak silni, komu zawdzięczają swą bezkarność i ile jeszcze ofiar zameczy Moskwa, żeby stosunek Polski i Rosji móc oprzeć na trwałej i spokojnej ugodzie.

Każda ich wygrana była nowym tryumfem Rosji nad Polską odniesionym.

Nieprawdą jest, że ich od innych obozów politycznych różniła tylko taktyka, metoda czy polityczny program,—że naczelny ideał narodowy był im równie, jak wszystkim, drogi i święty. Tak mówili zawsze w chwilach swej słabości, kłamanym honorem ratując swój cynizm i zaprzaństwo. Tak też mówią dzisiaj, pragnąc po bankructwie moralnym uzyskać nowy kredyt polityczny wśród lepszych warstw narodu. Byli siłą w czasach letargu społeczeństwa, chcą ją nadal zachować w czasach odrodzenia świadomości narodowej. „My wszyscy pragnęlibyśmy i pragniemy niepodległego bytu Polski“—tymi słowy budzić zaczynają wiarę w umysłach słabą pamięcią obdarzonych, bowiem trudno, trudno i ciężko Polakowi stwierdzić, że nie wszyscy Polacy dążyli do zdobycia niepodległości. Nie wszyscy. Choćby się nie chciało budzić wspomnień ponurych, choćby się chciało pokryć zasłoną niepamięci wszystkie grzechy i przestępstwa narodowe, nie myśleć o nich w dobie, która otwiera nowe horyzonty szczęśliwszej przyszłości, trzeba, niestety, trzeba o tym pamiętać: jak wrogowie niepodległości przedzierzgnęli się dziś w jej „zwolenników“, zmieniając swe polityczne maski, tak też każdej chwili mogą do swych dawnych masek powrócić. Kto był zdolny do przeciwstawiania się idei bytu niepodległego, ten nigdy nie jest i nie może być zdolny do jej obrony. Kto ją bezczęścił, zozydzał, ośmieszał w czasach niewoli, ten jej swoją dzisiejszą kłamaną obroną *zagroza*. Milcząc, mogli zginać w niepamięci. To było ich jedyne wyjście i jedyne ratunek. Podnosząc zuchwały głos, domagając się tym samym słów prawdy o całej ich przeszłości.

Moskiewski najeźdźca w chwilach szalonej szczerości składał dowody, że widzi, gdzie jest prawda życia polskiego. Wtedy, tej prawdy nienawidząc i prześladowając ją, pogardę wyrażał karkom schylonym. Widział, że Prawda polska chodzi w kajdanach, które jej nałożył i które pękać zaczynają, wbrew całej jego potędze i wbrew jego powolnym w Polsce sługom. Wtedy jawnie gardził służalcami: że nie spełnili dobrze swego zadania.

Jest w „Nocy Listopadowej“ Wyspiańskiego scena straszna, kiedy do uchodzącego z Warszawy wielkiego księcia Konstantego zgłasza się generał Wincenty Krasiński. Nieprzytomny satrapa rzuca mu słowa obelgi i wzgardy, szydzi zeń i pyta: „Wy byliby tacy, żeby rzucić swą sprawę, swoją Polskę rzucić i stać po stronie cara?... Tak wy zdrajcy!“ I dalej:

„Nie łudzę się. Nie, nie chcę. Zostaniem wro-  
[gowie.

Tak ja was upokorzyć chcę,—wy, wy panowie!  
Dlaczego jeszcze tu? Tam miasto się gotuje.  
Tam pożar wre. Powstanie? Szał. Wszyscy orężni.  
Błyskawice wstrzymali w pędzie—i potężni!  
A wy,—czemu wy tu?—Tak ja się o was boję.  
Wy trupy, — — jeśli zemną związani w przy-  
[mierze,  
Wy nie wierzycie w Polskę—? Co? A ja w nią  
[wierzę!“

Generał Krasieński rzuca dumne słowa urażonego honoru i... i oddaje szpadę. Na to znowu wybucha Konstanty:

„Zostaw ty to!—I waruj tu, jak pies, u moich nóg. Cha, cha!—Gdy polskie ozwało się serce, tak ja pokażę wam, kto wasi zdzierce. Sumienia obrachunek zrobię. Spłacę dług. Tam pod pokojami Belwederu, tam w lochu człowiek jest, od lat kilku zamknięty. Tak to perła.—Tak ty nie czujesz się zarumienionym przedemną?! Tak ty mówisz, że masz serce i czujesz?! Ty spojrzij jemu w twarz“.

Wyprowadzają w łańchmanach, w kajdanach na rękach i nogach Walerjana Łukasińskiego, który mówi:

Witaj, jutrzeńko swobody — — —  
Za tobą zbawienia słońce — — —

Każdej chwili swego w Polsce panowania mógł Moskal wskazać polskim ugodowcom całe tłumy męczenników sprawy narodowej, całe tłumy więźniów polskich i w przystępie wściekłości krzyknąć: Wy im spojrzcie w twarz!...

Nie lękali się takiej chwili. Mieli zawsze gotową odpowiedź, którą i dziś wygłosili: to tylko samozwańcy, wola narodu jest po naszej stronie!...

Był czas, kiedy mieli większość za sobą. Czy to znaczy, że mieli za sobą wolę narodu? W okresach zbiorowego odrętwienia, większość *nie ma* woli. Wola narodu ujarzmionego może być tylko dążenie do niepodległego bytu. Wszystko, co nie jest tym dążeniem, nie jest wolą, lecz bezwładem, snem i deprawacją. Wtedy wolę narodu reprezentuje mniejszość, wierna całej przeszłości historycznej narodu i wyrażająca jego prawa niezłomne i święte. Wtedy przedstawiciele większości, zatrutej niewolą, są żywym historycznej woli narodu zaprzeczeniem.

Jeżeli ktoś mówi: „Czcij ojca twego i matkę twoją“, to ma za sobą tablicę przykazań boskich i mówi religijną prawdę, choćby to były czasy Sodomy i Gomory. Jeżeli ktoś mówi: „naród mój pragnie niepodległego bytu“, to ma za sobą wszystkie swego narodu męczeństwa, wszystkie duchy bohaterów narodowej sprawy, wszystkie walki, wszystkie wojny i powstania,— to mówi prawdę, choćby w jakimś okresie większość narodu popadła w zboczenie myśli i w uspienie uczucia.

Można mieć w ręku wyraźny mandat, świadectwo pisane, dokument oczywisty, podpisów sto tysięcy i — nie wyrażać woli narodu. W roku 64-ym, kiedy gasło powstanie, szły do Petersburga adresy wiernopoddanych, 589 adresów ze 104.726 podpisami, z których połowę zebrano wśród tłumów żydowskich. Szlachta i duchowieństwo wysłało adresów 13 z 3220 podpisami. Część adresów wymuszali moskiewscy naczelnicy wojenny, ale — o zgrozo! — tylko część. Dużo było adresów dobrowolnych, z własnego wysyłanych natchnienia. Czy więc ten, kto je do Petersburga zawoził, wyrażał wolę narodu? Czy ówczesny prezydent st. m. Warszawy, ogłaszając w stolicy „Bal polski“ i również wysyłając adres do cara, wyrażał tę wolę, choć mógł mieć „większość“ za sobą? Czy natomiast świętym i szlachetnym wcieleniem woli narodowej nie był ksiądz Brzózka, —

tak, jak jest nim dzisiaj pasterz Legjonów, biskup Bandurski? Jest, żyje, działa duch narodu w takich postaciach wcielony i przez nich przemawiający, zaś wszystko, co im przeczy, jest snem, trwogą, zubożeniem, biernością, ale nie wolą, nie wolą!

Dawni przedstawiciele dawnej większości przerażali się dzisiaj przerywanego milczenia,—słów, które stanowią nie tylko wyraz tęsknot i wyraz pragnień, ale które wskazują wyraźną drogę czynu. W milczeniu mogli mieć gwarancję swych wpływów na przyszłość; przerywane—niesie im wyrok zagłady. Więc się przerażali, więc się uciekli do dawnych sposobów, nie rozumiejąc, że to, co dawniej dawało im siłę władzy i terroru, dziś jest już tylko zuchwalstwem, które ich ogromem śmieszności dobiega. Rzucając dziś słowa o czynach „samozwańczych“, obudzili tylko wspomnienie o całej swej przeszłości, która była zawsze samozwańczą, w najgorszym znaczeniu tego wyrazu. Nie byli samozwańcami, ratującymi honor zmęczonego nieszczęściem i niewolą narodu. Takimi samozwańcami byli od lat stu pięćdziesięciu wszyscy bohaterzy od Konfederatów Barskich począwszy, aż do legionistów polskich w wojnie obecnej. Na przeciwnym biegunie żyło i działało nieustannie zaprzaństwo—od Targowicy począwszy, aż do współczesnej Narodowej Demokracji i jej sojuszników. Tamtym „samozwańcom“ naród stawia pomniki, czci ich i uwielbia, tych strąca w otchłań pogardy. Taki jest sąd historii polskiej, sąd sprawiedliwy.

\*

Tak się wyraża wola historyczna Polski.

„Kłamstwu Bóg nie błogosławi“ rzekł Mickiewicz. Nie błogosławi też milczeniu. Na Niemej Sesji grodzieńskiego sejmiku, na znak protestu—milczano. Na wszystkie zapytania zagranicznych posłów—milczenie deputatów polskich było jedyną odpowiedzią. Wtedy wstał zdrajca Ankiewicz i oświadczył, że to milczenie oznacza zgodę, a na to tylko, z ołówkiem w ręku, czekał Rautenfeld. I nowy rozbiór Polski podpisano. Kiedy naród milczy, zawsze się znajdują Ankiewicz, którzy tak jego milczenie wytłumaczą i zawsze się znajdują wrogowie, którzy na takie „wyjaśnienie“ czekają!

W głośniejszej, nieskrępowanej woli narodu brzmi wyrok na zaprzańców. Ten wyrok usuwa ich z drogi, na której rodzi się polski czyn wyzwolenczy.

---

Szanownych Abonentów prosimy o odnowienie przedpłaty na kwartał następny.

---

Poczynając od nowego kwartału cenę oddzielnego egzemplarza WIDNOKRĘGU w Warszawie z kop. 22 podnosimy na kop. 25. Osoby życzące sobie uniknąć tej podwyżki w cenie, proszone są o prenumerowanie pisma kwartalnie.

---



G. DANIŁOWSKI.

## Ze wspomnień szkolnych.

Mniej więcej na rok przed wojną ruch strzelecki rozwinął się o tyle, że można było utworzyć letnią szkołę podoficerską. W tym celu został wynajęty z zabudowaniami dwór po rozparcelowanym majątku we wsi Stróża, w pięknej, podgórskiej okolicy Limanowskiego powiatu.

Do szkoły zaciągnęło się około stu ludzi z Galicji i Królestwa. Około dwudziestu pięciu królewików specjalnie w tym celu przedarło się za kordon.

Uczniowie rekrutowali się częściowo z inteligencji, rzemieślników i robotników, było paru chłopów.

Dwór został przerobiony na koszary. Umeblowanie składało się z tapczanów, służących za łóżka, nad każdym tapczanem znajdowały się trzy kołki.

Na pierwszym wisiał manlicher, na środkowym tor-nister, na ostatnim z prawej strony saperska łopatką, na gwoździu u góry umieszczało się menażkę.

Pierwsze trzy plutony mieściły się na dworze, czwarty t. zw. „etranżerów“, młodzieży z zagranicznych uniwersytetów, miał swój lokal w stodole.

Na czele każdego plutonu stał podporucznik, który razem z żołnierzami sypiał. Byli nimi obecny kapitan Wyrwa Stanisław, kapitan Karasiewicz Jerzy; podoficerem inspekcyjnym był dziś już poległy porucznik Kordjan.

Żołnierze i oficerowie nosili pseudonimy, właściwe nazwiska miała tylko komenda główna.

Moim pseudonimem był „Tankred“, który mniej wykształceni towarzysze moi przerabiali na „stangret“.

Należałem do drugiego plutonu, składającego się z królewików.

Wyższe szarże: komendant Piłsudski, szef sztabu Sosnkowski i major Trojanowski zamieszkiwali domek poza ogrodem otaczającym koszary.

Tryb życia był następujący: o g. 6-ej na dźwięk pobudki wstawaliśmy i biegliśmy do wspólnej umywalni, którą stanowił dość szeroki, górski strumień.

O pół do siódmej w pełnym rynsztunku stawaliśmy na zbiórkę i mieliśmy krótką lekcję gimnastyki, punkt o 7-ej zjawiali się nasi naczelnicy, komendant odbierał raport, poczym szliśmy na śniadanie.

Nasz jeneralny kucharz, bohatersko i męczeńsko poległy (wzięty do niewoli i powieszony przez Moskali) porucznik Kaszubski, nalewał warząchwia do menażki kawę, jego pomocnicy, odkomenderowywani kolejno szeregowcy, dolewali mleka, rozdawali cukier i chleb, którego racja stanowiła dwa funty na cały dzień.

Po śniadaniu następowały wykłady. Taktykę, materiały wybuchowe, roboty minierskie — wykladał szef sztabu Sosnkowski, balistykę i o broni — major Trojanowski. Wykłady komendanta Piłsudskiego były natury ogólnej.

Komendant z całą otwartością przedstawiał nam wszystkie trudności jakie napotkamy na samym wstępie, t. j. podczas mobilizacji sił zbrojnych, na terenie będącym pod panowaniem wroga, wskazywał na znikomość środków technicznych improwizowanej armii wobec olbrzymiego aparatu, jaki na swe usługi posiada państwo:

koleje, telegrafy, magazyny z żywnością i bronią, środki prawnego przymusu, stałe kadry wojskowe, ogromną organizację gotową do wchłonięcia powołanych pod broń wyćwiczonych sił.

My tego wszystkiego nie posiadamy, naszym materiałem ludzkim jest w dodatku ochotnik, do którego przymus stosowany być nie może.

Wszelkie rachuby nasze zła wola wroga jest w stanie powikłać.

Słowem, powstanie ma do czynienia z tysiącem niewiadomych i luźnymi atomami, które w żaden system się nie układają i które często tylko za pomocą bardzo misternych, opartych na zmyleniu czujności wroga sposobów połączyć się daje.

Tezy swe Piłsudski ilustrował przykładami z roku 31 i 63 i stale powtarzał nam, że na początku ruchu możemy liczyć na szczupłą tylko awangardę, która musi zaryzykować i pociągnąć za sobą „siły główne“.

Braki nasze musimy wynagradzać siłą moralną.

Przepowiednie komendanta potwierdza obecna wojna.

Wykłady komendanta odznaczały się niezwykłym bogactwem myśli i tak trafnym ujęciem sprawy, żeśmy ich słuchali z zapartym oddechem.

Wykłady ciągnęły się do godz. 1-ej, poczym następował obiad.

Gęsiego, wydzwanając marsz na menażkach, szliśmy do kuchni, gdzie olbrzymim nożem Kaszubski ze swoimi pomocnikami krajał mięso, nalewał zupę i rozdawał jarzyny.

Pierwsi dostawali żołnierze, potym szarże oficerskie, ostatni otrzymywał swą porcję ze wspólnego kotła — komendant.

Do trzeciej mieliśmy czas wolny, przeznaczony na czyszczenie broni, doprowadzenie do porządku uniformów i całego rynsztunku.

Potym następowała marszruta.

Lato w owym roku wypadło niezwykle słotne, to też marsze na nierównym terenie po kostki nieraz w błocie, były niezwykle uciążliwe.

Miałem wówczas możność przekonać się, że człowiek jest zdolny do znacznie większego wysiłku, niż mu się wydaje.

Nieraz maszerując pod górę, miałem szczerą ochotę pozbyć się ciężaru tornistra i karabinu, ale mówiłem sobie: „jeszcze chwilkę, jeszcze trochę!“ i docierałem do wierzchołka, poczym schodzenie po zboczach wydawało mi się odpoczynkiem.

Przekonałem się także, jak regularny tryb życia, ogólna atmosfera ciężkiej, słowem warunki moralne wpływają na stan fizyczny.

Nieraz po marszach, obłoceni i przemoczeni do nitki, by opłókać się z gliny, wchodziliśmy po pas w wartki strumień. O przebieraniu się w suche ubranie nie było mowy, mieliśmy jeden mundur, a jednak nikt nie dostał nawet kataru.

Po pojęciu musztry formalnej: formowania kompanji, musztry bataljonowej, w której plutony imitowały kompanje, rozwijania linii tyraljerskiej, po otrzymaniu pewnego zasobu wiadomości z taktyki, odbywaliśmy ćwiczenia w polu, głównie w zakresie służby forpocztovej.

Tego rodzaju manewry, zwłaszcza gdy wchodziło w grę ostrzeliwanie kulami z „papier maché“, ogromnie

porywały ludzi, którzy się tak zapalali, jakby to była prawdziwa bitwa.

Ludzie zupełnie poważnie, nie szczczędząc wysiłku, biegli chronić zagrożone pozycje, pełzali na czworakach, by podejść przeciwnika, byli gotowi czołgać się na brzuchu.

Po manewrach odbywało się omówienie ćwiczenia, wykazanie zalet, wytknięcie błędów.

W szkole miewaliśmy od czasu do czasu gości: odwiedził nas sędziwy Bolesław Limanowski, Aleksander Dębski z Ameryki; mieliśmy też wizytę Włodzimierza Tetmajera, który, jako wojskowy, asystował przy ćwiczeniach i wydał opinię, że z nami jużby śmiało wyruszył w pole.

Dyscyplina podczas służby była wzorową, poza służbą panował zupełnie koleżeński stosunek, szeregowcy gawędzili z komendantem, który nieraz dawał im ognia do papierosa, opowiadając nam obrazowo i zajmująco rozmaite zdarzenia i anegdoty z historii wojen.

Od g. 7 — 9 następowała wieczorna zbiórka, potym odprawa oficerska.

Po dziewiątej po zameldowaniu się, wolno było wychodzić z koszar.

Celem tych wędrowek był zwykle sklepik Kółka Rolniczego, gdzie można było dostać kiełbasy, mleka, piwa i znakomitej śliwownicy.

W koszarach picie trunków było wzbronione i czasem tylko aptekarz najbardziej zaufanym z butelek, jakoby rycynowego olejku, udzielał po kieliszku przed obiadem.

Po dziewiątej gromadziliśmy się w sali wykładowej i tam to rodziły się owe dziś tak popularne, strzeleckie piosenki, odbywał się improwizowany kabaret, w którym celował, obdarzony ładnym głosem i zdolnościami aktorskimi nasz kuchmistrz Kaszubski.

W niedzielę odbywały się odczyty treści ogólnej. Sokolnicki mówił o 31-ym roku; ja miałem odczyt o „ideologii społeczeństwa po 63-cim r.“ I to mnie rozkonspirowało.

Koledzy, widząc moje nazwisko na tablicy, sądzili, że mam przyjechać, to też skoro wszedłem na salę, zapanaowała pewna konsternacja, a po odczycie zaczęli mnie przeproszać, że żyli ze mną za pan brat. Podziękowałem im za to i prosiłem, by stosunek pozostał taki sam nadal.

Stosunek się utrzymał, ale poczęto mi wyświadczać mnóstwo usług: nieraz, gdym szedł wyczyścić karabin, lub wymyć menażkę, niewiadoma ręka wyręczała mnie pod tym względem.

O pół do jedenastej wszyscy musieli być w łózkach i w koszarach był nakazany absolutny spokój.

Na noc wystawiano warty do g. 6-iej rano.

Odkomenderowano do niej sześciu szeregowców z dowództwem komendanta warty.

Dwóch kolejno, po trzy godziny każdy, pilnowało koszar i magazynu, czterech spało w ubraniu w kordegardzie.

Gdy czasem w nocy zjawił się komendant, cała warta stawała pod bronią.

By przekonać się, czy warta zna swoje obowiązki, oficerowie, a zwłaszcza major Trojanowski, używali nieraz podstępu.

Podchodzi major na hasło i raptem napada na żołnierza:

— „Obywatelu, zgubiliście muszkę, pokażcie karabin“.

Zmieszany wartownik oddaje broń, major wyjmując ładunki i pod bagnetem odprowadza do kordegardy delikwenta, który nazajutrz staje się przedmiotem żartów i docinków.

Wśród tych zupełnie nowych warunków, wśród zbrojnego, obozowego życia, budziły się w duszy uspio-  
ne pierwiastki tężyzny i męstwa, ocknęło się niewymagające żadnych argumentów proste, jak instynkt poczucie, że za Ojczyznę należy walczyć i umierać.

(D. n.).

## E. SMIAROWSKI.

### Aleksander Chrystowski.

W czasach, kiedy każda organizacja twórcza, każda wybitna siła ludzka—tyle znaczy w nielicznym przetrzebionym przez wojnę zastępie polskiej inteligencji, spada na społeczeństwo polskie cios dotkliwy, w szeregu pracowników na niwie ojczystej tworzy się luka nie do zapelnienia.

Zmarł Aleksander Chrystowski.

Jeżeli dla najszerszych mas społeczeństwa polskiego nazwisko to brzmi obco, to dla tego szmatu kraju naszego, jakim jest ziemia łomżyńska, oznacza ono wiele, w sercu każdego mieszkańca tej ziemi budziło zawsze głęboki szacunek i wdzięczność, a dziś wywołuje głęboki żal, wobec ciężkiej niepowetowanej straty.

Zmarły był człowiekiem o wielkich zdolnościach, o szerokim horyzoncie myśli.

Po ukończeniu przed trzydziestu kilku laty uniwersytetu petersburskiego, przybył do Łomży i rozpoczął zawód obrońcy.

Niezwykłe przymioty umysłu i charakteru wskazywały na to, że działalność na terenie prowincjonalnego życia, będzie zaledwie etapem w jego rozwoju, i że w stolicy czeka go szerokie pole zadowalania ambicji i dążeń twórczych.

Poczęści jednak warunki życiowe, a jeszcze bardziej gorące ukochanie środowiska w którym pracować rozpoczął, sprawiły, że pozostał na zawsze w Łomży, i tam też życia pracowitego i znojnego dokonał.

Obrońca z temperamentu, zamiłowania i współczucia dla niedoli ludzkiej, najlepsze swe siły zawodowi obrończemu poświęcił.

Trzydzieści parę lat w walce z tępotą, bezmyślnością i wrogimi stosunkami rosyjskich sądów, przerwał tę pracę wtedy, kiedy społeczeństwo dało mu najwyższy dowód zaufania, powołując go, jako swego przedstawiciela do pierwszego Zgromadzenia Prawodawczego rosyjskiego.

Posiadał w życiu kategoryczny imperatyw — występowanie zawsze niezależnie od jakichkolwiek przeszkód lub niebezpieczeństw zgodnie z tym, co mu jego obywatelskie dyktowało sumienie.

Wróg wszelkich kompromisów ze swym sumieniem, posiadał tę wielką cywilną odwagę wobec swoich i obcych.

Wśród społeczeństwa, gdzie nie wahał się głosić idei postępu, którym do końca szczerze hołdował, choć go to na osamotnienie narazić mogło, i niejednokrotnie naraziło, w sądach, gdzie zawsze wysoko niósł sztandar polskości, gdzie szczególnie w wszelkich procesach politycznych (Szyfa, Sa-

du arcybiskupiego, o język polski w sądach gminnych) z godnością i odwagą wypowiadał gorzkie prawdy, podczas rewolucji, gdzie narażając swe osobiste bezpieczeństwo, występował jako śmiały rzecznik prześladowanych.

Zawdzięcza Łomża jego nieustrudzonej działalności stworzenie lub utrzymanie wielu instytucji społecznych, zawdzięcza mu szczególnie wiele w zakresie spolszczenia i umocnienia na gruncie łomżyńskim polskiej szkoły.

Kiedy zaszły wielkie wypadki sierpniowe, Chrystowski nie podążył za uchodzącymi wojskami rosyjskimi po karierę i dobrobyt, które jego inteligencja, talent i znajomości rosyjskich stosunków zapewnić mu mogły, a jeden z nielicznych wybitniejszych obywateli Łomży, pozostał na miejscu, aby być przy narodzinach nowego dla Polski dnia, aby przy budowie przyszłej Polski pracować.

W Polskę tę wierzył, i pełen jeszcze mimo 56 lat wieku młodzieńczego ognia i sił twórczych, gotował się do nowych trudów, wiedząc, że w budownictwie przyszłej Polski czeka go rola niepoślednia.

Śmierć, której nie wystarczają zniwo na polach bitew, zabrała go i dla niego i dla kraju przedwcześnie.

---

MICHAŁ ROMER.

## Ludy Litwy.

### II. Białorusini

Na północnym wschodzie ziem, oderwanych wojną od Rosji, spotykamy najmłodszy i najmniej dotąd zaawansowany w rozwoju narodowym z ludów słowiańskich, a nam historycznie i kulturalnie najbliższy, — lud białoruski.

Najmłodszy jest on nie datą swego historycznego istnienia, bo pod tym względem starszy jest od wielu innych słowiańskich i w pierwszym rzędzie od samych Rosjan, ale w społecznym ludowym jego odrodzeniu politycznym.

Właściwie etnograficzna Białoruś sięga daleko na wschód od dzisiejszej linii bojowej niemiecko-rosyjskiej, znaczącej granice faktycznie wyjarzmionych od Rosji ziem. Ale zachodni skrawek etnograficznego terytorjum białoruskiego jest już z tej strony linii wojennej, zajmując wschodnią i północną część gub. Grodzieńskiej, częściowo Wileńską i oderwane cząstki Mińskiej.

Proces unaradawiania się Białorusinów, przekształcania się ich z biernej masy etnicznej na jednostkę narodową, — był dotąd bardzo powolny i w powstaniu swym spóźniony nawet w stosunku do ich najbliższych sąsiadów, Litwinów, dziś całkowicie unarodowionych nie w inteligenckich tylko odłamach, ale w samej masie ludowej.

Nie tylko ciężki ucisk rosyjski, który w stosunku do Białorusinów był bezwzględny, bo Rosja nigdy uznać nie chciała i nie zechce odrębnej narowości białoruskiej, ale też szereg innych czynników utrudniał szerzenie się narodowych prądów białoruskich.

Do takich czynników należało w pierwszym rzędzie bliskie pokrewieństwo językowe i plemienne Białorusinów z panami ich kraju, Rosjanami, ułatwiające przenikanie do ludu wpływów rosyjskich, forsowanych

zarówno przez państwo, jak przez cerkiew; wpływy te osłabiały spoistość i prężność rdzennego podłoża etnicznego. Faktyczne też rozdzielenie Białej Rusi na wschodnią i zachodnią, prawosławną i katolicką, powodujące nie tylko dwoistość różnych pierwiastków i elementów, tak z zewnątrz do ludu tego płynących, jak wewnątrz w jego kulturze duchowej już skonsolidowanych, ale i dwoistość takich elementarnych środków rozwoju, jak czcionki w piśmiennictwie (rosyjska „graždanka“ u prawosławnych i alfabet łacińsko-polski u katolików), — niezmiernie komplikowały i utrudniały działanie narażającego się ruchu białoruskiego.

Dziś, jak wszystkie problemy ludowe i kulturalne na ziemiach, wyjarzmionych od Rosji, tak problemat białoruski — zyskuje polityczne znaczenie o wiele większe, niż miał dotąd wewnątrz Rosji, stając się jednym z czynników nie tylko aktualnej kwestji organizacji tych ziem, ale i stosunku na przyszłość Europy środkowej do Rosji. Polskę obchodzić on winien zarówno z natury jej położenia między Europą środkową a Rosją, jak ze względu na fakt spółyżycia Polaków z Białorusinami na tym terenie, gdzie element polski, zwłaszcza w katolickich częściach Białej Rusi, jest nie tylko liczny, ale zarówno w przeszłości, jak do ostatnich czasów i niemniej na przyszłość wybitnie twórczy w ogólnonarodowej kulturze polskiej.

A problemat białoruski staje się na tym wyjarzmionym skrawku Białej Rusi tym ważniejszy, że konsekwencjami swymi sięga głęboko na wschód do Rosji w terytorjum, które ewentualnie wyjarzmione nie będzie i w dalszym ciągu formalną własnością państwowości rosyjskiej pozostanie, a gdzie również ludność polska zamieszkuje.

---

ALFRED LAUTERBACH.

## Restauracja pałaców warszawskich.

(Dokończenie).

Tylko brak elementarnej poczucia piękna wraz z brakiem zdrowego, społeczno-kulturalnego rozwoju miasta mógł doprowadzić do takiej dzikiej dewastacji, do tych potwornych blaszanych szyldów, do otworów sklepowych wydzieranych z żywego ciała architektury, bezcelowo odbitych lub olejno zasmarowanych ornamentów, gzemów, kapiteli i portalów. Wygląd tych domów jest obrazem zaniku kultury wdeptanej w ziemię stopą najeźdźcy. Z pałaców pozostałych w rękach prywatnych, zaledwie kilka magnackich siedzib w niezmiennym i dobrym stanie dotrwało.

Nieco łaskawiej obszedł się los z gmachami, które drogą „spadku“ lub konfiskaty przeszły na rząd rosyjski, gdyż z tych tylko pałac Staszica uległ barbarzyńskiej przebudowie, inne poza wewnętrznym urządzeniem, stosunkowo niewiele się zmieniły. Nie można posądzać rządu rosyjskiego o chęć starannej konserwacji, lecz z chwilą, kiedy gmachy te zostały własnością rządu, musiały być jako tako podtrzymywane, choć wewnątrz uległy dewastacji, meble poginęły, a beczere-monjalne przeróbki wycisnęły piętno „kazionszczyzny“.

Automatyzm biurokracji zachował gmachy, których los w rękach prywatnych mógłby być jeszcze gorszy, jak tego mamy przykład chociażby na niedawno zburzonym pałacu Karasia.

Restaurację pałaców warszawskich należy rozpocząć od Zamku Królewskiego. Pracę podzielić można na część niezbędną i część pożądaną. Do robót niezbędnych zaliczamy: dokończenie restauracji sali bibliotecznej, odczyszczenie z farby wszystkich części kamiennych, ornamentów, herbów, portali, gzymsów i t. p., znieślenie kaplicy rosyjskiej, przywrócenie balkonów w podwórzu zamkowym, gdzie pozostały jeszcze konsole, oprowadzenie ogrodu zamkowego tarasami aż po brzeg Wisły, co zresztą uwzględniają wszystkie projekty nadesłane na konkurs regulacji Powiśla, oraz jak samo przez się rozumie się, wydostanie drogą dyplomatyczną (po wojnie) wszystkich zrabowanych obrazów, mebli, obić i dzieł sztuki rozrzuconych po pałacach, muzeach i składach Rosyi. Gdyby Zamkowi warszawskiemu przywrócono nie tylko pozorną, lecz istotną tradycję, to trzeba pomyśleć o większej jego reprezentacyjności, skorzystać ze wspnianych projektów robionych dla Stanisława Augusta, odbudować dawną salę poselską i senatorską, a przynajmniej zmienić anemiczną fasadę od strony Placu Zamkowego, nie ruszając wieży. Oczywiście, iż prace na taką miarę zakrojone wymagałyby ogromnego nakładu wiedzy, talentu i pieniędzy. Poszukiwania i inwentaryzacja jest już dziś przez kuratora zamku, pana Skórewicza, owocnie prowadzona.

Ze wszystkich pałaców warszawskich najlepiej zachowały się Łazienki. Restauracja wymaga niewielkiego zachodu i, już dziś, mogłaby być uskuteczniiona. Należy odmyć z farby piękną ciosową fasadę oraz wszystkie figury w parku, znieść niefortunne przykrycie prawej galerji kolumnowej, odrestaurować pokoje na pierwszym piętrze, zeszepeczone rosyjskimi dodatkami, oraz, jeżeli to będzie możliwe, przywrócić dawną królewską kaplicę. Przybudowaną kaplicę rosyjską, chociaż architektonicznie zbędną, można po pewnych zmianach zostawić.

Pałac Krasińskich, najwspanialszy gmach epoki Jana Sobieskiego w stolicy, już jako pałac Rzeczypospolitej mieścił sądy asesorskie, referendarskie i marszałkowskie. I tu restauracja mogłaby być niezwłocznie podjęta. Niezwykle szlachetna architektura obu fasad niknie pod olejną, szaro-więzienną farbą. Wspaniałe rzeźbione tympanony oraz części ornamentacyjne proszą się o odczyszczenie. Galerje między korpusem środkowym i występami bocznymi trzeba znów otworzyć, wyjmując okna, przez co gmach niezmiernie zyska na plastyce i rytmice architektonicznej. Wnętrze również wymaga starannego odczyszczenia, gdyż pod tynkiem są ślady fresków, a marmurowe oddrzwia zasmarowane są na olejno.

Pałac Brühlowski, wewnątrz doszczętnie popsuty, miał dawniej piękny łamany dach, który należy przywrócić. Zamurwane galerje fasady od podwórca muszą być otworzone, a figury i części kamienne odczyszczone. Rozpoczętą restaurację fasady od ulicy Kotzebue należy skończyć.

Pałac Saski, częściowo zburzony, częściowo przebudowany w roku 1842 przez Idzkowskiego, powinien otrzymać attykę, jaka widnieje na planie autora przebudowy, a która podnosi proporcję gmachu. Fasada

ohydnie pomalowana prosi się o szlachetną wyprawę. Fasada pałacu Kazimierzowskiego (Uniwersytet) również powinna otrzymać attykę jaką w początkach XIX wieku posiadała. Strona od ogrodu (z czasów saskich) restauracji prawie nie wymaga.

Nowe wyprawy, względnie odczyszczenie z nawarstwień farby olejnej powinny otrzymać fasady pałaców: Paca, Komisji Przychodów i Skarbu, Prymasowski, Blanka i Zamoyskich (Nowy-Świat). Belweder i pałac Namiestnikowski prawie żadnych restauracji nie wymagają.

Większość robót nie tyczy się właściwej restauracji, lecz racjonalnej konserwacji, która przy dobrej woli już dziś rozpoczęta być może. Sekcja robót publicznych zamiast tracić pieniądze na bezcelowe przesywanie ziemi z miejsca na miejsce, zamiast demoralizować robotnika przez wprzęganie ośmiu ludzi do dziecinnego wózka, mogłaby zająć się przynajmniej tymi robotami, które prawie nie wymagają materiałów, a zatrudniłyby przymierających głodem i wykolejających się murarzy.

Zdzieranie brzydoty i powłoki rosyjskiej jest zdzieraniem widocznych śladów niewoli. Praca czeka, a dom Staszica promienieje jeszcze krasą moskiewszczyzny...

## POLONJUSZ.

### Zycie w atomach.

#### DWA NOWE POSTERUNKI.

W Poznaniu od początku września wychodzić zaczęło nowe, na dużą skalę zakrojone, pismo codzienne p. t. „Gazeta Narodowa”. Ideę tego pisma powitać należy z uznaniem i radością. Nieśie ono społeczeństwu poznańskiemu, nazbyt zasklepienemu w swoich dzielnicowych troskach oraz interesach, miary i próbie do oceny interesu naczelnego całej Polski w dobie obecnej, interesu streszczającego się w odbudowie samodzielnego państwa polskiego na ziemiach, oderwanych od Rosji. Nowemu pismu, z którym, ponad szeregiem różnic w zapatrywaniach na sprawy społeczne, łączą nas zasadnicze postulaty polityczne i narodowe, życzymy powodzenia w pracy.

Od miesiąca również wychodzi wskrzeszony po półtorarocznej przerwie tygodnik „Lud Polski” mający stałą siedzibę w Warszawie, pismo szerzące wśród rzeszy wieśniaczej niezłomne przeświadczenie, że owocem tej wielkiej krwawej wojny, jaka wstrząsa światem, będzie Polska Niepodległa. Wszelako warunkiem niezbędnym ziszczenia się tego ideału, jest udział czynny Polaków w tej wojnie, udział po stronie mocarstw środkowych, przeciw Rosji, która jest bezwzględny wrogiem naszej państwowości. Pismo ma przed sobą zadania nie łatwe, gdyż kilkuletnia wśród ludu wiejskiego propaganda „Dwugroszówki” przyuczyła włoścjanina na sprawy kraju patrzeć od strony interesów wschodnich, w najlepszym razie—koalicyjnych. Artykuły, wzywające robotnika i włoścjanina polskiego „do łopaty”, by sypać szańce obronne dla osłony Moskala, nie pozostały bez wpływu, sumując się w duszy biednego ludu z wpływami komisarzy włoścjańskich, którzy tą samą łopatą usiłovali grzebać wśród włoścjanstwa wszelką myśl o „polskich rządach”.

W tę glebę zachwaszczoną po wierzchu kąkołem lat ostatnich, ale w głębi żyzną, bujną i bogatą, „Lud polski“ worał się swą pracą, jak pługiem, dobywającym z duszy ludu pierwiastki niepodległości politycznej i buntu przeciwko ciemierzcom.

#### STARSZA i MŁODSZA BRAC.

Włoścjan przyjęto u nas nazywać młodszą bracią szlachty, gdyż pod dachem chaty włościańskiej kiełkują te same przywary i nałogi, które zdawna sutym kwiatem rozkwitły po dworach szlacheckich.

Szlachcic ubolewa nad wadami chłopca, ale często-kroć powinienby sam raczej z wyrzutem uderzyć się w piersi.

W jednym z miast powiatowych odbywa się zgromadzenie okręgowe Towarzystwa Rolniczego w gronie ziemian okolicznych. Rozprawy płyną wartko. Nawozy, buhajki,—buhajki, nawozy,—kartofle, siano — siano, kartofle. Po załatwieniu spraw zawodowych, jeden z ziemian obecnych zaproponował przedłużyć zebranie, celem rozstrzygnięcia szeregu spraw natury ogólnokrajowej, nie tylko ekonomicznej i hodowlanej, ale narodowej i politycznej.

— Stoimy wobec doniosłego przełomu, wobec zadań, domagających się od nas niezbędnego rozwiązania —, zagaił rzecz zwolennik dyskusji politycznej. — Ponad sprawami hodowania buhajów i baranów, w Polsce stoi dziś przed nami zadanie wyhodowania w Ojczyźnie wolnego obywatela, zabezpieczenia jego wolności osobistej i niepodległości zbiorowej..

— Eh! eh! zostawmy te rzeczy na później! — ozwały się głosy z rozmaitych stron. — Zostawmy je innym. Wychodźmy! Niech tymczasem zostanie wszystko po staremu!

I część zgromadzonych opuściła salę.

Szczęśliwi. Nazbyt krótka pamięć ochroni ich sumienia od wyrzutów. a niewolę... da im przeżyć Bóg! I nie zamąci ich spokoju wspomnienie tej zgromy, z jaką oburzali się kilka dni temu na... obojętność chłopca dla sprawy publicznej.

Kilka dni bowiem upłynęło za ledwie od tej gorszącej sceny, gdy podczas wyborów do sejmiku powiatowego w tejże okolicy chłopci zebrani usunęli się na bok od wszelkiego udziału w wyborach, wołając: „Niech ta już wszystko będzie po staremu. Nie chcęwa nowych rządów!“...

Doprawdy trudno się oprzeć czarowi tej palącej sceny z „Wyzwolenia“, w której Wyspiański sprowadza razem Karmazyna z Hołyszem:

„Daj bracie gęby, dajcie pyska!“ — mówi Karmazyn:— dla Republiki trzeba żyć.— „Niechaj swojego swój uściska. To jutro będzie, co ma być“, — odpowiada Hołysz.

Ale kto jest dziś w Polsce Hołyszem, a kto Karmazynem?

#### STRUMIENIE SŁOWIAŃSKIE.

Imperjalistyczna myśl rosyjska marzyła o tym, że kiedyś wszystkie „strumienie słowiańskie“ w jednym się zleją „morzu rosyjskim“. A no — historia zrzuciła inaczej.

Na polach Dobrudży starty się już moskiewskie fale najazdu z dzielną armją bułgarską. Dwa potoki krwi sło-

wiańskiej spotkały się nie we wspólnym morzu pojednania, ale na wspólnym poboju walki.

Przezorny i mężny naród bułgarski okazał światu, okazał nam przedewszystkim, jak należy witać i przyjmować umizgi niedźwiedzia, czyli wszelkie ze strony Rosji próby uszczęśliwiania „bratnich“ narodów: ogniem i mieczem.

#### LILJE ROZKWITŁE NA BAGNIE.

Kraży wiadomość, że komisja wyłoniona do przemianowania szeregu ulic w Warszawie, zaprojektowała ulicę *Bagno* przemianować na ulicę *Komitetu Obywatelskiego*.

#### BRUNO WINAWER.

### Z dnia na dzień.

4 sierpnia.

Puśemy wodze fantazji—zepnijmy ją nawet ostrogami i wyobraźmy sobie, że ktoś czyni cud, zaspakaja wszystkie dążenia i ambicje, unicestwia wszystkie konflikty. Czyżżnie się nareszcie prawdziwy koncert europejski i czy myśli już kto o programie tego widowiska? Od ilu to już wieków trwa ta historia? Wiecznie ktoś woła, że mu niewygodnie, narody w zaden sposób nie mogą się uplasować na ziemi. Już się ma coś zacząć—nie! ktoś raptem wstaje i czyniąc rumor wielki, usiłuje zająć miejsce sąsiada. Nieszczęsna publiczność słyszy wciąż fatalny szurgot krzesel, łoskot łamiących się stołków, pękających czaszek. Istnieją ludzie poważni, którym się wydaje, że to jest treścią i sensem naszego bytowania.

Szachowi perskiemu podobało się w operze najbardziej — strojenie instrumentów. Wybitni mężowie stanu, politycy, historycy dzielają najwidoczniej to zdanie azjatyckiego monarchy.

7 sierpnia.

Gwar był straszny i harmider okrutny. Niktby się nie domyślił, że to—bogowie obradują. Było ich cprawda więcej, niż członków Rady miejskiej. Od meksykańskiego Wielipuclli do asyryjskiego Molocha, od drewnianych bozków Sudanu do potężnych bogów Mezopotamji — stawili się wszyscy. Sędziwy Brama, który przewodniczył zebraniu, dzwonił oburącz—napróżno. Hałas był coraz większy.

W tym rozległ się gromki, suchy trzask pioruna. Przycichli nieco. „Panowie — rzekł Brama — Jowisz gwałtowny ma głos“.

Na mównicę krokiem elastycznym wszedł Jowisz. Od sapnął. Strzelił raz jeszcze piorunem dla dodania sobie animuszu. „Bogowie!—ozwał się—koledzy! Wzburzenie wasze dowodzi najwymowniej, że to, co się tam w dole, na ziemi, dzieje obecnie, nie jest dla was obojętne. Pięknie to świadczy o waszym dobrym sercu, o waszej bezinteresownej miłości dla ludzi. Bezinteresownej—powiadam! Bo właściwie cóż nas obchodzi wojna obecna? Ludzie walczą — po raz pierwszy może od chwili, gdyśmy ich wspólnymi siłami stworzyli—nie w imię tego lub owego z pośród kolegów, nie zmuszają tego lub owego z pośród nas, aby był z nimi. Masakrują się, ale nie krzyczą swoim zwyczajem, że taka jest wola bogów. Osobiście nie jesteśmy w wojnie

obecnej zainteresowani. A jednak zebraliśmy się tu oto i obradujemy, nie szczędząc sił ani wymowy. Panowie! ze lżą w oku stwierdzam, że prawdziwą, nieegoistyczną miłość człowieka widzimy tylko wśród nas, że niemasz poczciwszych ludzi, niż bogowie.

(Gromkie oklaski na wszystkich ławach).

Panowie! Jeżeli wam się serca krwawią, to cóż dopiero mnie, Jowiszowi! Toć wiecie wszyscy, jak blizkie stosunki łączyły mnie ongi z Europą! (Wesołość). Nie zapieram się! Kochałem ją i kocham! Dlatego mi żal, że ją szarpia i maltretują szaleńcy. Jeszcze przed naszym wspólnym zebraniem zastanawiałem się, co mam czynić, aby ją przed zagładą ocalić. Zdaje mi się, że znalazłem rozwiązanie! Wysłałem na ziemię Marsa—on się lepiej ode mnie zna na sztuce wojennej! Niech szalę zwycięstwa przechylili w jedną albo w drugą stronę. Ale niech raz koniec będzie!

(W tej chwili drzwi się z hałasem otworzyły. Rozległ się głos mocny, tubalny: Uważaj jeden z drugim, żebyś którego nie rozdeptał!). Oto mój wysłaniec powraca! Czy chcecie go wysłuchać?

(Głosy: Niech mówi!) Ustępuję mu zatem miejsca. Mars! na estradę!

Na trybunę, której deski jęły srodze trzeszczeć pod nim, wtoczył się drab w mundurze wojskowym. Odchrząknął, splunął. Otarł twarz rękawem lewej ręki. Prawą miał na temblaku.

„Ano byłem wszędzie — rzekł. Na Wschodzie, na Zachodzie, w Europie, w Afryce, w Azji. Łapę mi psiekrwie granatem uszkodziły. Recz jest taka: ta tam ich wojna obecna nie ma ze sztuką wojenną nic wspólnego. To tak, jakbyś w szachy grał: na jednej szachownicy można. Ale kto gra na dwudziestu naraz, robi ze szlachetnego kunsztu przedstawienie cyrkowe. Tak i tu. Już Napoleona, jak wiecie, Mróz pobił, nie wojsko, nie strategia. W tym obecnym zamęcie jest sto razy gorzej. Serce mnie bolało, gdy na to patrzał. Marsza może grać sto trąb, tysiąc trąb, dwa tysiące! Ale jak ci dziesięć milionów trąb huczeć pocznie, to się robi kolosalne głupestwo, nie muzyka.

Ja tam od tego ręce umywam. Tu nikt nie poradzi. Militarnie tego nikt nie rozwiąże. Róbta se, jak chcecie. Mnie dajcie spokój!“

Huknął zdrową pięścią w stół, splunął, zszedł z estrady i usiadł.

W chwili, kiedy piszemy te słowa, bogowie obradują dalej. Prawdopodobnie wysłał telegram do Wilsona.

9 sierpnia.

Istnieją pisarze lepsi i mądrzejsi od swoich utworów. Takim był podobno Oskar Wilde. W gronie przyjaciół, przy czarnej kawie, czarował dowcipem, olśniewał raketami migotliwych aforyzmów, oślepiął błyszczącymi kulami swych przypowieści i parabol. W jego dziełach drukowanych, w tym, co po nim pozostało, widzimy tylko nikły odbłask owych świetności.

Istnieją zbiorowiska ludzkie — narody, miasta — lepsze i mądrzejsze od swojej literatury. W ich dziełach drukowanych, w tym, co po nich pozostaje, widzimy tylko nikłą parodję rzeczywistości.

Warszawa jest w tej tragicznej sytuacji. Przyglądam się współobywatelom moim „przy czarnej kawie“, słucham,

co mówią... To *milieu* ma jednak inny poziom, niż jego prasa! Nie pojmuję, dlaczego ci ludzie—tak sprytni u Lours'a—wysyłają na premierę pięciu starych niedołęgów z prośbą, aby im się spowiadali ze swoich wrażeń teatralnych w długich feljetonach, dlaczego delegują półgłówków, aby im pisywali artykuły wstępne, dlaczego zmuszają dorosłych analfabetów, aby ich „orientowali“ politycznie.

W tym musi tkwić jakieś *zjawisko szczątkowe*. Jakaś pozostałość z dawnych czasów, gdy się to jeszcze dowiadывano „co słyhać“ od pachciarza, fryzjera, kelnera w zajazdzie, z czasów, gdy te trzy zawody wyzwolone urabiały opinię.

## NA PROWINCJI

„WIDNOKRĄG“ można prenumerować za pośrednictwem Cesarsko-Niemieckiej Poczty, oraz we wszystkich polskich księgarniach.

Oddzielne numery są do nabycia:

- w **Będzinie**: Kiosk p. I. Kokotka. Słowiańska 10.
  - „ **Częstochowie**: Kiosk p. I. Korzeniewskiego. Aleja II.
  - „ **Gostyninie**: Księgarnia p. Jeziorańskiej.
  - „ **Grójcu**: Księgarnia p. Olszewskiej.
  - „ **Kaliszu**: Księgarnia „Feniks“.
  - „ **Łomży**: Księgarnia Tow. „Czytaj“. Dworna 24.
  - „ **Łodzi**: Księgarnia Gebethnera i Wolffa i Biuro Dzienników „Promień“ Piotrkowska 81.
  - „ **Łukowie**: Księgarnia p. Celińskiej.
  - „ **Płocku**: Księgarnia p. Betleya.
  - „ **Pułtusk**: Księgarnia p. Glińskiego.
  - „ **Siedlcach**: Kiosk p. Dziewulskiego.
  - „ **Sokołowie**: Apteka p. Kamińskiego.
  - „ **Włocławku**: Kooperat. „Robotnik“. Bulasz. Chłodna 30.
  - „ **Wyszkowie**: Księgarnia p. Wędołowskiego.
- Także w **Krakowie**: Księgarnia Gebethnera, Rynek 22, oraz w **Poznaniu**: Księgarnia M. Niemierkiewicza, Plac Wilhelmowski 3.

*Przedpłata WIDNOKRĘGU wynosi w Warszawie, wraz z odnoszeniem do domu, miesięcznie kop. 85; kwartalnie rb. 2 kop. 50; rocznie rb. 10. Z przesyłką pocztową kwartalnie rb. 3; rocznie rb. 12.*

*Za zmianę adresu dopłaca się kop. 20.*

*Administracja, prócz niedziel i świąt, otwarta codziennie od godz. 10 rano do 2 pp. i od 5 do 7 wiecz.*

*Redakcja, prócz niedziel i świąt, otwarta codziennie od godz. 6 do 7 pp.*

*Rękopisy nie przyjęte są do odebrania w redakcji w ciągu 3 miesięcy. Potym ulegają zniszczeniu.*

*Dla studentów i nauczycieli ludowych 25% ustępstwa. Cena numeru oddzielnego w Warszawie kop. 22; na prowincji kop. 25.*

# WIDNO KRAG

№ 13 (R. II) Warszawa, 12/X 1916  
KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 7. — TELEF. 158-90.

**TREŚĆ:** T. HOŁÓWKO: Co dały wiece w Filharmonji?—ST. A. KEMPNER: Niepodległość ekonomiczna.—GUSTAW DANIŁOWSKI: Ze wspomnień szkolnych (dok.). — GROMICZ: „Najlepsi“. — B. HERTZ: Warjaty.

TADEUSZ HOŁÓWKO.

## Co dały wiece w Filharmonji?

Wiec dn. 3 września r. b. urządzony w Filharmonji stanowić będzie datę historyczną w dziejach Warszawy; stanowić ją będzie dzięki rezolucji, która na nim zapadła, rezolucji, wołającej o rząd i armję dla walki z Rosją o byt niezależnej Polski.

Słowo Niepodległość zawisło ostatnimi czasy na ustach wszystkich stronnictw, nawet tych, które jeszcze wczoraj je poniewierały, i za sprawą tych ostatnich groziło przeciwstawieniem się w nieobowiązującą do niczego piosenkę Chochola, pod której akordy rozmaite stronnictwa, przyjaźnie trzymając się za ręce, już zaczynały tańczyć szopkowy taniec letargu.

Wiec 3 września jak piorun uderzył w te szop-

kowe, chochołowe figury konsolidacji, a szczątki jej wiece następne tak doszczętnie rozwiały, że zaginęła o niej nawet pamięć. Cóż takiego zawierał w sobie ten wiec, że rozbił ową pracownicę kleconą konsolidację, która miała być dziećciem porozumienia wyborczego w przedsiönku Rady Miejskiej, a stała się jego płodem poronionym? Co w sobie zawierał ten wiec, iż zmusił pięć stronnictw, skupiających się w t. zw. kole międzypartyjnym do ogłoszenia swego również już historycznego komunikatu? I cóż znowu w tym komunikacie wywołało taką falę powszechnego oburzenia?

Rezolucja wiecu z dn. 3 września zwracała się do państw centralnych „o proklamowanie państwa polskiego i umożliwienie stworzenia armji polskiej, któraby jeszcze w wojnie obecnej walczyła przeciwko Rosji o niepodległy byt państwa polskiego, Rosja bowiem jest bezwzględny przeciwnikiem państwowości polskiej i wrogiem odbudowy państwa polskiego“. Komunikat 5-ciu stronnictw ogłoszony w uslužnym *Kurjerze Warszawskim* zaprotestował przeciwko tym, jak on się wyraził „daleko idącym uchwałom politycznym“ wiecu 3 września. Ogół przyjął ten komunikat dlatego z takim oburzeniem, że zrozumiał go jako protest przeciwko hasłu państwa polskiego, a więc jako zgodę na powrót Rosji, która jest przeciwna niepodległości Polski.

Ja jednak pozwolę sobie stanąć w obronie tych 5-ciu stronnictw, które ów komunikat podpisały. Rzecz jasna, że lepiej byłoby dla Polski, gdyby go nie było, pomimo to, że wyrażał on opinię znikomej tylko mniejszości narodu, bowiem pośród tych 5-ciu stronnictw poważnie można traktować jedynie stronnictwo Polityki Realnej i Stronnictwo Narodowe: reszta to — rari nantes in gengite vasto. Ale z drugiej strony nie należy przecież posądzać ani jednego z tych stronnictw o stanowisko *zasadniczo* wrogie niepodległości naszej. Gdyby tak było istotnie, należałoby odmówić narodowi polskiemu miana narodu europejskiego. Czyż gdzieindziej w Europie oświadczenie jakiegoś stronnictwa (a co mówić o 5-ciu naraz?), że ono jest przeciwne niepodległości swej Ojczyzny, wywołałoby coś innego, niż żądanie poddania autorów takiego oświadczenia oględzinom lekarskim i zamknięciu w domu obłąkanych? Tymczasem my jakże nisko zaczęliśmy sami siebie cenić! uważamy za zjawisko zupełnie możliwe, aby kilka stronnictw zgłaszało protest przeciwko Niepodległości! Polemizując z komunikatem stronnictw prawicowych zapomnieliśmy widocznie zastanowić się nad tym, że działacze, którzy układali go i podpisali, nie tylko nie są umyślowo chorzy, lecz odwrotnie zajmują kierownicze, wybitne stanowiska w naszym społeczeństwie. Toż

protestując przeciwko komunikatowi w ten sposób jak to czynił ogół, tym samym oznajmialiśmy niejako światu, że osobistości te są przeciwnikami Niepodległości Polski, pragną powrotu Rosji. Jeśliby istotnie tak było, to należałoby postawić krzyż nad narodem, któremu na czele placówek powstałych z gruzów ucisku moskiewskiego przewodniczą ludzie, pragnący powrotu tego ucisku. Lecz nie jest tak źle z nami. Dlatego od początku nie zgadzałem się z ogólnym sądem.

Za tym, że sąd ten był mylny, przemawiają nie tylko późniejsze sprostowania samych autorów komunikatu, lecz i względy natury praktycznej, tkwiące w przedmiotowej konjunkturze rzeczy.

## 2.

Stronictwom podpisanym na owym komunikacie można odmówić wszystkiego, oprócz giętkości i umiejętności przystosowywania się do wszelkich warunków, zapewniających im władzę. I prawdziwie, wobec tego nie mogę zrozumieć, co wygrałyby te pięć stronictw w razie powrotu Rosji? Nie chce mi się wierzyć, aby ci wszyscy działacze mieli ochotę po powrocie Moskali „pofatygować się“ do „ochrany“ i tam się usprawiedliwiać, tłumaczyć, kręcić, wyslizgiwać? I to, że każdy z działaczy prawicy uświadamia sobie jednocześnie, że w Polsce autonomicznej przed nimi zawsze będą mieli pierwszeństwo moskale, a z drugiej strony że nikt z nich nie może powiedzieć, gdzie będzie kres zemsty upojonego zwycięstwem żołdaka moskiewskiego — pozwala mi z całym spokojem twierdzić, że niema w Warszawie stronictwa, które pragnęłoby powrotu Rosji. Dlatego chętnie wierzę zapewnieniom prawicy, że gorąco pragną Niepodległości, ale (będziemy szczerzy do końca) nie bardzo wierzą w rzeczywistość tej Niepodległości. Między pragnieniem a wiarą w urzeczywistnienie tego pragnienia często leży ogromny dystans. Tak jest i w danym wypadku. Prawica gorąco pragnie Niepodległości, lecz nie wierzy w realność tego hasła, bo wierzy (bądźmy znowu szczerzy) w powrót Rosji.

Bij, zabij, lecz wierzy. I nie pragnienie powrotu Rosji, lecz *strach* przed jej powrotem jest źródłem wszystkich czynów prawicy, a raczej źródłem paraliżu, który ją obezwładnił w d. 5 sierpnia r. ub. Ten strach przed Rosją wionie najwyraźniej z komunikatu 5-ciu stronictw. One są w zasadzie za Niepodległością Polski, ale jednocześnie są stanowczo przeciwne proklamowaniu państwa polskiego już teraz w czasie wojny, bo-wiem rozumieją, że powstałe obecnie państwo polskie siłą rzeczy, mocą swego pochodzenia znalazłoby się w stanie wojny z Rosją. I tu jest tra-

gizm położenia koła międzypartyjnego. Ono wie- rzy jak w dogmat w powrót Rosji, więc, rzecz jasna, nie może wobec tego zrozumieć, poco te wszystkie wysiłki, ofiary, jeśli to wszystko nie tylko pójdzie na marne, lecz w dodatku zamiast au- tonomji przyniesie straszną zemstę tryumfującej Rosji.

Lecz czyż przy dalszej naszej bierności, w ra- zie powrotu Rosji, nie grozi zagłada Uniwersyte- towi, Politechnice, Macierzy, Radzie Miejskiej i t. p.? Długo nie mogłem odgadnąć, jak odpowiada sobie na te pytania prawica. Odpowiedzi udzielił mi nieda- wno jeden ze zwolenników „komunikatu“. „Widzi pan—tłumaczył mi—my wychodzimy z założenia nieuniknioności powrotu Rosji, dlatego uważamy za swój święty obowiązek powstrzymywać naród od ryzykownych kroków, skierowanych przeciwko Rosji; zaś Uniwersytet, Radę etc. to wszystko wytłumaczmy w ten sposób, że przyjmowaliśmy od państw centralnych tylko to, co da się zmie- ścić w ramach domniemanej autonomji, nic ponad to, wobec czego za obecną bierność narodu bę- dziemy żądali —jako nagrody—zrealizowania przy- rzeczonej autonomji“.

Istotnie cała taktyka prawicy mieści się w ra- mach tego autentycznego powiedzenia: Tarcia przy Obchodzie 3 Maja, sprawa kaplicy na Wol- skim Cmentarzu, domu Staszica, targi przy ukła- daniu deklaracji Rady Miejskiej, nareszeie sam ów sławetny komunikat.

## 3.

Jestem głęboko przekonany, że prawica sto- kroć silniej nienawidzi Rosji, aniżeli my, obóz nie- podległościowy. My, nienawidzimy Rosji jako wro- ga z którym otwarcie walczymy, prawica zaś nie- nawidzi Rosji tak, jak nienawidzi rab swego mo- żnego ale i okrutnego pana. Rozbito kajdany na nogach raba, a on boi się zdjąć z siebie upoka- rzające go strzępy tych kajdan—a nuż wróci pan: widząc te strzępy, nagrodzi za wiarę w jego po- tęgę, znajdując zaś ręce nie tylko wolne lecz jesz- cze uzbrojone przeciwko sobie — surowo ukarze. I nienawidzi swego okrutnego pana prawica, lecz się boi, miota się rozpaczliwie w błędnym kole przyrzeczonej autonomji, które zakreślił uchodzą- cy pan, i od czasu do czasu brząka żelaziwem rozbitych kajdan, by dać znać dalekiej i nieobec- nej Rosji, że... w Polsce żyje niewola.

## 4.

Lecz czyż — spyta się czytelnik — litując się nad tą febrą strachu, czyż istotnie polskie ramię nic nie może zaważyć, czyż już istotnie nie zdol- ny jest naród polski wykrzesać z siebie takiej si-



ły, któraby powrót Rosji zrobiła rzeczą absolutnie niemożliwą? A jeśli nawet, co wygląda na rzecz absolutnie nieprawdopodobną, Rosja miałaby wrócić, czyżby nawet w tym wypadku nie warto było przeciw niej wystąpić gdyby za tę cenę zdobyło się państwo polskie z własnym rządem i armją chociażby tylko na czas pewien? Co bowiem byłoby dla przyszłych pokoleń rzeczą cenniejszą i bardziej ożywczą, czy uboga pociecha, że uchroniło się od mściwej ręki azjaty jedno zgniłe pokolenie, czy też świadomość, że przez ofiary i cierpienia tego pokolenia zdobyło się fakt istnienia nanowo państwa polskiego? Nie zadawajmy tych pytań—bowiem dla prawicy są one niezrozumiałe. Ludzie, którzy tam się skupiają, są to nieodrodni synowie Chłopickich, Skrzyneckich, Lubeckich, Wielopolskich, wreszcie Białych—tych wszystkich, którzy wierzyli w siłę całego świata, lecz nie Polski, którzy, podejmując wojnę z Rosją, już jednocześnie myśleli o dogodnych warunkach kapitulacji. Jeśli w tamtych czasach był już typ ludzi tak przekonanych o niezwyciężalności Rosji, to cóż żądać można od dzisiejszego koła międzypartyjnego? Cóż się więc dziwić, że ono nie chce słyszeć o wojnie z Rosją, skoro z góry jest przekonane, że ją musimy przegrać?

Skąd ta pewność, skąd ta bezgraniczna wiara w potęgę Rosji? Bądźmy wyrozumiali i pobłażliwi i nie wymagajmy od stronnictw wchodzących w skład koła międzypartyjnego rzeczy niemożliwej... aby przestały one wierzyć w potęgę Rosji... one, które urodziły się i urosły w cieniu tej potęgi. Toż to one miały prawo do legalnego życia pod gniotem moskiewskiej straży, za cenę uznania wieczności panowania Rosji w Polsce.

Za cenę przystosowania swego wzroku do mroków tego panowania, za cenę nie wybiegania swoją myślą, swoim uczuciem poza granice cienia rzuconego przez skrzydła dwugłowego orła. I naraz to wszystko w co się wierzyło tyle dziesiątków lat, jak w dogmat nienaruszalny, miałyby runąć?

## 5.

A jeśli państwa centralne zwyciężą i Rosja nie wróci do Polski? W kole międzypartyjnym zasiadają „realni politycy“, którzy, jestem przekonany, że pragną zwycięstwa państw centralnych... tylko nie śmiają w nie wierzyć. Jeśli się omylą... serdecznie będą z tego radzi... minie strach przed Rosją, działacze z prawicy rozwiną szeroką działalność dyplomatyczną na kongresie, wierzą bowiem święcie, że kongres „wyjedna“ utworzenie państwa polskiego. Takie rozwiązanie „pojednawcze“ bardzo się prawicy uśmiecha: oręż germański, zdobywający niepodległość dla Polaków!

## 6.

Takie rachuby według mnie panują w obozie prawicy. Rachuby te są być może bardzo patriotyczne i bardzo mądre, lecz dla mnie są one tak mało pociągające, jak każda rachuba, płynąca z tchórzostwa, jak każde żerowanie na cudzym wysiłku, jak trzymanie się poły silniejszego, chociażby ten silniejszy niósł narodowi ucisk i rozbój.

Wiece, które miały miejsce ostatnio w Warszawie, przekonały, że na szczęście szeroki ogół społeczeństwa innym hołduje zasadom.

Wystąpienie Rumunji odegrało w nastrojach społeczeństwa polskiego oczyszczającą rolę. Przedtym społeczeństwo, skupiając uwagę na ciężkiej materialnej sytuacji, prosto zapomniało o Rosji... jak o czymś dalekim. Wystąpienie Rumunji (świetne zwycięstwa Makensena w Dobrudży niebawem ten nastrój rozwiały) nastęrczyło polskiemu społeczeństwu myśl, że szala przechyla się na niekorzyść państw centralnych, że powrót Rosji do Polski staje się wobec tego rzeczą możliwą. Ta chwilowa złuda—postawiła przed oczyma społeczeństwa obraz samego powrotu. I to, co się zarysowało w nim, napełniło społeczeństwo przerażeniem. Setki tysięcy narysowało sobie być może półświadomie obraz, jak pijany kozak kopnięciem swego buta obala krzyż na stokach cytadeli. Myśl powrotu Rosji wstrząsnęła ogół, wywołując nie paniczny atoli strach, który ogarnia koło międzypartyjne, lecz zdrowy, normalny odruch oporu. Wiece, urządzone przez Klub Państwowców Polskich i C. K. N. mają przeto takie olbrzymie powodzenie, że wskazują na jakiej drodze ten opór Rosji należy stawić, na jakiej drodze można jak najszybciej realizować tę coraz namiętniej upragnioną Niepodległość.

Jestem głęboko przekonany, że jeśli Rosja istotnie zaczęła posuwać się naprzód, to każdy jej krok w naszą stronę potęgowałby w Polsce wrogi przeciwko niej stosunek; jestem głęboko przekonany, że gdyby Rosja stała pod murami Warszawy—ta powitałaby ją salwami z barykad. I to byłby żywiołowy samorzutny odruch narodu, który rozumie, że tą walką na śmierć i życie chroni siebie od moralnej zagłady, wypełnia testament mionych pokoleń.

## 7.

Dziś nic nie budzi obawy, że państwa centralne naporu nie wytrzymają; przeciwnie, widać, że one i bez naszej pomocy potrafią i nadal zwycięsko stawiać czoło. Należy przeto wykazać społeczeństwu, że w naszym przedewszystkim interesie musimy dążyć do udziału w wojnie z Rosją, bo to przyspieszy chwilę powstania państwa pol-

skiego; zacznym tworzenie go w obecnej chwili spocznie w znacznej mierze w rękach samego narodu; do tworzenia państwa w chwili obecnej wypadnie powołać i lud. przez co mu to państwo zbudowane jego wysiłkiem i ofiarą później będzie drogie i zrozumiałe. A gdy nasi przedstawiciele zasiądą na kongresie, zyskają wówczas prawo przemawiania jako równi do równych, bowiem o rzetelności i ważkości ich słów będzie świadczyć umiłowana przez naród, okryta chwałą armja polska.

Zrozumienie tego rośnie z dnia na dzień. Prawica to poczuła na sobie. Zaklinania się jej prasy jakoby nigdy organy tejsze nie szerzyły moskalofilstwa, sprostowanie komunikatu, którego inaczej nie można nazwać, jak publiczną chłostą samych siebie — wszystko wskazuje, że prawica na szczęście lęka się nie tylko Rosji, lecz i opinii polskiej. Opinia zaś stanęła w tym sporze po naszej stronie. My musimy urosć na potęgę — bo do nas należy jutrzejszy dzień Polski; epigoni dnia wczorajszego pójdą do Kanossy. I im szerszy rozwiniemy rozmach, tym rychlej nastąpi kapitulacja przeciwników. Tymczasem niech już nie próbują oni więcej — kapłani strachu i niewiary — rzucać kamienie pod nogi doboszom, którzy budzą naród z omdlenia i wołają go na pole chwały, aby w znoju i męce zdobywać własną swobodę, mieczem pisać sobie prawo do samodzielności.

Albowiem kamienie przez nich miotane nam pod nogi, miałyby więcej sumienia, niż dłonie, które je rzucają: z pewnością raniłyby boleśnie nie nas, lecz dłonie, miotające je.

ST. A. KEMPNER.

## Niepodległość ekonomiczna.

Struktura gospodarcza każdego narodu jest w ścisłym związku z jego ustrojem politycznym. Organizacja polityczna wyciska bowiem piętno na ekonomicznym rozwoju i na odwrót rozwój ten w znacznej mierze rozstrzyga o dążnościach narodowych.

Z nędzy współzycia z Moskałami wynieśliśmy nędzę form społeczno gospodarczych z pozorami korzyści, lecz z istotą zastoju i wsteczności ekonomicznego, z ubóstwem warstw ludowych i z nieprzystosowaniem całej organizacji do warunków narodowych. Z tej nędzy wyniesiono jeszcze jakby bezświadome przywiązanie do form tych, co odbija się w tej chwili na nastrojach społecznych tych warstw „kierowniczych“, które nadawały ton życiu gospodarczemu. Na psychologję narodową wielu „wpływowych“ grup oddziaływa jeszcze poczucie ich interesu materialistycznego, który musi dopiero zburzyć niepodległa Polska.

Świadomość, że z upadkiem związku z Moskwą bezpowrotnie przeminą korzyści eksportu perkalików do

Cesarstwa, wielkich inwestycji przemysłu żelaznego na Wschodzie, spekulacji akcjami rosyjskimi i afer bankowych w Petersburgu, ta świadomość na równi z instynktem małej linii oporu i tym mniejszej — poświęcenia podtrzymuje w szerokich kołach naszego „konserwatywizmu“ różnych odmian tęsknotę do form przeżytych. Pokutuje ona, jak zły duch, który omotał uczucia, nasiąkłe egoizmem klasowym.

\*

Tylokrotnie już wykazano, iż nasza struktura gospodarcza nosiła na sobie wszelkie ślady niewoli u Moskwy, tylokrotnie to już stwierdzono argumentami statystycznymi i logicznymi, iż tego ponownie we wszystkich szczegółach przypominać nie potrzeba. Ten ustrój był przyczółkiem anarchicznej budowy gospodarczej całego caratu. Miał łatwy dostęp na rynki Rosji, z którymi komunikował się licznymi arterjami wywozu i przywozu, nie posiadając zgoła własnych indywidualnych znamion żywotności. Przemysł tkacki Łodzi przystosował swą tandetę do lichej, ale liczebnie znacznej konsumpcji „muzyka“ i „kacapa“, resztkami swej produkcji sycąc tylko część potrzeb krajowych<sup>1)</sup>. Wielki przedsiębiorca przemysłu wyciągał stąd pokaźne łupy i to go zadowalało. Jego punkt widzenia kalkulacyjny nadawał kształty tej gałęzi organizacji fabrycznej.

W końcu zaczęły salda z tych łupów maleć. Wywóz na wschód się zmniejszał, a przywóz stamtąd rósł, co znów karmiło instynkt korzyści „komisjonera“. Tą drogą powstawała *równowaga bilansu handlowego* w „manufakturze“. Do istotnych korzyści ekonomicznych Polski miało się to, jak bujny rozrost chwastów do łanu zboża. Podobnie rozwijał się przemysł żelazny. Żył głównie entrepryzą rosyjską, szczerze wspomagana przez łapówkę<sup>2)</sup>. Tam, gdzie samodzielnie zakrzepł i doszedł do technicznej doskonałości, dzięki wyjątkowym wysiłkom, oderwał się właśnie od zawisłości moskiewskiej i będzie miał i nadal podstawy samodzielne.

Na ogół byliśmy tworem pasorzytniczym z przymusu! Przykuci do organizacji rosyjskiej, do jej ceł, hamujących samorzutny, wolny rozwój wytwórczości o wyższym poziomie, a popierających tylko przerób połowiczny surowych materiałów, do jego taryfy przewozowej, uwzględniającej gospodarstwo na pół naturalne, do stawek różniczkowych, obliczonych na niezmierzone przestrzzenie, do półkultury i półbarbarzyństwa caratu, musieliśmy żyć życiem zapożyczonym, wsysać się w soki obcego organizmu, tracąc zarazem własne soki żywotne. Było to pasorzytnictwo, bardziej krzywdzące dla nas samych, niż dla Rosyi, która, jako olbrzymie a niedorozwinięte cielsko ekonomiczne, nie tylko chętnie znosi takie współbytowanie, lecz wobec swej beczynności na wielu polach prawie się tego domaga.

\*

Wojna zburzyła nasz cały ustrój gospodarczy a z nim i ten dorobek, który, mimo wszelkich trudności

<sup>1)</sup> Nasz przemysł tkacki wysyłał grube wyroby na Wschód, a natomiast trzeba było sprowadzać cieńsze tkaniny z Cesarstwa lub zagranicy.

<sup>2)</sup> Z przemysłem żelaznym było po części wprost przeciwnie, jak z tkackim: wyrabiano w kraju rzeczy doskonalsze, mające zbyt częściowy wewnątrz kraju, a przeważny w Rosji, — natomiast popularne potrzeby zaspokajaliśmy przywozem.

samodzielnego rozwoju, zdobyliśmy sobie niepospolitym trudem i znojem. Żyjemy dziś na ruinach. Trzeba będzie życie gospodarcze budować od nowa, od podstaw. Jedynie może rolnictwo po części już z ruin powstaje. Tkwią w nim pierwsze zarodki samoistnych postępów ku poprawie. Ale patrząc już dziś w przyszłość wzrokiem przenikliwości gospodarczej, trzeba przygotować się do wielkiego dzieła *niepodległości gospodarczej*. Ono to przeraża tych, co chcieliby porwane nici ekonomiczne nawiązać do przeszłości, co psychicznie żyją jeszcze atmosferą przemysłowo-handlową dawnej epoki. Wypadnie kroczyć po linii wielkiego wysiłku, utrwalać sobie warunki bytu narodowego, zaszczepiać nowe formy przemysłu na własne przedewszystkim potrzeby, zespałać samoistny byt ekonomiczny z wolnością i niezawisłością państwową.

Własna nasza polityka rządu niepodległego będzie miała opiekę nad rozwojem spraw społecznych. Władza obca, a wroga, tępiąca narodowość, nie będzie wyrażała nam krzywd ekonomicznych, nie będziemy zaś korzystali z tych jednostronnych i warunkowych dogodności, które wynikały ze złego zagospodarowania Rosji, z jej małej pracy i niedorozwoju, ułatwiającego osiągnięcie zysków przez kalkulacje spekulacyjne. Wypadnie wzbić się na wyższe szczeble kultury gospodarczej, na wyżyny techniki przemysłowej, sycącej potrzeby cywilizowanego człowieka. Stara rutyna nie wystarczy w tej mierze. Ona czyniła z nas prowincję rosyjską, pozbawioną woli narodowej, paczącą drogi rozwoju. Dopłacaliśmy Rosji co roku 80 milionów rubli za jej despotyczną administrację, zmierzającą do ucisku i wynarodowienia<sup>1)</sup>. Płacił ten haracz cały naród, a tylko część uprzywilejowanych odbierała to sobie w zyskach handlu z caratem.

\*

Ponieważ życie gospodarcze tworzy jedną z naczelnych podwalin społecznego i politycznego bytu narodu, przeto budowanie samodzielnych kształtów gospodarczych, opieranie ich na własnych potrzebach spożywczych i kulturalnych, na własnych uzdolnieniach i na własnych siłach przyrodzonych jest utrwaleniem niepodległości państwowej.

Naród ekonomicznie zależny nie jest nigdy niepodległy w ścisłym znaczeniu. Pozostaje wtedy pewien ślad niewoli, tym dotkliwszy, że dotyczy on sposobów bytu materialnego, które są najwrażliwsze i nie łatwo podporządkowują się nakazom idealnym. Przez niewolę ekonomiczną wiele narodów popadało ponownie pod zawisłość polityczną od innych państw. Polska też zginęła po części skutkiem braku samoistności gospodarczej.

Nie znaczy to wszakże, aby naród musiał zupełnie odgraniczać się od ożywionej wymiany stosunków handlowych z innymi państwami. Przeciwnie, rozwój ekonomiczny wymaga poniekąd wymiany wszechświatowej a zarazem bliższego zespolenia się z krajami sąsiednimi i politycznie zaprzyjaźnionymi. Narodowy rynek handlowy nie jest zamkniętym rynkiem handlowym. Trzeba jednak przedewszystkim świadomie i planowo, po-

<sup>1)</sup> Była to różnica między tym, co wynosiły koszty zarządu, a co płaciliśmy w podatkach. Łapówki oczywiście nie wchodziły w ten rachunek.

dług własnych wskazań i potrzeb, rozwijać życie gospodarcze.

Jeśli zwrócimy się np. do rolnictwa, to należy cały wysiłek wyteńczyć, aby przyrodzone nasze warunki wykorzystać, by pokryć braki własnego spożycia, by na siłach rolniczych oprzeć postępy przemysłowe. Zerwana z Rosją łączność uwolni nas od powodzi zboża i mlewa rosyjskiego, pozwoli ustalić taryfy przewozowe podług naszych interesów, wzmocni byt rolnika polskiego i osłabi obcą konkurencję.

W przemyśle musimy stworzyć formy tych produkcji, które były obliczone na przypadkowe korzyści wywozu do Rosji, a które wywoływały szczyby w pracy fabrycznej i rękodzielniczej na nasze własne potrzeby. Trzeba jak najwięcej produkować takich towarów, które mają zbyt na miejscu. Kulturalny naród nie może w zaspokojeniu swojej *zasadniczej* konsumpcji być zawiśłym od obcych rynków.

Opieka nad rzemiosłami jest pierwszorzędnym obowiązkiem państwa niepodległego. W rzemiośle tkwi zawiazek trwałe i mocnej produkcji, coraz rozwijającej się, aż do form najwyższych. Tylko kraje (Anglja, Westfalja, Nadrenja), które drogą takich postępów przetwarzały małe wytwórcze ogniwa na coraz większe, powoływały do życia zamiast spekulacyjnych form przedsiębiorczych prawidłowe postacie przemysłu. Zachodzi wtedy proces uprzemysłowienia duchowego całych pokoleń przemysłowców.

Jeżeli przy zawarciu pokoju i ustaleniu niepodległych form państwa Polskiego będzie trzeba w obronie istniejących przemysłów zaprowadzić pewne przejściowe przepisy łączności z Rosją, należy czuwać nad tym, aby to były tylko stany tymczasowości. Jest w naszym interesie, by przez czas jakiś granica do Rosji była otwarta, bo od tego zależy *stopniowe*, bez wstrząśnień przeistaczanie istniejących fabryk, które inaczejby całkowicie upadły. Ze względu na to, należałoby ustanowić pewien okres wolności cłowej, a potem kilkunastoletniego stopniowego pobierania coraz wyższych ceł, ale z takim wyrachowaniem, by ogniska przemysłowe przystosowywały się odrazu do nowych potrzeb gospodarczych.

\*

Całe nasze życie gospodarcze powinno być uregulowane według wskazań niepodległego bytu, lecz zarazem według postępów społecznych. Prawodawstwo, dotyczące stosunków ekonomicznych, musi uwzględniać wszystkie reformy sówjalne, a więc przedewszystkim byt robotnika, emerytury robotnicze, ustalenie dnia pracy i t. p. Trzeba od podstaw budować stosunki, odpowiadające wymaganiom sprawiedliwości społecznej.

Polska niepodległa powinna być tak samo na polu gospodarczym, jak i na innych, państwem demokratycznym, idącym za postępem kultury i reformy społecznej. Nie tylko nie osłabi to jej fundamentów, lecz je umocni. Od nasycenia interesów materialnych ludu zależy siła rozwoju gospodarczego i zarazem siła narodowego bytu.

Nie zasklepiając się w takim egoizmie gospodarczym, który daje korzyści na krótką przestrzeń, nie odgradzając się od obcych narodów, a nawet od obcych kapitałów i obcej przedsiębiorczości, trzeba jednak utrzymać w tym należyta równowagę. Dlatego proponowane związki celne centralno-europejskie wymagają takiego ustalenia, by samodzielności naszej nie krępowały.

Im obszerniejsze będą granice Polski, tym korzystniejsze widoki gospodarcze. Tylko przy znacznym terytorjum można gospodarować z należyty podziałem pracy i z podziałem podług warunków przyrodzonych oraz uzdolnień różnych części ludności. Królestwo, które ma bądź co bądź dużą wprawę przemysłową, mogło by zarazem objąć ster organizacyjny w uprzemysłowieniu zarówno Litwy, jak Galicji. Płonne są obawy, że Polska nie zdoła utrwalić samodzielnego bytu gospodarczego, bo miała jakoby tylko pomysłne warunki w cłach protekcyjnych Rosji. Przy obszerniejszym terytorjum tyle będzie do zrobienia na własne nasze potrzeby spożywcze, że bez większego wysiłku przełamiemy trudności przemian ekonomicznych, których się tak obawiają nasi bezświadomi i świadomi moskalofile — zwolennicy związków gospodarczych ze Wschodem...

G. DANIŁOWSKI.

## Ze wspomnień szkolnych.

(Dokończenie).

Ten żołnierski tryb życia, kompletny rynsztunek wojenny, błysk oficerskich pałaszy—wszystko to robiło chwilami wrażenie nieprawdopodobnego snu. Wśród marszów, w udanych bitwach zapalały się młodym ogniem wypukłe nad książkami oczy, szerokim tchnieniem rozdymały się, zdławione miejskim zaduchem piersi, prężyły się świeżą siłą zwiędłe muskuły i hartowały rozluźnione nerwy.

By wyćwiczyć się w marszu i zrobić wrażenie na ludzi z Królestwa, po skończonym kursie taktyki, szkoła odbyła zgórą stokilometrowy marsz do Zakopanego.

Po drodze w Nowym-Targu trwały trzydniowe ćwiczenia: bój arjergardy.

Nasze wkroczenie do Zakopanego w pełnym rynsztunku, z pieśnią na ustach, sprawiło silne wrażenie.

Mieliśmy tam zamiar przeprowadzić manewry: zdobywanie kolejowego wiaduktu, ale miejscowe władze sprzeciwiły się temu.

Odbył się więc jedynie bal, jakiego Zakopane nie pamięta i odczyt komendanta na temat: „Kryzysy boju“.

Zainteresowanie się militarystką na tyle wzrosło, że kiedy przed paru laty komendant miał w Zakopanym odczyt podobnej treści w szczupłej sali „Sokoła“, pomimo agitacji, zgromadziło się zaledwie kilkadziesiąt osób, obecnie—w największej „Morskie Oko“ zabrakło miejsc.

Bal i odczyt podreparowały fundusze naszej szkoły.

W Zakopanym stołowaliśmy się gremialnie w restauracji, prawie z podziwem patrząc na talerze, serwety i obrusy.

Podczas naszego postoju otaczały nas tłumy, a gdyśmy wyruszyli na stację, zostaliśmy obsypani kwiatami.

Przybywszy wieczorem do koszar, zastaliśmy je tak wyporzadzone przez pozostawionych dla pilnowania dobytku towarzyszy, że pozdejmowaliśmy na ganku buty, by nie błocić wyszorowanej do białości podłogi.

W drugim okresie szkoły zakładaliśmy miny, fugasy i detonowaliśmy bomby.

Z powodu szalonych deszczów jedna mina zamokła i nie wybuchła.

Poszli ją wykopywać dwaj oficerowie, którzy na balu asystowali jednej pannie i postanowili, jeżeli ginać to razem: mina jednak została wydobyta bez wypadku.

Potym zajęliśmy się budowaniem linii obronnej.

Kawałek wygonu otoczono drutem kolczastym, porobiliśmy „wilcze doły“ i wzniesiliśmy wspaniałe okopy.

Komendant, oglądając nasze pozycje, pochwalił robotę i zauważył, że tak bezpieczne okopy żołnierz niechętnie opuszcza, by iść naprzód. Takim okopywaniem odznaczyli się Moskale podczas wojny japońskiej, w której cały czas byli w defenzywie.

Japończycy, posuwający się naprzód, wznosili lekkie nasypy.

— Pamiętajcie o tym—dodał—że najczęściej atakujący zwycięża, bo inicjatywę bierze w swoje ręce.

Budowanie okopów, które znajdowały się o pół kilometra od koszar, kosztowało nas dużo pracy. Ustawiczne deszcze psuły robotę i rano trzeba było wyczerpywać wodę zapomocą wiader i menażek.

Na kilka dni przed ukończeniem szkoły i udaniem się do Krakowa na kurs strzelania, miałem sposobność się przekonać, że rację miał nasz oficer inspekcyjny, który pilnował, by wszystko znajdowało się w odpowiednim miejscu i buty stały „nosek do noska“.

Około g. 2-iej w nocy zbudziły nas strzały warty i sygnały trąbki alarmowej.

Zanim zdołano zaświecić światło, znalazłem odrazu wszystko poomacku. Poczuliśmy się na gwałt ubierać i wkrótce w pełnym rynsztunku znaleźliśmy się przed koszarami.

„Wróg atakuje nasze okopy“, — brzmiał meldunek—idziemy na odsiecz marszem nocnym, t. j. możliwie cicho.

Niezbyt nam się to udawało z powodu nierówności terenu i ciemnej nocy, niektórzy nawet zaświecili elektryczne latarki, które natychmiast zgasił surowy rozkaz oficera.

Gdyśmy znaleźli się w okopach i wysłali naprzód patrole, rozległy się strzały i okazało się, że jeden pluton został wysłany naprzód, by markować wroga.

Błysk strzału w nocy czyni wrażenie świętojańskiego robaczka.

Wróg atakował prawe skrzydło, które poczęło się odstrzeliwać

Nasze — lewe, choć świerzbiała ręka, musiało zachowywać się spokojnie.

Naogół alarm nocny udał się dobrze.

Komendant był przekonany, że będziemy się gudzrać pół godziny, a myśmy byli gotowi do marszu w dziewięć minut i wytrzymaliśmy też dyscyplinę ognia.

W ostatnich kilku dniach rozwiązywaliśmy taktyczne zadania na piśmie, wykańczaliśmy swe dzienniki, a podczas marszów poszczególni żołnierze dla wprawy obejmowali komendę.

W przeddzień wyjazdu odbyła się pożegnalna kolacja w sali wykładowej.

Sala przedstawiała piękny dla nas i oryginalny widok: była ubrana zielenią i wojennym rynsztunkiem. Nad środkiem ławy, gdzie miał siedzieć komendant, widniał

czerwony sztandar z orłem białym i błyszczący dwa skrzyżowane pałasze.

Ponieważ ani razu nie stałem pod karabinem, oficerowie dowodzili, że muszę i tej rozkoszy użyć i chcieli w ostatnim dniu na jakimś wykroczeniu mnie złapać.

Wreszcie maj Trojanowski przed samą kolacją, widząc, że stoję na straży butelek, spytał mnie surowo, ile jest?

— Za mało!—odparłem i tą odpowiedzią, która wywołała wybuch śmiechu towarzyszy, wykręciłem się od odpowiedzialności.

Na początku uczy zapanował podniosły nastrój.

Dziękowaliśmy komendantowi, że nam, rozbitkom rewolucji, którym zaczęły nadgryzać z wątpienia spowodowane klęską, uleczył nową ideją dusze, wrócił zdrowie nadwątlonym ciałom, nauczył nowych cnót waleczności i męstwa, przyrzekaliśmy mu wierność i posłuszeństwo.

Komendant odpowiadał, charakteryzując poszczególne plutony — nasz królewski nazwał najbardziej ofiarnym.

Potym panowała wesołość, śpiewy i gawędy przeciągnęły się do późna w nocy.

Nazajutrz, podczas ostatniej zbiórki, komendant kazał naszemu plutonowi dać salwę pożegnalną wzgórzom, polom, łąkom i strumieniom Stróży.

Buchnęły strzały i rozpiętrzone kule papierowe jak płatki kwiatów rozsypały się nad naszymi głowami.

Ruszyliśmy na stację do Tymbarku, by wrócić do zwykłego toku życia po cudnych, niezapomnianych nigdy dniach, jasnych dla duszy i utrwalonych, jak pasmo światła, w pamięci...

Po roku znaleźliśmy się w szeregach idących w prawdziwy bój i jakby dziwnym zbiegiem okoliczności, w okolicach szkoły I-a Brygada stoczyła zwycięską bitwę z Moskalami.

Uczniowie szkoły noszą w legjonach miano Stróżańczyków, cieszą się dobrą opinią i są traktowani jako kandydaci na oficerskie stopnie.

GROMICZ.

## „Najlepsi”.

Dr. Piotr Pręgowski.

Istnieją rozmaite sposoby patrzenia na świat. Uczni patrzają nań poprzez formuły; filozofowie — poprzez pojęcia; artyści — poprzez obrazy. Doktor Pręgowski na świat patrzy poprzez stosunki towarzyskie. Nie posiada on myśli. Posiada tylko znajomych. Stąd nieuniknione następstwo: tam, gdzie w duszy człowieka krwią jego serdeczną odżywiają się przekonania, rosną uczucia, rozkwitają zachwyty i porywy, tam w duszy d-ra Pręgowskiego gromadzi się jedynie nalot, osadzony przez upodobania środowiska. Do Rady Miejskiej wprowadza on ów miły urok „herbatki“ w gronie drobnomieszczańskim, na który składa się dobra kolacja, pieprzyk na szyi panny Loli, cześć dla arystokracji i pogoń za uciechą życia. W drobnych sprawach jest nieocenionym współpracownikiem; w nikłych walkach jest „wymarżonym sprzymierzeńcem“. Atoli w podejmowaniu wielkich zadań i w obliczu wielkich niebezpieczeństw,

lepiej jest nieść go poza sobą i przeciwko sobie, niżli obok siebie.

Wszelako wśród wielu walorów chwiejnych, posiada dr. Pręgowski jeden walor niezachwiany: oto należy on do tej galerji nieśmiertelnych duchów, której wielcy artyści humoru — Dickens, Hohol, Prus —zawdzięczają nieśmiertelną sławę swych kreacji.

BENEDYKT HERTZ.

## Warjaty.

Pan Hilary Knociński powiada, że go nikt patryotyzmu uczyć nie będzie, bo on sam wie najlepiej, co polskie, a co nie polskie.

Pan Hilary Knociński czuje po polsku, myśli po polsku i wogóle wszystko robi... panie dobrodzieju... narodowo. A niech kto spróbuje wątpić, to mu tak zajrzy w oczy, że śmiałka z pewnością ciarki przejdą; chyba, że nie jest lękliwego lub starozakonnego serca, to go wtedy nie przejdą; a p. Hilary pomiarkuje się, ochłonie i zacznie z innej beczki.

Więc powie np.:

— Dobrze, panie, ale jakie mamy gwarancje?

Albo:

— Zawracanie głowy!... Co my zrobimy?... Nic nie zrobimy.

Albo:

— Ja tam, panie, ani za tymi, ani za tymi, bo mnie dziś nie obchodzą żadne głupie orientacje. Ja mam jedną orientację. Polską orientację. Ale z dwojga złego już wolę...

Dlaczego woli?

Ano, to zależy.

Gdy się tak rozindyczy, że na argumentację brak mu hamulców, to rżnie poprostu:

— Instykt... panie tego... krew...

Jeśli natomiast trafi na przeciwnika, co mu się gorączkować nie daje, wówczas poczyna filozofować. Przytacza argumenty i fakty, powydłubywane z historii za onych dawnych, dobrych czasów, gdy siedzące pod miotłą myszy krzepiły sobie serca pomstowaniem na kota, ale nie na tego, który mógł je usłyszeć, tylko na tego, który stał nieco dalej.

Wywody te wszakże doprowadzają p. Knocińskiego zawsze do jednego wniosku:

— Siedzieć, czekać.

...Bo to, panie, mało i tak biedy w kraju?

...Warjacja, jak Boga kocham.

...Ja nie mówię, żeby oni byli źli polacy. Nie. (Chociaż ci, co namawiają, to wolę o nich milczeć). Ale w każdym razie—szalone łby, nic więcej.

\*

Pan Hilary Knociński powiada, że go nikt patryotyzmu uczyć nie będzie, bo on sam wie najlepiej, co polskie, a co nie polskie.

Pan Hilary ma nad biurkiem księcia Józefa w „astrachańskiej“ burce i nieraz z zadowoleniem śpiewa:

„Książę Poniatowski dobrze... kropił“.

Był pan Hilary na „Kilińskim“, był na „Kościuszcze“... A ilekroć aktor, grający bohatera narodowego, wygłaszał piękne tyrady i zagrzewał tłum statystów teatralnych do



# WIDNO KRAG

№ 14 (R. II) Warszawa, 23/X 1916

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 7. — TELEF. 158-90.

**TREŚĆ:** TADEUSZ HOŁÓWKO: Nieśmiertelny czar. — STANISŁAW ŁAG: Młodzież akademicka na wszechnicach warszawskich w pierwszym roku ich istnienia. — BENEDYKT HERTZ: Na bydlęcym wiecu. (Bajka). — GROMICZ: «Najlepsi» — Marjan Zbrowski. — M. BAUMGART: Prasa robotnicza.

TADEUSZ HOŁÓWKO.

## Nieśmiertelny czar.

„Są czyny mędrze od najgłębszych rozumowań”.  
*Mochnacki.*

1.

Gdy ogarnia mię niemoc, apatja i niewiara, biorę wówczas do ręki książkę o powstaniu Listopadowem, i—po kilku stronicach ginie nastrój niemocy, jakby spłoszony rosnącym, coraz nieznośniejszym skowytem bólu i rozpacz, nieubłaganego wyrzutu, który rozsadza duszę. I cóż w tym dziwnego? W duszy każdego Polaka ropieje wciąż i boli nieogojąca się rana wspomnień o tym powstaniu. Póki Polska istnieć będzie, póty przed zrozpaczonymi oczyma jej dzieci stać będzie tak niemiłosiernie narysowana przez matematyczny umysł genialnego strategika wizja zwycięskiej Polski, w tryumfalnym pochodzie zajmującej Kijów i Petersburg; póki polską mowę słyhać będzie na ziemi polskiej, póty w uszach jej synów dźwięczeć będą straszne w swej prawdzie słowa Prądzyńskiego: „Rozmyślając nad tym wszystkim, chce mi się zapłakać krwawymi łzami. Może się Polska jeszcze odrodzi, i strzeżmy się o tym po-

wątpiewać, ale już to pewno nie nastąpi z taką wielką dla polskiego narodu sławą”.

I komuż z nas nie chce się również zapłakać krwawymi łzami na myśl „czynów” Chłopickiego, Skrzyneckiego, Krukowieckiego i tylu, tylu innych? Nie niemożliwym, lecz nieumieliśmy wygrać powstania Listopadowego — takim ponurym oskarżeniem bluznął w oczy swemu pokoleniu Mochnacki. „Nie umieliście”, szepcą z bolesnymi wyrzutami coraz nowe pokolenia. I czy może być straszniejsza kara ponad ten wyrzut dla tych, którzy w swym niedołęstwie zaprzepaścili wielkie dzieło wyzwolenia narodu?

2.

Nie umieliście — unosi się upiorne słowo nad historją powstania Listopadowego. Nie umieliście nawet browaru na Solcu naleźć i wczas podpalić... O nie, nie! Wyrzutami darzy naród działaczy tego powstania, lecz nie pamięta omyłek, rozgrzesza, więcej nawet, kocha i błogosławi pamięć tych młodych zapalnych szaleńców, szaleńców i spiskowców, którzy rozpętali burzę powstania. Skądże płynie ta miłość do tych bezpośrednich sprawców dzieła, które się stało klęską narodu?

3.

Żle podpalili młodzi chorążowie browar na Solcu i zapewne do końca życia czynili sobie za to wyrzuty, lecz czy wiedzieli oni, iż dokonali w tamtej chwili innego dzieła: zapalili święty pożar w duszach narodu, pożar, który już nigdy nie zgaśnie, nigdy nie da się stłumić przez żadną przemoc. I jeśli by opadły podchorążym ręce przy zapalaniu browaru, jeśli by nie odważyli się oni na danie tym hasła, to byłiby wtedy przestępcami, zbrodniarzami wobec narodu. Czym bowiem byłaby dziś dusza polska bez pożaru na Solcu? Czym byłaby dusza polska bez czaru upajającego Nocy Listopadowej, bez napadu na Belweder, bez detronizacji Mikołaja I, bez Grochowa i Wawra? I czyż na tym tylko kończy się zasługa sprawców Nocy Listopadowej? Nie, stokroć nie! Oni czarem swego czynu podbili dusze wszystkich przyszłych pokoleń polskich. Czar Nocy Listopadowej... W czyjejże piersi nie kwitnie ten czar nad czarami — bowiem czar czynu? Kto w chwilach, gdy dusza pragnie podniety, pokrzepienia, kto wtedy, częstokroć bezwiednie, nie kieruje swych kroków w stronę Belwederu, białego pomnika, kto nie zapuszcza się wtedy w zaułki starych koszar? I kto z tego samotnego obcowania z wizjami przeszłości nie wraca pijany mocą, wiarą w naród, kto nie wraca stamtąd pełen dumy i radości, że jest Polakiem? Czar czynu! Co się ostoi wobec niego? Tylekroć razy już opadały liście z drzew, które słyssały szepty spiskowców, tyle razy jesienne wichry zwarzyły kwiaty porywów duszy polskiej — a pomimo to naród wciąż jest wpatrzony zachwyconymi oczyma w Noc Listopadową. Czar czynu podchorążych podbił duszę polską na wieki, na zawsze wznosił ją na wyżyny niebosiężne, skąd zniża się ona z takim trudem i przeciwko czemu zapala się bunt w tym wszystkim, co jest w Polsce jeszcze młode i piękne. Potęga ogromna tkwi w czynie podchorążych. Bezgraniczna odwaga musiała gościć wszechwładnie w duszach tych, którzy jak burzą przelecieli komnaty Belwederu, którzy odważyli się podnieść rękę na brata najpotężniejszego w świecie monarchy. Nie zabili spiskowcy ciała Konstantego, lecz zabili w nim

coś ważniejszego: dumę i godność żołnierską. Konstanty pod spodnicami frejlin szukający ratunku, nie mógł już być wodzem; cześć i podziw dla swych zuchwałych wrogów zabiły w nim szacunek dla samego siebie. Konstanty i jego pułki, cofające się w popłochu przed garścią podchorążych, byli pierwszą ofiarą ich zuchwałego czynu. Ale czym była potęga Konstantego i jego cofających się pułków wobec innej potęgi, wobec bierności tej większości ogółu, z którą w chwilę potem musieli stoczyć walkę podchorążowie. Czy zna historia nasza a może i całego świata bardziej tytaniczne zapasy, aniżeli te, gdy garść podchorążych przebiegała z płomiennym okrzykiem „do broni” przez senne ulice Warszawy?

Niezwykła to była walka; walka płomiennego entuzjazmu garstki z bezwładem olbrzymiej większości. Rano już arsenał stał pusty; wielotysięczny uzbrojony lud Warszawy stanął w szeregach tej garstki; czar czynu znowu zwyciężył. Od tej chwili, łamiąc niezliczone przeszkody, powstające na jego drodze, poryw czynu powoli ogarnia płomieniem cały naród. Chłopicki, zdecydowany wróg wojny z Rosją, po dwu miesiącach oporu musi ustąpić przed czarem buntu podchorążych; kieruje bitwą pod Grochowem, gdzie budzi się w nim dawny lew. Sejm zaś, gnący się niedawno pod ramieniem carów moskiewskich, zdobywa się na jeden z najwspanialszych gestów pogardy i dumy, detronizując dom Romanowów.

W czym więc tkwił ów nieprzeparty urok czynu tej garstki? Tkwił on w bezgranicznej wierze podchorążych we własny naród. Istotną dźwignią czynu podchorążych, podniętą w pracy przygotowawczej, nie było nic innego, tylko wiara w siłę własnego narodu, w potęgę jego ducha. Podchorążowie, podpalając browar na Solcu, odwoływali się nie do sądów rozjemczych i nie do kongresów, lecz jedynie do własnego narodu, łuną pożarną chcąc go obudzić z drzemki. Bezgraniczna wiara we własny naród panowała wszechwładnie w duszach sprawców Nocy Listopadowej.

Przyszłość wykazała, że ta wiara, ten śmiały ich czyn był mędrzy od najgłębszych rozumowań ówczesnych mężów stanu, polityków i wodzów. Przyszłość wykazała, iż ten czyn szalony był rzeczą nawskroś realną, miał wszelkie szanse powodzenia, i poparty czynem sterników nawy publicznej dałby w rezultacie niepodległy byt i sławę, opromienioną podziwem świata.

I gdyby owi mężowie stanu mieli wiarę w siłę narodu, gdyby i oni odwołali się do niego, jak to uczynili podchorążowie, nie płakalibyśmy potem krwawymi łzami wyrzutu.

Czyniąc wyrzuty pamięci Chłopickich i Skrzyneckich, naród czci głęboko pamięć podchorążych, bowiem jest im bezmiernie wdzięczny za to zaufanie pokładane przez nich w naród. W tej wierze bezgranicznej w siłę narodu tkwi nieśmiertelność czynu podchorążych.

Za to wszystko naród polski będzie po wieki błogosławił płomienny żar duszy Wysockiego, za to będzie błogosławił młodzieńcze ręce, które podpaliły browar na Solcu.

4.

Istotne atoli i całkowite zwycięstwo zaczyna odnosić czyn podchorążych dopiero po powstaniu. Wtedy, gdy zwycięska Rosja szarpała ciało Polski, dusza jej na emigracji żyła coraz bogatszym życiem, wznosząc się na coraz wyższe szczyble.

Nie beznadziejność, nie rozpacz, lecz radosna twórcza praca nad nowym powstaniem jest udziałem wielkiej emigracji, która, pełna wiary w siły narodu, pała pragnieniem odwetu nad wrogiem.

Tu dopiero, na emigracji, czyn podchorążych ogarnia swym rozmachem wszystkich, w całkowite władanie bierze duszę narodu. I gdyby nie było jednej z najpiękniejszych kart w dziejach naszego ducha — dziejów Wielkiej Emigracji — nie byłoby wówczas przepychu romantycznej poezji, nie płonęłyby jasnym blaskiem w skarbcu ogólnoludzkiej kultury myśli manifestu demokratycznego, nie byłoby jednego z najgenialniejszych pomników na świecie, *Powstania Listopadowego* Mochnackiego, ludzkość cała byłaby uboższą o całą twórczość Chopina; i nie zakwitłyby nigdy w niej tak subtelne kwiaty, jak Worcell, Konarski.

Tytan ducha, Mickiewicz, ujarzmiający potęgą słowa miliony, czuł się uboższy przez swą nieobecność w powstaniu, zazdrościł podchorążym i łamał się ze sobą, nosząc do końca życie w swych piersiach przeogromną tragedję, tęsknotę czynu.

Kraśiński, Słowacki, Chopin w swych pieśniach natchnionych cóż innego opiewali, jeśli nie smutek, że rozkosz czynu nie była ich udziałem? Naród polski, naprawdę, umie być wdzięczny; umie być hojny w swej wdzięczności, jeśli wartę pamięci o czynie podchorążych powierzył duchom swych najlepszych genjuszów.

5.

Minęło lat kilkanaście. Nowe pokolenie pod nieobecność w kraju własnych wyższych uczelni, zapełniło uczelnie Petersburga, Moskwy, Kijowa. I oto ta nowa młodzież, której dzieciństwo upłynęło pod grozą rządów Paskiewicza i Murawjewa, lata szkolne pod opieką Muchanowa, przestępując progi obcych wszechnic poczyniała niecierpliwie szukać rodzimego pokarmu. W walce o duszę tej młodzieży urok czynu podchorążych od razu zwycięża wysiłki Muchanowów. Zakazane pieśni wieszczów rozpalały dusze, manifest Towarzystwa Demokratycznego był ich modlitwą codzienną, pisma i druki z emigracji chlebem powszednim, a nadewszystko podbijała, brała w niewolę i wieczyste władanie te młode dusze księga Mochnackiego o Powstaniu Listopadowym, ta księga cudowna, która wprowadzała w upajający ogród niedawnej przeszłości, gdy swoboda tak blisko, blisko patrzyła ojcom w oczy. I cóż dziwnego, że młodzież ta otaczała taką czcią powracających z Sybiru powstańców z 31 roku, z ich ust przyjmując przykazania przeszłości, w ich dłoniach składając żarliwe śluby i przysięgi.

6.

Powstanie 63 roku było bezpośrednim logicznym skutkiem powstania 31 roku. I jakże mogło być inaczej? Każde pokolenie polskie, póki istnieć będzie niewola narodu, pragnąc będzie własnej Nocy Listopadowej, każde będzie chciało żyć nie tylko wspomnieniem czynu cudzego, lecz zrodzić czyn własny, którego czar byłby stokroć silniejszy, bo to byłby czar czynu zwycięskiego.

Tragizm powstania 63 roku tkwi w prowokacji Wielopolskiego, która odjęła mu od początku wszelką nadzieję zwycięstwa.



W tym, iż powstanie 63 roku w przeciwieństwie do poprzedniego nie miało ani przez chwilę ani wiary w powodzenie, ani wiary we własne siły, tkwi przyczyna, że zamiast nowego renesansu duchowego, jakim były dzieje Wielkiej Emigracji, wydało ono Stańczyków w Galicji i Pozytywizm w Warszawie. Wówczas wydać się mogło, że umarł, zginął nimb czynu podchorążych.

7.

Kilkadziesiątletnią ciszę przerwała wojna rosyjsko-japońska i w ślad za nią idąca rewolucja 1905 roku: pierwsze grzmoty, zwiastujące burzę. My, pokolenie dziś zwartą ławą idące w życie, wówczas będąc jeszcze na ławach gimnazjalnych, obserwowaliśmy jeno skutki tych pierwszych wstrząśnień; byliśmy jeno widzami tej bezmyślnej anarchji, której na imię rewolucja 1905 r.; byliśmy jeno świadkami szamotania się tego pokolenia, które wyrzekło się testamentu przodków, oświadczając cynicznie, że „nie nęca go wawrzyny Chrobrych i Batorych”, że „nie chce mieć ani własnych żołnierzy, ani bitew, zwycięstw i zaborów, ani parlamentów i ministrów”. Niezrozumiałe i obce dla nas było to pokolenie. Rewolucja 1905 roku przestrzegła nas młodocianych wówczas widzów, jak straszny bywa los narodu, który *nie chce* mieć ani własnego państwa, ani własnego żołnierza.

8.

Znowu, w braku własnych wyższych uczelni w kraju, rozbiegliśmy się po całej Europie i Rosji. I oto tam, na tej nowej emigracji młodzieży, zaczyna odkwitać ruch niepodległościowy, stawiający dumne hasła odbudowy państwa, wojska polskiego, walki zbrojnej z Rosją. Skąd brał podjętą ten ruch nowy a śmiały, budzący takie paniczne przerażenie wśród starszego pokolenia? My szliśmy w życie pod znakiem idącej burzy. Czuliśmy tę dziejową burzę młodym instynktem; nie baliśmy się jej; przeciwnie, sama o niej myśl była nam pociechą; modliliśmy się do niej całą mocą duszy, z dreszczem świętej radości oczekiwania wyciągaliśmy do niej nasze młode, spragnione oręża dłonie. Burza... burza dziejowa się zbliżała, burza mająca strzaskać mury cmentarne otaczające polską ziemię. Trzeba było tylko szukać dróg, trzeba było tylko szukać wskazówek. Lecz któż miał nam je dać? W każdym razie nie starsze pokolenie, które oznajmiło, że „niczego nie oczekuje od przewrotów politycznych”. Pokolenie 63 roku? Czujemy głęboko i święcie pamięć tych bohaterów, rozumiemy cały heroizm rozpoczynania walki, zgóry skazanej na klęskę, podziwiamy nadludzki upór Traugutta, żelazną energję Bosaka, pralechicką świetlaność ks. Brzózki, lecz od tych wszystkich postaci wionęła rozpacz beznadziejnej doli. My zaś pragnęliśmy nie tylko walki, lecz walki zwycięskiej. Zwycięstwo! Cały urok tego słowa bije z czynu podchorążych. Oni to, ci młodzi sprawcy, Nocy Listopadowej, owdłonęli naszymi duszami, stali się powiernikami naszych najzuchwalszych marzeń. I nigdy, nigdy te postaci ukochane nie zdradziły naszych marzeń: powstały bowiem z tych samych źródeł, z których płynęła nasza wiara: wiara w uśpione siły narodu, w siły uśpione, lecz bezgraniczne.

9.

Rozpętała się upragniona burza i w świetle jej błyskawic zabłysnął i miecz polski; o świcie dnia 6 sierpnia r.

1914 przekroczył granicę oddział strzelców i w imieniu Polski ogłosił wojnę Rosji. W czym czerpał on podjętą dla swej odważnej decyzji, skąd płynęła wiara w zwycięstwo wśród tej garstki uzbrojonej w jednostrzałowe karabiny, garstki, nie posiadającej ani mitraljez, ani artylerji, ani konnicy? Moralny nakaz podjęcia tego czynu dała znowu ta sama, co ongi, wiara w siły narodu, wiara, że dostatecznie do niego się odwołać, a da on broń, amunicję, da przez swój zapał, przez swoją ofiarność i tęsknotę do wolnego życia.

Strzelcom bowiem, przekraczającym granicę 6 sierpnia, wskazywały drogę cienie Wysockiego i Padlewskiego.

10.

Jak kilkadziesiąt lat temu garstka podchorążych zmagła się z biernością ogółu i była bliską zwycięstwa, tak teraz garstka strzelców wypowiedziała znowu wojnę nie tylko Rosji, lecz i bierności ogółu i tym razem musi zwyciężyć, bo wcześniej czy później czar śmiałego czynu musi zwyciężyć. Ogarnął ten czar całkowicie Galicję, która niepodjętą przez Królestwo inicjatywę Strzelców wzięła na siebie, tworząc Legjony, to jest to, na co pozwalała jej sytuacja. Nie wiemy, jaki będzie los Galicji i Królestwa, lecz wiemy, że czar czynu 6 sierpnia poprzez Legjony nazawsze stopił w jedną duchową całość młode pokolenia Królestwa i Galicji. Lecz jeśli czyn 6 sierpnia zdobywa powoli chorą duszę starszego pokolenia w Królestwie, to cóż mówić o naszym młodym pokoleniu? Ci z nas, którzy nie zaznali szczęścia być w szeregach Legjonowych, stanęli na straży ich czci i honoru, moralnie solidaryzując się z ich czynem. Nigdy—wiemy to—nie posiadziemy tego skarbu, który stał się ich własnością: zasługa to ich, że mieli odwagę pierwszej decyzji. Czyn ich czarem swoim owionie czoła przyszłych pokoleń, budząc w nich wielkie tęsknoty, wielkie pragnienia; legenda będzie się rodzić wokoło nich — rycerzy 6 sierpnia. „Są czyny mędrsze od najgłębszych rozumowań”. Istotnie: czy wobec historii nie okaże się stokroć mędrszym kuchcik przy kuchni polowej przekraczającego 6 sierpnia granicę oddziału od najwytrawniejszych polityków warszawskich, posyłających wiernopoddańcze telegramy?

11.

Obecnie Legjony po dwu latach bohaterskich zapasów wstępują w dobę przemiany, połączonej, jak każda przemiana, z kryzysem. Przy tej okazji ujawniło się, jak wiele w społeczeństwie nagromadziło się miłości i przywiązania do tych zaczątków polskiej siły zbrojnej. Ujawniło się to w niepokoju o dalszy ich byt i postęp na drodze do wyłonienia armji polskiej na usługach polskiego rządu. Już cały naród żył się z Legjonami; lecz ogół Królestwa kochał je dotąd egoistyczną miłością człowieka słabego. Dla ogółu Królestwa, chorego na bierność, na niewiarę, Legjony były lekarstwem, wlewającym w jego leniwe tętnice nowe soki. Dziś ogółowi Królestwa straszno jest na myśl, że mogłoby zabraknąć mu tego cudownego lekarstwa. Wszelako zapomina ogół ten w swoim egoizmie, że tym jego lekarstwem była krew Legjonów, które wzamian od niego dotychczas za mało miały poparcia. My atoli, młode zdrowe pokolenie, nie potrzebujące żadnych lekarstw, nie trwożymy się o los Legjonów, bo wierzymy, że są one nie u proga zaniku, lecz w przededniu przekształcenia się na wyższą,

tak upragnioną przez nas wszystkich formę armji. My, którzy wydaliśmy Legjony ze siebie, którzy całym naszym jestestwem zrosiliśmy się z nimi, nie możemy inaczej myśleć, bowiem śmierć Legjonów byłaby śmiercią duchową naszą — całego pokolenia dziś wstępującego w życie. I dlatego my gorąco wierzymy, że niedaleka jest ta chwila, gdy powstanie państwo polskie, którego rząd, opierając się na Legjonach, przystąpi do tworzenia armji, która w wojnie przeciw Rosji nowe wawrzyny wplecie w dzieje oręża polskiego. Dziś na nas, którzy nie zaznali jeszcze szczęścia walki zbrojnej z orężem w rękę, pierś w pierś przeciwko Rosji, przychodzi kolej. My pożądamy tej walki. Starsze pokolenie, stojące u steru nawy publicznej, to pole musi nam otworzyć, pole czynu i chwały całego narodu.

*Przedpłata „WIDNOKRĘGU“ wynosi w Warszawie, wraz z odnośnieniem do domu, miesięcznie kop. 85; kwartalnie rb. 2 kop. 50; rocznie rb. 10. Z przesyłką pocztową kwartalnie rb. 3; rocznie rb. 12.*

*Za zmianę adresu dopłaca się kop. 20.*

*Administracja, prócz niedziel i świąt, otwarta codziennie od godz. 10 rano do 2 pp. i od 5 do 7 wiecz.*

*Redakcja, prócz niedziel i świąt, otwarta codziennie od godz. 6 do 7 pp.*

*Rękopisy nie przyjęte są do odebrania w redakcji w ciągu 3 miesięcy. Potym ulegają zniszczeniu.*

*Dla studentów i nauczycieli ludowych 25% ustępstwa. Cena numeru oddzielnego w Warszawie i na prowincji kop. 25.*

STANISŁAW ŁĄG.

## Młodzież akademicka na wszechnicach warszawskich w pierwszym roku ich istnienia.

1.

Rozpoczyna się drugi rok akademicki. Wszechnice warszawskie przestały być marzeniem, problematem, efermerydą — stanęły bowiem w rzędzie normalnych, a niezbędnych dla nas instytucji społecznych. Dzisiaj już trudno jest wyobrazić sobie Warszawę bez polskiego uniwersytetu i bez polskiej politechniki. Wrosły one w psychikę naszej stolicy i im dalej, tym więcej węzłów zadzierzgnąć się musi, więcej zależności i wpływów powstać.

A wpływy to będą obustronne: znów przypadnie w udziale Warszawie wpływać na polską młodzież akademicką, oddziaływać na ów okres życia całego pokolenia, gdy tworzy się poczucie obywatelskie i przygotowują społeczne

przesłanki, ale jednocześnie młodzież ta stanie się sumieniem Warszawy, jako najbardziej wrażliwy i najbardziej palny materiał ludzki nauczy ją reagować silnie na ucisk, oburzać się, nienawidzić i kochać. Bo w ciągu lat ostatnich Warszawa umiała tylko czekać i liczyć — dodajmy od siebie — liczyć fałszywie.

Jeżeli zwrócimy jeszcze uwagę na znaczenie wszechnic jako nowych ognisk życia umysłowego w Polsce, na nadzieje, które muszą być złożone w sprawności kulturalnej naszej przyszłej inteligencji — wprost niezrozumiałym wyda się ten brak zainteresowania szerszych warstw społeczeństwa w stosunku do młodzieży akademickiej.

Informuje nas co prawda prasa o profesorach i wykładach, kołach naukowych i samopomocowych politechniki i uniwersytetu, ale jakże mało wiemy o życiu tej młodzieży, o prądach i nastrojach, jakie ją ogarniają, o jej zapartywaniach i dążeniach.

Jeżeli dawniej rozumiałe jeszcze było owo chłodne traktowanie spraw młodzieży<sup>1)</sup>, pewne nieliczenie się z niemi wobec spraw, jak się zdawało, bardziej naglących, dzisiaj, gdy młodzież polska odgrywa pierwszorzędną rolę w naszym narodowym życiu, gdy jej postawa niedwuznacznie przekonywa o dojrzałości myślowej i mocy postanowień, stosunek ten winien uleść zasadniczej zmianie. Nie chcę rozstrzygać, czy młodzież nasza zasłużyła na wyrzut czy chwałę, karę czy nagrodę, bo w każdym razie nie zasłużyła na ignorancję.

Mówmy tedy o niej i starajmy się ją poznać!

2.

Dwa strumienie składają się na ideologję każdego pokolenia młodzieży. To dążenia, jakie w danym momencie nurtują społeczeństwo starsze z jednej strony, a dotychczasowy rozwój dążeń specyficznie młodzieży z drugiej. Bo ideologja tego zbiorowiska, które nazywamy młodzieżą, ma swą odrębną historję, swą własną wytyczną i każde pokolenie odnajdzie tam gotową już budowlę pojęć, którą w ten lub inny sposób przekształcić się stara. Miarą wartości danego pokolenia będzie — jak sądzę — wypadkowa ze wzajemnego ustosunkowania tych dwóch prądów wpływająca: im dobitniej umie młodzież przeciwstawić się poza nią rodzącym się nastrojom, im mniej przystosowuje się do opinji publicznej, a z większym poświęceniem i uporem tka nić swej własnej historii, możliwie samodzielnie stwarza swój stosunek do otaczającego świata — tym jest silniejsza, tym jest bardziej wartościowa i z pewnością więcej wniesie w przyszłości do kultury swego narodu.

Dlatego też wartościową nazwać należy młodzież socjalistyczną lat 80-ych, stwarzającą wbrew ówczesnym nastrojom pozytywizmu mieszczańskiego — pierwszy „Proletariat“, młodzież narodową, gdy zerwała się ze swą potężną protektorką, endecją, w imię walki o szkołę polską, wreszcie tę młodzież, która w roku 1914-tym szerzyła u nas hasła niepodległości; a słabą bezwzględnie jest ta część, co wróciła po strejku na apel dmowszczyzny do szkół rządowych i ta, tchórzliwie uciekająca przed palącymi zagadnieniami narodowymi, i ta, porwana przez han-

<sup>1)</sup> Dość przytoczyć, że poza nielicznymi zresztą artykułami posiadamy w tym zakresie zaledwie jedną źródłową, acz jednostronną pracę — Scriptorę.

dlarskie rozpasanie antysemityzmu, i ta, z nieufnością i lękiem spoglądająca na legjony.

Nie chodzi tu o przekonania i nastroje, a jedynie o tę zasadniczą nutę przeciwstawiania się najogólniejszym chociażby prądom, jeżeli tylko są one wytworem słabości lub reakcji.

Przystępując z taką miarą do młodzieży wszechnic warszawskich, stajemy wobec zjawiska w pierwszej chwili bodaj zagadkowego: zda się, że mamy tu do czynienia nie z jednym, ale z dwoma różnymi pokoleniami. Naprzód bowiem napotykamy grupę, której pewne przejawy działalności świadczą o szerokich planach i możliwościach; całość ich pracy jednak w pewnej tylko mierze odpowiada tym rysom. Z drugiej strony istnieje zbiorowisko, którego wartość jest żadna. Zbiorowisko, które, jakkolwiek stanowi dość wielką odsetkę, nie zaważyło w przeciągu całego roku na życiu akademickim nawet swą liczbą, nawet swem istnieniem. Ten wyraźny kontrast tłumaczy się przy głębszym zastanowieniu różnorodnością źródeł, jakie się na dzisiejszy ogół akademicki w Warszawie złożyły.

Słuchacze wszechnic warszawskich werbuja się:

a) z byłych studentów uniwersytetu i politechniki rosyjskiej w Warszawie;

b) z abiturjentów rosyjskich szkół rządowych;

c) z abiturjentów szkół polskich;

d) z byłych studentów uniwersytetów zagranicznych, galicyjskich oraz rosyjskich w Rosji.

Pochodzenie to już *a priori* określa cztery a raczej trzy (gdyż grupa a i b jest właściwie identyczną co do swego pochodzenia) odrębne grupy o różnym światopoglądzie, różnej dynamice a przedewszystkim wartości.

Przejdźmyż do każdej z tych grup z osobna.

### 3.

Wychowawców b. szkół rosyjskich średnich oraz wyższych znajduje się na uniwersytecie warszawskim mniej więcej 25%. Jeżeli nawet odliczymy od tego trzecią część, t. j. tych wszystkich, którzy dalecy są od poczuwania się do polskości — pozostanie jeszcze pokaźna reszta.

Ta reszta służyć może za jaskrawą ilustrację szkodnictwa gimnazjów rosyjskich. O ile bowiem szkoła rządowa przed strejkami obok wielu złych stron posiadała tę jedną dobrą, że uczyła głęboko nienawidzić siebie i tej całej gęby, z jakiej wzrastała, o ile była ona bezlitosną ogniową próbą, w której karleli i wypaczali się wszyscy słabi, ale silni zato zdobywali hart i wolę do walki — to gimnazjum rządowe (i szkoły tegoż pokroju — „z prawami”) nie dało nic, prócz jednego wielkiego nieporozumienia.

Nieporozumienie to rozplýwało się w całym morzu innych, które w sumie składały się na nasze życie w Królestwie; możliwem nawet było, że ci, co kończyli szkoły rosyjskie, nie odczuwali całej głębi, a w każdym razie nie uświadamiali sobie tej inności.

Jakaż byłaby jednak wartość tego pokolenia, gdyby zdążyło ono wyjść na arenę życia obywatelskiego?

Na szczęście nie zdążyło. Nadszedł rok czternasty, a z nim wybuch wojny europejskiej. I naraz ci wszyscy, którzy, bądź co bądź, czuli się parjasami, którzy przyznawali się do winy, a tylko pomniejszyć lub wytłómaczyć ją się starali, ci wszyscy — wychowawcy szkół rosyjskich — przemienili się naraz w świetnych patriotów, stali się doskonałymi polakami — ba, kto wie, czy nie lepszymi od

swych rówieśników ze szkół polskich, co bunt podnieśli przeciw słowiańskiej Matce-Rosji, na uniwersytety niemieckie i austriackie wyjeżdżali i, o zgrozo, szykowali jakoweś strzeleckie czy sokole drużyny! Wbrew ich woli — wbrew woli narodu!

Te i tym podobne motywy wdrażać się poczęły do umysłów młodzieży gimnazjalnej; ogólne podniecenie bardziej jeszcze przyczyniło się do obudzenia pewnych ambicyjek, które dość obfitą karm znalazły w pracy filantropijnej, organizowaniu oddziałów sanitarnych i wreszcie drużyn „kainowych” (zastrzegam się, że w jednostkach, które na tle tamtych nastrojów wstępowały do drużyn Gorceżyńskiego, widzę „mimo wszystko” materiały najbardziej wartościowe). Ambicyjki te nie stworzyły żadnej ideologii, nie oparły się na żadnych przesłankach natury społecznej; zniknęły pod wpływem warunków lub... wywakuowane zostały.

Tymczasem przeszły nad Warszawą dni sierpniowe, minęło te parę tygodni daremnego wyczekiwania na „tate”, który solennie o szybkim powrocie zapewniał, i oto w listopadzie tegoż samego, 1915-go roku znalazła się na polskim uniwersytecie w Warszawie owa reszta — stu kilkudziesięciu wychowawców szkół rosyjskich.

Znając ich historję — łatwiej pojąć ten ich ogólny charakter; a najwybitniejszą cechą będzie tu wyraźny zanik zmysłu społecznego: ludzie ci jakgdyby nie pojmują, czym jest wysiłek zbiorowy, dlaczego się przejawia i ku czemu dąży. Ich bierny stosunek do najrozmaitszych kół i ugrupowań akademickich, między innymi, wytłumaczony być winien nieufnością; nie odnajdując w sobie żadnych dążeń do zbiorowych prac, żadnego zrozumienia innych celów, prócz bardziej lub mniej szeroko pojętej kariery, widzą oni w najpoważniejszych nawet zapoczątkowaniach zabawę lub pozę. Sami żadnych ściśle akademickich ugrupowań nie tworzą i, jak to już zaznaczyłem, nigdzie swą współzależnością na charakter koła czy instytucji nie wpływają.

Trudno, oczywiście, w takich warunkach powiedzieć coś konkretnego o ich ideologii: zda się, zastępuje ją wciąż jeszcze — dezorientacja. Jedni z niewyczerpaną tęsknotą wspominają dni swej chwały z roku zeszłego i pozazeszłego; ich argumenty polityczne pachną szumnymi frazesami panslawistów rosyjskich (inclusive... Iłowajski!) oraz nie mniej szumnymi wiernopoddańczymi ogólnikami naszej prasy w owym pamiętnym roku. Inni, pojmując śmieszna niekonsekwencję takiego stanowiska u obywatela polskiej wszechnicy w Warszawie, starają się przystosować do warunków swój światopogląd, odwracając go do góry nogami; ale jakkolwiek wyraźnie uzewnętrzniają swą antyrosyjskość, jakkolwiek pilnie wysilają się w kierunku „dekoracyjnego” patriotyzmu — ani orzełki w klapach surdutowych, ani soczyste wymyślenia na nieobecnych nie pomagają do odnalezienia nowych wartości dla siebie.

I nieliczni tylko pojmują, że droga do polskości to nie podstawienie innych znaków w zdaniu logicznym, nie przewartościowanie swych politycznych ideałów, nie pojedyncza ekspijacja nawet, ale droga to Rozłuckich, zmusna, ciernista i długa, którą jednak przejść trzeba. Ci nieliczni — to ocaleni dla naszych spraw narodowych. Ocaleni przez polską wszechnicę.

(D. n).



WIEPRZ. A to ci dopiero fryc.  
 PIES. Ej, kumo, niech się pilnuje ten chłystek...  
 ST. KOPYŁA. Jam nic nie winna. Robota ligistek...  
 PIES. Da mu pan obroku suto,  
 Potem raz, drugi szpicrutą,  
 To się zaraz odnarowi.  
 A tymczasem bądźcie zdrowi.  
 Idę zatem...  
 WIEPRZ. Poradź wprzód, co czynić z batem.  
 PIES. Bat! batunio! mój batożek!...  
 Dusza skamle, gdy nań patrzę:  
 Święte prawo, które orzekł,  
 Co wypisał — nic nie zatrze.  
 Że poskramia krew junacką —  
 Uszanujcież wy to cacko!  
 Z pietyzmem bat przechowacie —  
 Tata wróci — dacie tacie.  
 KOTKA (*wchodząc*) Murmiau, murmiau...  
 PIES. Wr... wr... czego?  
 KOTKA. Słyszałam, pana idziesz szukać naszego.  
 Bardzo się cieszę...  
 PIES. Precz fałszywe zwierzę!  
 Ani słowa ci nie wierzę.  
 Bo czyż ty jesteś do pana  
 Chociaż trochę przywiązana?  
 Nie bój się! Rozumiem wszystko:  
 W duszy jesteś anarchistką.  
 KOTKA. A pan mnie jednak kocha i głaszcze, i pieści...  
 Widzisz, a co! Na łańcuch nie bierze, jak ciebie...  
 Szanuje mój wdzięk niewieści;  
 Nie trzyma o suchym chlebie;  
 Mleczko mi daje, łakocie...  
 PIES. A ty fałsz tylko i pazury kocie.  
 KOTKA. A tak, a właśnie... Mam serce kobiece:  
 Kto na mnie leci, na tego nie lecę.  
 PIES. Czy słyszycie?... Nie chce go.  
 WÓŁ. Nie chce.  
 WIEPRZ. Nie chce pana!  
 KOTKA. Mylisz się, trzodo kochana!  
 Gdy zwłaszcza na was patrzę, lube wieprze,  
 Pamiętam, że ja także miałam czasy lepsze.  
 Murmiau! Za panem też tęsknotę czuję.  
 WIEPRZ. Czegóż ty się spodziewasz?  
 KOTKA. Że mnie poczęstuje...  
 Murmiau! wieprzuniu, murmiau! mój milutki!  
 Jakiś ty apetyczny, ach! jaki tłusciutki...  
 Nie żałowałeś sobie, wciąż łażyłeś w szkodę.  
 Wiesz, dobrze to wpłynęło na twoją urodę.  
 Murmiau! Ach, lubię ciebie pasjami, pasjami!  
 Wróci pan — mam nadzieję — trochę z ciebie da mi.  
 WIEPRZ. Co?  
 KOTKA. Już dziś, gdy cię widzę, aż mi bije serce  
 Na myśl o sperce...  
 Kiedy wspomnę te skrawki, żyłeczki, słoninę,  
 Pętykam ślinkę.  
 Więc się nie dziw, wieprzuniu, że tęsknotę czuję,  
 Bo, jeśli pan nie wróci, któż cię zaszlachtuje?  
 PIES. Milcz, nikczemna! Wrowadzisz znów dezorientację.  
 KOTKA. A nie chciałbyś kadryla dostać na kolację?

Autor. Pies pogonił za kotem.

Zwierzęta zmartwione

Rozeszły się: Wół w jedną, wieprzek w drugą stronę.

Niedarmo kot przypominał im, że w dobrych czasach  
 Tak często była mowa o szynkach, kiełbasach,  
 O mortadeli, o pieczeni z różną...  
 Że atmosfera panowała trwożna...  
 Nikt nie był życia pewien. Niewinny baranek  
 Ciągłe się lękał do szlachtuza branek...  
 Każda maciora dobrze też pamięta  
 Te obcym farszem nadziane prosięta...  
 Prawda! W oborze panował dostatek,  
 Ale cielęta wprost od wymion matek  
 Gnano do jatek...  
 Chodzi więc trzoda znów zafrasowana:  
 Poco kazała psu iść szukać pana?...

Akurat onej podobien jest trzodzie,  
 Kto woli ciastka w jarzmie, niż chleb na swobodzie.

GROMICZ.

## „Najlepsi”.

*Marjan Zbrowski.*

Śród tej zacnej jałowizny duchowej, jaka w Radzie się rozsiadła, p. Marjan Zbrowski należy do owych rzadkich jednostek, na których wybredny nawet psycholog mógłby dla siebie znaleźć trochę pożywienia. Nie jest harfą wielostrunną; dusza jego od lat 20-stu dźwięczy tymi samymi wciąż kilku strunami, ale przecież nie są to struny drewniane, i bądź co bądź, sroila je dłoń kultury nowoczesnej.

Dzisiejsi przeciwnicy ideowi zarzucają panu Zbrowskiemu zmienność przekonaniową, upatrując w nim raczej adwokata różnych przekonań politycznych, niżli ich wyznawcę. Powołują się przytym na kolejne fazy w dziejach politycznych tego socjalisty na ławie uniwersyteckiej, rewolucjonisty w roku 1905, postępowego demokracji w r. 1907, wolnomyśliciela w r. 1909, marylszczyka i konserwatysty w r. 1916. Wszelako wszystkie te zmiany, łudzące pozorami jakowejś ewolucji, w gruncie świadczą o jednym: świadczą, że był on zawsze sobą. W okresie swej rewolucyjności był on na tyle marylszczykiem, na ile w obecnym okresie marylszczyzny pozostał — rewolucjonistą. Dzielił go podówczas ten sam dystans od Kazimierza Krauza, jaki dzisiaj dzieli go od przywódców stronnictwa narodowego, ten sam wreszcie dystans, jaki dzielił go od czystych krynic poezji wówczas, gdy — drukował swoje wiersze w *Sfinksie* pana Bukowińskiego.

Pan Zbrowski uchodzi pono dzisiaj w kołach ósmo-klasistów oraz dorastających pensjonarek za czarny charakter: nie mogą mu przebaczyć srogie oczy młodocianych sędziów tej zbrodni, jaka urasta przed trybunałem ósmej klasy do szczytów zbrodniczości: zdrady „młodzieńczych ideałów”. Ale kto wyrósł z ósmej klasy, ten wie, że zdradzić ideałów młodzieńczych niepodobna. Ideałów można nie mieć. Sprzeniewierzyć im się nie można.

Ideały, t. zn. pewne określone nastawienia dążeń w naszej osobowości, bywają częścią naszej natury: tkwią w temperaturze naszej krwi, w tętnie serca, w zwojach mózgu, w skali oddechu, w rozlewności naszej siły twórczej.



# WID NO KRAG

№ 15 (R. II) Warszawa, 28/X 1916

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 7. — TELEF. 158-90.

**TREŚĆ:** WINCENTY RZYMOWSKI: Karmazyn Warszawy. — STANISŁAW ŁAG: Młodzież akademicka na wszechnicach warszawskich w pierwszym roku ich istnienia. — Rezolucja z dnia 22 października. — Ogłoszenia. — Książki nadesłane do redakcji.

W. RZYMOWSKI.

## Karmazyn Warszawy.

1.

Czym byłby powrót zwycięskiej Rosji w granice dawnych jej zaborów? Czym stałby się parowy walec rosyjski, wkraczający na nowo w granice Litwy i Polski? Przed odpowiedzią na to pytanie nie wolno cofać się dlatego tylko, że odpowiedź brzmieć musi krwawo i potwornie.

Czym bywała powrotna fala rosyjskiego zalewu, fala tylekroć odpierana, lecz ostatecznie nigdy nie odparta, wiemy z doświadczenia historii: w roku 1795, łamiąc powstanie Kościuszki, pochłonięła ona resztki państwa; w roku 1831, łamiąc powstanie Listopadowe, zniosła resztki armji; na gruzach wreszcie ostatniego powstania w roku 1864 rozbiła resztki naszej organizacji cywilnej.

Cóż miałyby do pochłonięcia teraz, po zniweczeniu tyłu szanów uprzedniego oporu, coź miałyby do pochłonięcia, prócz ogniska naszej samowiedzy narodowej, prócz zdobycia tej ostatniej twierdzy, w której się Polska żywa

zamknęła, tej ostatniej twierdzy, którą jest serce czującego Polaka, serce Polaka, czującego ból i upokorzenie ojczyzny?

I jakież to nazwiska nowe na brzeg rozpaczy naszej wyrzuciłaby tym razem fala powrotnego najazdu, jakież imiona i nazwiska zaryłyby się w dno naszej rozpaczy, ażeby zbladła wobec nich pamięć szturmów Suworowa i pogromów Paskiewicza? Linja, idąca od krwią oblanej Pragi, poprzez rządy mikołajowskie ku tej niemej nocy ostatniego półwiecza, gdy jedynym głosem Polski był stłumiony jęk podziemi, o których nikt nie ważył się orzec, czy był jękiem ludzi żywych, czy echem pomordowanych, i czy z więziennego wydzierał się lochu, czy z cementarza, ta linja w ciągu stulecia idąca poprzez wszystkie nasze pobojo-wiska i wszystkie nasze bezimienne mogiły, u jakież gwiazdy nowego Murawjewa się urwie, pod jakąż ostatnią szubienicą się zatrzyma?

Kto zna stosunki wzajemne Polski i Rosji w ich przebiegu dziejowym, kto zna duszę Rosjanina i duszę rosyjskiego państwa, ten nie może narodu polskiego łudzić co do charakteru tego spotkania, jakie między Rosją a Polską nastąpiłoby na gruncie przywrócenia rosyjskiego zaboru w Warszawie, Wilnie i Lublinie. Spotkanie to od pierwszej chwili nabrałoby znamion brutalnego starcia. Pierwsze zamienione wyrazy, jeśli nie dwa pierwsze skrzyżowane spojrzania, stałyby się wypowiedzeniem sobie śmiertelnej walki, czyli stałyby się dla nas zapowiedzią śmiertelnego wyroku, gdyż odtąd pozostalibyśmy w stosunku dziejowego *sam na sam* kata z ofiarą.

Nieco więcej nad rok jeden upłynęło od chwili ustąpienia Rosjan z ziemi polskiej, rok jeden po stu latach twardego i prawie nieustannego jarzma, a jakże głębokie zaszły na tej ziemi zmiany: jakże odmieniło się oblicze kraju, jakże szybko odmienia się oblicze Warszawy. Czyż mam dodawać, że zmiany te idą w kierunku coraz żywszego potęgowania się poczucia samoistności własnej, wyłączonej wszelką zależność niewolniczą od obcych ośrodków państwowych, poczucia, kopiącego coraz głębszą przepaść między Warszawą a Moskwą? Gdyby Rosjanie byli wrócili do Warszawy nazajutrz po swym ustąpieniu, czuli by się wówczas zakłopotani tym, co zastali; być może tylko zlekka podrażnieni; ale gdyby wrócili byli po roku, już musieliby wracać — wściekli. Gdyby wrócili byli po roku, gdyby wrócili dziś lub jutro, już musieliby ujrzeć dzieło swej pracy stuletniej zachwiane w posadach, już napotkaliby zewsząd buchający hymn niepodległości.

Pierwszy żołnierz rosyjski, wkraczający w ulice Warszawy, spytałby co znaczą srebrne orle skrzydła na bramie Uniwersytetu: któżby się znalazł pośród nas, ktoby mu skłamał, że to nie jest lecący w słońce orzeł, godło nieuskromionej dumy narodu, ale ślepa sowa, do więziennego mroku nawykła? Tenże żołnierz, zaledwie odwróciwszy głowę, musiałby spytać znowu, gdzie podziała się ulica hr. Berga? I, znowu, któżby się znalazł pośród nas, ktoby próbował gniew jego przebłągać wymówką, że, straciwszy nazwisko Berga, cofnęliśmy się przed nazwiskiem Traugutta?

Wymówka taka nie rozbroiłaby jego gniewu, ale do gniewu dodałaby — pogardę... Pierwszy żandarm rosyjski, jakiś świeża autonomję urządzający świeży Nowosilcow, wszedłszy na Powązki, spytałby co znaczy pomnik wystawiony *pięciu poległym*, poległym przecież nie za ideały autonomji lub samorządu, ale poległym w buncie przeciwko wszelkim darom Moskwy. Czyżbyśmy się tego pomnika zaparli? Czyżbyśmy się zaparli tej krwi ojców przed okiem rosyjskiego żandarma, odmierzając mogiłam ojców i dziadów naszych tyle tylko czci, na ile pozwolił manifest wielkiego księcia Mikołaja, nakładający na „marzenia” przodków rodzaj rządowego sekwestru? . . . . .

. . . Czyżbyśmy zaparli się krzyża, poświęconego na grobie dyktatora ostatniej naszej wojny z Rosją?

Od pomników i godeł zwróćmy się ku wnętrzu życia, ku żywej treści naszych dążeń, wcielających się w instytucje miejskie i krajowe, w zrzeszenia polityczne i społeczne, w kadry wreszcie wojskowe. Ogarnijmy okiem tę zaródź powstającej nanowo naszej państwowości i pytajmy, jakby chrzest moskiewski wypadł dla tych dążeń i dla tych organizacji? Jakimż echem odebrzmiałby w sercu Rady Miejskiej pierwszy krok Moskale, wstępującego na Ratusz warszawski, jakimż odebrzmiałby on echem w tej sali, gdzie potrzykroć rozlegały się okrzyki na cześć Polski Niepodległej i gdzie manifest mikołajowski przekreślono uroczystie obwieszczeniem państwa polskiego za cel najwyższy polskich usiłowań! Czyżby deklarację Rady Miejskiej i zawartą w niej uchwałę, stwierdzającą dążność do odbudowy Polski Niepodległej na gruzach władztwa rosyjskiego, uchwałę tę, powziętą za zgodą połączonych stronnictw politycznych w Polsce, czyżby, powtarzam, tę deklarację ktokolwiek wśród nas ośmielił się przedstawić wkraczającym forpocztom Rosyi za rzecz, nadającą się do... pobłażliwości; za rzecz, która nie z krwi i z ducha naszego wyrosła, ale z lekkomyślności i swawoli, ze swawoli i niedozoru? Rosja, zapewne, wiele wybaczyć mogłaby swym poddanym, widząc ich ogarniętych skrucą; nasamprzód jednak spytałaby, gdzie są ci jej poddani, i—odpowiedzi czekałaby naprózno, bo niema już pośród nas poddanych rosyjskich: są tylko poddani Królestwa Polskiego. Wracając w poddaństwo moskiewskie, z jakimż wracalibyśmy uczuciem; czy jak syny marnotrawne, po chwilowym zbłąkaniu, przychodzący głowę złożyć na łonie wschodniej słowiańszczyzny, czy jak bezwolne ofiary przemocy, którym razem z nazwą narzuca się duszę, razem z paszportem przekreśla się serce?

Żołnierz rosyjski, włamujący się w granice Polski, musiałby na samym wstępie zdeptać nasze najświętsze uczucia; musiałby sponiewierać i zdeptać najwyższe nasze wartości narodowe, najważniejsze zadatki i rękojmię naszego odrodzenia: Legjony razem z wcieloną w nich ideą walki zbrojnej o niepodległość, dążenie do oparcia bytu narodowego na jego własnej sile, dokumenty genjuszu organizacyjnego, dokumenty tężyzny i bohaterstwa na polu wojny: wszystko to musiałoby u stóp armji rosyjskiej lec, jako

przedmiot rozgromu lub ułaskawienia, to jest: jako zbrodnia lub padlina. I być może, iż Moskale, upojeni tryumfami, okazaliby się teraz równie wspaniałomyślni, jak sto lat temu, gdy zmoogli Napoleona; być może, wybaczyliby nam krew i męztwo Legjionów; wybaczyliby nam krzyż Traugutta i w rupieciarnię zapomnienia łaskawie rzuciliby deklarację Rady st. m. Warszawy z jej wyrazami hołdu dla tych wszystkich synów cjezyny, którzy od lat 150 o niepodległość przeciw Rosji walczyli; być może, Moskale byliby gotowi wszystko to nam wybaczyć, na wszystko zapuścić zasłonę, pod warunkiem, rzecz jasna, aby już o tym wszystkim nigdy więcej mowy w Europie nie było.

Wszelako, Rosja, wybacząc tak wiele, nie wybaczyłaby nam jednej rzeczy: prawdopodobnie nie wybaczyłaby nam tego okresu swej chwiejności, tej godziny lęku, który ją ogarnął w dzień rozpoczęcia wojny i który jej nie cpuszcza dotąd, lęku przed utajoną siłą polskiego narodu. Rosjanie nie przebaczyliby nam swej panicznej ucieczki w pierwszym dniu wojny, albowiem nie przebacza się nikomu widoku własnej słabości. Rosjanie nie zapomnieliby nam nigdy tej zwierzęcej trwogi, która ich poderwała ze spokojnego żerowiska, jak szarańczę z pola kłosów i gnała takim przemożnym nakazem na wschód, iż zdawało się, jakoby pierwszy tej wojny piorun uderzył tu, nad Wisłą, w to żerowisko moskiewskiej szarańczy. Dzień wybuchu wojny zaskoczył Rosjan, jako dzień rozrachunku z Polską. W tym dniu ujrzeli, czym jest dla nich Polska, owa ziemia obiecana, nęcąca urokiem posad, przywilejów i niemal bezgranicznej władzy: ujrzeli, że Polska jest dla nich miejscem ich zbrodni, miejscem, które pali ich stopy i zmusza do ucieczki: ziemia polska, popiołami trzech powstań nakryta, była pierwszym w Polsce żywiołem, który się przeciw najeźdźcy zbuntował, który od pierwszego strzału armatniego jał palić się pod stopami Moskali pożarem dziejowej prawdy. Ziemia wtenczas ze swoimi grobami umarłych straszyla Moskali więcej, niżli ludzie żywi. Wszystkie szubienice, które na ziemi naszej stawili, godła tłumionej insurekcji, spiętrzyły się przed nimi, jako widma odwetu i zgrozy. Uciekali od zgrozy własnych szubienic. Tę zgrozę lęku naczelny wódz armji rosyjskiej usiłował strząsnąć z ramienia w postaci swej wielkksiążęcej odezwy, jak strząsa się dreszcz niepozbytej zmory; usiłował ją pogrzebać za sobą w gruzach tysiąca polskich sadyb, spalić za sobą w dymach tysiąca pożarów. Naprózno!... Okrucieństwami można niemoc swoją przed światem zewnętrznym osłonić; zagłuszyć jej poczucia w sobie — niepodobna. Rosja w końcu pierwszego roku wojny postanowiła osłonić swoją niemoc w Polsce dymami pożarów tak, jak w początku tegoż roku próbowała osłonić ją manifestem wielkksiążęcym. Być może, w kimkolwiek poza sobą dopięła osiągnięcia tego wrażenia, o jakie jej chodziło. Atoli sama w sobie, uchodząc z granic naszych, widzieć musiała tylko słabość i tylko wściekłość. Słabość wskazywała jej drogę odwrotu, a wściekłość za nią zamiatała ślady — popiołem.

Rosja wybaczyłaby nam może wszystkie uczucia na-



sze i wszystkie nasze wystąpienia. Ale tych dwu swoich uczuć *własnych* Rosja nam prawdopodobnie nigdy nie wybaczy.

## 2.

Powrotny najazd Rosji byłby nową przeciw nam wyprawą karną, mającą zrównać *Kraj Przywiślański* pod każdym względem z obszarami Rosji, byłby oberwaniem się nad Polską chmury azjatyckiego okrucieństwa. Nie znam złudniejszej rachuby, niżli rachowanie na cudzą wspaniałomyślność. Nie znam większej wobec narodu swego lekomyślności, niż znieczulanie jego nerwów nadzieją „nawrócenia się” Rosji po wojnie, nawrócenia się Rosji na wiarę wszechsłowiańskiego braterstwa, na wiarę braterskiego pojednania z Polską. Braterstwo z Rosją jest rzeczą w najwyższym stopniu nieprawdopodobną. Ale z tego, że jest rzeczą nieprawdopodobną, nie wynika jeszcze, aby miało być dla nas rzeczą pożądaną. Łuny pożarów, którymi Rosja się z nami pożegnała w końcu pierwszego roku wojny, nie zapowiadały bynajmniej jutrzemki pojednania. Atoli nastanie takiej jutrzemki byłoby gorsze, niż łuny pożarów. Trudno uwierzyć w to, aby Rosjanie, uszedłszy z naszej ziemi, jak horda Hunnów, szerząca wokół siebie i za sobą pustynię, mieli wracać pośród nas, jak dobroczyńcy, niosący balsam opatrności, łaski i przebaczenia. Trudno w to uwierzyć. Ale, bodaj, jeszcze trudniej byłoby tego pragnąć, a raczej pragnąć tego byłoby niepodobieństwem. Ktoby w to uwierzył, ten musiałby własnej wiary się przerazić. Moskał, niosący gniew odwetu, bywa siewcą zagłady i śmierci; ale Moskał, niosący uśmiech pobłażania, byłby siewcą zarazy. Z pokolenia, które poległo na polu walki, narodzić się może pokolenie mścicieli, ale z ojców, dotkniętych zarazą, narodzić się może tylko martwe potomstwo.

## 3.

Na tę noc paniczną, którą Rosjanie przeżyli w Polsce po wybuchu wojny, pracowało sto lat rządów rosyjskich w Warszawie i Wilnie, sto lat ich krwawych dobrodziejstw. Nizustanna trwoga, która towarzyszyła wszystkim aktom ich przemocy, trupia trwoga, która carom rosyjskim kazała się przemykać przez Warszawę w zdyszanej galopie, która urzędnikom carskim kazała zbierać węzélki po miastach polskich na każdą z zachodu wieść o wojnie: ta historyczna trwoga nurtowała w łonie tryumfującego moskiewstwa, jako odbicie naszych nieprzedawnionych dążeń politycznych, jako odbicie niezłomnego nastawienia duszy polskiej. Był okres, gdy po upadku powstania Styczniowego przestała mówić o sprawie polskiej publicystyka polska, literatura polska, parlamentarna w obcych zgromadzeniach trybuna polska: ale nigdy nie przestawały o niej mówić zastępy rosyjskich żandarmów w Polsce, nie przestawały ani na chwilę o niej mówić tysiące zakazów, ustaw wyjątkowych, represji i ciszą pokrytych gwałtów. Na pytanie naj-

urażliwszego wobec nas dygnitarza Rosji, gdzie jest, gdzie się znajduje ta legendowa Polska, której imię wykreślono z mapy, której pamięć pogrzebano w archiwach dyplomacji, moglibyśmy w każdej chwili dać nieodpartą odpowiedź: znajduje się ona i żyje wszędzie tam, gdzie kują się przeciw niej zakazy; tam sięga, „gdzie ostatnia świeci szubienica”.

Trwoga Moskali była, po złamaniu naszych ruchów zbrojnych, ostatnim naszym przeciwko nim creżem; była naszym politycznym kapitałem, przekazanym przez owe wszystkie ruchy zbrojne, kapitałem utworzonym z tej reszty, jaką pozostawiła różnica między tym, czym byliśmy a tym, czymbyśmy mogli być. Polska od wieków przedstawiała się swym sąsiadom wschodnim, jako spokojna, lecz ciężarna grozą nawałnica, o której potędze niezgłębionej przekonywali się z rzadkich, lecz straszliwych piorunów, jakie z niej padały. Ramię polskie podnosiło się na wroga leniwo i opieszale, ale ilekroć zaniósł się ciosem na głowy carów moskiewskich, tyle razy w posadach trzęsło się ich olbrzymie imperjum. Podczas kampanji Krymskiej cztery państwa, toczące wojnę z Rosją, po dwu latach niestęchanego wysiłku, cóż osiągnęły? — Zdołały zaledwo — jak mówiono podówczas — przypilować olbrzymowi rosyjskiemu paznokcie; ale jedna pod Ostrołęką wygrana przez Polaków bitwa, godziła ciosem prosto w serce tego olbrzyma. Że bitwa taka mogła być wygrana, przyznaje sam rosyjski dziejopis tej wojny, generał Puzyrewskij. *Mogła być wygrana!*... Oto historia wszystkich naszych nieszczęśliwych wojen. Siła polska załamywała się zawsze nie na gruncie wyczerpania zasobów, ale na gruncie niedopowziętej woli. Stąd to po każdym powstaniu pozostawała w narodzie reszta niewyczerpanej siły, reszta dość żywotna, aby z niej nowe rodziły się powstania. O tej podziemnej, wulkanicznej potędze narodu polskiego dobrze wiedzieli Rosjanie, pamiętali nawet wówczas, gdy „politycy” polscy o niej zapominali; bo nawet wówczas nie ulegał zawieszeniu stan wojenny w Warszawie. Tę utajoną, podziemną, nieobliczalną potęgę naszą Rosja śledziła w najdalszych przejawach, tropiła w najbliższych poszlakach, w najcichszych pomrukach. Najdrobniejsza iskra przerażała ją zapowiedzią pożaru. Jak pożaru lękała się nieraz jednego polskiego słowa, jednej pieśni Chopina, jednej książki Mickiewicza. W modlitwie dziecka polskiego przeczuwała Rosja ukryte przekleństwo, które ją może powalić. Lękała się na afiszu teatralnym liter nazwiska Słowackiego; lękała się na przedstawieniu „Wesela” dopuścić aktorom kosy do rąk; lękała się żałoby, którą naród wdziewał w dniach smutku, lękała się naszych łez, protokoły sporządzała z naszych ukradkowych spojrzeń, akty oskarżenia piętrzyła przeciw pacholęcym majowym w pole wycieczkom. Jakże strasznie musiała w karki moskiewskie wrębać się ta polska kosa, skoro jeszcze na tle akcesorjów teatralnych wydawała się groźna, i jakąż burzą szaleć musiała ongi ta polska krew, skoro wyrosłe na niej kwiaty niebezpiecznymi wydawały się powiernikami majowych uczuć młodzieży. Żadna pora

roku nie wydawała się zaborcom w Polsce dość bezpieczna: wiosna lśniła wspomnieniem Konstytucji Majowej; jesień szemrała Nocą Listopadową; zima mówiła o powstaniu Styczniowym; lato o zgonie jego naczelnika. W każdym wschodzie słońca wschodził bunt tej ziemi; w każdym zachodzie broczyły krwią jej rany. Każde drzewo korzeniami ssało myśl o buncie z rozwalonych trumien przeszłości; każde drzewo szumiało szumem pożaru...

## 4.

A teraz wystawmy sobie, że ten pożar ugaszony został aż do ostatniej w narodzie polskim iskry; że duch nasz wyziębiony został aż do ostatniej tlejącej buntem myśli; że groby naszej ziemi wystygły, i że piersi nasze stały się równie zimne i puste, jak groby.

Uprzypomnijmy sobie ten cały obszar zalegającej ziemi naszą martwoty, i — przełożmy go na język współczesnej polityki: otrzymamy warunki, pod którymi Rosja ofiarowałaby nam pokój, zaorując nas pod skibę powrotnego najazdu.

Ach! wtenczas, ale dopiero wtenczas, Rosja wybaczyłaby nam wszystko: otworzyłaby serce Kremlu i zwróciłaby nam wszystkie sztandary na znak wieczystego pokoju.

Wtenczas wybaczyłaby nam nawet tę swoją noc panicznej ucieczki; wybaczyłaby nam całe sto lat swego lęku i drżenia przed widmem nowego Grochowa. A przytym jakżeby się śmiała, jakimż otwartym pustym zaniósłaby się śmiechem na myśl o wczorajszych strachach, o wczorajszych — Boże odpuść — Lachach... Nie; tym razem jużby nas Rosja nie karała, już nie karałaby nas nigdy, bo nie może karać ten, który się raz roześmiał, a Rosja zaczęłaby śmiać się, śmiać się i z nas, i ze swojego stuletniego lęku...

Tak. Rosja śmiechem swoim rozgrzeszyłaby nas wtenczas ze wszystkich przeciw niej wystąpień. Na kurhanie Kościuszki ogłosiłaby swój pierwszy rzetelny manifest rozwiązania sprawy polskiej: wszechmiłościwą *hramotę* przebaczenia, przebaczenia nam tego wszystkiego, czemu w przeszłości zawdzięczaliśmy wielkość, sławę, potęgę i szczytność. Od jednego rzutu ręki mogłaby Rosja wówczas znieść w Polsce wszystkie zakazy, wszystkie ustawy wyjątkowe i ograniczenia. „Nie jesteś ty już kot dziki, tyś jest kot chowany!” — mówiłaby ona do każdego z nas, wszystkim pozwalając na wszystko.

Od jednego rzutu ręki całe sto lat dziejów naszych ostatnich z poziomu powagi i krwi spadłoby na poziom jasełek i farby. Wszystkie naszej historii czyny i dzieła skurczyłyby się do nic nie znaczących odruchów próżności i kłamstwa.

W ciągu trzech pokoleń Rosja każdego roku zamykała ogród Botaniczny w dniu 3-go Maja, każdego roku otaczała strażą Belweder w dniu 29-go Listopada: ale oto wyrosłoby pokolenie, przed którym nareszcie Rosja otworem zostawiłaby wszystkie arsenały ducha powstańczego, wszyst-

kie świątynie ognia narodowego w Polsce. Jakiś oświecony i łaskawy Rosjanin w spokojnej Warszawie własną ręką przybiłby wtenczas tablicę z imieniem Traugutta na dawnej ulicy hr. Berga, bo czymże odtąd byłby Traugutt dla Polski? Garstką niemej gliny; a glina jest tworzywem podatnym dla wszelkiej kształtotwórczej dłoni.

I nie byłoby zapewne ku temu przeszkód, aby na miejscu, gdzie stoi pomnik Paskiewicza, utwierdzono posąg Józefa Poniatowskiego, bo czymże wówczas brzmiałyby jego słowa o honorze Polski, jeśli nie pustką piekielnego fałszu? A młodzież akademicka, która dziś urządza „Chody Maratonu”, dla zasłużonej sławy swoich zdrowych mięśni, miałaby prawo sięgnąć po godło o cieplejszym brzmieniu jakiegoś polskiego Maratonu, idąc w zawody w nowym „Wawerskim” lub „Racławickim Chodzie”. Albowiem wtenczas ojczyzna przestałaby dla Polaka być polem boju, lecz stałaby się polem igrzyska, polem, na którym odtąd i na wieki tańczyłyby pokolenia za pokoleniami swój chochołowy tan, chochołowy tan na pogrzebie narodu.

Cóż warte byłyby wtenczas obecne instytucje nasze, gdyby ocalały pod miarą autonomji, udzielonej z łaski; cóż warte byłyby wszystkie instytucje przysze, które miałyby budowę naszego życia do poziomu autonomji uzupełnić? Autonomja sięgałaby tylko tak daleko, jak daleko sięgałaby nasza martwota. Instytucje zaś autonomiczne nie byłyby wcieleniem naszego pędu życia, ale fundacją grobowca na mogile naszych usiłowań; byłyby one nie wynikiem naszego czynu, ale ceną jego poniechania, zapłatą za śmierć narodu.

## 5.

Rosja, wkraczająca na ziemie nasze z mieczem odwetu i z żągliwą zemsty, rozwarłaby grób przed narodem polskim, grób wszelkich jego państwowych usiłowań. Łaski atoli i przebaczenia udzieliłaby nam mogła dopiero na grobie, w którym te usiłowania, będące istotą narodu, zostały zasypane, zamurowane na wieki.

Zagłada naszego narodu fizyczna, albo zagłada moralna: oto dwie drogi, dwie drogi jedyne, dwie postaci, w których mógłby dokonać się powrót Rosjan do Polski. W wyniku pierwszej drogi tryumfująca Moskwa rozgościłaby się na zgliszczach naszego mienia, w wyniku wtórej — rozgościłaby się na zgliszczach naszego ducha.

## 6.

Długotrwała niewola nadgryzła w wielu miejscach tę więź żywiołową, która naród przytwierdza do ojczystego gruntu. Powstało w narodzie wiele lotnego ptastwa, które, porzucając ziemię ojczystą, dąży tam, dokąd je wabi obietnica sutszego żeru, bądź beztroskiego bytu, bądź wreszcie złudna nadzieja zdobycia leku na otwarte rany ziemi własnej. Iluż znamy rodaków, którzy postanowili wojnę „przejechać” za granicą! O iluż więcej pamiętamy takich, którzy

wyroili się z kraju razem z ustępującą armją rosyjską, unosząc Polskę całą w podróżnym swoim sakwojażu! Niechajże! Są to żywioły, ważące tylko tyle, ile waży wiatr, który je ponosi za sobą: nie przechyła one niczyjej szali swym ciężarem. Plewa narodu zwiana została przez zawieruchę wojenną, ale jego ważkie ziarno przecież ostało się na rodzimej roli. Naród w rostrzygającej liczbie swoich synów dochował tej elementarnej wiary sam sobie i swej ziemi. Śród synów tych, wiernych synów ziemi i narodu, nazawsze pozostanie imię Zdzisława ks. Lubomirskiego. Nim go nagrodzi jednak pamięć Warszawy, już wynagradza go życie. Jemu to bowiem w udziale przypadł zaszczyt złożenia pierwszej cegły pod odbudowę samorządu stolicy, tej cegły, która w rozumieniu Rady miejskiej stała się pierwszą cegłą do odbudowy państwa polskiego. Tak wywdzięcza się ojczyzna tym, którzy w niej zaufanie pokładają. Ale komu jest dano wiele, od tego wiele wolno się spodziewać. Ks. Lubomirski stał się w Warszawie wcieleniem wszystkich polskich instytucji, odradzających swój byt niepodległy na gruzach rządów zwyciężonej Rosji. Imię jego stało się tarczą Warszawy: tarczą, na której historia ryć poczęła zgłoski naszej zmartwychwstańczej ery. Urokiem tego człowieka stała się zorza wschodzącego nad całym narodem wyzwolenia. Siłą jego stała się rosnąca twórcza wola narodu. Pod pokrywą moskiewskiego ucisku byłby on jedynie posesjonatem księżęcej fortuny; pod zorzą niepodległości polskiej stać się może posiadaczem i realizatorem części przesilających się dziejów. Iż znalazł on w sobie siłę należytego odporu przeciwko fali moskiewskiej, która pochłonęła i uniosła z sobą znaczną część arystokracji polskiej, przeto ludność złożyła w nim wiarę w swoją własną niezłomność, we własny ducha polskiego hart. Z tym samym hartem, z jakim przeciwstawił się on naporowi Rosjan przed ich ustąpieniem, pozostając na posterunku i trwając na nim niezłomnie, z tym samym hartem i odwagą spojrzeć on musi teraz w oczy katastrofie, jaką byłby powrót Rosji. Spojrzeć jej musi odważnie w oczy nie przeto, aby się z jej prawdopodobieństwem liczyć, ale iżby do jej prawdopodobieństwa nie dopuścić.

Rosja karająca i mściwiska, jak wskazałem wyżej, byłaby, za swym powrotem do Polski, katastrofą dla niej fizyczną. Rosja przebacząca i łaskawa byłaby czymś stokroć dla Polski gorszym: byłaby katastrofą moralną, pieczęcią zniewagi na grobie Polski wyciśniętą.

Zemsta powracającej Rosji byłaby dla nas zapowiedzią pogrzebu. Przebaczenie byłoby świadectwem jego dokonania.

Oto dlaczego ludzie, dźwigający w sobie zaród polskich instytucji samorządnych, instytucji, będących w przekonaniu tychże ludzi oraz w przekonaniu całego społeczeństwa, zarodem odradzającej się państwowości polskiej, nie mogą patrzeć obojętnie w oczy tej katastrofy.

Oto dlaczego nie może obojętnie w jej oczy patrzeć przed innymi człowiek, wysunięty przez wypadki na po-

sterunek naczelny w stolicy polskiej: Zdzisław ks. Lubomirski.

7.

Nie może patrzeć obojętnie. Nie może patrzeć biernie i obojętnie, albowiem bierność i obojętność na tym rozdźwięku dziejów, na jakim stoi obecnie Warszawa, znaczyłaby tylko jedno: znaczyłaby gnuśne pogodzenie się z wszelkim wynikiem wojny, a więc dawałaby moralne przyzwolenie także na powrót Rosji.

Lecz przyzwolenie na zwycięstwo Rosji byłoby przyzwoleniem na wszechstronną naszego bytu narodowego zagładę: przed tym cofa się w zgrozie najpierwotniejszy w żywej istocie popęd: instynkt samozachowania.

Kto nie chce zagłady swego narodu, ten musi dążyć do zamknięcia Rosjanom drogi do powrotu.

Lecz czyż to pierś i czyż ramię ma stanąć u wschodnich granic polskich w obronie naszego mienia i ducha? O czyż to piersi ma się rozbić spiętrzona fala moskiewska? Wiem: są wśród nas ludzie, pokładający tak mocne zaufanie w stalowym murze armji niemieckiej i austro-węgierskiej, w męztwie i wytrwałości ich wiernych sojuszników, że, choć wiedzą, czym grozi walec rosyjski, ani na chwilę nie zatraga nimi niepokój o los Wilna, Lwowa, Chełma lub Kowla i Lublina, nie mówiąc już o Kielcach i Warszawie. Urządzają się oni spokojnie na polach, od Rosji oczyszczonych, tworzą posterunki oświatowe i kulturalne, organizują Rady Opiekuńcze i wskrzeszają ogniska Macierzy Szkolnej, zagospodarowują się na gruncie samorządu, zakładają nawet zręby państwowości, orzą, sieją i zbierają plony, gimnastykują się i uczęszczają na widowiska patriotyczne, rozwieszają portrety Kościuszków i Dąbrowskich, przechadzają się wreszcie w kontuszach i czamarach powstańczych po ulicach Warszawy, czynią to wszystko, ale — nie czynią nic ponad to. Krzątają się codzienną krzątaniem mrowia ludzkiego, zabiegają, drepcą i zabiegają, w nadziei, że z czasem podrepcą na kongres tak, jak dzieci głodne, ale dzieci grzeczne, drepcą do kredensu, by otrzymać to, czego łakną. Nie postanie w ich głowie, ani w sercu kłująca myśl, że na to, aby oni mogli mrowić się spokojnie na swym pracowitym mrowisku, gdzieś na okopach obfitą strugą łać się musi czyjaś żołnierska krew, konać muszą tysiące istnień ludzkich. W zastępie tych istnień ginących nie brak ofiar polskich; nie tylko tych ofiar bezimiennych, które idą w bój w armji niemieckiej i austro-węgierskiej, ale nie brak też i ofiar takich, które krwią i zgonem uświęciły sztandar polski, od początku wojny w imię niepodległości naszej przeciw Rosji wzniesiony. Wszelako, przy całej czci, należyj męztwu Legjonów, powiedzieć wypada, że dotąd są one raczej demonstracją wojenną, niżli wojennym czynem Polski. Prócz tego, jeśli chodzi o ich genezę, to znów zastrzec trzeba, że wydała je Galicja przy bardzo małym zrazu współdziałale Królestwa Polskiego, które dopiero w toku wojny do nich się przyznało,

jako do rzeczy gotowej, ale dotąd nie wsparło ich taką potęgą krwi, zapału i mienia, na jaką je stać.

Te ofiary, które Polska dotychczas na ołtarzu wojny z Rosją złożyła, nie odpowiadają ani zakresem, ani napięciem swoim, przede wszystkim, tym siłom utajonym, którymi ona rozporządza, powtórę zaś, tym jej pragnieniom politycznym, które w wojnie obecnej mają być spełnione, tym celom, które mają być przez nią osiągnięte.

Jakiebykolwiek było męztwo armji niemieckiej, jakiebykolwiek były czyny i zwycięstwa armji sprzymierzonych, nigdy nie mogą one pokryć pola naszego własnego oręża, pola naszych własnych czynów i podbojów. W obronie własnej wolności, w kruszeniu własnego jarzma, w zdobywaniu własnej niepodległości, w nieceniu słońca własnej chwały nikt nie może dać się zastąpić cudzemu męztwu i cudzemu mieczowi, choćby to męztwo płonęło w żelaznej piersi, i choćby ten miecz spoczywał w niezawodnej dłoni. Niewieście tylko albo słabemu starcowi przystoi w obronie swej czci i swobody wyręczać się cudzą bronią. Naród, liczący mężczyzn w swoim łonie, nie zgodzi się nigdy na tę moralną degradację, jaką byłoby zbieranie plonu z cudzej krwi i potu: cóż mówić o narodzie Polaków? Ten naród, który szczylił się swą rolą dziejowego przedmurza na wschodzie, miałaby teraz wybrać rolę dobrowolną trutniów, pasorzytujących na pracy cudzej, a w najlepszym razie — na puściznie minionych pokoleń, na krwi i chwale swoich przodków?

Warszawa, w osobie swych naczelnych serc i umysłów, zbierała upominki dla żołnierzy, walczących w Legjonach, słała do nich adresy, wyrażała im hołdy, opatrywała ich rany: to — za mało. To jest robota wystarczająca dla kobiet: kochać i całować rany.

Wszyscy wierzymy, że w gromach i łunach tej wojny pęka wieko grobu, w którym zawała się Rzeczpospolita Polska, że ma się odrodzić w tej wojnie nasze państwo: czyż ma się odrodzić tylko z kądzieli, snutej rękami kobiet, tylko z ich łez, tylko z napiętej gorączki oczekiwania, tylko z komunikatów, streszczających czyny, pełnione przez innych? Czyżby Polska, a przede wszystkim na jej czele zawsze idąca Warszawa, na to kowadło dziejowe, na którym dzisiaj przyszły nasz los się wykuwa, miała rzucić tylko westchnienia, miała rzucić tylko mgłą swoich uczuć, nie rzuciłaby zaś ani kruszcu, ani krwi?

Lecz czymżeby stała owa Polska Niepodległa, owa nieszczęsna ojczyzna nasza, o której ongi ślepotą zbrodnicza mówiła, że *nierzędem stoi*, a dziś niemniej zbrodnicza lekkomyślnością szeptać zaczyna, że *słabością stać będzie*, czymżeby stała ona naprawdę, jeśliby nie była na kruszcu własnej woli oparta, cementem własnej krwi spójna?

8.

Oto pytania, na które dać odpowiedź muszą ludzie, stojący na czele instytucji miejskich i krajowych w Polsce; ludzie wcielający w sobie ośrodki organizujące się

siły polskiej na gruncie zarówno politycznym, jak społecznym i kulturalnym. W odpowiedzi, jaką złożą, złożone być muszą zarazem dostateczne rękojmię odczucia przez nich odpowiedzialności za powyższą decyzję, za krew całego pokolenia.

Powiedziałem wyżej, że ks. Lubomirski, jako prezydent stolicy, ma powierzoną sobie do ręki tarczę, na której historia ryć zaczęła zgłoski naszej niepodległości. Lecz jeśli miałoby ramię jego ugiąć się pod ciężarem pełniących się losów, bodajby nie był tarczy tej podnosił, bodajby ją złożył u progu nowej ery, niżli w wyrocznej chwili miałby ją przez swą niemoc uronieniem zawodnym roztrzaskać. Niechaj każdy zasięgnie rady swego sumienia, czyli woła dorósł do tej godziny, która na wieży zamku królewskiego uderza.

Ktokolwiek stoi dzisiaj na publicznym posterunku, ten w sobie siły musi czuć nie tylko za siebie, ale i za te milionowe rzesze, które stoją pod nim, lub za nim.

Ktokolwiek dzisiaj w Polsce bierze w ręce kierownictwo w sprawie publicznej, ten liczyć się musi z obecnością nieuniknioną owego straszliwego trybunału, jakim się staje krew pokolenia, głosem równej pomsty wołająca przeciw kondotjerom, którzy ją marnotrawili na San-Domingo, jak i przeciw Chłopickim, którzy jej przelać nie umieli na najświętszym ołtarzu.

Gdy Rosja — straszno pomyśleć — złamawszy raz jeszcze zapory Zachodu, werwałaby się w żywe ciało naszego ludu, wówczas ani jeden zdolny do boju mężczyzna nie uszedłby z poprzed jej szeregów: wszystka krew Polski, do ostatniej kropli, przelana zostałaby w imię cara, w imię prawosławia, w imię panowania nad światem Trzeciego Rzymu — Moskwy. Morze polskiej krwi spłynęłoby bezopornie w łożysko rosyjskiej potęgi, ażeby w stolicy polskiej mógł wiecznie cmentarzom i krzyżom Polski panować sobór złotogłowy na Placu Saskim.

Temu oceanowi krwi, wydanej w jassyr moskiewski, temu oceanowi krwi polskiej musieliby wtenczas zdać sprawę ci, którzy przechować ją pragnęli w okopach „neutralności”; tej krwi i temu polu trupów musieliby dać wtenczas odpowiedź, dlaczego, będąc Polakami, nie znaleźli polskiego ołtarza, na którymby warto ją było poświęcić, a czekali spokojnie dotąd, aż na ołtarzu swoim przelał ją nasz zaklęty wróg? Dlaczego, stać się mogąc krwią naszego odkupienia, stała się krwią pieczętującą hańbę i niewolę?

To pytanie i tę konieczność strasznej odpowiedzi, którą w ostatecznym rozrachunku daćby wypadło sobie i — ruinom; to pytanie i odpowiedź dziś już przewidywać i ważyć w sobie powinni ludzie, uosabiający ośrodki narodowej myśli i woli. Dziś już ludzie, noszący w stolicy karmazyn dostojeństwa na barkach obywatelskiej odpowiedzialności, obowiązani są okazać, czy karmazyn ów jest tylko odbiciem zgastej świetności przodków, czy purpurą żywej krwi, tętniącej żarem walki o niepodległość, walki o hetmańską buławę potęgi i królewskie berło wielkości.

STANISŁAW ŁAG.

## Młodzież akademicka na wszechnicach warszawskich w pierwszym roku ich istnienia.

(Dokończenie).

4.

Zatrzymałem się dłużej nieco nad byłymi łami-strejkami, gdyż, jakkolwiek sprawa ta dla wygody sumienia została zapomniana, jest ona nie mniej przecież ważną i aktualną.

Z kolei rzeczy przechodzę do drugiej kategorii — najliczniejszej, bo reprezentowanej na uniwersytecie przez 45% (może i więcej) słuchaczy — maturzystów szkół polskich. Tych maturzystów z lat ostatnich dwóch, trzech, którzy nie zakosztowali słodczy gimnazjów rządowych, wstępując odrazu do szkół polskich i przebywając w nich do końca, a którzy, z drugiej strony, nie zdążyli jeszcze byli wyjechać na wyższe studia zagranicę. Charakter tej grupy równie wyraźnie określony jest przez jej dzieje.

Młodzież ta nie brała już udziału w niezapomnianej walce o szkołę; nie przeżyła owych chwil buntu, zwątpienia i tryumfu wreszcie. Nie ma tedy za sobą tego jedyne go w swoim rodzaju doświadczenia. Wzamian zato kształciła się i wychowywała w warunkach stosunkowo bardziej normalnych, jakkolwiek nie zezwalających na kwietyzm. Nad młodzieżą polską ostatniego dziesięciolecia wisiał nieustannie miecz damoklesowy to w postaci wciąż nowych, po rosyjsku wykładanych przedmiotów, to jako obostrzenia ohydnej kontroli inspektorów okręgowych, to wreszcie jako możliwość zupełnego zniesienia polskiego szkolnictwa prywatnego. Stąd płynęło silne, obywatelskie przywiązanie do szkoły, stała chęć jej obrony. Było to pierwsze pozytywne uczucie, jakie zrodzić się mogło u nas wśród ogółu młodzieży. Istniał żywy ukochany cel, który wolno było przeciwstawiać, i na którym można było się oprzeć.

Ale obok swej niezaprzeczonej wartości przywiązanie owo posiadało i złą stronę. Bowiem pomiędzy ideą szkoły polskiej a jej ucieleśnieniem zjawiała się przepaść wciąż głębsza i głębsza. Gdyby ta wróżka, o którejśmy marzyli wszyscy w latach strejkowych zobaczyła swe odbicie w zwierciadélku chwili dzisiejszej, nastąpiłaby scena z bajki andersenowskiej.

Szkoła polska znalazła się naogół w rękach grup wybitnie konserwatywnych: klerykalizm i szowinizm, ugoda i ideały pracy organicznej sączyły się do niej stale i pozostawiały niezatarte ślady. Pewne poglądy i metody przeniesione do niej zostały żywcem z gimnazjum apuchtinowskiego i do dziś dnia (!) pokutują, a nawet utrwalają się. Typ szkoły za nielicznymi wyjątkami uwsteczniał się coraz bardziej i — miejmy odwagę dzisiaj to wyrzec — upodobił się do instytucji pośredniej między b. gimnazjum rządowym a galicyjskim przed reformą, co do których już żadnych chyba złudzeń nie mamy.

W takim środowisku i w takich warunkach kształca ca się młodzież mimowoli przejmowała pewne nałogi, zatra cała częściowo swą młodzieńczą odrębność na rzecz

z góry idących wskazań i prądów. Stała się ona najbardziej może drobnomieszczańską — w etycznym tego słowa znaczeniu — w porównaniu z poprzedzającymi ją pokoleniami; tymbardziej, że nie czuła za sobą sojusznika — starszej młodzieży akademickiej. Przez to samo bowiem, że oni, ci starsi, po ukończeniu szkoły średniej opuszczali kraj, że szli na tę ostatnią — jak ktoś przepowiadał — emigrację polską, najważniejszą, bo najbardziej swych celów świadomą; że tylko tam, w zagranicznych miastach uniwersyteckich, nieraz o setki i tysiące kilometrów od Polski odległych, rozwijała się i zakwitała młoda myśl, odnajdywane były nowe drogi i wykuwały się nowe postanowienia; — przez to samo młodsze pokolenie szkolne znalazło się odizolowane, pozostawione samo sobie.

Pomimo to zdołało ono stworzyć własne organizacyjne życie; pilnie przysłuchując się wieściom z zagranicy, nawiązywało myśl swoją do tamtej myśli, istnienie swe do tamtego bujnego życia.

I rok 1914-ty przeszedł nad pokoleniem tym prawie bez śladu; młodzież polska nie dała się zdeprawować.

Dziś widzimy ją właśnie taką: dobrze „ułożoną“, lekającą się wszelkich krańców, podlegającą chętnie ogólnym nałogom, ale szczerze miłującą tradycję narodową i gotową do walki w jej imię. W stosunku do grupy b. słuchaczy uniwersytetów zagranicznych wydaje się ona starszą i mniej rzutką.

5.

O studentach uniwersytetów zagranicą i w Rosji, o owej ostatniej fali emigracyjnej niewiele chyba pisać trzeba. Poznaliśmy ich myśl, ich tęsknotę, wolę i czyn — w Legjonach.

Ale przyznać należy, że dzisiaj w Warszawie znaleźć się mogą tylko nieliczne jednostki z tego pokolenia. Ludzie, którzy z tych czy innych powodów, z racji konieczności czy przypadku — mniejsza, pozostali. Przyczyną pierwszą będzie tu przecie zawsze temperament, potem zaś dopiero poglądy, okoliczności osobiste i t. d. Jednak, pomimo takiego doboru, są oni na wszechnicach warszawskich najbardziej żywiołowym, rzutkim i młodym elementem w stosunku do innych. Oni to nawiązać się starają życie dzisiejszych studentów warszawskich do tradycji dziejów młodzieży polskiej. Oni biorą czynny udział w różnicowaniu się idejowym społeczności akademickiej.

Rok współżycia zataił pewne różnice, zniwelował ostrość barw. Ale ilekroć mówić mamy o uniwersytecie, ilekroć zadać chcemy pytanie najważniejsze: czy młodzież akademicka zawiedzie, czy nie zawiedzie? — (pamiętać musimy o różnorodności materiału, jaki na tę młodzież się złożył.

### REZOLUCJA Z DNIA 22 PAŹDZIERNIKA.

Na zgromadzeniu politycznym w Filharmonji w dniu 22 b. m., urządzonym przez Klub Państwowców Polskich, po przemówieniach pp. Z. Makowieckiego, T. Gruzewskiego, Wł. Studnickiego, W. Rzymowskiego, Al. Zawadzkiego i Jadczyka, powzięto następującą rezolucję:

„Przyrodzoną potrzebą narodu polskiego jest własne państwo

niepodległe, dla którego odbudowy gotowi jesteśmy do najwyższych ofiar z krwi i mienia.

W wojnie obecnej, wyzwoleni od Rosji, znaleźliśmy się we wspólnym z państwami centralnymi obozie, przez wspólnych wrogów obleżeni.

Rozumiejac, że bierność, będąca naszym udziałem dotychczasowym, jest dla nas coraz zgubniejsza, oraz że z interesami państw centralnych jest coraz bardziej niezgodna, zwracamy się do tychże państw centralnych z zaświadczeniem, iż pragniemy czynnego udziału w wojnie z Rosją.

Stosunek nasz do Austrii wyraził się już w formule Rządu Narodowego z 1863 r.: „Niepodległość Polski — to bezpieczeństwo Austrii”.

Z Węgarami łączy nas dawna i wypróbowana przyjaźń, wieki całe trwająca.

Niemcy, w obecnym wielkim przewrocie dziejowym, występują jako światowe mocarstwo, które dla wykonania swych rozległych zadań zmienia cały układ polityczny Europy środkowej. Układ ten wymaga, jako niezbędnego warunku swej trwałości, odbudowania silnej niepodległej Polski, tego tradycyjnego przedmurza od zaborczego Wschodu.

Widząc przyszłość państwa polskiego w przymierzu i w łączności cywilizacyjnej z temi państwami, uważamy, że przymierze to, wypływające ze wspólnego interesu, wyrazi się w konwencjach militarnych i umowach handlowych.

W przeświadczeniu, że już w chwili obecnej jest możliwe i konieczne przystąpienie do natychmiastowej realizacji powyższych dążeń, zwracamy się do państw centralnych z usilnym przedstawieniem o bezzwłoczne proklamowanie państwa polskiego, ze wszystkimi atrybutami niepodległości, z własnym monarchą, rządem i armją”.

Uchwałę zgromadzeni przyjęli burzą entuzjazmu.

„WIDNOKRĄG” można prenumerować za pośrednictwem Cesarsko-Niemieckiej Poczty, oraz we wszystkich polskich księgarniach.

Oddzielne numery są do nabycia:

w BĘDZINIE: Kiosk p. I. Kokotka, Słowiańska 10.

„ CZĘSTOCHOWIE: Kiosk p. I. Korzeniowskiego. Aleja II.

„ GOSTYNINIE: Księgarnia p. Jeziorańskiej.

„ GRÓJCU: Księgarnia p. Olszewskiej.

„ KALISZU: Księgarnia „Feniks”.

„ ŁOMŻY: Księgarnia Tow. „Czytaj”. Dworna 24.

„ ŁODZI: Księgarnia Gebethnera i Wolffa i Biuro Dzienników „Promień”. Piotrkowska 81.

„ ŁUKOWIE: Księgarnia p. Celińskiej.

„ PŁOCKU: Księgarnia p. Betleya.

„ PUŁTUSKU: Księgarnia p. Glińskiego.

„ SIEDLCACH: Kiosk p. Dziewulskiego.

„ SOKOŁOWIE: Apteka p. Kamińskiego.

„ WŁOCLAWKU: Kooperat. „Robotnik”. Bulasz. Chłodna 30.

„ WYSZKOWIE: Księgarnia p. Wędołowskiego.

Także w KRAKOWIE: Księgarnia Gebethnera, Rynek 22, oraz w POZNANIU: Księgarnia M. Niemierkiewicza, Plac Wilhelmowski 3.

„WIDNOKRĄG” będzie nadal niezależnym organem myśli polskiej, będzie służył sprawie wskrzeszenia państwa polskiego, torując ku temu drogi we wszystkich dziedzinach życia narodowego.

„WIDNOKRĄG” w szeregu numerów ogłosi artykuły znanych publicystów, dotyczące najdonioślejszych zagadnień doby obecnej. Między innymi prace pp.:

M. Baumgarta, K. Chmielewskiego, G. Daniłowskiego, Marji Dąbrowskiej, Zygmunta Dreszera, Wilhelma Feldmana, Jana Grabowskiego, Gromicza, Tad. Gruzewskiego, Benedykta Hertza, T. Hołówki, W. Jodki, Juljusza Kadena, Z. Kleszczyńskiego, A. Lauterbacha, J. Lemańskiego, E. Lipińskiego, Franciszka Loefflera, Cezarego Łagiewskiego, W. Makowskiego, Jadwigi Marcinowskiej, J. Moczulskiego, J. Muszkowskiego, M. Niedziałkowskiego, Obserwatora, M. Römera, Wincentego Rzymowskiego, R. S., Wacława Sieroszewskiego, Edwarda Słońskiego, Tadeusza Szpotańskiego, Artura Śliwińskiego, H. Tennenbauma, St. Thugutta, Józefa Wasercuga, Kazimierza Wroczyńskiego.

Szanownych Abonentów prosimy o odnowienie przedpłaty na kwartał następny.

Przedpłata „WIDNOKRĘGU” wynosi w Warszawie, wraz z odnoszeniem do domu, miesięcznie kop. 85; kwartalnie rb. 2 kop. 50; rocznie rb. 10. Z przesyłką pocztową kwartalnie rb. 3; rocznie rb. 12.

Za zmianę adresu dopłaca się kop. 20.

Administracja, prócz niedziel i świąt, otwarta codziennie od godz. 10 rano do 2 pp. i od 5 do 7 wiecz.

Redakcja, prócz niedziel i świąt, otwarta codziennie od godz. 6 do 7 pp.

Rękopisy nie przyjęte są do odebrania w redakcji w ciągu 3 miesięcy. Potym ulegają zniszczeniu.

Dla studentów i nauczycieli ludowych 25% ustępstwa. Cena numeru oddzielnego w Warszawie i na prowincji kop. 25.

Nakładem WIDNOKRĘGU

wyszły i są do nabycia we wszystkich księgarniach:

W. Rzymowskiego: „Niemcy a Koalicja” (wrażenia z obozu jeńców).	Cena kop. 40
M. Römera: „Dzień 6 Sierpnia r. 1914”.	Kop. 10
W. Rzymowskiego: „Z tamtego świata”.	Kop. 15
W. Rzymowskiego: „Łukasieński i Traugutt”.	Kop. 15
J. Wasercuga: „Wysadzone mosty”.	Kop. 15

# WID NO KRAG

№ 16 (R. II) Warszawa, 4/XI 1916

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 7. — TELEF. 158-90.

**TREŚĆ:** TADEUSZ HOŁÓWKO: W przededniu powstania państwa polskiego. — ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI: Hejnał. — JÓZEF KODZIŃSKI: Reforma szkolna. — GROMICZ: «Najlepsi» — (Marek Borkowski). — OBSERWATOR: Życie w atomach (Rosja i koalicja). — Warunki przedpłaty.

TADEUSZ HOŁÓWKO.

## W przededniu powstania państwa polskiego.

1.

Uchwała zapadła 22 ub. m. na ostatnim wiecu w Filharmonji, a zwracająca się ponownie do państw centralnych o rychłe proklamowanie państwa polskiego, istotnie wypowiada pragnienia ogromnej większości społeczeństwa polskiego, dla którego nastrój oczekiwania staje się coraz dokuczliwszy. Społeczeństwo polskie w ciągu tych dwóch lat wojny odbyło ogromną ewolucję duchową: myśl o własnym państwie jeszcze przed dwoma laty traktowana przez większość jako piękna złuda, dziś zrosła się z psychiką tejże większości, przyobkleła się już w realne kształty oczekiwania dnia jutrzejszego. Cóż więc dziwnego, że społeczeństwo polskie, rozpalając w sobie tęsknotę za własnym państwem, coraz niecierpliwiej zaczyna czekać na przyjście tej chwili, coraz namiętniej pragnąć, aby słowo stało się ciałem? I pod

wpływem tej rosnącej niecierpliwości gotowe jest ono do największych ofiar dla odbudowy własnego gmachu państwowego. Państwa centralne, przykładając do tego rękę, spełnią wielki o epokowym znaczeniu czyn.

2.

W narodzie polskim tkwią w ukryciu wielkie siły, w głębi duszy każdego Polaka przechowują się dziś głuche, lecz pomimo to żywe tradycje i drogie wspomnienia świetnej przeszłości. Inaczej być nie może; inaczej bowiem, bez tych wspomnień przeszłości, dawnoby przestał istnieć naród.

Chwila proklamowania państwa polskiego z własnym rządem, sejmem i armją nieuniknienie spowoduje przewrót duchowy w nastrojach narodu: wielkim, twórczym rozmachem zacznie żyć wówczas dusza polska, obudzą się, zakwitną w niej po długiej zimie pysznym kwieciami tajone pragnienia.

Proklamowanie państwa polskiego będzie jedną z najpiękniejszych kart w dziejach powszechno-ludzkiej cywilizacji, będzie to bowiem chwila zmartwychwstania wielkiego narodu. Przed zdumionym obliczem Europy, zamiast narodu biernego, rozbitego, szukającego poomacku dróg, pod czarem tego faktu stanie naród skonsolidowany, z dniem każdym potężniejszy świadomością swego duchowego zwycięstwa, rozpoczynający, mocą wszystkich obudzonych w sobie sił, przeogromem entuzjazmu i radości, kłaść mocne podwaliny pod upragniony gmach swej wolności.

Państwa centralne uczynią dobrze, przyspieszając chwilę ogłoszenia państwa polskiego, zarówno w interesie własnym, jak i naszym, jak również w interesie najwyższych wartości cywilizacyjnych.

Wojna obecna dlatego toczy się z takim zaciętym uporem, iż każda strona szalę zwycięstwa chce stanowczo przechylić na swoją korzyść, aby tym sposobem przyspieszyć chwilę zawarcia pokoju.

W chwili obecnej cóż bardziej może przyspieszyć zawarcie pokoju, jeśli nie proklamowanie państwa polskiego? Dziś, gdy ludzkość w swej okropnej zdolności przystosowania się, zaczyna traktować wojnę jako zjawisko codzienne, cóż bardziej może światem całym wstrząsnąć, niż wieść o odrodzeniu po stu latach niebytu politycznego, państwa polskiego?

Fakt ten wstrząśnie ludzkością, albowiem przez to dopiero poczuje ona, iż naprawdę w zgłętku tej wojny nie tylko ginie i umiera stara Europa, jak coraz częściej dają się słyszeć z różnych stron zrozpaczone głosy, lecz że jednocześnie na gruzach starej Europy rodzi się nowa. Ludzkość, z przerażeniem patrząca, jak umierają miliony, po dwu latach tego strasznego widoku zniszczenia poraz pierwszy z ulgą odetchnie w chwili proklamowania państwa polskiego, albowiem chwila ta będzie pierwszym nie ujemnym, lecz dodatnim, *nie niszczycielskim, lecz twórczym rezultatem tej wojny*. Przez fakt powstania państwa polskiego straszna ta wojna, obciążająca niepokojem sumienia

wszystkich narodów, nabierze w ich oczach usprawiedliwienia i sensu.

Dla narodów Europy środkowej powstanie państwa polskiego będzie dniem wielkiego moralnego tryumfu; jeśli bowiem w chwili obecnej obie strony prześcigają się w dziele niszczenia, to przez ten fakt narody państw centralnych staną przed Europą w aureoli pierwszych budowniczych nowego życia w Europie na jeszcze dymiących się gruzach. Świadomość zaś, że przez ten fakt po ich stronie stanął całkowicie wielki naród, leżący w środku Europy na żyznej bogatej ziemi, da państwom centralnym podniecie, da nowe siły, nową energję do wytrwania i zwycięstwa. Dla koalicji z punktu widzenia obecnej wojny proklamowanie państwa polskiego będzie ciosem strasznym, i przez ten moralny tryumf państw centralnych, i przez czysto materialne i militarne korzyści, które państwa te zdołają z tego faktu dobyć. Upadnie wobec tego faktu bajka o zachłannych zamiarach Niemiec, stanie przed narodem francuskim i angielskim w całej prawdzie faryzeuszostwo hasel Briand'a i Grey'a; stanie w jasnym świetle zrozumienie, że twórczy pierwiastek wojny spocznie w rękach państw centralnych. I oto w tym, że do rosnącego z dnia na dzień w koalicji poczucia porażki fakt powstania państwa polskiego dołączy świadomość klęski moralnej, zawiera się możliwość rychłego pokoju.

## 3.

Lecz jeszcze większe, jeszcze głębsze posiada znaczenie dla przyszłych dziejów kultury ludzkiej odbudowa państwa polskiego przez wpływ tego faktu na Rosję.

Dla dzisiejszej despotycznej Rosji wieść o powstaniu państwa polskiego będzie zwiastowała początek końca, pierwszą degradację Rosji z jej wielkomocarstwowego stanowiska, za którą siłą rzeczy nastąpią nowe; dla tylu zaś narodów, podbitych przez Rosję, wieść o państwie polskim będzie wieścią błogą, bowiem nieść im będzie nadzieję lepszej przyszłości i dla nich. I kto wie, czy wobec tego wszystkiego nie wypadnie szybko miecz z ręki rosyjskiej: po klęsce pod Działdowem, Gorlicami, po oddaniu Lwowa i Warszawy, po wystąpieniu Bułgarji — czy nie stanie się „zdrada“ Polski ciosem dla Rosji dobijającym? Wiele argumentów przemawia za odpowiedzią twierdzącą.

## 4.

Ten tylko z Polaków, kto wyrósł w Rosji, uświadamia sobie należycie stopień niechęci ludu rosyjskiego do narodu polskiego. W tym niema nic dziwnego, bowiem w tej historii, która od wieków w postaci pieśni i legend przechodzi z ust do ust pokoleń ludu rosyjskiego, poczesne miejsce zajmują opowieści o wojnach z Polską. W tradycji ludu rosyjskiego żyją głęboko wspomnienia o walkach o Psków, walkach o Smoleńsk, o pobycie Polaków na Kremlu o czasów „bezwremienia“, powstaniach Chmielnickiego, a

wreszcie i wspomnienia o wojnach, toczonych przez legendowego dziś wśród Rosjan Suworowa, tego Suworowa, któremu lud rosyjski za największą zasługę poczytuje krwawą kąpiel Pragi i zdobycie Warszawy. I przez to, że właśnie ów legendowy wódz zdobył stolicę Polski, lud rosyjski jest tak niezmiernie „przywiązany“ do niej, dumny z podboju tego olśniewającego miasta. Dlatego to wszystkie następne tłumienia „polskich buntów“ były tak popularne wśród narodu rosyjskiego; bowiem, jak dla ludu rosyjskiego Kijów jest uosobieniem świetności Prawosławja, tak Warszawa była dla niego uosobieniem świetności i potęgi mocarstwowej „Samodierżawja“. Lud rosyjski dość łatwo wybaczył swemu carowi klęskę w Mandżurji, bo nie rozumiał tamtej wojny, lecz nigdy nie wybaczy mu, że zabraknie w jego „szapce monomacha“ najpiękniejszego klejnotu — ziemi polskiej. I w tym strachu przed gniewem i pogardą ludu tkwi przyczyna, że rząd carski tak kurczowo się trzyma beznadziejnej myśli odwojowania z powrotem „Kraju Nadwiślańskiego“.

## 5.

Dla oświeconych warstw inteligencji rosyjskiej prosto straszna jest myśl o utracie Królestwa i powstaniu samodzielnego państwa polskiego. Myśl polityczna rosyjska wszystkich odcieni uświadomiona jest doskonale, że Królestwo Polskie było łącznikiem między Rosją a Zachodem, że tylko dzięki władaniu Polską Rosja posiadała realne *wspólne* interesy z zachodnimi swymi sąsiadami, że przez podbój narodu o wyższej kulturze urastała zarówno w oczach własnych, jak w oczach Europy, i że gdy zabraknie tego łącznika, będzie ona zepchnięta na poziom państwa wschodniego. Z drugiej strony każdy oświecony Rosjanin wie doskonale, że cała historia Polski i Rosji to walka tych dwóch narodów, że nigdy nie było między nimi równowagi — państwo polskie wzrosło do potęgi okresu Jagiellonów kosztem niemocy narodu rosyjskiego; późniejszy natomiast rozkwit państwa moskiewskiego dokonał się kosztem upadku Rzeczypospolitej Polskiej. To rozumie każdy Rosjanin i dlatego w gruncie rzeczy cała opinja rosyjska jest w kwestji polskiej zgodną: Mienszykow z Burcewem, Stürmer z Milukowem. Każdy Rosjanin-patriota uświadamia sobie, że państwo polskie będzie ogromną mianą podłożoną pod jeden z najważniejszych zrębów państwowości rosyjskiej: pod ziemię Litwy i Ukrainy. Daleko bowiem poza swe granice będzie promieniować na Wschód państwo polskie. Mińszczyzna, Witebszczyzna, Mohilew-szczyzna będą leżały w sferze tego promieniowania; liczny tam żywioł polski będzie rósł na siłach przez ciągłe obcowanie z państwem polskim.

Z drugiej strony należy się spodziewać, że we Lwowie inaczej się ułożą stosunki polsko-ukraińskie, że z bankructwem N.-Demokracji umrze i waśń polsko-ukraińska.

Lecz powstanie państwa polskiego pociąga ponadto za sobą i inne konsekwencje: rozrywa łańcuch, którym



przykuto liczne narody do tronu carów moskiewskich. Łańcuch ten mógł istnieć póki były w nim wszystkie ogniwa. Cała potęga ucisku rosyjskiego opierała się zarówno na przekonaniu samej Rosji, jak i podbitych przez nią narodów, iż ten łańcuch nigdy nie da się rozerwać. Na inne ludy podbite przez Rosję, działał przygnębiająco los Polski, gdyż była ona wśród podbitych najsilniejszym narodem, a kajdan niewoli zerwać nie zdołała. Obecnie wieść o powstaniu państwa polskiego odbija się głośnym echem na przeciwnym krańcu Rosji — przedewszystkiem w Finlandji. Ale i wśród innych ludów imperjum rosyjskiego, dziś nieśmiało poczynających myśleć o swej odrębności: wśród Białorusinów, Ukraińców, Gruzinów i Ormian, wieść o powstaniu państwa polskiego wznieci niezawodny zaczyn separatyzmu.

Z drugiej zaś strony czeka rząd rosyjski walka z własnym społeczeństwem, które, nie ulega wątpliwości, po wojnie, a tymbardziej przegranej, z nowymi siłami rozpocznie szturm do twierdzy rosyjskiego absolutyzmu.

Pozatym sam fakt ogłoszenia państwa polskiego stworzy natychmiast wewnątrz państwa rosyjskiego wrogą rozkładową siłę z tych wszystkich Polaków, którzy w tej chwili znajdują się po tamtej stronie frontu. Tak, tą siłą rewolucyjną i rozkładową stanie się w dniu ogłoszenia państwa polskiego każdy Polak, dziś przebywający w Rosji, czy będzie to urzędnik, żołnierz czy też oficer, emigrant, który przed wielu laty poszedł szukać w Rosji lepszego zarobku, czy też wysiedleniec, zapędzony nahajami ustępującej armji rosyjskiej, słowem każdy, kto w tej chwili będzie myślał i czuł po polsku, stanie się zażartym wrogiem Rosji.

Mogą dziś w społeczeństwie polskim ścierać się ze sobą różne kierunki, lecz z chwilą, gdy powstanie państwo polskie, umilkną wszelkie niesnaski; państwo polskie stanie się drogim wszystkim bez wyjątku Polakom, nawet tym, którzy chcieli, ażeby ono powstało na innej drodze.

Każdy Polak w Rosji stawia się natychmiast na usługi państwa polskiego; siłą rzeczy od tej chwili stanie się wrogiem Rosji. Ten, kto wierzył dotychczas w zwycięstwo Rosji, od tej chwili będzie wszystkimi siłami pragnął jej porażki, wiedząc, iż każdy krok Rosji w tył będzie rozszerzeniem granic państwa polskiego, każde zaś posunięcie naprzód będzie groziło całemu państwu polskiemu. Tego zjawiska nie wolno bagatelizować, albowiem Rosja w dniu ogłoszenia państwa polskiego nie tylko straci 12 milionów swych poddanych, lecz jednocześnie wewnątrz swej monarchji stanie wobec kilkumilionowej armji zdecydowanych wrogów.

Takie mogą być dla Rosji skutki ogłoszenia państwa polskiego. Rosja upadająca, Rosja ogarnięta rewolucją: czyż może się smucić tym chociażby jeden cywilizowany człowiek? Czyż chwila upadku absolutyzmu w Rosji, chwila wyzwolenia się z pod jarzma narodów uciśnionych nie będzie drugim (obok powstania państwa polskiego) dodatnim rezultatem tej wojny?

My, Polacy, powinniśmy rozumieć, jakie przed nami z chwilą ogłoszenia państwa polskiego otworzą się perspektywy: od nas zależy, aby je spożytkować.

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI

## Hejnał.

Kowale kują stary nit,  
krat wiekuiłą własność —  
niech młoty zmiażdżą polski wstyd  
i niech się stanie jasność!

Kowale kują stary złom  
w żarzewiu rdzy cegląstem —  
niech dzisiaj pierzchnie polski srom  
przed słońcem, życia Włąstem!

Kowale kują nowy dzień,  
narodem wstrząsający —  
niech przeto skona mroczny cień,  
niech tryśnie żar gorący!

Kowale kują nową broń,  
iskrami wyłóconą —  
niech się sposobi polska dłoń,  
niech tchu nabiera łono!

Kowale gaszą, jakby gniew  
w źródlanej, czystej stągwi —  
niech się hartuje święty gniew,  
co stać ma przy chorągwi!

Kowale!... Zeschły spada liść, —  
zamknijcie wrota kuźni...  
W listopad — miesiąc trza nam iść,  
niechaj się nikt nie spóźni!

Kowale!... Leci szum od pól —  
niebem się chmury winą —  
nad łzami wód, nad pierśią ról  
ptakowie-orły płyną!

Kowale! Komu — bywaj zdrów!  
A komu — bywaj z nami!  
U dróg rozstajnych mocny huf  
czernieje kolumnami...

Kowale! Pieśnią gra nam dal,  
surmami niebo dźwięczy — —  
połyska broń i śwista stal  
i ziemia głucho jęczy....

Kowale! Przyszedł wreszcie dzień!  
Niech radość nam hetmani!  
Śród oczu lśnienie, śród serca drzeń  
ślubujmy naszej Pani!

Szablami, odlew, iskry krzesz  
i szturmuj szaniec niemy —  
Ty, Polsko, o nas trocha wiesz —  
my resztę dopowiemy!

JÓZEF KODZIŃSKI.

## Reforma szkolna.

### I.

Wielka wojna, której jesteśmy świadkami, wielka nieukończona jeszcze przebudowa, zmieniająca, jak się wydaje, z gruntu układ tektoniczny Europy, zaskoczyła społeczeństwo polskie, które nie zdawało sobie sprawy, że może tak nagle i nieoczekiwanie przyjść chwila przebudzenia z długotrwałego letargu, powołania społeczeństwa do pracy twórczej, do zastanowienia się nad własnym losem. Wprawdzie nie było wyraźnego głosu, któryby społeczeństwo polskie w Królestwie do takiej pracy powoływał. Tak zwana odezwa Naczelnego Wodza zawierała płonne obietnice, po których nie nastąpił aż dotąd żaden czyn, żaden akt prawodawczy, świadczący, że piękne słowa posiadają inną wartość, niż wartość wzoru prozy politycznej. Społeczeństwo polskie jednak uznało tę odezwę jako punkt wyjścia reform i z całą gotowością poczęło do reform tych się gotować, wychodząc z zupełnie zrozumiałego założenia, że zapowiadane zmiany nie mogą być dokonane bez udziału tegoż społeczeństwa. Postanowiono przygotować materiał do dyskusji, postanowiono mieć pod ręką gotowe formy, które w odpowiedniej chwili możnaby przedłożyć rządowi rosyjskiemu do zatwierdzenia. Nawet w sferach najbardziej optymistycznie, jak z wystąpień na zewnątrz wnosićby można, do obietnic rządu rosyjskiego usposobionych, panowała pewna nieufność do kających się za grzechy rozbiorów braci słowian, nieufność wyrażająca się przez usiłowania zabezpieczenia się na wszelki wypadek, gdyby bratu słowianinowi odeszła ochota do rozlewności, a natomiast przyszła chęć w interesie „mniejszych braci”, Polaków, utrzymania *status quo ante*. Sfery te uważały, jak zresztą całe społeczeństwo polskie, sprawę wychowania narodowego za jedną z najważniejszych, jeśli nie najważniejszą, zabiegały o wskrzeszenie Macierzy Polskiej, opracowując dla niej nową, rozszerzoną i zmienioną ustawę wiosną 1915 roku.

Jednocześnie z pracą nad wytworzeniem surogatu naczelną władzą oświatową polską, obejmującej na razie tylko szkolnictwo prywatne, przygotowywano materiał do reformy szkolnej. Pracowały niezależnie od siebie, lub w porozumieniu z sobą, liczne komisje, których zadaniem było przygotowanie możliwie dokładnych materiałów do zamierzonej organizacji szkolnictwa w całej rozciągłości, od szkół wyższych — do elementarnych.

Cała ta praca, jak to już poprzednio powiedziałem,

dokonywana była na wszelki wypadek, w przypuszczeniu, że pomyślny zbieg okoliczności pozwoli urzeczywistnić się projektom, zawieszonym dotychczas w powietrzu.

Szersze warstwy społeczeństwa polskiego zapatrywały się na tę pracę, o ile o niej wiedziały, przychylnie może, ale żywszego zainteresowania się nie zdradzały. Jakiegokolwiek zresztą żywsze zajęcie się tą sprawą, której ważność, choćby tylko teoretyczną narazie, powinno było społeczeństwo polskie odczuć i zrozumieć, było fizycznym niepodołaniem, członkowie bowiem ciał, powołanych do opracowania zasad reformy, czy organizacji szkolnictwa na zupełnie nowych podstawach, nie czynili nic, lub bardzo mało, by nawiązać łączność między sobą, a społeczeństwem. Pisma milczały, obawiając się, by zbyt głośnym nie zabić samej pracy, narażając uczestników na przeniesienie miejsca obrad w bardziej zaciszne ustronie, pod opiekę Ochrony. Poszczególni uczestnicy prac nie ujawniali czy to drogą publikacji, czy przemówień publicznych, wniosków, choćby najogólniejszych, do których przyszli, zasad, na których postanowili budować.

Jedynie Komisja Pedagogiczna, zawiązana przy Stowarzyszeniu Nauczycielstwa polskiego, ujawniła na zewnątrz swą działalność przez odczyt ks. Gralewskiego, wypowiedziany dwukrotnie w maju 1915. Już ten fakt, że odczyt musiał być powtórzony ze względu na zainteresowanie się publiczności, dowodzi jak najwymowniej, że sprawa wychowania dla społeczeństwa polskiego nie jest obojętną, że chętnie zajęłoby się nią ono, gdyby mogło, gdyby można w nie wmówić, że piękne teorie, wygłaszane z mównicy, nie są haselkami wiecowymi, lecz mają w sobie moc obleczenia się w ciało i stania się rzeczywistością.

Przewrót sierpniowy 1915 roku wysunął na czoło szkolnictwa polskiego w okupowanej przez wojska niemieckie części Królestwa Polskiego ciało zbiorowe, posiadające przez czas pewien charakter władzy naczelną oświatowej — Wydział Oświecenia.

Nie chcę bynajmniej być posądzonym o zamiar krytykowania działalności tego ciała, przeciwnie, przekonany jestem jak najgłębiej o dobrej woli jednostek, które je składały i ani przez chwilę nie zapominam o nadzwyczaj trudnych warunkach, w jakich działać mu wypadło. Dokonał Wydział Oświecenia tego, czego dokonać był mógł, pomimo trudnych okoliczności. Zresztą istniał tak krótko, że bardzo wielu zamierzeń nie miał czasu w czyn wprowadzić.

Istniejąca od paru miesięcy Macierz Szkolna, wreszcie Komisja Pedagogiczna przy Stowarzyszeniu Nauczycielstwa Polskiego są niejako istniejącymi dotąd ogniskami myśli pedagogicznej polskiej w chwili obecnej.

Prace tych organizacji, doświadczenia, pomysły, idee będą niezawodnie podwalinami, na których gmach przyszłego szkolnictwa polskiego będzie zbudowany. Jeszcze raz stwierdzam, że pewien jestem, iż prace w tych instytucjach dokonywane są wzorowe, że materiał zbierany przez nie jest wartościowy, że cały kierunek z największym wysiłkiem dokonywanych prac jest naprawdę celowy. A jednak nie waham się twierdzić, że we wszystkich tych pracach brak jednego czynnika, któryby je czynił naprawdę wartościowymi w szerszym, ogólnie obywatelskim znaczeniu tego wyrazu.

### II.

System rządzenia, jakim w stosunku do Polaków posługiwał się rząd rosyjski, nie mógł nie pozostawić głębo-

kich śladów w psychice polskiej. Do despotycznej przewrotności przekupnych rządów biurokratycznych trzeba się było przystosować — tego wymagał od społeczeństwa polskiego instynkt samozachowawczy. Społeczeństwo polskie chcąc żyć, chcąc działać, musiało posługiwać się środkami, odpowiednimi do środowiska, w którym działało, przystosowanymi do rodzaju przeszkód, które musiało pokonywać na swej drodze. Każdy odruch życia był paraliżowany, o ile był jawny, o ile pozwalał wyrozumieć cele, do których zmierzał. Z konieczności więc społeczeństwo polskie imać się musiało kłamstwa nazewnątrz, a głębokiej konspiracji wewnątrz, zapewniając sobie w ten sposób tyły, osłaniając się przed zbytnią gadatliwością współrodaków, która mogłaby odsłonić to, co miało być zakryte, zerwać tajemnicę z tego, co wymagało maski.

Ten, jedyny możliwy za czasów rosyjskich, sposób działania doprowadził do kilku nałogów, które wykorzenie nie będzie zbyt łatwym zadaniem. Przedewszystkiem działanie w tajemnicy przed własnym społeczeństwem musi z jednej strony doprowadzić do lekceważenia, a raczej zupełnego nie liczenia się z opinią publiczną, opinią społeczeństwa, która w najważniejszych dla siebie sprawach, jedynych, na które mogłaby wywierać wpływ, musi milczeć w obawie skompromitowania rzeczy i ludzi, z drugiej — jako konsekwencja pierwszego — musi doprowadzić do zaniku tej opinii, do zobojętnienia rzeczywistego, czy pozornego na sprawy najważniejsze. Społeczeństwo, odzwyczajone od omawiania publicznego spraw je obchodzących, przekonane o bezcelowości takiego omawiania, a może nawet szkodliwości, stało się obojętną masą, tłumem, który cierpi na *su! generis* mesjanizm — wierzy w zbawienie tylko przez jednostki, które dziś obdarza bezgranicznym zaufaniem, by jutro szkalować — i w jednym i w drugim przypadku niejednokrotnie jednakowo bezzasadnie. Charakterystycznym jest to, że jednostka, o ile nawet zawiedzie zaufanie tłumy, nie traci kredytu i fakt nie wpływa bynajmniej na jej dalsze losy. Tłum w dalszym ciągu, dzięki swej zupełnej obojętności, taką jednostkę toleruje, pozwala jej działać i t. p.

Opinia publiczna jest trwałą pamięcią społeczeństwa i baczny, czujny sumieniem. Czy byłoby możliwe, gdyby istniała u nas opinia publiczna, aby brano na serjo elukubracje człowieka, który dla skandalu, najpopularniejszej pożywki tłumy, oczernia tych, których przed niedawnymi czasami wynosił pod niebiosa, lub czy byłoby możliwe, aby ta sama grupa stronnictw wystawiała jednocześnie do Rady Miejskiej jako kandydatów dwu ludzi, z których jeden zarzucił drugiemu postępkę, nielicując z uczciwością obywatelską?

Bierność opinii publicznej, czy jej nawet nieistnienie, powoduje zupełne niedocenywanie jej roli w życiu społeczeństwa, nawet w tych sferach, które powinny posiadać dokładną świadomość wartości tego czynnika. Przeciwnie, wygląda to w ten sposób, jakby pewne osobistości, czy grupy uważały pobudzenie szerszych warstw społecznych do wypowiedzenia się w pewnych kwestjach za jakąś uzurpację władzy, za niepowołaną kontrolę, za brak zaufania wreszcie do jednostek, które swą dobrą wolę, swą pracę często bezinteresownie, często powodowane najlepszymi chęciami, społeczeństwu składają w ofierze.

Z drugiej strony społeczeństwo zaskoczony jest przez różne akuszerki szczęścia, które w tajemnicy przed nim gotują mu jakąś rozkoszną dla niego niespodziankę, wymagającą przedewszystkiem tajemnicy, aby dała się zrealizo-

wać i która od światła słonecznego ginie. Trzymane zdaleka od kuchni, w której gotują się dla niego przysmaki, nie ma zaufania do podawanych mu wytworów i nie może oprzeć się wrażeniu, że to, co mu do spożycia podają, trąci fałszykatem, a w każdym razie nie usprawiedliwia szumnej reklamy i nie odpowiada zastrzonemu apetytowi. Stąd brak wiary w społeczeństwie w wysiłki jednostek pewnych, zbyt duża ufność w talent innych, zupełna dezorientacja i chaos.

Jeżeli tam, gdzie chodzi o sprawy przemijającego znaczenia, o załatwienie prowizorium, wywołanego przemijającymi, bądź co bądź, warunkami wojny, można do pewnego stopnia wybaczyć nieuznawanie opinii publicznej, nie przedkładanie jej sprawozdań jak najdokładniejszych z czynności, nie zasięganie jej opinii drogą publicznej dyskusji, to w sprawach pierwszorzędного znaczenia, w sprawach, które w ten, lub inny sposób przesądzą o losach Polski, działanie w tajemnicy, bez zmuszenia opinii do wypowiedzenia się, jest co najmniej naganne.

Przedewszystkiem z takiej sprawy, jak sprawa szkolna, należy uczynić sprawę, o ile można, *powszechną*. Należy zmusić opinię jak najszerzych warstw narodu polskiego do wypowiedzenia się w tej sprawie. Jest to jedna z najlepszych sposobności pobudzenia społeczeństwa polskiego do namysłu nad odbudowę Polski. Dyskusja nad sprawą szkolną, nad celami wychowania narodowego, a nawet nad jego istotą, prowadzona jak najszerzej, przy pomocy pism, broszur, odczytów wszędzie, szczególnie w prowincji, którą specjalnie ignoruje Warszawa, pozwoliłaby społeczeństwu polskiemu uświadomić sobie, jakie są jego cele i dążenia na przyszłość, co chce urzeczywistnić w przyszłości, która jest krainą naszych dzieci, jak powiedział Nietzsche. Dyskusja taka, o ile nawet nie przyniosłaby wartościowego dla samej sprawy rozwiązania, bo przynieśćby go nie mogła, miałaby przedewszystkiem olbrzymie znaczenie wychowawcze.

Nietrudno jest się domyśleć, że podobne żądanie, czy życzenie, jak to, które powyżej wypowiedziałem, spotka się z kiwaniem głową, pełnym niedowierzania, a nawet zupełnego braku ufności w celowość podobnej akcji. Przedewszystkiem, powiedzą mi przeciwnicy, czy wogóle akcja taka jest możliwą, czy są odpowiednie warunki do jej przeprowadzenia, warunki zewnętrzne i wewnętrzne?

W prowizorium, w jakim żyjemy, niema narazie warunków umożliwiających natychmiastowe urzeczywistnienie w ten, lub inny sposób pomyślanego czynu politycznego tego znaczenia, co reforma szkolna. O tym nie może być mowy i tego nikt, patrzący trzeźwo na okoliczności, zapoznawac nie może, jeżeli nie chce być posądzonym o marzycielstwo polityczne. Warunki zewnętrzne zmieniły się jednak na lepsze o tyle, że nie można przewidywać przeszkód, uniemożliwiających zasadniczą dyskusję w sprawie szkolnej, która przecież nie jest ani przesądzeniem celów wojny, ani omawianiem warunków politycznych, wytworzonych przez zwycięstwo tej lub innej strony, biorącej udział w wielkiej wojnie europejskiej, a jest raczej wewnętrznym porachunkiem narodu ze sobą samym, jest rewizją jego ideałów, z których jednym chce zapewnić trwałość, czyniąc je podstawami wychowania młodzieży, inne, odrzucić po rewizji jako obcy sobie, zbędny, czy szkodliwy balast. Dyskusja zasadnicza nad reformą szkolną, powtarzam zasadnicza, nie natrafiłaby na przeszkody zewnętrzne.

Co się tyczy przeszkód wewnętrznych, bierności spo-

łeczeństwa—to istotnie, społeczeństwo, wychowane w milczeniu, będzie trudno przekonać, że sprawa wychowania jest o wiele ważniejszą od sprawy podatku dochodowego od widowisk, której roztrząsanie, oświetlanie, wyświetlanie zajęło tyle miejsca w prasie i której tyle poświęcono uwagi.

Niezawodnie z biernością tą trzeba będzie walczyć, lecz właśnie dla tego, że ta bierność istnieje, że społeczeństwo nie poczuwa się do konieczności wypowiedziania się w sprawie wychowania, należy wszelkimi środkami dążyć do rozbudzenia jego uwagi, do skierowania czujności w stronę, gdzie leży jego istotna przyszłość.

Najbardziej wychowawcze w znaczeniu ogólnie społecznym zadanie polega na zaprawieniu społeczeństwa polskiego do poczucia obowiązku i odpowiedzialności wobec przyszłości; poddając kwestję reformy szkolnej pod dyskusję ogólną, zmuszając do zabierania głosu jak najszersze warstwy społeczne, można by niezawodnie przyczynić się do naprawę politycznego uświadomienia społeczeństwa polskiego.

Może nas spotkać jeszcze jeden zarzut. Jakto, poddawać tak ważną sprawę pod dyskusję publiczną, dyskusję osób niepowołanych? Przypuśćmy nawet, że zostaną poczynione odpowiednie usiłowania, to cóż za realna korzyść z tego, że obywatel Kiernozi, czy Pacanowa, nie-specjalista, wypowie swój sąd o tym, lub owym ideale wychowawczym?

Po pierwsze obywatel Kiernozi, czy Pacanowa, niestety, pomimo, iż specjalistą nie jest, jest powołany do realizowania tych, czy innych ideałów wychowawczych, wychowując własne dzieci i nawet jako wychowawca może mieć niejednokrotnie zdrowy sąd o rzeczy, zdrowszy od niejednego specjalisty, bo pozbawiony mglistości, płynącej z eklektycznej erudycji, oraz sztywności rutyny.

Po drugie ów niespecjalista, może dzięki temu, iż zmuszony będzie zastanowić się nad istotą i celem wychowania, zda sobie sprawę z doniosłości swej własnej pracy wychowawczej i uzna, że dokonanie reformy ogólnej jest sprawą niecierpiącą zwłoki, naprawdę aktualną.

Przecież kwestja wychowawcza już z tego względu jest aktualną, że każda prawie jednostka musi ją dla siebie rozwiązywać praktycznie i ta właśnie konieczność rozwiązania dorywczego przekonywa ją o nieudolności, o braku jakichkolwiek (prócz instynktownych) podstaw, na których mogłaby się oprzeć. Dyskusja wychowawcza wskazywałaby szerszym warstwom na to, co uchodziło dotąd ich uwagi, zmusiłaby do zastanowienia się nad powagą zadań i obowiązków ojca, matki, wychowawcy. Z drugiej strony przygotowałaby odpowiednie warunki do ewentualnego przyjęcia nowej organizacji szkolnictwa, w razie gdyby okoliczności umożliwiły jej wprowadzenie w życie. Wszelka reforma szkolna, przeprowadzona z uwzględnieniem opinii społecznej w Polsce, byłaby przyjęta nie jako elaborat kilku ludzi, lecz jako twórcza praca całego społeczeństwa.

Oprócz ogólnie wychowawczej, dyskusja taka miałaby wartość pierwszorzędną dla samej sprawy reformy szkolnej. Pozwoliłaby na wszechstronne wyświetlenie niejednej kwestji, dopomogłaby do poznania opinii, panujących wśród społeczeństwa polskiego, umożliwiłaby niejednokrotnie odnalezienie jednostek, które miałyby w sprawie reformy szkolnej coś do powiedzenia, nie należąc do ogólnie uznanych specjalistów, czy działaczy.

Doniosłość uczynienia ze sprawy reformy szkolnictwa sprawy ogólnie narodowej ocenił i zrozumiał Wielopolski, przystępując do reformy w 1862 roku. „W maju 1861 r. zwrócił się z urzędową lub osobistą prośbą do wszystkich zakładów naukowych, do osób znanych z wiedzy lub rozumu, aby złożyły swoje projekty w sprawie reformy szkolnej”.<sup>1)</sup> Prace poważniejsze ogłaszane były w organie urzędowym, wywoływały uwagi, refleksje, polemikę. Zainteresowanie sprawą reformy było znaczne, choć okoliczności polityczne niezupełnie temu sprzyjały.

Okoliczności, w jakich żyjemy obecnie, nie sprzyjają również przeprowadzeniu jakiegokolwiek reformy szkolnej w Polsce, niepewnej losu. Okoliczności jednak sprzyjają jak najbardziej temu, aby ze sprawy przyszłej reformy szkolnej uczynić rzecz pierwszorzędnego ogólnie narodowego znaczenia, aby *dziś już rozpocząć pracę uświadamiającą ogół, że czeka go zadanie tak ważne, iż od tego lub innego rozwiązania zależy cała jego przyszłość.*

(D. n).

GROMICZ.

## „Najlepsi”.

Marek Borkowski.

Na płaszczyźnie myślenia ludzkiego jest punkt, w którym logika przecina się z próżnią: na tym punkcie staje zawsze Marek Borkowski, ilekroć wstępuje na trybunę radnych. Kocha się on w sztuce rozumowania, jak w odurzającym winie.

— Przedewszystkim — rozumuje Marek Borkowski — trzeba umieć dobrze i płynnie rozumować.

Stara się tedy rozumować dobrze. Ubiega się o stanowisko pierwszego rezonera w Radzie, napełniając jej rozległą komnatę muzyką jędrnych i dźwięcznych argumentów. On to radnym współkolegom niesie błogie kadzidło zadowolenia, że są ludźmi inteligentnymi, ponieważ, przemawiając do nich z katedry radzieckiej, pozwala im myśleć, że są równie inteligentni, jak on.

Niewątpliwie pan Marek posiada tyle dumy, iż wie, że odcisk na palcu lewej lub prawej nogi, odniesiony śród wielkiej zawieruchy świata, w której narody całe kładą się na pobojuwisku, nie jest żadną legitymacją do niepodległego bytu. Wszelako i on także rości pretensję do wojny. Od licznego typu pisklęcych rozzaleńców różni się on tym, że swej uczuciowej reakcji nie zgłasza zagranicą, jak weksła, mającego być spleconym w Moskwie, Paryżu lub Londynie. Borkowski ma pretensję do wojny, ale nie o to, że głucha jest na nasze cierpienia; on żali się, że jest głucha i niema na jego argumenty. Pan Marek bowiem wierzy w logikę i przekonany jest o tem, że przyszłość świata należy do sylogizmu.

„In Anfang war die Tat” — rzekł Gete. Na początku był Czyn. Pan Marek czyn obala i twierdzi, że na początku był kodeks prawidłowego wnioskowania.

Świat cały wedle niego zbudowany jest nakształt nieskończonego łańcucha wniosków. Wniosek wysuwa się

<sup>1)</sup> Sempołowska. „Reforma szkolna 1862 r.”, str. 22.

z wnosku tak, jak szuflada wysuwa się z biurka w kancelarji warszawskiego rejenta. Aby otrzymać dobry wynik, należy tylko wysunąć właściwą szufladę, w której ideał nasz złożony jest już i czeka na nas w gotowej postaci, jak wyrok sądowy w „ostatecznej formie”. W jednej z takich opatrnościowych szuflad niezawodnie złożona jest już i podpisana niepodległość Polski. Wystarczy dobrać klucza i szufladę otworzyć, aby osiągnąć wcielenie wszystkich naszych marzeń i nadziei. Dla odbudowania państwa niepotrzebna jest krew, niepotrzebne jest żelazo, niepotrzebne są pieniądze, niepotrzebne są wysiłki i ofiary: potrzebna jest tylko trafność w wyborze klucza, t. j. ścisłość w zastosowaniu argumentu.

I ogarnięty halucynacją swego przeświadczenia, Marek Borkowski, od pierwszego dnia wojny, t. j. od dnia, w którym jego kancelarja rejenta nieco więcej wolnego jęła używać mu zacisza dla zajęć *pro publico bono*, oddał się gorączkowej pracy dobierania klucza do tej szuflady w biurku, gdzie jest zamknięta nasza niepodległość. Podczas pierwszego roku wojny stanęło przed nim pytanie, czy tą szufladą drogocenną nie była odezwa wielkiego księcia moskiewskiego? Powierzchu, na pierwsze wejrzenie oka, miała ona coprawda postać niezbyt zachęcającą. Wyglądała tak, jak zabawka dla dzieci sporządzona z belek, na których powieszono ojca. Ale to nic. Wyrób wydawał się tym bardziej interesujący. Zadanie dla rezonera tym bardziej pikantne. Chodziło o to, aby szufladę otworzyć tak misternie, iżby dało się wyjąć z niej to, czego w niej wcale nie było. Chodziło o to, aby odezwę wielkoksiążęcą tak wykomentować, jak urzędy rosyjskie zwykły komentować prawo. Tak ją przenicować, aby podszewka zaślśniła czystym amarantem polskiego sztandaru.

Henryk Heine wślawił się wizerunkiem domorosłego filozofa, który cały świat chciał ogarnąć systematem swych pojęć, a gdy w jakimś miejscu brakło mu pojęcia, łątał swą filozofję połą od szlafroka. Podobno pan Borkowski szlafrokiem djalektycznym sztukował manifest moskiewski, aby do wzrostu polskiego przystał.

— Cóż z tego — pytał on — że manifest wielkiego księcia wart jest tyle, co pieczona sroka? My tę srokę możemy nadziać pocichu niepodległościowym nadzieniem i w bratnim kole spożywać, jako niepodległościowe danie. Nie to jest ważne, co się w odezwie mikołajowskiej zawiera, ale to, co się w niej pomieścić może. Otóż w nią wejść może cały nasz jagielcoński przepych: od morza do morza!

Istotnie, odezwa moskiewska była tak rozległa, że się w niej zawrzeć dało wszystko, ale w ten sposób, w jaki ocean da się zawrzeć w przetaku, przez który woda przecieka. Była ona, istotnie, sitem, przez które wszystkie krew Polski przeciec miała do rosyjskiego morza. Wszystko mogło się w niej pomieścić, ale nic nie mogło w niej znaleźć podstawy oparcia. I ktokolwiek z Polaków, czytających cdezwę rosyjską, dośpiewywał sobie w duszy czułą jej kołysankę w duchu niepodległościowym, ten bezwiednie stawał się współpracownikiem wielkiego księcia Mikołaja w czarnoksiężkim jego dziele uwodzicielstwa. A cóż powiemy dzisiaj o ludziach, którzy między wierszami odezwy rosyjskiej rysowali białego „orzelka”, takiego drobnego, maciupęńskiego orzelka, ażeby można powiedzieć, że jest, choć go wcale nie widać, że jest, ale pod mikroskopem?

Tak. Byli jeszcze przed dwoma laty ludzie w Warszawie, którzy wierzyli, iż Polskę Niepodległą można wysylabizować ze słów moskiewskiej obietnicy; którzy głosili, że niepodległości nie trzeba zdobywać, że ją można

poprostu a najskuteczniejszym sposobem między wierszami... wyczytać i do zatwierdzenia wyższym władzom przedstawić.

*Sancta simplicitas!* Pod cenzurą Hurków i Apuchtinów tyle najświętszych rzeczy dla Polaka spoczęło „między wierszami”, że wreszcie wydać się mogło, iż tam cała Polska snem świętym spoczywa. Więc kiedy uderzył grom na zmartwychwstanie Polski i od łoskotu wojny zatrzęsły się posady świata, ten i ów pobiegł Polskę wydobywać stamtąd, gdzie ją przyzwyczajano się opłakiwać: wydobywać ją z „pomiędzy wierszy”, tym razem — z pomiędzy wierszy uroczystego manifestu.

I gdyby historję świata pisała naiwność, niechybnie wciągnęłaby imię Marka Borkowskiego na listę wielkich Marków, kto wie? — możeby go postawiła obok Marka Aurelego, który też pono w polityce lubił filozofować. Ale muza historji nie jest muzą naiwności: „listy otwarte” warszawskich legitymistów nie sięgały uszu wielkich książąt; natomiast, obiegając z rąk do rąk wewnątrz polskiego społeczeństwa, szerzyły w nim zabójczą nasenną truciznę, zabójczą nasenną myśl, że możemy, panie dobrodzieju, być spokojni, bo przecież w „odezwie” stoi niepodległość, przysłonięta woalką, to prawda, ale niepodległość, jak się patrzy, jak się marzy. Pan Borkowski ciągnął za włosy niepodległość z rosyjskiej „bumagi” i, trzeba przyznać, w ciągnięciu tym ujawnił niemało polskiej odwagi i niemało polskiej szlachetności. Radbym rzecz nawet, że się w tym przedsięwzięciu posunął do heroizmu. Ta odwaga i żarliwość, jaka znamionowała wystąpienia pana Borkowskiego, w stosunku do Rosji i w stosunku do zwolenników Rosji, zjednały mu żywy podówczas szacunek w obozie niepodległościowym. Gdy inni z odezwy moskiewskiego księcia czynili czop do zakorkowania sprawy polskiej w kotle rosyjskim, on chciał z niej uczynić wentyl, przez który sprawa polska czerpaćby mogła powietrze i światło z wolnej Europy. Beznadziejny, heroiczny, ale beznadziejny bunt djalektyki, wyhodowanej i skostniałej aż do śmierci na przewyciężaniu paragrafów wszechmocnego kodeksu!

Bądź jak bądź, odezwa książęca stała się dla Marka Borkowskiego tym jedynym gruntem, na którym stoczył on swój bój o niepodległość Polski. Od chwili, w której rozegrał się jego pojedynek z wielkim księciem Mikołajem, nie chce on nic więcej o walce słyszeć. Nie chce on słyszeć o wojnie.

— My — dowodzi <sup>1)</sup> — jesteśmy narodem, który nikomu wojny nie wypowiadał, i któremu nikt wojny nie wypowiadał.

O! jakże jesteśmy szczęśliwi: nam nikt wojny nie wypowiadał. O! łasko losu: i my w sercu żadnej nie chowamy nienawiści. Żadnej zapiekłej zemsty. O! dobrotliwa Opatrzności, bądź błogosławiona, iżeś nam zamieszkać dała oliwne gaje pokoju. Już zablizniły się piekące rany naszej ziemi: czerwone pola Maciejowic i Ostrołęki, krwawe ulice Pragi i wszystkie drogi wygnania, wszystkie aleje szubienic, którymi od lat stu przechadzał się niesforny polski duch-rewolucjonista!

„Myśmy nikomu wojny nie wypowiadali?!“ — dowodzi nowy nasz historjosoł. A czymże były trzy nasze przeciw Moskwie powstania? Że potrzykroć zostały złamane, toż ma świadczyć, żeśmy na ich gruzach z Moskwą wieczny-

<sup>1)</sup> Cytata według stenogramów Rady miejskiej.

sty zawarli pokój? Któż jest tak ubogi sercem, aby wierzył, że ujarzmiony z ujarzmicielem może pokój zawrzeć? I gdzie, na jakim miejscu, miał być ów sławetny pokój z Rosją podpisany? Czy miał stanąć na stokach cytadeli pod szubienicą Traugutta, czy może w Wilnie pod pomnikiem Murawjewa? Czyż, wreszcie, miały podpisać go ręce? Czy te ręce w kajdanach, które krwawiły się w kopalniach Nerczyńska, czy też owe dłonie w rękawiczkach, które wieńce kwiatowe składały u stóp posągu Katarzyny II? Nie masz pokoju między nami a Moskwą, i odczuli to znakomicie sami Moskale w ową pamiętną niedzielę 1 sierpnia 1914 roku, gdy tak panicznie rzucili się do ucieczki z miast i miasteczek polskich, do ucieczki nie przed odległym jeszcze niebezpieczeństwem armji niemieckiej, ale — przed widmem wstającej Polski!

„Nam nikt wojny nie wypowiadał”?! — pociesza nas tenże historjograf. Chryste Panie! Jesteśmy tedy fenomenem przyrody. Na tym okrutnym poboju świata, który jest wojną wszystkich przeciw wszystkim (*polemos pater panton* — mówił już stary Grek Heraklit), naród polski, wedle Marka Borkowskiego, jest tym jedynym pieszczochem rodzaju, któremu nikt wojny nie wypowiadał. Moskal zdarł koronę z głowy naszego ostatniego króla, we krwi utopił trzy powstania, ale wojny nam nie wypowiadał. Cóż tedy czynił? Niezawodnie, chciał on wdroić nas właśnie do pokoju, raz nazawsze uśmierzyć, wybić nam wojnę z głowy, nazawsze nas spoczynkiem wiecznym uspokoić. Tak przynajmniej głosiła w stolicach Europy dyplomacja rosyjska. Tak wślad za rosyjską jęła coraz skwapliwiej przyświadczać dyplomacja francuska. *L'ordre regne à Varsovie*, porządek panuje w Warszawie; tak to w uprzejmym języku dyplomacji franko-rosyjskiej malował się stan narodu, „który na gardzieli miał obcas buta, w gębie knebel, ręce do ziemi kołkami poprzybijane”.

Oba twierdzenia pana Marka Borkowskiego nadawałyby się nie tyle pod dyskusję, ile pod rozpalone żelazo, gdyby nie upowszechnione wśród ogółu polskiego mniemanie, że Rosja z narodem polskim walczy tylko wówczas, gdy on za oręż chwyta, gdy się buntuje, gdy staje do walki o niepodległość. Jest to potworne kłamstwo. Rosja walczyła z nami dzień za dniem, i noc za nocą, stale, bez rozjem, bez spoczynku, aż do ostatniego tchu w naszej pierś, aż do głębokiej cmentarnej ciszy w łonie narodu. Powstania nasze zbrojne nie znaczyły wyłącznych okresów, w których Rosja łamała nasze siły, ale były okresami, w których nacierającemu zalewowi Rosji przeciwstawialiśmy zbrojną tamę, aby powstrzymać i cofnąć rosnącą falę powodzi. W okresach naszych powstań powódź moskiewska kruszyła tamy naszego oporu. Poza okresami powstań ta sama powódź pochłaniała nas bez tam i bez oporu z naszej strony. Tak zwane tedy okresy pokojowego z Rosją współżycia były okresami bezspornego dożerania żywej miazgi naszego narodu, naszej samowiedzy, naszej narodowej duszy. Murawjew, wielkorządca wileński, krwawy żniwiarz na roli ostatniego powstania, zarobił sobie pracowitym swoim rzemiosłem na zasłużony przydomek *Wieszatiela*. Ale Skąłton, Skąłton wielkorządca warszawski, nie pośród powstania, ale pośród tej złudnej sielanki, jaką był krótki, niebacznym romans polsko-rosyjski w latach 1905—1908, zebrał pokażniejszy z tej sielanki dorobek, niż Murawjew i Berg społem wzięci, w ciągu lat kilku stając się najwięk-

szym w Polsce wydawcą, albowiem wydał 11 tysięcy wyroków, niosących skazańcom śmierć lub wygnanie.

Kto więc utrzymuje, że: „my jesteśmy narodem, który nikomu wojny nie wypowiadał, i któremu nikt wojny nie wypowiadał”, — ten chciałby w łupinie neutralności, jak w łupinie orzecha, żeglować spokojnie po tym odmęcie krwi, jaka wypełnia przepaść dzielącą nas od Moskwy, w nadziei, iż, płynąc bez wiosel i bez steru, najpewniej dopłynie do Polski Niepodległej.

OBSERWATOR.

## Życie w atomach.

ROSJA I KOALICJA.

Jeden z organów prawicy rosyjskiej „Kołokoł” zamieścił artykuł p. t. „Sprawa polska, Rosja i koalicja”. Rozumowanie jest tu krótkie i... słuszne. Brzmi tak:

„Rachuby pewnych polityków polskich na to, iż kongres europejski zechce narzucić nam w kwestji polskiej swoją wolę, nie mają żadnego gruntu pod nogami. Nasi sprzymierzeńcy nie mają w Polsce żadnych interesów. Jeśli są oni obecnie zainteresowani w losie Polski i w stosunkach polsko-rosyjskich, to tylko wyłącznie z punktu widzenia naszych interesów, jako swoich sprzymierzeńców, z punktu widzenia stałości i siły Rosji w walce z wspólnym wrogiem. Gdyby dla tej stałości i siły potrzeba było nie dotykać kwestji polskiej, to sprzymierzeńcy nasi napewno zajmowaliby się nią tak mało, jak mało zajmowali się w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu. Mocarstwa koalicji rozpatrują kwestję polską tak samo, jak my sprawę Irlandji, t. j. jako wewnętrzne zagadnienie Rosji, jako zagadnienie słowiańszczyzny, co do losów którego Rosja odegra rolę decydującą. Narzucać Rosji w tej kwestji jakiegokolwiek dyrektywy swoje, które dla Rosji byłyby nie do przyjęcia — znaczyłyby to osłabić sprzymierzeńca, czego mocarstwa koalicji naturalnie nie zrobią”.

Te parę słów powinni sobie uważnie odczytać endecy politycy z Klubu Polskiego w Lublinie, którzy w swej nowej deklaracji liczą na kongres europejski, odrzucają „jednostronne decyzje” w czasie wojny i zalecają „przestrzeżoną dotychczas (?) neutralność...”

*Przedpłata „WIDNOKRĘGU” wynosi w Warszawie, wraz z odnośnieniem do domu, miesięcznie kop. 85; kwartalnie rb. 2 kop. 50; rocznie rb. 10. Z przesyłką pocztową kwartalnie rb. 3; rocznie rb. 12.*

*Za zmianę adresu dopłaca się kop. 20.*

*Administracja, prócz niedziel i świąt, otwarta codziennie od godz. 10 rano do 2 pp. i od 5 do 7 wiecz.*

*Redakcja, prócz niedziel i świąt, otwarta codziennie od godz. 6 do 7 pp.*

*Rękopisy nie przyjęte są do odebrania w redakcji w ciągu 3 miesięcy. Potym ulegają zniszczeniu.*

*Dla studentów i nauczycieli ludowych 25% ustępstwa. Cena numeru oddzielnego w Warszawie i na prowincji kop. 25.*

# WIDNO KRĄG

№ 17 (R. II) Warszawa, 13/XI 1916

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 7. — TELEF. 158-90.

**TREŚĆ:** W. RZYMOWSKI: Fundamenty Polski Niepodległej. — M. DĄBROWSKI: Aleksander Sulkiwicz. — TADEUSZ HOŁÓWKO: Zadania i prawa demokracji polskiej. — ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI: Modlitwa. — List Józefa Piłsudskiego. — LASSOTA: Branka czy werbunek? — T.—T.: Z tygodnia. — H. L.: Książki.

W. RZYMOWSKI.

## Fundamenty Polski Niepodległej.

W niedzielę, dnia 5-go listopada, na Zamku Królewskim w Warszawie, odwrócona została karta naszych dziejów. Uroczystym manifestem, stwierdzającym zgodną wolę Monarchów obu sprzymierzonych mocarstw środkowych, powołane zostało nanowo do życia niepodległego, po stu z górą latach niebytu, państwo polskie.

Treść manifestu brzmi jak następuje:

„Przejęci niezłomną ufnością w ostateczne zwycięstwo ich broni i życzeniem powodowani, by ziemie polskie przez waleczne ich wojsko ciężkimi ofiarami rosyjskiemu panowaniu wydarte do szczęśliwej przyszłości, Jego Cesarska Mość Cesarz Niemiecki, oraz Jego Cesarska i Królewska Mość Cesarz Austrii i Apostolski Król Węgier postanowili z ziem tych utworzyć państwo samodzielne z dziedziczną monarchją i konstytucyjnym ustrojem. Dokładniejsze

oznaczenie granic Królestwa Polskiego zastrzeżę się. Nowe królestwo znajdzie w łączności z obu sprzymierzonymi mocarstwami rękojmię potrzebną do swobodnego sił swych rozwoju. We własnej armji nadal żyć będą pełne sławy tradycje wojsk polskich dawniejszych czasów i pamięć walecznych polskich towarzyszy broni w wielkiej obecnej wojnie. Jej organizacja, wykształcenie i kierownictwo uregulowane będą we wspólnym porozumieniu.

Sprzymierzeni monarchowie, biorąc należyty wzgląd na ogólne warunki polityczne Europy, jako też na dobro i bezpieczeństwo własnych krajów i ludów, żywią niezłomną nadzieję, że obecnie spełnią się życzenia państwowego i narodowego rozwoju Królestwa Polskiego.

Wielkie zaś, od zachodu z Królestwem sąsiadujące mocarstwa, z radością ujrzą u swych granic wschodnich wskrzeszenie i rozkwit wolnego, szczęśliwego i własnym narodowym życiem cieszącego się państwa“.

Manifest powyższy o tej samej godzinie obwieszczony we wszystkich miastach Królestwa Polskiego na ziemiach zarówno niemieckiej, jak austro-węgierskiej okupacji wojennej, jest nie tylko pierwszym wielkim krokiem na drodze do spełnienia naszych pragnień narodowych, ale i sprawdzeniem naszych przewidywań. Nie tylko urzeczywistnia się w nim dziejowa naszego narodu wola, ale i zmartwychwstaje w nim długo tłumiona dziejowa prawda nasza.

Ta prawda w czterech wyraża się twierdzeniach, stanowiących cztery przesłanki manifestu.

I. Państwo Polskie zmartwychwstaje na gruzach klęski rosyjskiej. Wyparcie Rosjan z granic dawnego ich zaboru było niezbędnym przedwarunkiem naszego odrodzenia politycznego. Bez wyzwolenia Królestwa Polskiego z pod berła carów niema podstawy terytorjalnej dla samodzielnego państwa naszego. Tak zapatrywała się na sprawę wskrzeszenia niepodległości naszej cała tradycja myśli politycznej w Polsce, oddychająca walką przeciw Rosji, ociekająca krwią trzech powstań przeciw Rosji, kująca w każdym pokoleniu oręż przeciw Rosji. Tak również pojęła swe zadanie w przededniu wielkiej wojny świata myśl polityczna naszego pokolenia, wcielając się w kadry wojskowe Związków oraz Drużyn Strzeleckich, które w pamiętnym dniu 6 sierpnia 1914 roku przekroczyły granice zaboru rosyjskiego, idąc starym szlakiem Dąbrowskich, Wysockich i Trauguttów: szlakiem zdobywania niepodległości w wojnie przeciwko Rosji.

II. Wskrzeszone Państwo Polskie wraca do życia nie jako sztuczny płód przejściowych konjunktur dyplomatycznych, ale jako wyraz głębokiej i trwałej konieczności, tkwiącej u podstaw nowego układu stosunków międzynarodowych w Europie środkowej. Wyłaniając się z głębi wewnętrznych sił narodu, państwo polskie zarazem znajduje oparcie w zewnętrznych czynnikach przeobrażającego się środka Europy. Po 150 latach niewoli wracamy obecnie na arenę polityczną nie tylko w imię naszych nieprzedaw-

nionych do bytu niepodległego praw, nie tylko w imię naszych niewygasłych pragnień, ale jednocześnie pod znakiem określonych zadań historycznych: pod znakiem brania w posiadanie strażnic kultury zachodniej, tudzież obrony ich przeciwko najazdom zaborczego wschodu. Tym wielkim zadaniom, które państwo nasze czekają już w najbliższej przyszłości, sprostać mogą tylko wielkie zasoby żywotności. Konstytucja przeto, o której mówi Manifest, określająca budowę i działalność nowego państwa, oparta być musi na zasadzie *maksymalnej* wydajności sił w państwowej pracy narodu, t. j. na zasadzie demokratycznej, dopuszczającej wszystkie klasy społeczeństwa do udziału w rządzie na równych prawach i w równej mierze. Tylko zainteresowanie wszystkich żywiołów społecznych w istnieniu i rozwoju państwa da temu państwu siłę do ostania się wobec niebezpieczeństw zewnętrznych.

III. Skruszenie kajdan można zawdzięczać cudzej pomocy. Stworzenie samodzielności można zawdzięczać tylko sobie. Odbudowa Polski, aby być dziełem trwałym, musi być dziełem samych Polaków. Zdanie to, będące wyrazem najgłębszej treści dążeń niepodległościowych w Polsce wczorajszej, stanie się programem dnia w Polsce dzisiejszej i jutrzejszej aż do złożenia ostatniej cegły w gmachu jej niepodległości. Manifest potwierdza to zdanie, wymieniając rząd (króla) i wojsko, jako organy tworzącego się państwa. Rząd polski, oparty o Sejm, armja oparta o rząd narodowy, oto dwa etapy czynu polskiego, mające nastąpić niezwłocznie wślad za aktem mocarstw środkowych, ustalających zasadę naszej państwowości.

IV. Armja polska, powołana rozkazem rządu narodowego, stanie się w stosunku naszej dziejowej walki z Rosją ostoją naszego bezpieczeństwa, a w stosunku utrwalonego na polach bitew przymierza z Europą Środkową ostoją naszej godności i dumy narodowej.

Oto są owe cztery tezy, które stanowią fundamenty naszej niepodległości w znaczeniu prawnopaństwowym, składają się na ośnowę aktu z dnia 5 listopada; aktu, którego wspomnienie we wdzięcznej pamięci Polaków przetrwa i niezawodnie pogłębi się w przyszłym braterstwie broni i w zgodnym współdziałaniu na polu wspólnych interesów Polski z Europą Środkową.

W akcie mocarstw sprzymierzonych rzucone zostały, jak rzekłem, fundamenty niepodległości naszej w znaczeniu prawnopaństwowym. Ale — pamiętać trzeba — fundamenty realne tkwią w nas samych. Formuła prawnopaństwowa pozostanie próżną formą, jeśli ją własną krwią, własnym swym ciałem nie wypełnimy.

Otwarto przed nami bramę wolności: zyskaliśmy pole dla najświętszej pracy, dla pracy budowania i ubezpieczania niepodległego bytu. Dla pracy tej dziadowie nie żalowali krwi, nie żalowali znoju, ani życia. Rękami w łańcuchy okutymi porywali za miecz. Dziś z rąk naszych łańcuchy już opadły. Ale Rosja do bram wschodzącej wolności naszej szturmuje, aby nanowo okuć nasze ręce.

Będąc od ojców i dziadów naszych szczęśliwsi, z wrogami niepodległości naszej walczyć możemy już nie jako powstańcy i buntownicy, ale jako wolni obywatele niepodległej ojczyzny. Będziemy też od nich potężniejsi: do żaru zemsty, jaka ich gnała w bój rozpaczy, dodamy rozmach swobody, który nas powiedzie w bój zwycięstwa.

M. DĄBROŃSKI.

## Aleksander Sulkiwicz.

(Sierżant 5 p. p.).

Stary, szpakowaty, 50-cioletni sierżant amunicyjny 5 p. p. „Zuchowatych“ niczym nie zdradzał świętej, legendarnej poprostu historii swego życia.

Urodzony w Suwalszczyźnie, lata młodzieńcze spędził w Konstancynopolu nad Złotym Rogiem, wychowywany pod bezpośrednim wpływem Karola Brzozowskiego, od dzieciństwa tęsknił ku Polsce, ku służbie dla niej. Poświęcić się bez zastrzeżeń dla Wielkiej Sprawy — oto ideał, promieniający najmłodsze lata Sulkiwicza.

„Pierwszą polską książką moją, którą przeczytałem, była powieść: „Nie będziesz miał bogów cudzych przedemną“, rzecz, nad którą płakałem rzewnymi łzami. Ona wzbudziła we mnie ową palącą tęsknotę do kraju...“ mówił mi raz w księżycową noc na pozycjach pod Stawskiem, kiedy wspomnieniem wertowaliśmy ubiegłe lata.

Pamiętam go dobrze, gdy byłem jeszcze 5-o klasistą gimnazjum w Radomiu. Jakiż to kawał czasu! Za ledwie rozpoczynało się XX stulecie i nikt nie przewidywał w najśmielszych marzeniach swoich tej wojny straszliwej, która jak wulkan ognisty i krwawy wyrzucić może z poszarpanych wnętrza Europy naszą Niepodległość.

Pracowaliśmy wówczas, przed laty 20, w tej fabryce konspiracyjnej, pod firmą Wolności, nieletni chłopcy, terminatorzy nieudolni, ścigani, węszeni, tropieni przez żandarmów moskiewskich, przez nauczycieli, przez własne nie-raz otoczenie najbliższe. Przewiezienie z miasta do miasta zwyczajnej walizki z „bibułą“ wymagało starań nadzwyczajnych i trudu niepomiernego.

Ileż to razy, gdy „tow. Michał“ — taki pseudonim nosił w partji członek C. K. R. Aleksander Sulkiwicz, zwany również „Małym“ i „Tatarem“ — wcześniej przybył do miasta, zmuszony był czekać z babami-bigołkami przed drzwiami kościoła Bernardyńskiego na otwarcie podwoi. Ileż razy w kościele tym umawiać się należało z „Tatarem“ o miejsce, czas i sposób przeniesienia beczkowej, małej, ręcznej walizki.

Ta czarna krępa postać, ta twarz, o brązowej, oliwkowej cerze, te oczy dobrotliwie a uważnie i odważnie z za szkieł patrzące, jakże silnie wbiły się w pamięć, na zawsze...

W t. z. „Grupie Wileńskiej“ powstała myśl powołania do życia pierwszego C. K. R. P. P. S., tego tajemnego rządu moralnego, który, nawiązując nić do powstaniowych tradycji, zastąpić miał w społeczeństwie naszym ów sławny



Centralny Komitet Narodowy z 63 roku. Tow. Mały był przy utworzeniu C. K. R.

Od dzisiejszego komendanta naszego, z biegiem lat, odpadały dobrowolnie jednostki takie, jak Stecki, Grabski, Balicki, dziesiątki i setki osób chłoneła Cytadela, chłoneła Sybir i dalekie wygnanie. „Michał” wpadł raz jeden i wydobyl się. Nieposzlakowana przeszłość, wyznanie mahometańskie, a przedewszystkim kunszt konspiracyjny, z którego słynał w partji, zawracały w głowie nawet takim żandarmom, jak Gnoiński w Kijowie.

„Michał” przewozi i stawia pierwszą drukarnię „Robotnika”. Ileż miast i ileż mieszkań zwiedziła ta „babcia” — stara maszynka drukarska — strzeżona jak oko w głowie dzięki zabiegom „Tatara”. Wreszcie w Łodzi — nie lubił tego miasta Michał, gdyż wydłużone ulice, przecinające się pod prostym kątem, nie pozwalały starym lisowi partyjnemu kluczyć tam, myląc tropy gończych-żandarmów — przez nieostrożność jednego z transportowców „bibuły” drukarnia wpadła. A w mieszkaniu drukarni dostał się w ręce moskiewskie Józef Piłsudski.

Przepaść rozwarła się pod nogami partji. W C. K. Rze pozostał niezaspiclowany jeden jedyny „Michał”. Nie minęło pół roku, nowa drukarnia biła już następny numer „Robotnika”, a niestrudzony „Tatar” rozsuwał w kołach najściślejszych iście romantyczny plan wykradzenia Piłsudskiego z Cytadeli, czy z „Kresta” petersburskiego. Należało się śpieszyć, bo nuż proces zakończą i Szlisselburg gotowy, a z nim wieko trumny więziennej na zawsze nad Ziukiem zapadnie.

Towarzysze kręcili głowami, niektórzy mawiali: „Sam zginiesz, jego nie wydstaniesz, nie na nasze środki ta cała impreza”. „Michał” jeździł, konspirował w samej partji, mruczał, dreptał, aż wreszcie wynalazł w Wilnie młodego d-ra Mazurkiewicza, z którym całą „rzecz” omówił, uplanował i wykonał.

Zbyt znane jest to legendarne wykradzenie naszego komendanta ze szpitala więziennego, by je tu przypominać.

Droga wypadła na Wołyń, na te okolice nad Stochodem, w których onegdaj zginął Sulkiewicz przed okopami.

Przyszła wojna japońsko-rosyjska. „Michał” dostawił pierwsze transporty broni w czasie zbrojnych manifestacji na ulicach Warszawy, Radomia, Częstochowy i Zagłębia. Któż zliczyć zdoła te trudy „Michała”, ponoszone z iście wschodnią cierpliwością w czasie piekielnego koszmaru owej Wszzechrosyjskiej Rewolucji. Dość powiedzieć, że w każdym nieomal zamachu był jedną ze sprężyn, w każdej akcji bojowej pośrednio lub bezpośrednio współdziałał. Wierzył święcie w kierunek, reprezentowany przez t. z. „Starych” w partji. Był duszą i rozumem oddany w zupełności Piłsudskiemu.

Kiedy spotkałem tow. Michała na międzynarodowym kongresie socjalistycznym w Kopenhadze, był pełen dobrych myśli o tryumfie naszej sprawy, chociaż w kraju i za granicą partja przechodziła groźny i fatalny kryzys.

Mijały lata. Aż w sierpniowy dzień ujrzałem „Michała” na wyłożonym słonecznymi promieniami rynku kieleckim. Dobroduszna twarz „Tatara” absolutnie nie licowała z groźnym uniformem wojskowego burmistrza.

Jeden z założycieli Polskiej Organizacji Narodowej, staje wkrótce do roboty jako komisarz powiatu Łódzkiego.

Po nieszczęśliwej ofenzywie na Warszawę, wysłany przez Dep. Wojsk. N. K. N. na tamtą stronę linii, dociera Michał nie tylko do stolicy, ale do Wilna i do Petersburga. Wraca do nas, uchodząc łap moskiewskich, w motorowej łodzi przez morze...

Niezwłocznie po wzięciu Warszawy staje Michał przy skromnym warsztacie pracy partyjnej. Aresztowany przez władze, unika internowania w obozie jeńców, jako poddany austriacki. W kwietniu roku bieżącego widzimy go już w 1 brygadzie Piłsudskiego.

Zdawało się, że człowiek tak zasłużony otrzyma spokojne stanowisko w zakładach trenu Brygady. Taki był rozkaz komendy. Aliści leg. ob. Aleksander Sulkiewicz stanął do raportu i zażądał przeniesienia na linię.

Ze starym swoim znajomym z Charkowa, pułkownikiem Berbeckim, chodzi na patrole, z kolegami broni, których mógłby być wszystkich ojcem, obsadza placówki i widety, pełni służbę okopową. W kompanji por. Styka (Stachewicza) zyskał sobie Michał ogólny mir i uznanie. Po boju pod Kołodnią, gdzie cudem prawie ocalał, zostaje sierżantem.

Już będąc na stanowisku zastępcy oficera broni w komendzie pułku, nieraz zachodził Michał do „swego” plutonu. Chłopcy serdecznie i długo gwarzyli z ob. sierżantem i często rewizytowali w pułkowej ziemiance.

Tak się zdarzyło, że mieszkaliśmy ostatni miesiąc razem z Michałem. Ileż rozmów prowadziłem z tym milczącym napozór człowiekiem, ile zwierzeń gorących i sprzeczek żołnierskich wysłuchała ta osamotniona dziś ziemianka!

— Chciałbym tylko, by moje dzieci postępowały tak, jak ja starałem się zawsze postępować, zgodnie z ideją.

— A wiesz, że po wojnie muszę wreszcie jakąś posiadłość objąć, bo dzieci należy wychować lepiej i rozumniej, niż nas chowano, a to kosztuje.

Dzdzysta wrześnieowa noc. W lesie rozlega się przejmujący ostry głos puszczyka: Pójdź! pójdź!

Ciarki mnie przechodzą. Michał w komendzie pułku jeszcze się certuje o jakieś wozy, z drutem kolczastym i z deskami. Białe sosnowe deski, świeżo heblowane, ostrymi konturami odcinają się w mrokach nocy.

Puszczyk rozgłośnie woła: Pójdź! pójdź!

Deski sosnowe układają się w jakieś podłużne wielkie trumny. Raz wraz rakieta z okopów zapala zielonkawą gromnicę.

Chłopcy klną po swojemu. Wreszcie słyhać przed ziemianką ciężkie kroki Michała. Zbliża się do „apartamentu” księdza kapelana Żyłkiewicza. Bełkoce jakieś niezrozumiałe słowa.

— Co ty mówisz?

— Mówię wam po tatarsku dobranoc.

— Powiedz to po polsku.

— Niech wieczory wasze będą zawsze spokojne — odpowiada jakoś tak smutnie, tak przejmująco Michał, że z przekleństwem odwracam się do ściany.

A puszczyk woła: Pójdź! pójdź!

Straszna noc.

Była to ostatnia noc Michała. Nazajutrz poległ, niosąc pomoc rannemu w gnieździe obserwatora podpor. Kocowi.

Kula przeszła serce. Zaledwie zdążył wymówić: „Jestem ranny z...” Skonał cicho, spokojnie, otwarte spojrzenie śląc w niebo, deszczowemi strugami zmywające krew.

Pieśnią żałobną były mu kulki wroga. Amarantowa krew chciwie wypiły czarno-żółte okopy nasze. Piach i czarne bagno.

Jak komendant Piłsudski, tak i Michał lubił czytać Słowackiego.

Niechże mi wolno będzie na muzułmańskim pomniku mogiły Sulkiewicza wryć ten cudny wiersz:

*Miłość ojczyzny, o! to słońce świetne,  
Dla serc, co dumne, sieroce, szlachetne,  
Całe się czystym miłościom oddadzą,  
Jako żorawie, co łańcuch prowadzą,  
Świetniejsze serca wylatują przodem,  
Umrą — ich duchy lecą przed narodem,  
Ich wrzask, ich imię, ich lament, to hasła,  
Gdy matka po nich zapłakana wrzała,  
Ojczyzna cała słyszy, leci, mści się,  
W gołębiach wtenczas są serca tygrysie.*

20 września, 1916 r. W okopach.

TADEUSZ HOŁÓWKO.

## Zadania i prawa demokracji polskiej.

Dzień 5 listopada 1916 roku był dniem wielkiego moralnego dla narodu polskiego tryumfu, bowiem uznały jego prawo i zdolność do samodzielnego bytu państwowego dwa potężne, a co najważniejsza realnie zainteresowane w kwestji polskiej, mocarstwa. Istotnym zaś świętem był dzień ten dla Demokracji polskiej, gdyż tryumf narodu był jej dziełem, w jej to bowiem łonie przechowywał się znicz tęsknoty narodu, jej to zasługą, iż ogień tej tęsknoty rozpalął się coraz jaśniejszym płomieniem. Lecz radosna ta świadomość nie daje Demokracji polskiej sankcji na spoczynek, przeciwnie, jeszcze silniejszy nakłada na nią moralny nakaz troski o dalszy los narodu.

Akt państw centralnych stał się słupem granicznym na rubieży dwóch epok: od formy tego aktu zależała wobec tego dalsza droga i dalsze metody działania polskiej demokracji. I tu stwierdzić chcemy, iż forma aktu zadowalała nas przez swą jasność i wyrazistość, przez stwierdzenie, iż to przyszłe państwo polskie będzie samodzielne, będzie miało własną dynastję, a co najważniejsze dla nas, Demokracji, będzie miało ustrój konstytucyjny, jak wreszcie i własną armję. Nieokreślenie granic przyszłego państwa polskiego zostawia tym samym otwartą a tak ważną dla nas Polaków kwestję granic od Wschodu, daje przeto podnietę do tworzenia silnej armji. Głębokie zadośćuczynienie czyni nam akt państw centralnych przez słowa szacunku i uznania dla „walecznych polskich towarzyszy broni”, dla Legjonów, tego dzieła i dumy Demokracji polskiej. Akt

państw centralnych otwiera przed nami wielkie perspektywy — od narodu zaś polskiego przedewszystkim zależy, jaką treść przybierze akt ten przy swej realizacji. Śmiałość decyzji państw centralnych wzmacnia tylko przekonanie w nas, iżemy uczynili dobrze stając na początku wojny po ich stronie i pomimo wszystkich zawodów na tym stanowisku wytrwali, a przez to przeciwni na stronę państw centralnych całą niemal resztę narodu.

Obecnie wchodzimy w nowy okres — realizacji Niepodległości. Jaką drogą pójdzie rozwój nowego państwa polskiego zależy przedewszystkim od tego, w czyich ręku spocznie władza, jakie siły będą powołane do jego budowy. W chwili obecnej chodzi o rozstrzygnięcie zasadniczego pytania, na jakich podstawach, na jakich warstwach oprze się budowa gmachu państwowości polskiej, z jakich się założeń wyjdzie przy doborze ludzi i partji. Tu należy od razu stwierdzić, że nie wolno nam będzie robić żadnych eksperymentów, bowiem w chwili obecnej niefortunne próby mogą dać bardzo smutne rezultaty.

Inne narody rozstrzygają same drogą zmagania się sił politycznych w swoim łonie, w czyich ręku spocznie władza i kierownictwo. U nas udział w tym będą brały również państwa centralne, co jest rzeczą zupełnie zrozumiałą wobec wytworzonej sytuacji, która uczyniła z nich stronę zainteresowaną. Otóż państwa centralne winny należycie ocenić naszą troskę i niepokój, bowiem nie poraz pierwszy tak się dzieje w Polsce, że Demokracja sieje, a inne warstwy plony zbierają. I nie o to ostatecznie chodzi kto z narodu zbiera te plony. Chodzi o to, iż czyniono dotychczas źle, że marnowano te plony, wyrosłe z pracy, ofiar i krwi innych. Wszystkie trzy powstania w Polsce były dziełem Demokracji, lecz później, gdy ster władzy przechodził w ręce żywiołów umiarkowanych, z początku przeciwnych akcji, to te przez swoją chwiejność sprowadzały akcję, mającą zrazu niewątpliwe szanse powodzenia, na manowce i zatracenie.

Dziś znowu jest chwila w dziejach narodu naszego przełomowa, a mająca dużo analogji z poprzednimi powstaniami, bowiem wymaga od narodu znowu wytężenia wszystkich sił do wojny z Rosją. Dziś, należy to stwierdzić, znowu Demokracja wydzwignęła sprawę Niepodległości — ona przedewszystkim dała dowody, że naród chce być wolnym i samodzielnym. I dziś znowu powstaje obawa, czy nie powtórzy się stara historia, iż od dalszej akcji będą usunięci ci, którzy byli jej inicjatorami. Oto bowiem, gdy hasło Niepodległości, dla którego miejsce Demokracja kosztem ludzkich wysiłków musiała krok za krokiem wywalczać, stało się własnością całego narodu, ci, którzy pojechali do obcych stolic to stwierdzić, uważali za rzecz dopuszczalną pominać Demokrację.

Legjony, których nie tylko interesów, lecz honoru musiała Demokracja polska bronić wytrwale, doczekały się wreszcie tak przez nas wszystkich upragnionej chwili, gdy oficjalną delegację Legjonów podejmowano w Warszawie. Na tym przyjęciu było wielu nowych ich zwolenników, co nas bardzo cieszy, było tam wielu przedstawicieli arystokracji, ziemiaństwa, kleru, którzy wygłaszali płomienne mowy na cześć Legjonów, lecz nie było na tym oficjalnym przyjęciu przedstawicieli Demokracji polskiej, bo nie uważano za wskazane tychże zaprosić. Czyż chodziło o stworzenie pewnych pozorów, któreby dały powód do mylnych wniosków, że Demokracja jest przeciwna Legjonom? I czyżby ten mylny pozor nie rozpowszechnił się, gdyby nie list Piłsudskiego do pułkownika Berbeckiego przeczytany na

tymże bankiecie, który jak wiatr halny wionął po zebranych i przypomniał im, iż nie o ludzi, lecz o Sprawę w tej chwili chodzić powinno.

Nie chcemy dyskutować, przypominać, kto kiedy, kto wcześniej był niepodległościowcem. Chcemy tu postawić inną zasadę, że wszyscy, którzy w tej chwili hołdują szczerze hasłu Niepodległości Polski, winni brać czynny udział w rozpoczynającym się dziele budowy gmachu państwowości polskiej.

Tymczasem są symptomy, wskazujące zgoła co innego. Rodzi się usprawiedliwiona obawa, że te świeżo nawrócone prawicowe żywioły tak wysoce cenią swe nawrócenie się, iż uważają starym utartym w Polsce zwyczajem, iż daje to im prawo całkowicie i wyłącznie w swe ręce ująć ster sprawy, której one jeszcze wczoraj kłody rzucały pod nogi. Rodzi się obawa, że różne „grupy środka” z zadziwiająco szybkością przystosowujące swoje programy polityczne do wbrew ich woli i czynów wytwarzającej się sytuacji, dojrzą w tej swej zdolności przystosowywania się najwyższe uprawnienie do ujęcia władzy w ręce. To dążenie do monopolu napędza każdego prawego Polaka strachem i troską.

Czyżby nasze stronnictwa umiarkowane i prawicowe niczego się nie nauczyły ani z własnej naszej historii, ani z przykładu chociażby wojny obecnej? Czyż nie nauczyły się, iż źle postępują ci, którzy zaczynają odrodzeńczą pracę w narodzie od usuwania żywiołów demokratycznych; że źle kończą ci, którzy rozpoczynają nową epokę od jętrzenia wewnętrznych stosunków. Czyżby?... Nikt niema prawa posądzić mnie, iż egoizm partyjny przemawia na tym miejscu. W tej chwili należy przedewszystkim wydzwignąć państwo polskie, należy położyć pod niego mocne fundamenty, należy *umieć* powołać do pracy przy tym wszystkie twórcze i zdrowe elementy kraju, należy kuć, kuć żelazo póki ono jest gorące, aby kongres zastał już silny żelazny organizm państwowy. I ci tylko, którzy to potrafią uczynić, muszą stanąć u steru. Należy pamiętać nam dobrze, jak budował Rzeszę Niemiecką Bismarck, który łączył rozważę konserwatysty z odwagą rewolucjonisty, który nie był sługą żadnej partji, lecz posługiwał się wszystkimi partjami, wszystkimi istniejącymi, chociażby nawet w zarodku, siłami narodu niemieckiego. Należy pamiętać, iż ten człowiek położył podwaliny pod wielkość Niemiec, zcementował je w jeden potężny organizm przez powszechne, równe, bezpośrednie i tajne prawo głosowania, prawo wypisane na sztandarze demokracji całego świata. Należy pamiętać, że Włochy powstały ze wspólnego wysiłku Cavoura, Garibaldi'ego i Mazzini'ego.

U nas zaś zaczyna się odwrotnie: nie od skoordynowania wszystkich sił twórczych w narodzie, lecz od usuwania, tuszowania i przemilczania tych faktów i tych ludzi, którzy zamierzonymi być nie mogą, i co najważniejsza nie powinni.

Stronnictwa umiarkowane, w których ręku obecnie znajduje się inicjatywa, nie posiadają w swoim łonie ani Bismarcków, ani Cavour'ów, ani Garibaldi'ch, nie przedstawiają poza tym z siebie siły zbiorowej, która starczyłaby za wszystko. Ster władzy w nowej Polsce musi spocząć w rękach ogółu stronnictw, posiadających pełnię zaufania narodu. Otóż takiego zaufania, aby wyłącznie w swe ręce ująć władzę, nie posiadają nawrócone stronnictwa prawicowe, pomimo swych rozległych wpływów i organizacji; nie może bowiem szybko zaginać pamięć o ich przeszłości, a więc z jednej strony będą miały one przeciwko sobie nie-

ufność obozu demokratycznego, z drugiej wrogi stosunek wczorajszych swych przyjaciół z „koła międzypartyjnego”. Grupy środka, jak wszystkie żywioły, szukające wciąż „złego środka”, mają tę słabą stronę, że są grupami jedynie stolicy, skupiającymi tu wybitne wprawdzie jednostki, ale nie posiadają wpływów na prowincji. Tymczasem zaś prowincja odegra obecnie wielką rolę; tam zaś ścierają się na tle ogólnej bierności jedynie zwolennicy prawicy, potrzebujący długiego jeszcze czasu, by się należycie zorientować w ewolucji swych warszawskich leaderów, a z drugiej strony zwolennicy C. K. N.

I dlatego mamy prawo mocno powątpiewać, aby władza, skupiająca się wyłącznie w rękach części nawróconej prawicy i grup środka, mająca przeciwko sobie skrajną prawicę i nieufnie traktowana przez obóz demokratyczny, miała należny posłuch i autorytet w narodzie. Tymczasem pierwszy rząd polski, chociażby prowizoryczny, musi mieć nie tylko posłuch, do czego będą obowiązani wszyscy, lecz i takie zaufanie, które może wypływać jedynie z nieprzymuszonej woli. Pierwszą próbą dla powstającego rządu będzie sprawa armji. I oto rząd złożony jedynie ze stronnictw prawicowych i umiarkowanych, stanie wobec nad wyraz trudnego zadania. Najprostszą drogą dla każdego rządu byłoby tworzenie armji drogą przymusowego poboru. Lecz na to stronnictwa te, wobec stosunku do nich szerokich warstw ludu, nie mogą się odważyć. Na ten walny krok, który oparłby stosunki w nowym państwie odrazu na zdrowych podstawach, mógłby się odważyć tylko rząd demokratyczny, posiadający zaufanie ludu, a wobec tego mający wszystkie szanse powodzenia. Armja ochotnicza wogóle jest rzeczą trudną (przykład Anglii); zużywa ona niepotrzebnie moc narodowej energii i pieniędzy na agitację, lecz poza tym wogóle może powstać jedynie na drodze wielkiego entuzjazmu, tylko wtedy, gdy będą rzucone wielkie porywające hasła, gdy na czele tej akcji staną ludzie popularni. Stronnictwa prawicowe i umiarkowane są w tym wypadku znowu w niefortunnej sytuacji: ani wielkich haseł, ani ludzi—sztandarów nie posiadają. Samym pójść do szeregu? Na to nie mają wielkich tradycji, bowiem dotychczas trzymały się roli politycznego dyskutowania militarnych czynów cudzych.

Prawda, nie tylko oni, lecz i obóz demokratyczny pójdzie na wezwanie każdego rządu polskiego, najmniej nawet dla niego miłego, pójdzie przez moralny nakaz własnego sumienia, lecz pójdzie wtedy bez entuzjazmu. Lecz jeśli my, te szerokie zastępy inteligencji z demokratycznego obozu tak ściśle duchowo od początku życia z akcją Legjonową, pójdziemy bez entuzjazmu, to któż wtedy inny wykrzesze ten niezbędny dla powodzenia akcji werbunkowej entuzjazm? Tylko my młodzi, tylko Polska Organizacja Wojskowa, obejmująca swoją siecią cały kraj, może ten niezbędny entuzjazm wywołać, może porwać za sobą całą młodą inteligencję w Polsce. Lecz czy trzeba mówić od czego uzależnia się ten nasz entuzjazm, nasz poryw duchowy? Czy trzeba wreszcie dalej tłumaczyć, że jeśli my, młode pokolenie demokratycznej lewicy, damy materiały na oficerskie i podoficerskie zastępy, to tylko lud może dać licznego, zdrowego rekruta do tej armji. I czy trzeba jeszcze dalej tłumaczyć, że tylko obóz demokratyczny może z powodzeniem werbunek wśród ludu przeprowadzić? Należy więc należycie uświadomić sobie, że jeśli chcemy, aby powstała armja polska, to musimy jednocześnie uświadomić sobie, że bez udziału obozu demokratycznego tego się nie da uczynić. Z drugiej strony dwa lata wojny, sądzący,

dostatecznie wykazały, że demokracja polska do roli ślepego i posłusznego narzędzia się nie nadaje, jak również i nie nadaje się do roli murzyna, który może pójść precz, gdy swoje zrobił.

Dziś ważą się losy narodu: niech więc pamiętają jaką biorą na siebie odpowiedzialność ci, którzy nie chcą rzucić na szalę wszystkich sił twórczych, zawartych w narodzie.

---

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI.

## Modlitwa.

Daj, Wielki Boże, iżby rzecz się stała,  
o której dawno marzy Polska cała!  
I daj nam, Boże, by wszyscy niemowie  
głos odzyskali w świętej polskiej znowie.

Daj, Wielki Boże, iżby wszystkie gusła  
spłonęły, jako słomiane powróśla.  
I daj nam, Boże, by miry i łady  
słońca obliczem zmoęły dawne zdrady.

Daj, Wielki Boże, by się świadczył czynem  
Polak swej Matki kochającym synem.  
I daj nam, Boże, by ziemia żywiła  
lud czystym chlebem — i prawdą poila.

Daj, Wielki Boże, by moce stężyły,  
i by w nich społem stężał naród cały.  
I daj nam, Boże, żeby bodaj rychło  
wzmogło się w czynach, co w uściech ucichło.

Daj, Wielki Boże, aby, jak z prawieca  
Polak się wyznał do tarczy i miecza.  
I daj nam, Boże, iżby rzecz się stała,  
o której dawno marzy Polska cała:

Żeby Ojczyzna nasza zmartwychwstała!

---

## List Józefa Piłsudskiego.

Na przyjęciu, urządzone w Warszawie w d. 6 b. m., na cześć legionistów, odczytano list Józefa Piłsudskiego, adresowany do pułkownika Legionów, Berbeckiego, lecz przeznaczony, jak pisze Piłsudski, „dla wszystkich moich współpracowników i kolegów bez różnicy stopnia”. W liście tym J. Piłsudski wyraża radość z powodu proklamowania Królestwa Polskiego i powołując się na słowa aktu: „niepodległość Polski, rząd polski, wojsko polskie”, mówi: „Za te słowa ongiś umierali na polach bitew nasi ojcowie i dziadowie, z temi słowami szliśmy pokryjomu nieraz z ofiarą własnej wolności, czy nawet życia, tworzyć podwaliny do ich istotnej treści”.

Wspomniawszy na nieporozumienia, zachodzące w Legionach, pisze następnie:

„Sądzę, że teraz musicie wykazać uzasadnioną cierpliwość i ufność, że żołnierz polski w tej światowej wojnie znajdzie nareszcie Ojczyznę w postaci własnego rządu i własnego wojska. Zdaniem mojem, dymisje Wasze powinny teraz być cofnięte, a z tą chwilą żelazne prawo służby żołnierskiej powinno być w całej rozciągłości przez Was stwierdzone.

Przyjemnie mi jest stwierdzić, że w tej chwili, po krótkiej rozmowie z pułkownikami Roją i Sosnkowskim przyszedliśmy do jednozgodnego w tej sprawie poglądu, któremu daliśmy wyraz w swojej depeszy do Was.

Kochany Pułkowniku, ufając głęboko Waszemu takto wi, który tak wysoko zawsze ceniłem, zwracam się do Was, abyście zechcieli wśród wojska być rzecznikiem mych uczuć i wyrazić mego zdania w tej sprawie.

Serdeczne uściśnienie łączę

J. Piłsudski”.

---

LASSOTA.

## Branka czy werbunek?

W ostatnich dziesięcioleciach dziejów naszych uderzającym było zjawisko, iż w walce o prawa narodu lub prawa ludu, wymagającej ofiarnego czynu, brali udział prawie wyłącznie albo pasierbowie losu, albo młodzież, szafująca hojnie w zaraniu swego życia wszystkimi darami tężyzny fizycznej i duchowej. „Wiek męski” przeważnie obawiał się „kłęski”, a ci, którym dane było zająć przodujące w społeczeństwie stanowiska, niezdolni byli nie tylko do walki, ale do najmniejszego oporu, i siły duchowe wyteęzali na to, aby swój naród skłonić do rezygnacji.

Ten fakt smutny sam w sobie i zwłaszcza boleśnie odczuwany przez wszystkich, którzy czczą bohaterskie tradycje przeszłych pokoleń, znajduje swe wyjaśnienie w historii naszych dziejów porozbiorowych, a nawet w ostatnich okresach życia Rzeczypospolitej. Polska nie miała armji stałej z obowiązkową służbą wojskową i tym samym była narażona na utratę na polach bojęw najdzielniejszych, najmężniejszych swych synów. Tym tłómczyć należy fakt, że, gdy Polska znalazła się w niebezpieczeństwie, zbyt mało miała tych dzielnych ku swej obronie, zbyt mało takich, którzyby się chcieli przeciwstawić armji moskiewskiej, którą na kraj rzuciła Targowica!

Do naszych bojęw o wolność od czasów Kościuszkowskich poprzez dzieje porozbiorowe stawano też zawsze na ochotnika i to miało straszne następstwa dla duchowej siły narodu. Rasa ludzi ofiarnych, rasa ludzi czynu i poświęceń, a chociażby tylko natur dzielnych, bujnych, gotowych do walki, pełnych odwagi i rzutkości, w dziejach porozbiorowych zapasów o wolność niedostatecznie popierana przez ogół społeczeństwa, systematycznie skazywana była na zagładę w walce z wrogiem przemożnym. Czy to powstanie Kościuszkowskie, czy legjony Dąbrowskiego i armja Księcia Józefa, czy nawet w dużym stopniu rewolucja 1830 roku, czy to ruchy 1848 roku, czy tragiczne losy powstania 1863 roku — zawsze do walk stawali tylko wybrani synowie kraju; oni ginęli na placu boju, na szubienicach, w więzieniach, na Sybirze, a w domu pozostawali zawsze ci sami: ludzie małej wiary, małej duszy, samolubi, groszorozy, lub poczciwcy lęklwego serca, zdolni tylko do łzawych westchnień i cichych obchodów zaduszek po ojczyźnie. A weźmy późniejsze ruchy społeczne, weźmy walkę socjalistów o prawa ludu roboczego, weźmy ludowców z poświęceniem krzewiących oświatę wśród ludu wiejskiego. Czyż nie to samo zjawisko? Kto przepęśniał Cytadelę warszawską, kto ginął dziesiątkami i setkami w tajgach i katordze sybirskiej? Znów ta sama ener-





# WIDNO KRAG

№ 18 (R. II) Warszawa, 21/XI 1916

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 7. — TELEF. 158-90.

**TREŚĆ:** TADEUSZ HOŁÓWKO: Państwa centralne a demokracja polska. — HUGO K. DUCHIŃSKI: Strzały. — W. RZYMOWSKI: Bagnet czy łopata. — GROMICZ: Polonez Bekowca. — JÓZEF KODZIŃSKI: Reforma szkolna. — ZOFJA PIECHACZKÓWNA: Jesień 1916. — B. H.: Z prasy środkowo-europejskiej.

TADEUSZ HOŁÓWKO.

## Państwa centralne a demokracja polska.

1.

W związku z proklamowaniem niepodległości polskiej, z ust przedstawiciela jednego z najpotężniejszych państw Europy padło pod adresem jeszcze do niedawna wymazanego z politycznej mapy Europy narodu, wezwanie do wspólnej pracy nad odbudową państwa polskiego, które ma być silnym członkiem w gronie narodów Europy Środkowej. To wezwanie do wzajemnej ufności, do oparcia stosunków na nowych zasadach równych z równymi, upoważnia nas, obóz demokratyczny, ze swej strony również szczerze powiedzieć, jak wyobrażamy sobie tę wspólną pracę, któraby wyszła na korzyść obu stron.

Tu musimy powiedzieć, iż pragnęliśmy, aby dzieło wyzwolenia narodu polskiego z jarzma moskiewskiego było dziełem samego narodu, pragnęliśmy, aby on czynnie już na początku wojny wystąpił obok państw centralnych przeciwko Rosji, by mógł zdobyć sobie przy ich pomocy byt niepodległy.

Stało się inaczej; społeczeństwo pozostało nieme, uwolnienie narodu z jarzma rosyjskiego stało się dziełem

oręza państw centralnych, dziełem okupionem nadludzkim wysiłkiem i strasznymi ofiarami. Legjony bowiem były jedno zapowiedzią tego pięknego obrazu, jaki przedstawiałby naród polski, gdyby jego większość poparła odrazu czyn Piłsudskiego. Z tego faktu rzetelność nasza każe nam wyciągnąć odpowiednie konsekwencje: państwa centralne mają nie tylko fizyczne, ale i moralne prawo być stroną żywotnie zainteresowaną w dziele tworzenia państwa polskiego—rozumiemy bowiem doskonale, będąc sami ludźmi czynu, iż w takim czy innym rozwiązaniu kwestji polskiej jest zainteresowany każdy starzec, każda matka i każde niemowlę Niemiec i Austro-Węgier, niema tam bowiem rodziny, którejby syn krwią nie zrosił dalekiej ziemi polskiej.

Świadomość tego potęguje tylko w naszych oczach wagę aktu 5 listopada.

Wiemy dobrze, iż rządy państw centralnych podjęły się rozwiązania kwestji polskiej, bardzo dla nich trudnej, co do której opinja ich publiczna bynajmniej nie jest jednolita, a która na domiar komplikuje się jeszcze przez istniejącą kwestję polską w granicach każdego z państw centralnych.

Jednak majestat ofiary z krwi i życia najlepszych synów Niemiec i Austro-Węgier przechylił szalę na naszą korzyść.

Monarchowie i rządy państw centralnych, decydując się na akt 5 listopada, tym samym oświadczyły wobec swych narodów, iż takie rozwiązanie kwestji polskiej jest najlepszym spożytkowaniem odniesionych zwycięstw, najlepszym ich zabezpieczeniem na przyszłość: wzięły na siebie brzemień odpowiedzialności wobec przyszłych pokoleń, iż ta właśnie droga, którą wytknęli swym państwom na stulecie, jest najlepsza, najbardziej odpowiadająca żywotnym interesom Europy Środkowej.

2.

Lecz cóż dawało gwarancję państwom centralnym, iż z ziem, sto lat znajdujących się pod władzą Rosji, można uczynić samodzielne zaprzyjaźnione państwo? Co dawało im gwarancję, iż miliony mieszkańców tych ziem nie zechcą, już nie z musu, lecz z dobrej woli, być poddanymi państwa rosyjskiego? Co wreszcie przekonało je, że mieszkańcy ziemi polskiej nie spodleli w długiej niewoli do tego stopnia, iżby z niezmaconą biernością przejść z pod jednego obcego poddaństwa pod drugie? Gdy rozstrzygały się losy Polski, świadczyły za nas nasze dzieje porozbiorowe: powstanie Kościuszki, Listopadowe i 63 roku. To wszystko jednak przeszłością jest. A czy obecne pokolenie nie pogodziło się z kajdanami moskiewskimi? Czy lud polski i nadal nie pozostał bierny i obojętny na losy ojczyzny? Te oto pytania zadawać sobie musiały czynniki odpowiedzialne opinji niemieckiej i pilnie badać wszystkie przejawy, któreby świadczyły o dążeniu i zdolności narodu polskiego do samodzielnego bytu.

Naród polski dał widocznie dostateczne tego dowody, bo inaczej akt 5 listopada byłby fizycznym niepodobieństwem.

Na jakimż to jednak polu życia polskiego można było dostrzec „kiefkowanie nowego ziarna”? Skąd szło to wzmaganie się pragnienia czynnego udziału w walce o Niepodległość? Dowody na to dawała niemal wyłącznie polska demokracja. Spadkobierczyniami tradycji powstańczych lat ubiegłych stały się obecnie w pierwszym rządzie partje ludowe. Tam to przechowywało się pragnienie Niepodległości.

Państwa centralne jednak nie ufały temu na początku.

Jak sto lat temu Napoleon, tak i one teraz pytały, gdzie jest polska arystokracja, gdzie szlachta, gdzie burżuazja? gdzie jest to, co w ich narodach stanowi rządzący, państwowy element? Tymczasem wśród tych warstw w Polsce państwa centralne napróżno szukały zrozumienia głębokiego, iż państwo polskie może być odbudowane jedynie przy oparciu o państwa centralne; napróżno; albowiem dawno już wygasła wśród nich tęsknota do swobody.

Stąd więc płynęły i następne omyłki. Tę Warszawę, którą ujrzeli Niemcy w dniu 5 sierpnia 1915 r. przyjęli oni za istotny wyraz życia polskiego, tymczasem to były jeno resztki suchych jesiennych liści na drzewie polskiego życia, których wiatr wschodni nie uniósł za sobą.

Państwa centralne podjęły się beznadziejnego zadania — odchuchania tych martwych liści, które jednak, pomimo wszelkich starań, opadały beznadziejnie na ziemię, kornie szeleszcząc pod stopami obcych przechodniów. Gdy konały komitety obywatelskie, wydział oświecenia i inne — wówczas obcy przybysze sądzić poczęli, iż mają do czynienia z narodem martwym, rozkładającym się. Atmosferę tę jednak tworzyły zeschnięte liście, którym państwa centralne chciały wlać trochę życia.

## 3.

Nie chciano zrazu nam wierzyć, że Polska żyje, żyje tylko w podziemiach, żyje tam życiem twórczym, nie tylko przechowując tęsknotę do Niepodległości, lecz i pragnienie walki o Nią. Nie ufano nam, iż tam w podziemiach może być istotna żywa Polska. I nic w tym dziwnego, jeśli przypomnimy sobie, że nieufność ta szła od przedstawicieli narodu, który prawie nie znał życia konspiracyjnego, a w każdym razie dawno już o nim zapomniał. Lecz tymczasem dalszy rozwój wypadków świadczył, iż mieliśmy rację. Bo kto z większym prawem, z większą dumą może mówić o swych zasługach dla Niepodległości Polski, aniżeli P. P. S. — partja ta od zarania swego powstania do ostatniego dnia władztwa moskiewskiego żyjąca w konspiracyjnych podziemiach?

Partja ta z dumą może powiedzieć, iż w ciągu 20 lat z górą, pomimo wszystkie rozłamy, nie zdradziła wypisanego na swym czerwonym sztandarze hasła Niepodległości, że wychowała masy robotnicze w poczuciu konieczności walki zbrojnej z Rosją o tę Niepodległość.

Dzień 5 listopada był dniem jej tryumfu; te tysiące, które podążyły na stoki cytadeli, świadczyły, iż rozumieją ofiarę Okrzei, Mireckiego i tylu, tylu innych.

W tym dniu odbyło się wielkie święto: ostateczne unarodowienie P. P. S. Pierwszy zaś męczennik tej partji, młody robotnik Okrzeja, w Panteonie bojowników o wolność narodu zajął poczesne miejsce obok Łukaszińskiego i Traugutta.

Lecz nie tylko robotnik; i chłop polski, w którym budziła się świadomość narodowa i obywatelska, i który zaczął tęsknić do lepszego godniejszego życia, musiał się kryć w podziemiach przed szpiegowskim okiem strażnika moskiewskiego. Dziś widzimy, jak ze Związku Chłopskiego, skupiającego najlepszą część wyklinanych przez N.-Demokrację zaraniarzy, i z Narodowego Związku Chłopskiego powstało stronnictwo Ludowe, idące do ludu pod hasłem Niepodległej Polski.

I oto trzeba tylko było dać im możność ujawnienia się, aby zginęła bajka o mcskalofilstwie chłopu polskiego.

Narodowy Związek Robotniczy, skupiający przedewszystkim żywioły rzemieślnicze, czyż nie pracuje dzielnie dla obudzenia w tej warstwie najlepszych rzemieślniczych tradycji Kilińskiego?

Wreszcie radykalne żywioły inteligencji, jak to: Związek Patriotów, Stronnictwo Radykalno-narodowe i Konfederacja, wreszcie młodzież akademicka, czyż nie te żywioły przeorały w ciągu dwóch lat grunt wśród inteligencji polskiej tak dalece, iż już w drugim roku wojny żywioły umiarkowane, na początku chwiejne, teraz ujmują coraz śmielej w ręce ster nawy polskiej?

I czymże wreszcie dziełem były Legjony, ten najistotniejszy wyraz dążeń narodu naszego do Niepodległości, do wczoraj jeszcze zwalczany przez ogół konserwatystów?

## 4.

Istotnie tak jest; lecz trudno zaprzeczyć, iż żywioły demokratyczne naogół są słabe. Nie posiadają do rozporządzenia wpływowych instytucji, mają zbyt mało wyrobionych do pozytywnej, gospodarczo-państwowej pracy sił. Istotnie. Lecz każdy kierunek polityczny należy mierzyć przedewszystkim miarą tkwiącej w nim siły potencjalnej. Otóż, należy stwierdzić, iż żywioł demokratyczny w Polsce posiada olbrzymią utajoną siłę potencjalną, i że mu do przetworzenia jej w energję ruchu stały na przeszkodzie rządy rosyjskie. W tym przekonaniu tkwi źródło żywiołowej nienawiści polskiej demokracji ku Rosji.

Nie załamała się jednak Demokracja polska po zajęciu Warszawy, chociaż wiele rzeczy poszło we wręcz odmiennym kierunku, aniżeli ona się tego spodziewała, wiele obaw się zrodziło, i zdawało się nawet chwilami, że może stać się najgorsze... podział i aneksja Królestwa. I pomimo to jednak Demokracja nie cofnęła się ze swego stanowiska; protestując, zwalczając poszczególne niebezpieczeństwa nowej sytuacji, zawsze twierdziła z całym naciskiem, iż państwa centralne muszą zwyciężyć; twierdziła dalej, że *zwycięzkie* państwa centralne rozwiązać mogą kwestję polską jedynie na drodze państwowości polskiej, gdyż takie rozwiązanie będzie dla nich najlepsze. Akt 5 listopada stwierdził, iż demokracja polska się nie omyliła.

## 5.

Lecz jeśli państwa centralne zdecydowały się na ten krok, znamionujący kompletny przewrót w układzie sił w Europie, to gwarancję, że istotnie w Polakach pozyskają wiernych i dzielnych sprzymierzeńców, dało postępowanie polskiej demokracji. Państwa centralne, po pewnym okresie wahań, musiały uznać, iż demokracja polska jest istotną siłą, której, we własnym interesie, należy dać rozwinać się. I oto gdy demokratyczny, niepodległościowy obóz otrzymał możność i swobodę działania, jakże szybko wysunął się na plan pierwszy, co więcej stał się magnesem, który na stronę państw centralnych przeciągnął cały szereg innych ugrupowań; w parze z tym zjawiskiem odbywa się coraz szybszy proces zamierania jeszcze niedawno tak wpływowych stronnictw, jak Narodowa Demokracja, Stronnictwo Polityki Realnej, nie mówiąc już o tak bladych epigonach przeszłości, jak Zjednoczenie Postępowe lub



P. P. P., tej parze bliźniąt-bękartów, spłodzonych przez pozytywizm warszawski a poronionych przez liberalizm rosyjski.

6.

Demokracja polska po akcie 5 listopada weszła w nowy okres swej działalności: budowy gmachu własnej państwowości, w czym, jak wykazywaliśmy, czynny udział wezmą i państwa centralne dla zabezpieczenia swych interesów. Na tym tle rodzić się może obawa, czy zapatrywania obu stron, a więc Polaków i państw centralnych na to, jak należy budować to państwo, jakim ma być ono w przyszłości, są zgodne, czy nie wyłączają się wzajemnie? Nie należy zamykać oczu na to, że, nim dojdziemy do porozumienia w zasadniczych postulatach, będzie dużo tarć, nieporozumień i omyłek z obu stron, że w wielu kwestiach będą odmienne zapatrywania, lecz jednocześnie należy wierzyć, że zasada będzie wspólna. Dla nas Polaków tą zasadą będzie, rzecz jasna, dążenie, aby państwo nasze jaknajszybciej stało się silnym i mocnym. Otóż, wbrew utartej opinii wczorajszych moskalofilów a dzisiejszych neutralistów, ośmielam się twierdzić, że państwowemu centralnym zależy będzie, aby przyszłe państwo polskie było organizmem silnym i odpornym; inaczej bowiem wszystkie poniesione ofiary dla wydarcia ziem polskich Rosji poszłyby na marne, akt 5 listopada byłby krokiem chybnym. Dla Niemiec i Austro-Węgier to rozwiązanie kwestji polskiej, jakie przewiduje akt 5 listopada, będzie istotnie korzystne tylko wtedy, gdy państwo polskie nie będzie w nich budzić nieufności, nie będzie wymagało z ich strony nadzoru, i jeśli będzie istotną strażą przednią przeciwko Rosji, dzielnym i wiernym sprzymierzeńcem w każdym z nią zatargu.

7.

Lecz siła i wytrwałość każdego gmachu spoczywa w jego fundamentach. Dziś przystępujemy do budowy fundamentów państwowości polskiej. Wielu dziś będzie chciało w swe ręce ująć pieczę nad tą budową. Gdyby zależało od wolnej konkurencji sił wewnętrznych narodu, śmiało można powiedzieć, że zwycięstwo zostałoby się przy demokracji polskiej. Lecz inicjatywa pod tym względem w dużym stopniu zależna jest od państw centralnych. Lękamy się przeto, aby nie była uczyniona tu omyłka, trudna do naprawienia. W tej chwili państwowemu centralnym zarówno, jak i nam, zależy na tym, aby ochronić siebie od zalewu powrotnej fali rosyjskiej. Na tle tego wspólnego niebezpieczeństwa rodzi się już obecnie wspólny interes. Dzisiaj jest czas najlepszy, chwila jedyna, kiedy można całą Polskę odrazu całkowicie nie tylko fizycznie, lecz i duchowo postawić po stronie państw centralnych: to — droga wspólnego wysiłku, nic bowiem tak nie zbliża, nic tak nie wzbudza wzajemnej ufności, jak wspólna walka. Naród polski, jeżeli dać mu po temu należyte warunki, może obecnie stać się poważnym czynnikiem w wojnie z Rosją — tylko należy uświadomić sobie, iż nie jest to tak łatwo uczynić. Poprzednie niemiecko-polskie stosunki, całoroczna Dmowskiego i Engałyiczewa antyniemiecka agitacja, wreszcie ciężki bardzo materialny stan ludności, spowodowany blokadą angielską, a za który ciemne masy, podjudzane przez świstki brukowe, czynią odpowiedzialnym naród niemiecki, to wszyst-

ko nagromadziło się i nie tak łatwo da się przełamać. Tymczasem ten stan, który się wytworzył w kraju, wyrządza nam ogromne szkody, charakter tymczasowości władz okupacyjnych obniża w masach i tak już przez rządy rosyjskie obniżone poczucie posłuchu dla władzy państwowej, z drugiej strony z niezależnych od siebie przyczyn pozbawiony pracy robotnik polski, a przez przywiązanie do ziemi ojczystej, niechętnie opuszczający kraj, jest wytracony z trybów życia normalnego. Co zaś najważniejsza, że w czasie, gdy wszystkie inne narody biorą czynny udział w wojnie, u nas możliwość ominięcia wojska czyni największe spustoszenie, z narodu rycerskiego robi knechtów. Tej moralnej anarchji, która wytwarza się wśród ludności, może położyć kres jedynie wojna z Rosją.

Lecz trzeba już raz przyjąć to za pewnik, iż ten niezbędny ogień zapału w narodzie potrafi wykrzesać jedynie i tylko demokracja polska, że tylko rząd w większości swej złożony z przedstawicieli partji demokratycznych, będzie miał należyty posłuch w narodzie, a przez to będzie mógł łatwo poskromić tę hydrę bezmyślnej anarchji, którą zaczyna szerzyć socjal-demokracja w sojuszu z chrześcijańską demokracją.

Nie zaprzeczam, że Demokracja Polska jest najbardziej, jeśli się tak można wyrazić, drogiem stronnictwem, najbardziej wygórowane stawia wymagania, żąda dużo samodzielności i dla narodu i dla siebie. Tak istotnie jest, ale w tym właśnie tkwi jej siła. Demokracja Polska niewątpliwie wystąpi z żądaniem sejmu, opartego na bezpośrednim powszechnym prawie głosowania, lecz istotnie tylko taki sejm stanie się mocnym współczynnikiem w budowie państwa polskiego.

Demokracja polska niesie w sobie te dwa czynniki: z jednej strony pragnienie stworzenia o lud opartego, a więc silnego państwa, co leży w interesie państw centralnych; z drugiej zaś strony tylko demokracja szczerze prze do wojny z Rosją. Demokracja polska wie, że tylko w Polsce, wyrosłej z walki z Rosją, lud stać się może siłą, może być prawdziwym gospodarzem na swej ziemi, że odwrotnie w Polsce, powstałej na drodze kompromisu z Rosją, doszłyby do władzy żywioty ugodowe, bawiące się po niewczasie w neutralność i asekurujące się na wszystkie strony. Takiej zaś Polski, która miałaby świadomość, że do jej powstania chociażby w najmniejszym stopniu przyczyniła się Rosja, państwa centralne nigdy całkowicie po swej stronie mieć nie będą. Tylko państwo polskie, które wyrośnie *wbrew* Rosji, stanie mocno po stronie Europy Środkowej.

I oto w imię tych wspólnych interesów państwa centralne winny dać Demokracji całkowitą swobodę rozwoju. Prawda, może tkwić pewne ryzyko dla rządów państw centralnych, w dużym stopniu konserwatywnych, w zawieraniu paktów z żywiołami radykalnymi. Dzieje Niemiec znają atoli podobne wypadki. Bismarck, walczący w Prusiech z liberałami, jednocześnie w Hanowerze po wojnie prusko-austriackiej wsparł się na żywiołach liberalnych i demokratycznych. Dziś Niemcy stoją w przededniu wielkich zmian w kierunku demokratyzacji swego wewnętrznego ustroju. Dlatego danie demokracji polskiej możliwości wzięcia czynnego i decydującego udziału w dziele odbudowy państwa polskiego tkwi w tendencjach całej Europy Środkowej.

HUGO K. DUCHIŃSKI.

## Strzały.

Polityka w wojsku, jak gorączka w organizmie, bywa objawem choroby. Chorobą tą — brak rządu. Gdyby przy tej chorobie nie było tego objawu, znaczyłyby to, że organizm umiera.

Czas wojenny, przyśpieszając gwałtownie wszystkie procesy polityczne, szuka równocześnie dróg, które je skracają. Jedną z nich jest wysunięcie reprezentatywnych jednostek w zastępstwie grup i mas. Jednostek ogniskujących cel i drogę. Nie jest więc bałwochwalstwem, jeśli naród w niebezpieczeństwie jednostki takiej szuka, szczęściem, jeśli ją znajdzie.

Można dziś obserwować procesy, ich początek i koniec, do których ogarnięcia w czasie pokoju nie starczyłoby okresu całego życia.

Wszystkie sprawy, które istniały przed wojną, polityczne i społeczne, odbywają się i dzisiaj, tylko, że nieraz innymi dźwigniami są poruszane. Jedną z najważniejszych jest czyn wojenny.

Jednakże język religii był krótszy: wystarczyło wskazać na twórczość ofiary. Dziś trzeba długo dowodzić bałwochwalcom rozsądku, że bez wielkiego wysiłku i poświęcenia z naszej strony nikt na świecie nie jest w stanie dać nam rzeczywistej niepodległości.

Gdyby nam była wiadomą wartość czasu w chwili dzisiejszej i niesłychanych możliwości, które mijają, zerwałyby się na nogi miliony, jakby za włosy porwane przez ujrzaną nagle rzeczywistość.

Jaka jest rzeczywistość dnia dzisiejszego? Dzień dzisiejszy rozstrzyga, czy dziesiątki lat jeszcze będziemy narodem zawisłym, czy odrazu zdobędziemy rzeczywistą niepodległość.

Jaki będzie pierwszy nasz krok duchowy po wojnie? Powrót do Mickiewicza i Słowackiego. Tam kryją się i czekają na nas źródła naszej odbudowy. Zatomowane były dotąd przez ideologię narodowej demokracji. Dziś ideologia ta u nas i w Europie bankrutuje w oczach naszych. Być może, że odkopane źródła nasze nie nam samym będą służyć w Europie...

W. RZYMOWSKI.

## Bagnet czy łopata?

Mocarstwa środkowe, proklamując niepodległość Polski, stwierdziły aktem proklamacji coś więcej, niżli swe „dobre chęci”: wyraziły nam i światu całemu postanowienie swe, dotyczące losu terytorjów, jakie istotnie znajdują się w ich rękach. Tym to znamieniem istotności różni się akt, obwieszczony 5 listopada, od odezwy wielkiego księcia moskiewskiego. Odezwa owa była pobudką agitacyjną, sięgającą w dziedzinę niespełnionych snów; akt powołania do życia niepodległości polskiej na ziemiach, Rosji wydartych, jest aktem decyzji, opartej na rzeczywistym gruncie do-

konanych zadań. W zamyśle odezwy mikołajowskiej leżało wprzęgnięcie ludności polskiej do zwycięzkiego rydwanu carów rosyjskich; akt mocarstw sprzymierzonych z d. 5 b. m. przekazuje do spełnienia narodowi polskiemu część zadań historycznych w Europie Środkowej. Odezwa mikołajowska spychała nas na poziom poddaństwa rosyjskiego i utrzymywała na tym poziomie na zawsze; akt państw sprzymierzonych otwiera nam drogę do towarzysztwa wolnych ludów Europy, uznając nas za obywateli na poziomie europejskiego obywatelstwa.

Różnica przeto, dzieląca dwa rzeczony manifesty, jest różnicą dwu zasad politycznych, dwu metod państwowych, dwu miar ludzkich. Jest jednym z tych wyrazów, w których uwydatnia się przeciwieństwo Wschodu i Zachodu: przeciwieństwo dwu biegunowych typów rządu, dwu biegunowych stylów budowania i rzeźbienia kształtów ludzkości.

W tym to przeciwieństwie dwu politycznych zasad, wyłączających się nawzajem na tym samym terenie, tkwi konieczność naszej wojny z Rosją.

Są jednak nieliczni w Polsce osobnicy, którzy wierzą jeszcze, że najpomyślniejsze rozwiązanie sprawy naszej przyjść może do skutku nie w wyniku orężnej rozprawy z Rosją, ale w drodze kompromisu mocarstw środkowych z państwami Koalicji, przedewszystkim zaś z Rosją, łudzą się, iż odezwa mikołajowska da się połączyć w jakiś amalgamat bajeczny z aktem, proklamującym naszą niepodległość na gruzach zaboru rosyjskiego; nazywają to, na domiar, maksymalizmem. Ten osobliwy „maksymalizm” polega na tym, aby się niczego nie zrzekać: nawet kajdan rosyjskich. Kolekcjonerski maksymalizm bredni!

Kto chce ożenić ze sobą oba akty, odezwę mikołajowską z manifestem mocarstw środkowych, ten ogień ożeni z wodą: otrzyma w wyniku kłęby pary, rozpraszającej się po nicościach przestrzeni. Ta para, niktąca w obłokach, byłaby jedyną posłanniczką naszej „neutralności” na kongresie Europy.

Kto stawał pod odezwą Mikołaja, ten walczył o poddaństwo rosyjskie dla całej ziemi polskiej. Kto zaś staje pod godłem powołanego do życia państwa polskiego, ten dąży do wyłamania z zaboru rosyjskiego całego obszaru naszego dziedzictwa aż do ostatniego Polaka na ostatniej polskiej skibie ziemi, gdyż każdy Polak w nowym państwie własnym i każda piędź ziemi wcielona do ojczyzny wzmocniac będzie nie tylko bezpieczeństwo nasze od strony Rosji, ale i stanowisko nasze, sojuszniczą rangę naszą, w systemacie Europy Środkowej.

Jakże tedy da się dopuścić kompromis między obu aktami, któryby nie był kompromisem naszej niepodległości z naszą niewolą, kompromisem siły naszej z uległością?

Lecz pocóż — pytają inni — my Polacy mamy wojnę toczyć z Rosją, skoro Rosja z Polakami wojny nie toczy i wojny z nimi nie chce? Czyż dla nas nie będzie rzeczą korzystniejszą, miast walczyć z Rosją, postarać się przez zabiegi dyplomatyczne (via Paryż — Londyn) o pokojowe z jej strony zaakceptowanie nowego państwa? Wówczas niepodległość nasza, uznana przez mocarstwa środkowe, zyskałaby dopełniającą aprobatę ze strony Rosji, czyli stałaby pod tarczą dwustronnej rękoi. Wszelako Rosja — rozumują ci sami ścigacze rękoi — o tyle tylko „zatwierdzi” naszą niepodległość, o ile ona ostrzem bagnetów nie będzie przeciw niej zwrócona. Stąd wniosek: kto nie chce podkopywać przyszłego państwa polskiego w obliczu kon-

junktur międzynarodowych, niech miecza nie wyjmuję z pochwy.

Rozumowanie to opiera się na błędzie w założeniu. Rosja nie chce wojny z Polakami o tyle, o ile ci nie wychodzą z obroży jej poddanych. Jakież państwo chciałoby walki z 15-stoma milionami poddanych? Ale postawa Rosji się zmienia z chwilą wywieszenia na Zamku królewskim w Warszawie sztandaru niepodległości polskiej. Trzy stulecia historii moskiewskiej pracowały na zagładę naszej państwowości: takiego dorobku Rosja nie wyrzuci się z lekkim sercem i walczyć oń będzie do ostatecznej możliwości. Na walkę z Polakami, żyjącymi w jarzmie poddaństwa, wystarczała Rosji *ochrona* i żandarmerja. Przeciw Polakom, rwącym obrozę, Rosja pchnie na walkę ostatnie rezerwy swego wojska.

Lecz i na te rezerwy rosyjskie pewien odłam neutralistów w Polsce znajduje sposób. Osłonę przeciw nim widzi... w zwycięztwie państw centralnych, przynajmniej zaś w przeświadczeniu, że wojna zostanie nierozegrana. Królestwo Polskie, w tej koncepcji, nie mogąc wrócić do Rosji, nie pozostanie również w rękach państw centralnych; niepodległość polska wystąpi wówczas sama przez się, wcielona w ostatnią kroplę potu na czole śmiertelnie znużonych walką przeciwników. Przypuścimy, że tak niezaszczytnie zrealizuje się nasze państwo. Ale czy w ten sposób zrealizuje się ono trwale? Wolność nasza w takiej konjunkturze byłaby tylko równoważeniem się dwóch ciężarów niewoli. Jakże oplakany byłby to stan! Jakże snadnie równowagę nie się dwu ucisków, za najlżejszym powodem, przeistoczyłyby się mogło w ich sumę, waląc się na głowy nasze zdwojonym ciężarem, tak jak to już wielokrotnie w dziejach naszych się zdarzało. W najlepszym razie stan nasz bardzo przypominałby stan dzisiejszej Grecji, tylko że byłby stanem nieuleczalnym i mogącym znaleźć koniec jedynie w ponownej katastrofie rozbiórów.

Skoro oprzemy się o Europę Środkową przeciwko Wschodowi, to w interesie tejże Europy leżeć będzie, a bądź co bądź interesom jej przeczyc nie będzie, jak najintensywniejszy rozrost naszych sił państwowych. Stale stojąc pod groźbą Rosji, będziemy zawsze mieć poparcie u Niemców, Węgrów, Bułgarów i Turków. Ich bowiem siła, po części, będzie refleksem naszej siły. I odwrotnie.

Lecz skoro zostaniemy w wyniku nierozegranej walki, a zwłaszcza w wyniku naszej niezdecydowanej woli, zawieszeni naksztalt wahadła między Zachodem a Wschodem, to, wprawdzie nie będziemy atakowani całą siłą przez Rosję, ale też nie znajdziemy zaufania w Europie Środkowej: w rezultacie będziemy skubani przez obie strony, jako państwo dla obu stron podejrzane i nastroczające obawy.

Brak czynu męskiego w decydującej chwili naszego powstawania do bytu państwowego, pomści się na całym dalszym losie państwa: jeśli dzisiaj w pierwszym dniu odrodzonego istnienia Polska nie oprze się na bagnecie, to jutro oprzeć się będzie musiała na kiju żebraczym, a pojutrze wetknie jej miłosierna Europa w rękę łopatę, by sobie grób wykopała na śmiertelny sen.

GROMICZ.

## Polonez Bekowca.

Gdy szlafrok mam i pantofle,  
Cóż mi huk bomb i granatów?  
Ja sobie sadzę kartofle  
Na tym najlepszym ze światów.

Posiadam poleć słońny,  
Krup tyle a tyle funtów.  
Gdy zasnę, niech z pod pierzyny  
Nie budzi mnie dzwon Zygmuntów.

Mam nóż, widelec i miskę:  
Nimi świat cały pokonam!  
Gdy dodam jeszcze kołyskę,  
Wiem, że samotny nie skonam.

Dbając o kraju zasoby,  
Pomnażam zasób swej tuszy:  
Na widok mojej osoby  
Któż się nie wzmoże na duszy?

A gdy śmierć zgasi me oczy,  
Zejdę z ziemskiego padola  
Ufny, że czerw, co mnie stoczy,  
Nie wstanie głodny od stołu.

Na mym zaś grobie litery  
Dwie tylko niech świecą zdaleka:  
Nie żadne Czterdzieści Cztery,  
Lecz też nieśmiertelne — B. K.

JÓZEF KODZIŃSKI.

## Reforma szkolna.

III.

(Dokończenie.)

Na czym polega reforma szkolna? Na takiej zmianie istniejących warunków wychowania publicznego, aby umożliwiły one urzeczywistnienie w młodzieży typu ludzkiego, który w danej chwili i w danych warunkach społeczeństwo uważa za najbardziej dla siebie pożyteczny i pożądany.

Najważniejszą, pierwszorzędną sprawą, sprawą zasadniczą, jest wyraźne określenie kierunku zmiany i jej punktu wyjścia — ideału wychowawczego. Ideał wychowawczy jest celem, reforma szkolna — środkiem do jego osiągnięcia prowadzącym. Żaden typ szkoły, żadna formacja szkolna, nie może istnieć sama dla siebie, w oderwaniu od celu wychowawczego, przeciwnie, uzasadnienie istnienia szkoły tkwi w możliwości wychowawczej urzeczywistnienia typu ludzkiego, pewnego rodzaju jednostek, posiadających uzdolnienie, wiedzę i zaprawę do pełnienia pewnych określonych zadań społecznych.

Z podanego wyżej określenia istoty reformy szkolnej, która jest reformą wychowania, pojętego w najogólniej-

szym tego słowa znaczeniu (to znaczy łącznie z wykształceniem, będącym jedynie jednym z wielu czynników wychowawczych), wynika zasada podziału pracy i zakresu kompetencji przy opracowywaniu reformy szkolnej.

Reformując wychowanie, należy odpowiedzieć na dwa pytania. *Co* ma być celem i *jak* ten cel ma być osiągnięty. Pierwsze pytanie dotyczy ideału wychowawczego. Kto ma decydować o zasadzie naczelnej, o ideale wychowawczym, kto ma głos w sprawie, decydującej o konieczności tworzenia tego, lub innego typu człowieka, członka narodu i obywatela?

Wyrokować tu powinno pośrednio całe społeczeństwo, a bezpośrednio ci, którzy są świadomi ogólnych ideałów i celów narodu, a więc: politycy, jako wyraziciele woli i celów narodu, socjologowie i historycy — znawcy tektoniki narodu i dziejów jego ewolucji, ekonomiści i ludzie twórczej pracy zawodowej na polu przemysłu i handlu — świadomi stanu bogactw materialnych kraju, źródeł dobrobytu i sposobów wzmożenia bogactwa krajowego, wreszcie poeci<sup>1)</sup> — owe żyjące sumienia narodu i jego spowiednicy.

Oni i tylko oni mogą wyrokować o tym, jakich ludzi potrzebuje społeczeństwo, by trwać, opierać się zwycięsko zamachom z zewnątrz, oraz działaniu sił odśrodkowych, rozkruszających więzi społeczne, rozwijać się i zmieniać, bez naruszenia harmonii tego układu woli jednostek, który nazywa się zorganizowanym społeczeństwem, państwem.

A nauczyciele, pedagogowie, *specjaliści* w dziedzinie wychowania i nauczania? Czyż nie oni w pierwszym rzędzie powołani są do opracowania zasad naczelnych wychowania narodowego?

Odpowiem na to następującym zapytaniem. Czy idea związania Pacyfiku z Moskwą drogą budowy kolei transsyberyjskiej mogła być i była rezultatem ankiety, zarządzonej wśród inżynierów ruchu i majstrów drogowych, specjalistów od budowy toru kolejowego i trasowania linii? Sama myśl zbudowania kolei powstała jako zrozumiana konieczność polityczna i ekonomiczna, powstała jako dojrzały owoc narad polityków i ekonomistów — specjaliści ściślejsi — inżynierowie kolejowi, zastanawiali się nad technicznymi środkami urzeczywistnienia idei, powziętej i zdecydowanej poza nimi.

Zawodowi pedagogowie, przy współdziałaniu lekarzy i psychologów, znając sposoby wychowawcze, warunki higieniczne i psychiczne, konieczne do urzeczywistnienia ideału wychowawczego, powinni obmyślać środki, odpowiadać na zagadnienia natury ściśle technicznej, stwarzać taki układ harmonijny wiedzy, warunków moralnych i higienicznych, oparty na znajomości duszy młodzieży, by realizacja pożądanego typu, czy typów ludzkich, pociągnęła za sobą najmniejszą stratę energii, przy największym efekcie rzeczywistym. Wybór i ustosunkowanie środków — to zadanie specjalisty pedagoga.

Praca nad wewnętrzną budową szkoły, która, moim zdaniem, jest polem działania specjalistów pedagogów, powinna być poddana ciągłej czujnej kontroli czynników, reprezentujących życie i potrzeby społeczne, wiadomo bowiem, że specjalizacja w jakimkolwiek kierunku zacieśnia zakres widzenia, *assudere in pulvere scholatico*, zaś ten ma skutek, że podobno, bardziej niż inne zawody, przyzwycz

czają do niedostrzegania tego wszystkiego, co szkołą nie jest i co się w ramach wykładanego przedmiotu nie mieści. Stąd konserwatyizm szkolny i nie niechęć, lecz często niemocność zżycia się ze zmianami, których wymagają odmienne warunki życiowe.

Nie chcę tu twierdzić, by w sprawie naczelnej, w sprawie ustalenia ideału wychowawczego nauczyciele zgłośli głos nie mieli. Owszem, głos ich jest cenny, o ile są czynni, prócz pedagogji, na innych też polach. Właściwym jednak zakresem ich działalności jest opracowanie środków, nie decydowanie o celach, gdyż pierwsze nie może być dokonane poza nimi i bez nich, podczas gdy w decydowaniu drugiego, głos ich jest cenny może, lecz nie niezbędny.

Przypominając sobie dzieje wielkich reform szkolnych, dokonywanych na ziemiach polskich, znajdziemy w pamięci nazwiska ich twórców, pomiędzy nimi zaś mało nauczycieli zawodowców. Ani Staszyc, ani Czartoryski, ani Potocki, ani Czacki, ani Kołłątaj, ani wreszcie Wielopolski nie byli zawodowymi pedagogami. Byli oni nauczycielami narodu — rozumie ukrytą dla wielu myśl narodu i dążenia — ideał, który naród chciał mieć wcielony w młodzię, by zapewnić sobie trwałość i możność rozwoju.

Diskusja w sprawie naczelnych zasad wychowawczych i reformy szkolnej, toczy się nadzwyczaj ospale. Nie mam tu na myśli artykułów w fachowych pismach pedagogicznych, dotyczących tego, lub innego szczegółu praktyki nauczania szkolnego. Dyskusja ta ma przedewszystkim jedno wyraźne zabarwienie: zabierają w niej głos przeważnie nauczyciele. Są to pojedyncze głosy, lub zbiorowe, jak np. prace Komisji Pedagogicznej przy Stowarzyszeniu Nauczycielstwa Polskiego, ale zawsze głosy pedagogów zawodowych.

Objaw to podwójnie symptomatyczny. Dowodzi on, po pierwsze, że sprawa reformy szkolnej przedewszystkim obchodzi nauczycielstwo polskie, które zdaje sobie sprawę z konieczności oparcia systemu wychowania w Polsce na innych zasadach, niż dotychczasowe; po drugie: że zarówno społeczeństwo, rozumiane w swym całokształcie, jak i sfery najbardziej uświadomione tego społeczeństwa niedoceniają ważności zadania, którego rozwiązanie jest koniecznością historyczną i nie czynią one nic, by wytworzyć ideowe podwaliny przyszłej reformy szkolnej.

Prasa milczy. Każdy dziennik uważałby to za wielką ujmę dla siebie, gdyby nie posiadał stałego referenta do spraw teatralnych, który mógłby zabrać głos w sprawie reformy teatru, lub podatku od widowisk, uważa się natomiast za zwolnionego od obowiązku posiadania referenta do spraw wychowawczych i szkolnych. Jeżeli tu i owdzie w pismach codziennych zjawiły się głosy, poruszające sprawę wychowania młodzieży<sup>1)</sup>, to głosy te pochodziły z zewnątrz, wyszły z pod pióra przygodnych współpracowników. Pozatym znajdujemy w prasie komunikaty, zazwyczaj bardzo niejasne i nic nie mówiące, lub reklamowe wzmianki o wystawach szkolnych.

Wobec tego, co już wyżej mówiłem, uważam za grzech śmiertelny spychanie sprawy pierwszorzędne-

<sup>1)</sup> Przez poetę rozumiem tu nie wierszokletę, lecz wieszczka, bez względu na to, czy pisze wierszem, czy prozą, maluje obrazy, czy buduje świątynie.

<sup>1)</sup> Kilka artykułów w „Kurjerze Warszawskim”. Jeden z nich bardziej cenny p. W. M. Kozłowskiemu w sprawie organizacji szkół wyższych.

go narodowego znaczenia na ostatnie miejsce. Społeczeństwo polskie należy ciągle i na każdym kroku przekonywać, że sprawa wychowania młodzieży jest sprawą jego bytu.

Moim więc zdaniem instytucje, które pracują nad reformą szkolną, powinny w pierwszym rządzie dbać o to, by ich głosy nie przemijały bez echa. Nad projektem Komisji Pedagogicznej St. N. P. powinna się toczyć szeroka dyskusja w prasie, w stowarzyszeniach zawodowych i społecznych, gdyż ten konkretny projekt zasługuje w zupełności na to, by być punktem wyjścia do zamierzonej pracy. Wszelkie uwagi, spostrzeżenia powinny być brane pod krytykę, szczególnie, jeżeli dotyczą one strony zasadniczej projektu — ideału wychowawczego.

Tymczasem, projekt ten, wydrukowany w N-rze 6-ym oficjalnego organu St. N. P. jest znany nielicznym czytelnikom. Żaden dziennik nie dał wyczerpującego sprawozdania i nie umieścił swych uwag nad projektem. Uczynił w ten sposób krzywdę jego twórcom, oraz utrwalił w społeczeństwie przekonanie, że nie ma cno nic do powiedzenia w tej sprawie, jako sobie obcej, względnie przerastającej możliwość zrozumienia jej i objęcia.

Jeżeli reforma szkolna ma wyjść z ducha narodu — to naród musi ją uznać za swoją, musi choćby zaciekawieniem się zadokumentować, że tej reformy sobie życzy, chce ją mieć i chce mieć ją taką, a nie inną.

Należy, jeszcze raz powtarzam, zmusić społeczeństwo do uświadomienia sobie wagi kroku, który należy uczynić, zmusić obojętne warstwy narodu do realnej myśli o odbudowaniu duszy polskiej.

A nic może w ciągu niewoli nie uległo takiemu zachwaszczeniu, jak dusza polska.

ZOFJA PIECHACZKÓWNA

## Jesień 1916.

Wązką ścieżyną, co wśród mchów się wije  
Pójdę w nieznaną, leśną dali mroki,  
Wślucham się w spokój jesieni głęboki  
Sercem, co w piersi niespokojnie bije.  
Jak ptak zalękły przypadną na wrzosa  
I może spłynie we łzach smutek wielki —  
Lżej sercu będzie... a łzy, jak kropelki  
Lśniące na kwiatach o świtaniu rosy,  
Słońce, wschodzące na niebo, wypije...

Widzę, — jak ziemia powoli zamiera  
W bogactwie światła i barwy przepychu,  
Jak ją dzień każdy z kras lata odziera...

Słyszę, — jak skarży się nocy pocichu,  
Jak w dal z powiewem wiatru łkanie leci...  
I czuję ogrom jej bólu i trwogi —  
I wiem — że chodzi noc przez polne drogi  
I zgarnia w szarej pajęczyny sieci  
Łzy, lśniące w kwiatach każdego kielichu...

Jakże mnie trwoży ta cisza jesieni  
I śmierć, co zdala nieustannie kroczy,

Choć tak czaruje przepychem barw oczy  
I takim światła bogactwem się mieni.  
Nam trzeba burzy — błyskawic i gromów,  
Rozdzierających głuchą martwość ciszy!  
Aż każde serce w Polsce je usłyszy  
I wyjdzie z grobu zwałonego złomów!...

Hej!... Przyszła burza grób Polski otworzyć  
I oślepiła oczy od łez chore —  
Jakże Ci ożyć — Polsko!... Jak Ci ożyć,  
Gdyś krwią zatruta — nieprzełaną w porę!...  
Dotąd po lasach snują się przeszłości  
Widma bolesne — osnute legendą...  
A jeszcze w grobach nie zetlały kości  
I mogą dzisiaj wstać!... I sędzić będą!...

Jaka moc z klątwy snu naród wybawi?  
Czy znów daremnie zdroje krwi pocieką  
Dziś — gdy o trumny zatrzaśniętej wieko  
Garść bohaterów ręce sobie krwawi?...  
Kto zliczy nowe mogiły — o Boże!...  
Jaki Cię jeszcze cios — Polsko — uderzy,  
Nim naród klątwę beczyny przemoże  
I w Krwi i Ofiar potrzebę uwierzy?...

H. B.

## Z prasy środkowo-europejskiej.

NIEMCY.

Ostatnie tygodnie przyniosły światu pierwszorzędnej doniosłości wydarzenia *polityczne*: proklamację niepodległego państwa polskiego, zapowiedź wyodrębnienia Galicji, znamienne mowy o celach wojny i ewentualnych warunkach pokoju Bethmanna-Hollwega, Asquita i Greya, wreszcie bynajmniej nieobojętne dla Europy wybory prezydenta w Stanach Zjednoczonych. Te trzy grupy wypadków to — oś zainteresowań opinii świata. Wydarzenia wojenne zeszły na plan dalszy, tymbardziej, że komunikaty sztabów generalnych państw walczących nie mają do doniesienia nic naprawdę ważnego; nawet ofensywa angielsko-francuska, która dotychczas — co prawda żółwym krokiem — posuwała się naprzód, teraz jakby zupełnie utknęła. Wszystko zdaje się świadczyć, że punkt ciężkości konfliktu europejskiego przenosi się z pola bitew do gabinetów dyplomatów i parlamentarnych sal obrad. Ministerja spraw zagranicznych, które na początku wojny uroczyście przekazywały realizację swych zadań sztabom generalnym, przekonawszy się, że te nie mogą ich już ruszyć z martwego punktu, przejmują z powrotem nici inicjatywy w swoje ręce.

Nic dziwnego, że i na wstępnych szpaltach wyrazieli opinii publicznej — prasy, komunikaty wojenne ustępują miejsca rozważaniu i ocenie politycznych faktów. Na pierwszy plan wysunęła się w nich — poraż pierwszy bodaj od początku wojny — sprawa polska. To dominujące stanowisko zawdzięcza akt 5 listopada temu, że jest on nie projektem pewnego rozwiązania, ale faktem dokonany, nad którym nikt nie może przejść do porządku dziennego, który na dalszy bieg wypadków nie może pozostać bez wpływu.

Zrozumienie tej jego strony ujawnia przedewszystkim prasa niemiecka i to zarówno ta, która uważa go za wielki krok naprzód, jak

i ta, która go wita niechętnie i wrogo. Podział prasy niemieckiej pod tym względem jest bardzo charakterystyczny. Poczynając od skrajnej prawicy a kończąc na skrajnej lewicy, widzimy tu całą skalę uczuć od niechęci, że dano Polakom tak wiele, aż do żalu, że dano im za mało. Konserwatyści pruscy znaleźli się co prawda w trudnym położeniu, albowiem ich tradycyjny legalizm i lojalizm nie pozwala im krytykować aktu z podpisem cesarza. Z tym większą zaciekleścią zwracają się oni za to przeciw kanclerzowi, tym skwapliwiej atakują formalną stronę proklamowania aktu. Co robiło pruskie ministerjum stanu wobec „polskiego planu” kanclerza? pytają zgodnym chórem *Kreuzzeitung, Tag, Deutsche Tageszeitung*, która dodaje, że o akcie tym będzie miał wiele do powiedzenia i sejm pruski. „Co stało się z obietnicą kanclerza, że żaden z niemieckich „celów wojny” nie zostanie zrealizowany bez wiedzy i aprobaty narodu niemieckiego?” wołają *Alldeutsche Blätter*, organ znanego obozu wszechniemców. W poczuciu bezsilności wobec faktu dokonanego zadawalają się jednak te organy sformułowaniem wszelakich zastrzeżeń i wątpliwości, z tym większą energią zabiegając o to, aby koncesje względem Polaków nie poszły dalej. Tak więc żąda *Nationalliberale Korrespondenz*, „by przyszłe Królestwo Polskie tworzyło zupełnie pewną straż graniczną przeciw Rosji i aby jego ekonomiczny rozwój znalazł się w jaknajściślejszej łączności z państwami centralnymi. Związek dynastyczny i uczuciowy z Polakami nie wystarczy... Potrzeba dalszych środków wiążących”. Nad wszystkim góruje jednak w tej prasie obawa, że powstanie państwa polskiego wpłynie na zmianę polityki antypolskiej Prus. Aneksjonści czują, że zmiana ta nastąpić musi — godzi się na nią nawet przywódca wolno-konserwatystów, bar. Zeidlitz w berlińskim *Tagu* — ale uważają za swój obowiązek wyczerpać wszelkie środki, aby ją odwlec, a nawet udaremnić. W tym celu wywleka się stary argument, że zmiana polityki wobec Polaków zależeć będzie od zachowania się samych Polaków, którzy muszą się stać tylko po polsku mówiącymi obywatelami pruskimi (artykuł Zeidlitza w *Tagu*), od tego, czy Polacy „w obrębie naszych granic i poza nimi pojmą wielkie obowiązki, jakie Niemcy i ich sprzymierzeńcy im przydzielają jako wynik własnych niewysłowionych ofiar” (enuncjacja *Ostmarkenvereinu*). Z drugiej strony przedstawia się te niebezpieczeństwa, jakie płynęłyby dla Niemiec z równouprawnieniem Polaków w obrębie Prus.

Na szczęście obóz „starej orjentacji” jest w mniejszości. Za polityką kanclerza wypowiadają się zarówno stronnictwa socjalistyczne, które domagają się jeszcze dalszych koncesji na rzecz Polaków, jak stronnictwo postępowe, jak potężna partja centrowa. *Kölnische Volkszeitung*, jeden z jej najpoczytniejszych organów, uważa przy tej sposobności za stosowne zaatakować polski radykalizm. Niedwuznacznie przebija się tu specjalnie katolicki punkt widzenia. Centrum spodziewa się w Polakach sprzymierzeńców przeciw protestantom i wolnomyślicielom i względ ten w jej przychylniej Polsce polityce nieostatnią odgrywa rolę. Szczegółowe zajęcie się opiniami poszczególnych dzienników tego obozu jest o tyle zbędne, że pokrywają się one niemal zupełnie ze sobą, łącząc się w jeden chór zadowolenia.

#### AUSTRJA.

Podobnie zgodną w optymistycznej ocenie aktu z 5 listopada jest prasa austriacko-niemiecka. Na uwagę zasługuje specjalnie artykuł *Neue Freie Presse* z 8/XI, która stara się rozwiać obawę, jakoby oderwanie Polski od Rosji miało utrudnić zawarcie pokoju i wzbudzić w Rosji podobną żądzę odwetu, jaką wywołało we Francji oderwanie Alzacji i Lotaryngji. Artykuł ten wykazuje, w jak dużym stopniu oczekują państwa centralne od proklamowania państwa polskiego przyspieszenia pokoju. Specjalnie wiele miejsca poświęcono w prasie

austriacko-niemieckiej zapowiedzi wyodrębnienia Galicji. Akt ten był w znacznej mierze wypływem zabiegów Niemców austriackich, którzy tą drogą spodziewają się zapewnić sobie w pozostałych krajach austriackich bezwzględną większość nad Słowianami. Z tego też względu akt ten nie wzbudził opozycji nawet ze strony organów prawicowych Rzeszy. Jedne tylko *Alldeutsche Blätter* dopatrują się i tu ciemnych stron, bo, bądź co bądź, akt ten wzmacnia b. znacznie żywioł polski.

#### CZECHY.

Rzecz charakterystyczna, że nawet w Czechach, które mają wszelkie dane, by na Polskę spoglądać z zawiścią, proklamowanie państwa polskiego spotkało się z przychylną oceną. Nietylko zawsze dla Polaków dobrze usposobione socjalistyczne *Prawo Lidu* i organ lojalnych wobec Austrii agrarjuszy *Venkov*, ale nawet były organ posła *Narodni Listy*, które hołdowały zgola innej koncepcji politycznej, witają przyjaźnie powstanie nowego państwa polskiego i spodziewają się, że przyczyni się ono do dalszego zbliżenia polsko-czeskiego, nie tając co prawda — zupełnie uzasadnionych zresztą — obaw, jakie ogólna linja polityki austriacko-niemieckiej z dniem 5/XI budzi specjalnie dla Czech. Entuzjastycznie wprost przyjęła wiadomość o utworzeniu państwa polskiego prasa słowieńska.

#### WĘGRY.

Ale z najgorętszą oceną spotkała się sprawa wskrzeszenia państwa polskiego na Węgrzech. Stronnictwa rządowe zadowolili się wyrażeniem swej radości z tego powodu i złożeniem nowemu państwu jaknajserdeczniejszych życzeń, prasa opozycyjna natomiast uważa, że akt z 5/XI w niedostatecznym stopniu zaspakaja narodowe aspiracje Polaków. *Magyar Hirnap* zapowiada odpowiednie interpelacje i wnioski na grudniowej sesji sejmu węgierskiego.

#### BULGARJA I TURCJA.

Głośnie jest radość z powodu wskrzeszenia Polski w Bułgarii, gdzie bardzo znamienne oświadczenie wypowiedziała póturzędowa *Cambana*; prezydent ministrów, Radosławow, uważa proklamację niepodległości za walny krok ku zawarciu pokoju i w Turcji, gdzie podobne oświadczenie złożył organ Młodoturków *Tanin* i *Le Soir*. Warto podkreślić, że Turcja była jedynym mocarstwem, które nigdy nie uznało rozbiórów Polski. Dotąd stoi w Konstantynopolu gmach poselstwa polskiego opieczętowany przez władze tureckie po wyjeździe ostatniego ambasadora Rzplitej i czeka wciąż na przyjazd jego następcy.

*Przedpłata „WIDNOKRĘGU” wynosi w Warszawie, wraz z odnośnieniem do domu, miesięcznie kop. 85; kwartalnie rb. 2 kop. 50; rocznie rb. 10. Z przesyłką pocztową kwartalnie rb. 3; rocznie rb. 12.*

*Administracja, prócz niedziel i świąt, otwarta codziennie od godz. 10 rano do 2 pp. i od 5 do 7 wiecz.*

*Redakcja, prócz niedziel i świąt, otwarta codziennie od godz. 6 do 7 pp.*

*Dla studentów i nauczycieli ludowych 25% ustępstwa. Cena numeru oddzielnego kop. 25.*

# WIDNO KRAG

N<sup>o</sup> 19 (R. II) Warszawa, 28/XI 1916

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE N<sup>o</sup> 7. — TELEF. 158-90.

**TREŚĆ:** TADEUSZ SZPOTAŃSKI: Przeobrażenia Galicji. — TOMASZ NOCZNIKI: Pamięci wielkiego pisarza. — KONRAD WICHROCKI: Życie prowincji (Kujawy). — T. T.: Z tygodnia. — B. HEŁCZYŃSKI: Perspektywy pokojowe. — STANISŁAW FALKIEWICZ: Straszna jest chwila... — STANISŁAW THUGUTT: O wygląd stolicy.—B. H.: Z prasy.

TADEUSZ SZPOTAŃKI.

## Przeobrażenia Galicji.

### I.

Sytuacja wytworzona przez akty z 5 listopada, w sprawie państwa polskiego i wyodrębnienia Galicji, jest komentowana w Galicji rozmaicie, ale zawsze z jednakowym uczuciem. Cieszą się wszyscy z częściowego rozwiązania sprawy polskiej, przypisuje się zasługi różnym osobom i instytucjom, żadne jednak hymny pochwalne nie mogą pokryć w istocie rzeczy tego rozgoryczenia, jakie, mimo wszystko, w Galicji w tej chwili panuje. Boć Galicja przecie odegrała rolę polskiego Piemontu, jest żywym odłamem całości, miała prawo do sztandaru polskiego i uważała zawsze za swój obowiązek wznosić go wysoko, o nieprzedawnione prawa narodu się upominać i dla zrealizowania ich pracować. To też to częściowe rozwiązanie sprawy polskiej dla Galicji, jako dla Galicji, jest klęską właściwie, a radość, jaka tu się przejawia, jest tylko żalosnym echem radości Warszawy. Polska będzie miała króla, będzie miała sejm polski, polskie wojsko, polskie znaki, społeczeństwo będzie rozwijało się i tężało w walce w ramach państwa własnego,—Galicja do tych tryumfów i do tych czynów nie będzie dopuszczoną, na długo od nich została odcięta.

Przed depresją jednak bronią się wszystkie żywioły

czynne i może w żadnym okresie historii Galicji nie występowała tak silnie i z decyzją tak stanowczą i mocną, myśl o samodzielności narodowej. Zarysowało się to wyraźnie na ostatnim pełnym posiedzeniu Naczelnego Komitetu Narodowego z dn. 14 listopada r. b. na zebraniu przez d-ra Bielińskiego nazwanem „łabędzim śpiewem“ Naczelnego Komitetu Narodowego. I on podkreślał, że nie dano uczestniczyć Galicji w dziele odbudowy Polski, jednocześnie z dumą stwierdzając, że Naczelny Komitet Narodowy umiał stworzyć zawiązek armji polskiej. I tu choć podnoszono wysoko zasługi d-ra Lea i pr. Jaworskiego, choć im przypisywano wielkie czyny i zasługi, zebranie zachowywało się zimno i milcząco, lecz zerwało się żywiołowo na dźwięk nazwiska Piłsudskiego i burza oklasków i okrzyków na cześć twórcy armji polskiej przerwała obrady na kilka minut.

Na zebraniu tem pr. Jaworski zaznaczył, że mając w Galicji prawa zabezpieczone, nie należy tracić wpływów w Wiedniu, na co w odpowiedzi poseł Daszyński rzucił program polityczny, mniej więcej w takich zarysach:

Stan obecny nie może trwać długo i będzie musiał występować coraz większy rozdział, a Galicja tak się winna urządzić, aby mogła pośpieszać za przodującym jej Królestwem. Nie osiągnie ona tego rezygnacją, ale wytrwałością i targiem zajadłym, do którego trzeba jaknajprędzej przystąpić, tymbardziej, że po wojnie szybko minie okres zastójny i wówczas ci, co pozostaną w tyle, zginąć muszą. Dziś już zresztą sytuacja jest trudna i miarodajne czynniki niedwuznacznie zapowiadają, że wyodrębnionej Galicji nie oddane zostaną komunikacje i że nie przestanie być ona rynkiem zbytu. To też myśl polityczna gromadzić musi materiał do obrony i do targu, jednocześnie trzeba kształcić wolę narodu, wolę nie drobnych kółek i partyjek, lecz wolę szerokiego ogółu polskiego, który może zachować i obronić narodowe wartości. Bo wkrótce zjawią się zastępy z rowów strzeleckich, zjawi się pół miliona ludzi, którzy powrócą z piekła ognia huraganowego, przyjdzie tysiące kalek i chorych z poczuciem wartości przebytych cierpień, z poczuciem prawa do innego, niż dotychczas, stanowiska w narodzie. Trzeba więc, aby lud wiedział, o co targ idzie, za co walkę się prowadzi, trzeba, aby zrozumiał, że Galicja nie potrzebuje już być Piemontem, ale że stać się ma Sardinją, która sama nowe drogi torować sobie będzie.

Przechodząc następnie do omówienia spraw poszczególnych, Daszyński zatrzymał się chwilę nad problemem wojska polskiego, przychem oczywiście nie mógł nie wspomnieć o przebywającym teraz stale w Krakowie Józefie Piłsudskim. Partja moja — mówił Daszyński — występuje i występować będzie przeciwko kultowi osób. Ale nie o kult, nie o dyktaturę człowieka tu idzie, ale o prawdę historyczną. Sześć lat pracy upłynęło wśród głosów, że jesteśmy szaleńcami. Gazety, cieszące się dziesiątkami tysięcy abonentów, twierdziły, że strzelcy są agentami obcy mi. Jeszcze na miesiąc przed wojną fala potępiająca wojsko polskie szła od Ameryki po Kraków. Jeszcze 3 i 4 sierpnia, gdym się zwracał do tych licznych reprezentantów grup i stronnictw politycznych, aby przystąpili do czynu i objęli współodpowiedzialność za ruch zbrojny — odpowiadali odmownie. 6 sierpnia poszedł Piłsudski ze strzelcami, wypowiedział wojnę Rosji — sam jak kamień przez Boga rzucony na szaniec, bez asystencji jednego choćby magnata, jednej ekscelencji. Poszedł uzbrojony w stare Werndle, z kulami ołowianemi — i tu Daszyński w dalszym ciągu wspominając w ogólnych zarysach dzieje walk Legjonów Polskich — rzucił pytanie, kto jest twórcą Legjonów, jednocześnie odpowiadając, że ten tylko, kto żoł-

nierza do boju powołał i kto go wielkim duchem natchnął.

Ta prawda, wyrażona przez Daszyńskiego, tkwi szeroko w poczuciu mas społeczeństwa. W pochodzie na Wawel podczas ostatnich uroczystości fala oklasków wskazywała, gdzie przechodzi Piłsudski. Ku niemu leciały kwiaty, dla niego były serca tłumu. Było to oczywiście nie tylko wyrazem uczuć, ale i aspiracji politycznych, wyrazem tych pragnień, tych nadziei i tej pracy, której podwaliny w Galicji dziś się buduje.

TOMASZ NOCZNICKI

## Pamięci wielkiego pisarza.

W 1883 r. młodym chłopcem zacząłem czytać w *Słowie* w odcinku „Ogniem i mieczem”, w grudniu t. r. zostałem wzięty do wojska i zapędzony daleko na północ, do Jarosławskiej guberni. Przez kilka lat nie wysyłano tam Polaków; więc gdyśmy przyszli, patrzano na nas, jak na rarogów i... wrogo. Jaka była nasza służba z początku, jak tęskniliśmy za ojczyzną daleką, pisać nie będę.

Otóż w 1885 r. przysłano mi z kraju na moje żądanie i za moje pieniądze ową powieść H. Sienkiewicza, już w 1-m wydaniu książkowym.

Byłem wówczas w „baterijnej szkole”; służyłem w artylerji; przeczytałem książkę jednym tchem, bo były jakieś święta i czytać był czas.

Rozumie się, że byłem zachwycony, dniem i nocą miałem przed oczami postacie, o których czytałem.

Ale było nas kilku, zaproponowałem towarzyszom niedoli, czyby nie chcieli wysłuchać ciekawej powieści, ale gdzie? Otóż jeden z nas, szewc z powołania (dziś ma swój sklep z obuwiem na Chmielnej, a syna w Legjonach), był przeznaczony na rymarza, widocznie dlatego, że i szewc i rymarz ze skórą i dratwą mają do czynienia. Miał tedy kolega, Jaś M., warsztat rymarski i pomocnika Żyda z Mohyłowa. U niego więc zbieraliśmy się wieczorami, i tam na głos przeczytałem ową cudną z naszych dziejów opowieść.

Dziś, a przecież to już 30 lat temu, jesteśmy starzy, i życie nieżartem przeszło nad nami, a jeszcze, gdy zachodzę na Chmielną, do kolegi Jasia, to z przyjemnością gadamy o tym, jakieśmy to niegdyś przepędzali wieczory w dalekiej ziemi wygnania.

A co się z nami działo wówczas?

Bywało czytam, a tu łzy mimowoli zalewają oczy, więc miną nadrabiam, podnoszę energicznie schyloną nad książką głowę—patrzę na wiarę, a tu we wszystkich oczach łzy, każdy się krzywi, chrząka, udaje, że przecież nie płacze, a łzy płyną strumieniami po naszych młodych twarzach; krótko mówiąc, płakaliśmy jak dzieci, i nad Heleną Kurcewiczówną, i nad Janem Skrzetuskim, i na pogrzebie pana Longina Podbięty, co czystą jego duszę anieli u stóp Królowej niebios złczyli.

Po tych łzach wylanych było nam lepiej i raźniej, i weselej, i szarzyzna żołnierskiego życia nie tak nas dławiała. Poznawaliśmy naszą przeszłość, która przedstawiona nam została tak promiennie, a w zboląle dusze nasze wstępowało ukojenie.

W 1886 r. zostałem przemawiany do szkoły podoficerów; tam było nas 5-ciu, i znowu zebraliśmy się razem,

i znowu na głos przeczytałem kolegom „Ogniem i mieczem”, i znowu znajdowaliśmy ukojenie w tęsknocie naszej, a jako już starsi, no i przecie w przyszłości podoficerowie, rozprawialiśmy całymi wieczorami i z różnych stron oglądaliśmy bohaterów powieści i czuliśmy, że jesteśmy nierozdzieloną częścią narodu.

To też nad świeżą mogiłą naszego wówczas pocieszyciela składam te moje z przed lat 30 łzy i wspomnienia, jako hołd i podziękę za przeżyte w owy czas chwile i za tę wielką pociechę, jakiej wówczas doznawaliśmy.

Cześć Jego pamięci.

20/XI 1916 r.

KONRAD WICHROCKI

## Życie prowincji.

KUJAWY.

Kujawy — ta jedna z najbogatszych prowincji Polski — ani w życiu państwowym Rzeczypospolitej, ani następnie w okresie porozbiorowym nie brały nigdy żywszego udziału. Podczas gdy Krakowskie, Lubelskie, Kieleckie i inne w wielkich momentach dziejowych odgrywały rolę niezmiernie doniosłą, o tyle Kujawy były zawsze spokojne, umiarkowane, obce, że się tak wyrażę, romantyzmowi życiowemu.

W ruchu wolnościowym kraju zapisały się też nieźbyt korzystnie. Wiadomości o udziale Kujaw we wszystkich wystąpieniach zbrojnych Królestwa Polskiego, począwszy od rozbiórów Rzeczypospolitej aż do dni ostatnich, są bardzo skąpe. Charakterystycznym może być tutaj raport Kościuszki, podówczas generała, do głównej komendy wojsk polskich z prośbą o odwołanie go z Kujaw, bo, jak się wyraził, „z wołami nie umiem rozmawiać”.

Na kartach historii 63 roku Kujawy zapisały się również nieźbyt pochlebnie. Po dziś dzień wskazują na tych, którzy jawnie pomagali Moskałom w wyszukiwaniu powstańców i ludzi „podejrzanym”. Lud nazwał ich „Pasierbami” i to określenie stosuje się do wszystkich, którzy bywali na usługach „Ochrany”.

W latach t. zw. rewolucyjnych 1905 i 1906 rozwijała się znacznie, szczególnie w ośrodku życia na Kujawach, we Włocławku, organizacja Polskiej Partji Socjalistycznej, zyskując, dzięki sprężystej działalności doktora Krajewskiego i jemu najbliższych, znaczne wpływy. Ale mimo to sama rewolucja, która, mówiąc nawiasem, przyszła zbyt szybko, nie miała tej siły, jak w innych miejscowościach.

Ruch strzelecki, zapoczątkowany w Galicji przez Józefa Piłsudskiego, przybierał większe rozmiary, gdy wtym wybuchła wojna. Stanowisko Warszawy, z początku wyczekujące, a następnie, po ogłoszeniu słynnego manifestu wielkksiążęcego tak bezprzykładnie entuzjastyczne, wywarło chwilowo wpływ znaczny i na Kujawy, choć w mniejszym stopniu.

Prędko nastąpiło otrzeźwienie, być może, wskutek prędkiego zetknięcia się z organizacją państwową niemiecką, co do której porównanie z dawniejszą rosyjską wypadło nadzwyczaj korzystnie. Mimo to jednak do szeregów strze-



leckich, później legjonowych, Kujawy dostarczyły zaledwie około trzystu ludzi.

Czyn zbrojny słaby znajdował posłuch tak wśród inteligencji, mieszczan, jak i wśród robotników i chłopów. Zasklepienie się we własnych, drobnomieszczańskich interesach, w partykularyzmie czczym i jałowym, było dotychczas cechą znamioną społeczności na Kujawach. Nie pozwalało ono na obejmowanie szerszych horyzontów życiowych, odsuwało od wszelkiej współpracy w dorobku umysłowym, artystycznym i kulturalnym całego narodu.

Wojna obecna sprowadziła już pod tym względem pewne korzystne zmiany. Niwelując cały szereg wpływów szkodliwych obcych i różnego gatunku naleciałości dopomogła społeczeństwu kujawskiemu do stworzenia, jeśli nie całkowitej, to przynajmniej częściowej, ale zato właściwej fizjonomji narodowej. Należy przytym zaznaczyć, że wojna dotychczas była dla Kujaw o wiele względniejszą, aniżeli dla innych części kraju. Działania wojenne ograniczały się na przemarszach wojsk, chwilami zresztą bardzo dotkliwych, i tylko raz jeden Włocławek i bliższe jego okolice były widownią trzydniowej zaciętej walki. Ale równocześnie winno się zwrócić uwagę na to, że Kujawy wogóle, a Włocławek (liczący około 40 fabryk i przedsiębiorstw przemysłowych) w szczególności były uprzemysłowione i że z wybuchem wojny klasa pracująca znalazła się w bardzo przykrej sytuacji materialnej. Ofiarność była konieczną i to w wielkim stopniu, tymczasem sfery zamożne nie rozumiały, czy też rozumieć nie chciały, że na nie spada tu obowiązek zapobieżenia wzrastającej nędzy. To, co robiono i to co się robi, było i jest nikłe.

Pomimo, że mieszkańcy Kujaw tak minimalny wzięli udział w walce zbrojnej przeciwko Rosji, prowadzonej zaszczytnie przez Legjony polskie, jednakże czyn tych bojujących o wolność narodu, o wyzwolenie z pod knuta moskiewskiego, czyn gąsiki młodych „szaleńców“, „bohaterów“, wywierał wpływ.

Wojna zmilitaryzowała umysły. Stało się jasnym, że tylko żołnierz na polu bitwy, żołnierz w okopach, wykuwa to wszystko, co stanowi o przyszłości narodu, co jest fundamentem pod trwałe jego istnienie.

W zbiorowej psychologii Kujaw wyczuwało się to nowe, nieznanne drgnienie. Wyczuwało się, że budzi się ta zbiorowa dusza, że się powoli, powoli odradza.

I uzyskanie Niepodległości, nie jakieś „autonomje“ i „samorządy“ stało się celem społeczeństwa na Kujawach. Zrozumieniu tego zasadniczego postulatu dążeń polskich dało ono wyraz w urządzonym wiecu, powziąwszy następującą rezolucję: „My, obywatele Kujaw, zebrani w dniu 29/X r. 1916 we Włocławku na wiecu politycznym, urządzonym przez Centralny Komitet Narodowy, stwierdzamy, iż dążeniem zarówno naszym, jak i dążeniem całego narodu jest uzyskanie jeszcze w obecnie toczącej się wojnie Niepodległego Państwa Polskiego, opartego o własny rząd i własną armję, jako jedyną gwarancję naszej Państwowej Niezależności“.

Gdy nadszedł dzień piątego listopada, społeczeństwo kujawskie zrozumiało jego doniosłość, pojęło, czym jest dla narodu naszego fakt proklamowania przez dwa mocarstwa sprzymierzone Państwa Polskiego. Sprawa polska przestała być wreszcie kwestją wewnętrzną Rosji, Niemiec czy Austrii, ale stała się międzynarodową. Na nas zwrócone są dzisiaj spojrzenia całego świata. My bowiem mamy tę Polskę budować. Ze zgliszcz i popiołów wznosić

państwo silne i niewzruszone, bo takim je mieć chcemy i takim mieć musimy.

Społeczeństwo na Kujawach w ten sposób pojęło akt piątego listopada. Włocławek zaś, jako stolica tej prowincji, dał wyraz temu uczuciu, wysyłając z ramienia swej rady miejskiej adres do Rady stołecznej miasta Warszawy, „jako do jedynej naszej w obecnej dobie instytucji samorządnej, powstałej z wolnych wyborów“. W adresie tym wyrażono życzenie wytrwania na drodze, która „oby w jaknajkrótszym czasie doprowadziła do gorąco przez nas požądanego utworzenia polskiego rządu, jako legalnego i wyłącznego przedstawicielstwa Państwa Polskiego“.

Uroczystości, które następnie odbyły się w dniu 12 listopada we Włocławku i innych miejscowościach na Kujawach, były już tylko stwierdzeniem tego stanu rzeczy oraz wylewem uczucia przepełniającego społeczeństwa miejscowe.

Kujawy. Listopad 1916.

T— T.

## Z tygodnia.

Słusznie czy niesłusznie przypisuje sobie Warszawa oddawna miano serca Polski, pozostawiając Krakowowi funkcję rozumu. Otóż nie poruszając zbyt drażliwej kwestji rozumu na razie, trzeba przyznać, że serce to bije rytmem dość słabym. I że stara małopolska stolica zdobyła się w chwili obecnej nietylko na gest o wiele okazalszy, ale na daleko pełniejszy wyraz uczucia narodowego. Uroczystości, jakie się odbyły w trzy dni po proklamowaniu państwa polskiego w Krakowie, były niewątpliwie dowodem, iż tam trafniej i rychlej, niż u nas, zrozumiano wartość i znaczenie momentu, że nie zamierało jak nasze to serce krakowskie w niepewności, w lęku, w zdumieniu.

Nie chodzi o ten stubarwny wąż świetnego pochodzenia, jaki się przewinał ku stopom sędziwej katedry. Ani nawet o tęgi Zygmunta głos, targanego poraż pierwszy od tyłu już lat rękami żołnierza polskiego. Ani najmniej o wodniśtą, mdłą w tonie, fałszywą w treści mowę nowego dożywotnika m. Krakowa pana burmistrza Leo. Umiejętność dekoracyjna i znajomość techniki manifestacji narodowych nie znajdują się w żadnym stosunku do istotnej głębi uczucia. Wręcz przeciwnie; od dość dawna twierdzono u nas z przekąsem, że te rzeczy robi się w Krakowie na zimno, że to jest nietylko muzeum narodowych pamiątek, ale i teatr narodowy z przystawionym obok hotelem dla gości. Te kilka dni zadały temu kłam. Kto widział te chwile, a słyszeliśmy to od ludzi bynajmniej do uniesień i naiwności nieskłonnych, stwierdza jednogłośnie, że tak poważnej, tak szczerzej i głębokiej radości nie przeżywał Kraków oddawna. Choć zarazem były to chwile dojmującego do głębi duszy smutku.

Bo nie swoją się przecież cieszył Kraków radością. Nie awansem na wyższy stopień autonomji krajowej, jaki dnia tego nadszedł mu z Wiednia. Cieszył się za Warszawę, radował się za Polskę. I doprawdy to mu trzeba będzie długo pamiętać. Zwłaszcza, że tak było przez cały czas wojny. Nietylko w Krakowie, tak było w całej w przeciw-

stawieniu do Krakowa Galicji. W tej samej Galicji, o której karjerowiczowstwie, zaustrjaczaniu, kołtunerji tak wielomównie, z dochodzącym do oburzenia współczuciem, z zapiętą na wszystkie guziki godnością lubiły w Warszawie rozprawiać wszelkiego pokroju inteligentne matolki. Ale się o tym nie mówiło na szczebioczących herbatkach, że gdy w Galicji powstały legjony, to skrzyniami znoszono biedne, liche, robotnicze czy chłopskie obrączki ślubne. Że na Podhalu były wypadki, iż matka ostatniego syna do tych legjonów dawała, dawała tegoż dnia, gdy przysłała wiadomość o śmierci starszego syna. Że w Żywcu, biednej, zapadłej dziurze o siedmiu tysiącach mieszkańców, w lesistym podgórskim powiecie jednego dnia 16.000 koron na rynku na te legjony zebrano. I że się to robiło w owej Galicji, która najmniej mając do uzyskania od wojny, najstraszliwsze na nią płaciła ofiary.

Nie pora dziś na żale, sądy i stawianie stopni z patriotyzmu. Ale zaiste smutnym byłby dziś widok Polski bez tej „ciemnej i ośłupionej” Galicji. Nie pozostałoby nam zdaje się nic zgoła, jak tylko sto tomów dochodzącego do bezwstydu samozadowolenia z własnego rozumu, godności i taktu, jakie się tu wypisywało i wypisuje w „Kurjerkach” i „Tygodnikach” warszawskich.

Na szczęście ów straszliwy kataklizm dziejowy, jakim jest bezsprzecznie wszelka wojna wogóle, a w szczególności wojna obecna, sprowadził już niejedną zmianę na lepsze. Jeśli to jest huragan, od którego pokotem kładą się lasy, to ten huragan zwiewa także zabójcze wyziewy grzęzawisk, w których tonęliśmy beznadziejnie. Dużo już nauczyliśmy się, dużo skorzystali w tej wybornej, choć tak twardej szkole wychowania narodowego, jaką jest wojna. Nie brak i dziś jeszcze oczywiście hebesów, którzy od początku wojny dukają bezmyślne androny, ani tym mniej filistrów, pokrywających bezczelnością nieuctwo. Ale naogół niejednen już absurd stracił prawo debitu w uczciwej dyskusji. I przecie się pomału zaczyna wdrażać umysł polski w twarde tryby politycznego myślenia.

Na razie idzie dość ciężko. Dostał się wprawdzie od dwóch tygodni do wyższej klasy, ale dostał się, jak to mówią, kominem. Może i bez protekcji, ale z tym łutem szczęścia, którego było potrzeba dla wyrównania brakującego funta rozumu. Staje więc na rogach ulic i szuka tych osobliwych podręczników mądrości politycznej, które mu dzień po dniu przynosi. Lektura to niezbyt może poczytna, napewno zaś wielce chaotyczna i niepowiązana żadną wyraźną linią wewnętrzną. Co gorsza nauczyciele, zgoła planu lekcji nie ułożywszy, dyskutują ze sobą na jednym rogu ulicy czasami. Korepetytora na razie brak, trzeba więc niestety własną głową wszystkiego dochodzić. Jakoś to jednak idzie. Byle się tylko znowu nie przyśniło uczniowi, że już pojadł wszystkie rozumy i że jest wzorem nie tylko mądrości, ale i dobrego zachowania się.

Ale żart, niezbyt zresztą wesoły, na stronę. Jeśli się sobie przypomni ową kleistą ciecz, która się przelewała ze szpałt wszystkich pism warszawskich w ostatnich latach, owe świetne, pełne wdzięku i mistrzostwa formy bajania o wierutnych bzdurach, owo przymusowe miamlanie o wszystkim, byle nie o tym, co skowyczało, choćby już bardzo niegłośno, w głębi umęczonej duszy, jeśli się tę do obrzydliwości mdłą piankę przypomni i porówna z tonem i tematem dnia dzisiejszego, trudno nie stwierdzić, że się choćby poniewoli idzie ku lepszemu. Z wyjątkiem tych oczywiście „organów”, które mówią milczeniem. Coraz

częściej zadźwięczy, choćby niezbyt jeszcze śmiała i wprawną ręką ruszony temat, o którym się wie napewno, że długie jeszcze lata będzie w młodej Polsce tematem i treścią dnia, który jest głębią a nie mielizną życia. Za tak niedawnych jeszcze przecie czasów rosyjskich milczało się o takich rzeczach, jako o abstrakcjach, o których mówić zwłaszcza pod baczem okiem komitetu cenzury dość nudno. Dziś, gdy abstrakcje zstępują na twarde grunty rzeczywistości, kwestje się same cisną pod pióro.

Padają więc już naprzykład pierwsze strzały w wielkim, tak starym a tak wiecznie żywym sporze o władzę. Mówić o prawie i dążeniu do władzy pod batem rosyjskim, gdy się władnym było jedynie płacić mniejsze lub większe łapówki, było bezcelowem i śmieszem. W Polsce dnia jutrzejszego, czymkolwiek ona będzie, sprawa będzie oczywiście interesowała bardzo bezpośrednio i żywotnie. Pierwszy, jak w wielu innych sprawach, zabrał głos *Kurjer Polski*. W ciepło odczuty i uczciwie pomyślanym artykule p. Chrzanowskiego postawiona została kwestja demokracji polskiej, jej dzisiejszych zasług i jutrzejszych za nie praw, ulctnie, ale całkiem otwarcie i jasno. Zawtórowała mu niebawem *Nowa Gazeta*. Głosy te na razie zamarły bez echa, ale błędem byłoby mniemać, że dowodzi to nie już błahości sprawy, ale małego nią zainteresowania. Raczej wręcz przeciwnie, możnaby zauważyć i przepowiedzieć na zasadzie drobnych i nieśmiało jeszcze tu i owdzie przeblyskujących wzmianek, że lada chwila rozgorzeją nie tylko dysputy, ale namiętności, odwieczne głody, zastarzałe nienawiści, chrobliwie zaskorupiałe nałogi zazdroznego stróżowania dziedzicznych praw. W mało czytwanym w Warszawie *Kraju*, wychodzącym od niedawna w poznańskim Lesznie, a wydawanym przez jednego z ludzi wysuwanych podobno na czoło przyszłego dygnitarstwa polskiego, ujawniły się niedawno apetyty tak znamienne, że warto je doprawdy utrwalić sobie dobrze w pamięci. „Zdaje się jednak, pisze autor, że wybiją się w przyszłym państwie polkiem 3 główne kierunki: prawica (zachowawcze), centrum (realne) i lewica (radikalne). W interesie Polski życzyć sobie należy, żeby pierwsze dwa kierunki posiadały większość jak najznaczniejsza”. I potym ta rozbijająca zaiste uwaga: „jeśli gdzie, to w państwie nowopowstałem zgoda jest potrzebna”. Prawda? Zgoda zjadanego, który przez grzeczność nie chce robić zjadającemu odmową przykrości. Przypomina to jędrne i trafne określenie p. Cwierciakiewiczowej, która zapewniała, że „karasie lubią się smażyć w śmieciach”.

Na razie, ci co będą później w sobie wcielali „interes Polski”, zadowolają się jej kwestjonowaniem. Dla pewności i lepszego efektu robi się to ze Szwajcjarji, skąd zapewnia się chętnych i niechętnych słuchaczy, że całej tej z nową Polską awantury „cel jest jasny: chodzi o obejście prawa międzynarodowego”, za co „odpowiedzialność spadnie na mocarstwa centralne”. Podpisane przeważnie same ilustracje, z hołoty zaś — pp. Roman Dmowski, Erazm Piltz i Wacław Gąsiorowski.

Był podobno do niedawna zwyczaj na dworze stambulskim, że się na każdym uroczystym przyjęciu pytał sułtan, fikcję prawną zachowując, „gdzie jest poseł polski”. Ci panowie, gdy raczą do wolnej Warszawy powrócić, będą się zapewne pytali: „gdzie mieszka generał-gubernator rosyjski?”

B. HEŁCZYŃSKI.

## Prespektywy pokojowe.

Punktem wyjścia dla rozpraw o pokoju stały się mowy Bethmanna-Hollwega z jednej, Asquita i Grey'a z drugiej strony. Kierujący mężowie stanu obu stron walczących zupełnie zgodnie ubolewają nad okropnościami wojny i zgodnie wypowiadają pragnienie, by pokój nadszedł jaknajrychlej. „Gdy czytamy mowę p. Asquita w Guildhall — ironizuje *Vorwärts* — wydaje nam się, że przemawia p. Bethmann-Hollweg, a nasi towarzysze angielscy odnoszą zapewne podobne wrażenie przy czytaniu mowy tego ostatniego”. Obie strony chcą pokoju, ale każda innego pokoju. Obie strony mówią o uciśnionych małych narodach, ale koalicja o Serbji, Czarnogórze, Rumunji, Armenji i Belgji, a państwa centralne o Polsce, Grecji i Flamanadach. Niewątpliwie jednak głównym szkopułem dla zawarcia pokoju jest w obecnej chwili sprawa belgijska. Koalicja żąda przywrócenia *status quo*, Niemcy godzą się również na to, że Belgja nie będzie anektowaną, ale żądają dla siebie gwarancji. Sprawa tych gwarancji jest dziś zresztą w samych Niemczech głównym przedmiotem walki partyjnej. Wywołało ją znane oświadczenie kanclerza, że nie myślał nigdy o aneksji Belgji. Zdanie to zaopatrzył przywódca socjalistów rządowych, Filip Scheidemann, w komentarz, że Niemcy nie potrzebują Belgji militarnie, gospodarczo i politycznie opanowywać. Kto nie zna stosunków niemieckich, ten nie zrozumie, jaką burzę wywołało to oświadczenie. Wszystkie przeciwne kanclerzowi pisma żądają teraz kategorycznie od niego, żeby za pośrednictwem półrządowej *Norddeutsche Allgemeine Zeitung* temu zaprzeczył. Niema numeru *Kreuzzeitung*, *Post*, *Nationalliberale Korrespondenz*, nawet *Leipziger Neueste Nachrichten*, któryby nie zawierał tego żądania. W walce z kanclerzem i socjalistami wywleka się wszelkie możliwe argumenty. Przedewszystkim każe się protesować przeciw oddaniu Belgji z powrotem w ręce Angji — bo tak nazywa się w tych kołach projekt przywrócenia Belgji zupełnej niepodległości—przeciw oddaniu cieniów poległych na ziemi belgijskiej żołnierzy niemieckich. Powiada się, że pokój, któryby pozostawił Niemcy w dotychczasowych granicach, miałby za skutek nową wojnę po jakich 20 latach. Wspomina się dalej na los Flamandów, którym należy się czujna opieka bratniego narodu niemieckiego. Wreszcie — i to jest najcięższe działo — twierdzi się, że wątpliwość w sprawie belgijskiej i wogóle w sprawie warunków pokoju nie skraca, lecz przedłuża wojnę. Zdaniem *Kreuzzeitung* koalicja nie dlatego nie chce dziś zawierać pokoju, że warunki Niemiec są dla niej za twarde, lecz dlatego, że ma nadzieję pobić Niemcy. Wszelkie zdradzanie się ze zbytniem pragnieniem pokoju utwierdza ją tylko w tym przekonaniu.

Fakt, że pomiędzy warunkami pokoju Niemiec a koalicji, jako całości, istnieje dysproporcja, czyni w Niemczech popularną myśl odrębnego pokoju z każdym z państw koalicji z osobna. Przez jakiś czas szczególną wartość miała myśl odrębnego pokoju z Rosją. Obecnie, jak stwierdza *Westminster Gazette*, akt z 5/XI jest dowodem pogrzebania tej idei i powstania w Niemczech prądu, dążącego do odrębnego pokoju z Anglią. Jednakowoż, zdaniem tego pisma, „ani Angja, ani Rosja nie dadzą się przekupić i zgodnie doprowadzą wojnę do punktu, który uwolni oba kraje od niebezpieczeństwa niemieckiego”. Natomiast *Manche-*

*ster Guardian* wysuwa projekt, by koalicja jako całość zawarła odrębny pokój z Niemcami kosztem ich sprzymierzeńców. Niemniej projekty zawarcia odrębnego pokoju bądź ze Wschodem, bądź z Zachodem nie są wśród państw zwórprzymierza pogrzebane.

Myśl o odrębnym pokoju z Anglią nie jest zupełnie beznadziejna. W mowie swej oświadczył Grey, że „jeśli byłoby prawdą, że wojna została Niemcom narzucona, to jedynie logicznem byłoby, że Niemcy oczekują koniecznych gwarancji przeciw nowemu napadowi”. Grey dowodzi wprawdzie dalej, że Niemcy wywołały tę wojnę, ale dość blisko niego stojące pismo *Nation* daje wyraźnie do zrozumienia, że właściwie wywołała wojnę... Rosja. Akt z 5/XI da niewątpliwie dużo powodów do tarć wewnątrz koalicji, nic więc dziwnego, że mimo gromkich zapewnień rządów i półrządówek koalicji, wiara w jej spójnię nie jest zbyt silną.

Bezstronnie patrząc na widoki pokoju w świetle pracy państw wojujących, dochodzi się do wniosku, że są one znacznie większe, niż dotychczas.

Prezydent Wilson ma zamiar jeszcze w ciągu tej zimy zaprosić wszystkie państwa na konferencję pokojową do Waszyngtonu. Konferencja ta ma się odbywać pomimo trwania wojny bez uprzedniego zawieszenia broni. Wilson przypuszcza, że rezultatem jej będzie nietylko pokój dorazny, ale powstanie międzynarodowego związku dla ochrony pokoju. Fakt, że myśl Wilsona znalazła gorące przyjęcie w mowach Grey'a i Bethmanna-Hollwega i w prasie europejskiej, jest, jak słusznie wywodzi *Manchester Guardian*, jeszcze większym dlań tryumfem, niż jego ponowny wybór.

---

STANISŁAW FALKIEWICZ.

## Straszna jest chwila ..

Straszna jest boju chwila przełomowa. —  
 Padnij! — Szatańskie zajęły chichoty  
 i w krwawych błyskach snop odłamków złoty  
 ze zgrzytem rozpęł.—Powstań!—Salwa nowa.  
 Wieniec szrapneli znaczy nasze loty.—  
 Straszna jest, bracie, chwila przełomowa...

Tak się czerwieni do sławy trakt bity —  
 Na Boga, luzuj! — Płomienie zielone.  
 Piachu fontanny żygnęły w błękity.  
 Jak na ćwiczeniach. Kulami szczerbione  
 plutony gnają równą linią w stronę,  
 gdzie błyskawicą lśni sławy trakt bity.

Powstań — o powstań! — nasi już daleko...  
 Zwolna ucicha strzałów bełkotanie.  
 Koń cicho zarzał. Jak w żniwa na łanie,  
 w biały lipcowy skwar nad senną rzeką —  
 tak cicho leżą—trupcy—nikt nie wstanie—  
 Bracie! — ty żyjesz... nasi już daleko...

Powstań—o powstań!—To nie obłąkanie  
 jedna przed nami od stuleci droga —  
 piekielna w słońce perć—szatany na niej!...  
 W oczy zajrzała ci śmiertelna trwoga  
 i lęk pobilił lica. — Łamiał wroga —  
 nasi — zwycięstwo! — to nie obłąkanie..

STANISŁAW THUGUTT.

## O wygląd stolicy.

Jednym z pierwszych narodowych pewników jest wrodzona każdemu narodowi, wynikająca wręcz z istoty pojęcia narodowości, dążność do używania własnych form bytu, do niczem nieograniczonej swobody kształcenia i rozwijania własnego języka, własnego obyczaju, własnej kultury. Naród, któryby w te sprawy nie kładł największego nakładu pracy i starań, któryby z czegośkolwiek dobrowolnie rezygnował, traciłby najistotniejsze cechy narodu, wpa- dałby w chorobę, którąby go niebawem doprowadziła do całkiem niesławnej śmierci.

Jedynym wypadkiem, kiedy naród musi się ograniczać w swobodnym wyrażaniu swoich potrzeb i uczuć we własnych, sobie swoistych formach, jest przemoc obca. Dopóki ona trwa, naród nie może brać odpowiedzialności za czyny narzucone mu gwałtem, jak nie bierze odpowiedzialności drzewo za gwoździe, które ktoś wbija w zdrowy rdzeń jego pnia. Z chwilą, kiedy przemoc przestaje działać, formy narzucone, ślady gwałtu winny być usunięte sposobem najkrótszym i najnaturalniejszym, raczej przez prosty odruch, aniżeli przez zawile motywowane postanowienie. Decyzja w tej mierze nie może być hamowana przez żadne względy uboczne, przez żadne racje najniższej czy najwyższej polityki, bo te sprawy nic z polityką zgoła nie mają wspólnego. Można po przegranej wojnie, czy wobec jawnej swej bezsilności zgodzić się na ustąpienie prowincji, zburzenie fortec, zapłcenie najcięższego okupu, choćby się to równało obcięciu prawej ręki; nie można natomiast nawet w najcięższej opresji ograniczać swego prawa do używania własnego języka lub godzić się na znoszenie widomych oznak niewoli, bo toby było wycinaniem części mózgu, czy serca. Pierwsze leży w płaszczyźnie czynów i motywów politycznych, drugie na pochyłości jakiegoś przerażającego zaniku woli do życia, jakiegoś groźnego schodzenia w dół po stopniach, którego kresem musi być dno nędzy moralnej.

U nas jakgdyby myślano inaczej: Minął rok z górą od chwili wypędzenia Rosji z Warszawy i oto stolica kraju zachowuje całkiem dobrowolnie ślady jej stuletniego u nas pobytu. Cudzoziemiec, któryby nas w tym okresie odwiedził, byłby zapewne w niemałym kłopotcie, chcąc zrozumieć istotę i treść naszych tak powszechnie głoszonych dążeń niepodległościowych. Bo oto naród, który niepodległość ma bez przerwy na ustach, nie tylko nie chce uczynić najmniejszego wysiłku celem zbliżenia się ku niej, ale nie wyciąga ręki po te nawet rzeczy, które mieć może bez żadnego wysiłku. I nie jest doprawdy łatwą, ani godną zazdrości rolą przewodnika, któryby temu cudzoziemcowi miał nasz sposób pojmowania wolności uczynić zrozumiałym. Wszystkie argumenty, jakie się za utrzymaniem takiego stanu rzeczy tułają po głęwach, są przecież tak błahę, tak, powiedzmy otwarcie, nieszczerze, że niewątpliwie kryć się za nimi musi coś zgoła innego, coś co wykraczając poza granice zdrowego rozumowania, trzyma się kurczowo jakichś wstrętów, czy zachcianek, jakiejś, całkiem zresztą chorobliwej, uczuciowości.

Nie można przecież mówić na serjo, iż na te rzeczy czas jeszcze. W piętnastym miesiącu życia oswobodzonej od Moskale Warszawy — byłoby nietylko śmiesznem, ale wręcz beczelnem. Tak sprawy biorąc, winniibyśmy ślady

panowania Rosji w stolicy zatrzymać nawet w wolnej już istotnie Polsce: zawsze przecież znalazłoby się coś pilniejszego do zrobienia.

Być może, że są w tej chwili zagadnienia ważniejsze. Ale naród, jak człowiek, nie może się ograniczać do wypełniania zadań najważniejszych, tylko winien żyć pełnią życia, w którym rzeczy mniejsze mają równą wagę i sens, jak rzeczy największe. Niewątpliwie najważniejszym dla człowieka głodnego jest ratować się od śmierci głodowej, nie wynika stąd jednak chyba, żeby się miał nie myć przez piętnaście miesięcy. Być może — sprawa jest drobna; to pewna, że w niej, jak w lusterku, odbija się cały ogrom naszego upadku.

Nie może to być sprawą kosztów. W niektórych wypadkach, jak np. w sprawie doprowadzenia do porządku sztyldów, koszty są minimalne; w innych, jak przy przywróceniu dawnych kształtów pałacowi Staszycy, mogą sięgać sum znaczniejszych wprawdzie, ale nie potrzebują być wyłożone odrazu. Nie chodzi o to, żeby w ciągu najkrótszego możliwie czasu ukazała się Warszawie dawna fasada gmachu narodowego, tylko o to, żeby zniknęła obecna. Przedewszystkiem zaś o to, żeby się ukazał znak czyjejś o tym myśli, czyjegoś starania i czyjegoś wstydu.

Całkiem zaś już niedorzecznem byłoby mieszać do tych spraw prostych i łatwych jakieś subtelności polityczne. Można dla Polski szukać w różnych stronach świata oparcia, nie można jednak wyobrazić sobie, żeby ktoś mógł dążyć do zawarcia takiego sojuszu, którego nienuiknionym warunkiem byłaby nasza dobrowolna zgoda na widoczne cechy niewoli. Nie można też powstrzymywać się od pewnych czynów, od wyrzucenia śmieci moskiewskich w danym wypadku z Warszawy, dla tego tylko, żeby tem komuś innemu — Niemcom na przykład — nie zrobić przyjemności. W takim bowiem razie najlepiej byłoby zmartwić ich widokiem batów, branych przez nas z powrotem z ręki moskiewskiej. Wartość tego zmartwienia byłaby, niestety, obustronnie wątpliwa.

Jeden jest tylko argument, który się wymyka z pod wpływu jakichkolwiek rozumowań, który jest tak nieuchwytny, że go ani powalić, ani przytrzymać nie można, tak jednak zarazem mocny, że trzyma jak przygwożdżoną całą sprawę na miejscu. Tym argumentem jest strach. Strach nie tyle już nawet przed Moskałem, który mógłby powrócić, ile przed „warjatami”, którzyby chcieli grzeczne i rozsądne społeczeństwo wciągnąć w awanturę. Najgłębsza nieufność, tłómaczona najgłębszym istotnie wstrętem do „awantury”. Najupartsze zaciętrzewienie, które każe odrzucać propozycje przeciwnika nawet wówczas, gdy się dla usprawiedliwienia odmowy kłamie sobie samemu motyw.

Strach jest rzeczywiście bardzo trudno zwyciężyć. Należy natomiast starać się najusilniej, żeby nie owładnął nami zbyt mocno, gdyż jest on jednym z najgorszych tyranów. Katastrofa, do jakiej rządami swoimi może się przy czynić, przewyższyłaby zapewne znacznie spustoszenia, do jakiego mogą nas doprowadzić najgorsze „awantury”, proponowane przez największych „waryatów”. W każdym razie musielibyśmy, strachu tylko słuchając, przywrócić wszystko w razie istotnego zbliżenia się Moskali do dawnego „porządku” własnymi rękami. Pozostawienie pustych miejsc na sztyldach nie byłoby napewno dosyć lojalne; trzeba by jaknajspieszniej zamalować je napisami rosyjskimi. Gazety rosyjskie nie pozostawiają żadnej wątpliwości, że przyjmowanie zaczątków nawet swobód od „od-

wiecznego wroga" jest ciężką obrazą mateczki Rosji i uczuć rodzinnych.

Trzeba się przeto raz zdecydować. Albo trzeba iść wstecz aż po kres lojalizmu poddańczego. Albo, uchylając wszelkie względy uboczne, przemijające konjunktury, wszelkie obawy, niechęci i przesady, starać się urządzić w domu, w którym od wieków mieszkamy, jak w domu własnym. Ktokolwiek i z czymkolwiek doń przyjdzie, winien zastać naszą spokojną gotowość stwierdzenia faktu, że mieszkamy w tym domu — u siebie.

Nie jest celem uwag powyższych szczegółowe konkretyzowanie obowiązków, jakie w tej dziedzinie spełnić należy, inwentaryzowania bogatej zaiste kolekcji pamiątek po Moskalu. Nie pretendując przeto do wyczerpania tematu, pozwalam sobie wymienić kilka rzeczy najważniejszych, które załatwione winny być w swoim czasie natychmiast i odruchowo, a których dalsze pozostawianie jest nieprzyzwoitością publiczną.

1) Uregulować należy drogą rozporządzeń administracyjnych sprawę szyldów, które winny być w języku tylko polskim, w formie stałej i ostatecznej, t. j. napisu na desce lub blasze, a nie na płótnie, ukrywającym pod spodem napis rosyjski; miejsca puste po zamalowanych napisach rosyjskich winny przestać czekać niewiedomo na kogo i na co.

2) Usunięte winny być z ulic Warszawy pomniki, obrażające nasze uczucia narodowe i wystawione jako symbole poniżającej duszę polską grozy: Paskewicza, pomnik na Placu Saskim i pomniki na pamiątkę bitwy grochowskiej.

3) Pałacowi Staszycy powinien być przywrócony kształt dawny, a przynajmniej usunięta winna być z fasady frontowej ornamentacja w stylu rosyjskim.

4) Kultowi katolickiemu oddane winny być byłe świątynie katolickie: b. kościół pijarski przy ul. Długiej i historyczny kościółek na Woli.

5) Należy dążyć do zatarcia wszelkich śladów po byłej cytadeli warszawskiej. Wobec ogromu zadania i braku środków, zapoczątkować przynajmniej należy rozplanowanie przyszłej dzielnicy miasta, jaka może powstać na miejscu twierdzy, wzniesionej w celach wyłącznie prowokacyjno-więziennych.

H. B.

## Z prasy.

### Z PRASY KOALICYJNEJ (Półurzędowej).

Akt 5 listopada odbił się głośnym echem w prasie koalicji. Na razie wywołał on oszołomienie. Jakkolwiek koalicja oddawna już przewidywała możliwość stworzenia przez państwa centralne faktu dokonanego w sprawie polskiej i poważnie się tej możliwości obawiała — dość wspomnieć mowę Sazonowa z początku bieżącego roku — to jednak doszła ona, zdaje się, do przekonania, że obawy te są bezzasadne. Faktem jest, że proklamowanie państwa polskiego było dla opinii publicznej koalicji zupełną niespodzianką. Pierwszym

odruchem, który ta niespodzianka wywołała, był gniew, oburzenie, a nawet — pozwolimy sobie użyć mało parlamentarnego, lecz zato zupełnie trafnego wyrażenia — wściekłość.

Nie można się temu dziwić. Akt 5 listopada krzyżuje plany koalicji jako całości pod wszystkimi względami. Przedewszystkiem militarnie. Koalicja przyzwyczała się do myśli, że rezerwy wojskowe czwórprzymierza wciąż się wyczerpują bez nadziei jakiegokolwiek świeżego dopływu. Już „balony próbne", puszczone ubiegłej zimy przez *Neue Züricher Zeitung* w sprawie armii polskiej, przejmowały prasę francuską zimnym rdeszczem. Obecnie zaś armja ta ma się stać ciałem. Powstaniu jej więc za wszelką cenę należy przeszkodzić. To też cała prawie prasa koalicji, a przedewszystkiem prasa półurzędowa, usiłuje wmówić w opinię światową i Polaków, że pobór rekruta w Królestwie był jedynym celem państw centralnych przy proklamowaniu niepodległej Polski. Tą drogą stara się koalicja odparować i drugi cios, zadany jej przez dyplomację niemiecką. Hasło wolności „małych ludów" było dotąd ulubionym jej konikiem. A oto obecnie jeden z ujarzmionych narodów ma dostać tę wolność właśnie z rąk przeciwników. Trzeba więc udowodnić, że wolność to tylko pozorna, a przedewszystkiem, że obietnicy swej, danej wyłącznie z egoistycznych militarnych względów, państwa centralne nie mają zamiaru dotrzymać. Zdanie to powtarzają pisma koalicji na przeróżne tony i sposoby.

### FRANCJA.

Najgwałtowniej występuje — rzecz temperamentu — prasa francuska. *Matin* w artykule p. t. „Najpierw mobilizacja, potem konstytucja" nazywa akt z 5/XI olbrzymim bluffem; zapewnia, że mobilizacja zostanie wprowadzona zaraz, ale konstytucja zacznie obowiązywać dopiero po wojnie. Ostatnie rozporządzenie władz niemieckich mogłoby pouczyć *Matin*, że podzielił tym razem los wszystkich prawie proroków wojennych. Ze zgrozą pisze *Temps* o tym, że Niemcy chcą Polsce zabrać ostatni skarb — ludzi, nie dając — bo nie mogą dać — nic wzamian i zapewnia, że tylko od Rosji mogą się Polacy spodziewać lepszej przyszłości. Na nic więcej nie umieją się zdobyć *Echo de Paris* i *Petit Journal*. *Figaro* uderza nawet w ton groźby: „Polacy przyjmując od Niemców niepodległość, nie mogą później liczyć na pomoc koalicji — bo jak sobie pościelesz, tak się wyśpiesz".

### WŁOCHY.

Lojalna względem Rosji prasa włoska wyraża się podobnie; *Giornale d'Italia* uważa akt z 5/XI za absurd, za robotę nieuczciwą i wiarotomną, która musi uleść zagładzie. Podkreśla sprzeczność tego aktu z tradycyjną polityką Niemiec i uczuciami Polaków. *Idea Nazionale* przewiduje krótkotrwałość nowego państwa; *Popolo d'Italia* uważa za jedyny skutek aktu niemożność odrębnego pokoju Niemców z Rosją. *Secolo* przechodzi w ton łzawy i zaklina Polaków, by się nie dali zaślepić obiecując im, że koalicja zaspokoi wszystkie ich aspiracje.

### ANGLJA.

Znacznie trzeźwiej ocenia sprawę prasa angielska. Nie sądzi ona naogół, by jedynie miarodajnymi dla aktu z 5/XI były względy militarne, stwierdza jednak, że krok państw centralnych nie jest bezinteresowny, bo nowa Polska ma być utworzona wyłącznie z ziem b. zaboru rosyjskiego i przypuszcza, że Polaków obietnica ta nie zadowolili, zwłaszcza wobec perspektywy zjednoczonej autonomicznej Polski w związku z Rosją. W tym duchu wypowiedają się *Times*, *Westminster Gazette* i *Morning Post*.

### ROSJA.

Że większość prasy rosyjskiej bagatelizuje akt z 5/XI, widząc

to nic dziwnego. A przecież nawet część tej prasy, a mianowicie prasa liberalna, zaznacza, że ma on dalej idące znaczenie. Milukow zarówno w *Rieczy*, jak w *Birżewych Wiadomościach* stwierdza, że mocarstwa centralne zyskały tą drogą pierwszorzędną atut polityczny i ostro atakuje rząd, a zwłaszcza Stürmera za jego zupełną beczynność w sprawie polskiej.

#### Z PRASY KOALICYJNEJ (Niezależnej).

Rzecz jasna, że niezależna prasa państw zachodnich idzie w tym kierunku znacznie dalej. *Daily News* uważa, że mieszkańcy Królestwa są przedewszystkim Polakami, więc skoro Rosja ofiarowuje im tylko autonomję, a Niemcy niepodległość, wybiorą tę ostatnią. Akt 5/XI nie jest jedynie papierowym manifestem, lecz będzie miał b. poważny wpływ. Z ironją zapytuje *Truth*, czy ktokolwiek uczyni teraz propozycję oddania niepodległej Polski z powrotem Rosji. Ostro atakuje rząd rosyjski i *Manchester Guardian*. Podobnie wyraża się we Włoszech *Corriere d'Italia*. Zmienił zdanie i *Secolo*, drukując artykuł historyka Ferrera, w którym ten żąda, by Rosja uczyniła ofiarę i ze swej strony proklamowała niepodległość, a nie autonomję. Podobny wniosek postawił był zresztą jeszcze dnia 9 czerwca w izbie włoskiej poseł Montresor. Najmniej tak śmiałych głosów we Francji, dzięki skrupulatnie pilnowanej przez ambasadę rosyjską cenzurze; to też *Journal des Debats* i *Radical*, zamiast inwektyw przeciw Rosji, zamieściły tylko charakterystyczne białe plamy. Ale sam rząd francuski doszedł do wniosku, że aktu z 5/XI pozostawić bez odpowiedzi nie można; to też półrządowy *Temps* zamieścił później gwałtownie napisany artykuł, żądający, by Rosja dotrzymała swego przyrzeczenia dania Polsce autonomji.

#### Z PRASY PAŃSTW NEUTRALNYCH.

Jeżeli chodzi o prasę neutralną, to ta zajmuje wobec aktu z 5/XI stanowisko przychylne lub wrogie, w zależności od swych sympacji do państw centralnych lub do koalicji. W klasyczny sposób uwidocznia się to zjawisko przy porównaniu prasy norweskiej ze szwedzką. Gdy pierwsza, za wyjątkiem *Morgenbladet*, stwierdza, że niepodległość z rąk Niemców ma mniejszą wartość od przyobiecanej przez Rosję autonomji, prasa szwedzka widzi w manifestie monarchów sprzymierzonych „pierwszy realny wynik wojny”, czyli „pierwszy promyk światła wśród długiej nocy”. Podobne przeciwieństwo panuje między pozostającą pod wpływami Niemców prasą szwajcarską, a dającą się inspirować raczej z Angji prasą holenderską, która z wielkim chłodem i sceptycyzmem patrzy na nowy twór prawnopañstwowy. Nie mamy jeszcze chwilowo żadnych wieści, jak zapatruje się na zapowiedź niepodległej Polski prasa najpotężniejszego z państw neutralnych — Ameryki.

#### Z PRASY NIEMIECKIEJ.

Prasa niemiecka zajmowała się sprawą polską znacznie mniej w ostatnich 2 tygodniach, poprzestając na ogół na podawaniu informacji z życia polskiego i na ironizowaniu głosów prasy koalicyjnej, a zwłaszcza protestu rządu rosyjskiego. Natomiast była sprawa polska przedmiotem żywej dyskusji w komisji budżetowej parlamentu niemieckiego. Wprawdzie odnośne posiedzenie było tajne, ale dzięki sprawozdaniu przywódcy stronnictwa postępowego, Payera, na wydziale tegoż stronnictwa, przebieg obrad w ogólnych zarysach przedostał się do prasy. Opozycja wysuwała głównie trzy momenty: sprawę polityki polskiej w Prusiech, ustroju i rozwoju przyszłego państwa polskiego, wreszcie wpływu aktu z 5/XI na możliwość odrębnego pokoju z Rosją. Ostatecznie zgodzono się przecieć na to, że nie było lepszej pozytywnej drogi do załatwienia kwestji polskiej. Większość

liberalna potępiła też stanowczo dotychczasową politykę antypolską w Prusiech.

Odmienne zdanie opozycji konserwatywnej w sprawie polskiej znalazło najlepszy wyraz w obszernym artykule, jaki zamieściła *Kreuzzeitung* dn. 15/X p. t. „Wojna i wielka polityka”. Autorem jego jest prof. Otto Hoetsch, wydawca znanego czasopisma naukowego *Zeitschrift für osteuropäische Geschichte*, uchodzący w Niemczech za najlepszego współcześnie znawcę dziejów Europy Wschodniej, a w szczególności Polski. Nie można powiedzieć, iżby znajomość naszych dziejów zjednała nam w osobie prof. Hoetscha sympatyka, czego najlepszym dowodem jest właśnie wspomniany artykuł. Na wstępie stwierdza on, że cała prasa niemiecka powitała akt 5/XI bez zadowolenia (?!). Brak zadowolenia wynikać ma nietylko z powodu takiego, nie zaś innego, załatwienia sprawy polskiej, ile z powodu, że rząd uczynił krok ten bez zgody narodu, bez poddania go pod obrady parlamentu i sejmu pruskiego.

Przechodząc do merytorycznej oceny tego faktu, prof. Hoetsch stwierdza, że z dwóch możliwych rozwiązań: z Polakami przeciw Rosji lub z Rosją przeciw Polakom rząd Rzeszy wybrał to pierwsze. Rozwiązanie to przesądza stosunek Niemców do Rosji wcześniej, niż to—zdaniem p. Hoetscha—było potrzebne i może poważnie utrudnić Niemcom orientację w polityce światowej. Jeżeli chodzi o Polaków, to, zdaniem p. Hoetscha, hołdują oni wciąż idei Polski Jagiellońskiej: „od morza do morza”. To też akt z 5/X nie może ich w zupełności zadowolić i wywoła tylko dezorientację. Polacy w Królestwie zresztą są jakoby w swych poglądach zupełnie niejedności i bynajmniej nie pragnęli tak gorąco niepodległości. Zdanie Franciszka ks. Radziwiłła, wypowiedziane wobec polityków niemieckich 5 października, że Polska przybrała stanowczo front antyrosyjski niezupełnie odpowiada rzeczywistości. Za koncepcją państwa polskiego w związku z Zachodem wypowiedziały się tylko inteligencja i część szlachty. Wogóle idea związku Polski z Zachodem jest zdaniem p. Hoetscha politycznie bezwartościowa. Obszernie omawia on sprawę stosunku Niemców do Polaków w Prusiech. Uznaje on potrzebę rewizji dotychczasowej polityki Prus, ale, jak sobie wyobraża „nową orientację”, której ma ona dać początek, trudno wywnioskować, skoro kwestjonuje nawet możliwość wprowadzenia języka polskiego do szkół początkowych dla ludności polskiej. Na zakończenie daje profesor Hoetsch kilka wskazówek Niemcom i Polakom. Niemcom radzi dokładne zapoznanie się ze sprawą polską, aby uniknąć „nowego wydania szkodliwego marzycielstwa w sprawie polskiej z lat 30-tych”, które autor widzi w poglądach lewicy. Polakom doradza rozsądek, t. j. „takie zachowanie się, jakiego państwa centralne będą musiały od nich wymagać”. Platoniczne zapewnienia arystokratycznej mniejszości nie mają dlań żadnej wartości. „Do chwili obecnej prawdą było w stosunku do Polski tragiczne zdanie, że nie może ona istnieć jako państwo, a nie może umrzeć jako naród”. Powątpiewanie, czy zdanie to straciło już dziś na wartości, unosi się nad całym rozumowaniem prof. Hoetscha.

I sprawę wyodrębnienia Galicji omawia on obszernie. Uważa ją za krok bezwzględnie chybiony. Przedewszystkim ze względu na Rusinów, którzy nigdy nie pogodzą się z rządami Polaków w autonomicznej Galicji. Względem Niemców austriackich nie jest dlań decydujący, albowiem można im było zapewnić przewagę polityczną na innej drodze. Wyodrębnienie Galicji jest niebezpiecznym precedensem, który może zaprowadzić Austrię na drogę zupełnego federalizmu, co w rozumieniu prof. Hoetscha byłoby dla monarchji habsburskiej klęską (?).

Cena oddzielnego numeru kop. 25.

# WID NO KRAG

№ 20 (R. II) Warszawa, 2/XII 1916

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 7. — TELEF. 158-90.

TREŚĆ: W RZYMOWSKI: Żołnierzu polski! — JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI: Major Albin Fleszar. — HUGO K. DUCHIŃSKI: Strzały. — T—T.: Z tygodnia. — STEFAN KOŁACZKOWSKI: Droga twórczości Jana Kasprowicza. — A. LAUTERBACH: Plantacje i ogrody warszawskie. — B. HERTZ: Znów szumi las.

W. RZYMOWSKI

## Żołnierzu polski!

Żołnierzu polski!

Synu marnotrawnej matki, żołnierzu polski!

Oto klęka przed tobą serce stolicy; serce stolicy podzdrawia w tobie oblicze swej najgłębszej tęsknoty. Warszawa pod stopy twoje ściela się miljonem serc, gorejących od czci i zachwytu, spotykając w tobie pochód odwagi, na jaką zdobywa się tylko rozpacz bezgraniczna lub bezgraniczna wiara.

Bowiem Niemiec, Węgier lub Bułgar, wyruszając w bój na walkę z połową świata, czuł poza sobą rozpostarte ramiona ojczyzny; ale ty, bezdomna krwi polska, idąc na śmiertelną walkę, miałaś za sobą tylko głuchą noc niewoli, tylko ramiona moskiewskiej szubienicy nad ciszą grobów rozpostarte.

To wszystko, co było rdzą i pleśnią osiadłą na oczach

ludu, co było przekleństwem niewoli, dzieliło cię dotąd od murów Warszawy.

Ale ty wiedziałeś, że nadejść musi godzina, w której Warszawa na piersi twej wypłacie gorycz i mękę stuletniej niewoli, i że te łzy staną się dla niej ogniem oczyszczenia.

I prawdziwie dniem wielkiego wewnętrznego płaczu całej Warszawy, placzu, o którym mówił Słowacki w „Kordjanie“, dniem łez, oczyszczających duszę, był ów dzień pierwszego z tobą, żołnierska chorągwi, spotkania.

Zaniosła się od tłumionego łkania dusza Warszawy, aż do najskrytszych zapadlin więziennego mroku, gdy załopotwały w powietrzu ulic sztandary twego bohaterstwa. Zaniosła się od buntowniczej skargi na ohydne lata swej tortury, gdy Moskal pluł jej w twarz, gdy wróg szargał i ulicami włóczył jej najświętsze bóle, gdy ciemiezca pomniki wznosił jej hańbie, gdy ją lżył pobbazaniem, a naigrawał się z niej łaską, okrutniejszą nad katusze.

Może poraz pierwszy od owej Nocy Listopadowej, której rocznicę świeżo wspaniałym uczczono obchodem, może poraz pierwszy od lat 86, w rytmie twego żołnierskiego kroku, Warszawa odnalazła zgubiony w niewoli rytm własnej historii, odnalazła w nim tętno własnego serca.

Tobie to, żołnierzu, w stu bitwach zahartowany, twe-  
mu to spiżowemu mężtuwu, poraz pierwszy od lat 86 Warszawa powierza ciężar swego sumienia, wyznaje tobie swój wstyd i swoją dumę, swe tęsknoty i trwogi, swe winy i błędy, swe zbrodnie i niedole, tobie, krucjato dziecięca, spowiada się i kaje za swą małoduszność i ślepotę, ciebie o rozgrzeszenie prosi, dziecięca krucjato z karabinami bohaterów w dłoniach!

Przyjm więc, żołnierzu polski, cześć, jaką ci składa stolica, imieniem całej ojczyzny, albowiem płynie ona z radości dnia dzisiejszego i daje wyraz prawdzie radosnej.

I przyjm, żołnierzu, także łzy, tę błogosławioną rosę zbudzonego przez ciebie sumienia, albowiem będą one łzami Polaka ostatnimi, łzami, po których w piersi naszej zostaje już tylko żar krwi, kipiącej buntem przeciw jarzmu niewoli.

Witamy w tobie miecz, który stanie na straży naszego polskiego i ludzkiego prawa.

Witamy w tobie wszystkie te serca i dłonie, które ów miecz na święty bój o niepodległość naszą podjęły.

Cześć tobie i sława!

Dnia 1 Grudnia.

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI.

## Major Albin Fleszar.

Albin Fleszar urodził się w Kąkolówce w Rzeszowskim. Do gimnazjum uczęszczał w Rzeszowie. Już na ławie szkolnej, poczynając od niższych klas, oddawał się z zamiłowaniem naukom przyrodniczym. W klasach wyższych brał żywy udział w kółkach samokształcenia, prowadził wielkie dysputy zasadnicze, pisał prace i referaty z przeczytanych dzieł. Wczesną młodość Fleszara zajmowała całkowicie nauka, pełna zdrowego fermentu, pełna romantycznych wątpliwości.

Oczywiście, zjawily się w swoim czasie typowe konflikty niezwykłego młodzieńca ze zwykłym środowiskiem prowincjonalnego miasteczka. Zjawila się też gorycz i szderstwo, jaką się spotyka zawsze wśród chłopców poważnych i myślących, a zamkniętych w ciasne ramy szkolnego rygoru.

Po ukończeniu gimnazjum w Przemyśle, studjował Fleszar geologję na uniwersytecie lwowskim, gdzie później, jako wielce obiecujący uczoney, został asystentem przy katedrze geografji.

W czasie nauki uniwersyteckiej rozszerzył się znacznie zakres jego pracy. Prócz usilnych studjów przyrodniczych, pracował Fleszar w Związku Walki Czynnej. Później należał do najbardziej obiecujących oficerów Strzelca, w którym prowadził szkołę oficerską.

Specjalną rysą jego charakteru i charakteru jego działalności w życiu koleżeńskim, organizacyjnym i wojskowym, była zupełnie świadoma surowość w przeprowadzaniu powierzonych sobie zadań; pewna, że się tak wyrażę, przekorna oschłość w robocie, osobliwego typu trzeźwość, z którą tępił zbyt gwałtowne, zewnętrzne oznaki zapału, poświęcenia, czy ofiarności. Płynęło to z głębokiego rozumienia Sprawy oraz z poczucia tej dyskrecji, tej ciszy namysłu, jaką wobec wielkich przedsięwzięć mają natury głębokie.

Fleszar bał się błyskotliwości polskiej natury i tych różnych płacziwych wdzięków, w jakie niewola może stroić nieodpowiedzialnych ludzi... Bał się tych rzewnych sentymentów, pozorów. Zwalczając to wszystko, budował swą silną pracą i wielkim zapałem to, co było istotą jego życia: głęboką miłość wiedzy i najgłębszą miłość Ojczyzny.

Na początku wojny uwolniony z armjii wstąpił do Brygady Piłsudskiego 20 sierpnia 1914 r. w Kielcach. Rozpoczął swą wojenną karierę, jako komendant I bataljonu 1 pułku. Zaraz w pierwszych większych bitwach, pod Nowym Korczynem i Chwalibógowicami, odznaczył się chlubnie.

Po ciężkim wypadku z koniem odkomenderowany został na organizację jako komendant okręgu Piotrkowskiego.

Tu pracował pilnie, jako komendant bataljonu, który wkrótce potem otrzymał suty chrzest bojowy pod Krzywopłotami. W robocie organizacyjnej postępował surowo i poważnie. Nie zabiegał około niechętnych. Łatwymi sposobami nie starał się sobie jednać popularności. Nieufnych, nałej wiary, szybkiego strachu ludzi miała była przekonac pracowita wytrwałość majora.

Ci, którzy służyli wówczas pod nim, zapamiętują go z tego okresu na długo. Wnosił z sobą surowy ład między

młode szeregi ochotnicze, był świetnym wychowawcą współpracowników.

Dziwnie stylową oprawę dawały mu wówczas stare poklasztorne mury piotrkowskiego gimnazjum, w którym stacjonował bataljon. Zazwyczaj widziało się wtedy jego wysoką pochyloną postać na środku sali, w oczekiwaniu interesantów, lub przy oknie, jak już nieomal o zmroku kończył przeglądać raporty.

Na dużą bladą twarz majora padał zwiędły blask jesieni, przyćmiony mrokiem starych murów. Rozległa budowa jego czoła nabierała w szarym świetle osobliwie miękkiej modulacji. Niebieskie, głęboko osadzone oczy grążyły się w cieniu orbit tak, że nie można było dojrzeć ich spojrzenia. Wysoko uniesione brwi, silnie wystające kości policzkowe, szerokie uparte usta, mała broda, chuda wyciągnięta szyja nadawały całemu obliczu charakter obojętnego zdziwienia... Coś z chłopca i mędrca, z dziecka i myśliciela... Zaś wszystkie szczegóły tej twarzy, pozornie nieharmonijnej, wiązały się w zestrój poważny, jakgdyby pod nakazem woli.

Jedynym, zdawałoby się, weselszym frywolnym motywem tej postaci były jasne włosy o matowym złotym połysku płocmienia.

Ósmego listopada 1914 r. wrócił Fleszar do Brygady, obejmując VI bataljon, przeważnie z rekrutów złożony. Bataljon ten prowadził znakomicie w krwawym boju pod Krzywopłotami i przez dalszy ciąg wojny, z górą dwa lata był jego komendantem, zyskując sobie zupełne uznanie Piłsudskiego i serdeczną miłość żołnierzy.

W wojskowej karierze majora Fleszara jest wiele kart znakomitych. Należą do nich: Bój pod Krzywopłotami, samodzielnie prowadzona bitwa pod Wszachowem, znakomite prowadzenie 7 p. p. w pierwszej wyprawie wołyńskiej, bój pod Kostjuchnowką w 1915 r., wreszcie prowadzenie 7 p. p. w wielkiej bitwie pod Kołodziejami.

W ciągu tego czasu doszedł Fleszar (mianowany majorem 10/V 1916 r.) do ogromnego wyrobienia spokoju i maestrii w kierownictwie.

Bataljon przez majora Fleszara prowadzony tak zrosł się z nim i zespolił, że wyrobił w sobie jakgdyby styl odrębny. Niedbałość o pozory przy znakomitem wymusztrowaniu, umyślna grubość i prostota obyczajów, nonszalanca przy olbrzymiej sile uderzenia, wielka wytrwałość w obronie, niby lekkomyślny humor, połączony z głębokim uświadomieniem, oto kilka cech tej wybornej jednostki bojowej, jaką był VI bataljon, wyćwiczony i wychowany przez majora Fleszara.

Badąc świetnym oficerem frontowym, był równocześnie doskonałym organizatorem. W jego bataljonie nie było nigdy żadnych nieporozumień ani między stanem oficerskim i żołnierskim, ani też między samymi oficerami.

Fleszar znał się na ludziach i wybierał ich bardzo umiejętnie. W stosunkach koleżeńskich łatwy i przystępny, otwartością swoją i spokojem nie dopuszczał żadnych niedomówień, czy nieszczeroci. Należał do wyższych wojskowych tego typu, których nie ima się rutyna, jego praca przy wielkiej wiedzy była zawsze świeża i twórcza.

Wyczerpany srogimi trudami, ciężką pracą wojenną, spełnianą przez dwa lata przeszło, nieomal, że bez wytchnienia, zachorował nerwowo na ostatnim postoj.

Złożyło się na to wiele przyczyn, lecz główną z pomiędzy nich była niepewność co do losu Polski i kolei polskiego żołnierza. Natura Fleszara tak odpowiedzialna i poważna, zaczynała się już giąć i kruszyć pod ciężkim brze-





się na terenie Europy, czy też tylko *w obrębie mocarstw centralnych*, jeden masz sprawdzian, którym się uratujesz od błędu, czy oszustwa: Nie masz tak misternych obliczeń dyplomatycznych, któreby nie powinny wziąć za warunek swój i podstawę tworzenia sił własnych. Co się jaknajszybszemu wydobyć sił własnych sprzeciwia, choćby najrozumniej i najprzebieglej było układane, jest głupota, lub czemś znacznie gorszym, niż głupota...

T T.

## Z tygodnia.

Szereg dni, które upłynęły od historycznego momentu 5 listopada do dnia dzisiejszego, uzupełnia w sposób aż nadto plastyczny odwieczną prawdę, że w życiu narodów, jak wogóle w życiu wszechświata, najgwałtowniejsze, najbardziej zasadnicze przewroty wyrażają się najczęściej w postaci łagodnie stopniowanych przejść. Że najbardziej przeciwnostawne formy bytu łączą zwykle ogniwa przejściowe, że jednym słowem jeśli nawet jest życie teatrem, to maszynierze jego działają bardzo powoli, a na zmianę dekoracji trzeba czekać niekiedy dość długo. Czekanie takie może się wydawać tem dłuższem i przykrzejszem, im mniej się rozumie zawiły mechanizm podziemny.

To jedno zaś sobie trzeba powiedzieć, że zawilszego splotu przyczyn, interesów, pożądań, akcji i kontrakcji, prób, macania naoslep i żywiołowych popędów, niżeli jest sprawa polska w swojej obecnej postaci, trudno sobie wyobrazić. Tylko w umyśle drugoklasisty może się przedstawić akt przywrócenia wolności Polsce, jako z piatku na sobotę poczęty czyjś pomysł, czyjaś fantazja, czyjś fantastyczny poprostu kaprys. Tylko w umyśle endeka, albo zdeprawowanego przez endecję analfabety politycznego, mogą się błąkać strachy, iż to wszystko jest humbug, obliczony na naiwność polską. Ani drugoklasistom, ani analfabetom politycznym, choćby piastowali wysokie urzędy i godności społeczne, nie można się zresztą dziwić, że w głąb rzeczy nie idą. Że nie widzą, jak na kilka krótkich zdań, które akt wyzwoleniczy zawiera, składały się dziesiątki, niekiedy setki lat, rzeki przelanej krwi, świadome czy nieświadome tarcie się olbrzymich mas.

To jedno chyba jednak każdy zrozumie, że jeśli na scenie nie dzieje się nic zgoła, nic przynajmniej godnego uwagi, nie znaczy to, by aktorzy spali. Jakoż w istocie to jedno chyba można powiedzieć, że owo tak długie milczenie jest miarą trudności, jakie się nastęrczają przy wcielaniu w życie uznanej za słuszną zasady. Zdawałoby się chwilami, że nieprzełamana konieczność dziejowa narzuciła siłą niezbitych faktów jedynie racjonalne rozwiązanie zagadnienia polskiego, jak się narzuca mniej pojętnemu uczniowi rozwiązanie zbyt dla niego trudnego zadania w postaci odpowiedzi umieszczonej na końcu książki. Odpowiedź jest niezbita i pewna; trudność w tem, jak dojść do niej i jak swoje działania objaśnić.

Najmniej może trudności nastęrcza się z tej strony, z której ich dotychczas było dla Polski zawsze najwięcej: w sytuacji międzynarodowej. Głośne i nawiasem mówiąc skandaliczne w ustach „oswobodzicieli małych narodów” protesty przeciwko próbie rozwiązania sprawy polskiej

przez mocarstwa centralne są znacznie mniej groźne, niżby się napozór zdawało. Wolno mniemać, że interes własny państw zachodnich w chwili gdy przekonają się one już ostatecznie o bezcelowości dalszej walki, skłoni je do uznania tej formy zwycięstwa państw centralnych, która dla nich samych może się przedstawiać mniej groźnie, która nie będzie powiększać bezpośrednio siły nieprzyjaciela. Tyczyłoby się to nawet racji stanu rosyjskiej, jeśli tam wogóle w tym opętanym chaosie można o racji stanu rozsądnie rozmawiać. Jeśli poza tem nie trzeba pozostawić dłuższego przeciągu czasu, żeby się uspokoiła, żeby sama siebie przemęgła szatańska wręcz pycha moskiewska, pycha pana, któremu się niewolnik wymyka z pod bata.

Większymi zapewne trudnościami najeżona będzie droga, prowadząca do bezpiecznego portu sprawę polską w Niemczech. Debaty w sejmie pruskim dały nam już tego pewne przedsmaki. I zaiste, gdybyśmy w Niemczech mieli dziś tylko takich rzeczników, jakich miały poprzednie nasze szamotania się o wolność, gdyby za Polską mówiły tylko „Polenlieder” i sympatyje radykalnej inteligencji, możnaby zwątpić o jutrze. Niema jednak żadnych danych do przypuszczeń, że interesu pewnych warstw, że niechęci pewnych partji nie zwycięży i nie utrzyma na wodzy interes ogólnopaństwowy, ujmowany w sposób szeroki i śmiały na filozoficznie traktowanem podłożu dziejowem, formułowany i kierowany ręką bynajmniej nie dyletancką. Klucz do rozwiązania zagadki, jaki podsuwała rozszerzana niedawno rzekoma mowa kanclerza — dość niezdarnej i niesmacznej apokryf — może przerażać tylko nazbyt już łatwowiernych słuchaczy wczorajszych proroków. Tem nie mniej nie można przypuszczać, żeby nowa w sprawie polskiej koncepcja zapanowała z dnia na dzień w niemieckiej opinii publicznej wszechwładnie, żeby się obeszło bez prób skierowania nowego strumienia w stare łożyska. W połączeniu z ogromną rozprężliwością narodu niemieckiego nazewnątrz, z niemniejszym jego zaufaniem we własne siły, metody i środki, będzie to jeszcze długo sprowadzało objawy, których doniosłość byłoby przedwczesnem przeceniać, ale których lekceważyć nie można.

Trzecim, zgoła nie najslabszym hamulcem w rozwiązaniu naczelnej zasady i doraźnem wcieleniu jej w życie jest nasza mała spoistość wewnętrzna. Dotychczasowa rozbieżność dróg, jakimi myśl polityczna polska od początku wojny chodziła, nie ułatwia bynajmniej postawienia początkowego zrębu nowej budowy. Nie ułatwia nietylko nam, ale i czynnikom zewnętrznym. W atmosferze odruchów, niezawsze celowych, nastrojów, często dość mglistych, i roznamiętnienia stale przekraczającego dozwoloną miarę, trudno jest znaleźć stały punkt oparcia. Odczucie potrzeby jakiegoś czynnika regulującego stało się w ostatnich czasach, jak nigdy przedtem, powszechne i żywe. Wolno mniemać, iż znajdzie ono niebawem swój wyraz w formie skrytalizowanej, wystarczająco trwałe i mocnej i jeżeli czego życzyć sobie należy, to przyśpieszenia prac, oddających zapowiedzianą 16 listopada instytucję ogólnonarodowej opinii do użytku chwili. Chwili, która już dłużej bez szkody czekać nie może. Im później to nastąpi, tem liczniej mnożyć się będą karygodne poprostu próby popychania sprawy polskiej na własną rękę, inicjatywy, przedsiębrane bez niczyjego upoważnienia i oferty, składane niewiedomo w czyjem imieniu. Wszystkie te, krótko powiedziawszy, warcholstwa spotykać się oczywiście będą z doraźną odprawą opinii, niecierpliwionej narzucaniem się nieproszonych pośredników i faktorów; nie można niestety twier-



mierna dal zwidzi się pocie czasem jako jej trwanie, jako „tęsknoty nieustanne wieki”. Wówczas los ludzki zdaje mu się zamierzczą jakąś wieścią o rycerskiej wyprawie, hymny tęsknoty tak prastarymi, jak ów „Salve Regina”, co „zasłyszon ongi, tak dawno, tak dawno, że miała zagasnąć czas owa szarpiąca wieść”.

Nie milknie ten motyw w późniejszej twórczości Kasprowicza, gdy „z hymnu zstąpił do prostej powieści”; tylko tradycyjne symbole zastąpiło słowo proste i bezpośrednie, patos przez opanowanie osiągnął ekspresję bardziej dramatyczną, a z tej ciszy, która była skupieniem się we własnej głębi, wraz ze stłumionym słowem, rodziło się technicznie skrytej, tajemnej grozy. Jedyny wyjątek pod tym względem stanowi zbiorek „O bohaterskim koniu i walącym się domu”. W nim znalazła wyraz najwyższa rozterka i gorycz zwątpienia. Nie dąży wówczas duch, nie widzi drogi przed sobą; że sam przystanął, więc jawniej objawia mu się *mijanie wszechrzeczy*. Los ludzki już nie losem tułacza czy pielgrzyma mu się zdaje: kamień, co wśród głębokiej ciszy naraz obsunął się w przepaść i w proch się rozsypał, to wyraz prawdy jedynej. Ściga go za tę zdradę, za odstępstwo „nieśmiertelny Cień” — Chrystus. Lecz gdy z tych załamań wyjdzie zwycięsko duch poety, znów widzi drogę przed sobą, którą stracił był z oczu. Znów w „Balladzie o słoneczniku” mamy widmo pochodni, jak w „Święty Boże”, tylko zamiast dawniejszej plastycznej wizji upiórów, jakiś bardziej niepochwytny, głębiej grozą przejmujący majak, zwiędziało duszne. Zamiast hymnu niebosiężnego, któremu gorycz zamknęła usta, poszept wieści straszliwej:

„Ponoć to ludzkie rozpacze  
Puściły krokom swym wodze  
I śpieszą w mgławych całunach  
Na pogrzeb litości Bożej...”

W wielorakiej formie przeżywa Kasprowiczy życie zbiorowe, życie ludzkości: Raz głos własnego żywota do chóru innych głosów łączy, to utożsamia się z życiem zbiorowym, w sobie samym przeżywa cudze, ludzkie życie, to znowu ze zbiorowości się wyodrębnia, odchodząc w samotnię. Tym wielorakim formom życia odpowiada różnorodność form symbolicznych. Wędrowka naprzemian staje się wspólnym pochodem, to jakby tylko jego widziadłem, to znów samotnym dążeniem, gdy „cicho się moja dusza po mgławych drogach wlecze”.

Taż sama spokojna wędrowka niekiedy objawia się pocie, jako wieczyście się powtarzająca wyprawa życia ku śmierci, los ów straszliwy, w grozie swej niepojęty, podbój życia ku zagładzie wiodący:

„Ponoć i ja miałem braci.  
Na straszną gdzies poszli wojnę.  
Śmierć rzekła mi o tem wszystkim  
Całując spiekie me usta...”  
(Ballada o słoneczniku).

I tak w niezliczonych warjantach przewija się ten wątek: od opowieści o tem, iż poeta „jest jak wędrowiec, któremu się śpieszy wyjść z ciemnych gąszczy, albowiem ostatni gaśnie już odblask zmęczonej duszy, co, na rozłogach życia przystając, szepce: „Mój Boże, mój Boże, zbyt długo ta droga się wlecze”.

Że motyw ten raz przejawia się w symbolu, który jest

objektywizacją i jakby posłem tęsknoty poety, i że jest jakby stałym przyśpiewem poczucia ciągłego wewnętrznego dążenia, to jużby wystarczyło do zrozumienia charakteru mistycznej tęsknoty, żyjącej w duchu poety. Że motyw pielgrzymi jest tylko jednym z wyrazów poczucia nieustającego zbliżania się ku czemuś [drugim takim wyrazem jest symbolika poszumu, który jest pośrednikiem w rozmowie z Bogiem i zmagania się z nim: widmo Bożych tajemnic zмага się w szumach z nami] zaznacza się w dalszym rozwoju tego motywu coraz wyraźniej. Tak np. wiersz „Drogi krzyżowe” (krucjata dziecięca) łączy motyw wyprawy z ideją męki i ofiary, wyrzeczenia, które jest zwycięstwem, bezrozumnego niby poświęcenia, które jest bohaterstwem najwyższym. Mistyczno-religijny charakter uwydatnia się w wplataniu do tego leitmotywu dwu innych: motywu walki między tęsknotą wzwyż ducha rwącą, a żalem miłosnym za ziemią, i drugi—poczucia obecności czyjejs. Zmagania się tęsknoty duszy wędrownicy z miłosnymi kajdanami ziemi poraz pierwszy najpiękniej może wyrażone zostały w tym wierszu:

„Gdy z pustej izby uchodzi w daleką  
Przestrzeń ma dusza i broczy w czerwonym  
Morzu promieni, które sennie cieką  
W głębię śmierci melodyjnym tonem,  
Tak ją przynęca ten wasz smutek mnogi,  
Że choć ma Raj przed sobą, staje w pół swej drogi...  
Ciche, samotne rzędy wierzb nad rzeką...”

(D. n).

A. LAUTERBACH.

## Plantacje i ogrody Warszawskie.

Ze wszystkich działów warszawskiej gospodarki miejskiej stosunkowo najlepiej przedstawia się zadrzewienie ulic. Natomiast ogrody, a głównie skwery, rażą wprost błędami założenia i utrzymania. W ostatnich trzech dziesiątkach lat Warszawa poczyniła znaczne postępy pod względem ilości zieleni, pod względem jednak sztuki ogrodnictwa została zacofana i nędzna. Gdy w roku 1888 budżet plantacyjny wynosił zaledwie 22.364 rb., w roku 1911 podniósł się do sumy 133.539 rb., czyli sześć razy więcej; gdy w roku 1895 było drzew sadzonych na ulicach 6.290, w roku 1911—12.352. Lecz cyfry te nie stoją w proporcjonalnym stosunku do podniesienia estetycznej wartości zieleńców i ogrodów.

Pomijamy tutaj fakt znany, iż sama ilość zieleni jest niezwykle dodatnim czynnikiem zdrowotności i wyglądu miasta; jednak takie postawienie kwestji jako zbyt ogólnikowe sprawy bynajmniej nie wyczerpuje. Zieleń źle utrzymana, drzewo posadzone w nieodpowiednim miejscu, klomb fałszywie założony, zadania swego zupełnie nie spełnia. Tymczasem w Warszawie spotykamy się niemal na każdym placu z całkowitą bezmyślnością zakładanych zieleńców, z drzewami zakrywającymi architekturę, z klombami pozbawionymi zupełnie pierwiastka dekoracyjności, z okra-





# WID NO KRĄG

№ 21 (R. II) Warszawa, 16/XII 1916

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 7. — TELEF. 158-90

**TREŚĆ:** W. RZYMOWSKI: Rząd tymczasowy. — MICHAŁ SOKOLNICKI: Z dziejów polskiego ruchu zbrojnego. — Karjera Rumunji. — G. CARDUCCI: Prolog. — HUGO K. DUCHIŃSKI: Strzały. — Z pola chwały Sienkiewicza. — STEFAN KOŁACZKOWSKI: Droga twórczości Jana Kasprowicza. — B. HEŁCZYŃSKI: Z prasy niemieckiej. — Prognozyk.

W. RZYMOWSKI

## Rząd tymczasowy.

W ślad za aktem powołania do życia niepodległego państwa polskiego przychodzi ze strony mocarstw centralnych akt, powołujący do bytu tymczasową Radę Stanu, będącą w zarodzie owym Tymczasowym Rządem Narodowym, który nasza myśl insurekcyjna piastowała jako niespełniony sen przez długie lata, a który w tej lub innej postaci, stawiała zawsze jako granitowy punkt wyjścia dla organizowania wielkiego dzieła wyzwolenia narodu.

Rządu Narodowego nie miała Polska od roku 1864, a *jawnego* Rządu własnego nie miała od roku 1831. Oba te rządy powstały na drodze walki przeciw Rosji; oba zostały zmiażdżone na polu klęski, zadanej przez Rosję.

Wszystko to, co w ciągu ostatnich lat prawie stu, poza krótkimi okresami opozycji, bądź walki powstańczej, uchodziło w Polsce za resztki, bądź pierwociny władzy po-

litycznej, było mandatem, udzielonym z ramienia zaborcy. Nie było więc ani kompromisem, ani ugodą, gdyż wola narodu polskiego nie stanowiła żadnego współczynnika w wyrazie tej władzy politycznej.

To, co w zakresie politycznym uchodziło za „ugodę”, co było jako „ugoda” piętnowane, było nie ugodą i kompromisem, ale jednostronnym przez garść Polaków zręczniejszym się najistotniejszych aspiracji politycznych narodu.

Te aspiracje polityczne znalazły wyraz swój narodowy dopiero w dniu 6 sierpnia roku 1914, przez zatknięcie sztandaru niepodległości na szanču wojny z Rosją, podjętej w owym dniu przez oddział Strzelców pod wodzą Józefa Piłsudskiego.

Te aspiracje znalazły wyraz swój międzynarodowy w dniu 5 listopada roku 1916 w manifeste mocarstw środkowych, zapowiadających utworzenie państwa polskiego z ziem oderwanych od Rosji.

Te aspiracje wreszcie znajdują drogę urzeczywistnienia w postaci Tymczasowej Rady Stanu, pierwszej, od pół wieku z górą, realnej organizacji woli narodu polskiego ku niepodległości.

Dzień 6 sierpnia 1914, dzień 5 listopada i dzień 26 listopada 1916: te trzy daty stają w ścisłej ze sobą łączności i konsekwencji, jako ogniwa tego samego łańcucha, który — trzeba pamiętać — przecina się z łańcuchem innych ogniw, inne przedstawiających akty: tymi aktami są odezwa Mikołaja Mikołajewicza, protest państw koalicyjnych przeciw niepodległości polskiej, wreszcie podpisy, położone pod tym protestem przez garść Polaków, rozproszonych po przedsiódkach dyplomacji rosyjskiej.

Nastaje chwila, w której dwa te kierunki rozwoju trzeba szczerze scharakteryzować w ich krzyżującym się przeciwieństwie: jeden z nich bierze chrzest z krwi Legjonów, przechodzi poprzez akt odbudowania państwa polskiego i wiedzie ku organizacji rządu polskiego na ziemi polskiej; kierunek drugi wychodzi z hasła agitacyjnego kwatery rosyjskiej, przechodzi poprzez zaprzeczenie państwa polskiego i — wraca do tejże kwatery rosyjskiej z piętnem rosyjskiego na czole poddaństwa.

Akt, proklamujący państwo polskie, był zapowiedzią niepodległości naszej. Akt, ustanawiający tymczasową Radę Stanu jest już pierwszym krokiem, niosącym tej niepodległości ucieleśnienie. Jest pierwszym narzędziem władzy, oddanym do rąk polskich dla pracy w budowaniu samodzielności polskiej. Tak naród polski go rozumie i w takiej intencji go podejmuje.

Poprzez własne środki i siły, ku własnym celom narodowym. Poprzez osiągnięcie celów własnych, ku urzeczywistnieniu zgody i harmonji interesów naszych z interesami państw i narodów, połączonych z nami koniecznością wspólnej walki i obrony przeciw Rosji: oto jest hasło naczelne, pod którym powstaje do życia pierwszy po wielu latach Rząd Polski.

Ów pierwszy rząd, wcielony w tymczasową Radę Stanu, staje się zawiązkiem, z którego powstać i rozwinąć się

mają wszystkie gałęzi władzy państwowej. On staje się tym pierwszym skupieniem woli, z którego wyłoni się prawo polskie i siła wykonawcza, to prawo realizująca. Zanim pocznie pełnić zadania, musi stworzyć szereg niezbędnych, najniezbędniejszych do tych zadań przyrządów i aparatów.

Trzy zasadnicze postaci władzy państwowej: władza wykonawcza, władza prawodawcza i władz sądowa nie dadzą się ukonstytuować bez wcielenia w życie szeregu instytucji, stanowiących ogniwo wstępne. Władza sądowa sprawowana być może jedynie w imieniu zwierzchniczej głowy państwa; lecz głowa państwa — monarcha dziedziczny — powołany zostanie dopiero przez sejm, reprezentujący wolę narodu. Ten system wzajemnych uzależnień sprawia, że państwo polskie nie będzie mogło powstać odrazu, jak Minerwa z głowy Jowisza, gdyż byłoby wtedy wytworem sztucznym i narzuconym z góry, nie zaś organicznie z gleby rodzimej wyrosłym. Nie będzie mogło powstać odrazu w całym komplecie swych organów, w całej pełni swych funkcji.

Rada Stanu, realizując państwo polskie, rozpocząć musi od podstaw i, zakładając te podstawy, pilny czynić wybór między zadaniami, aby przed rzeczami niezbędnymi dawać pierwszeństwo rzeczom jeszcze niezbędniejszym.

Jakież tedy są rzeczy do zrobienia najniezbędniejsze?

Są to trzy rzeczy: Administracja, Skarb, Wojsko.

Polska zda egzamin żywotności, jeśli w pięciu najbliższych miesiącach potrafi wykazać się namacalnym na tych trzech polach dorobkiem. Naród nasz w ciągu tych pięciu miesięcy zaważy na szali dziejów, jeśli z łona swego dobiedzie i pchnie do czynu dwie armje zorganizowanej siły: armję żołnierzy do boju z Rosją i armję pracowników do boju z niedostatkiem żywności.

Angja, powodowana naciskiem Rosji, odcięła kraj nasz od dowozu prowizji, proponowanego przez Amerykę. Ta sama więc Rosja, która bagnetem szturmuje do bram Wilna i Lwowa, ta sama Rosja szturmuje widmem głodu i upiorami nędzy — do siedlisk ludu polskiego na przedmieściach Warszawy, Łodzi i Będzina.

Dlatego to, walcząc z Rosją bagnetem i karabinem na okopach frontu wojennego, walcząc z nią trzeba jednocześnie wewnątrz kraju na skibie rolnej, walcząc z nią trzeba u warsztatu fabrycznego, walcząc nie tylko mieczem, ale i pługiem, młotem i kielnią.

A więc: organizowanie wojny z Rosją na polu pracy wytwórczej i na polu walki orężnej; wykuwanie dla tej wojny narzędzi i aparatów: oto najpilniejsze zadanie powołanej do życia Rady Stanu, oto sens, jaki wlać ona musi w te trzy formy — Administrację, Skarb, Wojsko.

Wszystkie pozostałe formy czynności państwowych — nie wyłączając najszczytniejszych — tworzyć się mogą na bocznych drogach energii: głównym łożyskiem płynąć muszą dwa tylko prądy, prąd tworzenia wojska i prąd two-

żenia warsztatów pracy. Jeśli bowiem nie wywalczymy dla państwa swego należytej granicy od wschodu i jeśli nie ocalimy samego bytu fizycznego naszej ludności, na nic nie przydadzą się nam najpiękniejsze dokumenty naszej kultury i najpewniejsze rękojmie prawa. Legniemy z powrotem w proch poniewierki dziejowej, w której trwać będzie męką, a z której powstać w przyszłości będzie trudniej, niż dziś, jak dzisiaj trudniej jest, niż w roku 1830.

Czy jednak proklamowana przez mocarstwa środkowe Rada Stanu posiada w sobie pierwiastki owego Rządu Tymczasowego, któryby zdolen był do wielkiego rozmachu w inicjatywie i wykonaniu?

Z góry stwierdzić trzeba, że, jako produkt wojny, nosi ona na sobie te wszystkie piętna nacisku, jaki wywierają konieczności wojenne i od jakich nie są wolne instytucje państwowe najpotężniejszych mocarstw, wplecionych w żelazne karby wojskowości. Poza tym odbija się na jej genezie cały szereg tych właściwości, które były smutnym naszym dziedzictwem niewoli, a które nie pozwoliły społeczeństwu w Królestwie od pierwszego dnia wojny skonsolidować się pod hasłem tych zadań oraz idei, które Rada Stanu ma realizować.

Wszelako, w danej konjunkturze historycznej, biorąc pod uwagę stan Europy i dorobek kraju, przyznać należy, że Rada Stanu, już w swej tymczasowej postaci, niezależnie od formy, w jaką się rozrośnie, jest tym organem, z którym do budowy państwa polskiego przystąpić można i przystąpić trzeba.

Połączenie w jej konstytucji władzy prawodawczej z władzą wykonawczą byłoby grzechem dla instytucji dojrzałej; dla instytucji atoli, zawierającej w sobie dopiero zaród wszystkich przyszłych urządzeń państwowych, staje się właśnie rękojmią żywotności i pełni działania.

Nie trzeba chyba dodawać, że powstanie do życia Rady Stanu, w której składzie, na wspólnym gruncie państwa polskiego, znajdują się przedstawiciele obu części Królestwa, przedzielonych granicą rządów okupacyjnych, będzie konkretnym granicą tej przewyciężeniem i połączeniem w jedną całość tego, co już jako całość niepodzielna zaręczone nam zostało aktem 5 listopada.

Aby jednak instytucja, nosząca dziś w łonie swoim to bezcenne brzemie, które jest brzemieniem przyszłości polskiej, osiągnąć mogła pożądaną i zbawienną stopień żywotności, by ruszyć mogła z miejsca i ruszyć odrazu po właściwej drodze, powinni znaleźć się w niej wyłącznie *aktywiści*, zwolennicy budowania państwa polskiego nie układami, ale krwią i żelazem, budowania nie przez dyplomację, ale przez wojnę z Rosją, albowiem Polska, jako państwo, powstać i ostać się może jedynie poprzez własne wysiłki i poprzez ich potęgowanie; nigdy zaś poprzez cudze ustępstwa i własne zrzeczenia.

Mimo ruiny kraju, mimo niedoli i wyczerpania, jeszcze Polak znajdzie w sobie tyle mocy i ochoty, by w wojnie tej mieczem własne państwo wyrąbać i osłonić. Ale, by



je za kulisami wojny wykalkulował zimną kalkulacją, kupańską wymierzył miarą lub mrówczym wydreptał dreptańcem, w to uwierzyć niepodobna temu, w kim serce nie przestało uderzać mocniej na dźwięk Raclawic, Grochowa, Łowczówka i Rafajłowej.

MICHAŁ SOKOLNICKI.

## Z dziejów polskiego ruchu zbrojnego.

Polska zyskała w ciągu dwuletniej wojny kilkanaście tysięcy własnego żołnierza. Nie byłoby to niczem, gdyby nie podstawy własnej organizacji wojskowej, założone pod to wojsko. W pułkach galicyjskich Polska posiadała i posiada o wiele większą ilość oficerów i żołnierzy bez żadnej korzyści dla narodu. Naturą bowiem kadrów wojskowych jest ślepe posłuszeństwo i mniejsze jednostki bojowe są tam złączone, jak koła i sprężyny maszyn, bez woli własnej, z kierownictwem, wychowaniem, wykształceniem, narzuconem przez wolę kierowniczą. Wola kierownicza, zasada, na której całość organizacji wojsk polega, jest to zasada narodowa, wola narodu. Armie stworzone bez tej podstawy, nie na tej zasadzie, są słabe, w kierownictwie swem chwiejne, w technice organizacyjnej łatwemu ulegające rozkładowi. Armja niemiecka, armja francuska są przykładem zwartej organizacji, jednolitej dźwigni moralnej, siły, czerpanej z własnych źródeł.

Należy to uważać za wielkie i wyjątkowe szczęście dziejowe, że przed wejściem w bój wojsko polskie przeżyło okres przygotowawczy, którego brak spaczył wysiłki roku 1863. Bez tego dorobku pozostalibyśmy garścią powstańców lub bandą najemników; dzięki niemu posiadamy podstawy organizacji wojsk narodowych.

Okres przygotowawczy trwał od roku 1905 do 1914, przeciąg niespełna dziesięciu lat. Popęd wojskowy powstał jako odrodzenie irredentyzmu polskiego przeciw Rosji. Rozwinął się na gruzach ufnosci w Rosję, propagowanej wówczas zarówno przez Narodową Demokrację, jak przez socjalizm. Inicjatorem myśli i środków, prowadzących do celu, był Józef Piłsudski, który powziął zamiar wojska polskiego w marcu 1905 roku w najbliższym porozumieniu z ludźmi tej miary, co Stanisław Witkiewicz, Stefan Żeromski, Stanisław Wyspiański. Naokoło i w sferach nawet, gdzie się ta myśl narodziła, uważano ją częstokroć za wizję poetycką, za marzenie odległe od prawdy, za romantyczny odgłos przeszłości naszej, za protest dusz szlacheckich i czystych przeciw rzeczywistości okrutnej; i Stefan Żeromski pisząc wówczas swój nieśmiertelny „Sen o szpadzie“, widział prawdę w „zwitkach Nowego Zakonu“, ale czuł tragedję żołnierza, przekleństwo samotnego bojownika o wolność, któremu ziemia nierada i naród własny krzywy, którego uspi tylko i ukołysz po cierniowem, męczeńskim życiu, na łożu wiecznego snu, na wezglówiu z niewiedzących laurów modlitewna skarga narodowa, oświeclający umarłych duch poetyczny. Że marzenia te i ułudy, że „uto-pja polska“ stała się rzeczywistością, sprawiły to realne

środki organizacji i techniki, środki wychowania i wykształcenia, zastosowane dla wytkniętego celu. Dziś dopiero, gdy cel został osiągnięty, można z całą śmiałością i dumą stwierdzić potęgę zastosowanych środków, stwierdzić głęboko przemyślaną mądrość wychowawczych zasad, na których oparty został organizacyjny czyn.

Wszyscy rozpoczynający nową pracę wojskową i najpewniej pierwszy Piłsudski, zdawali sobie jasno sprawę z ogromu przewagi, jaką nad naszym poczynaniem ochotniczem posiadał aparat armji stałej z jej kapitałem środków technicznych, metod wykształcenia, tradycji organizacji i taktyki, szkoły dowództwa. Zamysł improwizacji armji budził uśmiech politowania; pamiętam śmiech szlachcica z lipnowskiego, gdy się dowiedział, że tworzące się wojsko nie miało... armat. Zналиśmy sami lepiej nasze braki, wiedzieliśmy o bardziej zasadniczych, pełnego materiału technicznego brakowało i naszej piechocie. Ale w nowej nauce, w nowej szkole, w nowem zastosowaniu, przedsiębiorstwie czy organizacji decydującym jest znalezienie punktu wyjścia. Taką kierowniczą zasadą było dla Piłsudskiego spostrzeżenie, uczynione ze zwykłą mu siłą wejścia w treść psychiczną zagadnienia poprzez formalne jego pozory: nowoczesne armje europejskie nie znały wojny i nie posiadały już skali innej do mierzenia wartości armji, techniki organizacji i dowództwa, jak doświadczenie pokoju; wskutek tego nowoczesne armje Europy kształciły się dla pokoju. Garść polskiego wojska ochotniczego przedstawiała tę samą niewiadomą pod względem faktycznej umiejętności wojennej, posiadała niezmiernie braki organizacyjne i techniczne, lecz wzamian za to jako organizacja nowopowstała, bez tradycji, a więc i przesądów, bez przeszłości organizacyjnej, a więc bez szematów, miała możność swobodnego przeprowadzenia naczelnej w wojsku wychowawczej zasady: wychowania dostosowanego do warunków życia nie w czasie pokoju, lecz w czasie wojny. Umiejętność w danej dziedzinie, to przede wszystkim psychiczne do niej przystosowanie, to zdolność życia w szczególnych warunkach, jakich dana czynność wymaga. Gdy człowiek wzrośnie w tych życiowych warunkach, to technika i organizacja nowego zajęcia będą już tylko dalszymi szczeblami; w zarodzie tkwią one w tej zdobytej na początku zasadzie życiowej. Wychować tę chociaż tylko garść polską w umiejętności wojskowej dla życia w czasie wojny stało się zadaniem Piłsudskiego; przełamać natury ludzi dla zmuszenia ich do przeniesienia się w inne warunki, stworzyć ten odskok psychiczny taki wielki szczególnie w naturze odwykłego od wojny, niechętnego wojnie Polaka, stało się ambicją i namiętnością Wodza i jego żołnierzy. Przygotowując polską nową improwizację powstańczą, przekonywał i uczył Piłsudski o jedynej dziś racji i o bezsprzecznej wyższości regularnego wojska nad wszelką ruchawką, która pozostanie zawsze bandą bez kierownika, niezorganizowanym tłumem, zawsze ulegnie popłochom, nigdy nie spoi się dokładnie i ściśle z kierującą energją i wolą. „Postawiłem na stawkę organizacji“, mówił o sobie i w rozpoczętej akcji wychowawczej łączył swą zasadę nową i rewolucjonizującą wychowanie europejskich wojsk — uczenie wojennego życia — z rozpoznaniem i wyzyskaniem głównej wartości regularnej armji nowożytniej, jej stałej organizacji, opartej na zasadzie autorytetu.

Na poszczególnych szczeblach wojskowego wychowania strzelców polskich łatwo jest dziś stwierdzić te zalety, które stanowiły ich wartość w początku. Polowe wykształ-

cenie podoficera i oficera było przenikającą wszystko zasadą. Młody sztabowy polski oficer nie przeszedł niektórych bardzo potrzebnych dyscyplin naukowych, dawanych na akademjach, nie znał on również tej systematycznej stałości, jaką daje ciągłość regularnej organizacji z jej kapitałem i techniką, lecz za to przeszedł sam i przerobił bezpośrednio w polu z kolei na czele swego oddziału, lub jako żołnierz w oddziale samym, wszystkie zadania praktyczne plutonu i kompanji. Teren stał się jego żywiołem, warunki praktyczne regulaminów piechoty — życiową treścią. Przy tej ofiarności, przy tym zapale, idealizmie młodym, jaki nasz żołnierz wkładał w swą rycerską przyszłość, przy tej nadziei, która rozbudzała serca i tej ambicji, co podnosiła umysły, wytworzył się doskonały materiał piechoty, broni zasadniczej, od której taktyka innych broni zależy. Ciągły praktyczny kurs taktyki piechoty, przebywany w stopniu bardziej realnym, w metodzie ciągłej stosowanej na terenie, niżli zwykłe wykształcenie nowoczesnych szkół fachowych, uzdalniał do tej łatwości objęcia technik i metod wojskowych specjalnych, jaka się ujawniła, gdy potrzeba było założyć w naszym wojsku oddziały konnicy, karabinów maszynowych, artylerji; gotowe też było życie się wszystkich broni i podległość naturalna ich bojowego charakteru szkole i działaniu piechoty. Tę szczególną wartość można sprawdzić na szczegółach. Użycie np. powszechne łopaty w polu, jeden z rezultatów taktycznych ostatnich wojen, było od początku zasadą oddziałów strzeleckich. Na niektóre specjalne zagadnienia nowoczesnego boju piechoty, na dyscyplinę ognia, na metodę walki w lesie i w górach zwracano szczególniejszą uwagę żołnierzy, wolną od balastu taktycznych i organizacyjnych warunków, krępujących organizację i taktykę starszych regularnych armji. Tak samo w pracy sztabowej najwięcej miejsca od samego początku zajęło studjowanie trudnego problemu dostaw — taborów i komunikacji — zapewne pierwszy raz dopiero na kilka lat zaledwie przed wojną naukowo postawione przez Bernhardiego.

Nad wszystkim jednak górowało wielkie pragnienie wojny u wyrabiających swą siłę, marzących o sile narodu nowych polskich pokoleń. Wbrew radom starszych, młodzież przyuczała się do trudności i niebezpieczeństw. Wbrew zasadom i naukom rozsądnych, ludzie patrzący odważnie widzieli zbliżającą się grozę europejskiej katastrofy. Jeśli przyjmiemy zasadę Emersona, iż własnością charakteru jest przeżywać w sobie w pierwszej, niżli się staną, wypadki, to ludzie szaleni, zaczynający tworzyć wojsko polskie w roku wielkiej wojny Rosji z Japonją na Dalekim Wschodzie, byli nadewszystko ludźmi charakteru; ludźmi, którzy otrząśli przedtem ze swych serc i ze swych umysłów pył niewolniczych osadów, zanim zdjąć mogli kajdany niewoli ze swych i narodu rąk i nóg. Wokoło organizacji wojskowych zaczęły się tworzyć na terenie jedynie dostępnym szerszym czynnościom Galicji, za pomysłem i wzorem Królewaków, organizacje gimnastyczne, ćwiczenia sportowe, związki polityczno-wojskowe, moralno-wojskowe, wojskowo-wychowawcze, które propagowały siłę, hart, opanowanie wola, odwagę w zmiękczałem i zniewieściałem społeczeństwie. Młodzież polska, całe pokolenia młodzieży poszły przeciwko zdaniom rozsądnym i starszym, wychowały się wedle metody, wedle realistycznych nauk ludzi szaleństwa, którzy, jak się okazało, byli ludźmi jedynymi w Polsce, znającymi Europę współczesną, umiejacymi wnioskować z warunków istniejących. Przyziemny, egoistyczny umysł niewolników, nawykły do ciasnych komórek o zatkanym

śniedziałych wrzeczadkach, nie był zdolny do spojrzenia w wielkie dziejowe zmiany; jak w bajce gość w menażerji nie dostrzegł słońca, tak samo nie uczył, nie usłyszał pochodu nowoczesnych dziejów, mającego obalić gmach, w którym byliśmy uwięzieni.

Jest zapewne czas już na to, aby z runięciem więzienia porzucić zardzewiałe jego sprzęty, uwolnić duszę od niewolniczych uprzedzeń. W przededniu najważniejszego, doniosłego dzieła tworzenia armji polskiej, na podstawie dotychczasowych doświadczeń należy zapamiętać i zgłębić właściwą treść dotychczasowego dorobku. Jest to dorobek przedewszystkiem nasz własny — szczegóły tylko i drogi wyrobienia szczegółów dodane do nich zostały. Jest to nie tylko nasza własna praca, którą do głębi winniśmy ocenić i poznać, lecz także nasz własny materiał metodo-poznawczy, dźwignia nauki podnoszącej w dzisiejszym świecie gmachy pokoleń — i jest to nasz własny dorobek charakteru i narodowego wychowania. Nie z przelotnych form, nie z poszczególnych działów techniki, którą możemy zapożyczyć, nie z pomocy i z nauki, z której będziemy musieli jeszcze korzystać, ale z tych tylko samobytnych źródeł nowej wojskowości polskiej armja polska zdoła czerpać swoje zasady, swą naukę, swą organizację, swą rzeczywistość.

---



---

*70,000 poległych na placu boju, trzykroć większa liczba strąt w jeńcach, stolica w rękach nieprzyjaciela, terytorjum okupowane, król własny pakujący koronę do sakwy podróżnej, aby na drogach wygnania przemierzyć niedole królów bez ziemi: oto pozycje, w jakich wyraża się bilans krótkiej, lecz węzłowej wojny Rumunji przeciw czwórprzymierzu. Jedną zdobycz wynieśli z tej wojny Rumuni: poręczony przez Anglję i Rosję weksel na Siedmiogród.*

*Podobny z rąk rosyjskich weksel otrzymała w początkach wojny i Polska: weksel na zjednoczenie ziem polskich pod berłem carów. Kona dziś żołnierz rumuński, w kałużę krwi własnej wdeptany, z wekslem koalicji w zanadrzu, ale bez oręża w dłoni, skroś bielmo w oczach osłupiałych widząc, jak Moskal-sprzymierzeniec — pali wsie rumuńskie i grabi rumuński dobytek, aby zasób łupu nieprzyjacielskiego pomniejszyć.*

*Niewątpliwie, Anglja i Rosja, licząc na pomoc Rumunji, pomyliły się w rachunku. Ale to, co dla Anglji było omyłką a dla Rosji zawodem, stało się dla Rumunji — katastrofą.*

---



---

*Co czynią kobiety w powieściach Sienkiewicza? — Składają mężom gwarancje swej podległości.*

*Cóż dziwnego, że mężowie, nawykli cenić podległość z gwarancjami, lękają się dziś niepodległości bez gwarancji?*

---



---

GIOSUE CARDUCCI.

## Prolog.

Nie, nie umarłem. Trupem leży za mną  
Me dawne życie. Na tych, co się ku mnie  
Wdzięczyły licach, przybladły rumieńce,  
Zgasły marzenia moich pierwszych lat.

Najświętsze czucia swe złożyłem w trumnie,  
Pogrzebłem w sercu pragnienia bezpłodne,  
Wolności! innym dasz dziś chwały wieńce,  
Boskich swych darów innym rozdasz kwiat.

O Leto, Leto! nurty twe ponure  
Tylkoż wśród piekieł mkną, lub rajskich łąk?  
Czy jeno w pieśniach kwitnie kwiecie, które  
Plotła Helena dla królewskich rąk?

Ja chcę się z życia wirów unieść lotem,  
Gdzie stara wieża rozpada się w gruz,  
Jak wilk, samotny pod nocy namiotem,  
Z wichrem i morzem ryk swój będę niość.

Wyc będę czarnym, posepnym spomnieniom,  
Które mi duszę wiążą bólu wstęga,  
Wyc będę ciężkiej, bezsennej, ospalej  
Nudzie, co dymi z ponad zgniłych dni,

Tęskniąc za gromu niebieską potęgą  
Snów mych młodzieńczych, potężnych porywów,  
Strzaskanych kajdan, nawoływań chwały,  
W których wolności, sławy okrzyk brzmi.

Wszystko fałszywe, przed czem świat się korzy,  
Policzkiem krwawym spali mój wiersz — wróg,  
Świat oszukaństwem karmił mię od zorzy,  
W południe ja go powalę do nóg.

Jeśli świątynie spękają w kawałki,  
Kędy ideał twój, o tłumie, żył,  
Co mnie do tego? ja nie madrygałki  
Piszę, za które byś mi wieńce wił.

O, zanim legnę, bardziej piorunowe  
I groźne strzały z łuku pošlę wam!  
A na tych piórach krwawej męki mojej  
Cisnę wam serca pałający grot.

Kto wie, czy z nieba Muza lub Bóg sam  
Nie pojrzy się nań tkliwie i nad dręt看  
Bagnem zapomnień w skrzydła nie ustroi,  
By ku miłości słońcom dać mu lot!

Tłóm. *Julja Dicksteinówna.*

HUGO K. DUCHIŃSKI.

## Strzały.

### *Status nascendi.*

W chwili narodzin nowych związków ulegają przemianie zwykłe prawa chemiczne. Wielka chwila dzisiejszych narodzin czyni to samo w dziedzinie politycznej. Nie dojrzy więc i nie obejmie rzeczywistości dzisiejszej ten, kto do terminów politycznych treść przedwojenną będzie przywiązywał. Nie będzie mógł uczynić rzeczywistości podłożem swego czynu.

Tworzy się państwo polskie. Które żywiły są dziś państwowotwórcze, a które anarchiczne? Które rządowe, a które opozycyjne wobec nienarodzonego, a rodzącego się rządu polskiego? Zaprawdę, od czasów pokoju zmiana niesłychana. Jedyne czynnik zdecydowanie i nieubłagane rządowy znajduje się dziś na lewicy społeczeństwa, reakcyjna zaś prawica jest żywiołem opozycyjnym. Ponieważ zaś opozycja ta kieruje się przeciw nienarodzonemu jeszcze rządowi, jest w skutkach swych anarchiczna i bliska żywiołom socjaldemokratycznym.

Właściwym lewicy jest ruch naprzód, prawicy hamowanie, przyczem o władze państwowe się opiera. Ale kiedy je dopiero stworzyć trzeba było, odwróciły się role.

Dziwne, a przytem nieco humorystyczne jest dzisiaj położenie żywiołów środka. Nie stoją one po stronie żywiołów anarchicznych, owszem pragną utworzenia władz państwowych i rządu polskiego, lecz pęd naprzód i wysiłek ze strony lewicy właśnie w tym kierunku, przeciwny jest ich naturze. Pragnęłyby jak najprędzej oprzeć się o rząd, cóż, gdy rządu tego jeszcze nie ma? Pragnęłyby w imię legalizmu polskiego wystąpić przeciw parciu naprzód lewicy, cóż, gdy właśnie ona legalizm ten zdobywa? Potrzeba stateczności i powolnych kroków (niebezpieczna w chwili politycznych narodzin) jest jednak u tych czynników tak silna, że sprowadza czasem dziwne objawy psychiczne: Oto rodzi się fikcja, że rząd polski gotów, państwo polskie ugruntowane, że *status nascendi* minął i czas wystąpić w imię legalizmu przeciw żywiołom anarchji. Anarchistami stają się w ich oczach te czynniki, które z całym wysiłkiem i największymi ofiarami dążą do — rządu własnego.

Zmiana stanowisk wpłynęła i na metody. Rządowcy polscy używają metod zdecydowanych, przeciwnicy rządu i anarchiści metod chwiejnych i powolnych. Czy ta różnica wystarcza, by rządowców zwać anarchistami, a anarchistów żywiołem ładu i porządku? Czy wystarczyłaby nawet wtedy, gdybyśmy nie przechodzili dziś chwili ogromnej w skutkach, a błyskawicznie mijającej, chwili *status nascendi*?

### *Z historii lewicy niepodległościowej.*

Pierwsza postawiła program państwowy polski, gdy jeszcze wielu dzisiejszych „legalistów” siedziało w obozach wschodnich i zachodnich. Ponośliła największe ofiary, nie tylko krwi, ale i ofiary z zasad i haseł politycznych i społecznych zawieszonych na czas narodzin Polski. W imię jej narażała się na największe tarcia partyjne z wewnątrz. Pierwsza podniosła hasło konsolidacji narodowej i trwała















P. II  
21